ZYGMUNT LASOCKI

POLACY

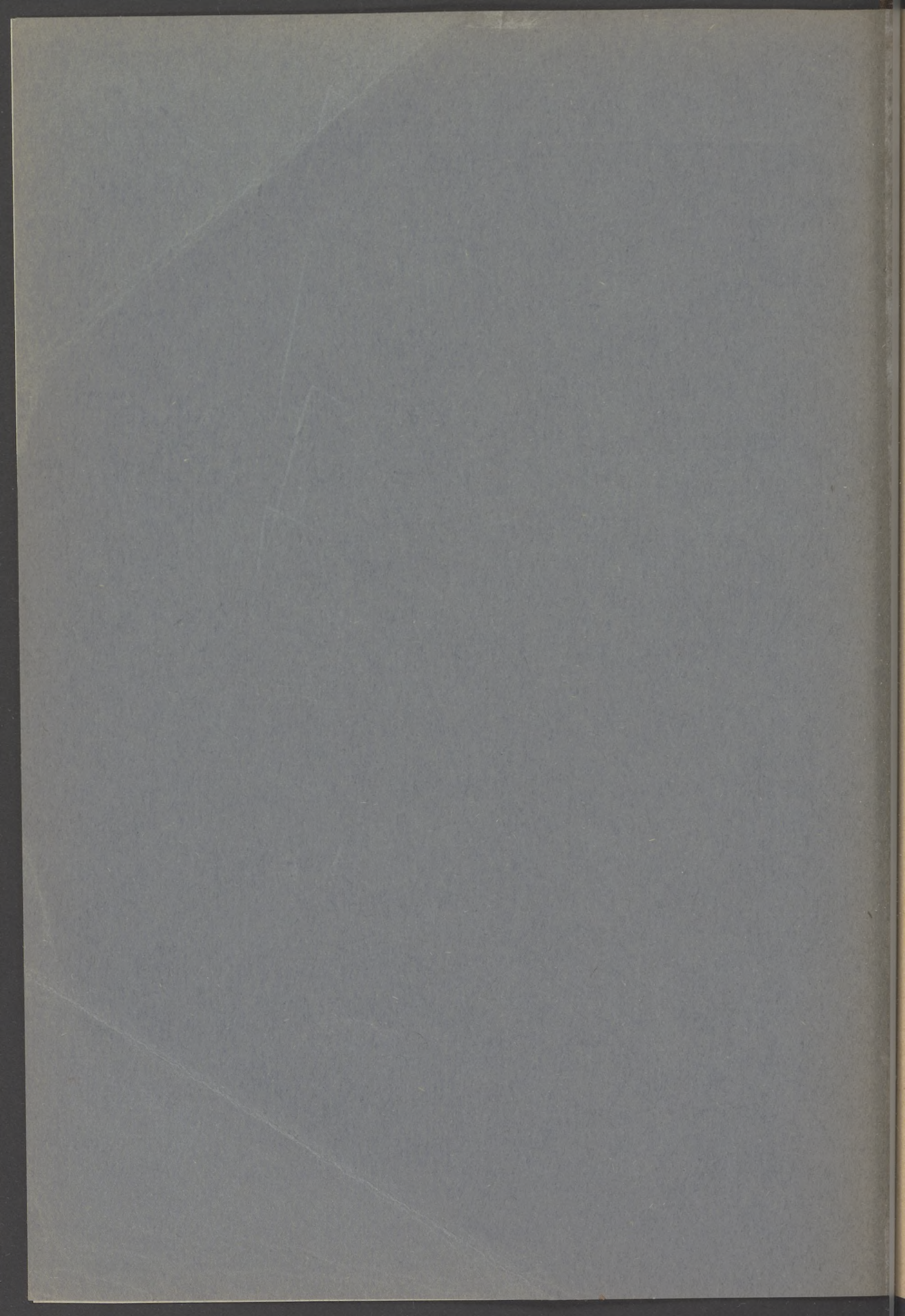
W AUSTRJACKICH OBOZACH BARAKOWYCH DLA UCHODŹCÓW I INTERNOWANYCH

(WSPOMNIENIA Z CZASÓW WOJNY ŚWIATOWEJ
BYŁEGO POSŁA DO PARLAMENTU AUSTRJACKIEGO)

CZYSTY DOCHÓD NA INSTYTUCJE DOBROCZYNNE POD OPIEKĄ
KS. METROPOLITY SAPIEHY.

CENA 9 ZŁ.

KRAKÓW 1929. — NAKŁADEM AUTORA.



ZYGMUNT LASOCKI

POLACY

W AUSTRJACKICH OBOZACH BARAKOWYCH DLA UCHODŹCÓW I INTERNOWANYCH

(WSPOMNIENIA Z CZASÓW WOJNY ŚWIATOWEJ
BYŁEGO POSŁA DO PARLAMENTU AUSTRJACKIEGO)

CZYSTY DOCHÓD NA INSTYTUCJE DOBROCZYNNE POD OPIEKĄ
KS. METROPOLITY SAPIEHY.

KRAKÓW 1929. — NAKŁADEM AUTORA.



DRUKARNIA L. GRONUSIA I Ski, KRAKÓW, STOLARSKA 6. TELEFON 10-18.

„Na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego, poseł hr. Lasocki w dłuższem przemówieniu przedstawił i uzasadnił cały szereg rezolucji i wniosków stronnictwa ludowego, szczegółowiej omawiając stosunki i niedostatki wychodźtwa polskiego. Hr. Lasocki w przemówieniu swojem podniósł ogromne zasługi księcia biskupa krakowskiego Sapiehy, który ojcowską opieką otacza tysiące wychodźców, troska się z całem oddaniem o los okolic dotkniętych przez wojnę, śle nieszczęśliwej ludności nietylko słowa pociechy duchowej, ale i wydatną pomoc materjalną".

(„Głos Narodu" z dnia 2 marca 1915).

Ks. Metropolicie krakowskiemu

Adamowi Ks. Sapieże

Opiekunowi polskich tułaczy w czasie wojny światowej

książkę niniejszą poświęca

autor.

W pierwszych trzech latach wojny światowej więcej jak 100 tysięcy polskich uchodźców i ewakuowanych z Galicji korzystało z „opieki rządowej" w barakach choceńskich, libnickich i innych, a tysiące Polaków z Galicji i Królestwa przeszło grozę Thalerhofów, Steinklammów i innych obozów internowanych w Austrji i na Węgrzech.

Zajmując się dolą tych ofiar wojny, zebrałem dość spory materjał do dziejów polskich uchodźców i internowanych w obozach barakowych w Austrji. Dzieje te miałem zamiar opisać zaraz po wojnie. Tymczasem po przewrocie wciągnięty zostałem do pracy publicznej jako szef prowizorycznej administracji politycznej, a niedługo potem samorządowej dla Małopolski, wreszcie jako przedstawiciel Rzeczypospolitej Polskiej w Wiedniu i Pradze. Po dziesięciu dopiero latach, jako emeryt, zacząłem wydobywać z pak moje szpargały i na ich podstawie skreśliłem dzieje Polaków w barakach austrjackich, jako dokument nędzy, a także głupoty i nikczemności ludzkiej, wreszcie i miłosierdzia ludzkiego z czasów wojny światowej.

CZĘŚĆ I.

UCHODŹCY I EWAKUOWANI.

I.

W pierwszych miesiącach wojny światowej zawierucha wojenna zagnała setki tysięcy mieszkańców Galicji do zachodnich krajów austrjackich. Opuścili oni swoje siedziby, bądź to dobrowolnie jako uchodźcy wojenni, bądź też pod przymusem, jako ewakuowani.

Masową ucieczkę wywołały popełnione przez Rosjan zaraz na początku wojny tu i ówdzie nadużycia i gwałty, o których głoszono przesadne zresztą wieści. Na ogół bowiem wojska rosyjskie zachowywały się przez dłuższy czas dość poprawnie, w każdym razie poprawniej, jak austro-węgierskie wobec obywateli własnego państwa. Widoczną bowiem była tendencja kierownictwa armji rosyjskiej, do pozyskania sobie ludności w Galicji, a w szczególności w Galicji Wschodniej, którą spodziewali się na stałe zatrzymać. Tylko przeciwko Żydom występowali Rosjanie wrogo i starali się wyrugować ich z terytorjów przez siebie zajętych, nie cofając się nawet przed okrucieństwami. I tak np. posłowie do parlamentu austrjackiego z Galicji, German, Loewenstein i Steinhaus stwierdzili w interviewie umieszczonem w „Neue Freie Presse" z dnia 10 marca 1915, że Rosjanie w jednej z miejscowości wschodniej Galicji, wygnali około 1500 rodzin żydowskich poza swoje linje obronne, kierując je, w czasie toczącej się walki i wzajemnej strzelaniny, na linje austrjackie. Nie wiem o ile te dane były ścisłe, nie podano bowiem miejscowości, gdzie się to barbarzyństwo stać miało. Wiem jednak ze sprawozdań naocznych świadków, o złem obchodzeniu się z Żydami ze strony Rosjan, np. w Tarnobrzegu z tymi, którzy tam pozostali, gdy Rosjanie po raz pierwszy wkroczyli do tego miasta. Rabowano mieszkania, gwałcono dziewczęta żydowskie, znęcano się nad Żydami. Poczciwy stary Wachs, radny miejski, opowiadał mi, jak go zaaresztowano bez żadnej przyczyny, a żołnierze rosyjscy wyprowadzali go co kilka godzin z aresztu, rzekomo, by go powiesić. Egzekucję wstrzymywano i odprowadzano go z powrotem do aresztu, by nieco później powtarzać znowu ten brutalny żart wobec nawpół oszalałe-

go ze strachu starca. Było więc zrozumiałem, iż ludność żydowska masami uciekała przed inwazją rosyjską. Więcej jak jedna trzecia część Żydów galicyjskich szukała schronienia daleko od terenu walk, poza Galicją.

Uciekali także urzędnicy z rodzinami, obawiając się wywiezienia i internowania w Rosji, albo też skrajnej nędzy w razie pozbawienia ich płac, podobnież i rodziny oficerów i podoficerów. Uciekało dalej wiele osób z pośród wielkich właścicieli, inteligencji i mieszczan, a nawet i trochę chłopów. Na ogół jednak ludność włościańska nie ruszała się dobrowolnie ze swoich siedzib, a w pierwszych miesiącach walki rzadko kiedy ją do tego zmuszano. W czasie t. zw. wojny ruchomej, odwrót wojsk austrjackich odbywał się tak szybko, że zwykle nie miały one czasu nie tylko na przeprowadzenie ewakuacji, ale częstokroć nawet na przestrzeżenie ludności o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Stąd nieraz ucieczka ludności odbywała się wśród strzelaniny rosyjskiej, bez możności zabrania najniezbędniejszych rzeczy, czasem nawet i pieniędzy. Byłem świadkiem takiej ucieczki w Tarnobrzegu w dniu 13 września 1914 roku, wśród ostrzeliwania miasta z dział przez Rosjan. Widziałem tłum ludzi zdjęty panicznym strachem, ratujący ucieczką tylko życie swoje lub swoich najbliższych, a unoszący przeważnie tylko jakiś ulubiony albo znajdujący się pod ręką pierwszy lepszy przedmiot, nieraz zupełnie niepotrzebny sprzęt: to dziewczynka z ptaszkiem w klatce, to stary Żyd z grubą księgą, to kobieta niosąca tylko wieszadło. Tłumy jechały na zachód przepełnionemi pociągami, nie wiedząc same dokąd, byle tylko jak najdalej od wroga i walk. A jednak ta ucieczka, aczkolwiek odbywała się wśród bardzo przykrych warunków, nie była tak straszną, jak późniejsza ewakuacja. Podróż odbywała się stosunkowo dość szybko, zimno jeszcze nie dokuczało, władze niewiele się troszczyły o uchodźców, ale też nie znęcały się nad nimi, jak to później miało miejsce, a z początku ludność z okolic niezagrożonych przez nieprzyjaciela, nie odnosiła się nieżyczliwie do tych pierwszych ofiar wojny.

Przeważna część uchodźców, zwłaszcza Żydów, osiadła w wielkich miastach. Najwięcej ich było w Wiedniu.

Wśród rzeszy pierwszych uchodźców, było stosunkowo dość dużo ludzi zamożnych, lub przynajmniej takich, którzy mogli się utrzymać przez jakiś czas z własnych środków. Z niezamożnych wielu znalazło zajęcie w fabrykach lub przy robotach jesiennych w rolnictwie. Brano ich chętnie do pracy, jako robotników tańszych i mniej wymagających od miejscowych. Pozbawionym środków do życia rząd przyznał zasiłek, który — po pewnych wahaniach — ustalono w kwocie 70 halerzy od osoby. Z początkiem 1 listopada 1914 roku liczba uchodźców pobierających ten zasiłek wynosiła 133.000, a to 82.000 Żydów, 44.000 Polaków i 7.000 Rusinów, według dat oficjalnych, podanych do publicznej wiadomości z okazji wystawy pomocy wojennej („Kriegshilfeausstellung") w roku 1915.

O pomieszczenie nie było jeszcze zbyt trudno, gdyż rodziny powołanych do wojska chętnie wynajmywały część swoich mieszkań. Większe rodziny — lub poszczególni uchodźcy, łącząc się w małe

grupy — wynajmowały wspólnie małe mieszkanka, zwykle na przedmieściach, i prowadząc wspólną kuchnię, mogły wegetować z tego zasiłku, jak długo nie nastała większa drożyzna.

Uchodźcy żydowscy doznali wydatnej pomocy ze strony swoich austrjackich współwyznawców. Od samego początku aż do końca wojny zbierano dla nich składki, które doszły do wielomiljonowych sum. W jednym tylko wielkim dzienniku, „Neue Freie Presse" zebrano pod różnemi rubrykami „Dla uchodźców z Galicji i Bukowiny", „Dla dzieci żydowskich", „Na zakłady pani Anity Müller" przeszło dwa miljony koron, przeznaczone prawie wyłącznie dla Żydów. Udzielano również datków in natura, a co najważniejsze, potężne instytucje i wpływowe osobistości żydowskie w Austrji, uchroniły uchodźców żydowskich przed umieszczeniem znaczniejszej ich liczby w obozach barakowych, tudzież wyjednały dla nich wydatniejszą opiekę rządu, jak dla Polaków i Rusinów.

Przyznawanie i rozdział zasiłków rządowych w Wiedniu — z wyjątkiem zasiłków dla tak zwanych osób socjalnie wyżej stojących („Socialhöherstehende") — powierzono Centrali dla opieki nad uchodźcami („Zentralstelle der Fürsorge für Kriegsflüchtlinge"), utworzonej 10 września 1914, na czele której stanął radca miejski Schwarz-Hiller z personelem, złożonym prawie wyłącznie z Żydów, co wywołało różne zażalenia, gdyż wśród uchodźców, pobierających zasiłki za pośrednictwem tej centrali, były tysiące chrześcijan.

Z 34 sekcji tej Centrali powierzono kierownictwo tylko jednej, a mianowicie schroniska dla studentów, Polakowi, rektorowi uniwersytetu lwowskiego, Twardowskiemu.

Otrzymałem w r. 1915 od poważnego stowarzyszenia polskiego zażalenie, że wśród około 300 płatnych funkcjonarjuszy owej Centrali, nie było ani jednego chrześcijanina Polaka i że nie można w niej mówić po polsku. Nadto dochodziły mnie dość liczne skargi na nieodpowiednie traktowanie uchodźców Polaków w tej instytucji, utrzymywanej z funduszów państwowych. Nie mogłem z tego powodu bez zastrzeżeń zgodzić się na pochwały, których nie szczędzono naogół radcy Schwarz-Hillerowi — na które zresztą, o ile szło o jego współwyznawców, zupełnie zasługiwał.

Natomiast nikt nie mógł mieć żadnej pretensji do bardzo pożytecznej instytucji, powstałej z inicjatywy p. Anity Müller i zostającej pod jej kierownictwem, o personelu wyłącznie żydowskim. Zakłady jej zawdzięczały swoje istnienie składkom, złożonym przez Żydów austrjackich — subwencja rządowa była tylko bardzo nieznaczna — a korzystały z nich także kobiety i dzieci chrześcijańskie, co z uznaniem podnieść należy. Fakt, że personel tych zakładów składał się tylko z osób wyznania mojżeszowego, był zupełnie zrozumiały.

Wszędzie w większych miastach i na prowincji istniały również komitety lub instytucje żydowskie, które swoim współwyznawcom przychodziły z pomocą. Natomiast na Węgrzech — gdzie do wszystkich uchodźców od samego początku na ogół odnoszono się z niechęcią, a wielu z nich wydalono — nie spotkali się Żydzi galicyjscy z życzliwem przyjęciem ze strony swoich węgierskich współwyznaw-

ców. Jeżeli wierzyć można wychodzącej w Wiedniu gazecie „Jüdische Zeitung" z 30 kwietnia 1915, mieli się Żydzi węgierscy nawet starać o pozbycie się galicyjskich przybyszów, obawiając się podobno wzrostu antysemityzmu na Węgrzech, z powodu napływu obcych Żydów.

Z inicjatywy wspólnego ministra skarbu Bilińskiego powstał wkrótce po rozpoczęciu się ruchu uchodźczego, jeszcze we wrześniu 1914 r. w Wiedniu Komitet pod nazwą „Komitee für Flüchtlinge aller Nationalitäten und Konfessionen aus Galizien und der Bukowina", który miał się opiekować ogółem uchodźców z Galicji i Bukowiny bez różnicy wyznania i narodowości. Wkrótce jednak okazało się, iż prywatny komitet ze względu na rosnącą ciągle ilość uchodźców, zadaniu temu nie podoła. Nastąpił podział czynności pomiędzy komitetem ministra Bilińskiego a wspomnianą już Centralą dla uchodźców, tudzież komitetem ukraińskim.

Minister Biliński, dzięki swoim stosunkom, zdołał uzyskać doskonały lokal na pomieszczenie biur komitetu na Wallnerstrasse 1 A. Rozwinięto tam, przy dość wydatnej pomocy rządowej, nader pożyteczną działalność, zwłaszcza dla uchodźców z inteligencji i sfer zamożniejszych, pozbawionych jednak czasowo środków utrzymania. Najwyższa liczba osób korzystających z pomocy tego Komitetu, wynosiła około 25 tysięcy. Zasiłek rządowy dla tej kategorji uchodźców wynosił dla głowy rodziny 12 do 15 kor., dla żony 7 kor., a dla dzieci po 5 kor. tygodniowo. Gros uchodźców przejęła Centrala. Liczba osób, które przez nią pobierały zasiłki, dochodziła do 125 tysięcy. Komitet ukraiński, pod przewodnictwem wiceprezydenta Izby poselskiej Romańczuka, z początku miał niewielką tylko liczbę osób, któremi się opiekował.

Ogólny nadzór i pieczę nad sprawami uchodźczemi miało ministerstwo dla Galicji. Kierownik ministerstwa Morawski, radca dworu, następnie minister Twardowski i sekretarz ministerjalny Neumann gorliwie się temi sprawami zajmowali. Przy ministerstwie utworzono także składownię odzieży dla tych, którzy jej potrzebowali.

Dla spraw uchodźczych istniało przez dłuższy czas w Wiedniu biuro gal. Wydziału Krajowego, pod kierownictwem członka Wydziału Pilata, z pilnym referentem p. Madurowiczem.

Tułaczami polskimi zajmowały się także, obok istniejących już w Wiedniu stowarzyszeń polskich, nowo powstałe komitety i stowarzyszenia, w których się część ich skupiała. Bardzo pożytecznemi były tanie kuchnie, założone z inicjatywy prezesa Bilińskiego i ks. Lubomirskiej.

Energiczną działalność rozwinął Centralny Komitet Opieki moralnej dla wychodźców z Galicji — delegacja krakowskiego książęco-biskupiego Komitetu dla dotkniętych klęską wojny — który się zajął także uchodźcami, umieszczonymi w osadach barakowych. Komitet był czynny od pierwszych dni stycznia do listopada 1915. Zebrał ze składek dość znaczne fundusze — około 70 tysięcy koron — między innemi od Komitetu Sienkiewiczowskiego 25.000 kor., od Rady Narodowej w Poznaniu 10.000 kor. itd. — i dużo darów „in natura".

Komitet przesyłał dla osad barakowych znaczniejszą ilość bielizny, ubrań, butów, mleka kondensowanego dla dzieci, mydła, dalej maszyny do szycia, przybory, książki itd. Wyszukiwał zaginionych członków rodzin, wnosił do właściwych władz podania w interesie uchodźców. Wydawał on również pismo, poświęcone sprawom uchodźtwa pod tyt.: „Rodak". Przewodniczącym Komitetu był prof. Uniw. Jagiel. Antoni Górski, kierownikiem ks. Lagosz, spiritus movens Komitetu. Do czynniejszych członków należeli: ks. prof. Puchała, Konstantowie Buszczyńscy, Stanisław Czarnowski, dyr. gimn. Kryczyński, inż. Melchert, kand. adw. Grzegorczyk i inni [1]).

Po większych miastach prowincjonalnych zorganizowały się Komitety uchodźcze polskie. Do najczynniejszych należały Komitety w Bernie i Grazu. Pierwszy z nich zorganizował z początkiem marca 1915 zjazd delegatów, reprezentujących polskie kolonje uchodźcze na Morawach, na którym omówiono bole i życzenia uchodźców (załącznik 1) [2]).

Powstały również instytucje oświatowe i kulturalne. Założono z czasem szkoły, ochronki, nawet gimnazja polskie. We Wiedniu istniał przez jakiś czas także teatr polski pod dyrekcją Hellera ze Lwowa.

W listopadzie 1914 roku wobec drugiej ofenzywy rosyjskiej, zaczęły napływać nowe masy uciekinierów z Galicji. Żydzi, nękani przez Rosjan w czasie pierwszej inwazji, uciekali masami przed nimi. Terror stosowany przez wojska austrjackie na terenie operacyjnym, po ich powrocie w październiku 1914 roku, skłonił wielu chrześcjan do ucieczki do spokojniejszych okolic. Równie bezwzględnie jak bezmyślnie przeprowadzone ewakuacje, zmusiły mnóstwo ludzi do opuszczenia swoich siedzib. Na zimę roku 1914 na 1915 znalazły się już setki tysięcy uchodźców z Galicji w zachodnich krajach austrjackich. Wydawnictwa urzędowe [3]) mówią wprawdzie o około miljonie uchodźców, z tego około 600.000 pobierających zasiłki państwowe, cyfrę jednak około 400.000 zamożnych, to jest utrzymują-

---

[1]) Sprawozdanie z działalności komitetu zawiera obszerniejsza broszura pod tytułem: „Jedna z kart pracy na wychodźtwie w czasie wojny 1914—1915", Wiedeń 1915.

[2]) Przemówienie moje na tym zjeździe, aczkolwiek na ogół było raczej łagodzące — wobec wzburzenia i rozgoryczenia delegatów — uległo częściowo konfiskacie. Z tego powodu redakcja „Wiedeńskiego Kurjera Polskiego", głównego organu Polaków na uchodźtwie, gorzko się użalała na praktyki cenzuralne (załącznik 2).

[3]) K. k. Ministerium des Innern. Staatliche Flüchtlingsfürsorge. Wien 1915, str. 4, 46 i 47, tudzież „Denkschrift über die von der k. k. Regierung aus Anlass des Krieges getroffenen Massnahmen", Wien, 1915, str. 294.

Wogóle cyfry podawane w tych oficjalnych wydawnictwach, tak co do liczby uchodźców, jak też i co do wydatków poniesionych na ich rzecz przez państwo, były sprzeczne pomiędzy sobą, niedokładne i przesadne. Raz się mówiło o miljonie uchodźców niezamożnych, to jest według terminologji urzędowej, tych, którzy pobierali zasiłki państwowe („Staatliche Flüchtlingsfürsorge", strona 4), to

cych się z własnych funduszów, uważam za przesadzoną. Z początkiem czerwca 1915 wypłacano zasiłki państwowe 507.493 osobom: 169.666 Polakom, 71.690 Rusinom a 266.136 Żydom. Nadto około 40.000 Żydów przebywających na Węgrzech pobierało zasiłek od rządu austrjackiego. Była to liczba najbardziej zbliżona do maksymalnej ilości pobierających zasiłki, gdyż przed początkiem czerwca niewiele tylko osób powróciło do Galicji. Ilość „zamożnych" ocenił Dr. Leiter, znawca stosunków uchodźczych, w odczycie, który miał we Wiedniu na wiosnę r. 1915, na 145 — 150 tysięcy.

Najwięcej stosunkowo uchodźców garnęło się do stolicy, to też już w październiku 1914 burmistrz Wiednia remonstrował u przedstawicieli rządu przeciwko napływowi obcych. Władze starały się usilnie już w listopadzie 1914 o skierowanie uchodźców do miejscowości poza Wiedniem, a 10 grudnia zamknięto stolicę dla przypływu obcych. Zakaz pobytu w Wiedniu był tak ściśle przestrzegany, gdy np. przybył tam były namiestnik Galicji Korytowski, natychmiast zjawił się u niego ajent policyjny, z wezwaniem do wyjazdu (zał. 3-5).

Wiedeń z czasów wojny to już nie miłe miasto, jakie znano poprzednio, o ludności wesołej, dobrodusznej (gemütlich) o lokalnym

---

o około 600 tysiącach, jako cyfrze maksymalnej tej kategorji uchodźców (tamże strona 47), to znowu o przeciętnie 600 tysiącach, którzy pobrali przez 9 miesięcy około 150 miljonów koron zasiłku do końca czerwca 1915 („Denkschrift" str. 234), dalej o okrągło 140 miljonach (Staatl. Flüchtlingsfürsorge, str. 46) koron wydanych do końca września 1915 na uchodźców. Nagle cyfra ta podskoczyła do końca listopada 1915 — według dat ogłoszonych z okazji wystawy Opieki rządowej nad uchodźcami — do 279 miljonów, przyczem podawano fantastyczne cyfry za ciągłe przenoszenie uchodźców z miejsca na miejsce, z obozu do obozu i za koszta podróży do kraju itp. Te wszystkie niedokładności i przesady — nieznane biurokracji austrjackiej przed wojną — wytknąłem ministerstwu spraw wewnętrznych w obszerniejszem piśmie, z dnia 3 lutego 1916, którego odpis umieściłem w interpelacji, wniesionej 26 czerwca 1917, nr. 215, w parlamencie austrjackim w sprawie nadużyć przy wykonywaniu opieki rządowej nad uchodźcami. Skrytykowałem równocześnie całe urządzenie wystawy opieki rządowej nad uchodźcami. Wystawę tę urządzono w połowie grudnia 1915. Była to w rzeczywistości auto-reklama dla kierownika referatu spraw uchodźczych w ministerstwie spraw wewnętrznych radcy Marqueta, sprawiona dość wielkim stosunkowo kosztem. Z okazji tej wystawy wydano m. i. szereg broszur, a nawet wspaniałych wydawnictw, jak np. dwutomowe dzieło pod tytułem: „Flüchtlingslager Wagna und Flavia Solva", Graz w grudniu 1915, zawierające mnóstwo zdjęć fotograficznych i planów z osławionego obozu barakowego w Wagna, tudzież opisy i rysunki wykopalisk ze starożytnego miasta Flavia Solva, które niegdyś istniało na miejscu, gdzie później stanął obóz barakowy dla uchodźców. Wydawnictwo to zawierało reprodukcję starorzymskich nagrobków, ale dat, ilu polskich uchodźców pogrzebano w tej siedzibie tyfusu plamistego, niechlujstwa i głodu, w niem nie było. Krytykę wystawy — licząc się z cenzurą — umieściłem również w „Głosie Narodu" z 10 stycznia 1916. Jedyną rzeczą, mającą pewną wartość na wystawie były tablice statystyczne, ale i tu były niedokładności i przesady, np. tablica, w której podano ogólną liczbę uchodźców na miljon sto tysięcy: 500 tysięcy zamożnych, 600 niezamożnych.

patrjotyzmie wiedeńskim, bez niechęci do innych narodowości zamieszkujących Austrję, uprzejmiej dla obcych, których chętnie w swoich murach widziała.

Ogromny napływ obcych wywołał nieprzychylny, czasem nawet wprost wrogi nastrój miejscowej ludności względem nich, zwłaszcza, gdy środki żywności, odzież i przedmioty codziennego użytku — wskutek rzeczywistego braku towaru spowodowanego dłużej trwającą wojną, tudzież sztucznego podniesienia cen przez spekulację i wyzysk — znacznie podrożały.

Wiedeńczycy, przyzwyczajeni do dobrobytu, z trudnością znosili niewygody spowodowane wojną, a zwłaszcza ograniczenia w jedzeniu i piciu. Niezadowolenie swoje zwracali w pierwszym rzędzie przeciwko uchodźcom, przypisując im, że powodują drożyznę, że zjadają żywność przeznaczoną dla miejscowych, że zawlekają choroby zakaźne, a później — zgodnie z opinją rozszerzaną przez wojskowość — zaczęto ich w czambuł uważać za zdrajców. Silnie podówczas rozwinięty we Wiedniu antysemityzm odgrywał tu znaczną rolę, wobec nadmiernego napływu Żydów ze wschodnich części monarchji. Zaczęto napastować uchodźców na ulicy. Wymyślano im, a nawet bito. Odmawiano wynajmywania mieszkań i sprzedawania środków żywności.

Nietylko pospólstwo zwracało się przeciwko uchodźcom, ale także poważne instytucje i władze. I tak np. w dniu Nowego Roku 1915 jeden z najbardziej wpływowych członków Rady miejskiej wiedeńskiej, Steiner, w przemowie swojej z okazji życzeń noworocznych dla burmistrza miasta Wiednia Weiskirchnera, wyraził między innemi życzenie — wśród gorących oklasków licznych radnych — by rząd postarał się o odesłanie do Galicji (zajętej wtenczas prawie po Kraków przez nieprzyjaciela) lub umieszczenie gdziekolwiekbądź — poza Wiedniem — uchodźców z Galicji i Bukowiny, którzy przybyli po wybuchu wojny do Wiednia.

Burmisrz uznał to życzenie za zupełnie uzasadnione i obiecał gorliwą interwencję w tym względzie u rządu. W prasie polskiej postępowanie to burmistrza stolicy państwa wobec ofiar wojny ostro skrytykowano — prozą i wierszem [1]) — a gdy Weisskirchner później przybył do Krakowa, publiczność ostentacyjnem opuszczeniem kawiarni, w której przebywał, zamanifestowała uczucia, jakie żywiła dla gościnnego gospodarza miasta Wiednia (załącznik 6 i 7).

Przyznać jednak trzeba, że Wiedeń był przepełniony uchodźcami. Przebywało w nim z końcem roku 1914 i początkiem 1915 z górą 200.000 uciekinierów z Galicji. Statystyka urzędowa[2]) wykazywała w dniu 1 października 1915 jeszcze 137.000 uchodźców w Wiedniu, a to 54.800 utrzymujących się z własnych funduszów, a 82.200 pobierających zasiłek rządowy. Z tego Polaków 42.100, Rusinów 17.810, Żydów 77.090. Według źródeł urzędowych opuściło już było Wiedeń

---

[1]) N. p. wiersz w „Wiedeńskim Kurjerze Polskim" z 13 lutego 1915 pt. „Gościnność Weiskirchnera".

[2]) „Staatl. Flüchtlingsfürsorge", str. 29.

do 1 października 70.000 niezamożnych uchodźców, którzy powrócili do kraju po ofenzywie gorlickiej.

Były też między uchodźcami elementy, które nieodpowiednio się zachowywały i dopuszczały czynów karygodnych. Byli między innymi tacy, którzy trudnili się paskarstwem, co stwierdzały dość liczne aresztowania ze strony policji i rozprawy sądowe. Sprawozdania o nich umieszczały nietylko organa antysemickie, ale także pisma liberalne i socjalistyczne, z pewnością nie wrogo usposobione dla uchodźców żydowskich.

Ludność skłonna zwykle do generalizowania, przesadzała wpływ interesów paskarskich — zwykle drobnych — robionych przez żydów galicyjskich, na ukształtowanie się cen, i czyniła zarzuty ogółowi uchodźców żydowskich, gdy w rzeczywistości niewielka tylko ich część zajmowała się temi interesami, a ogromna większość zachowywała się spokojnie i nędznie wegetowała po różnych zaułkach z zapomogi rządowej.

Nie należało również zapominać, że uchodźcy pozostawiali, zwłaszcza w Wiedniu, gdzie było stosunkowo wielu zamożnych, znaczne sumy. Wspomniany już Dr. Leiter ocenił kwotę pozostawioną przez uchodźców w Wiedniu już w pierwszych miesiącach uchodźtwa, na przeszło 100 miljonów koron, licząc dzienny wydatek ludzi zamożnych tylko na 5 koron od osoby (zał. 8), co było stanowczo za nisko obliczone. Później, przy dłuższem trwaniu uchodźtwa, sumy te urosły do setek miljonów koron — jak to słusznie podnosił „Ilustrowany Kurjer Codzienny" z 11 stycznia 1916, w artykule pod tytułem „Wymowne cyfry", a przez cały czas wojny doszły do miljardowych kwot. Przeciwko spożywaniu zasiłków państwowych w Galicji, gdzie uchodźcy mogli taniej i wygodniej egzystować, bronił się stale referent ministerstwa spraw wewnętrznych, radca Marquet, odmawiając zasiłków tym uchodźcom, którzy pozostali w części kraju niezagrożonej przez nieprzyjaciela. Równocześnie jednak przyznawał znaczne sumy dla Żydów galicyjskich, zamieszkałych na Węgrzech.

Za przykładem stolicy poszły i inne miasta domagając się zamknięcia wstępu do nich uchodźcom, a nawet całe kraje, jak świadczyła uchwała styryjskiego Wydziału krajowego, powzięta z początkiem lutego 1915 na wniosek jego członka, posła Hofmana von Wellenhof. O inicjatywie jego z uznaniem wspominał główny organ wszechniemców w stolicy, „Ostdeutsche Rundschau" w artykule, w którym gwałtownie napadał na uchodźców. Zaznaczając, iż „nadzwyczajne czasy wymagają nadzwyczanych ofiar", kończył się ten artykuł zdaniem: „Gdyby się było wychodźców od samego początku umieściło w obozach koncentracyjnych, zamiast pchać ich wszędzie do próżno stojących mieszkań ileżby się przykrości, szkody i nieszczęścia zaoszczędziło" [1].

Niechęć przeważnej części ludności niemieckiej nie odnosiła się, jak to już wspomniałem, tylko do Żydów, ale do ogółu uchodźców. Także i Polakom dawano ją nieraz dotkliwie odczuwać. Zda-

[1]) Tłumaczenie tego artykułu umieszczono w „Wiedeńskim Kurjerze Polskim" z 1 czerwca 1915.

rzały się wypadki, że za samo mówienie po polsku na ulicy. bito uchodźców i wymyślano im (załącznik (9 — 12). Były także osoby wśród miejscowej ludności, które gorliwie zaopiekowały się nieszczęśliwymi wygnańcami, ale to były tylko wyjątki (załącznik 13 i 14).

Zachowanie się władz rządowych było w stosunku do uchodźców częstokroć niewłaściwe, nieraz nawet wprost bezprawne. To zabraniano im jeździć kolejami, bez specjalnego pozwolenia starostwa, to nie pozwalano im wysiadać na stacjach, to znowu zmuszano do robót polnych ludzi do tego nie nadających się. N. p. zarządzeniem starostwa w Grazu z 1 marca 1915 L. 11139. wstrzymano nagle wypłatę zasiłków wszystkim uchodźcom, dając im do wyboru albo udanie się na roboty polne, albo odesłanie do osad barakowych, Polaków do Wagna, Rusinów do Gmünd. Największem jednak bezprawiem, było przymusowe przetrzymywanie uchodźców niedomagających się wcale pomocy państwowej — i to ludzi zamożnych, którzy mogli się utrzymać z własnych funduszów, albo też tych, którzy chcieli pracować na swoje utrzymanie — pod strażą w obozach barakowych, wśród złego obchodzenia się z nimi, niedostatecznego odżywiania, haniebnych stosunków zdrowotnych, gdzie mnóstwo ich wyginęło.

Pierwsze próby osiedlenia uchodźców w obozach barakowych, poczyniono z Żydami na Morawach [1]). W pobliżu miasteczek Nikolsburg, Pohrlitz, Gaya, gdzie się było osiedliło dużo Żydów galicyjskich, wybudowano pierwsze osady barakowe dla uchodźców żydowskich. Wszystkie te osady były nieodpowiednie. Najgorszą z nich była nikolsburska, w której natłoczono mnóstwo nieszczęśliwych ludzi i gdzie najgorzej ich traktowano i żywiono.

Niebawem jednak na rozpaczliwe wołania swoich współwierców, zjechali tam posłowie żydowscy: członkowie Koła polskiego Kolischer, Löwenstein i Rauch (załącznik 17) i sjonista Reizes.

Wskutek interwencji wpływowych czynników żydowskich wypuszczono wielu uchodźców z baraków i pozwolono im się osiedlić w różnych miejscowościach, przyznając im zasiłek rządowy. W barakach zatrzymano stosunkowo niewielką tylko liczbę. Z czasem najnieodpowiedniejsze baraki w Nikolsburgu zupełnie przebudowano, w Pohrlitz i w Gaya poprawiono i wogóle stosunki w obozach barakowych znacznie polepszono. Dobremi te stosunki, co prawda, nigdy nie były, jednak przecież z czasem, lepszemi, jak w osadach dla chrześcijan-Polaków. Osadami barakowemi dla Żydów interesowałem się, m. in. z tego powodu, iż przebywali tam uchodźcy z mojego okręgu wyborczego, o których wydobycie się starałem (zał. 18).

Późniejsze wyjątkowe traktowanie Żydów pod względem umieszczenia ich w barakach, wykazywały już dane urzędowe [2]) z czerwca 1915 roku: przeznaczono pomieszczenie w barakach dla 50 tysięcy Polaków, 40 tysięcy Rusinów a tylko dla 23 tysięcy Żydów — z tego 3 tysiące w nowo zbudowanych, całkiem dobrych barakach w Bruck an der Leitha — chociaż Żydzi tworzyli znaczną większość uchodźców.

---

[1]) „Staatliche Flüchtlingsfürsorge", str. 10.

[2]) „Denkschrift", str. 294.

Nieliczni Niemcy, niemal wyłącznie chłopi koloniści ze wschodniej Galicji, mieli wyjątkowo uprzywilejowane stanowisko wśród uchodźców, i bardzo wydatną pomoc rządową. Umieszczono ich po wsiach w krajach alpejskich, a gdy przypadkiem, któryś się zabłąkał do osad barakowych, natychmiast go stamtąd wydobywano. Ministerstwo spraw wewnętrzych miało później zamiar skłonienia ich do osiedlania się w Styrji lub w Karyntji w okolicach słoweńskich, dla wzmocnienia tamtejszego żywiołu niemieckiego. List pastora Zoecklera ze Stanisławowa, w którym omawiał ten projekt, — nieprzychylnie, gdyż chciał kolonistów niemieckich zatrzymać w Galicji — dostał się przypadkowo do rąk polityków słoweńskich i sprawa ta stanowiła później przedmiot interpelacji tych posłów w parlamencie [1]).

Przeważną część Rusinów umieszczono w osadach barakowych. Pierwsze osady w Styrji i Karyntji były nieodpowiednie i grasował tam tyfus plamisty. Nowa osada w Gmünd w Dolnej Austrji, obliczona na 30 tysięcy osób, była odpowiedniej zbudowaną — systemem mniejszych baraków na 200 osób — i urządzoną, jak „polskie" baraki w Wagna i Chocni.

Te „polskie" baraki poznałem w końcu listopada 1914 r.

II.

Po zajęciu ponownem Tarnobrzega przez Rosjan, w pierwszych dniach listopada 1914, udałem się do Krakowa. Parlament był zamknięty, mój okręg wyborczy zajęty przez nieprzyjaciela. Byłem więc chwilowo „bezrobotny", co mi się nieczęsto w życiu zdarzało. Flanowałem więc po Krakowie i przyglądałem się jego życiu, a raczej wymieraniu. Widok Krakowa w owych czasach nie był wesoły. Tysiące mieszkańców obawiając się zamknięcia w oblężonem mieście — a między innymi i prezydjum miasta z prezydentem Leo na czele — o co go niektóre dzienniki atakowały — opuściło dobrowolnie Kraków, dziesiątki tysięcy uboższej ludności ewakuowano przymusowo. Pod kontrolą wojskową odbywały się rewizie po mieszkaniach dla zbadania, czy kto posiada przepisane środki żywności na conajmniej trzy miesiące. Kto ich nie posiadał, musiał bezwarunkowo miasto opuścić. Władze wojskowe pilnowały bezwzględnego przeprowadzenia ewakuacji. Ewakuowanych pod eskortą wojskową umieszczano w pociągach ewakuacyjnych, pilnując, by nie uciekli, a właścicielom domów zagrożono wysokiemi grzywnami na wypadek gdyby nie donieśli o lokatorach niestosujących się do zarządzeń ewakuacyjnych (zał. 19 i 20). Wielu Krakowian bardzo niechętnie wyjeżdżało, jak gdyby przewidując, co ich czeka na wygnaniu. Zresztą nadchodziły już wiadomości o nieszczęsnej doli ewakuowanych na obczyźnie, a w niektórych dziennikach krakowskich [2]) pojawiły się alarmujące artykuły — pokiereszowane przez cenzurę — o pomieszczeniu ewakuowanych w barakach. Opowiadano o staruszkach, któ-

---

[1]) Interpelacja nr. 842 z r. 1917.

[2]) „Głos Narodu" z 4 listopada 1914, „Nowa Reforma" z 9 listopada 1914.

re ze wzruszenia i żalu umarły, gdy im przychodziło opuszczać siedziby, gdzie spędziły całe życie. I w najbliższej okolicy Krakowa panowała rozpacz, gdyż wojsko — zupełnie niepotrzebnie — zrównało z ziemią całe wsie, oddając tysiące mieszkańców na pastwę nędzy. Smutno, pusto, i głucho było więc w Krakowie. Wieczorami z daleka dochodził huk dział. Ulice prawie zupełnie opustoszały. Pamiętam wśród ciszy wieczornej rozdzierający krzyk kobiety, wiezionej przez dwóch agentów do więzienia św. Michała. Zapewne podejrzana o szpiegostwo lub „politycznie niepewna".

Wśród tej niewesołej bezczynności, nagle został mi wytknięty pewien kierunek pożytecznego zajęcia. Zjawił się u mnie w imieniu ks. biskupa Sapiehy jeden z księży i prosił o zajęcie się ewakuowanymi do baraków choceńskich mieszkańcami Krakowa, od których książe biskup otrzymywał rozpaczliwe listy ze skargami na straszne stosunki, wśród których byli pomieszczeni i z prośbą o pomoc. Wyjechałem więc do Chocni.

Miasteczko to ładnie położone we wschodnich Czechach, przedstawiało, jak wogóle całe Czechy, obraz spokoju i dobrobytu, niezwykły już dla tego, kto przybywał z Galicji, podówczas już bardzo zniszczonej przez wojnę. Zupełnie inny jednak widok, przedstawiało powstałe o kilometr od miasta na terenie zalewowym, nowe miasteczko barakowe, obóz uchodźczy choceński. Na bezużytecznem trzęsawisku, wydzierżawionem przez rząd, za drogie pieniądze, od jakiegoś właściciela fabryki, stawiano na gwałt kilkadziesiąt ogromnych, jednopiętrowych baraków z desek, z których każdy był obliczony na 258 osób. Gdy pierwsze transporty uchodźców przybyły do Chocni — 20 października 1914 — rozpoczynano budowę baraków. W czasie gdy tam przybyłem, koło 25 listopada, zaledwie kilka było na prędce skleconych. Mieściło się w nich około 3.000 ludzi i panowało wielkie przepełnienie. Prócz trochę słomy, nie było w barakach żadnego urządzenia. Każdy barak był poprzedzielany oszalowaniem na półtora metra wysokości, na przedziały obliczone każdy na 4 osoby. Ponieważ baraki były przepełnione, wypełniano szczelnie przedziały. Stąd nieraz w jednym przedziale przebywała uczciwa kobieta z dorastającą córką, razem z notowanym złodziejem i jego kochanką, dziewczyną lekkich obyczajów. W innym matka ze zdrowem jeszcze dzieckiem, a obok druga kobieta z dzieckiem chorem na zakaźną chorobę i t. p. Przyborów do mycia nie było, tylko pompy. Wśród dotkliwego zimna, trudno było mężczyznom myć się przy pompach, a cóż dopiero kobietom i to na publicznym widoku. To też brud był wielki. Wkrótce zagnieździło się robactwo. W razie pożaru, prawdopodobnie mało kto z mieszkańców pierwszego piętra byłby ocalał, gdyż istniały w każdym baraku tylko jedne wąskie wewnętrzne schody drewniane. Podłóg na I piętrze nie uszczelniono, więc nieraz stamtąd spływały nieczystości na mieszkańców przyziemia. W zimnie, zadusze, na samej słomie, bez żadnych nakryć, w bieliźnie niepranej od tygodni, w ubraniach obszarpanych, w przedziałach nie zaopatrzonych zasłonami, w których całe życie odbywało się publicznie, w największym ścisku, mieściły się osoby z inteligencji, uczciwe rodziny mieszczańskie, włościańskie i robotnicze razem

z mętami społecznemi. Wiele dzieci w gorączce leżało wśród zimna. Brakowało najniezbędniejszych urządzeń hygienicznych. Skarg, żalów, płaczu, bez końca. Matki pytały o dzieci, które pogubiły, dzieci o rodziców, wszyscy narzekali na głód i zimno, i prosili o wypuszczenie z baraków. Przejmujący obraz niedoli ludzkiej! Przybywałem z kraju zalanego krwią i ogarniętego pożogą, widziałem pobojowiska, spalone wsie i miasteczka, jednak ta nędza naszych uchodźców wśród spokojnych okolic, które nie zaznały co wojna, robiła smutniejsze niemal wrażenie, jak teren toczącej się walki.

Pierwszy zaopiekował się kolonją choceńską książę biskup krakowski, ks. Sapieha i przysłał księży dla niesienia pomocy moralnej i materjalnej, a zakonnice dla opieki nad dziećmi i chorymi.

Po zwiedzeniu baraków udałem się do Pragi do namiestnictwa dla uzyskania ulepszeń. Szef prezydjum zapytał mnie przedewszystkiem, jak mogłem zwiedzić baraki nie mając na to pozwolenia. Odpowiedziałem, że jako poseł mam chyba prawo do odwiedzania wyborców, a ponieważ niektórzy z nich znajdowali się w barakach, więc ich odwiedziłem. Przedstawiłem mu następnie, również jak i referentowi, staroście Jance, stosunki w osadzie choceńskiej. Obaj obiecali postarać się o ich poprawę.

Z okazji bytności w Pradze, zwiedziłem osadę uchodźczą na Petrzynie, gdzie w starych kazamatach wojskowych, umieszczono kilkuset uchodźców. Było tam o tyle lepiej jak w Chocni, że im zimno tak bardzo nie dokuczało. Stosunkowo najlepszą jeszcze masową kwaterą była stara rudera miejska, na ulicy Młynarskiej, w środku miasta, gdzie około 100 uchodźców przebywało w mieszkaniach, co prawda bardzo lichych i brudnych. W Pradze, gdzie była liczna kolonja polska, sekretarjat czesko-polski, pod kierownictwem znanego przyjaciela Polaków, Hovorki, oddał uchodźcom pewne usługi. Wiele osób, że wspomnę między innemi długoletniego później prezesa klubu czesko-polskiego, p. Fuhrlicha, opiekowało się nimi. Były dość poważne świadczenia in natura ze strony ludności dla uchodźców umieszczonych w Petrzynie i przy ulicy Młynarskiej.

Nieraz w Czechach, a zwłaszcza na Morawach ludność okazywała współczucie naszym uchodźcom i udzielała im pomocy — pomimo różnicy zapatrywań na kwestję rosyjską. Natomiast o urzędnikach czeskich, z którymi się zetknąłem z okazji spraw baraków choceńskich, nie mogę nic dodatniego powiedzieć.

Pożyteczną polską instytucją w Pradze, była tania kuchnia dla uchodźców, założona przez stowarzyszenie pań św. Wincentego a Paulo, pod przewodnictwem p. Krzeszowej.

Powróciwszy do Wiednia, udałem się w pierwszych dniach grudnia razem z prof. Uniw. Jagiell. ks. Kaczmarczykiem, — który jako delegat księcia biskupa Sapiehy był również zwiedził osadę choceńską — (zał. 21) do referenta spraw uchodźczych w ministerstwie spraw wewnętrznych radcy sekcyjnego Marqueta, któremu przedstawiliśmy stan rzeczy w Choczni, i nasze żądania, przedewszystkiem uwolnienia wychodźców z baraków i przyznania im zasiłku państwowego. Radca Marquet, oświadczył, że to niemożliwe, albowiem rząd nie na to buduje baraki, by uchodźcy w nich nie mieszkali. Za-

znaczył przytem, że rząd ma prawo umieszczać tych, którym udziela pomocy, tam, gdzie to uzna za stosowne. Żądaliśmy zatem uwolnienia przynajmniej tych, którzy tej pomocy rządowej nie potrzebują, a zaprowadzenia dla reszty ludzkich warunków egzystencji. P. Marquet obiecał zadość uczynić tym żądaniom. Przesłałem mu 4 grudnia 1914 memorjał w tej sprawie.

Radca von Marquet, był wszechwładną osobistością w sprawach uchodźczych. Młody, zdolny, energiczny urzędnik, umiał zagarnąć wszystkie sprawy uchodźcze w swoje ręce. Robił wszystko — stosując się oczywiście w niektórych sprawach do żądań wojskowości — według swojego widzimisię. Człowiek bezwzględny, bez żadnewspółczucia dla nieszczęśliwych ofiar wojny, w szczególności odnosił się z niechęcią do Polaków. Marquet był zdecydowanym zwolennikiem systemu barakowego, chociaż nie uważał za stosowne przez długi przeciąg czasu zwiedzić chociażby tylko jeden obóz barakowy.

Wkrótce po moim powrocie do Wiednia, doszły mnie wiadomości o strasznych stosunkach panujących w obozie dla internowanych w Thalerhofie i więzieniu w nim wielu niewinnych ludzi.

Udałem się więc do Koła polskiego, by domagać się jego interwencji dla uchodźców w Chocni i internowanych w Thalerhofie. Koło polskie, na pierwszych swoich zebraniach po wybuchu wojny, w pierwszych dniach października i listopada 1914, zajmowało się sprawą uchodźców. Później jednak przez długi czas wcale się nie zbierało i nie dawało znaku życia. Zapadło w zupełną prostrację. Gmach parlamentu, a wraz z nim i lokal Koła polskiego, oddano na użytek wojskowości — na lazaret dla rannych. Wynajęto więc dwa pokoje w hotelu Müller na Grabenie, w których się zbierali członkowie Koła przebywający w Wiedniu. W jednym była czytelnia, w drugim grano w karty. Zastałem w tym lokalu kilku posłów. Opowiedziałem im co widziałem i słyszałem o obchodzeniu się z ludnością polską w kraju, w Chocni i w Thalerhofie. W czasie mojego opowiadania jeden z posłów wstał i oświadczył, że ma za słabe nerwy, by tego słuchać. Rzekł i poszedł do drugiego pokoju grać w bridge'a. Drugi, zacny staruszek, ale wielki strachajło, półgłosem zwrócił mi uwagę, że ściany mają uszy i że krytyką moją i ujmowaniem się za ludźmi podejrzanymi o zdradę, mogę narazić siebie i innych na nieprzyjemności. (Uwzględnić trzeba, że w tym czasie 11 posłów było uwięzionych, między nimi jeden Polak, Zamorski). Trzeci począł mi czynić wyrzuty, że opowiadaniami mojemi zwiększam tylko przygnębienie ludzi, którzy przyszli nieco rozerwać się z ciężkich trosk, które ich trapią. Dałem ostrą odpowiedź i wyszedłem. Pojechałem do Krakowa. Na zebraniu posłów „Piasta" znalazłem inne zrozumienie dla tych spraw. Ci posłowie byli często świadkami, a czasem i ofiarami nadużyć popełnianych przez wojsko i poznali całą niedolę ludności.

Nastroje, jakie podówczas wśród nich panowały, odzwierciadlał memorjał pióra Włodzimierza Tetmajera, przesłany nieco później prezydjum Koła polskiego (zał. 22). Gdy nadto kilku z tych posłów zwiedziło baraki w Wagna pod Libnicą i przekonało się o nieludzkiem obchodzeniu się z uchodźcami polskimi, wysyłaniu ich na



roboty przy okopach w Serbji, gdzie ich znaczna część wyginęła — o czem później obszerniej pomówię — wzmogło się jeszcze oburzenie w Klubie P. S. L. Klub zażądał od prezesa Lea zwołania Koła polskiego, którego bezczynność poddawano już publicznej krytyce (załącznik 23).

Na zebraniu, które się odbyło we wspomnianym lokalu hotelu Müller w końcu stycznia 1915, posłowie z „Piasta" przedstawili niezmiernie ciężkie położenie kraju, nękanie mieszkańców rekwizycjami, które częstokroć nie były niczem innem, jak rabunkiem, znęcanie się wojska nad ludnością, niepotrzebne ewakuacje i ciężką dolę ewakuowanych, egzekucje, aresztowania i internowania przeważnie niewinnych ludzi. Pod względem politycznym wskazywano na zupełny upadek wpływów Koła polskiego, o czem świadczyła m. in. dokonana właśnie w tym czasie, nominacja Zdzisława Morawskiego — najzacniejszego zresztą człowieka — na ministra dla Galicji, bez porozumienia się z Kołem polskiem, wbrew wszelkim dotychczasowym tradycjom w tym względzie. Ostro atakowano prezydjum Koła za jego bezczynność i niezwoływanie nawet posłów dla naradzenia się nad sytuacją i nad sposobami przyjścia z pomocą krajowi. Prezes Leo w największem przygnębieniu słuchał wszystkich zarzutów. Ten człowiek silny, pełen energji i inicjatywy jeszcze na początku wojny, po kilku osobistych niepowodzeniach — zatargach z wojskowością, usunięciu z prezydentury miasta Krakowa — zniechęcony bezsilnością swoją wobec rządu, znękany również sytuacją wojenną, bardzo podówczas niepomyślną, gdyż Rosjanie byli blisko Krakowa, stracił wiarę w siebie i w zdolność kierowania nadal Kołem polskiem. Nie starał się utrzymać na stanowisku prezesa Koła, lecz widząc, że najsilniejsze podówczas stronnictwo polskie jest przeciwko niemu (zał. 24), a inni albo go słabo bronią, albo nie bronią wcale, zgłosił natychmiast swoją rezygnację.

Po rezygnacji Dra Lea, która ogłoszoną została w dziennikach 1-go lutego 1915, wysunął Klub „Piasta", z inicjatywy posła Mikołaja Reya, kandydaturę byłego wspólnego ministra skarbu Bilińskiego, na prezesa Koła polskiego. Wybór ten był nadzwyczaj trafny. Niezwykłe zdolności i doświadczenie polityczne, wielkie umiarkowanie, umiejętność łagodzenia sporów i jednania sobie ludzi, stanowczość i wytrwałość dla przeprowadzenia zamierzonego celu, przy nader miłych formach, ogromna pracowitość, cechowały tego wybitnego męża stanu. Biliński miał wyrobione stosunki wśród najbardziej wpływowych czynników w państwie i cieszył się wyjątkowem zaufaniem monarchy. Jako prezes Koła polskiego, Biliński osiągnął z pewnością maximum tego, co w ówczesnych nader trudnych warunkach można było uzyskać dla Polaków w Galicji pod względem finansowych świadczeń rządu na odbudowę i inne potrzeby strasznie zniszczonego kraju, tudzież ukrócenia dokuczliwości i bezprawia ze strony władz wojskowych i cywilnych. Do zasług jego należało polepszenie doli uchodźców, a w szczególności najnieszczęśliwszych pomiędzy nimi: tych, których umieszczono w osadach barakowych.

W czasie obrad Koła, które odbywały się od 20 do 23 lutego po wyborze prezesa Bilińskiego, uchwalono szereg wniosków doty-

czących naprawy stosunków w kraju, tudzież wniosek posła Krogulskiego, zawierający protest przeciwko wystąpieniu burmistrza miasta Wiednia Weisskirchnera. Uchwalono również szereg moich wniosków w sprawie uchodźców i internowanych (zał. 25 i 26). Wybrano także cztery komisje dla załatwienia najważniejszych i najpilniejszych spraw, pomiędzy niemi komisję dla spraw uchodźczych. Przewodniczącym komisji wybrano wiceprezydenta Izby poselskiej Germana, a jego zastępcą posła Kędziora, referentem mnie. Komisja w pierwszych tygodniach swego istnienia rozwinęła dość żywą działalność.

Na jednem z posiedzeń otrzymała Komisja od radcy Marqueta w najważniejszych sprawach, dotyczących uchodźców, szereg obietnic, których nie dotrzymał (zał. 27).

Jednem z głównych zadań Komisji było, by uchodźców, żyjących dotychczas po gminach ze szczupłego zasiłku państwowego, nie przesiedlano przymusowo do obozów barakowych. Uchodźcy ci zwracali się z błagalnemi prośbami do Koła polskiego i do poszczególnych posłów, by ich obroniono przed tem nieszczęściem. Zwłaszcza rodzice obawiali się o los swoich dzieci i to zupełnie słusznie. Zimno i zaducha, niedostateczny i zły wikt, brud i robactwo, choroby zakaźne, panujące w tego rodzaju niehygienicznych środowiskach, czyniły pobyt w obozach barakowych w najwyższym stopniu szkodliwym dla zdrowia starszych, a wprost zabójczym dla dzieci (zał. 28).

Ujemne strony systemu obozów koncentracyjnych, znane były jeszcze z czasów wojny Anglików z Boerami, a stosunki, jakie tam panowały, wywołały swojego czasu oburzenie w prasie europejskiej. Pocóż więc było ten system zastosowywać dla własnych spokojnych obywateli, którzy szukali schronienia przed nieprzyjacielem w krajach niedotkniętych wojną. Wielu z nich opuściło dobrowolnie swoje strony rodzinne, oddając cały swój dobytek na łup nieprzyjaciela, gdyż nie chcieli nawet czasowo pozostać pod jego panowaniem, innych zmuszono do ewakuacji. Gościnę znaleźli w... barakach.

Umieszczono przymusowo w barakach wiele osób, które wcale nie domagały się zaopatrzenia od państwa i miały dostateczne środki na swoje utrzymanie. Umieszczono tam bardzo wiele rodzin rezerwistów i pospolitaków, powołanych do czynnej służby. Rodzinom tym należał się w myśl ustawy z dnia 26 grudnia 1912, Dz. p. p. l. 237, zasiłek wojskowy. Od wymierzonego zasiłku odciągano kwotę 70 halerzy dziennie od osoby, za utrzymanie w barakach, tak, że członkowie tych rodzin zwykle nic nie otrzymywali, albo też w nielicznych wypadkach tylko po kilka halerzy. Postępowanie takie było oczywistem obejściem ustawy, która przepisywała wypłacanie zasiłku wojskowego w gotówce, ale nie przewidywała wcale użycia go na pokrycie kosztów przymusowego pobytu rodzin żołnierzy w barakach. Niejednokrotnie zwracali się do mnie żołnierze kartkami pisanemi z frontu, z zażaleniami na tego rodzaju postępowanie z ich rodzinami.

Spory zastęp funkcjonarjuszy państwowych z rodzinami, pobierających stałe, chociaż skromne płace, oficjantów kancelaryjnych, woźnych itd., również jak i kolejarzy, znalazł się także — oczywiście wbrew ich woli — w barakach.

Umieszczenie uchodźców w barakach, o ile dotyczyło niezamożnych, ale spokojnych elementów, było niewłaściwem i niepotrzebnem, zaś tych, którzy się nie domagali pomocy państwowej, wprost bezprawiem. Dla państwa powodowało ono znaczne a niepotrzebne koszta, a pod względem politycznym było szkodliwem. Pobyt uchodźców w barakach kosztował państwo znacznie więcej jak wypłacanie im zasiłku w kwocie 70 halerzy dziennie na osobę. W Chocni np. kosztowało żywienie jednej osoby na wiosnę roku 1915 — 70 halerzy, a w Libnicy od 1 maja 1915 — 85 hal. dziennie. Jeżeli się do tego doliczy bardzo znaczne koszta administracji i miljony wydane na budowę baraków, okaże się ogromna nadwyżka wydatków. Wdzięczności dla państwa z pewnością nie pozyskano u uchodźców umieszczonych w barakach, przeciwnie, wywołano u nich ogromne rozgoryczenie. Więc „cui bono?"

Jedynie różni spekulanci, począwszy od tych, którzy rządowi drogo wydzierżawiali nieużyteczne grunta, dalej przedsiębiorcy budowlani, dostawcy odzieży, przedsiębiorcy żywienia uchodźców itp. zyskiwali na barakach. Tracili na tym systemie: uchodźcy i państwo.

Jednym z tych dostawców był znany później finansista Bosel, który w czasie wojny z współwłaściciela małego kramika, dorobił się wielomiljonowej fortuny. Jedną z podstaw jego szybkiego wzbogacenia się, było dostarczanie lichej odzieży dla uchodźców, o co interpelowałem w parlamencie [1]).

P. Bosel był protegowanym radcy Marquet'a, którego z powodu oddania Boslowi dostaw na niezwykle korzystnych dla niego warunkach, atakowano nawet w poważnych dziennikach. Między innemi „Arbeiterzeitung" z 23 września 1917 wskazywała na to, że p. Marquet założył centralę odzieżową przy ministerstwie spraw wewnętrznych, że oddał główne dostawy za kwotę 150 miljonów koron p. Boslowi, przyznając mu za zakupiony towar 6 proc. prowizji. W interesie p. Bosla było zatem kupować jak najwięcej i jak najdrożej. Zakupiony towar był nieraz tak lichy, że go nie rozdawano nawet uchodźcom, lecz składano tylko w większych ilościach w magazynach.

Wkrótce po wojnie olbrzymia fortuna p. Bosla równie szybko znikła, jak była wyrosła.

Podczas gdy uchodźcy, przebywający poza barakami, starali się usilnie, by ich tam nie umieszczono, to znowu mieszkańcy baraków błagali o uwolnienie ich z tych przybytków nędzy i choroby. Wskutek licznych skarg, jakie otrzymałem, udałem się w styczniu 1915 r. do osad barakowych w Chocni i Wagna pod Libnicą. W barakach choceńskich stosunki znacznie się były poprawiły od czasu moich pierwszych odwiedzin w listopadzie 1914: mieszkańców baraków zaopatrzono w sienniki i koce, a po części także w ubrania, bieliznę i buty. W przedziałach dano zasłony. Stanął szereg ważnych budynków: kościół, który był wielką pociechą dla pobożnej naszej ludności w jej strapieniach — przy kościele „proboszcz choceński", ks.

---

[1]) Interpelacja nr. 215 z roku 1917.

Słowiaczek i 3 innych księży. Ukończono budynek szpitalny z oddziałem dla chorób zakaźnych, łazienkę, pralnię. Otwarto 4-ro klasową szkołę z kilkunastu siłami nauczycielskiemi z Galicji pod kierownictwem p. Molisaka, ochronkę dla małych dzieci pod opieką 5 zakonnic, szwalnię, zatrudniającą około 50 dziewcząt, którą się specjalnie zaopiekowała żona kierownika zarządu, p. Wallesowa. Ówczesny kierownik zarządu baraków, sekretarz namiestnictwa w Pradze, ś. p. Walles, człowiek taktowny i ludzki, cieszył się sympatją i poważaniem uchodźców (zał. 29), z którymi, władając językiem polskim, bezpośrednio się porozumiewał. W około 30 barakach znajdowało się w połowie stycznia 5400 osób, nie było więc mowy o przepełnieniu. Gdyby nie zimno w barakach, tudzież niedostateczny i niesmaczny wikt, to stosunki byłyby znośne. Z tego powodu marszałek krajowy p. Niezabitowski, który zwiedził baraki w połowie stycznia, był z lustracji względnie zadowolony.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół w osadzie barakowej w Chocni. Nabożeństwo odprawia ks. Słowiaczek. Kierownik osady nadkom. Walles w uniformie.

Niestety w lutym i marcu zaszły zmiany na gorsze. W miesiącach tych zarządziło ministerstwo spraw wewnętrznych masowe przesiedlenie uchodźców, którzy dotychczas spokojnie żyli z 70 halerzowej zapomogi rządowej po miastach, miasteczkach i gminach wiejskich w Czechach, do osad barakowych. Postępowano tu z całą bezwzględnością: Przesiedlano osoby, które nie prosiły wcale o zasiłek państwowy i miały środki na swoje utrzymanie, rodziny pobierające zasiłek wojskowy, robotników, którzy znaleźli już pracę i zarobek, dalej chorych, kobiety wkrótce po połogu itd. Właśnie przed robotami wiosennemi zabrano do baraków wielu rolników i robotni-

ków rolnych. Interwencje u władz o pozostawienie uchodźców w dotychczasowem ich miejscu pobytu skutkowały tylko w nielicznych stosunkowo wypadkach, przeważnie były one jednak bezskuteczne. W niektórych dziennikach pojawiła się stała rubryka pod tytułem „Wołają o pomoc", zawierająca wzmianki o telegramach i listach uchodźców, proszących o nieodsyłanie ich do baraków.

W krótkim czasie wzrosła liczba mieszkańców baraków choceńskich w trójnasób. Z początkiem kwietnia wynosiła ona 16353 osób. Wzrosła też bardzo i śmiertelność: od października do końca grudnia 1914 umarło 79, w styczniu i lutym razem 147, w marcu już 247, a w kwietniu 331 — z tego 273 dzieci poniżej 6 lat.

Do Koła polskiego, Wydziału Krajowego itd. zaczęły napływać liczne skargi nietylko mieszkańców baraków, ale także osób nie interesowanych bezpośrednio, jak np. rzeczowe wywody benedyktyna ks. Dąbrowskiego [1]) itd. Wskutek tych zażaleń udałem się — tym razem z posłem Białym — uzyskawszy z ministerstwa spraw wewnętrznych po pewnych trudnościach pozwolenie zwiedzania baraków — do Chocni. Zwiedziliśmy osadę barakową od 8 do 10 kwietnia. Zastaliśmy stosunki rzeczywiście niepomyślne. Przedstawiały się one, według obszerniejszego sprawozdania o osadach barakowych, które przedłożyłem prezydjum Koła polskiego w dniu 2-go czerwca 1915 [2]) w sposób następujący:

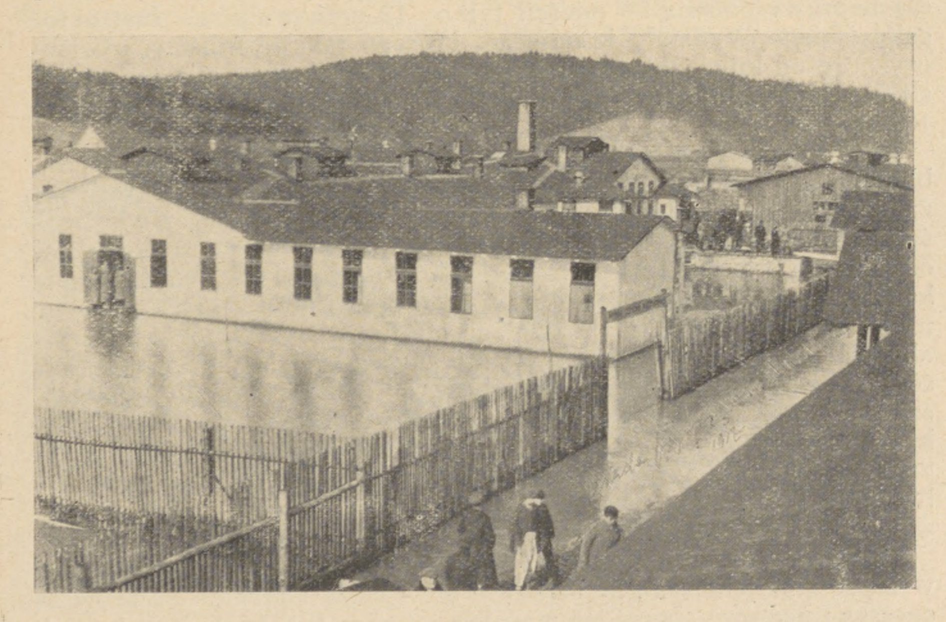
„Wikt był niedostateczny i zły, małe dzieci otrzymywały zamiast przepisanego litra, tylko pół litra mleka, a jak rodzice twierdzili, częstokroć nawet tylko ćwierć litra. Dzieci od 3-go roku życia otrzymywały podobnie jak dorośli na śniadanie czarną kawę, a na kolację herbatę z rumem. Rumu jednak było tak mało, że na szczęście nie mógł szkodzić organizmom dziecięcym. W marcu były dnie, w których nie dawano wychodźcom wcale chleba. Polewka była bardzo niedobra, a knedle z jakiejś czarnej gliniastej masy, usprawiedliwiały nazwy szrapneli, jaką im uchodźcy nadali. Działały wprawdzie powolniej od tych ostatnich, ale przecież dla zdrowia szkodliwie. Mieszkańcy baraków, którzy mieli jeszcze jakieś fundusze, kupowali sobie środki żywności w okolicznych miasteczkach. Później jednak — jeszcze przed wejściem w życie ogólnych ograniczeń — zabroniono im kupować chleba i wyrobów mącznych pod karą aresztu (zał. 30). Wiktowanie uchodźców miał powierzone p. Opel, dzierżawca jednej z największych restauracji w Pradze, który tylko dojeżdżał do Chocni, tymczasem personel magazynowy i kuchenny robił na miejscu co chciał, obchodził się nadto częstokroć gburowato z uchodźcami, a na zażalenia na wikt odnosił się o „zrobie-

---

[1]) Przytoczyłem je w całości jako załącznik nr. 15 w mojej interpelacji, wniesionej w parlamencie w sprawie uchodźców nr. 215, o której już wspomniałem.

[2]) Sprawozdanie to powielone zostało przez Komitet opieki moralnej dla wychodźców wojennych w 30 egzemplarzach, które rozesłano pomiędzy instytucje i osobistości interesujące się losem uchodźców. Na niektóre ustępy tego sprawozdania powołał się były minister Głąbiński w artykule, umieszczonym w październiku 1916 w „Kurjerze Lwowskim" pod tytułem „Przeciw barakom".

nie porządku" do żandarmów. Żalących się zbyt natarczywie zamykano do aresztów. Nowy kierownik zarządu baraków, radca namiestnictwa Blaha, wprowadził w kolonji barakowej wielki rygor, uzasadniony wobec szumowin społecznych, bardzo dotkliwy jednak dla przeważnej części mieszkańców baraków, ludzi spokojnych i porządnych. Skarżono się na częste wymyślania ze strony personelu barakowego, ubliżanie godności narodowej naszych uchodźców, a nawet i bicie. Dostanie się do aresztów było nadzwyczaj ułatwione. Dostęp do zarządu był nader utrudniony. Kierownik, nieumiejąc po polsku, z trudnością tylko mógł się bezpośrednio porozumieć po czesku z mieszkańcami baraków. Wiele słusznych żądań i zażaleń wskutek tych stosunków nie załatwiano.



Osada choceńska w czasie wylewu.

Stosunki sanitarne w tej osadzie, założonej na bagnisku, były fatalne, zwłaszcza wśród dzieci panowała wielka śmiertelność i grasowały choroby. Lekarze bardzo rzadko odwiedzali baraki, chorych kazali przynosić do badania do szpitala, przyczem wiele dzieci na słocie i zimnie jeszcze gorzej się przeziębiało. W baraku 23 bardzo brudnym i zaniedbanym, którego część była przeznaczona dla nieuleczalnych kalek, obłąkanych, kretynów itp. — m. in. jakaś idjotka wykrzykująca nieprzyzwoitości — w drugiej części mieściły się rodziny z dziećmi, — oświadczono nam, że lekarz był tam raz tylko w ciągu sześciu tygodni. W baraku 27, pomimo kilku wypadków śmierci, które tam zaszły wśród dzieci, lekarz się nie pokazał. Wszędzie skarżono się na brak dezynfekcji, niektóre matki twierdziły, że dzieci ich leżeć musiały na siennikach, na których przebywali poprzednio chorzy na szkarlatynę, wskutek czego także się tej choroby

nabawiły. Potwierdzały to wiarygodne osoby z Komitetu. Trudno było uzyskać przyjęcie do szpitala. Ojciec posła Wityka [1]), ciężko chory, prosił o przeniesienie do szpitala, nie uzyskał tego jednak i umarł w zaniedbaniu w barakach. Po barakach leżało wszędzie dużo chorych ludzi. Ustępy były w obrzydliwym stanie, używane wspólnie przez mężczyzn i kobiety. Wszędzie żalono się na brak mydła. Wielu mieszkańców baraków chodziło boso i w łachmanach.

Szwalnia była niewystarczająca, mogło się w niej pomieścić około 50 dziewcząt, podczas gdy zgoszeń było 650. Zarząd baraków nie dostarczał ani maszyn do szycia, ani przyborów. Za roboty wykonane dla baraków nic nie płacono. Warsztat krawiecki nie był w ruchu, znajdował się w nim jakiś skład. Warsztat szewski — tylko dla naprawy obuwia — mieścił tylko 12 pracowników. Instruktor galicyjskiego Wydziału krajowego, którego tam zastaliśmy, oświadczył, że od kilku dni zaprzestano roboty, bo zarząd nie dostarczył skóry. Nadto brak było narzędzi. Do warsztatu tego zgłosiło się było 102 szewców.

W czasie wędrówki po barakach otaczał nas tłum uchodźców, błagając o wypuszczenie ich z baraków. Było kilka osób, które nie żądały i nieotrzymały zapomogi rządowej i były w stanie z własnych środków się utrzymać, a które przecież przymusowo do baraków odstawiono. Franciszek Nowakiewicz wykazał się wobec mnie książeczkami galicyjskiej Kasy oszczędności na 10.000 koron, nie mógł jednak uzyskać pozwolenia na wyjazd do Wiednia, dla zrealizowania tej kwoty. Było dalej kilkanaście rodzin nauczycielskich, seminarzystki, kilkunastu akademików, stukilkudziesięciu studentów szkół średnich, którzy marnieli fizycznie i moralnie w barakach, kilkunastu funkcjonarjuszy państwowych z rodzinami, kilkadziesiąt rodzin kolejarzy. Superarbitrowani żołnierze i legioniści — legionistów było 60 do 70 — w obszarpanych uniformach, prosili o wypuszczenie z baraków i przyznanie zasiłku, wielu prosiło tylko o pracę.

Setki żon rezerwistów i pospolitaków żaliło się ze łzami w oczach, że podczas gdy mężowie ich walczą i przelewają krew za cesarza i państwo, dzieci ich marnieją i giną w barakach. Rezolutniejsze oburzały się, że odbiera się im należny zasiłek wojskowy, przetrzymując je wbrew ich woli w barakach. Wiele osób wykazywało się zamówieniami do pracy, niektóre na korzystnych warunkach, nie mogły uzyskać zwolnienia z baraków, traciły darmo czas i sposobność do zarobku. Inni chcieli powrócić do powiatów: chrzanowskiego, bialskiego, wadowickiego, myślenickiego itd., z których pochodzili. Chociaż jeszcze w styczniu uznano powrót do tych powiatów za dopuszczalny, jednak w marcu i kwietniu odmawiał zarząd baraków pozwolenia do powrotu, jak np. majstrowi szewskiemu Józefowi Traczowi z Trzebini rezolucją z dnia 22 marca 1915, L. 4022, „gdyż obecnie powrót uchodźców do powyższej miejscowości jest jeszcze wzbroniony". Gdy zapytałem o powód, wskazano mi na reskrypta ministerjalne o podobnem brzmieniu. Niektóre osoby wykazywały się listami od zamożnych członków rodziny, którzy ich za-

[1]) ukraińskiego socjalisty.

praszali, zapewniając im utrzymanie. Rodzice upominali się o połączenie z dziećmi, żony z mężami itd., podania jednak zalegały całemi miesiącami.

Z tysięcy tragedji, które się tu odgrywały, przytoczę kilka: Nauczyciel Jasiński, pochodzący z powiatu tarnobrzeskiego, służący wtenczas przy wojsku, pisał do mnie, bym ratował żonę jego i dzieci z baraków choceńskich. Prosiłem zaraz w ministerstwie spraw wewnętrznych o wypuszczenie ich z baraków, a następnie sprawę tą ponagliłem, wobec listu p. Jasińskiego (zał. 31). Kilka tygodni później zastałem żonę owego nauczyciela jeszcze w barakach, **jedno dziecko już było umarło,** drugie leżało ciężko chore, reszta, również jak i matka w najwyższym stopniu wynędzniałe. Żona prywatnego urzędnika technicznego Sierosławska uciekła z baraków do miasteczka



Jeden z baraków w czasie wylewu.

Chocni, gdy dziecko jej w barakach zachorowało. Oświadczyła mi, że ostatnie środki jej są na wyczerpaniu, że jednak do baraków nie wróci, bo na męki dziecka swego dłużej patrzeć nie chce, gdy środki się wyczerpią, a zmuszać się ją będzie do powrotu, zabije dziecko i siebie. Napisała mi jeszcze list podobnej treści (zał. 32). Paweł Sikorski, wiertacz ze wschodniej Galicji, opowiadał w największem przygnębieniu, że przybył do baraków ze żoną i czworgiem zdrowych dzieci. Troje pomarło. Prosił, wręczając mi podanie, o wyjednanie wypuszczenia z baraków, by mógł uratować jeszcze jedyne dziecko, jakie im zostało (zał. 33). Wręczono nam setki listów i podań o wypuszczenie z baraków, m. in. oddała mi podanie Anna Dudzińska.

O rodzinie Dudzińskich pisały w tych czasach obszerniej dzienniki, m. in. pisał o niej „Rodak" co następuje: „W Nr. 179 „No-

wej Reformy" pojawił się bardzo pięknie napisany artykuł pod tytułem „Syn i Ojciec", w którym autor opiewa w gorących, podniosłych słowach bohaterskie czyny i śmierć oficera legionów ś. p. Jana Dudzińskiego, z zawodu murarza, pochodzącego z Łagiewnik koło Krakowa. Podniesiono też w tym artykule, że ojciec śp. Jana — Andrzej Dudziński — na wieść o śmierci syna, napisał list do komendy legionów z żądaniem, ażeby jego przyjęto do tej samej kompanji, ponieważ chce pomścić śmierć syna na Rosji [1]. Autor kończył artykuł wywodem, że nieprzebrane siły drzemią w duszy tego naszego ludu, skoro, jak świeżo przytoczony przykład poucza, pragnienie umierania za ojczyznę cofa się z synów ku ojcom, spajając jednych z drugimi w jedną całość poświęcenia i bohaterskiej ofiary". Artykuł „Rodaka" kończył się zapytaniem, gdzież jest teraz ten człowiek, gdzie jego rodzina? jak im się powodzi? Odpowiedź na to pytanie zawierał list, który mi Anna Dudzińska wręczyła (zał. 34).

Podczas naszego pobytu zauważyliśmy, że baraki już były przepełnione. Zapowiedziane były na najbliższe dnie nowe transporty uchodźców w liczbie około 3000 osób. Przybycie tych nowych transportów wobec wzburzenia, które zauważyliśmy w osadzie barakowej, **byłoby zapewne wywołało poważne rozruchy**, telegrafowaliśmy zatem do prezesa Bilińskiego o spowodowanie ich wstrzymania, co rzeczywiście nastąpiło.

Dnia 12 kwietnia zdałem sprawę nowo mianowanemu namiestnikowi w Pradze hr. Coudenhovowi, mojemu dawnemu dobremu znajomemu, o moich spostrzeżeniach. Namiestnik, człowiek prawy i rozumny, z widocznem zainteresowaniem wysłuchał mojego sprawozdania i zapewnił mnie, że nie ścierpi tego rodzaju stosunków. Nazajutrz wyjechała z Pragi komisja namiestnictwa do Chocni, do której się przyłączyłem. Komisja stwierdziła braki budowlane i sanitarne. Zarządziła ich usunięcie.

Komisje były zawsze skore do przebudówek i stawiania nowych budowli. Dawało to zarobek przedsiębiorcom. Ponieważ wychodziło to także na korzyść mieszkańców baraków, nie miałem oczywiście najmniejszego powodu przeciwko temu remonstrować. Natomiast gorzej było z poprawą wiktu. Komisja miała także i w tym względzie przeprowadzić dochodzenia. Sposób jej urzędowania w tej kwestji wskazywał wyraźnie na porozumienie się z restauratorem Oplem, przeciwko któremu zażalenia moje były skierowane. Gdy po zakończeniu czynności w osadzie barakowej udałem się do hotelu, doszły mnie odgłosy wesołej zabawy z gabinetu przy restauracji. Przez uchylone drzwi zobaczyłem członków komisji, ucztujących z panem Oplem. Potem całe towarzystwo pod dobrą datą pojechało automobilem do Pragi. Udałem się tam także. Namiestnik oświadczył mi, że zażalenia moje, o ile dotyczą wiktu, są nieuzasadnione, komisja uznała bowiem, że jedzenie jest dobre. „I napitki także" — dodałem. Namiestnik spojrzał zdziwiony. Wyjaśniłem mu sprawę. Obiecał, iż sam niebawem pojedzie do Chocni.

---

[1]) List ten przytoczył w tłumaczeniu niemieckiem wiedeński organ N. K. N-u „Polen" z 16 kwietnia 1915.

III.

Największą osadą barakową dla polskich uchodźców była po choceńskiej, osada w Wagna pod Libnicą (Leibnitz) w Styrji. W barakach libnickich zaczęto osadzać uchodźców w końcu listopada 1914. Do właściwych uchodźców przybyły wkrótce znaczne transporty robotników sezonowych powracających — jak zwykle na zimę — do kraju z Danji i Niemiec. Z granicy przywożono ich do baraków w Libnicy i Chocni. Były tam przeważnie kobiety i dziewczęta, a wiele z nich pochodziło z powiatów niezagrożonych wcale przez nieprzyjaciela. Wskutek interwencji prezesa Bilińskiego, zgodziła się Naczelna Komenda armji na powrót robotników sezonowych i wogóle uchodźców, pochodzących z powiatów bialskiego, wadowickiego, oświęcimskiego, chrzanowskiego, żywieckiego, myślenickiego, no-



Baraki w Wagnie pod Libnicą.

wotarskiego a poczęści i krakowskiego i podgórskiego, poza obrębem twierdzy krakowskiej. Na tej podstawie nastąpił wyjazd robotnic sezonowych w drugiej połowie stycznia 1915.

Zaraz po wysłaniu pierwszych transportów pojawił się tyfus plamisty, wskutek czego zarządzić musiano obserwację i dezynfekcję dla opuszczających baraki. Wysyłano ich zatem partjami po około 100 osób. Po upływie dłuższego czasu wyjechało wreszcie z baraków libnickich około 2500 osób do wspomnianych powiatów. Straciły kilka tygodni, a nawet miesięcy czasu wśród udręczeń fizycznych i moralnych w barakach, straciły w kantynie przedsiębiorstwa barakowego część pieniędzy zarobionych zagranicą, bo z wiktu podawanego przez przedsiębiorstwo mieszkańcom barków wyżywić się nie mogły, a wielu go wogóle jeść nie chciało, koleje zatrudniono, w czasie gdy wagonów do czego innego można było użyć, przewożeniem

tych ludzi do baraków i z baraków, skarb państwa poniósł przeto bardzo znaczne koszta na utrzymanie tych wychodźców, a wracali oni do domu w najwyższym stopniu rozdrażnieni i rozgoryczeni. Czyż ministerstwo nie mogło się postarać u naczelnej komendy armji o pozwolenie powrotu dla tych ludzi, gdy się jeszcze znajdowali na granicy?

Garstka wychodźców sezonowych uciekła była z baraków, i przedostała się do Wiednia. Część ich wyłapała policja i odesłała do baraków, kilka osób z powiatu wadowickiego dostało się jednak do posła Banasia i opisało mu swoją niedolę. Również i do mnie zgłosiło się kilku chłopów z powiatu żywieckiego i wadowickiego, prosząc o wyzwolenie ich dzieci z baraków. Pojechali byli z Galicji do Libnicy, lecz nie pozwolono im się jednak widzieć z dziećmi. W tym samym czasie zgłosiła się do mnie również deputacja księży, wraz z księdzem Pierzowiczem — który był osiadł w Libnicy i oddał się na usługi mieszkańców baraków — przedstawiając przejmujący obraz stosunków barakowych. Deputację tę wraz z wiceprezesem Koła polskiego posłem Kędziorem, prowadziliśmy do marszałka krajowego, do kierownika ministerstwa dla Galicji, do referenta ministerjalnego radcy Marqueta i t. d. gdzie przedstawiła stosunki libnickie.

Wobec wiadomości z Libnicy postanowiłem wraz z posłem Banasiem tam pojechać, dla zbadania stosunków na miejscu. **Nie mogąc uzyskać w ministerstwie spraw wewnętrznych pozwolenia,** zwróciłem się o interwencję do ministerstwa dla Galicji, otrzymałem jednak od radcy dworu Twardowskiego następujące wyjaśnienie: „Marquet nie wystawił na razie Panu Hrabiemu przepustki do Leibnitz z następującego powodu: Gdy niedawno marszałek krajowy prosił dla siebie, względnie dla delegata Wydziału krajowego o taką przepustkę, proszono go w Ministerstwie spraw wewnętrznych, ażeby jeszcze jakiś czas poczekał, aż wszystkie urządzenia będą w Leibnitz ukończone. Nie wypada wobec tego Ministerstwu wydać taką przepustę przedtem komu innemu."

Gdyśmy z posłem Banasiem w lokalu Koła polskiego bardzo ostro narzekali na tego rodzaju ograniczenia, oświadczył nam poseł Löwenstein, że pozwolenia na zwiedzenie baraków nam p. Marquet z pewnością udzieli. Po krótkiej rozmowie telefonicznej oznajmił nam kolega Löwenstein, że radca Marquet na wyjazd nasz do Libnicy się zgodził i nazajutrz wyda odpowiednie zarządzenie. Epizod ten był charakterystycznym dla wpływu, jaki ze strony żydowskiej uzyskano na Marqueta, który z początku przeciwko Żydom był wystąpił umieszczając ich pierwszych w barakach. Udaliśmy się więc w pierwszej połowie stycznia do Libnicy, a w kilka dni później przybyli tam posłowie Długosz, Średniawski i Götz.

Położenie wychodźców naszych w kolonji libnickiej było gorsze, jak w tym samym czasie w Chocni. Nie było kościoła, szkoły, ochronki, warsztatów pracy i t. p. Trzymano uchodźców, chociaż jeszcze nie było tyfusu plamistego w osadzie, w tak ścisłem odosobnieniu, że nie pozwalano im uczęszczać do kościoła i na zakupno żywności do miasta. Gdy jedna z robotnic sezonowych umarła, koleżanki zamówiły mszę żałobną. Msza się wprawdzie odbyła w koście-

le parafjalnym, nie pozwolono im jednak pójść na nią. Cały obóz otoczono drutem kolczastym i strzeżono silną wartą wojskową — 160 żołnierzy. Dostęp bez specjalnego pozwolenia pisemnego był niedozwolony. W mojej obecności kapral nie chciał wpuścić do baraków ks. Pierzowicza, stałego kapelana uchodźców. **Rodzicom, którzy przybyli z Galicji, by wydobyć swoje córki z tego środowiska tak szkodliwego dla ich zdrowia i moralności nie pozwolono się z niemi widzieć, niektórych zaś, którzy bez pozwolenia dostali się do baraków zatrzymano tam przymusowo** (zał. 35).

Z początkiem stycznia znajdowało się w barakach około 14 000 ludzi. Inteligencji było niewiele. Natomiast stosunkowo dość wiele osób miało środki do życia, zaopatrzenia rządowego wcale nie potrzebowały i nie pragnęły. Najwięcej było, jak wspomniałem, robotnic sezonowych. Było też kilkaset ewakuowanych z przedmieść krakowskich.

Wikt był niedostateczny i niedobry. Wiktowanie uchodźców oddano jakiejś spółce styryjskiej, która założyła nadto kantynę, w której wygłodzonej ludności sprzedawano trunki — wódkę usunięto później wskutek zażaleń ks. Bialikiewicza — i środki spożywcze za drogie pieniądze. Właściciela kantyny sąd skazał później na areszt i grzywnę za lichwę żywnościową.

Kierownik zarządu baraków, starosta Poyger, wielki formalista, bez inicjatywy i zrozumienia dla potrzeb uchodźców, nie rozumiał ani słowa po polsku, a uchodźcom na ich skargi i życzenia odpowiadał „ich verstehe nicht". Później jednak nauczył się słów „do kancelarji" i w ten sposób odsyłał interesentów do zarządu, w którym znajdowali się także urzędnicy z Galicji. Natomiast żona jego okazywała znacznie więcej zainteresowania dolą uchodźców i chęci złagodzenia jej.

Stosunki sanitarne podczas pierwszego mojego pobytu były nienajgorsze. Od 3 grudnia do połowy stycznia umarło 41 osób, a na lekarza nie skarżono się. Oczywistem jednak było, że nawet w normalnych warunkach jedyny lekarz, który się znajdował w barakach na 14.000 mieszkańców, rady sobie dać nie mógł. W tym samym czasie znajdowało się w barakach dla Rusinów w Wolfsbergu, liczących podówczas 7.400 mieszkańców, 3 lekarzy. Prosiłem więc w ministerstwie i w namiestnictwie o pomnożenie sił lekarskich w Libnicy. Po wybuchu tyfusu plamistego wzrosła bardzo śmiertelność w osadzie libnickiej, **tak, że w 4 pierwszych miesiącach 1915 r. umarło 475 osób.**

Tyfus plamisty zawleczony został do osady wśród następujących okoliczności: Z początkiem grudnia wyjechała do Serbji partja robotników na zapewnienie, że dostaną 3 korony dziennie i całe utrzymanie. Zawiedzeni w swoich nadziejach przestrzegali mieszkańców baraków przed wyjazdem do Serbji. Gdy nikt dobrowolnie jechać nie chciał, **otoczono w nocy baraki żandarmami, brano mężczyzn przymusowo i to, jak stwierdziłem, między innymi także chłopców 14. letnich i starców 65 letnich, odrywano mężów od żon, ojców od dzieci i wysyłano ich osobnemi pociągami do Serbji,** gdzie ich miano

użyć przy budowie kolei, dróg, szańców i t. d. Natrafili wkrótce na odwrót wojska austrjackiego. Nikt się o nich nie troszczył, nie dano im jeść i nie zapłacono zarobku, **wielu zginęło z głodu i wycieńczenia**, inni wśród niesłychanych trudów i udręczeń powrócili do baraków. Ci, którzy zabrali swoje pakunki stracili je, niektórzy także pieniądze zarobione na robotach w Niemczech. Wysłano do Serbji jak mi mówił kierownik zarządu baraków, około 4.000 ludzi. Do połowy stycznia powróciło ich około 1.500, powoli wracały jeszcze partje po kilku lub kilkunastu ludzi strasznie wynędzniałych, **przywożąc do kolonji barakowej zarazki dyzenterji i tyfusu plamistego.** (załącznik 36).

Wybuch tyfusu plamistego był największą klęską dla mieszkańców baraków. Uniemożliwił on uwolnienie wielu z nich na długi czas i utrudnił poprawę stosunków w osadzie. Z początku z braku sił lekarskich, i zdaje się także z powodu nieudolności naczelnego lekarza nie zdołano opanować zarazy. Uchodźcy pozamykani w barakach, pozbawieni ruchu, zajęcia i styczności ze światem, mając w swem gronie chorych na tyfus i obawiając się sami tej choroby i marnej śmierci na obczyźnie, dochodzili do rozpaczy. Z powodu zaniedbań z początku zarazy, późniejsze tłumienie jej było niezmiernie utrudnione. Przybyła wprawdzie z Grazu kolumna sanitarna prof. Uniw. Dra Prausnitza, a członkowie jej pracowali z wielkiem poświęceniem (zał. 38) — za co prezydjum Koła polskiego wystosowało do Dra Prausnitza gorące podziękowanie — jednak i to nie pomogło, gdyż urządzenia sanitarne w obozie były zupełnie nieodpowiednie, jak to stwierdzili polscy lekarze Dr. Borysiewicz i Dr. Warteresiewicz, których dla zbadania stosunków w osadzie libnickiej, wysłał polski Komitet uchodźczy w Grazu. Lekarze ci ostro skrytykowali urządzenia sanitarne, cały sposób tłumienia zarazy i działalność naczelnego lekarza Dra Neumanna (zał. 39).

Stłumienie zarazy utrudniał również nieustanny dowóz nowych transportów uchodźców, którzy ulegali zarazie. W marcu i kwietniu 1915 władze styryjskie z podobną energją wysyłały do Libnicy naszych uchodźców, jak to się działo równocześnie w Czechach do Chocni. Gdy delegat Wydziału Krajowego hr. Franciszek Zamoyski remonstrował przeciwko nowym transportom ludzi zdrowych do zakażonych baraków i prosił w namiestnictwie w Grazu o ich wstrzymanie, otrzymał od radcy Negbauera pisemną odpowiedź z 11 kwietnia, że „ze względu na stosunki wojenne nie można całkowicie wstrzymać nowych transportów" (Infolge der kriegerischen Lage ist es leider nicht möglich den Zutransport ganz zu sistieren").

Jeden z tych transportów, pochodzący ze wschodniej Galicji, przywiózł nowe wypadki tyfusu plamistego, do osady barakowej, z osławionej stacji perlustracyjnej w Węgierskim Hradyszczu na Morawach, gdzie epidemja ta stale grasowała, i skąd ją rozszerzano transportami po różnych osadach uchodźczych.

Wśród nowych transportów, przybyło kilkaset superarbitrowanych żołnierzy i kilkudziesięciu legjonistów, między innymi poranieni lub okaleczeni na wojnie. Byli także między nimi odznaczeni medalami waleczności. Wielu z nich zachorowało na tyfus plamisty

w barakach. Co się działo w duszach takich obrońców kraju, łatwo sobie wyobrazić! (zał. 40).

Po zwiedzeniu osady, Długosz i ja pojechaliśmy do Grazu i przedstawiliśmy stosunki w Libnicy namiestnikowi hr. Clary'emu. Namiestnik udał się tam osobiście w kilka dni później. Pobyt jego w osadzie libnickiej przyczynił się do pospieszniejszego wykończenia kilku budynków, tudzież do uruchomienia wodociągu. Brak dostatecznej ilości wody, był bowiem także jedną z dolegliwości, które w obozie dawały się dotkliwie odczuwać.

W podaniach wniesionych 25 stycznia br. do prezydenta ministrów i ministrów spraw wewnętrznych, wojny i obrony krajowej, podpisanych przez posłów Długosza, Średniawskiego i Dra Banasia, przedstawiłem stosunki w barakach libnickich i prosiłem o odpowiednie zarządzenia, m. in. także o wypłacenie robotnikom, którzy powrócili ze Serbji, należnej im płacy i wynagrodzenie poniesionej szkody. Szło tu o stosunkowo niewielkie kwoty. Przy tej sposobności zaznaczyłem, że jeżeli już niewłaściwością było przymusowe wysyłanie uchodźców galicyjskich do robót w Serbji, gdy można było przecież pociągnąć do świadczeń wojennych mieszkańców innych krajów bliżej Serbji położonych, które nie ucierpiały wskutek wojny tak, jak Galicja, to wprost naruszeniem ustawy o świadczeniach wojennych było wywożenie na tę robotę ludzi mających więcej jak 50 lat.

W sprawie owych robotników udaliśmy się 15 lutego z b. ministrem Długoszem i wiceprezesem Germanem do ministra obrony krajowej, jako odpowiedzialnego za wykonanie ustawy o świadczeniach wojennych. Minister uznał, że popełniono tu wiele niewłaściwości, tłumaczył użycie naszych uchodźców tem, że chciano posłać do Serbji element politycznie zupełnie pewny, więc posłano Polaków. Niewypłacenie zarobku nazwał wprost skandalem.

Sprawę wypłacenia zarobku i odszkodowania tym ludziom przypominałem kilkakrotnie w ministerstwie spraw wewnętrznych. Wreszcie wypłacono drobne odszkodowanie po 50 koron. W połowie kwietnia 1915 sytuacja w sprawach uchodźczych stała się wprost nieznośną. Radca Marquet prawie żadnego ze swoich przyrzeczeń złożonych na posiedzeniu Komisji uchodźczej Koła polskiego — za które go wiceprezydent German zbyt pospiesznie pochwalił w artykule o uchodźtwie, umieszczonym w „Wiedeńskim Kurjerze Polskim" z 3 kwietnia 1915 — nie dotrzymał. Nie wstrzymano zsyłki uchodźców, pobierających poprzednio zasiłki państwowe, do baraków. Nowe transporty szły dalej do obozów barakowych, nawet, jak to już wspomniałem, do libnickich, w których panował tyfus plamisty. Z końcem marca, w czasie robót wiosennych w kraju, zaczęło ministerstwo robić trudności z wyjazdem robotnicom sezonowym z owych dziewięciu powiatów, do których poprzednio zezwalano powracać, pozostałym jeszcze w barakach w Libnicy, a o których powrót do domu rodzice ich usilnie się upominali (zał. 42). Zapytałem o powód. Radca Marquet odpowiedział mi, że nie udziela pozwoleń do powrotu, ponieważ obawia się, że uchodźcy mogliby zamiast do domu pojechać na roboty do Niemiec; tymczasem on prowadzi per-

traktacje z rządem niemieckim w sprawie uregulowania stosunków robotników sezonowych i nie chce, by w tym czasie robotnicy nasi udawali się do Niemiec. Zapatrywanie to było nieuzasadnione. Pomijając już kwestję, czy garstka robotników, którаby udała się do Niemiec mogła wywrzeć wpływ na stanowisko rządu niemieckiego, a przedewszystkiem, czy wogóle zdołałaby przedostać się za granicę państwa, uważałem, że trudno imputować dzieciom, które po przeszło jednorocznem niewidzeniu się pragną jechać do rodziców, żonom do mężów, gospodarzom kilkomorgowym do swoich gospodarstw, że nie do domu, lecz do Niemiec udadzą się na roboty sezonowe. Stosunki w barakach nietylko się nie polepszyły, ale się w ostatnich czasach nawet pogorszyły. Nadchodziły coraz gwałtowniejsze zażalenia z osad barakowych, wiadomości o wrzeniu w nich, które łatwo mogło doprowadzić do rozruchów i rozlewu krwi.

Stosunki uchodźcze były jednym z powodów dla których rozważano wśród posłów interesujących się temi sprawami, czy nie należałoby ponownie zwołać Koła polskiego, i uchwalić wysłania deputacji do cesarza, dla przedstawienia mu naszych żalów, lub też dla uchwalenia gremjalnego złożenia mandatów poselskich.

W tym czasie zaszedł niespodziewanie zwrot na lepsze, spowodowany przez prezesa Bilińskiego, który potrafił zainteresować losem uchodźców członków domu cesarskiego.

IV.

Dnia 14 kwietnia 1915 roku otrzymałem od prezesa Bilińskiego zawiadomienie, iż arcyksiężna Izabella życzy sobie, by jej przedstawiono w memorjale stosunki w barakach, nadto, by jej osoby, które zwiedziły baraki, ustnie złożyły sprawozdanie. Prezes Biliński wyznaczył w tym celu mnie, jako referenta Koła polskiego dla spraw uchodźczych i p. Stanisława Czarnowskiego, który niedawno zwiedził był baraki libnickie, jako przedstawiciela Komitetu dla opieki moralnej nad wychodźcami.

Dwa dni później, przyjęci zostaliśmy na audjencji przez arcyks. Izabelę — której wręczyłem żądany memorjał — i arcyks. Karola Stefana. Podczas blisko półtoragodzinnej audjencji, przedstawiliśmy stosunki panujące w barakach. Oboje arcyksięstwo słuchali z wielkiem zajęciem, o wszystko się dokładnie wypytywali, chwilami dawali wyraz swojemu oburzeniu. Szczegóły audjencji opisał dokładnie, nieco nawet za drobiazgowo, p. Czarnowski w sprawozdaniu dla prezesa Bilińskiego, które z czasem — jak zwykle wszystkie akta dotyczące uchodźców — dostało się w moje ręce (zał. 42).

Następnie wezwany został delegat Wydziału Krajowego, hr. Franciszek Zamoyski do złożenia arcyksiężnej sprawozdania o barakach w Libnicy, ja zaś otrzymałem polecenie ułożenia memorjału, którуby arcyksiężna mogła w danym razie odczytać cesarzowi. Memorjał ten (zał. 43) został wręczony 22 kwietnia marszałkowi dworu arcyksiężnej. Następnego dnia była ona na posłuchaniu u cesarza. Dnia 26 kwietnia został prezydent ministrów hr. Stürghk przyjęty na audjencji u cesarza w sprawach uchodźczych.

Już równocześnie z wyznaczeniem audjencji u arcyks. Izabelli wydało ministerstwo spraw wewnętrznych — mocno spóźniony — okólnik datowany z 13-go, ogłoszony 16-go kwietnia, zawierający pouczenie dla władz i ludności o opiece należnej uchodźcom.

Po audjencji w szybkiem tempie nastąpił cały szereg zarządzeń dla polepszenia doli uchodźców, a w szczególności mieszkańców baraków:

Wstrzymano przedewszystkie większe transporty uchodźców do Libnicy z powodu panującej tam zarazy tyfusu plamistego, — do Chocni odstawiano już tylko nieliczne partje. Z końcem kwietnia i początkiem maja wypuszczono z obu osad około 3.000 robotnic sezonowych do Danji, a wiele osób na roboty do Czech, względnie Styrji; w końcu zaś maja zezwolono na wyjazd około 1.000 robotników do Niemiec. Dość znaczna liczba osób, dla których pobyt w barakach ze względu na zdrowie i inne stosunki, był szczególnie przykry, uzyskała pozwolenie na zamieszkanie poza osadami barakowemi, przyczem przyznano im zasiłek rządowy, który z dniem 1 czerwca b. r. podwyższono dla ogółu wychodźców do kwoty 90 hal. dziennie na osobę. Kilkudziesięciu studentów z baraków choceńskich umieszczono w Pradze, część superarbitrowanych żołnierzy znalazła przytułek w wojskowych zakładach, tym zaś, którzy pozostali w Libnicy wyznaczono osobne baraki, polepszono wikt i dano możność zarobku przy lżejszych pracach. Namiestnik Czech, hr. Coudenhove, zwiedził dokładnie osadę choceńską 29 kwietnia i wydał na miejscu bardzo trafne zarządzenia. Namiestnik styryjski, hr. Clary był w Libnicy 17 maja, wraz z radcą Marquetem, który po raz pierwszy zwiedził osadę barakową. Kierowników administracyjnych i sanitarnych obu osad barakowych usunięto i zastąpiono nowemi siłami. W krótkim czasie powstał cały szereg pożytecznych budynków i urządzeń w obu osadach. Epidemję tyfusu plamistego w Libnicy stłumiono w zupełności.

Radca Marquet musiał oczywiście oficjalnie zmodyfikować swoje zapatrywania na baraki. Uczynił to w artykule umieszczonym w „Oesterreichische Rundschau" z 15 marca 1915 pod tyt. „Die staatliche Flüchtlingsfürsorge in Oesterreich": „System barakowy chociaż posiada wiele niezaprzeczonych zalet (!) spotkał się jednak ze względów etycznych, socjalnych i hygjenicznych z żywą opozycją, wskutek której wysunięto na pierwszy plan umieszczanie uchodźców po gminach, a zatrzymanie w barakach, tylko najniższych warstw wśród uchodźców i tych także tylko o ile tego konieczność wymaga" [1])

Trzeba przyznać, że interwencja arcyks. Izabelli i arcyks. Karola Stefana poskutkowała i że im się należało uznanie za ich sta-

---

[1]) „Das Barackensystem hat trotz unleugbarer Vorzüge aus ethischen, sozialen und hygienischen Motiven lebhafte Gegnerschaft gefunden, die die gemeindeweise Unterbringung der Flüchtlinge mehr und mehr in den Vordergrund treten liess und die Verwaltung veranlasste, für die weitere Folge die Unterbringung in Baracken lediglich für die untersten Schichten der Flüchtlinge, und auch bei diesen nur im Notfalle, ins Auge zu fassen".

rania o polepszenie doli uchodźców. Gdy w rok później ofiarowano arcyksiężnej Izabelli złoty medal, jako protektorce legjonów, wspomniano przy tej okazji także o jej opiece nad uchodźcami (zał. 44). Zdaje mi się, iż ta była realniejszą, jak jej działalność na rzecz legjonów.

Dzięki pomocy arcyksięstwa, niejedno zmieniło się na lepsze. Nie usunięto jednak wszystkich braków i niewłaściwości, tak jak to wiele osób przypuszczało, a między innymi i przewodniczący Komisji dla spraw uchodźczych, wiceprezydent German, który temu zapatrywaniu dał wyraz w artykule umieszczonym w organie informacyjnym Koła polskiego „Polnische Zentralkorrespondenz" z 27 maja 1915, poczem zaprzestał zwoływania komisji dla spraw uchodźczych, o co się później w prasie upominano [1]). W rzeczywistości dalsza opieka nad uchodźcami była jeszcze bardzo potrzebna.

Praktyka władz wobec uchodźców odbiegła nadal jeszcze częstokroć od humanitarnych zasad głoszonych coram publico w okólniku ministerstwa spraw wewnętrznych z 13 kwietnia 1915, a p. Marquet nie trzymał się zasad wyrażonych we wspomnianym swoim artykule. Pomimo, że wszyscy potępili system barakowy przecież go utrzymano.

Zdarzały się jeszcze — co prawda nie tak liczne jak poprzednio — wypadki zupełnie nieuzasadnionego **odsyłania przymusowego ludzi do baraków dla uchodźców.** N. p. jedną panią z Kołomyji, której brat leżał ranny w jednym ze szpitali wojskowych w Wiedniu, gdy przyjechała do Wiednia, by go odwiedzić, nietylko nie wpuszczono do miasta, ale jeszcze odstawiono, i to na jej koszt, do baraków w Chocni, skąd ją jednak niebawem wypuszczono. Żona urzędnika prywatnego ze Lwowa Wilhelmina Wenzel, mieszkała w Zisterdorfie pobierając tylko zasiłek wojskowy, otrzymała ze starostwa w Gänserndorf polecenie udania się do baraków. Burmistrz miasta Zistersdorf wstawił się za nieszczęśliwą kobietą, której mąż znajdował się na polu walki i zaginął bez wieści. Ze starostwa przyszła odmowna odpowiedź, a 20 maja zabrał ją żandarm wraz z dwojgiem małych dzieci o pół do piątej rano, prowadząc pod bagnetem. **W drugiej połowie maja odstawiono do zakażonego obozu libnickiego kilkudziesięciu ludzi m. i. także żołnierzy z niezagojonemi jeszcze zupełnie ranami.**

Przy zwiedzaniu baraków libnickich z Andrzejem ks. Lubomirskim i z ks. Lagoszem w dniu 14 maja zastaliśmy postęp pochodzący z ostatnich dni. Stosunki przedstawiały się tam według wspomnianego już mojego sprawozdania do prezydjum Koła polskiego następująco: „Otwarto nowe łazienki zupełnie dobrze urządzone tylko za małe na tak wielki obóz. Ustały zupełnie kąpiele dla kobiet w obecności mężczyzn, wybudowano osobny barak dla położnic, wskutek czego ustały połogi odbywające się **publicznie po barakach,** ukrócono różne niewłaściwości, wydalono n. p. wskutek zażalenia ks. Bialikiewicza, pewnego studenta, który mając sobie powierzone przez naczelnego lekarza mierzenie gorączki, **kazał się obnażać**

---

[1]) M. in. w „Głosie Narodu" z 30 maja 1915.

dziewczętom. W żłóbku dla dzieci znalazło umieszczenie kilkanaście sierót. Barak 32 dla rekonwalescentów i nieuleczalnych, dawwniej **w fatalnym stanie,** został uporządkowany, chorzy otrzymali łóżka.

W szwalni było zatrudnionych kilkadziesiąt dziewcząt.

Szpital był w porządku utrzymany.

Wikt szpitalny był odpowiedni, również jak i w baraku 1-ym, t. zw. baraku dla inteligencji. Natomiast jedzenie w innych barakach **było bardzo niedobre,** n. p. w zupie stanowiącej objad, było nieco kapusty, trochę ziemniaków, częstokroć przegniłych, a najwięcej wody. **Dawał się odczuwać dotkliwy brak mleka dla dzieci,** spółka nie dostarczała bowiem umówionej ilości.

Na uprzywilejowane stanowisko baraku pierwszego sarkali mieszkańcy innych baraków [1]), robili przytem trafną uwagę, **że tyfus plamisty,** który grasował po całej osadzie, omijał ten barak, w którym ludzi lepiej odżywiano i zaopatrywano w bieliznę i ubrania.

---

[1]) U niektórych mieszkańców baraków panowała taka zawiść do towarzyszy niedoli z baraku pierwszego, którym się nieco lepiej powodziło, iż jeszcze po wojnie jeden z nich, Szymon Jopek z Zagórzan napadł na mnie w organie p. Stapińskiego „Przyjacielu Ludu" z 19 stycznia 1919 za to, że z nimi mówiłem: „Podpisany przebył całe piekło barakowe. Był nieraz silnie wykarbolowany przed tyfusem w baraku Nr. 35, w którym wszyscy uchodźcy z góry skazani zostali na pewną śmierć, to też w imieniu prawdy pozwoli sobie kilka słów napisać. Ciężkie czasy, ogromnie ciężkie, nastały po Nowym Roku 1915. Austrjacki rząd puszczał naszych starych chłopów forszpanów pół nago, bez grosza i butów i pędził ich do baraków w Wagna. Zmizerowani, opuszczeni, zmaltretowani i prześladowani dostali się do baraków i chłopi z powiatu krośnieńskiego. Była ich spora paczka. Były i dziewczęta i całe rodziny. Zaczęliśmy wspólnie radzić i szukać ratunku. Wprawdzie nie można zaprzeczyć, hr. Lasocki przyjeżdżał do baraków, ale było tak, że „mówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu". Hrabia pogadał sobie w baraku Nr. 1, gdzie mieszkała niby to inteligencja, a do biednych forszpanów, kto miał pogadać? Pamiętam, kiedy wreszcie przyjechał do swoich ludzi, do tych najbiedniejszych, poseł Stapiński. Byłem świadkiem, jak uroczyście przyjmowali chłopi starego prezesa. Tej chwili nie zapomnę nigdy. Stary dziadek, z którejś tam wsi krośnieńskiej, Możdżan, płakał na widok prezesa. To fakt, zmienić się nic nie da i Piastowcy świadomie piszą nieprawdę, jakoby Stapiński w barakach nie był. „Jak kogo stać, tak go znać". Co mógł, to pomógł czcigodny prezes biednemu narodowi. Przyjeżdżać często nie mógł bo, jak wiadomo, nie był nigdy z rządem austrjackim w kumy, gdy tymczasem posłowie inni, o ile się nie mylę, za podróż swą do baraków dostawali odpowiednie djety. A więc jeździli do baraków, ale nie za darmo".

Oczywiście trudno wiedzieć ile jest w tem opowiadania „forszpana" Jopka, a ile dodatków p. Stapińskiego. Całość jest niezgodną z prawdą: W Wagna byłem kilkakrotnie. Zwiedzałem zawsze conajmniej po kilka baraków, by się przekonać o ogólnym stanie obozu, informowałem się na wyrywki u różnych ludzi. Oczywiście nie byłem w stanie ani zwiedzić za każdym razem wszystkich baraków, których było przeszło 40, ani z każdym z kilkunastu tysięcy ich mieszkańców pogadać. Bezczelnem kłamstem p. Jopka, czy też p. Stapińskiego, jest twier-

Rozdział według stopnia inteligencji nie był zresztą dokładnie przeprowadzony. Podczas gdy w baraku tym było wiele osób, których żadną miarą do inteligencji nie można było zaliczyć, znajdowały się osoby z inteligencji w innych barakach n. p. w baraku 17, seminarzystka Hałdzińska, którą tam pozostawiono może za karę za **żalenie się na niewłaściwości podczas kąpieli,** a mianowicie, iż w czasie kąpieli kobiet, kręciło się po łaźni kilku meżczyzn, a jeden z nich — z brutalnych żartów — oparzył p. Hałdzińską wrzącą wodą.

Niesłychanie przykrem dla uczciwych kobiet był wspólny pobyt w barakach i przedziałach z osobami lekkiego prowadzenia się. N. p. Aniela Kisiel żaliła się pisemnie, że z Weihersburga, gdzie **żyła z zasiłku wojskowego, zabrał ją w nocy żandarm i odstawił do baraku, gdzie ją umieszczono w jednym przedziale z dziewczyną publiczną i mężczyzną karanym za kradzież.**

W barakach zastaliśmy **wielu żołnierzy** w poniszczonych uniformach. Byli między nimi tacy, którzy stracili wzrok, słuch i mowę.

W baraku kontumacyjnym nr. 35 było około 140 żołnierzy, w baraku 38 trzystu kilkudziesięciu; tu wręczyli nam pisemne zaża-

---

dzenie, że posłowie z „Piasta" za podróże swe do baraków dostawali odpowiednie diety. Naturalnie każdy jeździł na swój koszt, a o jakichkolwiek ułatwieniach ze strony rządu mowy nie było. Co do mnie, to Wydział krajowy, gdy jako jego delegat stale objeżdżałem obozy barakowe, zaproponował mi zwrot kosztów. Odmówiłem. Treść pisma Wydziału z podziękowaniem za pełnienie urzędu delegata wskazuje dobitnie na to, iż funkcja ta była czysto honorową (zał. 45). Oczywiście dla p. Stapińskiego, który zawsze i na wszystkiem chciał zarabiać, było to niezrozuzumiałem.

Co się tyczy stosunku do rządu austrjackiego, to wiadomą jest rzeczą, iż Piastowcy w czasie wojny występowali z najostrzejszą krytyką postępowania władz wobec ludności, a pod względem politycznym z Klubu „Piasta" wyszła rezolucja Tetmajera, zrywająca zupełnie z orjentacją austro-polską. Natomiast p. Stapiński jeszcze w dniu 7 marca 1918 — zatem kilka miesięcy przed przewrotem — biorąc udział w deputacji Koła polskiego do cesarza Karola, a licho się widać orjentując w sytuacji — „zapewnił cesarza o wiernośści ludu polskiego, dla tronu i dynastji i prosił cesarza, aby ludu polskiego nie opuszczał, lecz doprowadził go do lepszej przyszłości", jak to pisze dosłownie „Naprzód" z dnia 9 marca 1918, dziennik niepodejrzany o niechęć dla p. Stapińskiego.

Co do opieki nad uchodźcami, to nie wiem, czy ktokolwiek pisał, że p. Stapiński nie był w barakach. Faktem jest, że wkrótce po pierwszej bytności w obozie barakowym w Wagna, posłów „Piasta": Banasia, Długosza, Średniawskiego i mojej, zjechał tam także poseł Stapiński. Na tem się jednak jego działalność w sprawach uchodźczych skończyła. Później już nie okazał absolutnie żadnego zainteresowania się temi sprawami. I to mu zapewne zarzucano ze strony „Piastowców". Dorabiał się on w czasie wojny majątku, interesował się sprawami naftowemi. W tych sprawach wnosił także interpelacje — może zresztą uzasadnione — w Izbie poselskiej [1]. Na interpelowanie w sprawach uchodźców, nie miał już czasu. Jednokrotny wyjazd do baraków, przez cały czas wojny, to jak na trybuna ludu trochę mało. Co prawda byli i tacy, którzy zrobili jeszcze mniej.

---

[1]) Interpelacje nr. 1842 i 1843 z roku 1917.

lenie. Ucieszyli się, gdy im powiedziałem, że arcyksiężna Izabella zajęła się ich losem i że niezadługo baraki opuszczą. W innych barakach spotykałem także żołnierzy. W Gracu dowiedziałem się, że już nadeszło polecenie ministerstwa wojny odebrania superarbitrowanych żołnierzy z baraków i oddania ich pod opiekę władz wojskowych.

Bardzo smutnem było położenie osób znajdujących się w barakach „zamkniętych". W razie pojawienia się tyfusu plamistego, chorych zabierano do szpitala chorób zakaźnych, resztę zaś mieszkańców baraku poddawano trzy tygodniowej obserwacji, która w razie pojawienia się nowego wypadku tyfusu, znowu się o trzy tygodnie przedłużała. W ten sposób **przebywali mieszkańcy niektórych baraków kwarantannę trwającą kilka miesięcy.** Można było oczywiście temu zapobiec, oddając ludzi mniejszemi grupami do obserwacji.

Mieszkańcy zamkniętych baraków, którzy starali się wydostać poza drut kolczasty, który baraki te otaczał, spotykali się nieraz, zamiast z karami dyscyplinarnemi, z brutalnością straży. I tak żaliła się Magdalena Michalik, że ją **żołnierz,** przed kilkoma tygodniami, **gdy wyszła poza drut kolczasty, pchnął bagnetem w udo,** tak, że przez dłuższy czas leżeć musiała. Fakt ten potwierdzali i inni mieszkańcy baraku.

Baraki „zamknięte" były przepełnione. W baraku 39 przebywało aż 479 osób. Tymczasem **baraki Nr. 27, 29, 31 stały całkiem próżne.** Okazało się, że **baraki te, stojące wśród osady uchodźczej, były przeznaczone, wraz z nowym obozem barakowym, na przyjęcie podejrzanych politycznie z południowych krajów koronnych.**

Baraki przeznaczone dla internowanych były o tyle lepsze od baraków naszych uchodźców, że były obliczone tylko na 200 mieszkańców, nadto przy kuchniach były duże jadalnie na 400 osób, podczas gdy nasi uchodźcy musieli jeść w lokalach, w których także spali.

Przeciwko łączeniu uchodźców i internowanych w jednym obozie zaprotestowaliśmy na audjencji u namiestnika w Grazu w dniu 15 maja 1915, wykazując, że cała osada barakowa uważaną będzie za „obóz zdrajców" na niekorzyść naszych uchodźców, wskazaliśmy na prawdopodobieństwo rozszerzenia epidemji tyfusu plamistego także na nowy obóz, czemu drut kolczasty, jedyna zapora rozdzielająca oba obozy, prawdopodobnie nie zapobiegnie, wreszcie na trudności aprowizacyjne, które w dotychczasowej osadzie dawały się dotkliwie odczuwać, a przy tak wielkiem środowisku ludzi z pewnością by się zwiększyły.

Do protestu naszego przyłączył się następnie prezes Biliński. Wskutek tego transporty internowanych, które już były w drodze do Leibnitz, zatrzymano tam tylko krótki czas, a następnie wyekspedjowano do innego obozu.

Z okazji wspomnianej audjencji, przedstawiliśmy — Andrzej Lubomirski i ja — namiestnikowi ustnie i w memorjale, który mu wręczyliśmy, liczne jeszcze niedomagania w obozie, które należało usunąć.

W barakach libnickich były bardzo zaognione stosunki pomiędzy zarządem, zwłaszcza naczelnym lekarzem, a księżmi polskimi, Bialikiewiczem i Pierzowiczem, którzy się ujmowali za uchodźcami. Zarząd starał się usunąć obu księży. Władza duchowna, wskutek kategorycznego żądania ministerstwa, odwołała ks. Bialikiewicza, któremu zarzucano zbyt ostre wystąpienia przeciwko zarządowi. Gdy jednak i ks. Pierzowicza chciano usunąć, do czego już nie było absolutnie żadnej podstawy, gdyż zażalenia jego były nietylko zupełnie uzasadnione, ale także przedstawione w formie umiarkowanej, ujął się za nim prezes Koła polskiego Biliński. Gdy radca Marquet upierał się przy wydaleniu ks. Pierzowicza, oświadczył mu Biliński, że przedstawi arcyksiężnej Izabelli, która go nieraz wypytuje o stosunki w barakach, że księdza, który spełniał gorliwie swoje obowiązki, wydala się z powodu zatargów z lekarzem, który je zaniedbuje, a tego się zatrzymuje w urzędzie. Po tej rozmowie ks. Pierzowicz pozostał w osadzie barakowej, a dra Neumana wkrótce przeniesiono na inne stanowisko.

Pod nowem kierownictwem sekretarza namiestnictwa Wolte'go stosunki w obozie libnickim się poprawiły. Zaczęto też przebudowywać baraki na praktyczniejsze, mniejsze. Z polepszenia stosunków niedługo jednak korzystali polscy uchodźcy. Gdy po bitwie gorlickiej Naczelna komenda armji zgodziła się na powrót uchodźców do zachodniej Galicji do powiatów po Mielec, Ropczyce i Strzyżów, z wyjątkiem rejonu fortecznego w Krakowie, odjechało dość dużo ludzi z baraków do kraju. Przy pomocy ks. Pierzowicza i jednego urzędnika przy zarządzie baraków, p. Skrzyniarza, udało mi się przemycić uchodźców z Tarnobrzeskiego i Niżańskiego z transportami do Mielca.

Wskutek rozporządzenia ministerstwa spraw wewn. z 20 lipca 1915 wzywającego uchodźców do powrotu do wolnych powiatów zachodniej Galicji, opuściła baraki przeważna część mieszkańców. Uchodźców ze wschodniej Galicji w liczbie 2000 osób przewieziono do baraków choceńskich.

Ostatni transport Polaków odszedł 8-go sierpnia 1915. Osadę w której przeprowadzono już znaczne ulepszenia, oddano na użytek uchodźców włoskich.

Na cmentarzu libnickim pozostało 693 polskich uchodźców, według dostarczonych mi dat urzędowych. Była to liczba bardzo znaczna, zwłaszcza jeżeli się zważy, iż okolica ta była naogół zdrową, przebywający w obozie Polacy byli to w znacznej części robotnicy i robotnice sezonowi, przeważnie ludzie młodzi i zahartowani, a dzieci było tylko niewiele, wreszcie, iż pobyt Polaków w tej osadzie trwał nie całe 9 miesięcy, a przeszło przez nią nie więcej jak 20 tysięcy ludzi.

W barakach choceńskich zaszła po lustracji namiestnika zmiana na lepsze.

Namiestnik przybył 29. kwietnia do Chocni, lustracji dokonał nadzwyczaj sumiennie i dokładnie (zał. 46). Towarzyszyłem mu i wskazywałem na braki. Pomimo przygotowań zarządu, wyszły na jaw różne niewłaściwości. Chleb w kilku wypadkach był zupełnie

spleśniały, knedle były bardzo złe, dzieci skarżyły się na głód; po barakach widział namiestnik chore dzieci, u jednego z nich, które kazał zbadać towarzyszącemu mu protomedykowi, stwierdzono zaraźliwe egipskie zapalenie oczu, wobec czego namiestnik polecił odesłać je na klinikę do Pragi. Namiestnik rozmawiał z mieszkańcami baraków i miał sposobność przekonać się, jak różnorodne elementa są tam pomięszane. Studentów polecił wysłać na studja do Pragi. W jednym z baraków mieściło się około 600 mieszkańców wsi Wyszatyce pod Przemyślem. Wieś całą spalono dla celów obrony twierdzy, mieszkańców ewakuowano. Przebyli zimę po wsiach w Czechach. Do baraków przesiedlono ich 17 lutego. Na zapytanie otrzymał namiestnik od wójta wyjaśnienie, że **chcieli i mogli dostać pracę przy robotach wiosennych** i że jako rolnicy niczego więcej nie pragną jak roboty w polu. Szpital dał namiestnikowi powód do ujemnych spostrzeżeń. W trupiarni zastaliśmy tylko dwa trupy. Wyraziłem zdziwienie z tego powodu, zaznaczając, że w kwietniu umierało przeciętnie więcej jak 10 osób dziennie. Lekarz naczelny odpowiedział mi, że śmiertelność w ostatnich dniach się zmniejszyła. Nazajutrz stwierdziłem, że 29 kwietnia umarło 9 osób, okazało się, że kilka trupów przewieziono wprost na cmentarz.

Po zwiedzeniu baraków pouczył namiestnik urzędników **o obowiązkach wobec wychodźców**, wskazał na to, że są to nieszczęśliwe ofiary wojny, w przeważnej liczbie spokojni i uczciwi ludzie i że należy się im opieka i odpowiednie obchodzenie się z nimi. Następnie zarządził cały **szereg zmian i ulepszeń** w barakach, a mianowicie: pod względem budowlanym zaprowadzenie odpowiednich wentylacji, schody prowadzące z piętra na zewnątrz baraków, nowy budynek izolacyjny, budynek na odczyty, zebrania towarzyskie i przedstawienia, pod względem sanitarnym zarządził codzienną wizytę sanitarną lekarzy po barakach i nadzór lekarski nad kuchnią. Wydał szczegółowe przepisy co do wiktu. Gdyby się ich trzymano byłby zupełnie wystarczający. Zamiast udawania się z prośbami i zażaleniami do Zarządu, co wywoływało natłok i zamieszanie, zarządził codzienne zwiedzanie baraków przez urzędników, do których mieszkańcy baraków mieli się wprost zwracać. Kazał sprowadzić znaczną ilość ubrań i butów dla potrzebujących. Istniejące w barakach szwalnie i warsztaty krawiecki i szewski polecił znacznie rozszerzyć.

Wypuszczonemi z baraków miały być wedle polecenia namiestnika: 1) osoby mające środki dla własnego utrzymania, o ile nie żądały zasiłku państwowego, również jak ci, **których krewni i znajomi mieli przyjąć na utrzymanie, dalej osoby, które uzyskały zatrudnienie i pracę.**

2) Osoby, pobierające niewielkie pobory służbowe.

3) Rodziny mające prawo do zasiłku wojskowego, miały uzyskać na ich żądanie uwolnienie z baraków. O ileby ich płace lub zasiłki wojskowe wynosiły mniej niż 70 hal. na każdego z członków rodziny miały być do kwoty tej uzupełnione.

4) Osoby z inteligencji, dla których ze względu na dotychczasowy tryb życia pobyt w barakach był szczególnie przykrym, miano wypuścić z baraków z przyznaniem im zasiłku rządowego, o ile nie

posiadały własnych funduszów. Wielki nacisk kładł namiestnik na ułatwienie chętnym do pracy uzyskania zajęcia i zarobkowania poza barakami, z pominięciem wszelkiej nie potrzebnej zwłoki i formalności. Odpowiedniem umieszczeniem superarbitrowanych żołnierzy i legjonistów miały się zająć kompetentne czynniki wojskowe.

Wkrótce po bytności namiestnika zaszła zmiana w kierownictwie administracyjnem i sanitarnem osady choceńskiej. Usunięcie nielubianego kierownika Blahy, lepsza opieka lekarska pod nowem kierownictwem dra Opieńskiego, pewne aczkolwiek nieznaczne, polepszenie wiktu, wypuszczenie niewielkiej zresztą liczby osób na pobyt w gminach, wysłanie około 1100 robotnic do Danji, a kilkuset ludzi na roboty w Czechach, przyczyniło się do uspokojenia umysłów w barakach, w czasie, gdy je z ks. Lagoszem w dniu 22. maja odwiedzaliśmy, chociaż na obóz spadła podówczas nowa klęska, mianowicie pojawienie się 3 wypadków tyfusu plamistego, które spowodowało zamknięcie 3 baraków.

Zastaliśmy w budowie nowy barak izolacyjny i duży budynek przeznaczony na szwalnię.

Liczba mieszkańców baraków zmniejszyła się, wynosiła w dniu 22. maja 13.613 osób — zmniejszyła się również śmiertelność.

W piśmie wystosowanem do namiestnika prosiliśmy z ks. Lagoszem przedewszystkiem **o powiększenie liczby lekarzy** dla szybszego stłumienia zarazy, o polepszenie wiktu w ogóle a w szczególności w barakach zamkniętych z powodu tyfusu plamistego, których mieszkańców oddano pod obserwację, wreszcie **o pospieszne uwolnienie z baraków** tych kategorji uchodźców, których namiestnik za bytności swojej w osadzie choceńskiej wypuścić polecił. Zarządzenie to wykonywano bowiem bardzo opieszale, jak świadczyły zażalenia, które przez długi jeszcze czas otrzymywałem (zał. 47).

Stłumienie zarazy było tem pilniejsze, że zbliżała się chwila powrotu tułaczy do kraju. Ministerstwo spraw wewnętrznych rozporządzeniem z 20 lipca 1915 wezwało uchodźców z 22 powiatów zachodniej Galicji i powiatu staro-samborskiego ze wschodniej części kraju, do powrotu do swoich siedzib, przyznając tym, którzy z pomocy państwowej korzystali, wolną jazdę i 4 tygodniowy zasiłek, o ile się zgłoszą do 3 tygodni od dnia ogłoszenia wezwania u władzy politycznej swojego miejsca zamieszkania w Galicji. W rzeczywistości wypłata tego zasiłku natrafiała na wielkie trudności, żalono się między innemi, że ministerstwo nie przekazało go we właściwym czasie władzom krajowym. Również i z biletami kolejowymi były rozmaite utrudnienia.[1])

Uchodźcy polscy opuszczali jak najspieszniej chwilowe swoje siedziby, gdzie rzadko kiedy doznawali gościnności, i dążyli do kraju. Tych, zresztą nielicznych, którzy się opóźniali, władze energicznie skłaniały do wyjazdu. Natomiast wyjazd mieszkańców osad barakowych, którzy się wprost rwali do powrotu, opóźniał się wskutek rozmaitych trudności, jakie im robiono. Dostawcy i personel barakowy niechętnie widzieli opróżnianie się baraków. Trzeba było licznych

---

[1]) „Głos Narodu" z 17 i 20 sierpnia 1915.

interwencji i ponagleń, by ludzi z „wolnych" powiatów stamtąd wydobyć.

O powrót Krakowian upominał się zarząd prowizoryczny miasta z komisarzem profesorem Nowakiem na czele. Upominały się również zebrania obywatelskie, na których wskazywano, iż według wykazów Izby rękodzielniczej krakowskiej istnieje wielkie zapotrzebowanie kwalifikowanych robotników w kraju, a tymczasem 950 rękodzielników krakowskich przebywa w barakach [1]). Nareszcie w końcu października ogłosiła policja wiedeńska, że prócz powiatów Galicji już poprzednio otwartych dla powrotu uchodźców, otwarto dla nich także miasta Kraków i Podgórze, tudzież gminy powiatów krakowskiego i wielickiego należące do obszaru twierdzy krakowskiej. Dla uzyskania pozwolenia powrotu były jednak różne formalności do załatwienia tak, że dopiero w ostatnich dniach listopada nastąpił wyjazd pierwszej grupy Krakowian z osady barakowej w Chocni.

Kraków poczynił przygotowania dla tymczasowego pomieszczenia i żywienia tych biedaków i wyszukania im pracy [2]). Pierwszy transport — około 1000 osób — który przybył 26 listopada został na dworcu uroczyście i serdecznie przyjęty. „Na twarzach wszystkich, którzy z baraków wrócili, odbiły się widocznie ciężkie cierpienia moralne i fizyczne, jakie na wygnaniu przeżywali" pisał „Głos Narodu" z 27 listopada „Wszyscy też wyrażają gorącą radość, że nareszcie się doczekali tego dnia w którym dane im było do stałych swych siedzib powrócić. „gorąco Panu Bogu dziękujemy — powtarzały przybyłe niewiasty — że nam dał zdrowo do Krakowa powrócić". Na samą wilję przybył ostatni transport do Krakowa, którym się również zaopiekowano. Przedtem wysłano 30 gimnazjalistów do zorganizowanej dla nich bursy przez K. B. K. w Nowym Targu, zaś 52 sierotki umieszczono w Domu sierocym na Białym Prądniku, gdzie p. Konstantowie Buszczyńscy ofiarowali na ten cel swoją realność Komitetowi Biskupiemu. Ks. Kasprzyk opisał swoją wizytę w tem schronisku wraz z „proboszczem choceńskim" ks. Słowiaczkiem: „te drobne istoty tyle już przeszły, przecierpiały, że dla nich „Dom" ten, to rajem ziemskim się zdaje. Co za radość bije z ich oczu; tu zapomniały, że los srogi pozbawił je wszystkiego, obdarł ze szczęścia. A wojna straszna nielitościwie obeszła się z niemi. — Oto stoi przed nami piękna dzieweczka, Kasia Maksymówna — aż z Lubelbelskiego — w piwnicy była, granat urwał jej nogę, odcięli ją, była w barakach; o ojcach wie tyle, że ojciec w wojsku rosyjskiem. To dwóch Bobaków wita się z ks. Słowiaczkiem. Matka w szpitalu w Chocni.

Oto Staszka Kotówna, Krakowianka; „gdzieś była" — pytam; „a w barakach w Leibnitz, tam mi mamusia umarli, tatuś gdzieś we świecie, tum się przytuliła"; to samo opowiada Stefa Brandówna. Kazio Śliwiński, biedny, on nic nie wie o rodzicach, i nikt o nich nie wie. To znów Jaś Filar z Podgórza opowiada: „Była ewakuacja, jechaliśmy długo, potem w kolei mi mamusia zmarli w drodze, a mnie

---

[1]) „Głos Narodu" z 5 sierpnia 1915.

[2]) „Ilustr. Kurjer Codzienny" z 11 listopada 1915.

tak wozili, aż przywieźli do baraków w Leibnitz, a potem tutaj". Karolinie Tłustowskiej z Krakowa, oboje rodzice pomarli w Leibnitz. Staszek i Michał Drechslerowie rodziców nie mają, jechali z babką na ewakuację, teraz babka w Chocni, a oni w „Domu Sierocym", Janinie Sechównie rodzice umarli w barakach, Kasia, Olga, Władysław Jabłońscy byli w Leibnitz, matka umarła w szpitalu w Grazu. Genia i Antoś Jaźwińscy opowiadają, że matka wracała z Prus ze zarobku, umarła w Leibnitz. I tak ciągle w kółko powtarza się jedna i ta sama smutna opowieść: „byliśmy ewakuowani, mamusia, tatuś umarli w barakach".[1])

V.

Jeszcze się baraki nie były opróżniły z uchodźców pochodzących z „wolnych" powiatów, gdy w listopadzie i grudniu przybyły tam nowe masy mieszkańców. Pomimo niekorzystnych doświadczeń poczynionych w poprzednim roku z umieszczeniem robotników sezonowych w barakach i protestów wnoszonych z tego powodu, znowu na jesień roku 1915 zarządziło ministerstwo spraw wewnętrznych przewiezienie od stacji granicznych i także z Oświęcimia — zamiast skierować ich wprost do Galicji — kilkudziesięciu tysięcy robotników, a właściwie głównie robotnic, do osad barakowych. Do Chocni przybyło ich w ciągu listopada i grudnia 1915, tudzież pierwszych dni stycznia 1916, około 20 tysięcy. W barakach zapanowało niebywałe przepełnienie. Rozsądnego celu w tych transportach nie można się było dopatrzeć, chyba że szło o dostarczenie przedsiębiorcom ludzi, którychby mogli żywić — a raczej głodzić. Zaznaczyłem to wyraźnie w pismach do ministerstwa spraw wewnętrznych [2]).

W barakach wyzyskiwano robotnice przy wymianie pieniędzy niemieckich. Traciły one ciężką pracą zarobiony grosz w kantynie na żywność, gdyż z wiktu barakowego wyżyć nie mogły. Wiele z nich zapadło na choroby zakaźne w barakach, niektóre na te choroby umarły. Od przetrzymywanych w barakach robotnic i od ich rodzin, otrzymałem z różnych okolic kraju setki rozpaczliwych listów z prośbą o wydobycie ich (zał. 48 i 49). Zbadawszy z ks. Andrzejem Lubomirskim stosunki na miejscu, wystosowaliśmy 12 grudnia energiczne pismo do ministra spraw wewnętrznych ks. Hohenlohego, a następnie osobiście u niego interweniowaliśmy o uwolnienie robotnic sezonowych z baraków. „Czerwony" książę — ks. Hohenlohe, miał w sferach konserwatywnych przed wojną reputację radykała, o co w tych czasach nie było wcale trudno, był to w rzeczywistości umiarkowany, liberalny człowiek — zarządził ich uwolnienie.

Z końcem stycznia, po wyjeździe przeważnej części robotnic — nie wszystkie jednak mogły wyjechać, zatrzymano ich dość znaczną liczbę w barakach zamkniętych z powodu tyfusu — pozostała w barakach przeważnie już tylko ludność z powiatów, do których powrót nie był jeszcze dozwolony. Wojskowość postarała się jednak, by ba-

---

[1]) „Głos Narodu" z 29 listopada 1915.

[2]) M. in. w memorjale z 3 listopada 1916 (zał. 77).

raki nie opustoszały. Dostarczyła bowiem nowych transportów ewakuowanych włościan ze wschodniej Galicji. Obóz barakowy przybrał nowy charakter: zamiast ludności miejskiej, a w szczególności z Krakowa, która tam poprzednio przebywała, zamieszkały w barakach rodziny włościańskie, a między niemi wielu Rusinów. Natomiast parę tysięcy Polaków wysłano ze stacji „perlustracyjnej" w Węgier. Hradyszczu do Gmünd — dowód jak niedbale sortowano tam ludzi według narodowości. Pisali stamtąd, by ich zabrać do Chocni, gdzie jest kościół polski i szkoła polska i żalili się na obchodzenie się z nimi ze strony Ukraińców (zał. 50 i 51). Nadto zarządziło ministerstwo wysłanie kilkuset osób narodowości polskiej — przeważnie robotnic sezonowych z zachodniej Galicji, które pozostały jeszcze w barakach kontumacyjnych — z Chocni do Gmünd, by zrobić miejsce nowym transportom Rusinów przybywających ze wschodniej Galicji. Zamierzano oczywiście robotnice te usunąć z pod opieki czynników, które się niemi opiekowały w Chocni i zamiast odesłać je po długiej nieobecności do domów, chciano umieścić je przy robotach w zachodnich krajach austrjackich. Wśród tych robotnic znajdowały się niektóre z powiatu tarnobrzeskiego, które zwracały się do mnie o pomoc, między innemi jakaś energiczna dziewczyna Katarzyna Wtorek, która pisała do mnie ze wszystkich stacji, w których przebywała (zał. 52). Byłem więc dokładnie informowany o ich wędrówce z baraków do baraków. Z Gmünd umieszczono rzeczywiście część tych robotnic przy robotach polnych na Morawach i t. d., część zaś, wobec moich upominań się o pozwolenie zwiedzenia obozu w Gmünd, odesłano do domu. Były wypadki, że robotnice z powiatu oświęcimskiego, powróciwszy w listopadzie 1915 roku z robót w Prusach do stacji granicznej w Oświęcimiu, odsyłano stamtąd, po kilkotygodniowym pobycie w stacji perlustracyjnej w Węg. Hradyszczu, do baraków kontumacyjnych w Chocni, stąd do baraków kontumacyjnych w Gmünd, wreszcie w maju 1916 odsyłano je do powiatu oświęcimskiego, o ile jeszcze nie ugrzęzły po drodze w Węg. Hradyszczu. Wszędzie pozostawały trupy, nie mówiąc już o tem, że cały zarobek za sezonowe roboty w Prusach był stracony.

Podobną wędrówkę odbywały rodziny włościańskie ze wschodniej Galicji. Wszędzie po drodze okradano je z krów, koni, wozów, które z sobą zdołały zabrać przy ewakuacji, aż je wreszcie rzucono na bruk w Pradze, dokąd przecież bydła, koni, i wozów nie mogły zabierać.

P. Marquet wykazywał następnie w swoich sprawozdaniach, ile to rząd wydaje na podróże uchodźców!

Pozwolenia na odwiedzenie Polaków w Gmünd nie otrzymałem od ministerstwa spraw wewn. Upomniał się o nie Wydział krajowy, którego byłem honorowym delegatem. Otrzymał również odmowną odpowiedź. Protestu jego (zał. 53) nie uwzględniono. Z początku twierdzono, że wogóle Polaków niema w Gmünd. Gdy się wykazałem ich listami, by uniknąć mojego mięszania się do spraw tego obozu, wysłano drobną ich część do kraju (zał. 54), większość do Cho-

cni, a stąd po odbyciu kwarantanny, do Pragi, wreszcie część odesłano wprost do tego miasta.

W Pradze trzymano tych rolników — gdy się już rozpoczęły roboty wiosenne w polu — w nędznych hotelikach i gospodach. Ludzie ci nie umieli sobie zupełnie dać rady w wielkiem mieście. Głodowali wprost (zał. 55 i 56). Jak mi później donoszono, zdarzały się pomiędzy nimi wypadki samobójstw z rozpaczy. Tymczasem policja pragska przestrzegała mieszkańców Pragi, by tym nędzarzom — głodnym i obdartym litościwa publiczność nic nie dawała, a w szczególności nie ofiarowywała starej odzieży, twierdząc, że między nimi są ludzie zamożni — oczywiście posiadający grunta we wschodniej Galicji, do których im wzbraniano dostępu, gdzie im spalono lub rozebrano chałupy, pola przeorano rowami strzeleckiemi, a inwentarz zrabowano — i że przed odjazdem z baraków obdarzono ich sowicie odzieżą (zał. 57). Była to nieprawda. W Gmünd każdy mieszkaniec baraków miał legitymację, a w niej rubrykę, w której uwidoczniano kiedy i ile odzieży otrzymał. Otóż rubryki te u polskich uchodźców były puste. W Gmünd odmawiano Polakom odzieży, twierdząc, że będą przeniesieni do „polskich" baraków w Chocni i tam ją otrzymają. Ci zaś, których odesłano najpierw do Chocni, przebyli, jak to już wspomniałem, kwarantannę w barakach zamkniętych, gdzie odzieży nie rozdawano, poczem ich wprost z tych baraków wyekspedjowano do Pragi.

Rabunek bydła uchodźców prowadzono wszędzie na wielką skalę. Próbowano go także w osadzie choceńskiej, starając się ich skłonić do sprzedaży inwentarza za bezcen, pod pozorem braku paszy (zał. 58). Przy znanem przywiązaniu naszych włościan do ich bydła, rozpacz z tego powodu była wielka. Wystąpiłem ostro z powodu tego rabunku, zapadły w tym względzie rezolucje Koła polskiego. Wreszcie wstrzymano rekwizycje, wskutek tego część włościan bydło swoje ocaliła, ale strat swoich uchodźcy nie odzyskali.

Transporty ewakuowanych — odbywające się w zimie w nieopalanych wagonach dla bydła, w czasie których nikt o wyżywienie ewakuowanych się nie troszczył, tak, że wielu, zwłaszcza dzieci, z wycieńczenia, zimna i głodu umierało już w podróży — skierowywano do stacji perlustracyjnej w Węg. Hradyszczu (Ung. Hradisch) na Morawach i Czeskiej Trzebowie (Böhmisch Trübau) w Czechach. Haniebne stosunki w tej stacji opisał ks. Pierzowicz (zał. 59), zaś w Hradyszczu ks. Marcinkiewicz i przydzielony do zarządu urzędnik galicyjskiego namiestnictwa Malicki (zał. 60—62). Stację tę zwiedziłem i doniosłem o jaknajbardziej ujemnych moich spostrzeżeniach i panującej tam strasznej śmiertelności ministerstwu spraw wewnętrznych i Wydziałowi krajowemu. Po mojej bytności w Hradyszczu, kierownik starostwa a zarazem i stacji perlustracyjnej Janustik, zasupendował w urzędowaniu p. Malickiego — który gorliwem ujmowaniem się za uchodźcami stał mu się niewygodnym — za wpuszczenie mnie do osady, aczkolwiek byłem do tego uprawnionym, na podstawie „rozkazu otwartego" ministerstwa. Następnie postarał się o odwołanie go do Galicji.

Z tych stacji perlustracyjnych, w których panował stale tyfus plamisty, wysyłano transporty uchodźców, które się tam nabawiły tej choroby, do Chocni. Zawlekły one zarazę do tego obozu. Wskutek lekkomyślności i nieuctwa kierownika sanitarnego dra Pelikana, tyfus plamisty ogromnie się rozszerzył — bywało po stokilkadziesiąt wypadków choroby równocześnie — a śmiertelność wzrosła w sposób przerażający. W pierwszem półroczu 1916. na przeciętnie 12.000 mieszkańców, umarło w osadzie choceńskiej 1.709 osób. Dr. Pelikan chwycił się następujących środków dla zwalczania zarazy, które w sprawozdaniu mojem do ministerstwa spraw wewnętrznych z 27 marca 1916 przedstawiłem: „W nieopalonym przedsionku łaźni, musiały kobiety, dziewczęta i chłopcy do 8 lat w grupach po 60 do 70 osób czekać w zimnie, zupełnie nago przez 5 do 6 godzin, — stąd liczne przeziębienia, a wskutek nich wypadki śmierci — aż dr. Frencl, inspektor Muznerowski i inni, każdą osobę z osobna zbadali, czy niema robactwa. Tych, u których skonstatowano robactwo, strzygli pomocnicy fryzjera Ferdynanda Lanne z Chocni włosy, tak na głowie, jak na całem ciele. Kobiety i dziewczęta były w rozpaczy — pomijając już bowiem, że obcięcie włosów u kobiet i dziewcząt jest uważane wśród ludności wiejskiej za znamię hańby i że ich kobieca próżność ciężko ucierpiała wskutek utraty włosów na głowie — to także ich poczucie wstydliwości zostało w najwyższym stopniu naruszone przez badania przeprowadzone przez mężczyzn i strzyżenie włosów przez młodych ludzi, którzy pozwalali sobie przytem na różne żarty. Odgrywały się sceny nie do opisania. Kobiety i dziewczęta mdlały, niektóre ze wzruszenia ciężko zaniemogły lub doznały wstrząsu nerwowego" (zał. 63). Zawiadomiony przez p. Władyczkową, kierowniczkę szwalni, że moja obecność w Chocni niezbędna, zjechałem tam, gdy się operacja powyższa już odbyła na kilkuset kobietach. Kobiety przyjęły mnie strasznym jękiem i spazmatycznym płaczem. U mężczyzn było takie wzburzenie, iż można się było obawiać, że rzucą się na personel barakowy i żandarmów. Obawiając się konsekwencji takiego aktu rozpaczy, nakazałem ludności — u której miałem wielki posłuch — spokój. Udałem się do zarządu, gdzie bez ogródek wypowiedziałem moje zdanie o tem postępowaniu i nazwałem je wprost czynem podlegającym ustawie karnej. Na telefoniczne moje zażalenie, namiestnik kazał natychmiast wstrzymać tego rodzaju osobliwe zarządzenia sanitarne. Były one oczywiście tylko aktem sadyzmu, i zupełnie bezcelowe pod względem sanitarnym, gdyż włosy po kilku dniach już oczywiście odrastały, a robactwo zagnieżdżone w barakach na nowo ludzi obłaziło. Musiałoby się tę operację strzyżenia powtarzać w nieskończoność. Jeżeli się na serjo chciało pozbyć robactwa, które roznosiło zarazę, należało przedewszystkiem oczyścić baraki, przeprowadzić dezynfekcję odzieży i bielizny, a mieszkańców oczyścić z robactwa odpowiedniemi maściami czy płynami. Jeżeli ich zaś brakowało, można było wreszcie zarządzić ostrzyżenie, ale w sposób kulturalny, przy kobietach używając do tego obsługi kobiecej.

Na zażalenie moje namiestnik odwołał wkrótce z zarządu baraków radcę namiestnictwa Cesanego, który się okazał na tem sta-

nowisku, podobnie jak i jego poprzednik, nieudolnym i złośliwym. Naczelny lekarz dr. Pelikan, brutal wobec bezbronnych, uniżony wobec tych, których potrzebował lub się obawiał, wielki spryciarz, zwalił całą winę na młodszego lekarza dra Frencla, którego zwolniono ze służby w barakach i wysłano na front. Jasnem jednak było, że taka masowa operacja nie mogła się odbyć w obozie bez wiedzy zamieszkałego tam lekarza naczelnego, do którego mnóstwo ludzi udawało się ze skargami na to postępowanie. Dr. Pelikan umiał zawsze sobie poradzić. Gdy arcyksiążę Karol Stefan w lutym 1916 roku — jeszcze przed owemi wypadkami — nie zapowiedziany przyjechał do obozu w Chocni, by się przekonać osobiście o tamtejszych stosunkach, Pelikan zaraz go pochwycił w swoją opiekę, pokazywał co uważał za wskazane i tak wszystko przedstawiał, iż zacny arcyksiążę, był przekonany, iż wszystko w obozie jest w porządku. Żałowałem, że mnie przy tem nie było. Byłbym mu z łatwością wykazał liczne braki, a przedewszystkiem na podstawie metryk udowodnił straszną śmiertelność panującą w obozie. Wszystko bowiem można było przedstawić z pewnego punktu widzenia jako dobre lub złe, jedynie tylko liczba zgonów była dowodem zupełnie przekonywującym o fatalnych stosunkach sanitarnych w osadzie.

Podczas, gdy mi się udało spowodować usunięcie z osady choceńskiej 2 wyższych urzędników, kierowników zarządu, kilku lekarzy i licznych funkcjonarjuszy, którzy zaniedbywali swoje obowiązki lub dopuszczali się nadużyć względem uchodźców, Pelikana nie można się było pozbyć, chociaż niebywała śmiertelność, szerzenie się i długie trwanie epidemji tyfusu plamistego, wyraźnie wskazywały na jego nieudolność, nadto powaga naukowa lekarska, profesor Uniwersytetu dr. E. Godlewski, który zjechał do baraków z ramienia książęco-biskupiego Komitetu, którego był gorliwym członkiem, wydał jaknajbardziej niekorzystną opinję o kierownictwie sanitarnem osady barakowej i nieudolności jego okazanej przy tłumieniu epidemji (zał. 64). Ale nietylko ze strony polskiej krytykowano działalność dra Pelikana, także i jego rodak, dr. Jarosław Hulka zwrócił się do mnie w obszerniejszem piśmie z dnia 20 czerwca 1917 z ostrą krytyką stosunków sanitarnych w barakach choceńskich, a w szczególności nieudolności dra Pelikana przy zwalczaniu jaglicy, grożącej ślepotą wielu ludziom, a w szczególności dzieciom, przyczem zaznaczył, że jako przyjaciel Polaków nie może obojętnie patrzeć na brutalne postępowanie z uchodźcami i na system leczenia, który narodowi polskiemu przysporzy więcej kalek jak zdrowych. Ogromna ilość dzieci chorych na jaglicę dowodziła słuszności tej krytyki (zał. 65). Dopiero wskutek ataków moich w parlamencie i na Kole polskiem, które zaczynały być dla rządu niewygodne, musiał dr. Pelikan ustąpić z zajmowanej posady, ku wielkiej radości ludności baraków (zał. 66 i 67).

Z powodu owej afery ze strzyżeniem włosów miałem zajście z szefem sekcji w ministerstwie spraw wewnętrznych Schreyerem, do którego sekcji sprawy uchodźcze tytularnie należały, aczkolwiek faktycznie rozstrzygał o nich radca Marquet. Zajście to przedsta-

wiłem za świeżej jeszcze pamięci z okazji odczytu, który miałem 20 stycznia 1918 w Krakowie o uchodźtwie [1])

Odnośny ustęp stenogramu brzmiał: „Kiedy po tych zajściach ze strzyżeniem kobiet i zatrzymywaniem naszych robotnic sezonowych w barakach choceńskich, bardzo silnie remonstrowałem, i powiedziałem, że w nikczemny sposób postąpiono, wyrwało mi się zdanie „Das sind russiche Verhältnisse" „To są rosyjskie stosunki". Wtedy wysoki urzędnik, któremu to powiedziałem, zarzucił mi, że porównuję administrację austrjacką z rosyjską i zagroził, że zrobi z tego powodu doniesienie. Na to odpowiedziałem: „Dobrze, rób Pan doniesienie, a narazie chodźmy do ministra Hohenlohego i zapytajmy go, czy jeżeli w ten sposób postąpiono z kobietami i ograniczono wolność osobistą, czy to jest postępowanie, które może mieć miejsce w Państwie prawnem, jakiem jest Austrja, czy też raczej odpowiada rosyjskim stosunkom, a ręczę Panu, że minister będzie musiał odpowiedzieć, że mam rację, że to nie są stosunki, które mogą istnieć w państwie austrjackiem". Udałem się rzeczywiście do księcia Hohenlohego, który mi oświadczył, po przedstawieniu mu stanu rzeczy, iż słuszność jest po mojej stronie i że nie pozwoli wystąpić przeciwko mnie.

Wśród wysiedleńców, których nowa fala ewakuacji zagnała do baraków, znajdowało się także trochę inteligencji, między innemi siostry radcy dworu przy wyższym Sądzie krajowym we Lwowie, Wyspiańskiego, żony urzędników państwowych, które na jego prośbę wkrótce stamtąd wydobyłem. Był tam także typowy wiejski szlachcic z Wołynia, Szymborski z rodziną, parobkiem i parą koni. Wydobycie go, jako poddanego rosyjskiego, wymagało dużo czasu. Zanim go odesłano do zachodniej Galicji, umarła mu żona i troje dzieci w barakach.

Wobec fatalnych jeszcze zawsze — pomimo różnych ulepszeń — stosunków zdrowotnych w osadzie choceńskiej, starałem się o przeniesienie uchodźców z niej do wybudowanych świeżo baraków nowego typu w Oświęcimiu, które — jak się przekonałem — były o wiele lepsze od choceńskich, a stały podówczas zupełnie pusto, albo też o umieszczenie ich po wsiach w zachodniej Galicji z przyznaniem państwowego zasiłku dla uchodźców. Radca Marquet, który nie uznawał pomocy państwowej dla uchodźców na terenie Galicji, odmówił stanowczo. Odmowę uzasadniał tem, że baraki w Oświęcimiu są wyłącznie przeznaczone dla robotników sezonowych udających się do Niemiec i Danji, lub powracających stamtąd. Tymczasem ruch robotników odbywał się tylko dwa razy do roku, a w czasie wojny był stosunkowo niewielki. Można więc było uchodźców tam pomieścić, tak jak dotychczas, zresztą zupełnie niepotrzebnie, umieszczało się powracających robotników sezonowych w barakach uchodźczych. Na pisma galicyjskiego Wydziału krajowego w tej sprawie, odpowiedziało ministerstwo spraw wewnętrznych 19 września 1916 pod l. 44.964. również odmownie „ponieważ jest nienaruszalną zasadą, przy której ministerstwo skarbu obstaje i od któ-

[1]) „Nowa Reforma" z 21 stycznia 1918 i inne dzienniki.

rej absolutnie odstąpić nie można, iż udzielanie pomocy państwowej na terenie wojennym nie należy do opieki nad uchodźcami, ale do akcji odbudowy kraju"[1]).

Okazało się, iż p. Marquet powołując się na ministerstwo skarbu mówił nieprawdę, gdyż z listu ministra skarbu pisanego do prezesa Bilińskiego (zał. 68) wynikało, iż ten najzupełniej się zgadzał na przyznanie zasiłku rządowego uchodźcom, których by się umieściło w zachodniej Galicji, i sam się zwracał z taką propozycją do ministra spraw wewnętrznych. Także i odpowiedź arcyksięcia Fryderyka na zażalenie biskupów galicyjskich z powodu niewłaściwości popełnianych przy ewakuacjach w Galicji, dowodziła, iż Naczelna Komenda armji nie miała nic przeciwko umieszczaniu uchodźców w zachodniej Galicji, dalej, że oświadczyło się za tem namiestnictwo galicyjskie — baron Diller — i że tylko ministerstwo spraw wewnętrznych, parło do umieszczenia uchodźców w obozach barakowych (zał. 69). Także twierdzenie, iż udzielanie pomocy państwowej na terenie wojennym nie należy do opieki nad uchodźcami, było oczywistą nieprawdą, albowiem ministerstwo spraw wewn. umieszczało podówczas uchodźców w Styrji — n. p. w Gussbergu — która od czasu wojny z Włochami była uznana za „obszerniejszy teren wojenny", a nawet w Karyntji, na „ściślejszym terenie wojennym", gdzie się znajdowała między innemi wielka osada barakowa w Wolfsbergu. Podniosłem to oczywiście w moim memorjale do rządu z dnia 3 listopada 1916.

Wkrótce po wspomnianych wydarzeniach w Chocni, reaktywowano Komisję uchodźczą Koła polskiego, wybierając 5 jej członków z większych grup Koła. Przewodniczącym został poseł Halban. Referat opieki nad uchodźcami chrześcijańskimi objąłem ja, a poseł Rauch nad żydami. Poseł Gall — równocześnie delegat Wydziału krajowego — bardzo gorliwie zajął się uchodźcami chrześcijańskimi i żydowskimi w Czechach, poza osadami barakowemi. Piątym członkiem Komisji wybranym został poseł Marek.

Na pierwszem posiedzeniu tej Komisji dnia 16 października 1916 r., omawiano między innemi następującą sprawę: W końcu sierpnia 1916 poleciło ministerstwo ogłosić w barakach choceńskich, iż pozwoli się jakiejś części uchodźców udać na prywatne kwatery do Styrji. Wszyscy tego pragnęli. Wybrano 520 osób, prawie wyłącznie kobiety z dziećmi. Po bardzo uciążliwej podróży, przywieziono ich do małej, górskiej miejscowości, Gussberg, położonej na wysokości przeszło 700 metrów, gdzie, gdy przybyli z końcem września, panowało już dotkliwe zimno. Nie umieszczono ich jednak w prywatnych mieszkaniach, lecz oburzonych popełnionem na nich oszustwem, pod bagnetami żandarmów, wśród wymyślań od „polskich świń" i bicia kolbami kobiet, zmuszono do udania się do nieczynnej w czasie wojny fabryki, gdzie w nieopalonych halach fabrycznych, o wybitych oknach, ich zamknięto (zał. 70 i 71). Na rozpaczliwe wezwanie nieszczęśliwych matek — jedna z nich przekra-

---

[1]) Tekst niemiecki w załączniku 77. Po ustąpieniu p. Marqueta z urzędu, umieszczono uchodźców w barakach w Oświęcimiu.


GUSSWERK
746 m

dła się do Wiednia i błagała mnie o ratunek dla dzieci — zjechałem do Gussbergu. W ciągu jednego miesiąca umarło tam było dwoje dorosłych i 10 dzieci. Wszyscy uchodźcy, z którymi mówiłem, zeznawali, iż żandarmi bili kolbami kobiety i wymyślali od „polskich świń". Wniosłem zażalenie. Oczywiście winnych nie wykryto, gdyż nie przesłuchano nikogo ze świadków (zał. 72). Okazało się dalej, że poprzednio umieszczono w tym lokalu uchodźców żydowskich. Gdy jednak przeciwko temu zaprotestowali ich przedstawiciele, zabrano ich stamtąd, a na ich miejsce — oczywiście, by przedsiębiorca na tem nic nie stracił — umieszczono Polaków.

Na konferencji komisji uchodźczej Koła polskiego, którą prezes Biliński zwołał w tej sprawie, przyszło pomiędzy mną a Marquet'em do bardzo ostrego starcia. Sprawę załatwił jednak Biliński, prosząc, jak zwykle łagodnym głosem, by zaraz zabrano uchodźców z Gussbergu i ulokowano ich w odpowiedni sposób, gdyż inaczej musiałby znowu prosić wysoko stojące osobistości o wzięcie ich w opiekę. Kilka dni później przewieziono ich do obozów dla włoskich uchodźców, w Mitterndorf i Reisenberg w Dolnej Austrji. Odwiedziłem ich tam, byli uradowani z pomieszczenia. Zwiedziłem przy tej sposobności obóz w Mitterndorf, nie było najmniejszego porównania z Chocnią; baraki w Mitterndorf były to domki o 8 pokojach. Każdy pokój przeznaczony dla jednej rodziny, miał osobne wejście z korytarza i zaopatrzony był w żelazny piecyk z kuchenką i żelazne łóżka z pościelą, ba nawet poduszki. Były tam doskonałe pracownie obficie zaopatrzone w materjał wartości 2 miljonów koron — w tym samym czasie szwalnia w Chocni była zamknięta przez dwa miesiące z braku materjału. Istniała pracownia obuwia dla osady. Około 30 proc. mieszkańców, miało zarobki w samej osadzie, częstokroć wcale wysokie. Ochronka, sierociniec, szpitalik dla dzieci, położnia, tak urządzone i wyposażone, że trudno lepiej sobie wyobrazić. Wikt nie bardzo obfity, ale dobry. Trzy razy tygodniowo mięso. Różnicę stosunków w obu osadach najlepiej ilustrowały następujące daty: Przy liczbie ludności w przecięciu rocznem 12.000 w Chocni, a 11.000 w Mitterndorf, znajdowało się wszpitalach w pierwszej z tych miejscowości zwykle około 700 osób, w drugiej tylko 200, chociaż tu przyjmowano do szpitala takich chorych, jakich się w Chocni pozostawiało w barakach, n. p. chorych na oczy i t. p. Śmiertelność wynosiła od 1 stycznia do końca października 1916 w Chocni 2.368 osób, w Mitterndorf 376. Bijącą w oczy była różnica w traktowaniu uchodźców włoskich — o których względy rząd austrjacki zabiegał, łudząc się, że w danym razie ludność południowego Tyrolu oświadczy się za Austrją — z polskimi. Osadę w Mitterndorf zwiedził także nieco później arcybiskup Bilczewski i pisał mi o niej 17 stycznia 1917: „Zadowolony jestem z tego co tam widziałem. Nie znaczy to jednak, żeby i tam skarg nie było na chleb i małe porcje. Sądzę, że najlepszem i koniecznem rozwiązaniem sprawy, jest przeniesienie naszych do Mitterndorf, gdzie wolne dobre baraki na 10.000 osób".

Starałem się o przeniesienie reszty Polaków z Chocni do Mitterndorf. Następca p. Marqueta obiecywał, ale nie dotrzymał.

W Reisenbergu stosunki się później popsuły. Otrzymywałem stamtąd skargi.

Sprawa uchodźców w Gussbergu była ostatnią przykrą aferą uchodźczą polską na większą skalę.

W Chocni nowy kierownik von Klepsch był człowiekiem ludzkim, a lekarz naczelny, obawiając się nowych zażaleń po aferze ze strzyżeniem kobiet, przyzwoiciej się sprawował. W obozie przeprowadzono z czasem znaczne ulepszenia, a że tymczasem poza obozem — wskutek rosnącej drożyzny — głód i nędza wśród uchodźców przebywających na prywatnych kwaterach się wzmogły, wydawała się mieszkańcom baraków ich dola stosunkowo znośniejszą jak dawniej. Współżycie Polaków z Rusinami było naogół zgodne, o co kierujące czynniki polskie usilnie się starały, nie odwzajemniając się za nieprzychylne traktowanie Polaków w Gmünd. Rusini zwracali się z wielkiem zaufaniem do polskich obrońców uchodźców w barakach, księży, zakonnic, przełożonej szwalni i t. d., tudzież do mnie, gdy tam przybywałem. Otrzymywałem od nich dość liczne listy. Czasami żalili się w nich na swoich posłów, że im jakichś życzeń nie załatwili — zupełnie niesłusznie, gdyż posłowie ukraińscy od czasu do czasu, gdy większa liczba Rusinów przybyła do Chocni, dość często tam zjeżdżali i okazywali zainteresowanie losem rusińskiej ludności baraków. Nie byli oni oczywiście w stanie tak tak samo jak i ja, załatwiać spraw poszczególnych jednostek, zwykle żądań na tle rekwizycji wojskowych w kraju i t. p.

Wśród Polaków wyrobiła się była solidarność w obozie. Garstka inteligencji, która tam przebywała, z wielką ofiarnością pracowała dla ogółu mieszkańców. Bardzo gorliwie spełniali swoje zadanie księża przysłani przez księcia biskupa krakowskiego, niosąc nietylko pomoc duchową, ale starając się usilnie o polepszenie egzystencji rzeszy powierzonej ich opiece. Wspomnę z nich tylko ks. Słowiaczka, pierwszego „proboszcza" choceńskiego, który przez długi czas spełniał swój urząd, następcę jego ks. Michalskiego, misjonarza, a przedewszystkiem młodego wikarego, ks. Pierzowicza, postać ewangeliczną, pełnego poświęcenia dla nieszczęśliwych, bardzo łagodnego usposobienia, a jednak odważnego i stanowczego, gdy szło o obronę uchodźców przed nadużyciami. Za tę obronę chciano go wygryźć już z baraków libnickich, a w Chocni czyhano tylko na sposobność pozbycia się go. Nadarzyła się ona, gdy ktoś niedyskretnie ogłosił w „Kurjerze Lwowskim" ustępy z memorjału ks. Pierzowicza do arcybiskupa Bilczewskiego (ks. Pierzowicz należał do djecezji lwowskiej) z krytyką stosunków w obozach barakowych. Po dwuletniej ofiarnej działalności da uchodźców, wydalono go z Chocni na polecenie ministra spraw wewnętrznych za „podjudzanie uchodźców i poniżenie państwowej opieki nad uchodźcami w artykułach dziennikarskich". Ks. Pierzowicz niósł także pomoc duchowną Polakom internowanym w obozach dla Królewiaków, zwiedzał liczne osady uchodźcze w Morawskiej Trzebowie i Węgierskiem Hradyszczu, przebywał często tam, gdzie grasował tyfus plamisty, a padł jego ofiarą dopiero po wojnie, w jakiejś górskiej wiosce we wschodniej Małopolsce, gdzie został proboszczem. Pełną po-

święcenia dla uchodźców była p. Władyczkowa, jak już wspomniałem, kierowniczka szwalni, gdzie liczne dziewczęta zatrudniała, uczyła pracy i zarobkowania, a zarazem wychowywała. Usiłowano i ją wyrugować — bezskutecznie, miała jakieś silne oparcie w Wiedniu, zdaje mi się, księżnej Windischgrätz. Cichemi, bezimiennemi pracownicami, były zakonnice zatrudnione w ochronce, a zwłaszcza zajęte w barakach dla chorób zakaźnych. Proponowałem jedną z nich szczególnie zasłużoną, Siostrę Weronikę, do odznaczenia, a równocześnie lekarza dra Majera — o ile wiem żyda. Oboje wynosili chorych na tyfus plamisty, w czasie pożaru, który wybuchł w jednym z baraków dla chorób zakaźnych, zarazili się przy tej okazji tyfusem i ciężko chorowali. Nie wiem, czy otrzymali odznaczenie. Zdaje się, że nie. Otrzymał je natomiast naczelny kierownik sanitarny, dr. Pelikan, jak stwierdziłem następnie w interpelacjach i przemówieniach w parlamencie, za największą ilość trupów i najdłużej trwającą epidemję tyfusu plamistego, ze wszystkich osad barakowych. I tych pracownic współczujących z chorymi, chciał się Dr. Pelikan pozbyć i zastąpić je pielęgniarkami obcemi zupełnie i obojętnemi dla doli uchodźców, ale mu się to nie udało. — Lekarze Polacy, którzy byli w barakach, na ogół spełniali dobrze swoje obowiązki. Dr. Opieński, doświadczony praktyk, szybko stłumił tyfus plamisty za pierwszem jego pojawieniem się. Ustąpił jednak wkrótce, podobno na żądanie galicyjskiego namiestnictwa, które go powołało do pełnienia służby w kraju. Ofiarą ujmowania się za uchodźcami padł dr. Leonard Ottenbreit. Gdy zjechał na jesień r. 1915 minister spraw wewnętrznych bar. Heinold dla zwiedzenia obozu, dr. Ottenbreit na zapytanie ministra, co do wiktu, odpowiedział otwarcie, że jest na ogół zły, a także i dla chorych nieodpowiedni. Było to wypowiedzeniem wojny przemożnemu p. Oplowi. Wkrótce potem pod pozorem jakichś błahych zaniedbań służbowych, wyrzucono go formalnie z baraków (zał. 73). Ująłem się za nim. Otrzymałem odpowiedź z namiestnictwa w Pradze, że wydaje mu się świadectwo, które nie może mu zaszkodzić dla otrzymania nowej posady, wypłaca należną płacę, ale do służby bezwarunkowo się go nie przyjmie z powrotem, z powodu okazania braku dyscypliny służbowej. Przyjęto go do kolumny sanitarnej K. B. K. Dobrym był skład nauczycielstwa w szkole choceńskiej, z kierownikiem p. Molisakiem na czele. Był to człowiek spokojny i ostrożny, który pomimo, że był przewodniczącym miejscowego Komitetu uchodźców, potrafił jednak uniknąć ostrzejszych zatargów z zarządem. Gorzej się powiodło sekretarzowi Komitetu, p. Wyspiańskiemu, suplentowi gimmnazjalnemu, który z natury rzeczy redagować musiał różne zażalenia, co oczywiście nie było mile widzianem w zarządzie. Gdy ks. Andrzej Lubomirski w połowie czerwca 1915 dostał się do obozu barakowego z synem i dwoma członkami jednego z amerykańskich Komitetów dobroczynnych, których był ze sobą wprowadził, by poznali niedolę barakową — nie dopuszczono ich do zwiedzenia baraków — zarzucono p. Wyspiańskiemu, że to on ich wpuścił przez boczną furtkę, od której posiadał klucz. Zabroniono mu raz na zawsze wstępu do osady barakowej. Zastępował go p. Puchałka, późniejszy poseł. Do Komitetu miejsco-

wego należał również inteligentny robotnik z Krakowa, p. Kolkiewicz, który ostro występował przeciwko różnym nadużyciom.

Do zarządu przydzielono z czasem sekretarza namiestnictwa galicyjskiego, Żółkiewicza, który wśród uchodźców pozostawił bardzo dobrą pamięć, a po jego odwołaniu młodego praktykanta p. Woroszyńskiego, który przez długi czas, prawie aż do zwinięcia obozu dla uchodźców polskich, przebywał w Chocni. Okazywał on dużo dobrej woli, oddawał uchodźcom, o ile stanowisko jego na to pozwalało, różne przysługi, a mnie udzielał cennych nieraz informacji.

Ludność zgnębiona, zgłodniała, znękana, zachowywała się spokojnie. Poważniejszych ekscesów nie było. Nawet „andrusy" krakowskie i „batjary" lwowskie nie dawali na ogół powodu do poważniejszych zażaleń. Rygor był ogromny w obozie, kary niezmiernie sutowe. Za drobne przewinienia umieszczano ludzi w baraku dyscyplinarnym nr. 10, zwanym „10 pawilonem", w zupełnem odosobnieniu od reszty uchodźców i gorszym jeszcze wikcie jak w innych barakach. Przetrzymywano ich tam nieraz przez długie miesiące. Były dość częste zażalenia na bicie ludzi przez personel barakowy, a zwłaszcza przez żandarmów, którzy się na ogół zachowywali brutalnie.

Przykład księżom zainteresowania się losem uchodźców dawali arcybiskup Bilczewski i biskup Sapieha. Pierwszy z nich zwiedził osady w Mitterndorf i Chocni (zał. 76). Drugi udzielał wydatnej pomocy uchodźcom, tworząc filje Komitetu biskupiego w większych skupieniach tułaczych, posyłając do nich księży i zakonnice, udzielając znacznych zapomóg w gotówce i in natura z funduszów, które składano na jego ręce. Mleko kondensowane przesłane z jego polecenia do Chocni, uratowało życie wielu dzieciom, gdy w obozie zabrakło mleka. Opiekował się dziećmi, których rodzice obumarli w barakach, umieszczając je w domu sierot, lub choremi na gruźlicę, które wysłano do schroniska w Zakopanem. Dzieci chore na egipskie zapalenie oczu, które panowało w obozie, umieścił w schronisku w Oświęcimiu. Z jego inicjatywy utworzono bursę w Nowym Targu dla kilkudziesięciu studentów przebywających w barakach. Obaj biskupi jeździli kilkakrotnie w sprawach uchodźców do Wiednia i interwenjowali u właściwych władz, osobiście lub pisemnie, nie szczędząc nieraz silnych akcentów w swoich pismach (zał. 75), a ks. biskup Sapieha starał się zainteresować cesarzową Zytę smutną dolą tułaczy [1]). Episkopat zwracał się w sprawach ewakuowanych do Naczelnej komendy armji (zał. 69), a także do Koła polskiego o pieczę nad uchodźcami, wskazując na słabe jego zainteresowanie się losem wygnańców (zał. 76).

Nie okazało ono rzeczywiście zbyt wielkiego zaiteresowania się tą kwestją, aczkolwiek sprawy uchodźcze dotyczyły kilkuset tysięcy mieszkańców Galicji i wymagały ciągłej opieki. Nie szczędził jej prezes Koła, Biliński, pomimo nawału różnych spraw, jakiemi był obarczony. Jednak niewielu członków Koła — liczącego po wstąpieniu do niego socjalistów, a następnie po przyjęciu grupy Stapińskie-

---

[1]) „Trzy lata działalności K. B. K.", Kraków 1918, str. 85.

go, 80 członków — zajmowało się uchodźcami. To też częste i silne były ataki w kraju na zebraniach i w prasie, przeciwko Kołu polskiemu [1]), względnie poszczególnym grupom poselskim, z powodu zaniedbywania obowiązków względem tych nieszczęśliwych obywateli kraju [2]). Oczywiście nie wszyscy posłowie mogli zajmować się temi sprawami. Wystarczałoby wobec rozlicznych zadań, jakie Koło polskie miało podówczas do spełnienia, gdyby po paru posłów z większych grup, a chociażby po jednemu z mniejszych, zajęło się kwestją uchodźczą. Były jednak całe grupy poselskie, z których ani jeden poseł nie widział baraków dla polskich uchodźców, ani też nie zabrał głosu w sprawach uchodźczych, czy to na konferencjach z rządem, czy też później w izbie poselskiej i nie okazał w jakikolwiek inny sposób zainteresowania się dolą tułaczy. Wogóle obojętność przywódców dla licznych szarych mas ludności, które podówczas najbardziej potrzebowały opieki i pomocy, była rzeczywiście wprost zdumiewającą i niezrozumiałą. Słyszałem też nieraz, zwłaszcza chodząc po osadach barakowych, głosy oburzenia i wcale niepochlebne epitety, któremi ludność uchodźcza wybrańców swoich obdarzała.

VI.

Rząd hr. Stürgkh'a okazywał jawne lekceważenie parlamentu i na wszelkie żądania zwołania go odpowiadał odmową. Lekceważenie tej instytucji odbiło się oczywiście także i na stanowisku posłów. Dość spora ich garstka była, jak to już wspomniałem, pod kluczem. Lekceważono nietylko posłów, ale także i najpoważniejsze instytucje samorządowe. Świadczyło o tem n. p. odmówienie marszałkowi krajowemu pozwolenia na zwiedzenie baraków w Libnicy, pomimo instancji ministerstwa Galicji lub odmowa udzielona Wydziałowi Krajowemu galicyjskiemu, bym jako jego delegat zwiedził osadę w Gmünd.

Delegatem Wydziału Krajowego zostałem z powodu oświadczenia z strony ministerstwa spraw wewnętrznych, że nie może udzielić mi jako posłowi pozwolenia na zwiedzanie baraków, w których znajdują się Polacy, gdyż musiałoby konsekwentnie udzielić takich pozwoleń każdemu innemu posłowi, któryby się o to zgłaszał. Pomijając już, że nadmiaru kandydatów nie było, nie można było chyba uważać za nieszczęście, gdyby posłowie wglądnęli w stosunki, w jakich ludność ich kraju przebywała w obozach barakowych, i o spostrzeżeniach swoich zawiadomili ministerstwo. Inaczej się już rzecz przedstawiała ministerstwu, gdy mnie Wydział Krajowy, a więc władza, — coprawda tylko autonomiczna — zgłosił jako swojego delegata. Otrzymałem więc 10 lipca 1915 stałe pozwolenie na zwiedzanie baraków dla polskich uchodźców w Chocni. Baraki choceńskie zwiedzałem dość często i składałem sprawozdania o moich spostrzeżeniach ministerstwu spraw wewnętrznych, a w odpisie

---

[1]) Znalazły one także wyraz w wydawnictwie powojennem, „N. K. N." p. K. Srokowskiego, Kraków 1923, str. 315.

[2]) N. p. „Głos Narodu" z 11 listopada 1914, 10 września 1916, „Ilustr. Kurjer Codzienny" z 4 października 1916, 24 stycznia 1918 itd. itd.

Wydziałowi Krajowemu, przedstawiając przy tej sposobności także moje uwagi o innych osadach, które zwiedziłem lub o stosunkach uchodźczych wogóle. Gdy po śmierci hr. Stürghka stosunki polityczne zaczęły się zmieniać, otrzymałem z ministerstwa „rozkaz otwarty" („Offene Ordre"), upoważniający mnie do zwiedzania wszystkich osad, w których znajdowali się Polacy. Oczywiście przesyłałem w dalszym ciągu odpisy moich sprawozdań Wydziałowi Krajowemu, który się stale uchodźtwem interesował.

Prasa, która była niesłychanie skrępowaną za rządów Stürghka, nie mogła swobodnie pisać o stosunkach uchodźczych. Wszelka ostrzejsza nieco krytyka ulegała konfiskacie. Szczególnie drażliwą była cenzura na punkcie osad barakowych, a gdy przypadkiem cenzura przepuściła jaki artykuł nieprzychylny dla tych osad, zaraz zarządy powodowały sprostowania z urzędu. Wprost śmiesznem było sążniste sprostowanie artykułu umieszczonego przez dra Danielaka w „Nowej Reformie", z zupełnie słuszną krytyką osady libnickiej. Namiestnictwo w Grazu w obszernem piśmie, które „Nowa Reforma" musiała umieścić w nrze z dnia 11 stycznia 1915, przedstawiło osadę w tak ponętnych barwach, jak gdyby szło o reklamowanie jakiego pensjonatu, urządzonego z wielkim komfortem.

Pomimo, że artykuły o uchodźtwie i barakach świeciły często białemi plamami, pisały jednak dzienniki krajowe wiele o tej kwestji, a w szczególności prasa krakowska: „Głos Narodu", „Ilustrowany Kurjer Codzienny", „Czas", „Nowa Reforma", a z lwowskich dzienników głównie „Kurjer Lwowski". Przeważna część tych pism wytykała, jak to już wspomniałem, bezczynność pewnych grup poselskich, zaś posłom, którzy się zajmowali opieką nad uchodźcami, nie szczędziła słów zachęty [1]), przyczem moja działalność spotkała się z nader łaskawą oceną.

Po gwałtownej śmierci hr. Stürghka — 21 października 1916 — człowieka czystych rąk, zdolnego i pracowitego biurokraty, w stosunkach osobistych gentlemena, ale pod względem politycznym zwolennika absolutyzmu i germanizacji, spóźnionego przedstawiciela systemu, który Austrję w połowie XIX wieku uczynił jednem z najbardziej znienawidzonych państw w Europie, zaczęły się zmieniać nastroje wśród biurokracji wiedeńskiej.

Po objęciu władzy przez prezydenta ministrów Körbera i barona Schwartzenau jako ministra spraw wewnętrznych, przedstawiłem im w memorjale z 3 listopada 1916 położenie polskich uchodźców. Memorjał zawierał ostrą krytykę dotychczasowych zarządzeń ministerstwa spraw wewn. i umotywowane żądanie, by uchodźcom i ewakuowanym, przebywającym w Galicji, przyznano zasiłek państwowy, uchodźców polskich z baraków przeniesiono we właściwej porze roku do zachodniej Galicji, a tymczasem przeprowadzono w barakach odpowiednie ulepszenia, wreszcie, by zasiłek uchodźcy, nie wystarczający ze względu na drożyznę na najskromniejsze nawet

[1]) N. p. „Głos Narodu" z 30 października 1915, 24 listopada 1915, 14 i 20 lipca 1917, „Ilustr. Kurjer Codzienny" z 4 października 1916, „Nowa Reforma" z 23 kwietnia 1915. „Kurjer Lwowski" z 30 listopada 1917 itd. itd.

utrzymanie, podwyższono. Żądałem również, by zaniechano wywłaszczenia bydła, uratowanego przez ewakuowanych. Memorjał ten, który — podobnie jak memorjał poprzedni dla cesarza — miał pewien wpływ na polepszenie stosunków uchodźczych, przytaczam w całości (zał. 77).

Baron Schwartzenau rozporządzeniem z 30 listopada 1916 L. 60745 zgodził się zasadniczo na pomieszczenie w zachodniej Galicji uchodźców ze wschodniej części kraju, przyznając im zasiłek państwowy. Liczbę ich i pomieszczenie miało ministerstwo ustalić w porozumieniu z namiestnictwem galicyjskiem. Zarządził nadto, iż uchodźcom mającym prawo do pomocy państwowej przebywającym w Galicji, należy pozostawić wolność wyboru, czy chcą znaleść pomieszczenie w Galicji, czy też udać się dalej w głąb państwa. Zasiłek dla uchodźców podwyższył z dniem 1 grudnia 1916 na 1 K. 50 dziennie od osoby. Prezes Biliński telegrafował mi zaraz o tym sukcesie — bawiłem bowiem wtenczas poza Wiedniem — a osoby obznajomione ze stanem rzeczy, gratulowały mi tej przewagi nad Marquetem (zał. 78). Ten, licząc się już widocznie z polską opinją publiczną, próbował przedstawić to zarządzenie jako swoją zasługę i spowodował umieszczenie notatki w tym sensie w pismach polskich. Oczywiście nie omieszkałem sprostować tej mylnej informacji, zaznaczając, iż radca Marquet był stale i zasadniczo przeciwny udzielaniu zasiłku państwowego uchodźcom przebywającym w Galicji. Powołałem się przytem na pismo jego do Wydziału Krajowego [1]).

W kilka tygodni później, w styczniu 1917 roku, gdy zaczęto na serjo mówić o zwołaniu parlamentu, p. Marquet zrezygnował ze swojego dość wysokiego stanowiska urzędowego i objął dobrze płatną posadę przy wielkim przemyśle. Przy swoim sprycie z łatwością się domyślał, że w parlamencie byłby przedmiotem wcale niemiłych ataków. Kierownictwo spraw uchodźczych objął po nim radca Negbauer, niepochlebnie zapisany w naszej pamięci, jako referent spraw uchodźczych przy namiestnictwie w Grazu. Na nowem stanowisku nie okazał wprawdzie przychylności dla naszych uchodźców, ale nie był także tak wrogim jak Marquet — co prawda i stosunki się już zmieniały i samowola biurokracji miała się ku końcowi.

Na wiosnę roku 1917 zdecydowano się wysłać 8000 uchodźców, tj. 4000 Polaków i po dwa tysiące Rusinów i Żydów do zachodniej Galicji. Ministerstwo zarządziło, by nie wysyłać osób wchodzących w rachubę jako siły robotnicze, zaś personel barakowy czyhał na okazję, by zagarnąć bydło powracających uchodźców (zał. 79). Przeciwko jednemu i drugiemu trzeba było znowu walczyć. Wreszcie odjechały rodziny włościańskie, zabierając 500 krów i 30 koni, które zdołano ocalić.

Sprawy uchodźcze przydzielono w namiestnictwie urzędnikowi, którego absorbowały całkowicie sprawy policji państwowej, a który dla opieki nad uchodźcami nie miał ani zrozumienia, ani czasu.

Rozlokowanie uchodźców przez ministerstwo w porozumieniu z namiestnictwem galicyjskiem odbyło się bez uwzględnienia, czy

---

[1]) „Głos Narodu" z 28 grudnia 1916.

okolice, do których ich posyłano, były bardziej lub mniej zniszczone. Nieraz umieszczano ich w powiatach, które najbardziej ucierpiały wskutek walk i w gminach częściowo spalonych, których mieszkańcy sami mieszkali po sąsiednich wsiach lub w prowizorycznych budynkach. Wypłata zasiłku odbywała się nadzwyczaj powoli i nieregularnie.

Stąd też liczne rekryminacje i krytyka ze strony instytucji — jak np. Komitetu Wydziałów rad powiatowych dla spraw ewakuacyjnych — i dzienników polskich [1]). Prasa polska i przedstawiciele Polaków ujęli się za Polakami i Rusinami (zał. 80). Naogół jednak nieszczęśliwi tułacze czuli się lepiej w kraju na wolności, wśród otoczenia, które nie było im wrogie, jak na obczyznie, a zwłaszcza w barakach. Gdy ich nikt nie pilnował, wielu z nich umykało do zamkniętych jeszcze powiatów i zabierało się do odbudowy zniszczonych swoich budynków i gospodarstw, mieszkając w skleconych na prędce schroniskach lub po norach w opuszczonych rowach strzeleckich.

W roku 1916 i w pierwszej połowie roku 1917 los włościan ze wschodniej Galicji, zagnanych do różnych miejscowości w zachodnich krajach austrjackich, był jeszcze gorszy, jak mieszkańców osady choceńskiej. Przeważną część polskich Komitetów uchodźczych zwinięto już w końcu roku 1915, gdy większość Polaków wróciła do kraju. Pomocy więc ze strony polskiej inteligencji zwykle w pobliżu nie było. Włościanie sami, nie znając języka i stosunków, nieporadni, nie wiedząc nawet gdzie się zwrócić o ratunek, wydani byli na pastwę przedsiębiorców lub miejscowej ludności, która ich nieraz, zwłaszcza w Styrji, niemiłosiernie wyzyskiwała. O istnieniu różnych mniejszych osad tych wysiedleńców dowiadywano się tylko przypadkowo. I tak np. dowiedziałem się o osadzie w Gleissdorf, w której przebywało przeszło 300 ewakuowanych wśród bardzo ciężkich warunków, od inteligentniejszego uchodźcy z Chocni, który się tam zabłąkał (zał. 81). Osadę w Gallenhofen (zał. 82) i kilka innych, gdzie ludzie żyli w podobnych warunkach, odwiedził delegat ks. biskupa Sapiehy, ks. prof. Schweiger. O stosunkach w powiecie Feldbach dowiedziano się z prasy (zał. 83).

Gdy zbierał się parlament, tułaczka polskich wygnańców miała się ku końcowi. Według wykazu urzędowego, który otrzymałem, przebywało w dniu 1 maja 1917 roku w zachodnich krajach austrjackich jeszcze 22.251 Polaków, korzystających z pomocy państwowej, z tego 7.500 w barakach. W tym samym czasie było tam jeszcze 61.308 Rusinów (40.316 w barakach), tudzież 173.265 Żydów (9.019 w barakach). Stosunki w barakach, jak to już wspomniałem, były się poprawiły, natomiast po gminach były gorsze z powodu coraz większej drożyzny, ale i Galicja była wyczerpana z żywności, tak, że wielu uchodźców, a w szczególności ludność żydowska ze spalonych i zniszczonych miasteczek, wcale się nie kwapiła z powrotem do kraju. Niejednokrotnie musiałem na życzenie rodzin żydowskich z mojego okręgu wyborczego wstawiać się na niemi, by im pozwolo-

[1]) „Gazeta Poranna" z 23 marca i 1 maja 1917, „Kurjer Lwowski z 24 lipca 1917 itd.

no pozostać we Wiedniu, lub też w innej miejscowości zachodnio-austrjackiej.

Przed zebraniem się parlamentu zrezygnował prezes Biliński — wskutek zmienionej sytuacji politycznej i odsunięcia się znacznej części Koła polskiego od orjentacji austro-polskiej, której był gorącym i wytrwałym zwolennikiem — z prezesury Koła polskiego, na którem to stanowisku oddał był krajowi, a także uchodźcom, bardzo znaczne usługi.

VII.

W parlamencie zajęto się gorliwie kwestją uchodźczą. Kwestja ta zajmowała nietylko przedstawicieli Galicji, ale także Włochów i Słowian południowych.

Wniesiono przedewszystkiem szereg interpelacji. Interpelacje posłów z krajów południowych wskazywały, iż przy ewakuacjach, przeprowadzonych w tych prowincjach, postępowano także z wielką bezwzględnością i że obchodzenie się z ewakuowanymi było naogół nieodpowiednie.

Najwięcej interpelacji wnieśli posłowie ukraińscy. W interpelacjach tych występowano przedewszystkiem przeciwko postępowaniu wojska przy ewakuacjach we wschodniej Galicji, żalono się z powodu nieudzielenia przez długi czas żadnej pomocy ewakuowanym, którzy pozostali w kraju, tudzież na nieporządki przy wypłacie zasiłków w Galicji, gdy je nareszcie przyznano. Poruszono kwestję złego odżywiania mieszkańców osad barakowych, zwłaszcza w Wolfsbergu. Była także interpelacja z powodu złego traktowania uchodźców ukraińskich w wiedeńskiej Centrali dla uchodźców, przyczem wskazywano na brak osób wśród personelu tej instytucji, któreby władały językiem ukraińskim. W interpelacjach tych, również jak i w przemówieniach posłów ukraińskich w parlamencie dotyczących uchodźtwa zaniechano wystąpień przeciwko Polakom, a krytyka urzędowania władz galicyjskich była rzeczową.

Część posłów niemieckich, a w szczególności wszechniemcy i nacjonaliści niemieccy odnosili się niechętnie do uchodźców, a zwłaszcza do Żydów. Interpelacje przeciwko uchodźcom żydowskim wnosili posłowie Wolf, Dobernig i inni. Z posłem Wolfem polemizował poseł sjonistyczny Straucher z Bukowiny. Interpelował on także w sprawie złego obchodzenia się z uchodźcami żydowskimi. Wystąpienia jego cechowała jednak przesada i nieliczenie się z prawdą. To też rząd, który zresztą starannie unikał odpowiedzi na niemiłe mu interpelacje, albo też jak najdłużej z nią zwlekał, pospieszył się odeprzeć zarzuty Strauchera (odpowiedź rządu nr. 241), podniesione w jego interpelacji w sprawie uchodźców żydowskich, wykazując, że niemal wszystkie fakta przez niego podane są nieprawdziwe.

Ze strony polskiej wniósł poseł Witos interpelację w dniu 14 czerwca 1917 (nr. 152) z powodu nieudzielenia pomocy państwowej ludności ewakuowanej z gmin leżących w pobliżu linji Dunajca do powiatu brzeskiego. Całe mienie pozostawione przez ludność zabrały

wojska niemieckie, albo też zostało one zniszczone w czasie walk. Ewakuacja trwała 5 miesięcy, a władze nie przyznawały zasiłku ewakuowanym, którzy cierpieli głód i nędzę i zostali zdziesiątkowani przez choroby. Żądano odszkodowania dla tej ludności.

W dniu 26 czerwca 1917 wpłynęła moja interpelacja w sprawie nadużyć popełnionych na uchodźcach (zał. 84). Gdy rząd nie kwapił się z odpowiedzią na to niemiłe mu zapytanie, wniosłem ponowną interpelację, zawierającą już tylko streszczenie poprzedniej (zał. 85). Na ponaglenia moje rząd odpowiedział wreszcie po 8 miesiącach, dnia 26 lutego 1918 (nr. 434) w obszerniejszem elaboracie (zał. 86). Oczywiście starano się winę władz zmniejszyć, ale przyznawano, iż popełniono dużo niewłaściwości. W obronę wzięto Centralę odzieżową przy ministerstwie spraw wewnętrznych i jej dostawcę p. Bosla. Broniono również dra Salpetra z Węg. Hradyszcza, aczkolwiek ogromna śmiertelność w tej osadzie, również jak i bardzo niepomyślne stosunki, które cały szereg wiarygodnych osób stwierdził, wskazywały na wielkie zaniedbania z jego strony. Co do kierownika i personelu tej osady oświadczono — po 8 miesiącach — iż dochodzenia jeszcze nie zakończone. Wskazano na to, iż dr. Pelikan został przeniesiony. Oświadczono wreszcie, że dat o śmiertelności w obozach uchodźczych dostarczy się później, co oczywiście nie nastąpiło.

Imieniem komisji uchodźczej Koła polskiego, postawiono dnia 23 czerwca 1917 r. (nr. 362) wniosek opracowany przez posła Halbana i przezemnie, o wydanie przez rząd odpowiednich zarządzeń celem ochrony uchodźców. W tym samym dniu wybrano w Izbie poselskiej specjalną Komisję dla spraw uchodźczych. Proponowano mi jej przewodnictwo. Ponieważ jednak liczba uchodźców-Polaków, korzystających z pomocy państwowej była już nieznaczną i ciągle malała, uważałem za bardziej wskazane objąć przewodnictwo Komisji zasiłkowej, gdzie toczyły się sprawy zasiłków wojskowych itp., reprezentujące wartość miljardów koron dla Galicji. Przewodnictwo Komisji uchodźczej objął prof. Halban, który doskonale spełnił swoje zadanie. Jako członek tej Komisji miałem dalej do czynienia ze sprawami uchodźców.

Na posiedzeniu z dnia 3 lipca przedstawiłem Komisji postępowanie rządu z uchodźcami polskimi, a w szczególności z tymi, którzy byli umieszczeni w barakach. Posłowie niemieccy, nie chcąc usłyszeć niemiłych dla nich rzeczy, wynieśli się po cichu. Pozostali tylko posłowie tych narodowości, które ucierpiały w czasie uchodźtwa. Jako przedstawiciel rządu zasiadał szef sekcji Schreyer, ten sam, który mi swojego czasu groził odpowiedzialnością z okazji krytyki stosunków w barakach choceńskich. Usłyszał ją ponownie na komisji, lecz wśród innych okoliczności. W spokojnem co do formy przemówieniu, przedstawiłem najgorsze epizody z baraków: przymusowe wywiezienie uchodźców do Serbji, strzyżenie kobiet w Chocni, straszną śmiertelność w barakach choceńskich i w Węgierskiem Hradyszczu, epizod z Gusswerkiem itd. W czasie mojego przemówienia poseł włoski Pittoni, człowiek nerwowy, który miał sam jak najprzykrzejsze wspomnienia z czasów wojny, zwracał się do

przedstawiciela rządu z głośnemi uwagami, potem, coraz bardziej podniecony, zaczął wymyślać od łotrów i łajdaków, „Wer sind die Gauner, wer sind die Schufte, die das gemacht haben" itp., przyczem wymachiwał pięściami pod nosem p. Schreyerowi, który siedział blady jak chusta na swojem miejscu. Gdy ciągle podawałem nowe fakta, poseł Pittoni rzucił się ku Schreyerowi, że jednak był chory na serce, nagle z wzruszenia zemdlał (zał. 87 i 88). Zrobiło się wielkie zamięszanie, jedni posłowie ratowali Pittoniego, drudzy zwrócili się z wymyślaniem ku Schreyerowi, który jak najspieszniej uciekł z sali.

Zajście z posłem Pittonim zrobiło wielkie wrażenie w parlamencie i oczywiście na przedstawicielach rządu. Na następne posiedzenia komisji nie zjawiał się już szef sekcji Schreyer, lecz inny reprezentant ministerstwa, sekretarz minister. Montel, który okazywał dużo dobrej woli i ustępliwości. Celem uregulowania prawnego opieki państwowej nad uchodźcami, poseł włoski Bugatto i ja wnieśliśmy projekty ustawy o ochronie uchodźców (zał. 89). Projekta te w porozumieniu z przedstawicielami rządu opracowywał poseł Halban, który dołożył usilnych starań celem dojścia do skutku ustawy (zał. 90). Ułożono wspólny projekt, który Komisja uchwaliła.

Najważniejsze postanowienia ustawy były następujące: Przyznanie zasiłku państwowego dla ewakuowanych i uchodźców, którzy opuścili swoje stałe miejsce zamieszkania wskutek wypadków wojennych, bez względu na to, czy przebywają na obszarze wojennym (w Galicji), czy też poza nim. Zasiłek miał wynosić 2 kor. dziennie od osoby, a dla niektórych kategorji osób, niezdolnych do zarobkowania (kalek, starców itp.), 4 kor. Stosownie do wzrostu drożyzny miał być podwyższony. Zasiłek mieli otrzymywać uchodźcy jeszcze przez dwa miesiące po swoim powrocie do swoich siedzib, o ile zastosowali się w ciągu 30 dni do wezwania do powrotu, ogłoszonego przez władzę. Umieszczenie w barakach mogło być zastosowane li tylko dla osób korzystających z pomocy państwowej dla uchodźców, przyczem umieszczanie to jak najbardziej ograniczono i wydano szereg postanowień dla ochrony osób, przebywających w osadach barakowych. Niezamożnym uchodźcom, pobierającym zasiłek wojskowy, przyznano także zasiłek uchodźczy. Umożliwiono uchodźcom pracę i zarobkowanie, przyznając pracującym zasiłek uchodźczy, o ile ich dzienny zarobek nie przewyższał kwoty 4 Kor. Uregulowano także przepisy co do powrotu uchodźców na koszt rządu.

Oprócz projektu ustawy uchwalono równocześnie w Komisji cały szereg rezolucji dla rządu, mających na celu ochronę uchodźców [1]).

Dla Polaków ochrona uchodźców poza Galicją — w czasie uchwalania ustawy było ich już tylko kilkanaście tysięcy — stała się sprawą drugorzędną, a ważniejszem było, obok zapewnienia pomocy państwowej dla uchodźców przebywających w Galicji, uzyskanie odszkodowania dla tych licznych rzesz ewakuowanych, którzy przez długi czas — nieraz i dwa lata — przebywali w zachodniej części

[1]) Załącznik do protokołu stenogr. Izby posel. nr. 480 z r. 1917.

kraju, nie korzystając zupełnie z opieki rządowej. Z tego też powodu na Komisji uchodźczej domagałem się umieszczenia postanowienia o odszkodowaniu dla wspomnianej kategorji ewakuowanych, w ustawie o ochronie uchodźców. Upominał się także o nie poseł słoweński Fon. Wspólny nasz wniosek nie utrzymał się jednak wobec opozycji rządu, który wskazywał na wielkie koszta i trudności stwierdzenia, komu się wypłata należy, i wobec obojętności posłów z Galicji, którzy, jak zwykle, nie jawili się w większej liczbie na posiedzenia Komisji (zał. 91). Wniosek ten jednak, zgłoszony jako wniosek mniejszości, przeprowadziłem następnie na plenum Izby poselskiej.

Z okazji pierwszego uchwalania projektu komisji odbyła się w dniu 12 lipca 1917 debata w Izbie poselskiej w sprawie uchodźtwa. Projekt ustawy referował poseł słoweński ks. Krek — późniejszy premjer jugosłowiański. Imieniem rządu przemawiał minister spraw wewnętrznych hr. Toggenburg. Oświadczył, iż rząd poczuwa się do obowiązku zajęcia się wszelkiemi siłami sprawą uchodźców. Przedstawił to, co na polu opieki nad uchodźcami rząd dotychczas uczynił. Wskazał na to, „że ewakuacja i ucieczka przybrały niespodziewanie olbrzymie rozmiary. Niestety, wobec ogromnych mas uchodźczych nie można było uniknąć pewnych niedomagań. Minister nie chce temu przeczyć, że baraki przy dłuższym pobycie w nich okazują pewne niekorzyści sanitarne i obyczajnościowe. Lecz nie należy lekceważyć korzyści systemu barakowego. Tylko te obozy dają możność natychmiastowego pomieszczenia wielu tysięcy". Tu odezwały się głośne protesty z ław poselskich. „Minister przytoczył następnie, jakie z biegiem czasu wprowadzono w barakach zarządzenia opiekuńcze i zdrowotne. Ja z mej strony — oświadczył minister — mogę tylko zauważyć, że poczytuję sobie za mój specjalny obowiązek dokonać jak najszybszej poprawy w barakach. Minister omawiał obszernie administrację i zarząd baraków, zaznacza, że z dniem 1 maja br. celem położenia końca zyskom pośrednim, wprowadzono w miejsce wyżywienia uchodźców we wszystkich barakach za pośrednictwem towarzystw, żywienie we własnym zarządzie państwowym. Przy omawianiu stosunków panujących w barakach należy także uwzględnić stosunki panujące poza barakami. Nie możemy domagać się, aby ubodzy uchodźcy byli lepiej wyposażeni, niż ludność miejska. Ludność miejska wystaje po 12 godzin, aby otrzymać tylko kawałek mięsa, a uchodźcy wcale bez trudu otrzymują pożywienie. (Przerywania).

Pos. Teufel (wszechniemiec): Niechaj uchodźcy pracują!

Pos. Reitzes: Jak pan może mówić coś podobnego. Jak pan może atakować tych męczenników. Czy to jest kultura niemiecka. Patrz pan tylko na cmentarze. (Żywe przerywania).

Między posłem Teuflem a pos. Reitzesem przyszło do żywej wymiany słów.

Następnie przedstawił minister zasady, jakich się trzymano przy powrocie uchodźców do miejsc ich zamieszkania, poczem omawiał projekt ustawy będącej przedmiotem obrad. Postanowienie par. 9. projektu, że wszystkim osobom niezamożnym, które od początku

wojny zostały ewakuowane, a które nie doznawały opieki ze strony władz, o ile miały one prawo do opieki państwowej, ma być wedle ustawy zwrócony koszt utrzymania za czas, w którym tej opieki nie doznawały, nie oznacza nic innego, jak działanie wstecz ustawy będącej przedmiotem obrad, i to na czas lat trzech, tj. od początku wojny"[1]) Minister sprzeciwił się zatem wnioskowi, który postawiłem imieniem mniejszości komisji co do odszkodowania dla ewakuowanych.

Z przedstawicieli Galicji przemawiał prof. Kolessa, oczywiście za uchwaleniem ustawy i odszkodowaniem ewakuowanych. Poseł sjonistyczny Reitzes polemizował ostro z niemieckim posłem ze Śląska Freisslerem, który w jednem ze swoich przemówień wystąpił był przeciwko uchodźcom żydowskim. Wskazał na nadużycia, jakich się za czasów absolutyzmu Stürgkha dopuszczano na uchodźcach: parlament był ubity, prasa milczała i żaden głos nie mógł się wydobyć w obronie tych, których gnębiono. Poseł włoski Pittoni namiętnie zaatakował rządy austrjackie, a wskazując na ławę ministrów mówił, że „już nie zasiada na niej żaden członek bandy zbrodniarzy, która nas przez trzy lata dręczyła". Posłowie niemieccy zrzekli się głosu, albo też nie jawili się na sali, chociaż byli zapisani do głosu. Po mowie posła włoskiego Degasperego, który opiekę rządu nad uchodźcami włoskimi poddał ostrej krytyce, wybrany zostałem mowcą generalnym za ustawą. Przemówiłem w następujących słowach: „Późną jesienią 1914 r. przeszło 400 tysięcy uchodźców z Galicji i Bukowiny znalazło schronienie w zachodnich krajach koronnych. Jest rzeczą oczywistą, że umieszczenie i wyżywienie takiej masy ludzi nie było łatwem zadaniem, to też niektóre świadczenia władz z tego czasu zasługują na uznanie, a niektóre błędy, które popełniono, dadzą się wytłumaczyć. Ale nie do wytłumaczenia jest, że wiele niewłaściwości, zaniedbań, nadużyć i wprost bezprawi trwało miesiącami, a nawet całemi latami, i że uchodźcom naogół nie okazywano żadnej życzliwości. Popełniono ciężkie błędy, jednym z błędów podstawowych było postępowanie przy ewakuacjach. Pozwolę sobie Panom przedstawić kilka wypadków z okazji ewakuacji, których sam byłem świadkiem. Zwiedziłem gminy w moim okręgu wyborczym, z których ewakuowano mieszkańców i gdzie biednym ewakuowanym wszystko co posiadali, nie wyłączając sukni kobiecych i środków żywności, wszystko zrabowano, albo też zniszczono. Nawet obrazy Świętych i krucyfiksy na ścianach porozbijano (Słuchajcie! Słuchajcie!) Działo się to np. w gminie Jeżowe. Spotkałem tysiące nieszczęsnych ewakuowanych, którzy obozowali w polu. Gdy ich odwiedzałem jeszcze w 6 tygodni po ewakuacji, pytałem się ich, czy otrzymują zapomogę rządową i w jakiej wysokości. Odpowiedzieli, że otrzymali 1 koronę dla dorosłych a 50 halerzy dla dzieci (była to kwota przepisana rozporządzeniem jako dzienny zasiłek dla ewakuowanych). Pytam ich: „To było za jeden dzień"? „Ach nie — odpowiadają — za cały czas ewakuacji!" Za sześć tygodni otrzymali ci ludzie na osobę 1 koronę, względnie 50 halerzy! Sądzę, iż każdy

[1]) Streszczenie według Telegr. biura korespond. z 13 lipca 1917.

przyzna, iż ta kwota była trochę za niską, ażeby rodziny mogły się z niej wyżywić. I to jest właśnie powód, dlaczego obecnie w Komisji zażądaliśmy, ażeby tym ludziom, którzy swojego czasu zostali ewakuowani wskutek zarządzeń władzy i nie otrzymali zasiłku, dodatkowo przyznano zasiłek państwowy a odnośne postanowienie jest zawarte w § 9 projektu ustawy, który przedłożyliśmy Izbie.

Na niektórych przykładach wykażę, jak się czasami obchodzono z ewakuowanymi. W gminie Jeżowe jeden z mieszkańców, niejaki Walenty Mścisz, nie zastosował się do zarządzenia ewakuacyjnego. Był to człowiek, który swego czasu przebywał w zakładzie obłąkanych, z którego go później jako nieuleczalnego, ale nieszkodliwego wypuszczono. Ten człowiek nie zrozumiał zarządzenia ewakuacyjnego i nie zastosował się do niego. Gdy honwedzi przyszli do jego domu i chcieli mu coś z jego własności zabrać, odepchnął jednego z nich. Na to inni honwedzi rzucili się na niego i zaraz go powiesili. Na jego grobie umieszczono napis: „Spion". W ten sposób powstawali u nas szpiedzy i zdrajcy. (Słuchajcie! Słuchajcie!). W tej sprawie spisano protokół z przesłuchania świadków w urzędzie parafjalnym w Jeżowem i przesłano go do sądu powiatowego w Nisku pod l. 1388 z roku 1916 celem uznania Mścisza za zmarłego. Wypadek ten został stwierdzony w sposób nie ulegający wątpliwości.

Innych ewakuowanych — czy to z nieznajomości stosunków ze strony władz, czy też przypadkowo — posłano zamiast do osad uchodźczych, do obozu internowanych, między innemi do osławionego obozu w Thalerhofie. Zgłosiło się np. do mnie kilku mieszkańców gminy Chełm w powiecie krakowskim, a to Marja Waligóra, Marja Szczypka, Franciszek Poniedziałek, Antoni Wyroba, którzy — ponieważ nie zastosowali się w terminie do zarządzenia ewakuacyjnego — w dniu 6 grudnia 1914 wysłani zostali do Thalerhofu. To byli także owi sławni zdrajcy, przebywający w Thalerhofie.

Dalej zawiadomiono mnie, że pewna ilość służących, po największej części z Krakowa, zamiast do obozu dla uchodźców, została również wysłaną do Thalerhofu. Wniosłem w tej sprawie zaraz podanie do ministerstwa spraw wewnętrznych, które się porozumiało w tej kwestji z urzędem nadzoru wojennego, a po jakimś czasie otrzymałem pismo ministra spraw wewnętrznych z dnia 17 lipca 1915, w którym mnie zawiadomił, że jedna z osób wymienionych w mojem podaniu umarła już w Thalerhofie, a inne uwolnione zostały z obozu internowanych i wysłane do osady uchodźców. Widzicie z tego moi Panowie, z jakiego to ludzkiego materjału składali się po największej części internowani w Thalerhofie. Było tam wiele ewakuowanych służących, ewakuowanych włościan, którzy przypadkowo dostali się do Thalerhofu, a potem nazywało się, iż to są wszystko polscy zdrajcy.

Liczba Polaków w Thalerhofie była stosunkowo niewielką, gdyż wśród przeszło 6.500 ludzi, którzy się tam znajdowali z początkiem roku 1915, było wszystkiego 506 Polaków, a między nimi według wszelkiego prawdopodobieństwa, tylko kilku naprawdę podejrzanych. To też jeżeli tutaj ujmujemy się za internowanymi i żądamy ścisłego dochodzenia w sprawach Thalerhofu, czynimy to nietylko

w interesie Polaków, którzy w tej sprawie byli mniej zainteresowani, jak inni, ale ze względów ogólnych, czynimy to poprostu ze względów ludzkości. (Oklaski).

W Thalerhofie przebywali także Polacy z Królestwa Polskiego, którzy powiększali liczbę rzekomych galicyjskich zdrajców. Otrzymałem np. list kanonika kieleckiego i proboszcza w Zagórzu, ks. Zamojskiego, który za to został internowany, iż w dniu 1 grudnia 1914 jeden z lekarzy wojskowych znalazł na jego biurku gazetę z Warszawy, którą ten proboszcz zakupił od chłopaka w Dąbrowie Górniczej, roznoszącego publicznie te gazety, które zapewne do Dąbrowy przemycono. Gdy proboszcz spokojnie gazetę tę pozostawił na swojem biurku i dostrzeżono ją tam, zaraz go bez przesłuchania wyekspedjowano do Thalerhofu. Przebywał tam około 3 miesięcy, a potem został konfinowany w Maria Trost pod Grazem. Stamtąd pisał mi, że przez ten cały czas nie był przesłuchiwany, nawet zapytywany, i że nie wie właściwie o co się go obwinia. Ksiądz ten pisze — a sądzę, że można mu przecież wierzyć: „Świadczę się Bogiem, że nawet myślą nie popełniłem żadnego przestępstwa przeciwko państwu austrjackiemu". Ksiądz, który się na Boga powołuje, by wykazać, że nawet myślą nic złego przeciwko Austrji nie uczynił, został za to tylko, że znaleziono na jego biurku gazetę z Warszawy, internowanym przez przez dłuższy czas w Thalerhofie, w tym osławionym, strasznym Thalerhofie, a kosztowało dość dużo starań zanim go z tego więzienia, a następnie z konfinowania, wydobyliśmy.

Na razie nie chcę mówić o Thalerhofie i o internowanych. Nietylko ten ksiądz ale tysiące Polaków z Królestwa Polskiego zostało internowanych li tylko za to, iż byli poddanymi rosyjskimi — i pozostali w internowaniu jeszcze po manifeście obu sprzymierzonych monarchów z dnia 5 listopada 1916 chociaż uznano wtenczas samoistną Polskę. Pozostali internowanymi jako rosyjscy poddani, którymi wcale już nie byli. Wymagało to różnych starań i o ile wiem współdziałała tu także i jej cesarska mość cesarzowa, ażeby nareszcie doprowadzić do uwolnienia największej części tych ludzi. Ale pomylilibyście się moi Panowie, gdybyście sądzili, że wszyscy już powrócili do swojej ojczyzny. Jeszcze setki tych Polaków znajdują się w internowaniu i przed bardzo jeszcze krótkim czasem, było ich około 200 w samym Drosendorfie. (Głos: Znajdują się tam jeszcze!). Jest rzeczą konieczną, ażeby nareszcie nie internowano Polaków z powodu rosyjskiego poddaństwa i pozwolono im powrócić do ich rodzin.

Powracam do kwestji, która nas właściwie tutaj zajmuje. Jak już wspomniałem, popełniono grube błędy przy ewakuacji. Zmuszono dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy ludzi, do opuszczenia swoich siedzib i przewieziono ich przymusowo na zachód. Że to nie było potrzebnem, ani też pożytecznem dla biednych ewakuowanych, a także i dla miejscowej ludności, jest, zdaje mi się, rzeczą, która nie ulega wątpliwości. Byłoby o wiele lepiej, gdyby tych ludzi pozostawiono w Galicji. Tego jednak nie mogli zastępcy Polaków wyjednać. Również i powrót tych ludzi do ich kraju, był połączony z jak największemi trudnościami. Jak się z tymi ludźmi obchodzono, wykażę Panom tylko na kilku przykładach. W styczniu 1915 roku

zwiedziłem wraz z posłami Średniawskim, Długoszem i Banasiem obóz uchodźców w Wagna. Jeżeli Panowie myślicie, że nam się łatwo udało uzyskać pozwolenie do zwiedzenia obozu, to gruntownie się mylicie. Przedewszystkiem odmówiono nam — przynajmniej o ile to dotyczy osoby mojej i kolegi Banasia — wprost tego pozwolenia. (Słuchajcie! Słuchajcie!). Odmówił radca sekcyjny von Marquet, w ministerstwie spraw wewnętrznych. Tak, musieliśmy dopiero zwrócić się do innego posła, który był lepiej zapisany u p. radcy sekcyjnego, by uzyskać pozwolenie do odwiedzenia naszych wyborców w obozie dla uchodźców w Wagna. Znaleźliśmy tam bardzo smutne stosunki. Najsmutniejszem jednak ze wszystkiego było, iż się okazało, że znaczną część uchodźców przymusowo zesłano do Serbji na roboty. Pragnę wam moi Panowie tylko przeczytać, cośmy o tem w dniu 25 stycznia 1915 napisali do właściwych władz centralnych: „Baraki otoczyli w nocy żandarmi. Mężczyzn zbudzono ze snu, wielu z nich wydarto przemocą od ich żon i dzieci i wyekspedjowano do Serbji. Tam cierpieli głód i zimno, nie otrzymali żadnej płacy, wielu zgubiło swoje pakunki a nawet pieniądze, które zarobili byli sobie jako robotnicy sezonowi w Niemczech. Z około 4000 ludzi, których wyekspedjowano do Serbji, powróciło do połowy stycznia tylko około 1500. Przybywają jeszcze poszczególni robotnicy strasznie wychudzeni, zupełnie wycieńczeni, często chorzy. Jeżeli już fakt, że właśnie uchodźców i robotników z Galicji tak ciężko nawiedzonej wojną, wyszukano do robót w kraju nieprzyjacielskim, gdy można było przecież użyć do świadczeń wojennych mieszkańców okolic sąsiadujących z Serbją, wywołać musi zdumienie, to już jako wprost naruszenie ustawy uznać trzeba fakt, że do tych robót zmuszono ludzi, mających nawet znacznie więcej jak 50 lat. Zamiast gościnnego przyjęcia w krajach niedotkniętych wojną, znalazło wielu uchodźców galicyjskich śmierć w Serbji, albo przyniosło stamtąd zarazki zakaźnych chorób, między innemi tyfusu plamistego, które stanowią obecnie groźne niebezpieczeństwo dla całego obozu barakowego".

Napisaliśmy to 25 stycznia 1915 roku. Możecie Panowie sobie przedstawić, że wśród ówczesnych stosunków nie byliśmy się odważyli pisać nieprawdy do przedstawicieli rządu, gdyż inaczej z łatwością bylibyśmy zostali pociągnięci do odpowiedzialności.

Między tymi ludźmi, o których wspomniałem, znajdowali się ludzie mający nietylko więcej jak 50 lat, ale wprost starcy. Na przykład Michał Płedziński z Dąbrowy, powiat Bochnia, 65-letni, Marek Kłosowski z Kurowic, powiat Przemyślany, 62-letni. Byli tam także chłopcy czternastoletni, np. Jan Marciuk, Iwaszko itd. Oto cały wykaz — nie jest on oczywiście zupełny, — obejmujący kilkaset nazwisk robotników, którym udało się powrócić ze Serbji.

Jak to już wzmiankowałem, wybuchł w obozie tyfus plamisty. Z urzędowego oto wykazu wynika, że od 3 stycznia 1915 do 27 czerwca 1915 tyfus nieprzerwanie grasował w tym obozie, a były dnie, w których liczba chorych na tyfus plamisty wynosiła 168 osób.

O żywieniu tych ludzi w obozie nie będę obszerniej mówił, powołam się tylko na podanie Związku przemysłowców powiatu libnickiego do tamtejszego starostwa. W podaniu tem, umieszczonem

w „Grazer Tagblatt" 12 stycznia 1915, oświadczono: „Pozwalamy sobie uprzejmie donieść, że całe oddziały ludzi z obozu uchodźczego maszerują całemi godzinami i udają się do dalekich miejscowości, ażeby zakupić żywność dla zaspokojenia swego głodu, a to z tego powodu, iż miasto Leibnitz, które leży w pobliżu obozu, jest dla nich zamknięte".

Ludzie musieli zatem całemi godzinami maszerować, ażeby coś zakupić. Wikt w obozie był bowiem tak lichy, że absolutnie nie mogła się nim ludność zadowolnić.

Później zamknięto obóz tak ściśle, że zdarzały się wypadki, iż zamykano w obozie rodziców, którzy się tam dostali, ażeby wydobyć swoje córki. Jest rzeczą jasną, że ci biedni rodzice byli stroskani o dobro moralne i fizyczne tych dziewcząt. Nie pozwolono im zabrać córek do powiatów niezagrożonych przez Rosjan w Galicji, nawet ich samych zatrzymano przymusowo w obozie (Słuchajcie! Słuchajcie!), aczkolwiek mieli odpowiednie środki pieniężne do życia, i chociaż pozostawili w domu małe dzieci i całe swoje gospodarstwo. Zgłosili się do mnie np. z pomiędzy nich Anna Cap i Jan Szymoniak. Prosiłem w ministerstwie o ich uwolnienie. Otrzymałem od radcy sekcyjnego Marqueta odpowiedź wymijającą. Tymczasem oboje zachorowali na tyfus plamisty. W czasie, gdy przybyli do obozu nie było tam jeszcze tyfusu plamistego, zaznaczam, że nie z powodu tyfusu plamistego ich zatrzymano. Szymoniak umarł w obozie, Capowa szczęśliwie wyzdrowiała. W obozie znajdowali się także zamożni ludzie, którzy nie potrzebowali pomocy państwowej, a także o nią nie prosili. Wspomnę tu między innemi o wypadku Pauliny Miklasiewicz, właścicielki domu w Kołomyji, której zięć, Kajetanowicz, urzędnik państwowy, starał się o wydobycie jej, najpierw z obozu barakowego w Nikolsburgu, w którem ją umieszczono, aczkolwiek jest chrześcijanką, a potem z obozu barakowego w Wagna. Kajetanowicz miał swoją płacę jako urzędnik, a pani Miklasiewiczowa była właścicielką domu, zamożną osobą. Odpowiedź, jaką Kajetanowicz otrzymał ze starostwa w Baden w dniu 9 kwietnia 1915 r. liczba 355, brzmiała: „C. k. Ministerstwo spraw wewnętrznych nie uwzględniło Pańskiego podania o pozwolenie przesiedlenia Pańskiej teściowej Pauliny Miklasiewicz z Leibnitz barak No. 24 do Alland". (okrzyki: Słuchajcie! Słuchajcie!). Polski Komitet, który istniał podówczas w Wiedniu, zwrócił się z zażaleniem do prezydjum Rady ministrów. Orzymaliśmy potem pismo, w którem zawiadomiło nas, że zażądało od namiestnictwa w Grazu stwierdzenia, czy p. Miklasiewiczowa należy do warstw socjalnie wyżej stojących, w którym to wypadku zostanie zwolnioną z obozu barakowego i przesłaną do jednej z gmin uchodźczych w Czechach, mianowicie do Pardubic, ale nie do córki do Allandu. Ale 70-letnia staruszka nie czekała na załatwienie, sama sobie poradziła: po prostu zemknęła z obozu i przybyła do swej córki do Allandu. W ten sposób została sprawa załatwioną. (Wesołość!).

Moi Panowie! Znacie galicyjski Wydział Krajowy i wiecie dobrze, że to nie jest żadna rewolucyjna, lecz bardzo spokojna władza. Z powodu złego obchodzenia się z uchodźcami w Wagna wystąpił

Wydział Krajowy energicznie i oświadczył co następuje: „Wydział Krajowy otrzymał właśnie od swojego delegata, posła na Sejm krajowy hr. Zamoyskiego, bardzo smutną wiadomość, że do obozu barakowego w Wagna pod Libnicą, pomimo kilkakrotnych przedstawień ze strony Wydziału Krajowego, tudzież prezesa parlamentarnego Koła polskiego, ciągle przybywają nowe transporty i że w samym tylko miesiącu kwietniu 2300 uchodźców tam przybyło. Jest rzeczą nieludzką, ludzi, którzy zmuszeni zostali wskutek wypadków wojennych opuścić swoje siedziby, którzy po największej części wszystko stracili co posiadli i powinni wzbudzać współczucie i litość, w ich nieszczęściu narażać na niebezpieczeństwo zarażenia się tyfusem plamistym, której to zarazie, jak wiadomo, najłatwiej ulegają ci, którzy świeżo przybywają".

W Wagna bywało, jak wspomniałem, po 168 wypadków tyfusu plamistego. Wydział Krajowy słusznie remonstrował przeciwko umieszczaniu zdrowych uchodźców w zarażonym obozie.

Nie będę długo mówił o Chocni, przytoczę tylko parę dat: W pierwszych 4 miesiącach roku 1915 umarło tam przy przeciętnej liczbie 10.000 mieszkańców, — 725 osób. Gdybyśmy wtenczas nie byli energicznie interwenjowali i gdybyśmy nie byli uzyskali poparcia — muszę to podnieść — dwóch członków domu cesarskiego i zainteresowania się samego cesarza, byłyby te stosunki pozostały zapewne równie złemi, jak były podówczas. Ale i w roku 1916 była ogromna śmiertelność w tym obozie. Przy 12.500 mieszkańcach w rocznem przecięciu, było 2628 wypadków śmierci. Sądzę, że te liczby przemawiają najwymowniej, gdyż nikt nie umiera naumyślnie i komukolwiek na przekór. Można wszystko możliwe opowiadać, można się na wszystko żalić, można również wszystkiemu zaprzeczać, ale tym cyfrom, które wykazują ogromną śmiertelność, nie da się zaprzeczyć i one dowodzą, jakie tam stosunki panowały.

Ze względu na to, że Pan Prezydent już dzwonił, muszę kończyć moje wywody. Proszę Was jednak, moi Panowie, byście się ujęli za uchodźcami, ażeby choć przynajmniej tym, którzy pozostali jeszcze, mogło się dopomódz. Dopomóżcie im przez to, że tę ustawę, którąśmy omówili i uchwalili w Komisji, przyjmiecie!

Paragraf 9 tej ustawy ma według propozycji, którą w Komisji złożyliśmy, ja, poseł Fon i inni panowie, następujące brzmienie: „Tym niezamożnym osobom, które swojego czasu wskutek zarządzenia władzy (ewakuacji) zmuszone zostały opuścić swoje siedziby, a nie korzystały z pomocy państwowej, ma się wypłacić koszta utrzymania za cały czas, przez który pomocy tej nie otrzymywały, w tej wysokości, jaką wynosił zasiłek ewakuacyjny względnie zasiłek państwowy dla uchodźców".

Proszę zatem ustawę wraz z odnośnym dodatkiem uchwalić (żywe oklaski)" [1]).

Izba uchwaliła ustawę wraz z proponowanem przezemnie uzupełnieniem.

---

[1]) Dosłowny przekład z protokołu stenograficznego Izby poselskiej z dnia 12 lipca 1917, str. 919—923.

Trzykrotnie jeszcze omawiano w Izbie poselskiej sprawy uchodźców.

Jedną z debat spowodowały zajścia w obozie w Wagna, w którym mieścili się Włosi. W dniu 4 października 1917 zaaresztowała żandarmerja dwóch uchodźców, którzy się po pijanemu dopuścili ekscesów. Po drodze żandarmi bili i pokrwawili aresztowanych. Tłum uchodźców zajął groźną postawę wobec żandarmów, a wyrostki zaczęły ich obrzucać kamieniami. Jeden z żandarmów strzelił i zabił 11-letniego chłopca. Czasy się były zmieniły. Z tego zajścia, gdzie wina była po obu stronach, tak żandarmów jak i uchodźców, zrobiono wielką aferę. Komisja z Izby poselskiej wyjechała na miejsce dla zbadania faktycznego stanu rzeczy. Na podstawie jej sprawozdania, zapadły w Komisji uchodźczej rezolucje, wyrażające ubolewanie z powodu użycia broni, żądanie dochodzenia przeciwko żandarmom. Zwrócono się w rezolucji przeciwko obozom uchodźczym wogóle, a w szczególności zażądano reorganizacji obozu w Wagna, domagając się m. in. ustanowienia urzędników i personelu władającego biegle językiem uchodźców itd. W dniu 16 października obradowano w Izbie poselskiej nad temi rezolucjami. Przemawiali tak posłowie włoscy, jak też przedstawiciele innych narodowości. Minister spraw wewnętrznych mocno się submitował. Z Polaków mówił Halban jako przewodniczący Komisji, ja zaś przemawiałem imieniem Koła polskiego. Poseł Halban w krótkiem przemówieniu poddał krytyce system barakowy. Wskazał na „mur chiński", jaki stworzono pomiędzy ludnością miejscową w krajach zachodnich monarchji a uchodźcami przez system barakowy. „Ludność miejscowa musiała uważać to policyjne odosobnienie uchodźców jako dowód ich nieprawomyślności politycznej. Nie mogła tego inaczej zrozumieć, gdyż nie da się to w inny sposób wytłumaczyć. Była ona codziennie świadkiem wszystkich możliwych wyjątkowych zarządzeń przeciwko uchodźcom, widziała jak gminy, starostwa, nawet namiestnictwa odmawiały im książeczek robotniczych (słuchajcie! słuchajcie!), widziała jak im odbierano możność swobodnego poruszania się i uczciwego zarobkowania. Ludność nie mogła rozróżnić, że jest pewna różnica między aresztantami a uchodźcami. A przecież istniała taka różnica i to nawet bardzo znaczna — ale na korzyść aresztantów. Władze sprawiedliwości mogą się bowiem poszczycić, że postępowanie w aresztach jest u nas w porównaniu z innemi państwami dość humanitarne. Aresztanci są nieźle pomieszczeni, a w zwykłych czasach także nieźle żywieni, mają lekarzy, urządzenia szpitalne itp., jednem słowem są o wiele lepiej traktowani jak uchodźcy, których umieszczano dawniej w licho skleconych barakach i o których w tym czasie się nie troszczono. Gdy ludność miejscowa uroiła sobie, iż uchodźcy są ludźmi podejrzanymi politycznie, wtenczas dopiero rząd mógł śmiało oświadczyć, że się musi uchodźców odosobnić od tej ludności, ponieważ ta jest dla nich źle usposobioną. Dopiero po upływie pół roku udało nam się uzyskać od ówczesnego ministra spraw wewnętrznych odpowiednie pouczenie dla władz i dla ludności, ale to już było zapóźno.

Nie chcę się wdawać w kwestję, kto jest wynalazcą systemu barakowego. O tem będzie można mówić dopiero po wojnie, tudzież dlaczego trzymano się tego systemu. To jedno jednak pozwolę sobie powiedzieć: Temu, który wynalazł system barakowy nie zazdroszczę. Odpowie on przed Bogiem i przed państwem za tysiące zniszczonych egzystencji (potakiwania). Odpowie przed Bogiem i Austrją za to, że tysiące obywateli państwa, którzy przybyli tutaj jako przyjaciele państwa, oddani i lojalni obywatele, którzy nie chcieli pozostać pod nieprzyjacielem, albo tu pomarli, albo też z nieufnością dla państwa powrócili do swoich siedzib (potakiwania). Później pod ministrami Hohenlohem i Schwarzenau'em wiele się zmieniło na lepsze, tak, że można było mieć nadzieję, że w jakiś sposób przecież ta samowola policyjna zostanie ograniczoną. W tym czasie w dniu 24 października 1916 pozwoliłem sobie wnieść do ministerstwa spraw wewnętrznych podanie, w którem prosiłem o prawne zarządzenia w obozach dla uchodźców. Wyraziłem tam przypuszczenie, że ministerstwo z pewnością niema zamiaru obóz barakowy, w którym nieskazitelni obywatele państwa są umieszczeni, traktować jako miejsce przeznaczone dla więźniów. Zaznaczyłem przytem, że więźniowie są o tyle lepiej traktowani, że dla nich istnieje przynajmniej regulamin więzienny, podczas gdy w obozach barakowych, częstokroć, z pewnością wbrew intencjom władz centralnych, istniała tylko samowola policvjna. Na to podanie nie otrzymałem odpowiedzi. Moi Panowie! Choceń i Wagna posiadają historję męczeństwa, która przez całe generacje żyć będzie w sercach uchodźców i ich potomstwa. To przecież w Leibnitz się stało, iż późną jesienią roku 1914 nagle w nocy tysiące ludzi bez żadnej podstawy prawnej wysłano do świadczeń wojennych do Serbji, skąd zaledwie jedna trzecia część ich z życiem powróciła. A teraz w tym Wagna, w którem wyrządzono tyle krzywdy polskim uchodźcom, popłynęły łzy Włochów i spłynęła włoska krew. Niechaj teraz Izba poselska skłoni się do udzielenia zadośćuczynienia, o które Komisja w swoich wnioskach ją uprasza. Zadośćuczynienie to należy się pamięci tysięcy tych, którzy spoczywają na cmentarzach barakowych. We wnioskach naszych niema żadnej mściwości. Nie żądamy żadnych środków karnych przeciwko tym, którzy dawniej zawinili, ponieważ obecnej administracji — mam tu na myśli ministerstwo spraw wewnętrznych, Jego Eksc. Pana Ministra i obecnego referenta — nie chcemy narzucać zbyt ciężkiego zadania i nie chcemy im robić trudności.

Sądzę zatem, iż każdy — także ci, którzy są mniej obznajomieni ze sprawami uchodźczemi, jak my, którzy z nimi mieliśmy w Komisji do czynienia — uznać musi, iż tych rezolucji nie można uważać za zemstę przeciwko organom władzy, gdyż zawierają tylko to, co każdy z pewnością w swem sercu pochwalić musi (żywe oklaski!)".

Również i ja mówiłem krótko w czasie tej debaty, przypomniałem pobyt Polaków w obozie libnickim, ich udręczenia w innych obozach, żaliłem się, iż dotychczas winnych nie pociągnięto do odpowiedzialności, poruszyłem kwestję uwolenienia Królewiaków, pozostających jeszcze w obozach dla internowanych i wyraziłem wreszcie

uchodźcom z południa współczucie, życząc im, by powrócili jak najspieszniej do swoich siedzib (zał. 92).

Sprawozdaniem z 13 paździenika 1917 przedłożyła Komisja uchodźcza Izbie poselskiej rezolucje dla rządu, dotyczące zarządzeń, jakie wydać należy, co do powrotu uchodźców do swoich siedzib, między innemi uchwaloną przez komisję rezolucję moją i posła Kolessy („Der kombinierte Antrag Lasocki-Kolessa") dotyczącą wypłaty zapomogi rządowej przez zimę z roku 1917 na 1918 dla uchodźców powracających późną jesienią do domów. Wspólny ten nasz wniosek i podpisy posłów Baczyńskiego i Halbana na sprawozdaniu Komisji, stwierdzały idylliczne stosunki panujące w Komisji uchodźczej pomiędzy Polakami a Ukraińcami [1]. Poseł Halban zreferował owe rezolucje w kilku zdaniach na plenum Izby, która je uchwaliła bez dyskusji w dniu 26 października 1917.

Wreszcie ostatni raz mówiono o kwestji uchodźczej w Izbie poselskiej 30 listopada 1917, uchwalając ponownie projekt ustawy uchodźczej, zwrócony przez Izbę panów, a nieco zmieniony na podstawie kompromisu z rządem (zał. 93). Obszerniejszej dyskusji nie było. Z Polaków nikt nie przemawiał.

Ustawa o ochronie uchodźców, sankcjonowana 31 grudnia 1917, ogłoszoną została nareszcie w dzienniku praw państwa (nr. 15) z początkiem roku 1918.

Z Polaków, przebywających jeszcze w zachodnich prowincjach austrjackich, mało kto z niej skorzystał. Było ich tam zaledwie kilka tysięcy — oczywiście tych, którzy korzystali z pomocy państwowej, zamożnych było bowiem znacznie więcej. W kraju miała ona znaczenie dla bardzo znacznej liczby ludzi, którzy nie mogli jeszcze powrócić do swoich siedzib. Według statystyki urzędowej miało ich być w dniu 1 kwietnia 1918 r. 126.513 — Polaków, Rusinów i Żydów.

Na wiosnę roku 1918 liczba Polaków stopniała w zachodniej Austrji do 1500 ludzi. Rusinów było jeszcze kilkanaście tysięcy, przeważnie w barakach w Gmünd, natomiast pozostała jeszcze spora liczba — sto kilkanaście tysięcy — Żydów, z tego przeszło 35.000 pobierających zasiłki w Wiedniu. Wielu z nich nie mogło powracać do miasteczek zupełnie zniszczonych. Inni obawiali się jeszcze wydarzeń wojennych na terenie Galicji. Przyznać jednak trzeba, że wielu niepotrzebnie przeciągało swój pobyt poza krajem, narażając się na ataki ze strony miejscowej ludności (zał. 94).

Baraki choceńskie wykazywały z początkiem kwietnia już tylko 735 uchodźców: 725 Polaków, 10 Rusinów. Natomiast pozostał jeszcze dość liczny personal: 92 osób, w tem 33 żandarmów i żołnierzy ze straży. W ciągu lata 1918 opuścili ostatni polscy uchodźcy baraki choceńskie. Do końca r. 1917 przeszło przez nie — według sprawozdania urzędowego za lata 1914—1917, którego odpis uzyskałem — 80.122 uchodźców, którzy tam przebywali przez czas dłuższy lub krótszy. Umarło tam w tym czasie 4707 osób. Dokładnych dat za rok 1918 nie posiadam.

---

[1]) Załącznik do stenogr. protokołu Izby posel. nr. 678 z r. 1917.

Pozostał w Chocni nowy ogromny cmentarz „polski". Tam spoczęła znaczna część dzieci, którym rząd udzielił swojej opieki w barakach. Uczucia matek opuszczających osadę choceńską, ową „wyspę śmierci" po stracie dzieci, odźwierciadlały się czasem w napisach na nagrobkach. Przytoczę jeden z nich:

„Śpij dziecino — tutaj w czeskiej ziemi,
Zdala od swej Polski, w której się zrodziłaś;
Zgon twój opłakuję dziś łzami rzewnemi,
Bo mą jedyną pociechą na wygnaniu byłaś.

Odszedłeś mój Tadziu w pierwszej życia wiośnie,
Usiądziesz z aniołkami, hen, u Bozi w niebie,
Lecz mnie biednej Matce, ach, jak to żałośnie —
Powrócić do Polski, Tadziu mój, bez Ciebie!"

CZĘŚĆ II.

INTERNOWANI.

VIII.

Ogromnie rozwinięty we własnym kraju system szpiegostwa i prowokacji, stosowała Rosja także i do innych państw, a w szczególności do sąsiednich Austro-Węgier, nie szczędząc na ten cel pieniędzy. „Der Rubel rollt" — „rubel się toczy", było znanem w Austrji hasłem. Procesy o szpiegostwo i zdradę stanu (między innemi znana sprawa Bendasiuka i towarzyszy), które się toczyły jeszcze przed wojną w Austrji i na Węgrzech, dawały pewien wgląd w działalność Rosji na tem polu, a wprost przerażenie wywołała w Austrji sprawa pułkownika sztabu generalnego Redla, wykazująca, jak wysoko sięgnęły pieniądze rosyjskie. Propaganda polityczna rosyjska, a nawet religijna — prawosławia — osiągnęła poważne wyniki wśród ludności rusińskiej w Galicji wschodniej, na Łemkowszczyźnie i Węgrzech północnych.

Zaraz po wybuchu wojny nastąpiły liczne aresztowania wśród Rusinów, którzy wysługiwali się ze względów ideowych, czy materjalnych Rosji, bądź też znanych z przekonań moskalofilskich. Na podstawie przeprowadzonych rozpraw przed sądami wojskowemi odbyły się egzekucje z powodu zdrady stanu. Do 20 sierpnia 1914 odstawiono do więzień lwowskich, jak doniosły dzienniki, 1200 osób pod zarzutem zdrady stanu, agitacji na rzecz Rosji i szpiegostwa (załącznik 95). Zrozumiałem było, że państwo broniło się przed szpiegostwem i zdradą. Na potępienie jednak zasługiwały masowe aresztowania częstokroć dla błahych powodów, brutalne obchodzenie się z aresztowanymi, wśród których było wielu niewinnych, dopuszczenie do znęcania się nad nimi, w czasie eskortowania ich przez miasta i miasteczka, przez gawiedź uliczną, przeważnie żydowską, nieludzkie obchodzenie się podczas transportów kolejowych i umieszczenie — zresztą zupełnie bezprawne — internowanych w sposób urągający wszelkim pojęciom ludzkości w obozach koncentracyjnych, wreszcie przetrzymywanie ich miesiącami całemi, a nawet latami bez przesłuchania i badania ich winy.

Po pierwszych niespodziewanych klęskach, które przypisywano zdradzie, rozpoczęły się represje ze strony wojskowości: wywożenie mnóstwa osób na podstawie widzimisię oficerów i żołnierzy do obozów koncentracyjnych, oraz — masowe nieraz — doraźne egzekucje bez śledztwa i sądu. Cofające się, pobite wojska austrjackie węszyły wszędzie nieprzychylność ludności, szpiegostwo i zdradę. Celowali w tem zwłaszcza Węgrzy, nie mogąc się żadną miarą porozumieć z ludnością. Nieudzielenie wyjaśnienia na zapytanie postawione w niezrozumiałem dla chłopa języku, to dowód nieprzychylności dla c. i k. wojsk. Tak samo okazanie niezadowolenia z powodu zniszczenia lub zabrania dobytku przez żołnierzy. Odgłos dzwonów w cerkwi, to znak dany nieprzyjacielowi. Światło w oknach mieszkania, to sygnał świetlny. Bielizna wywieszona na płocie, krowy pędzone na pastwisko, to także sygnały. Wybuchł gdzie pożar, to sygnał, właściciel budynku puszczał swoją własność z dymem, oczywiście z miłości dla Moskali. Za te wszystkie sygnały wieszano, strzelano ludzi, zakłuwano ich bagnetami. Czasem patrol rosyjski z nienacka strzelił do Austrjaków: to ludność strzelała do wojska; wieś szła z dymem, a nieraz i mieszkańców jej mordowano. Nietylko rzeczywiste strzały, ale także i urojone narażały ludzi na śmierć: korespondent budapeszteńskiego „Pester Lloydu" — więc niepodejrzany Galicjanin — kreśli na początku roku 1915 w tym dzienniku [1]) rozprawę przed sądem polowym, której był świadkiem w czasie walk w Karpatach. Żołnierz węgierski spotkał 2 ruskich chłopów, którzy zamierzali przeciąć druty telefonu polowego. Młodszy strzelił do niego z rewolweru. Kule trafiły w „patrontasz" i w rękę żołnierza, ten jednak rzucił się na napastników, strzelającego ranił w głowę bagnetem, obu pochwycił i przyprowadził przed sąd. Odebranego rewolweru niema przy sobie, gotów go jednak każdej chwili przynieść. Chłopi nie usiłują się nawet bronić, stoją przerażeni, nie rozumiejąc zapewne co się do nich mówi, młodszy ocieka krwią. Audytor ma jednak jakieś wątpliwości. Odracza się sprawę na następny dzień. Nazajutrz okazuje się, że żołnierz działał pod psychozą wojenną. Na ładownicy niema śladu kuli rewolwerowej, rewolweru także niema, a żołnierz — dawniej raniony w rękę strzałem z karabinu rosyjskiego — po wyspaniu się, niczego sobie nie przypomina. Ale nietylko psychoza wojenna uciekających żołnierzy, lecz także i chciwość była powodem tworzenia pogłosek o zdradach. Mordowano ludzi jako zdrajców, by zagrabić ich mienie. Mordowano także mężów broniących żon, ojców córek, przed zgwałceniem. Zapewne i chęć wykazania się szczególnemi zasługami i uzyskania nagród lub awansu, skłaniała żołnierzy do wyszukiwania domniemanych szpiegów i zdrajców. Wielu ludzi niewinnych padło ofiarą samosądów wojskowych. Do najbardziej głośnych spraw tego rodzaju należy zarąbanie w Przemyślu 44 Rusinów, rzekomo podejrzanych o moskalofilstwo, tudzież powieszenie licznych włościan ruskich w okolicach Gródka, w czasie pierwszego odwrotu wojsk austrjackich.

---

[1]) Artykuł przedrukowany w tłumaczeniu w „Głosie Narodu" z 11 i 12 marca 1915 roku.

Co do rzezi w Przemyślu, otrzymałem autentyczne szczegóły od radcy dworu Lanikiewicza (zał. 96), zaś co do wieszań w grodeckiem, potwierdzenie wiadomości przez tamtejszego starostę Biedermana, który, gdy remonstrował przeciwko bezprawnym masowym egzekucjom naraził się sam na pogróżki ze strony wojskowości, a następnie na jej żądanie został przeniesiony z Gródka.

Nietylko wskutek samosądów, ale także na podstawie wyroków sądów wojskowych stracono wielu ludzi lekkomyślnie, bez należytego zbadania sprawy i ustalenia winy, lub też za niewielkie stosunkowo przewinienia. Wskazują na to późniejsze procesy o rehabilitację i rewizje wykonanych już wyroków śmierci, wskazuje nieraz samo brzmienie tych wyroków. I tak np. przytacza „Arbeiter Zeitung" z 7 lutego 1918 jedenaście wyroków śmierci, wydanych przez sąd polowy w Synowódzku Wyżnem w dniu 18 października 1914, a wykonanych w dniu następnym na 11 chłopach ruskich z tej gminy. Jedynym świadkiem był Semko Muszak, wyrobnik przebywający w Synowódzku podczas inwazji rosyjskiej. Ponieważ notował on sobie, według własnego zeznania, ludzi, którzy przestawali z Rosjanami, naczelnik gminy Michał Kowal, obawiając się denuncjacji z jego strony, starał się by go — jako austrjackiego żołnierza — Rosjanie wywieźli. Muszak uniknął jednak wywiezienia, a po powrocie wojsk austrjackich zadenuncjował naczelnika gminy i 10 innych gospodarzy. Obwinionym zarzucono, że wskazywali Rosjanom drogi, któremi Austrjacy się cofali, dalej, że Rosjanie ich wypytywali o liczbę cofających się żołnierzy austrjackich, wreszcie, że są usposobieni moskalofilsko, „russophil gesinnt". Szczególnie nieumotywowanym był wyrok na Nykołę Dzusa: Wskazał Rosjanom drogę do jakiejś miejscowości, nadto stwierdzono jego przyznaniem, że Rosjanie byli przez dwa dni zakwaterowani u niego, a z kłamliwej jego obrony wynika, że był Rosjanom całkowicie oddany (zał. 97). Wszystkich powieszono. Rozprawą kierował audytor dr. Stanisław Zagórski. Miał on spowodować naogół przeszło 100 wyroków śmierci. „Arbeiter Zeitung" zaznaczyła, że wyroki śmierci spowodowane przez niego na jesień 1914 r. w Munkaczu i wykonane na parochu grecko-katolickim Berezowskim, tudzież Leonie Kobylańskim i Semenie Żabiaku [1]), po wznowieniu sprawy przed sądem wojskowym w Stryju, zostały uchylone wyrokiem tego sądu z dnia 17 stycznia 1917. Stwierdzono przytem, że skazani byli całkiem niewinni. Przeciwko audytorowi Zagórskiemu podnoszono później ze strony Ukraińców zarzut krwiożerczości, zdaje się w tym wypadku nie bezpodstawnie.

Wielu ludzi przepłaciło życiem lekceważące odezwanie się o cesarzu, Austrji lub o wojsku austrjackiem, za które w normalnych czasach byliby otrzymali co najwyżej kilka miesięcy więzienia. N. p. w gminie Tadaniu (pow. Kamionka Strumiłowa) na podstawie wyroku sądu 31 dywizji piechoty, z 2 i 5 lipca 1915, skazano na powieszenie 10 włościan ruskich, przeważnie za obrazę cesarza lub armji. Między innymi powieszono Teofana Górala za ironiczne porównanie staruszka cesarza Franciszka Józefa z krzepkim carem Mikołajem

---

[1]) Wyroki w „Głosie Narodu" 28 października 1914.

i oświadczenie, że pierwszy już nie wróci, a Mikołaj będzie „naszym" cesarzem, zaś Kaśkę Hryńków skazano na powieszenie za to, iż „przed cerkwią wobec więcej ludzi wyśmiewała armję, wyrażając się, że Rosja już Austrję pobiła, że Austrjacy nie mają już butów i jedzą koty [1]).

Część ludności rusińskiej żywiła bezprzecznie sympatję dla Rosjan i okazywała ją, zwłaszcza na terytorjach przez nich zajętych. Wielu przeszło nawet na prawosławie w czasie kilkomiesięcznej okupacji wschodniej Galicji przez Rosjan. To też za zbliżaniem się Austrjaków, po zwycięstwie pod Gorlicami, i na wiadomość o egzekucjach, których ofiarami padali winni i niewinni, mnóstwo ludzi uciekało razem z Rosjanami. Opustoszały całe wsie (zał. 98). Uciekło sporo księży grecko-katolickich; kilkudziesięciu z nich wzywały później ich władze kościelne do powrotu [2]). Podejrzywanie jednak ogółu Rusinów o zdradę, było nieuzasadnione. Pomijając już Ukraińców, którzy po największej części, stali wiernie przy Austrji i Niemczech, także wielu Starorusinów zachowywało się lojalnie. Niesłusznie identyfikowano ich z moskalofilami. Z własnego doświadczenia wiem, iż nieraz bezpodstawnie ich prześladowano. Gdy bawiłem we wrześniu 1914 r. w przejeździe przez Sanok, przestrzegł mnie tamtejszy starosta Waydowski, jako swojego b. kolegę w służbie administracyjnej, że na liście osób, które mają być aresztowane i wysłane do obozów koncentracyjnych, znajduje się m. in. mój dobry znajomy notarjusz Kokurewicz. Starosta przyznawał, że to człowiek, któremu nie można nic zarzucić, znalazł się jednak niestety na liście, będzie więc przytrzymany i wywieziony. Zawiadomiłem o tem zaraz Kokurewicza, który natychmiast wyjechał do Wiednia i uniknął w ten sposób pobytu w Thalerhofie. Natomiast 75-letniego brata jego, dziekana grecko-katolickiego w Bihali (pow. cieszanowski), również Bogu ducha winnego, musiałem później z Thalerhofu wydobywać. Jedyną ich winą było, że byli staro-rusinami, jednak nie moskalofilami.

Jeżeli węszenie zdrady u ogółu Rusinów było przesadnem, częstokroć nieuzasadnionem, to już zupełnem zapoznawaniem stosunków było podejrzywanie o nią ludności polskiej, która także nieraz padała ofiarą samosądów i gwałtów żołdactwa i to nietylko w okolicach o ludności mięszanej (zał. 99), ale także w czysto polskiej części kraju.

Do humorystycznych epizodów tej manji upatrywania wszędzie szpiegostwa i zdrady, należała dokonana w początkach września 1914 roku rewizja w klasztorze Karmelitów Bosych w Krakowie, z powodu rzekomego porozumienia się z wieży kościelnej sygnałami świetlnemi z Rosjanami, stojącymi aż pod Miechowem (zał. 100).

W kilka tygodni później miałem do czynienia z podobnemi urojeniami wojskowości w Wadowicach. Bawiłem u starosty Pogłodowskiego, gdy wpadł do niego komendant etapu i zaczął wykrzykiwać, że w tym kraju nie można już nikomu dowierzać, że nawet arystokraci

---

[1]) Wyroki w „Czasie" z 27 lipca 1915.

[2]) Zob. m. in. „Diło" z 23 lutego 1916.

dopuszczają się zdrady. Na nasze zapytanie wyjaśnił, że w jednym z majątków w powiecie dają wieczorami sygnały świetlne. Na nalegania nasze przeprowadzono dochodzenie. Sprawa szybko się wyjaśniła: abażury kolorowe przy lampach w mieszkaniu rządcy, to były sygnały dawane nieprzyjacielowi, znajdującemu się podówczas o kilkadziesiąt kilometrów od Wadowic.

Obok tych śmiesznych epizodów, było ich niestety znacznie więcej o tragicznym wyniku.

IX.

Pogłoski o zdradach Polaków głoszone były przez pobitych generałów i uciekających oficerów i żołnierzy, mszczących się na ludności za cięgi otrzymane od Rosjan. Zdrada mieszkańców miała być nieraz pokrywką dla nieudolności lub nieprzezorności dowódców. Przyczyniły się dalej do tych pogłosek niezliczone denuncjacje, również i oskarżenia ze strony wrogów naszego narodu, a niestety także i wzajemne oskarżanie się Polaków na tle walk partyjnych.

Komendant 5-go korpusu, gen. Puhallo, w interviewie umieszczonym w „Neue Freie Presse" z dnia 2 marca 1915, mówi o swojej kampanji w następujący sposób: „Na początku wojny walczył korpus u ujścia Sanu do Wisły, w tak zwanym zakątku błotnym Europy, a to wśród najtrudniejszych warunków. Ciężko posuwał się po nędznych drogach, otoczony zdradą".[1])

Otóż stosunki w tych okolicach — notabene przeważnie piaszczystych — znam dobrze. Po stronie galicyjskiej ujścia Sanu panował z początkiem wojny zapał do walki z Rosją i entuzjazm dla wojska austrjackiego, jak długo życzliwie i poprawnie zachowywało się wobec ludności. Znoszono dobrowolnie i bezpłatnie żywność dla żołnierzy, paszę dla koni, zawiadamiano wojsko o ruchach nieprzyjacielskich, przestrzegano przed ich zasadzkami. Niektórzy mieszkańcy brali nawet udział w walce partyzanckiej. Po stronie Królestwa ludność zachowywała się biernie, ale nie wrogo wobec wojska austrjackiego. Wielu Królewiaków, zwłaszcza z inteligencji, żywiło nawet sympatję dla Austrji. Nastroje te się zmieniły, gdy wojska austro-węgierskie zaczęły się dopuszczać nadużyć i gwałtów.

Wezwania komend austrjackich do ludności o donoszenie o szpiegach i zdrajcach, z wyznaczeniem nagród pieniężnych za donosy — w Tarnowie widziałem plakaty zawiadamiające o wyznaczeniu nagród po 250 koron za wskazanie zdrajcy lub szpiega [2]) — rozpętały istną orgję denuncjacji. Czy to z chciwości dla otrzymania nagród, czy to z chęci zemsty lub dla usunięcia niedogodnej konkuren-

---

[1]) „Zu Beginn des Krieges focht das Korps an der San—Weichsel Mündung, im sogenannten „Kotwinkel" Europas, unter den schwierigsten Verhältnissen. Es war ein mühsames Vorwärtsschreiten auf elenden Wegen, umschwirrt von Verrat...".

[2]) Pisze o tem „Głos Narodu" z dnia 31 maja 1915, a wspomina o tym fakcie także poseł Tertil w swojem przemówieniu w parlamencie.

cji, wnoszono masami donosy, które nieraz kosztowały życie niewinnych ludzi, a zwykle ich wolność.

Donosy robiły jednostki z pośród różnych wyznań, narodowości i zawodów: Żydzi i chrześcijanie, Rusini i Polacy, służba i właściciele dóbr, akademicy na swoich kolegów. Zapanowała epidemja donosów [1]. Denuncjowano w kraju i poza krajem. Niefortunną przygodę miało dwóch żydów galicyjskich w Wiedniu, Markus Gelmann i Mendel Verständig, na wiosnę 1915 roku. Słysząc w jednym z wiedeńskich ogrodów publicznych rozmowę prowadzoną półgłosem po francusku przez jakiegoś pana z panią, zwrócili się do nich z apostrofą: „Nie macie tu mówić po francusku, to bezczelność, jak chcecie mówić po francusku jedźcie do Francji". Na co otrzymali propozycję udania się do Galicji. Wywiązała się ostra wymiana słów, wzniesiono laski do góry, zrobiło się zbiegowisko, wdała się w to policja i wszystkich zaprowadzono na komisarjat. Tu Gelmann wyraził przypuszczenie, że jego przeciwnik, to może szpieg. Verständig zaś dowodził, że to skandal, że się tu cierpi takich ludzi. Okazało się, że obwiniony przez nich był Niemcem, radcą ministerjalnym, a pani z którą rozmawiał, obywatelką szwajcarską, mówiącą tylko po francusku. Obwiniony wniósł skargę karną na zbyt gorących patrjotów austrjackich [2].

W kraju donosy miały jednak gorszy skutek dla obwinionych. Doprowadzały zwykle do uwięzienia, nieraz do wykonania kary śmierci. Rzadko kiedy udawało się uzyskać ukaranie oszczercy, który spowodował ciężkie katusze fizyczne i moralne dla oczernionego.

Oczywiście „cherchez la femme" odgrywało dużą rolę w denuncjacjach; rywalizacja lub zemsta kobieca: Kochanka męża zrobiła donos na panią T., która została wskutek tego internowaną. Na prośbę jej krewnego interwenjowałem w jej sprawie. Wkrótce ją uwolniono, gdyż zarzuty były kłamliwe (zał. 100 a). Jedna z pań, która spowodowała, wskutek jakichś nieporozumień, internowanie swojego oficjalisty R., stęskniwszy się potem za nim, usilnie starała się o jego wydobycie i zwracała się w tym względzie także i do mnie. Ponieważ internowanie było bezpodstawne, mogłem jej gorącemu życzeniu zadość uczynić.

Komendant Lwowa, generał Riml [3]) nie lubił denuncjacji, natomiast za jego następcy, generała Letowskyego, — twierdzono, że m. in. stara guwernantka Fanny Dittner, była źródłem jego informacji — przybrały one takie rozmiary, że księża arcybiskupi Bilczewski i Teodorowicz, zmuszeni byli udać się do namiestnika generała Collarda, by zaprotestować przeciwko niepokojeniu ludności i ściganiu zasłużonych nawet osobistości, wskutek bezpodstawnych donosów [4].

---

1) Posiadam dość spory materjał w tym względzie.

2) „Arbeiter Zeitung" z dn. 5 czerwca 1915.

3) Pozostawił on po sobie dobrą pamięć. „Kurjer Lwowski" z 7 lipca 1915, z okazji jego ustąpienia notuje fakt, że „w ciągu całego okresu swego urzędowania nie podpisał generał Riml ani jednego wyroku śmierci jako zwierzchnik sądu polowego".

4) „Kurjer Lwowski" z dnia 30 sierpnia 1915.

Denuncjowano zasłużonych kapłanów jak np. kanonika Świeykowskiego (zał. 101) oficerów, (znana sprawa denuncjacji redaktora „Krakauer Zeitung", Rosnera), komisarzy policji (zał. 102). Rekord jednak osiągnęła ukraińska Rada nrodowa, obwiniając namiestnika Korytowskiego i byłego ministra Bilińskiego — człowieka najbardziej oddanego cesarzowi Franciszkowi Józefowi — o popieranie moskalofilstwa. Do namiestnika Korytowskiego, mieli Ukraińcy ansę, za nieodpowiedni, zwłaszcza na jego stanowisku, dowcip, jakoby „pomiędzy ukraińcami a moskalofilami zachodziła ta sama różnica, jak pomiędzy izraelitami a żydami" [1]. To też często figuruje on w „Dokumentach polskiego russofilstwa" [2]) wydanych przez ukraińską Radę narodową. O ministrze Bilińskim, jest tam raz tylko mowa, w obszerniejszym ustępie pod tytułem: „Reklama dla „galicyjskich Rosjan" ze strony c. i k. wspólnego ministra skarbu Bilińskiego" [3]. Reklama ta polegać miała na tem, że Biliński wyraził się podobno w roku 1911 „że nie jest zwolennikiem stronnictwa staroruskiego, sprawiedliwość jednak każe mu przyznać, że starorusini w zachowaniu swojem są przyjemniejsi jak Ukraińcy". W szeregu pamfletów drukowanych nakładem wspomnianej ukraińskiej Rady narodowej, począwszy od października 1914 w Berlinie, jak np. w dwu już wyżej wymienionych broszurach, tudzież innych: „Maske weg!" „Polnische Russophilen" i t. d., obwiniano społeczeństwo polskie w Galicji o moskalofilstwo. Pamflety te, pomimo panującego podówczas „Burgfrieden", gdy konfiskowano wszystkie pisma o tendencjach polemicznych religijnych, narodowych lub społecznych, sprzedawano jednak i umieszczano na wystawach księgarń wiedeńskich. Rozchodziły się one także na froncie, gdzie naiwni oficerowie na ich podstawie wyrabiali sobie opinję o zdradzie Polaków.

Z tych pamfletów czerpał także swoje natchnienie Max Harden dla artykułu umieszczonego w czasopiśmie, wychodzącem w Berlinie, „Zukunft" z 30 stycznia 1915, w którym zarzucił Polakom zdradę. Artykuł ten Hardena, (z pochodzenia był polskim Żydem, nazywał się Witkowski, zrobił się Germaninem i przybrał nazwisko Harden [4]), głośny w Niemczech i Austrji, znalazł echo także i w filogermańskiem piśmie szwajcarskiem „Neue Züricher Zeitung". Pisało ono: „Czy twierdzenia Hardena są uzasadnione, czy też nie, jednak w monarchji naddunajskiej ogólnie podzielają jego zapatrywania, a Polacy, którzy w pierwszych tygodniach wojny, uważani byli za najlepszych obywateli tej monarchji, mają tam obecnie piętno zdrady" (zał. 103).

---

[1]) „Die russische Propaganda und ihre polnischen Gönner in Galizien, Berlin w październiku 1914, strona 56.

[2]) „Dokumente des polnischen Russophilismus", Berlin w styczniu 1915.

[3]) Tamże. „Eine Reklame für galizische Russen" vom k. u. k. gemeinsamen Finanzminister v. Biliński". Inkryminowany ustęp brzmi: „Die ruthenischen Abgeordneten beklagen sich, dass die einzelnen Statthalter und einzelne polnische Parteien, mehr zu der sogenannten „altruthenischen Partei" hinneigen. Ich bin kein Freund dieser Richtung, aber die Gerechtlichkeit gebietet mir festzustellen dass die „Altruthenen" im Umgange angenehmer sind" (str. 133 i 134).

[4]) „Nowa Reforma" z 2 marca 1915.

Odprawę Hardenowi dał profesor uniw. Władysław Leopold Jaworski, prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, w organie tego Komitetu, wydawanym w Wiedniu w języku niemieckim: „Polen" z 12 lutego 1915. Wskazał na czyny Legjonów, na uznanie z jakiem spotkało się ich bohaterstwo u cesarza i u następcy tronu i wezwał Hardena, ażeby dostarczył dowodów dla swojego oskarżenia, a w szczególności posądzenia urzędników państwowych Polaków o zdradę i szpiegostwo. Odpowiedź ta uległa pierwotnie konfiskacie, później jednak cenzura pozwoliła ją ogłosić. Powtórzyły ją dzienniki polskie z połowy lutego 1915 i niektóre pisma wiedeńskie, między innemi „Reichsport" z uwagą, że listem swym profesor Jaworski robi Hardenowi zbyt wiele zaszczytu. Harden nie dał jednak za wygraną, i umieścił w swoim organie replikę, w której podtrzymywał swoje zarzuty, między innemi, że w Galicji prawie 700 urzędników (Polaków), było podejrzanych (zał. 104). Na to ukazało się urzędowe wyjaśnienie w „Gazecie lwowskiej" stwierdzające nieprawdziwość tego zarzutu (zał. 105). Wyjaśnienie to powtórzone zostało przez całą niemal prasę wiedeńską [1]).

Przeciwko rozpowszechnionym zarzutom zdrady, protestował także klub posłów „Piasta". Protest ten uzasadniał na posiedzeniu Koła polskiego w dniu 20 lutego 1915 poseł Witos (zał. 106). Przemówienie jego zostało skonfiskowane w „Piaście". Protest przesłano prezydentowi Rady ministrów, hr. Stürgkhowi.

Niestety były także wypadki, że zacietrzewienie partyjne między Polakami, doprowadzało do zarzucenia — nawet w obcych pismach— zdrady jednostkom, niepodzielającym wprawdzie wiary w rozwiązanie austro-polskie, ale z pewnością nie mniej pragnącym szczęśliwego dla Polski wyniku wojny, jak ci, którzy ich obwiniali. Piętnowano w końcu roku 1914 ludzi zacnych, zasłużonych dla kraju, dobrych Polaków, jak np. księcia Witolda Czartoryskiego, ks. Andrzeja Lubomirskiego, Aleksandra Skarbka, Tadeusza Cieńskiego, jako moskalofilów (ganz offenkundig russophil) i zdrajców (haben sogar offenkundigen Verrath geübt).

Ofiarą walk partyjnych padł m in. poseł Zamorski, który był więziony przez dłuższy czas, a następnie wysłany na front. Poseł Daszyński twierdzi wprawdzie w swoich pamiętnikach [2]), że p. Zamorski był więziony za „wybitne moskalofilstwo", zapatrywania tego jednak nie podzielam. Ani gorąca odezwa wzywająca jego zwolenników do walki z Rosjanami [3]), ani opinje, które od niego słyszałem na początku wojny, nie wskazywały wcale na moskalofilstwo p. Zamorskiego. Natomiast był on jednym z pierwszych, którzy zwątpili w orjentację austro-polską i z zapatrywaniami swojemi widocznie się nie taił.

---

[1]) Między innemi „Zeit" z 14 marca 1915, pod nagłówkiem „Verleumdung polnischer Beamten", „Reichspost" z tej samej daty, w artykule pod tyt.: „Harden als Verleumder" (Harden jako oszczerca) itd.

[2]) Ignacy Daszyński. Pamiętniki, Kraków 1926, tom II, str. 197.

[3]) W „Ojczyźnie" z 23 sierpnia 1914. W odezwie tej znajduje się np. następujące zdanie: „Dziesiątki lat czekaliśmy dogodnej do walki z Moskalami chwili.

Nikczemność jednostek, donosicieli, intrygi Berlina, który użył jak to zresztą nieraz czynił, Ukraińców za swoje narzędzie, waśnie partyjne pomiędzy niektóremi stronnictwami polskiemi, przyczem używano środków nieetycznych, zwracających się przeciwko ogółowi ludności polskiej, a w wysokim także stopniu stała niechęć przeważnej części biurokracji niemieckiej i niemieckich sfer wojskowych w Austrji przeciwko Polakom, to wszystko razem wytworzyło atmosferę plotek, podejrzeń i nieuzasadnionych zarzutów zdrady przeciwko społeczeństwu polskiemu w Galicji, które na początku wojny, tak gorąco oddane było orjentacji austro-polskiej i dla jej urzeczywistnienia ponosiło dobrowolnie ogromne ofiary. Oczywiście ta nagonka była szkodliwą także i dla Austrji i jej dynastji: tak długo wymawiano Polakom zdradę i prześladowano ich, aż znienawidzili Austrję.

Najwstrętniejszym ale też najbardziej używanym rodzajem donosicielstwa, było pisanie anonimów.

Niektórym komendom wojskowym, anonimy tak obrzydły, że występowały przeciwko nim, grożąc wyszukaniem i ukaraniem donosicieli (zał. 105). Niestety tak szlachetnie myślących komendantów było niewielu.

Epidemja podejrzeń i donosów doprowadziła w ostatnich miesiącach roku 1914 i przez cały rok 1915 do nieznośnych wprost stosunków w kraju, który i tak już strasznie ucierpiał wskutek walk prowadzonych na jego terytorjum, i ciągłych przemarszów wojsk, które to postępowały naprzód, to się znów cofały, w krwawym kontredansie, niszcząc mienie mieszkańców i dopuszczając się gwałtów.

Smutne stosunki panujące w kraju, poznałem przebywając dość często w okolicach, które były widownią walk i w podróżach, które odbyłem w czasie wojny w Galicji.

X.

W pierwszej połowie sierpnia 1914 brałem udział w utarczkach nad Sanem, a w szczególności w obronie miasteczka Radomyśla przez około 250 pospolitaków, żandarmów i strażników skarbowych wraz z garstką ochotników, m. i. burmistrzem Radomyśla Skoczkiem z kilku mieszczanami i drem Łąckim z Tarnobrzega, przed znacznie przeważającemi siłami rosyjskiemi. Patrole rosyjskie spędzaliśmy kilkakrotnie. Gdy jednak sytuacja stawała się coraz niebezpieczniejszą, udałem się o pomoc do zakwaterowanego w pobliskim Rozwadowie austrjackiego sztabu. Po drodze spotkałem oficera, któremu Rosjanie zastrzelili konia, a który będąc sam kontuzjonowanym, nie mógł udać się do Rozwadowa z ważnym meldunkiem, jaki miał przy sobie. Prosił mnie, bym go wyręczył. W Rozwadowie przyjęty zostałem bar-

---

Ukarałby nas Bóg, gdybyśmy zmarnowali tę chwilę, o którą Go w modłach gorących błagaliśmy. Druga taka sposobność już nigdy zdarzyć się nie może. Niech po wsiach i siołach poleci hasło: pod broń! Na Moskala!". Zaznaczam, że p. Zamorski nigdy nie był moim przyjacielem politycznym, a przed wojną gazetka jego zwalczała mnie jako członka P. S. L., nieraz zaciekle.

dzo uprzejmie przez generała Brudermanna, który obiecał przysłać nam posiłki, a potwierdzenie odbioru meldunku dał do podpisania młodemu oficerowi. Potwierdzenie to, nie czytając go, schowałem do kieszeni. Posiłki nadeszły wkrótce i uwolniły Radomyśl z opresji. Gdym po bezsennych nocach, nareszcie mógł spokojnie się położyć, przy rozbieraniu się znalazłem owo potwierdzenie z podpisem arcyksięcia Karola Albrechta. Przydało mi się ono później, również jak i opisy utarczek w Tarnobrzeskiem, które umieściłem w „Głosie Narodu" [1]) Powtórzyły je, jako nowość na początku wojny, nietylko dzienniki krakowskie, ale także i niektóre wiedeńskie, a nawet prowincjonalne austrjackie. Ułatwiło mi to następnie interwencje u władz.

Zachowanie się ludności powiatu tarnobrzeskiego wobec wojska, było na początku wojny, jak już wspomniałem, nader życzliwe, a pierwsze oddziały austrjackie (z 2-go korpusu) zachowywały się zupełnie poprawnie. Oficerowie ich chwalili wobec mnie lojalność mieszkańców. Idylla ta nie trwała jednak długo. Wkrótce rozpoczęły się nadużycia, przedewszystkiem honwedów. W czasie pierwszego odwrotu wojsk austrjackich, zaczęły się rabunki i gwałty. Widziałem wprawdzie oddziały tyrolskie, które zgłodniałe, prosiły grzecznie mieszkańców o żywność, ale honwedzi brali ją przemocą. Spotkałem pod Kolbuszową oddział honwedów, który rozbił był jakiś skład spirytualjów, pijany do nieprzytomności. Co chwila któryś z żołnierzy wpadał do rowu przydrożnego. Przed natarczywością kilku z nich musiałem wraz z drem Łąckim bronić panie, przejeżdżające szosą i odpędzać ich brauningami. Wszędzie po drodze słychać było na nich skargi. Nadchodziły też wiadomości o zabójstwach popełnianych przez żołnierzy.

Ilustrację stosunków, jakie zapanowały w kraju, a w szczególności w okolicach, z których posłowałem, przedstawiłem w kilku zażaleniach do władz centralnych, a później w interpelacjach i przemówieniach w Izbie poselskiej, a m. i. w obszerniejszem przemówieniu, które wypowiedziałem w dniu 12 marca 1918 [2]).

„Nie chcę wskazywać tylko na szkody rzeczowe, o które nieraz samowolnie przyprawiano mieszkańców Galicji, a za które dotąd nie otrzymali wynagrodzenia, nawet za świadczenia wojenne, co nazwać należy skandalem; wspomnę także o szkodach, jakie poniosło wielu mieszkańców Galicji, tracąc zdrowie, ba, życie. Znanych mi jest kilka szczególnie jaskrawych faktów, w których, choć o zdradzie wcale nie mogło być mowy, przeciwnie ludność miescowa wojsku dopomagała, a nawet, jak w moich stronach było, niektórzy mieszkańcy za broń chwycili, aby powstrzymać inwazję nieprzyjacielską — mimo tego jednak ludzi tych oskarżono o zdradę.

Za przykład niechaj posłuży wypadek, jaki zdarzył się w gminie Wrzawy. Tam d. 20 sierpnia 1914 pojawił się oddział furgonów. Komendant zapytał kilku chłopców spotkanych o coś w języku dla nich niezrozumiałym. Chłopcy oczywiście nie mogli dać odpowiedzi. Zgnie-

---

[1]) Z 22 sierpnia i 23 września 1914.

[2]) Protokół stenograficzny Izby poselskiej z 12 marca 1918, str. 3600 do 3605.

wany z tej przyczyny komendant strzelił na postrach, na co żołnierze zaczęli ostrzeliwać miejscowość, a jeden z nich zakłuł bagnetem na śmierć jednego z chłopców Jana Kaweckiego, oczywiście bez żadnego powodu. Niedość na tem. Następnego dnia niektórzy oficerowie uskarżali się wobec komendanta najbliższego posterunku żandarmerji na to, że ludność wsi jest usposobiona russofilsko i że strzelała do wojska! (Słuchajcie, słuchajcie!). — Rzecz jasna, było to prostą niedorzecznością, russofilstwa bowiem ani śladu nie było w całej okolicy, ludność usposobiona była spokojnie, patrjotycznie, była szczerze polska i — jak powiedziano — z początkiem wojny popierała wszelkiemi siłami naszą armję, byłoby więc jej ani przez myśl nie przeszło strzelać do wojska. Oto, jakim sposobem powstawały wieści o zdradzie!

Drugi wypadek z własnego doświadczenia: Gdy z naszemi wojskami — z początkiem wojny brałem także udział w operacjach wojennych — cofnąłem się do Mielca, spotkał mnie pułkownik, o ile wiem, należący do armji węgierskiej, który oznajmił mi, że miasto pełne jest szpiegów, że Rosjanom daje się sygnały świetlne; ale on sobie da radę, ustawi na rynku szubienicę, nałoży na miasto kontrybucję, a burmistrza i starostę weźmie jako zakładników. Zwróciłem pułkownikowi uwagę na to, że jeśli istotnie szpiegowie rosyjscy zakradli się do miasta, — co ostatecznie było możliwe, — to tego rodzaju zarządzenia nie powstrzymają ich działania. Lojalna, spokojna ludność zostałaby przez to doprowadzona do rozgoryczenia, a szpiegowie byliby tylko zadowoleni z takiego obrotu rzeczy. A przyznam się, że był to bardzo osobliwy pomysł, by wysokiego c. k. urzędnika państwowego [1]), przeciwko któremu żadnych nie było podejrzeń, brać jako zakładnika przeciwko szpiegom, jakoż udało mi się w końcu odwieść pułkownika od tych zamiarów.

W wielu innych jednak wypadkach pomysły tego rodzaju istotnie wprowadzano w życie. Była nawet metoda w tem postępowaniu. W środku miast galicyjskich, nawet położonych poza obszarem operacji wojennych, stawiano szubienice. Mam tu np. ilustrację „Interessantes Blatt" z dnia 11 lutego 1915, kopję fotografji, z której przekonać się można, że na rynku w Wadowicach ustawiona była szubienica, na której wisiał domniemany czy też rzeczywisty szpieg rosyjski. Po co właściwie było niepokoić spokojną ludność ustawianiem szubienicy w środku miasta? To było z pewnością bezcelowe, a haniebne. Także wygrażanie się zakładnikami, jak np. we wspomniałem zajściu z pułkownikiem, stawało się nieraz czynem. Z okręgu, który reprezentuję, zawiadomiono mnie o następującem zdarzeniu. We wsi Dzikowie, w pobliżu powiatowego miasta Tarnobrzegu powstał skutkiem nieostrożności węgierskich żołnierzy pożar w pewnym budynku. W następstwie odnośna komenda, choć pożar nie wybuchł nawet w Tarnobrzegu, jeno w sąsiednim Dzikowie, kazała burmistrza m. Tarnobrzega Kolasińskiego i naczelnika gminy Dzikowa Słomkę, obu ludzi znanych z lojalności, wziąć jako zakładników i oświadczono im przez audytora, że jeśliby jeszcze raz pożar wybuchł, to zostaną roz-

---

1) Starosta Tyrowicz.

strzelani. Musieli być świadkami egzekucji 2 chłopów z pow. mieleckiego, których stracono za jakieś słowne przewinienie. Ostatecznie udało się obu tych ludzi oswobodzić [1]), lecz na ich miejsce wzięto znowu jako zakładników dwu poważnych chrześcijańskich obywateli z gminy Tarnobrzega. W gminach mego okręgu wyborczego afiszowano obwieszczenia, w których złożono na gminy odpowiedzialność za utrzymanie przewodów telegraficznych i telefonicznych w nienaruszonym stanie, przyczem zaznaczono, że „w każdej gminie w której rejonie uszkodzone zostały przewody telegraficzne lub telefoniczne, będą musiały zapłacić znaczną kontrybucję pieniężną, w razie powtórzenia się takiego wypadku, naczelnik gminy, sekretarz i wzięci ewentualnie zakładnicy zostaną rozstrzelani, a sama miejscowość zostanie spalona". Były to drukowane ogłoszenia pewnej c. i k. komendy korpuśnej. Te ogłoszenia na terytorjum austrjackiem rozlepiono w powiecie tarnobrzeskim; takie ogłoszenie mam tu przy sobie, zabrałem je z gminy Wielowieś (zał. 106). To przecie rzecz niesłychana, by spokojnych, lojalnych austrjackich obywateli brano z sobą jako zakładników i zatrzymywano.

Wobec manji węszenia wszędzie szpiegów i zdrady zdarzały się też niekiedy wprost komiczne epizody. Tak np. w gminie Gorzyce, w moim okręgu wyborczym sędziwy proboszcz, ks. Jaroń, prosto od ołtarza odprowadzony został pod eskortą 6 żołnierzy przed oblicze pewnego oficera. Zarzucono mu mianowicie, że dzwonami dawał z wieży kościelnej sygnały nieprzyjacielowi. Proboszcza wraz z jego bratem i innymi mieszkańcami zatrzymano czas pewien w więzieniu. Nie wiem, jaki ostatecznie sprawa byłaby wzięła obrót. Pomimo aresztowania tych wszystkich „podejrzanych" i jakkolwiek poucinano sznury od dzwonów, pewien oficer słyszał przecież te same sygnały. Więc zaczęto sprawę badać i pokazało się, że w mieszkaniu miejscowego nauczyciela znajdował się zegar wahadłowy, który od czasu do czasu wydzwaniał godziny. To były owe słynne sygnały udzielane dzwonami! A jestem przekonany, że z powodu podobnych wypadków poszło niejedno życie. Tu zachowano się nieco przezorniej jedynie dla tego, że szło o proboszcza, czekano czas pewien i po kilku godzinach rzecz się wyjaśniła.

W tej samej wszakże gminie nie wszystkie wypadki poszły tak gładko. Niektórzy mieszkańcy padli ofiarą nieuzasadnionych podejrzeń. Dwaj poważni włościanie, Adam i Stefan Grzywacze, którzy po wybuchu wojny z największym zapałem werbowali młodzież do Legjonów i wszystko, co mogli czynili dla poparcia armji, gdy później znaleziono przy nich kwotę 250 rb., otrzymaną za bydło i inne rzeczy, jakie zarekwirowali u nich Rosjanie (rzecz jasna, że Rosjanie, tu i ówdzie płacili za rekwirowane przedmioty) — zostali internowani i wywiezieni do Steinklamm, skąd dopiero po wielu miesiącach udało mi się wyzwolić tych zupełnie zaufania godnych ludzi wraz z żoną młodszego, inni mieszkańcy tej gminy, równocześnie internowani,

[1]) Hr. Zdzisławowej Tarnowskiej, która pozostawszy w Dzikowie, w czasie okupacji rosyjskiej i po powrocie Austrjaków, wielkie przysługi oddała ludności.

powymierali w obozach dla internowanych, a mianowicie wieśniak Gołębiowski, który tylko posprzeczał się z pewnym żołnierzem, gdy ten samowolnie urządził sobie u niego rekwizycję; dalej małżonkowie Krukowie, których z dziećmi i 4-miesięcznem wnuczęciem osadzono w Steinklamm. Nawet pewien 10-letni chłopak, Stanisław Kosycarz, który przypadkowo bawił się na podwórzu Kruków z ich dziećmi, został wywieziony do Steinklamm. Wspomniani małżonkowie pomarli tam, a dzieci dopiero po dłuższym czasie zdołałem sprowadzić napowrót do wsi ojczystej. Rodzinie Grzywaczów za mimowolny i zgoła nieuzasadniony pobyt ich w zakładzie dla internowanych wystawiono ponadto rachunek za utrzymanie.

Zdarzało się częstokroć, że ludzi, którzy bronili się przeciwko plondrowaniu i gwałtom, tracono. Dla przykładu wspomnę tu tylko o wypadku Walentego Mścisza w gminie Jeżowe, który to wypadek został bez zarzutu stwierdzony przez zeznania świadków. Ów wieśniak bronił się przeciw żołnierzowi honwedów, który u niego plondrował, zabierał kury itd. Zauważę jeszcze, że był to człowiek słaby na umyśle. Owóż, gdy bronił się przeciw żołnierzowi, ten wymierzył mu policzek. Chłop odepchnął napastnika, tak, że żołnierz upadł. Wówczas przyszło więcej honwedów, wywlekli go i zaraz powiesili. (Żywe okrzyki: Słuchajcie! Słuchajcie!). Na grobie nieszczęśliwca umieścili napis: „Szpieg“ (zał. 107). W taki to sposób powstawali u nas szpiegowie. (Słuchajcie! Słuchajcie! — Okrzyki p. Jachowicza).

Ach, tak — Pan mówi o wypadku w Woli zarczyckiej. Masz Pan zupełną słuszność. Tam zdarzyła się rzecz następująca — znam sprawę z opowiadania osób zupełnie wiarygodnych, między innemi miejscowego proboszcza. Pewien żołnierz — zdaje mi się, że był to znowu honwed — w nocy zakradł się do mieszkania pewnego wieśniaka (o ile pamiętam, niejakiego Nizioła) i chciał tam coś ukraść. Chłop zbudził się i chwycił złodzieja. Ale ponieważ nie mógł dać sobie z nim rady, posłał syna do sąsiada, który też przybył z pomocą. Tak we dwójkę uporali się z żołnierzem, związali go i donieśli o zajściu komendzie, stacjonowanej na probostwie. W kwadrans potem obaj wisieli. Nie pozwolono im się nawet wyspowiadać przed śmiercią. (Żywe okrzyki: Słuchajcie! Słuchajcie!).

W Baranowie znowu biedny żyd, niejaki Götzel Klein, gdy chciał obronić córkę przed zgwałceniem przez żołnierza, został przez napastnika zastrzelony.

Takich wypadków było niestety podostatkiem. W okręgu wyborczym, który zastępuję, w pow. tarnobrzeskim i niżańskim doszło do mej wiadomości 25 wypadków zupełnie bezprawnego stracenia niewinnych ludzi. (Okrzyki). A zauważyć muszę — jestem najzupełniej przekonany — że w tych powiatach nie było ani jednego wypadku zdrady i niewiadomo mi o żadnym wypadku skazania któregokolwiek z obywateli tych powiatów z powodu stwierdzonego szpiegostwa lub zdrady.

O ile sięgają moje informacje, zgładzono w ten sposób w Galicji zachodniej kilkaset osób. Nie chcę podawać tu żadnych cyfr przesadnych, mówię tylko, co mnie wiadomo. Stosunki w Galicji środkowej i wschodniej są mi mniej znane. Do mej wiadomości wszakże do-

szły we wrześniu 1914 dwa szczególnie jaskrawe zdarzenia. Jednem z nich to zamordowanie 44 Rusinów w Przemyślu. Ludzi tych przyprowadzono z powiatu dobromilskiego do Przemyśla z powodu ich rzekomych przekonań rusofilskich. Tu napadła na nich grupa żołnierzy i szablami, a także kołami ich ubiła. Ocalało tylko 2 ludzi, którzy ciężko ranieni ukryli się wśród trupów. O przebiegu całej sprawy spisano protokół z jednym z ocalonych, który mnie przesłano. Rodziny po nich pozostałe przesłały na moje ręce podania do Izby poselskiej, w których proszą o odszkodowanie. Między ofiarami mordu — nie mogę tu użyć innego wyrażenia — znajdowała się panna Mochnacka, córka księdza grecko-katolickiego, tudzież włościanka, która osierociła 4 dzieci.

W okolicach Gródka pod Kamieniobrodem powieszono przeszło 80 osób, ponieważ znaleziono je w rosyjskim rowie strzeleckim, gdzie się schroniły przed pociskami w czasie bitwy.

Czy liczba powieszonych w Galicji wynosiła rzeczywiście dziesiątki tysięcy, nie wiem. Przytaczam tylko zdarzenia, o których istotnie mnie powiadomiono, a muszę powiedzieć, że jeśli co do cyfr była gdzie przesada, winni temu niektórzy oficerowie, którzy rozszerzali wieści o masowych wypadkach zdrady i wieszania. Ja sam np. słyszałem od oficerów szczegółowe przedstawienie egzekucji, dokonanej na zarządcy pocztowym w Rozwadowie [1]). Rzecz podano w takiej formie, że istotnie byłem jak najmocniej przekonany, iż ów człowiek dopuścił się jakiejś ciężkiej zdrady wobec państwa, że z jego winy armja nasza poniosła ogromną szkodę i że winowajca został stracony. Byłem też niemało zdumiony, gdy w kilka miesięcy później wyczytałem nazwisko tego funkcjonarjusza w spisie internowanych w Thalerhofie, a w lecie r. 1915, gdy przybyłem do Rozwadowa, osłupiałem, zastawszy tego samego człowieka na swem dawnem stanowisku. Pokazało się, że ani nie popełnił zdrady, ani nie został zastrzelony, lecz rozpowiadano o nim bajki, skutkiem czego zgoła niewinnie został internowany i w zakładzie dla internowanych spędzić musiał kilka miesięcy.

Zdarzyło mi się również, że pewien generał [2]) opowiadał mi o rozstrzelaniu trzech starostów. Zapytałem: którzy to starostowie? Na to on odrzekł: Starostowie z Rohatyna, Husiatyna i Turki. Zauważyłem wobec tego: Tak, starostę z Rohatyna, Potockiego, widziałem w kilka miesięcy po egzekucji żywego w Sanoku. W Husiatynie nie było starosty, któryby został zastrzelony; tam był komisarz powiatowy Reinhold, który, jak mi wiadomo, otrzymał pochwałę od swej władzy przełożonej za to, czego wówczas dokonał z niebezpieczeństwem własnego życia i który w czasie, gdy mi to mówił ów generał, pełnił służbę wojskową, jako oficer rezerwowy. Co do trzeciego nie miałem wówczas żadnych informacji do udzielenia, lecz w kilka dni po rozmowie z generałem spotkałem owego starostę [3])

---

[1]) Nazywał się Litwin.

[2]) Leonardi, pochodził z Brodów, był przez długi czas stacjonowany w Galicji, powinien był zatem znać tamtejsze stosunki.

[3]) Dauksza.

w Wiedniu na Grabenie. I oto wysokiej rangi oficer opowiadał mi o rozstrzelaniu trzech starostów w Galicji, na czem nie było ani słówka prawdy! Z takich to opowiadań powstawały przesadne wieści o rzekomych zdradach, tak, iż władze nasze galicyjskie w oficjalnych komunikatach w marcu 1915 r. musiały stwierdzić, iż przy władzach państwowych w Galicji, między tamtejszymi Polakami, a w szczególności między urzędnikami politycznej władzy administracyjnej nie zdarzył się żaden wogóle wypadek zdrady, że na żadnym z tych urzędników nie ciężyło nawet podejrzenie o zdradę stanu lub szpiegostwo.

Przeciwko temu osobliwemu postępowaniu już z końcem września i początkiem października 1914 remonstrowałem u rozstrzygających czynników w Wiedniu i wskazałem na to, że takie postępowanie wywoła wśród galicyjskiej ludności objawy silnego rozgoryczenia".

Rzeczywiście z powodu nadużyć wojska, które stwierdziłem w tarnobrzeskim i sąsiednich powiatach, tudzież wiadomości o gwałtach popełnionych w innych okolicach, udałem się po raz pierwszy z końcem września 1914 roku z zażaleniem do Wiednia. Przedstawiłem stan rzeczy kierownikowi ministerstwa dla Galicji, Zdzisławowi Morawskiemu. W dniu 28 września zawiadomił mnie Morawski, że omówił sprawę z prezydentem ministrów hr. Stuergkhiem i ministrem obrony krajowej, bar. Georgym i radził, bym temu ostatniemu osobiście rzecz przedstawił (zał. 108). W tym samym czasie otrzymałem od Koła polskiego — które się zebrało w dniu 1 października 1914 na pierwsze posiedzenie po wybuchu wojny — upoważnienie do interwencji w sprawie nadużyć popełnionych przez wojsko (zał. 109). Udałem się więc do Georgyego. Generał ten, cieszący się przed wojną sympatją w parlamencie, człowiek kulturalny, oburzał się na nadużycia, powiedział mi, że już skądinąd doszły go wiadomości, że honwedzi zachowują się jak Hunnowie i obiecał interwenjować u naczelnej komendy armji. Do ministra spraw wewnętrznych bar. Heinolda, wniosłem pisemne przedstawienie już w dniu 1 października 1914 [1]. Tak w rozmowie z ministrem obrony krajowej, jak i w piśmie do ministra spraw wewnętrznych poruszyłem nietylko nadużycia popełnione przez wojsko w zachodniej części kraju, ale także masowe egzekucje na Rusinach w Przemyślu i w powiecie grodeckim.

Podobno poczyniono ze strony władz centralnych jakieś kroki u naczelnej komendy armji. Faktycznie masowe samosądy, jakie się odbyły w Przemyślu lub w Grodeckiem, nie powtórzyły się już, aczkolwiek później jeszcze wielu poszczególnych ludzi wieszano i strzelano bez sądu. Natomiast przy pierwszym powrocie Austrjaków do powiatów zajętych przez Rosjan, a jeszcze bardziej przy drugim, aresztowano i wywieziono mnóstwo ludzi do obozu internowanych, mnóstwo zasądziły sądy doraźne i polowe na śmierć lub długoletnie więzienie.

---

[1]) Odpis dość obszernego pisma z 1 października 1914 dołączony do nr. 304 załączników protokołu stenogr. Izby poselskiej z r. 1917. Fakta dotyczące nadużyć wojska zawarte w tem piśmie, powtórzone zostały w mojem przemówieniu w Izbie poselskiej z 12 marca 1918.

Z samosądów, dokonanych w moich okolicach, wspomnę powieszenie zamożnego gospodarza Szymona Bisa, w Nisku, rzekomo za dawanie sygnałów świetlnych Rosjanom. W winę jego nikt z mieszkańców nie wierzył, miał on bowiem 8 synów przy wojsku austrjackiem, a niektórzy z nich walczyli podówczas pod Niskiem. Powieszono pod Bojanowem matołka, którego żołnierze rosyjscy z żartów byli ubrali w strzępy uniformu rosyjskiego itd. Gdym remonstrował przed oficerami sztabu w Kamieniu przeciwko egzekucjom, m. in. wymieniłem umysłowo chorego Mścisza i owego matołka, którzy nie mogli się dopuścić czynów karygodnych przeciwko państwu, oświadczono mi, że warjatów i matołków niewielka szkoda, gdyż są tylko ciężarem dla rodzin i gmin, a natomiast egzekucje takie są o tyle pożyteczne, że powodują postrach wśród ludności.

Wyroki sądów doraźnych i polowych wydawane w tych okolicach — tak jak zresztą naogół wszędzie — były zwykle zbyt surowe, częstokroć nieuzasadnione, a nawet lekkomyślne i tendencyjne. Dziwić się temu nie można było, jeżeli się uwzględni, że władze przełożone wywierały presję na oficerów zasiadających w tych sądach, by nie okazywali „słabości", a zbyt łagodnym — ich zdaniem — sędziom groziły wprost odpowiedzialnością, zaznaczając, że nie są zdatni być oficerami. Stwierdził to uczony prawnik niemiecki, poseł Ofner, jako referent komisji prawniczej i powołał się w tym względzie na tajny okólnik z 11 czerwca 1915, uzasadniając wniosek tej komisji [1]) o nie zatwierdzenie przez parlament rozporządzenia, wydanego przez rząd w czasie wojny, którem poddano osoby cywilne jurysdykcji sądów wojskowych.

Brzydkim, a bardzo rozpowszechnionym zwyczajem wojennym było zabieranie przez sąsiadów bliższych lub dalszych, przedmiotów z mieszkań opuszczonych przez ich właścicieli. Zabierano przedmioty pod hasłem: „mają zabrać moskale lub honwedzi, to lepiej niech zabierze swój". Zabieranie cudzej własności było bezsprzecznie karygodne, lecz wymierzanie za to kary śmierci przesadnem i prawnie nieuzasadnionem. W powiecie niżańskim stracono kilka osób za takie przewinienia, m. in. powieszono na podstawie wyroku sądu polowego w Łętowni 3 gospodarzy za zabranie małowartościowych rzeczy, między nimi Jędrzeja Majczaka, który zabrał różne małowartościowe przedmioty, m. in. kilka garnków u Chawy Astel, rzekomo nie w celu przywłaszczenia ich sobie, lecz na przechowanie.

Podwójci z Wilczej Woli, Michał Dul, zasądzony został wyrokiem sądu polowego w dniu 25 maja 1915 na karę śmierci przez powieszenie, zamienioną w drodze łaski na 15 lat ciężkiego więzienia za to, że pod groźbą pobicia — a był już poprzednio bity i aresztowany przez Rosjan za niewypełnienie ich poleceń — wskazał żandarmowi rosyjskiemu miejsce pobytu 2 żołnierzy austrjackich, którzy uciekli z niewoli rosyjskiej i kryli się w gminie. Uzyskałem amnestję dla Dula.

Sprawa księdza Kotuli, wikarego w Majdanie Kolbuszowskim, wykazała jak lekkomyślnie a nawet tendencyjnie wydawano wyroki.

[1]) Nr. 378 załączników do protokołu stenogr. Izby poselskiej z r. 1917.

Wskutek denuncjacji i fałszywych zeznań dwóch osób, które ks. Kotula gromił publicznie — może niezbyt taktownie — za konkubinat, został on obwiniony o udzielanie pomocy Rosjanom, nielojalność względem Austrji i obraźliwe odezwanie się o oficerach austrjackich. Oficer, wnoszący oskarżenie, postawił wniosek o zasądzenie go na powieszenie. Wskutek zaprzeczenia winy ze strony jednego ze sędziów, sprawa poszła przed sąd polowy 8-go korpusu, który skazał ks. Kotulę na 15 lat ciężkiego więzienia za zdradę stanu. Odesłano go do odsiadywania kary do Terezina. Wyrok ten wywołał oburzenie w powiecie kolbuszowskim, gdzie znano działalność ks. Kotuli. Wiadomem było, że na początku wojny zachęcał młodzież do wstępowania do legjonów, a w czasie inwazji rosyjskiej opiekował się żołnierzami austrjackimi, którzy jako ranni pozostali w tych okolicach, lub uciekli z niewoli rosyjskiej, a których ludność ukrywała przed Rosjanami, dalej, że upominał ludzi, by nie wdawali się z Moskalami i nie okazywali im żadnej sympatji, wreszcie, że bronił jak mógł, ludność — bez względu na wyznanie — przed grabieżą i nadużyciami ze strony żołnierzy rosyjskich. To też w sprawie jego udała się deputacja z powiatu do Wiednia i wręczyła w kancelarji cesarskiej prośbę do tronu, zaopatrzoną kilkoma tysiącami podpisów i poświadczeniami władz cywilnych. Prośba ta zaopatrzona wielką sygnaturą, odesłaną została do głównej kwatery, gdzie się przeleżała 10 miesięcy bez żadnego wyniku. Tymczasem rodzina uwięzionego spowodowała śledztwo przed zwykłym trybunałem w Rzeszowie przeciwko oskarżycielom ks. Kotuli. Wyrokiem tego sądu z 15 czerwca 1916 skazano jedną z tych osób za złożenie fałszywych zeznań na 6 miesięcy ciężkiego więzienia. Wyrok ten zatwierdzony następnie przez sąd kasacyjny, został wykonany, a kara odcierpianą. Śledztwo przeciwko drugiej osobie, obwinionej o fałszywe zeznania i oszczerstwo przewlekało się, ponieważ nie można było wydobyć potrzebnych aktów od wojskowości. Zeznania świadków słuchanych przed zwykłym trybunałem wykazały jaskrawe braki postępowania przed sądem wojskowym. Rozprawa odbywała się tam oczywiście w języku niemieckim. Za tłumacza służył podoficer, który sam po polsku mało co umiał. Zeznania spisano inaczej, jak były złożone. Stwierdził to jeden ze świadków, włościanin, który rzekomo miał zeznawać obciążająco dla ks. Kotuli. Także dwaj księża, których zeznania, według protokołu sądu wojskowego, aczkolwiek nie wprost obciążające, były jednak dla niego w każdym razie niepochlebne, zaprzeczyli, by takie zeznania złożyli. Świadków dokładnie obznajomionych ze sprawą, którzy się sami zgłaszali, by stwierdzić nieprawdziwość zarzutów, podniesionych przeciwko ks. Kotuli, nietylko nie dopuszczono do przesłuchania i składania zeznań, ale rotmistrz żandarmerji, który wnosił oskarżenie, wprost się im odgrażał. Po zasądzeniu jednego ze świadków obciążających, za fałszywe zeznania, zwróciłem się do ministra Morawskiego o przyspieszenie wznowienia postępowania w sprawie ks. Kotuli. Minister Morawski sprawą gorliwie się zajął. Wreszcie wyrok sądu polowego został uchylony i zarządzono wdrożenia ponownego postępowania, a ks. Kotulę, który tymczasem przeszło rok przebywał w więzieniu, wypuszczono na wolną stopę. Po zebraniu się parlamen-

tu, wniosłem w tej sprawie interpelację [1]), domagając się zakończenia postępowania, rehabilitacji ks. Kotuli i wynagrodzenia wyrządzonej mu szkody. W odpowiedzi rządu z 22 grudnia 1917, Nr. 232 oznajmiono, że postępowanie przeciwko ks. Kotuli zostało w zupełności zaniechane i że przez to samo nastąpiła rehabilitacja.

Postępowanie sądów doraźnych i polowych wzbudzało taką grozę, iż zdarzały się wypadki samobójstwa z obawy stawania przed nimi. Lekarz dr. Miczulski, w Majdanie Kolbuszowskim, który w czasie inwazji rosyjskiej opiekował się ludnością i chorymi żołnierzami austrjackimi, których w tej okolicy ukrywano, aresztowany został pod zarzutem, że wdawał się z oficerami rosyjskimi, którzy byli zakwaterowani w jego mieszkaniu. Dr Miczulski, człowiek nerwowy, pod wrażeniem aresztowania i obchodzenia się z nim, jak ze zbrodniarzem, popełnił samobójstwo.

Nadużycia wojskowości w moich okolicach przedstawiłem w obszernym memorjale, wniesionym w dniu 28 grudnia 1915 na ręce prezesa Koła polskiego Bilińskiego i ministra dla Galicji Morawskiego.

Podobnie działo się i w innych powiatach w zachodniej Galicji, które były widownią walk. W przejeździe przez Tarnów widziałem olbrzyme plakaty obwieszczające skazanie na śmierć 8 osób, z których 5 powieszono. Uzasadnionem było zasądzenie Rusina Bazylego Pasiecznika, który strzelał do aeroplanów austrjackich, wreszcie może jeszcze i Salomona Fasta, za przystąpienie do ochrany rosyjskiej, przeważna jednak cześć wyroków była wprost drakońską, a m. in. wyrok na profesora Łazarskiego, zwłaszcza, że powszechnie było wiadomem, iż go wypadki wojenne wytrąciły z równowagi umysłowej (zał. 111). Z tarnowskiego powiatu doszła mnie wiadomość o powieszeniu innych jeszcze osób bez sądu, między nimi jednego matołka, widocznie w myśl zasad, które mi przedstawiono w Kamieniu.

Kilka wypadków samosądów wojskowych w swoim okręgu wyborczym, opisał były minister Długosz, w przemówieniu wygłoszonem 14 grudnia 1917 podczas obrad Komisji wojskowej delegacji austrjackiej [2]):

„Czy to nieuzasadniona panika, jaka owładnęła kierującemi kołami wojskowemi, czy zamiar zwalenia na innych winy za poniesione klęski — niewiadomo, co było faktyczną przyczyną, jednak nagle wydano rozkaz, aby ludność Galicji traktować podejrzliwie, z niedowierzaniem i w każdym co drugim człowieku wietrzyć rosyjskiego szpiega. Jest rzeczą wprost nie do uwierzenia, jakie straszliwe rozmiary przybrało to zaślepienie i ile wskutek tego naród nasz musiał wycierpieć, tembardziej, że ten lęk przed urojonymi szpiegami trwał jeszcze długo po zwycięstwie pod Gorlicami w maju 1915 r. i po wypędzeniu Rosjan, a nawet wystąpił potem jeszcze silniej.

Pozwólcie panowie, że zilustruję ten rozdział kilkoma przykładami:

---

[1]) Nr. 852 z r. 1917.

[2]) „Mowa Ekscel. Władysława Długosza, wygłoszona dnia 14 grudnia 1917 r. w komisji wojskowej delegacji austrjackiej", Kraków 1918.

Leży przedemną rozkaz krajowej komendy żandarmerji Nr. 5, **Exhibit Nr. 403 Res.** do wszystkich komend, oddziałów i posterunków żandarmerji, w którym komendant żandarmerji, podpułkownik Hagauer, wzywa żandarmów po raz ostatni, aby się ocknęli ze słabości, uwolnili od skrupułów prawnych i z najsurowszą bezwzględnością występowali przeciw każdemu podejrzanemu. Ta sama komenda żandarmerji w rozkazie datowanym Lwów, **20 sierpnia 1914, Exhibit Nr. 368 Res.** nakazuje żandarmom, aby podejrzanych o zdradę **nie odstawiali do sądów wojskowych**, ale aby po krótkiem przesłuchaniu ich i świadków i po krótkiem protokole w krótkiej drodze podejrzanych rostrzeliwali. Rozkaz tejże komendy z 20 sierpnia 1914 r., Exhibit Nr. 368, ma następujące lakoniczne brzmienie: „Na podstawie wydanego rozkazu z 16 sierpnia 1914 r. Nr. 403 Res. należy wobec wroga każdego „podejrzanego" o zdradę w krótkiej drodze zgładzać ze świata".[1])

Któż jest ten podpułkownik Hagauer, który sobie pozwala w koronnym kraju austrjackim usuwać ustawowe sądy, choćby nawet owe aż nazbyt surowe sądy wojskowe i wydawać życie polskich obywateli państwa na łup woli, samowoli lub zdziczenia pierwszego lepszego żandarma?!

Jak długo ludność naszego kraju znajdowała się w tej strasznej opresji, jak długo żandarmi mieli u nas prawo decydować o życiu i śmierci obywateli, widać z faktu, że dopiero dnia 7 stycznia 1916 r., krajowa komenda żandarmerji uznała za wskazane wydać następujący rozkaz: „Zawiadomić wszystkie posterunki, że karać śmiercią bez sądu nie wolno. Użycie broni dozwolone tylko wedle § 19 ustawy i § 65 instrukcji służbowej".

Ilu ludzi, ilu niewinnych ludzi musiało jednak podczas tego półtora roku przypłacić swoją krwią, swojem życiem, tę samowolę żandarmerji!

Mam w ręku jeszcze bardziej interesujący dokument, który dowodzi, że w naszym kraju świadomie gospodarowano tak, jakby to był kraj nieprzyjacielski.

Rozporządzenie c. i k. komendy 11 korpusu we Lwowie Nr. 89 Res. wystosowane do wspomnianej już krajowej komendy żandarmerji Nr. 5. we Lwowie z dnia 19 sierpnia 1914 r. nakazuje żandarmom, aby w szeregu wsi, dokładnie wymienionych, bezzwłocznie wybrali zakładników z pomiędzy najpoważniejszych i najwpływowszych osób. Któż to dał generałowi kawalerji Koloszwary'emu prawo brania zakładników z pośród austrjackich obywateli, płacących podatki? Czy ludność Galicji znajdowała się w wojnie z państwem austrjackiem, czy nie ona to właśnie dla ratowania monarchji przelewała hojnie serdeczną krew na wszystkich terenach wojen, jakie prowadziła monarchja?! Przedstawcie sobie, szanowni panowie, obywatela austrjacko-węgierskiego państwa, jako zakładnika w ręku austro-węgierskiej władzy!

---

[1]) Z zachodniej Galicji doszedł do mojej wiadomości tylko jeden wypadek — z powiatu łańcuckiego — w którym żandarm uczynił użytek z tego „uprawnienia".

Stosunki w Galicji zaraz po wybuchu wojny, zwłaszcza zaś bezpośrednio po pierwszych odwrotach, wykazały stan najzupełniejszego bezprawia. Mordowano ludzi masami bez wyboru, bez zastanowienia, bez żadnej różnicy.

Pozwólcie, szanowni panowie, że przytoczę małą wiązankę przykładów:

Do mojego kolegi, Tetmajera — jest on tutaj w sali i może to potwierdzić — przyszli do Witowa, koło Nowego Targu, dla przeprowadzenia robót fortyfikacyjnych w tym powiecie, dwaj oficerzy, jeden młodziutki podporucznik opowiadał, jaką on to miał ciężką robotę koło Dębicy [1]. Kazał on mianowicie żołnierzom swojego oddziału powiesić 83 mężczyzn z pośród ludności cywilnej, a to z powodu rzekomego podejrzenia o zdradę. Opowiadał, że podczas tej masowej egzekucji brakło nawet sznura do wieszania i że jeden z chłopów spadł, bo się stryczek urwał. Poseł Tetmajer zapytał go, czy wedle starego zwyczaju, tego biedaka, oderwanego od stryczka, puścił wolno. Na to ów młodziutki podporucznik odparł, że kazał tego chłopa sprowadzić do swojej kwatery, że mu kazał dać koniaku, aby przyszedł do siebie i obiad, aby się skrzepił, a gdy chłopina istotnie odzyskał siły, kazał go na nowo powiesić, co się też stało, tym razem już bez wypadku.

W kraju naszym opowiada się najstraszniejsze rzeczy o tych masowych wieszaniach. Mówiono już o tem i w parlamencie.

W Szymbarku, w powiecie, z którego posłuję, został uczeń pierwszej klasy gimnazjalnej, Stanisław Lewiński, zastrzelony przez oficera, czy kadeta przemaszerowującego oddziału wojska, który palnął mu kulę z rewolweru w głowę w chwili, gdy chłopiec przyglądał się żołnierzom, idącym przez wieś koło jego domu, szukając, czy w oddziele nie znajduje się jego brat. Ten oficer morderca strzelał potem i do innych członków rodziny Lewińskich, jednak na szczęście nie trafił. Mimo najenergiczniejszych zabiegów, w których gorący udział brał proboszcz tamtejszy, nie zdołano, niestety, ustalić, jaki to był oddział wojska.

Wypadek ten nie jest wcale wyjątkowym; jest on symptomatyczny dla stosunków, jakie panowały u nas w tej strasznej epoce odwrotów wojskowych w jesieni 1914 r., w czasie, kiedy komuś zależało na puszczeniu w świat bajki o zdradzie, o rzekomo zdradzieckiem usposobieniu ludności galicyjskiej, ażeby, jak się o tem publicznie mówi i co już nawet w parlamencie poruszono, przesłonić i ukryć prawdziwe przyczyny poniesionych klęsk. Chciano wmówić w świat, że to nie braki artylerji, nie przemoc wroga, nie braków pełna organizacja wojskowa i kiepskie przygotowanie do wojny było przyczyną niepowodzeń, tylko zdrada galicyjskiej ludności!

---

[1]) O masowych wieszaniach koło Dębicy nic mi nie jest wiadomo, chociaż dość często w tych okolicach bywałem. Idzie tu zapewne o osławione egzekucje w powiecie grodeckim, które ów oficer, zapewne słabo obznajomiony z geografją Galicji, przeniósł w okolice Dębicy.

Nic nas Polaków, tak nie bolało, jak ten niezasłużony z palca wyssany zarzut. Ogólny zapał polskiego ludu po wybuchu wojny skwitowano tem niesłychanem oszczerstwem o zdradzie.

Cóż za potworna logika! Naród polski w Galicji, który stworzył Legjony do walki z caratem, który wierzył, że ta wojna przyniesie mu państwową samodzielność, miał się dopuszczać zdrady na rzecz tego właśnie caratu, który uważał za największego wroga!

Zarzut zdrady polskiej, rzucony na nasz naród w Galicji, przepłaciła życiem niezliczona ilość obywateli naszego kraju. Ci, którzy zostali ewakuowani, albo uciekli i zdala od Ojczyzny pędzić musieli życie, mieli to życie zatrute. Przyjmowano ich wszędzie z nienawiścią i odrazą, jako zdrajców i szpiegów. Musieli się oni bronić przeciwko generalnemu podejrzeniu, które było najzupełniej bezpodstawne.

Powracające wojska austro-węgierskie zatruły ludności gruntownie radość z powodu wyzwolenia jej z pod inwazji. Kiedy chłopi, którzy przed Rosjanami poukrywali się ze swemi żonami i dziećmi w dołach ziemnych, po wypędzeniu wroga powychodzili z tych jam i ze skrwawionem sercem oglądali rozstrzelane podczas walk, których rezultatem było przełamanie frontu, swoje domostwa, węgierskie patrole urządzały sobie na tych ludzi polowanie. Starsi chłopi musieli sobie własnoręcznie kopać grób, musieli wchodzić do grobu i pozwolić się rozstrzelać. Małe dzieci otrzymywały tyle uderzeń, ile miały lat, a tylko niewielka ilość była pomiędzy niemi takich, które zdrowiem nie przepłaciły tego niezwykłego pozdrowienia ze strony żołnierzy zwycięskiej armji. Każdego straconego chłopa obrabowywano z gotówki i nie oddawano pieniędzy, mimo próśb i błagań rodziny.

Mam przed sobą prośbę, potwierdzoną przez proboszcza gminy Rzepiennik, w której wdowa, Stanisława Noga, prosi o zwrot zabranych jej zamordowanemu mężowi 1300 koron. W prośbie tej wyliczeni są poważni gospodarze: Paweł Noga, Ludwik Bochenek, Józef Słowik i Tomasz Ziomek, jako ci, którzy w tej jednej małej wioszczynie padli ofiarą zdziczenia żołnierzy, stracili życie i w tysiące koron idącą gotówkę, jaką mieli przy sobie. Ksiądz kanonik tamtejszy płakał rzewnemi łzami, kiedy mi opowiadał o tych scenach i tych krzywdach.

Wdowa Katarzyna Smalec z Biesnej w powiecie gorlickim wniosła do starostwa w Gorlicach prośbę, której nie można czytać bez najgłębszego wzburzenia. Prawdziwość szczegółów, zawartych w tej prośbie, stwierdza naczelnik gminy, jego zastępca, nauczyciel tamtejszy i kilkunastu świadków. Czytamy w niej: W październiku 1914 roku podczas odwrotu naszych wojsk przyszło dwóch żołnierzy niemieckich z armji austrjackiej do wsi Siedliska w powiecie grybowskim i zatrzymało się u Jana Ziomka. Obaj byli chorzy i nie mogli się wlec dalej. Mąż proszącej, Błażej Smalec, był przypadkiem w odwiedzinach u Ziomka, a ponieważ umiał po niemiecku, był tłumaczem. Rosjanie znajdowali się już u granic wsi, wobec czego obaj żołnierze prosili, aby im pożyczono ubrań cywilnych, mówiąc, że zostaną kilka dni dla pokrzepienia się, a potem będą się starali przedrzeć jakoś do austrjackich linji. Z litości, z poczucia patrjotycznego, obaj ci polscy chłopi, Ziomek i Smalec dostarczyli żołnierzom ubrań cywilnych,

na ich prośbę schowali ich mundury i broń przed wrogiem. Przez tydzień ci żołnierze austrjaccy pielęgnowani byli w domu Ziomka jak własne dzieci, przyszli do siebie i ruszyli w drogę. Z końcem grudnia 1914 r. Rosjan wypędzono. W pobliżu wsi był nasz rów strzelecki. Węgierscy żołnierze przychodzili często do gminy i pewnego dnia spostrzegli u Ziomka pozostawione mundury wojskowe. Tak Ziomek jak Smalec przedstawili Węgrom, jak się rzeczy miały, jednak to nic nie pomogło. Obaj ci dzielni, bardzo poważni gospodarze, zostali zamknięci w szkole, a po kilku dniach bez sądu rozstrzelani. Błażej Smalec miał przy sobie 600 K. Te znikły. Wdowa po nim, pozostała bez opieki, bez wszelkiej pomocy, zupełnie zubożała, z powodu tych okropnych przejść ciężko schorzała, zwraca się tedy imieniem czworga nieletnich dzieci, które u obcych ludzi są na łaskawym chlebie, do władz o pomoc".

Prócz wymienionych w tej mowie, stracono jeszcze co najmniej kilkanaście osób, zupełnie bezpodstawnie, w powiatach gorlickim i grybowskim, nadto wysłano ich większą ilość do obozów internowanych, gdzie niektóre z nich umarły.

I w powiecie łańcuckim, odbyły się dość liczne egzekucje. Na aresztowania w tym powiecie, skarżył się już 25 listopada 1914 roku radca sądowy Kozak, w piśmie do prezydjum Sądu krajowego wyższego i namiestnictwa:

„W Łańcucie aresztowano masowo. Najpierw obcych poddanych. Trzymano ich w areszcie kilka dni, potem wywożono na zachód. Widziałem tam osoby zacne i szanowane, głośne z wydatnej patrjotycznej działalności, osoby które tam mieszkały lat kilka, kilkanaście i więcej (jeden żyd z Łańcuta lat 38), osoby, których synowie spełniali służbę wojskową w naszej armji. Widziałem nawet dwóch w Łańcucie urodzonych chłopców, po 13 lat mających, których żandarmerja przyaresztowała jako „zakładników" dlatego, bo ich ojcowie — od dawniejszego czasu tu zamieszkali — w chwili aresztowania nie byli obecni w mieszkaniu. Potem aresztowano innych. Nie słuchano ich z reguły, jak się oni żalili. Przepełnienie w aresztach przechodziło granice fizycznej możliwości, co było dla stłoczonych istot ludzkich tem gorsze, że w nieurządzonych jeszcze aresztach, nie było dosyć łóżek, sienników a niemożna było często nastarczyć też słomy na posłanie".

Tak postępowano w Galicji.

Miałem sposobność wglądnięcia w gospodarkę wojska austro-węgierskiego w Królestwie na pograniczu powiatu tarnobrzeskiego, w „rządy prawa i życzliwej sprawiedliwości" („Die Herrschaft des Rechtes und der wohlwollenden Gerechtigkeit, tritt in diesem Gebiete ins Leben"), jak głosiły manifesty austrjackie nalepiane na murach miast w Kongresówce.

W Sandomierzu zetknąłem się z pijanym i grubjańskim komendantem etapu. Widziałem mieszkania zrabowane i zniszczone przez Węgrów, nocowałem w jednem z nich, zdaje mi się adwokata Zuckermanna, gdzie nie było ani jednego mebla całego, a bibljoteką palono w piecu. Odwiedziłem biskupa Ryxa, z którym wojskowi austrjaccy niegrzecznie się obchodzili. Naturalnie — jak zwykle — podejrzywali,

że się daje sygnały z wież kościelnych, a jeden z oficerów groził dwom kanonikom zastrzeleniem, na wypadek, gdyby sygnały te się powtórzyły. Wobec tego biskup zabronił nabożeństwa po kościołach i prosił by przed nimi ustawiono straże. Odbyły się egzekucje ludzi podobno niewinnych i aresztowania. Na liście internowanych w Thalerhofie widziałem później nazwiska mieszkańców Sandomierza. Między innymi odesłano do obozu internowanych, aptekarza Popławskiego, zagorzałego podobno austrofila i zwolennika legjonów. (Był to pierwszy Królewiak, za którym wstawiłem się u władz austrjackich, za powrotem do Wiednia. Miano go wkrótce uwolnić.) Aresztowano wtenczas ogółem około 100 osób, jak pisała na jesień r. 1917 żona przebywającego już trzeci rok w internowaniu adwokata dra Goldwassera do posła Raucha, na którego życzenie w tego sprawie interwenjowałem. Na miasto nałożono kontrybucję 20.000 koron, którą miało zapłacić do 3 godzin, pod rygorem rozstrzelania zakładników i bombardowania miasta. Ponieważ przeważna część zamożniejszych obywateli była uciekła z miasta, zbierano tę kwotę głównie pomiędzy uboższymi, a między innymi także i robotnikami i służącemi. Łatwo sobie wyobrazić, jakie uczucia wzbudzało to postępowanie dla Austrjaków wśród ludności.

Powróciwszy do Wiednia w końcu października 1914, udałem się do ministra spraw zagranicznych hr. Berchtolda, i przedstawiłem mu postępowanie wojsk austro-węgierskich, które oczywiście nie mogło zjednać sympatji dla Austrji u Polaków z Królestwa.

Wszelkie nadużycia popełnione na terenie walk tłumaczył później rząd austrjacki przed parlamentem psychozą wojenną, a niesłuszne wyroki sądów wojskowych, również atmosferą podniecenia i walki, wśród której je wydawano. Ale czem upozorować można było postępowanie władz z internowanymi w obozach koncentracyjnych, położonych bardzo daleko od linji bojowej, w krajach, które nie doznały zupełnie grozy wojny? A było ono haniebne.

XI.

O strasznym losie internowanych dowiedziałem się z okazji sprawy inspektora policji w Tarnobrzegu, Maślaka. Maślak, Rusin (brat jego był jednym z przywódców ukraińskich) ożeniony z Polką, był lojalnym i służbistym urzędnikiem miejskim, którego dobrze znałem jeszcze z czasów mojego urzędowania jako starosty w Tarnobrzegu. Zmuszony pozostać w tem mieście, gdyż jego przełożony, burmistrz Kolasiński tam pozostał, pełnił dalej, pod przymusem, swoją służbę. Obwiniony po powrocie wojsk austro-węgierskich przez 2 żydów, ludzi najgorszej reputacji — którzy mieli do niego złość o doniesienie do sądu o ich sprawkach — o wysługiwanie się Rosjanom, o mało co nie został zaraz powieszony przez Węgrów, w końcu jednak odesłano go do Thalerhofu. Stąd zdołał przez pozyskanego żołnierza przesłać list zawiadamiający mnie o swojem uwięzieniu i stosunkach w jakich się znajdował. Zapewniał mnie o swojej niewinności, o której, znając go, byłem zresztą przekonany. Miałem na początku wojny wyrobioną dobrą opinję u władz austrjackich, z powodów o których już mówi-

łem, nadto dobre stosunki z osobistościami mającemi znaczny wpływ na sprawy internowanych. Na czele biura dla spraw policji państwowej w ministerstwie spraw wewnętrznych, stał mój bardzo dobry znajomy i dawniejszy kolega z czasów mojej służby w tem ministerstwie, radca ministerjalny Reissig, przekonaniami politycznemi zbliżony do wszechniemców i nie sympatyzujący wcale ze Słowianami, ale człowiek rozumny, którego można było w danym razie przekonać argumentami o słuszności jakiejś sprawy. Najwyższym zaś urzędnikiem cywilnym w osławionym Urzędzie nadzoru wojennego „Kriegsüberwachungsamt" był hofrat Swoboda, zniemczony Czech, nader gorliwy w wykonywaniu swojej służby, również mój kolega z czasów urzędowania w ministerstwie spraw wewnętrznych, u którego mnie dobrze zapisało potwierdzenie meldunku z podpisem arcyksięcia Karola Albrechta, okazane mu w rozmowie o walecznych czynach nad Sanem. Miałem zatem ułatwioną interwencję w dwóch urzędach najważniejszych dla spraw internowanych. Dzięki temu zdołałem przeprowadzić dość liczne uwolnienia.

Dla Maślaka uzyskałem je stosunkowo szybko w połowie grudnia 1914. Udałem się z niem do Thalerhofu, nie wpuszczono mnie jednak do obozu, ściśle zamkniętego rzekomo z powodu grasujących tam chorób zakaźnych. Również i żona Maślaka, która z wielkiem poświęceniem i wytrwałością poszukiwała go po różnych więzieniach, aż się dowiedziała, że przebywa w Thalerhofie, pomimo usilnych starań nie mogła się z nim widzieć. Dopiero w jakiś czas po jego śmierci, otrzymała zawiadomienie, że umarł na tyfus plamisty (zał. 112 i 113). Później czyniono mi wyrzuty, że wstawiłem się za Maślakiem, a jednak okazało się, że sprawa jego wcale nie była czysta. Uzyskałem wgląd w akta. Okazało się, że kilka osób złożyło przeciw niemu obciążające zeznania. Dla znawcy stosunków były to jednak zupełne absurda, lub też podawanie znanych mi już skądinąd dobrze faktów, w zupełnie fałszywem oświetleniu.

Drugą osoba internowaną w Thalerhofie, którą się zająłem, była właścicielka majątku Januszkowice w Królestwie, w Stopnickiem, Ludwina Bronikowska, starsza już osoba, przed wojną zapalona austrofilka. Gdy w październiku 1914 kozacy napadli na patrol austrjacki, zakwaterowny w jej majątku, zarzucono jej, oczywiście bez cienia podstawy, że współdziałała w sprowadzeniu ich. Podpalono w jej majątku budynki, ją zaś samą i jej bratanka gnano piechotą kilkadziesiąt kilometrów do stacji kolejowej. Następnie więziono ją w Krakowie. Umieszczona w celi z nierządnicami, musiała wynosić kubły z nieczystościami. Wreszcie wysłano ją do Thalerhofu. O internowaniu p. Bronikowskiej zawiadomił mnie jej krewny radca ministerstwa rolnictwa Ramułt. Wspólnemi staraniami wydobyliśmy ją w połowie grudnia 1914 z Thalerhofu. Wkrótce potem umarła z wycieńczenia w szpitalu w Gracu. Bratanka jej zwolniono wprawdzie z Thalerhofu, ale odesłano do Steinklamm, a następnie konfinowano w jednej z miejscowości w dolnej Austrji. Później uzyskałem dla niego pozwolenie powrotu do Królestwa. W tym samym czasie zwrócił się do mnie o uwolnienie z konfinowania proboszcz z Zagórza koło Dąbrowy górniczej, ks. Zamojski, który za to, że znaleziono u niego na

biurku gazetę z Warszawy, zakupioną od jakiegoś chłopaka na ulicy, dostał się do Thalerhofu. Uwolniony stamtąd, został konfinowanym w klasztorze w Marja Trost koło Grazu, skąd do mnie pisał (zał. 114), Wkrótce i jemu pozwolono powrócić do domu.

Jednym z pierwszych Polaków, których zwolniono jeszcze przed rozszerzeniem się epidemji tyfusu plamistego, był właściciel dóbr w powiecie zbaraskim, p. Bączkowski, osiadły od 28 lat w Galicji, syn powstańca z 1863 r. zesłany do Thalerhofu, wskutek zarządzenia żandarmerji, li tylko z tego powodu, że był poddanym rosyjskim.

Od osób powracających z Thalerhofu dowiadywaliśmy się o stosunkach, które tam panowały, również jak i z przemyconych listów, a m. i. z pisma Komitetu Polskiego, który się tam utworzył, pod prze-



Thalerhof.

wodnictwem dra Szpunara (zał. 115). Dr. Szpunar został wywieziony z początkiem listopada 1914 r. z Łańcuta, ponieważ był przewodniczącym zarządu miasta samorzutnie ukonstytuowanego w czasie inwazji rosyjskiej, w nieobecności burmistrza i wielu członków rady miejskiej. Drowi Szpunarowi zarzucono, że w czasie swego urzędowania zanadto się wdawał z Rosjanami. Tymczasem radca sądowy Kozak w swojem piśmie do Wyższego Sądu Krajowego w Krakowie, o którem już wspomniałem, wydaje całemu zarządowi wraz z drem Szpunarem pochlebne świadectwo. Niebawem i dr. Szpunar, uwolniony z Thalerhofu, przejeżdżając przez Wiedeń, udzielił mnie i kilku innym członkom Koła polskiego wiadomości o tym zakładzie.

Wszystkie te informacje dawały straszny obraz stosunków, odpowiadający zupełnie ponuremu opisowi, który później poseł czeski Stribrny, skreślił w parlamencie austrjackim. Streszczenie jego mo-

wy [1]) podał krakowski „Naprzód" w artykule z dnia 21 czerwca 1917 roku:

„Na posiedzeniu Izby posłów dn. 14 b. m. przemawiał — jak zaznaczyły depesze Biura kor. — również między innymi czeski poseł Střibrny. Pisma wiedeńskie streszczają jego wywody:

Zawieszeniu praw obywatelskich zawdzięczać należy, iż wytworzyło się pojęcie politycznie podejrzanych obywateli niegodnych zaufania. — A do popadnięcia w taką opinję wystarcza anonimowa denuncjacja, tak, iż ofiara nigdy nie dowie się nawet, kto i o co podniósł oskarżenie. Mówca opowiada straszne rzeczy o obchodzeniu się z internowanymi, między którymi były także kobiety, młode dziewczęta i starcy. — Znęcanie się nad internowanymi, których żywiono niedostatecznie, było na porządku dziennym, a przewożono ich skrępowanych, najczęściej zanieczyszczonymi wozami, używanemi do gnoju. W drodze do obozu internowanych ludzie ci byli przedmiotem znęcania się, a jeden transport, złożony z 43 internowanych został po drodze w pień wycięty przez honwedów.

P. Střibrny szczegółowo omówił następnie stosunki panujące w obozie internowanych w Thalerhofie. Pierwszy transport objęty został przez żołnierzy z Gracu, których kapitan okazał się w postępowaniu swem z internowanymi człowiekiem bez serca. Pierwsze trzy dni obozowali pod gołem niebem. Na otwartem polu wbito cztery pale i nikt nie śmiał wychylić się poza zaznaczoną w ten sposób linję. Niektórzy internowani zostali zaraz po wyjściu z wagonów do krwi zbici i dręczeni. Kobiet od mężczyzn nie oddzielano na noc. Dopiero czwartego dnia przeprowadzeni zostali internowani do hangaru, gdzie jednakowoż znowu spali na gołej ziemi. Po upływie dalszych dni pięciu dano im słomę, ale w stanie zepsutym. Wyznaczona przestrzeń okazała się za szczupłą do spania; bielizny nie można było zmieniać, bo nikt jej nie miał i nikt też nie miał pieniędzy.

Mowca dalsze jeszcze przytacza szczegóły. — Z winy straży zdarzyły się wypadki śmierci. Właśnie ludzi inteligentnych, przede wszystkiem księży i kobiety używano do najniższych posług podpędzając ich do pracy biczem. Gdy liczba internowanych tak urosła, że nie było już miejsca, musiało wielu z nich sypiać w namiotach przy 15—20 st. mrozu. Nic dziwnego, że śmiertelność, zwłaszcza wśród młodych dziewcząt i starców, przerażająco wzrastała. Dopiero pod koniec listopada 1914, dzięki interwencji jednego z lekarzy sztabowych, zbudowano baraki. Odzież przeniesionych do tych baraków poddawano desinfekcji, przyczem kobiety i dziewczęta musiały na powietrzu rozbierać się do naga i w takim stanie czekać godzinę lub nawet dłużej, aż im zwrócono odzież [2]). Chorych i rekonwalescentów oddzielano dopiero od lutego 1915 od zdrowych. Same epidemje przyprawiły w Thalerhofie o śmierć 1200 ludzi; ogółem pogrzebano

---

[1]) Protokół stenograficzny posiedzenia z dnia 14 czerwca 1917 strona 240 do 250.

[2]) Fakt ten i prowadzenie nagich kobiet do kąpieli pod bagnetami wśród naigrawań się żołnierzy, stwierdzali także i moi informatorzy. Po tego rodzaju kąpielach dezinfekcyjnych wiele osób zapadło na zapalenie płuc.

2000 trupów. Autentyczność tych szczegółów — oświadcza mówca — potwierdzić może przeszło 70 wiarygodnych osób, ludzi inteligentnych z akademickiem wykształceniem. Wykaz ich może mówca każdej chwili przedłożyć Izbie".

We wspomnianem już przemówieniu mojem w Izbie poselskiej z dnia 12 marca 1918, mogłem na podstawie materjału, który zebrałem, stwierdzić tylko słuszność zarzutów posła Stribrnego:

„O zajściach w Thalerhofie mówił na posiedzeniu d. 14. czerwca 1917 p. Stribrny. Muszę stwierdzić, że informacje, jakie mnie doszły od wielu wiarygodnych osób, które były internowane w tym zakładzie masowego mordu, zupełnie się zgadzają z rewelacjami p. Stribrnego. Mam pismo licznej grupy Polaków, których tam zresztą nie było nazbyt wielu, — gdyż na mniej więcej 6500 do 7000 osób internowanych, przypadało tylko 506 osób narodowości polskiej — owóż mam pismo, w którem zawiadamiają mnie wiarygodni ludzie, że do 20 lutego 1915 w Thalerhofie zmarło 1100 osób; 1360 leżało złożonych chorobą, a 900 było rekonwalescentów; a więc przeszło połowa wszystkich internowanych albo zmarła, albo była ciężko chorą.

Wedle dat urzędowych w tygodniu od 17. do 23 stycznia 1915 było w Thalerhofie 464 wypadków tyfusu plamistego, — co najlepiej dowodzi, jakie panowały tam stosunki, gdyż wiadomo, że tyfus plamisty jest wynikiem głodu i brudu. Komendant Thalerhofu, emerytowany pułkownik v. Stadler, oświadczył internowanym wobec żołnierzy: „jesteście zdrajcami, wszyscy będziecie powieszeni". Można sobie wyobrazić, jak wobec tego traktowała internowanych straż, prości żołnierze, którzy uważali ich za zdrajców, których wina była stwierdzoną. Znane mi są wypadki, w których internowani bez powodu ponosili śmierć od kuli lub pchnięcia bagnetu. A co za ludzie tam się znajdowali, wykażę na jednym przykładzie. (Wiceprezydent dr. German daje znak dzwonkiem). Zaraz skończę, za kilka minut. Zawiadomiono mnie, że około 20 dziewcząt służących ewakuowanych z Krakowa i okolicy, przewieziono do Thalerhofu. Stało się to przez prostą pomyłkę. Zamiast posłać owe dziewczęta do obozu uchodźców, odstawiono je do Thalerhofu, gdzie pomnożyły liczbę „polskich zdrajców". Wniosłem podanie o wypuszczenie ich z Thalerhofu i oto po upływie trzech miesięcy doszło mnie pismo ministra spraw wewn., który mnie zawiadomił, że dwu z owych dziewcząt nie można odnaleźć — widocznie zmarły — jedna, jak stwierdzono, zmarła — a resztę przeniesiono z zakładu dla internowanych do obozu uchodźców" [1])

Wrażenie mowy posła Stříbrnego starali się przedstawiciele rządu i niektórzy posłowie niemieccy osłabić gołosłownemi zaprzeczeniami. Powoływali się nawet na świadectwo posła Sterna, który przebył 2 miesiące w Thalerhofie (podobno za granie w karty z oficerami rosyjskimi podczas okupacji rosyjskiej; gdyśmy się dowiedzieli w Kole polskiem o jego internowaniu, wkrótce go stamtąd wydobyliśmy). Było to dość naiwnie z ich strony, albowiem poseł Stern w czasie przemówienia Stříbrnego wykrzyknikami „Piekło to za ma-

[1]) Załącznik 116 i 117.

ło na oznacznie Thalerhofu!" „Thalerhof to nie piekło, to jama morderców" [1]) dał publicznie wyraz swoim zapatrywaniom na ten zakład.

Silniejszym argumentem jak wszelkie opisy grozy Thalerhofu i jak wszelka obrona tamteszych stosunków, była cyfra śmiertelności w tym obozie. Po półrocznem istnieniu obozu w Thalerhofie, umarło prawie 15 proc. jego mieszkańców. Niektórych zamordowała lub skatowała na śmierć straż. Stribrny wymienił szereg takich wypadków, dotyczących internowanych Rusinów — wogóle prawie wszystkie fakta, jakie przytoczył w swojej mowie, odnosiły się do Rusinów — a dwa z nich dotyczyły Polaków, a mianowicie asystenta cłowego Mieczysława Czajkowskiego z Galicji, który okropnie pobity, umarł pokryty ropiejącemi ranami i robactwem, tudzież Kajetana Żurowskiego, włościanina z Królestwa przebitego bagnetem przez jednego z żołnierzy, bez żadnego powodu, li tylko z krwiożerczości [2]). Wymieniono mi — nazwiska nie mogę jednak odszukać w moich notatkach — włościanina Polaka, który chcąc załatwić czynności fizjologiczne w pewnej odległości od swych towarzyszy niedoli, przekroczył granice obozu, naznaczone podówczas jeszcze tylko słupami. Został zakłuty na śmierć bagnetem. Szczególnie odznaczał się okrucieństwem jakiś rudy Styryjczyk, kapral, przezwany przez internowanych „rudym psem", który miał na sumieniu zamordowanie kilku ludzi. Może to ów podoficer Piller, o którego zbrodniach mówił poseł Stříbrny. Najwięcej jednak osób umarło na tyfus plamisty. Z początku nie było baraków izolacyjnych, wszystko leżało pospołem, zdrowi jeszcze, chorzy i trupy. Urzędowe sprawozdanie namiestnictwa w Grazu stwierdza, że brak baraków izolacyjnych był powodem gwałtownego szerzenia się epidemji w Thalerhofie, zagrażającej mieszkańcom Stryrji (zał. 188). Pierwszy barak izolacyjny — tylko na 200 osób — postawiono dopiero w końcu stycznia 1915 roku.

Wskutek epidemji nie było dostępu do obozu, z początku także i korespondencji nie wolno było ani wysyłać, ani przyjmować, chyba, że przekupiono którego z żołnierzy, by list wysłał lub przyniósł. Opłacać się także trzeba było za przyniesienie nieco żywności, nawet za szklankę wody. To też, gdy zaprowadzono później kantynę w obozie, prowadzący ją, chociaż niemiłosiernie obdzierali internowanych, uważali się jednak za ich dobrodzieji i twierdzili, że internowani po rękach ich całowali, gdy chcieli wogóle im coś sprzedawać (zał. 119). Prawdopodobnie żywność w kantynie wypadała taniej, jak opłacanie się straży. Przeważnie jednak internowani nie mieli żadnych pieniędzy, gdyż ich przy aresztowaniu i w czasie transportu zwykle ograbiono, lub też odbierano im gotówkę po przybyciu do Thalerhofu.

Z czasem pozwolono internowanym pisać kartki. Cenzura była jednak surowa. Zamazywano jakąś czarną mazią wszystko co zarządowi obozu w treści tych kartek nie odpowiadało.

---

[1]) Protokół stenograficzny z 14 czerwca 1917, str. 244.

[2]) O tem morderstwie wspomniał poseł Stribrny także w swojej interpelacji nr. 198 z r. 1917.

Otrzymałem w namiestnictwie w Grazu w pierwszych dniach stycznia 1915 informację, że na około 6800 osób internowanych w Thalerhofie, 506 przyznało się do narodowości polskiej, że jednak między niemi jest wielu Polaków z Królestwa, a że także niektórzy Rusini zgłosili się jako Polacy. Pismem z 22 marca 1915, przesłał mi dr. Szpunar wykaz sporządzony na podstawie jego notatek, obejmujący 153 nazwisk Polaków z Galicji. Sam jednak zaznaczył, że wykaz ten jest niedokładny i nie obejmuje wcale osób przebywających w barakach izolacyjnych dla chorób zakaźnych i w szpitalu (zał. 120). W maju otrzymałem w Grazu wyciąg z urzędowego wykazu, zawierający daty dotyczące 245 Polaków, według stanu z początkiem maja 1915 roku. Tyle ich więc jeszcze w tym czasie przebywało w Thalerhofie. Część internowanych Polaków wydobyto już z obozu, część tam umarła.

Z osób objętych tym wykazem było 195 z Galicji, a 50 z Królestwa — przy tych była zawsze adnotacja „Russe". Byli to prawie wyłącznie włościanie z guberni radomskiej, ewakuowani w czasie walk, odsyłani coraz dalej od frontu, aż się dostali do Thalerhofu i powiększyli liczbę „zdrajców polskich z Galicji". Później przeniesiono ich do obozu w Steinklamm w Dolnej Austrji.

Wśród Polaków z Galicji przeważali również włościanie, których władze wojskowe odstawiły do Thalerhofu. Byli tam mieszkańcy gminy Chełma w powiecie krakowskim, którzy nie dość szybko zastosowali się do zarządzeń ewakuacyjnych; Franciszek Permus, gospodarz z Wielickiego, aresztowany, gdy poszukiwał żołnierzy, którzy mu ukradli konia z wózkiem (zał. 121); Marja Bąkowa, gospodyni wiejska, która po ustąpieniu Rosjan odwiedziła swoje córki zamężne i osiadłe na pograniczu Królestwa; Ewa Iwaniec z małemi dziećmi, włościanka z Czarnuszowic powiatu lwowskiego, tudzież różne Kasie i Marysie, służące ewakuowane z Krakowa, „polskie zdrajczynie stanu", w Thalerhofie. O losie tych ludzi dowiedziałem się z ich podań wniesionych do Koła polskiego, bądź też z wykazu dra Szpunara, stwierdzającego, że szło tu o ewakuowanych, a nie o podejrzanych politycznie. Na moje podanie, wniesione do ministerstwa spraw wewnętrznych, uwolniono ich i odesłano do obozu dla uchodźców wojennych, jednak nie wszystkich, kilka bowiem osób wymienionych w mojem podaniu, umarło tymczasem w Thalerhofie.

Tak wyglądali po największej części owi zdrajcy polscy w Grazu, o których wspominał Harden.

Przesłuchania internowanych zaczęły się w listopadzie 1914, przerwano je jednak już w połowie grudnia, na długi czas, z powodu skonstatowania epidemji tyfusu plamistego w obozie. Nikt nie wiedział za co ci ludzie byli internowani. Ogromną ich większość odstawili wojskowi do Thalerhofu, częstokroć ewakuowanych, nie wiedząc, gdzie ich odesłać. Cztery osoby odesłały starostwa, 19 policja w Przemyślu (m. in. kilka prostytutek), lub w Krakowie, 26 żandarmerja. Wśród odstawionych przez te władze, mogli być istotnie podejrzani politycznie, aczkolwiek przykład właściciela dóbr Bączkowskiego, o którym już wspominałem, tudzież włościanina Ossowskiego, który zaraz przytoczę, wskazywały, że żandarmerja nieraz samo-

wolnie i bez należytej podstawy odsyłała ludzi do Thalerhofu. Również i list, który otrzymałem od zarządcy sprzedaży soli Wydziału krajowego w Bolechowie Wojciechowskego — internowanego z żoną w Thalerhofie, a następnie uwolnionego z braku winy — zawierał ciężkie oskarżenia w tym względzie przeciwko żandarmom: „Przebywszy inwazję szczęśliwie w domu swoim, prowadziłem dalej moje urzędowanie spokojnie przez 15 miesięcy. Nagle 23 sierpnia 1916 r. wpadają żandarmi i aresztują mnie wraz z żoną. Wskutek braku czasu musieliśmy zabrać z sobą też dwoje 5 i 10 letnich dzieci. Zawleczono nas do Thalerhofu na moralne i fizyczne powolne tortury, a nie mogłem ani domyśleć się, ani dowiedzieć z jakiej przyczyny, bowiem lojalność moja była ogólnie znana. Postąpiono sobie z nami niegodziwie, wbrew wszelkiemu przysługującemu mi prawu jako oby-



Korespondencja z Thalerhofu.

watelowi kraju i istniejącym ustawom państwa. Dopiero za 3 miesiące przybył z namiestnictwa w Grazu radca Eckhardt na komisję i oznajmił nam zarzuty: Wprowadzenie w dom Moskali i ucztowanie z nimi. Ten zarzut urąga wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi. Wniosłem na ręce tegoż pana radcy rekurs z krytyką tych zarzutów, tej treści, że jako bezbronni nie mogliśmy wzbronić domu naszego od zajęcia na kwaterę. Wróg stał się panem życia i mienia naszego, a wszelki sprzeciw lub niechęć były karane śmiercią, plądrowaniem lub deportacją. Z odstąpieniem wojsk naszych zostaliśmy zdani na łaskę i niełaskę wroga. Kazał wróg oddać sobie pokoje na kwaterę, musieliśmy to uczynić. Tak samo gdy zaprosili nas jako gospodarzy do swego stołu, odmówić było niebezpiecznem. Na taki bezmyślny zarzut i na egzekucję bez przesłuchania oburza się i wzdryga uczu-

cie ludzkości i sprawiedliwości. Rzucano wówczas bez zastanowienia się, dowolnie, podejrzeniami, bowiem żandarmi baczyli tylko na to, by sie wykazać jak największą liczbą osób podejrzanych, celem wykazania swej pracy, względnie zasługi. W tym celu została wszelka sprawiedliwość a nawet i prawda wykluczona, bowiem były wypadki zmyślenia, bezczelnego kłamstwa i przekręcania faktów, by donosowi i swojej zasłudze nadać większej wagi" [1]).

Wśród internowanych Polaków były także osoby wyznania mojżeszowego. Znaleźli się i Niemcy w Thalerhofie. O dwóch z nich, braciach Langer, kolonistach z Galicji, wspomina poseł Stribrny. Pobitych i pokaleczonych już przez straż, uwolniono po stwierdzeniu, że jeden z nich był członkiem któregoś z niemieckich stowarzyszeń w Wiedniu. Był tam także parobek z Aflenz, z Styrji. Ten wysłany jako „forszpan" do Galicji, stracił tam konie i wracał piechotą do domu. Spotkał honwedów, nie mógł się z nimi rozmówić i znalazł się w Thalerhofie, w swoim kraju ojczystym, jako politycznie podejrzany Galicjanin, chociaż słowa po polsku ani po rusku nie umiał. Opowiadał mi to jeden z wyższych urzędników namiestnictwa w Grazu.

Ogromną większość internowanych tworzyli Rusini. Według broszury „Polnische Russophilen und Massenverhaftungen staatstreuer Ukrainer in Galizien" (str. 28 i 29) wypuszczono z Thalerhofu za staraniem ukraińskiej Rady narodowej do 7 listopada 1914 — 77 inteligentów ukraińskich, a do dnia 12 grudnia 1914 dalszych 110 Ukraińców, poczem, jak już wspomniałem, przesłuchiwania internowanych na długi czas ustały. W lutym 1915 roku, miało tam być jeszcze 300 niewinnych (to znaczy Ukraińców) internowanych, przeważnie chłopów. Innych uważano w tem wydawnictwie ukraińskiem widocznie za winnych. Zapatrywanie to nie było słusznem. Tak jak wśród Polaków i Ukraińców, przeważała zapewne także wśród Rusinów liczba ludzi wysłanych do Thalerhofu przez pomyłkę, nieznajomość stosunków, samowolę, wreszcie wskutek kłamliwych denuncjacji lub nieuzasadnionych podejrzeń.

Powstała legenda o masowem internowaniu Polaków w Thalerhofie. Łatwo się domyśleć, skąd czerpał swoje informacje o „wiadomościach z Grazu" Harden. Pochodziły one zapewne z tego samego źródła, co i broszura „Die russische Propaganda und ihre polnischen Gönner in Galizien", na którą się powoływał. Zadziwiającem jednak jest, że i w ludność Grazu potrafiono wmówić, że w Thalerhofie siedzą przeważnie Polacy. Sam słyszałem, spoglądając ze Schlossbergu na opary bagniska, wśród których krył się w oddali obóz thalerhofski, a w nim tysiące ginących niewinnie ludzi, jak łyki z Grazu mówiły: „Dort sitzen die polnischen Verräter" — „Tam siedzą polscy zdrajcy". A przecież Polacy stanowili tylko 1/14 część internowanych, resztę zaś prawie wyłącznie Rusini.

Ukraińcy mieli przy komisji thalerhofskiej swojego męża zaufania, audytora Hankiewicza, adwokata z Kołomyji, mieli również oficera Ukraińca wśród straży thalerhofskiej. Ułatwiało im to ogromnie

---

[1]) Z mojego okręgu wyborczego nie dochodziły mnie jednak podobne zażalenia na żandarmów, widocznie zatem nie wszędzie postępowali tak bezwzględnie.

ewidencję internowanych Ukraińców, wiadomość za co który był internowany i możność skutecznej interwencji. Nie słyszałem, by ze strony Ukraińców dopomagano Rusinom, nie należącym wprawdzie do ich obozu, ale jednak nie moskalofilom. Nieraz który z Polaków ujął się za nimi.

Narzekania ukraińskiej Rady narodowej na masowe aresztowania Ukraińców, spowodowane rzekomo tendencyjnie przez Polaków, nie były uzasadnione, było ich przecież mniej w Thalerhofie, jak Polaków, a dostali się tam prawdopodobnie w ten sam sposób jak i oni, t. zn. zostali zapewne odstawieni głównie przez wojsko i żandarmerję. Jak to wynika z zażalenia radcy sądowego Kozaka, urzędnicy starostwa w Łańcucie, zbyt ulegli wojskowości i żandarmerji, zgadzali się na aresztowanie i odstawianie do obozów internowanych Polaków zupełnie niewinnych, a zwłaszcza licznych stosunkowo Polaków z Królestwa. Zdarzyć się to mogło także i w niektórych innych starostwach i to tak z Polakami, jak i Ukraińcami.

Gdy generał Baczyński, mój znajomy, objął nadzór nad zakładami wojskowymi w Styrji, a m. in. także nad Thalerhofem, udałem się do niego do Grazu, przedstawiłem nieludzkie obchodzenie się z internowanymi i wykazałem na podstawie dotychczasowych moich doświadczeń, że wielu z nich, jak to już niejednokrotnie urzędownie stwierdzono, jest niewinnych i że nie godzi się z ludźmi, którym winy żadnej nie dowiedziono, obchodzić się gorzej, jak to się dzieje po więzieniach z najgorszymi zbrodniarzami. Generał Baczyński uznał słuszność moich wywodów, obiecał, że jak najspieszniej wglądnie w te stosunki i postara się o ich naprawę. Interwencja ta nie była bezskuteczną, jak to stwierdził m. in. poseł Stern (zał. 122).

Po ofenzywie gorlickiej i zajęciu znacznej części Galicji wsch. przez Austrjaków, przybyły nowe ofiary do Thalerhofu, między niemi nieco Polaków. Zgłosił się do mnie o pomoc znany mi jeszcze z tarnobrzeskiego zamożny gospodarz Ossowski, który przesiedlił się był w Tłumackie. Zadarł on m. in. z wachmistrzem żandarmerji. Ten skorzystał z okazji, że Ossowski podczas okupacji rosyjskiej tanio kupił jakiś wóz od żołnierzy rosyjskich, by go ulokować w Thalerhofie. Ossowski przesyłał do mnie listy za pośrednictwem przydzielonego do obozu urzędnika. Narzekał w nich na postępowanie żandarma i na to, że zamiast złodziei, trzyma się w więzieniach bez przesłuchania, śledztwa i sądu lojalnych obywateli państwa. Internowanie Ossowskiego, pomimo korzystnej opinji, jaką wydał o nim starosta w Tłumaczu i mimo moich ponagleń, trwało 7 czy 8 miesięcy, zanim go wypuszczono z Thalerhofu. Urzędnikiem, o którym wspomniałem przed chwilą, był sekretarz rządu krajowego na Bukowinie, Eckhardt, Polak, przydzielony do namiestnictwa w Grazu. Był to widocznie człowiek współczujący z nędzą internowanych, jak świadczy list, który mi przesłał (zał. 123). Z listu tego wynikało, że w połowie grudnia 1916 było jeszcze 2700 internowanych w Thalerhofie, a umierało ich miesięcznie przeciętnie około 120, oczywiście z wycieńczenia, po długiej niewoli wśród fatalnych warunków hygjenicznych i niedostatecznego odżywiania się.

Jedną z osób internowanych po odzyskaniu Lwowa, była żona dzierżawcy dóbr, p. Szparakowska, ofiara oszczerczej denuncjacji jakiejś złośliwej, starej analfabetki (zał. 124). Dowiedziawszy się z gazety o przebiegu rozprawy sądowej przeciwko niej, wniosłem zaraz podanie do urzędu nadzoru wojennego o jej uwolnienie.

Czasami więziono ojców i mężów, by móc się swobodnie zalecać do córek lub żon, jak mi pisał jeden z byłych internowanych w Thalerhofie, polecony mi przez poważną osobę (zał. 125).

Internowanym po oswobodzeniu Galicji wschodniej został również adwokat Bobrowski z Brzeżan za to, że w czasie okupacji rosyjskiej z polecenia Rosjan objął zarząd tego miasta. Gdy zwrócono się do mnie o poparcie podania o jego uwolnienie, wniesionego przez żonę do urzędu nadzoru wojennego, byłem w kłopocie co uczynić, gdyż ani dra Bobrowskiego, ani jego stosunków nie znałem. Szczęśliwym trafem ukazał się właśnie w tym czasie artykuł w „Reichspost" (z 23 wreśśnia 1915) o gwałtach rosyjskich w Brzeżanach, powtórzony za „Ukraińskiem Słowem". W artykule tym znajdowało się zdanie: „Soldateska rosyjska szalała przez trzy dni. Dr Bobrowski, którego Rosjanie zamianowali burmistrzem, starał się wprowadzić porządek i bezpieczeństwo w mieście i to nie bezskutecznie...". W piśmie wniesionem za pośrednictwem ministerstwa dla Galicji, powołałem się na to świadectwo ukraińskie, którego nie można było posądzać o stronniczość na rzecz dra Bobrowskiego. Zdaje się, że to pomogło, gdyż dr. Bobrowski odzyskał wolność.

Interwencja w sprawie internowanych nie była rzeczą łatwą. Przedewszystkiem przez długi czas nie wiedziano kto był internowany. Internowanych przeważnie nie znano. Nie można było wglądnąć w akta. Władze nie dawały wyjaśnień — same zwykle nie wiedziały za co kto siedzi, a do obozu nie wpuszczano pod pozorem grasujących tam epidemji, tak, że nie można było osobiście się porozumieć z internowanymi. Trudno było otrzymać wiarygodne informacje. Zresztą na informacjach poważniejszych nawet czynników nie można było zawsze polegać, jak tego kilkakrotnie doświadczyłem. Trzeba było zatem z wielką ostrożnością każdą sprawę traktować, by nie narazić się samemu na odpowiedzialność, a w każdym razie, by nie stracić możności dalszych interwencji. Mało kto chciał się tego rodzaju sprawami zajmować. Jedni — przyzwyczajeni do praworządnych stosunków przedwojennych — nie mogli uwierzyć, by władze austrjackie masami aresztowały i przetrzymywały ludzi bez podstawy, inni obawiali się narazić na zarzut nielojalności przez wstawianie się za „podejrzanymi politycznie". To też z braku dochodzeń z urzędu przez władze, a nie wielkiej stosunkowo liczby interwencji prywatnych, wiele osób przez długi czas, nawet przez lata całe, pozostawało w Thalerhofie.

Wielu nie mogąc się doczekać uwolnienia, zgłosiło się dobrowolnie do wojska, sądząc, że pójdą na front i traktowani będą jako żołnierze. Zawiedli się jednak srodze. Otrzymałem informacje o losach kompanji robotniczej, złożonej ze 169 internowanych — wśród nich znajdowały się podobno także jednostki rzeczywiście podejrza-

ne — która w lecie 1916 roku odeszła z Grazu do południowego Tyrolu. Już pułkownik powitał ich słowami: „Das sind die grössten Gaunern, die längst aufgehängt werden sollten". „To są największe łotry, których należało dawno powiesić". Traktowano ich jako zbrodniarzy. Otoczeni byli stale strażą. Używano ich do najcięższych robót. Wymyślano od „polskich psów", „polnische Hunde", „polnische Saubande", aczkolwiek wśród nich niewielu tylko było Polaków — informacja wspomina między innymi o Szalayu, Franciszku Sądze z Krakowa, Piotrze Barańskim. Katowano ich w nieludzki sposób. Musieli nosić ciężkie belki na wysokie góry. Gdy pod tym ciężarem upadali, kolbami zmuszano ich do wstania i dźwigania ich dalej, a gdy już nie mogli się dźwignąć, pomimo bicia, pozostawiono ich na drodze, wśród śniegu, gdzie niejeden ducha wyzionął. Nareszcie nieludzkiego porucznika, komendanta tego oddziału, usunięto za znęcanie się nad ludźmi i pociągnięto do odpowiedzialności za różne nadużycia, jak donosi owa informacja.

W Thalerhofie zginęło więcej jak 2000 ludzi. Wielu zmarło po opuszczeniu tego zakładu z wycieńczenia lub chorób, których się tam nabawili. Wielu pozostało kalekami na całe życie.

Thalerhof jest bodaj najhaniebniejszym epizodem historji wojennej Austrji. Po wojnie przeszedł on do legendy. Pisma wiedeńskie, które przedtem o Thalerhofie milczały, zaczęły umieszczać o nim romantyczno-fantastyczne, zgrozą przejmujące opowieści — nie brakło w nich oczywiście i polskiej hrabiny — tak, jak gdyby sama rzeczywistość nie była już dość straszną (zał. 126).

W więzieniach wojskowych w Terezinie (Theresienstadt) w Czechach i Wöllersdorf w Dolnej Austrji, przebywało wiele cywilnych osób zasądzonych lub ściganych przez sądy wojskowe. Polaków było tam niewielu. Sprawami niektórych z nich, więzionych w Terezinie (ks. Kotula, Dul), zająłem się. Stosunki w Wöllersdorf przypominały gospodarkę w Thalerhofie, tylko było tam znacznie mniej uwięzionych. Zajęli się nimi posłowie czescy i socjaliści niemieccy w interpelacjach wniesionych w parlamencie [1]). Umarło tam w 2 i pół latach na 500 uwięzionych 182 osób. W więzieniu tem mieli podobno przebywać także chłopcy 13 i 14 letni, zasądzeni przez sądy polowe w Galicji i w Królestwie rzekomo za szpiegostwo. Z więzienia tego nie otrzymałem jednak żadnych pism.

Konfinowanych obywateli austrjackich z Galicji było dużo, przeważnie w różnych miejscowościach Austrji dolnej i górnej. Otrzymywałem od Polaków pisma o uwolnienie z Göllersdorf, Oberhollabrunn itd. Umieszczano także obywateli austrjackich jako internowanych w obozach koncentracyjnych dla poddanych państw nieprzyjacielskich. N. p. kilku włościan z powiatu tarnobrzeskiego, o których poprzednio wspomniałem, odesłano do obozu w Steinklamm, gdzie troje z nich umarło, zaś rodzinę Grzywaczów stamtąd wydobyłem. Kazano im za tak miły pobyt zapłacić koszta utrzymania, no i oczywiście powrotu do domu (zał. 127 i 127a). Innych dwóch włościan z Tarnobrzeskiego, Wianeckiego i Borysa, którzy wywiezieni przez

---

[1]) Nr. 52 i 567.

Rosjan, z narażeniem życia uciekli z niewoli rosyjskiej i przedostawali się do swoich siedzib, zatrzymali żołnierze węgierscy i odesłali do obozu jeńców rosyjskich w Kleczy dolnej pod Wadowicami. Pomimo, że niewinność tych ludzi stwierdzoną była ponad wszelką wątpliwość (zał. 128), internowanie ich trwało blisko rok i dopiero, gdy — po kilku innych bezskutecznych interwencjach — zwróciłem się z zażaleniem do prezydjum Rady ministrów, uzyskałem ich uwolnienie [1].

Być może, że ci wszyscy Tarnobrzeżanie znaleźli się w obozach dla obcokrajowców z tego powodu, iż uważano ich również za poddanych rosyjskich. Przekonałem się bowiem w rozmowie z niektórymi oficerami honwedów, mówiącymi nieco po niemiecku, że przebywając w powiatach mieleckim i tarnobrzeskim, sądzili, iż są już w Rosji.

Internowanie obywateli austrjackich, dla którego nie było wogóle żadnych podstaw prawnych, trwało miesiącami i latami bez śledztwa, dochodzenia lub nawet przesłuchania, wśród najgorszych warunków egzystencji. Haniebne i bezprawne postępowanie z internowanymi odbywało się daleko od frontu, pod bokiem władz centralnych, które licznemi podaniami — a chociażby tylko mojemi pismami — były powiadomione o niewinności wielu internowanych i o nieludzkiem obchodzeniu się z nimi. Dopiero w marcu 1917 roku zdecydowano się na zbadanie za co ta masa ludzi jest internowana. Nastąpiło to z inicjatywy cesarza Karola, do którego zażalenia na niesłuszne internowania były doszły. Na polecenie jego przeprowadzono „perlustrację" konfinowanych i internowanych. Na podstawie tej perlustracji, zarządzonej reskryptem Urzędu nadzoru wojennego z 8 marca 1917 l. 97717 (zał. 129), uwolniono 70 procent internowanych, 20 proc. zamieniono internowanie na konfinowanie, pozostało zatem tylko 10 proc. w obozach koncentracyjnych [2]. Jeżeli się uwzględni, że do wiosny roku 1917 staraniem rodzin, znajomych i ludzi dobrej woli wydobyto z tych obozów znaczną część osób, które w nich przebywały, a wielu internowanych umarło, okaże się, jak małym był procent osób rzeczywiście „politycznie podejrzanych", a zwłaszcza tych, przeciwko którym przemawiały cięższe poszlaki.

XII.

Z początkiem wojny, Polacy poddani rosyjscy, przebywający w Galicji i innych krajach monarchji austro-węgierskiej, zostali przytrzymani i odstawieni bądź to do miejsc wyznaczonych im do przymusowego pobytu (konfinowani), bądź też do zakładów dla internowanych. Byli między nimi ludzie, którzy od kilkudziesięciu lat przebywali w Galicji, tu się pożenili, mieli majątki ziemskie, nieruchomości w miastach, prowadzili przedsiębiorstwa przemysłowe, wykony-

---

[1]) Załącznik 304 protokołu stenogr. Izby posel. z r. 1917.

[2]) „Arbeiter—Zeitung" z 17 maja 1917. W „Neue Freie Presse" z 17 maja 1917 podano, iż zwolniono w zupełności 79 proc. internowanych, 20 proc. konfinowano, tak, iżby tylko 1 proc. pozostał w zakładach internowanych. Niewiem, które z tych dat odpowiadały faktycznym stosunkom.

wali rzemiosła. Byli i tacy, których synowie urodzeni już w Galicji, służyli przy wojsku austrjackiem lub też dobrowolnie wstąpili do legjonów. Byli też dezerterzy z wojska rosyjskiego i zbiegli popisowi, zwłaszcza z czasów wojny rosyjsko-japońskiej i zbiedzy polityczni z rewolucji roku 1905. Przytrzymano kuracjuszy, których wojna zaskoczyła w miejscowościach kąpielowych (zał. 130) galicyjskich lub austrjackich, dalej robotników sezonowych z Królestwa, zatrudnionych w Austrji w czasie żniw roku 1914 lub powracających z Niemiec. W ciągu wojny przybyły nowe kategorje konfinowanych i internowanych z Królestwa: woźnice zabrani na usługi wojsk austrjackich, którzy stracili konie i wozy, lub też zachorowali albo ranieni zostali, a gdy ich nie można było ze względu na ówczesne położenie wojenne odesłać do domu, nie wiedząc co z nimi począć, odsyłano ich do obozu internowanych. Ten sam los spotkał wiele rodzin ewakuowanych ze swoich siedzib przez wojska austrjackie przed bitwami. Umieszczano wreszcie w zakładach dla internowanych osoby podejrzane o szpiegostwo, zdradę, nieprzychylność dla armji austrjackiej, przyczem podstawy podejrzeń były oczywiście częstokroć równie błahe, jak u własnych obywateli w Galicji.

Konfinowanie i internowanie poddanych państw nieprzyjacielskich mogło być zrozumiałe jako środek odwetu wobec tych państw, względnie jako sposób zapobiegania szpiegostwu i zdradzie wobec osób wzbudzających podejrzenie. Powinno się było jednak uwzględnić, że Polacy, chociaż poddani rosyjscy, nie mogli być uważani za Rosjan i na równi z nimi traktowani. Absurdem było pod względem politycznym masowe niepotrzebne więzienie Polaków z Królestwa, od którego ludności spodziewano się i domagano zaufania i sympatji. Oczywiście rabunki i egzekucje popełniane przez wojsko w Królestwie, tudzież wywożenie wielu jego obywateli nie mogło być skutecznym środkiem propagandy idei austro-polskiej. Internowanie tysięcy Królewiaków naraziło Austrję na znaczne, a zgoła niepotrzebne koszta, wymagało dość licznej straży wojskowej, której można było do czego innego użyć, dawało administracji państwowej wiele do czynienia, zaś u internowanych i ich rodzin, a przez nie w społeczeństwie polskiem w Królestwie, wzbudzało żal i niechęć do Austrji. Zadziwiającem jest jak trudno przychodziło przekonać o tem austrjackie czynniki biurokratyczne i wojskowe.

Los konfinowanych, zwłaszcza posiadających odpowiednie środki pieniężne na swoje utrzymanie, był oczywiście o wiele pomyślniejszy jak internowanych. Mając większą swobodę działania, korespondowania i porozumiewania się w wpływowemi sferami polskiemi w Austrji, łatwiej i prędzej uzyskiwali pozwolenie powrotu, czy to do Galicji, czy też do Królestwa.

Dolę internowanych Królewiaków w St. Martin w Górnej Austrji, prawie wyłącznie ludzi zamieszkałych przez długie lata przed wojną w Galicji, opisała p. Janina Kossak-Pełeńska (zał. 131), a list jednego z nich, leśniczego p. Narożnego, syna powstańca z roku 1863 (zał. 132), wskazuje, jakie to uczucia żywili oni dla Rosjan. Internowani w St. Martin, znając stosunki austrjackie i wpływowe osobi-

stości polskie w Wiedniu, stosunkowo dość szybko uzyskali uwolnienie. W dniu 14 lutego 1916 było ich tam już tylko 27.

Nader ciężką była dola internowanych w obozach koncentracyjnych. Najwięcej Królewiaków przebywało w Steinklamm w Dolnej Austrji, największym i najgorszym po Thalerhofie obozie internowanych. O stosunkach tam panujących dowiedziałem się od kilku internowanych po wypuszczeniu ich z tego obozu, tudzież z korespondencji, jakie stamtąd otrzymałem. Szczególnie charakterystycznym był krótki, ale wymowny list urzędnika ks. Czartoryskich z Sieniawy, p. Topczewskiego, pisany do jednego ze swoich znajomych (zał. 133). W opuszczonym budynku fabrycznym, tudzież w barakach świeżo postawionych, przebywało kilka tysięcy Serbów i Rosjan, później i Włochów, a także przeszło tysiąc Polaków z Królestwa. Stosunki były o tyle lepsze od Thalerhofu, że straż ludzi nie mordowała i że łatwiej było internowanym porozumieć się ze światem zewnętrznym. Wskutek niechlujstwa w obozie i niedostatecznego odżywiania internowanych, wybuchł tyfus plamisty, coprawda nie w tych rozmiarach co w Thalerhofie, bywało jednak po kilkadziesiąt wypadków zachorowania tygodniowo, jak świadczyły wykazy urzędowe. Do wiosny 1915 roku zmarło na tyfus około 250 osób, w tem kilkudziesięciu Polaków. Komendantem obozu był podporucznik hr. Revertera, człowiek lekkomyślny, który się o internowanych wcale nie troszczył. Otoczył się zgrają najgorszych elementów z pośród internowanych, żydami rosyjskimi (między nimi byli podejrzani o szpiegostwo) lub członkami rosyjskiej ochrany i utworzył z nich tak zwaną „policję", która znęcała się nad współinternowanymi, wyzyskiwała i ograbiała ich na wszelki sposób.

W Steinklamm było więcej skarg na tę policję, jak na straż wojskową. Charakterystycznem było, że członkowie „policji steinklammskiej" odgrażali się tym, którzy się dali zwerbować do legjonów lub też do nich wstąpić zamierzali, że zadenuncjują ich swego czasu przed władzami rosyjskiemi. Pomimo tego około 30 młodych ludzi wstąpiło do legjonów. Część odesłano na front, niektórych jednak już zbyt wycieńczonych dłuższym pobytem w obozie internowanych, superarbitrowano, a komenda stacji zbornej dla polskich legjonistów w Wiedniu, w myśl polecenia otrzymanego od władz wojskowych austrjackich, odsyłała ich z powrotem do obozu w Steinklamm (zał. 135). Kilka wypadków tego rodzaju doszło do mojej wiadomości. Rodziny legjonistów, którzy wyruszyli na front, pozostały w Steinklamm.

Sporo wiadomości o Steinklamm uzyskały panie Kreuzowa i mecenasowa Burdowiczowa, które dostały się do tego zakładu w dniu 13 września 1915 r. dla rozdania ubrań i bielizny, a przy tej sposobności dowiedziały się różnych szczegółów o warunkach, wśród których tam żyli Polacy. Sekcja pomocy dla internowanych Króle-

---

[1]) Po uwolnieniu ze Steinklamm chciano odesłać p. Topczewskiego do obozu dla uchodźców rusińskich w Gmünd (zał. 134). Nie był to zresztą odosobniony wypadek, lecz więcej Polaków zwolnionych z internowania, tam odsyłano. Miał to być może rodzaj kontumacji politycznej.

wiaków, wiedeńskiej filji Ligi Kobiet, która się ukonstytuowała 5-go lipca 1915, wzięła sprawę w swoje ręce i rozwinęła żywą agitację na rzecz internowanych. Przedstawiono w jaskrawem świetle warunki egzystencji Królewiaków przebywających w Steinklam, na zebraniu, które się odbyło w dniu 26 października 1915 w Wiedniu, tudzież w obszerniejszem sprawozdaniu. Sprawozdanie to zawierało dość dużo niedokładności. Podano np., że w tym obozie było 3500 internowanych Polaków, że umarło tam 2000 internowanych, że wszystkie niemal dzieci wymarły, a w Drosendorfie i Karlsteinie mają panować jeszcze gorsze stosunki itp. Sprawozdanie nie mogło zatem służyć jako źródło dla poznania istotnego stanu rzeczy. Pod względem agitacyjnym oddało ono jednak dobre usługi. Agitacja wśród kolonji polskiej w Wiedniu odniosła pomyślne wyniki, poruszyła bowiem silnie



Steinklamm.

opinję publiczną i skłoniła zamożniejszych Polaków do złożenia datków pieniężnych lub darów in natura, które delegatki później zawiozły do obozu. Sprawy przez nie poruszone dostały się do wiadomości wpływowych czynników polskich w Wiedniu. Zwróciłem na nie uwagę prezesa Koła polskiego Bilińskiego i ministra dla Galicji Morawskiego, listami z 29 października 1915. Wskutek ich interwencji podporucznik Revertera został usunięty z zarządu zakładu, członków „policji" przeniesiono do innych obozów, niewielką liczbę Polaków wypuszczono ze Steinklamm. Od uwolnionych domagano się podpisania poświadczenia, że się z nimi dobrze obchodzono i że nie mają żadnych pretensji do zarządu. Gdy kto odmówił podpisania, przytrzymywano go dalej w obozie, pomimo zarządzonego uwolnienia. Przeważną część internowanych Polaków przeniesiono do obozu

w obrębie starostwa Weidhofen a. d./T. Gdy później internowani ze Steinklamm upominali się o pieniądze i dokumenta, które zarząd zaraz na wstępie im odebrał, okazało się, że przeważna część tych depozytów poginęła. W końcu roku 1915 zawiadomiono Komitet opieki nad internowanymi Królewiakami, że niema już Polaków w Steinklamm. Nie było to zgodne z prawdą, gdyż jeszcze w roku 1916 przebywało ich tam stu kilkudziesięciu.

Wiadomości o niedoli Królewiaków internowanych w Steinklamm, skłoniły prezesa Bilińskiego do utworzenia specjalnego komitetu dla zajęcia się ich losem. Brak takiego organu dla opieki nad internowanymi, jaki istniał poprzednio dla uchodźców wojennych, dawał się dotkliwie odczuwać. Koło polskie uchwaliło wprawdzie na posiedzeniach z 20 lutego i 25 października 1915 rezolucje, jakie mu



Chór polski w Steinklamm

przedstawiłem w sprawie opieki nad internowanymi, m. i. także w Steinklamm, tudzież o „wyjednanie powrotu do swoich siedzib dla Polaków z Królestwa Polskiego" i przydzieliło te kwestje Komisji Koła utworzonej dla spraw uchodźców, lecz jeżeli nie wielu było ochotnych do pracy dla uchodźców, wśród których posłowie mieli swoich wyborców, to tem trudniej było pozyskać kogo dla zajęcia się internowanymi Królewiakami. Co do mnie żadną miarą nie mogłem podołać zadaniu i załatwiać wszystkich próśb, które do mnie wpływały, zwłaszcza z chwilą, gdy po ustąpieniu Rosjan z zachodniej Galicji, musiałem oczywiście zająć się kwestją odbudowy zniszczonych miejscowości w moim okręgu wyborczym, i pomocą dla bezdomnych, których było około 20.000. To też wielką ulgą było dla mnie powstanie Komitetu, który dysponował dość poważnemi środkami pieniężnemi, miał rutynowane siły urzędnicze, a na czele którego stanęła tak wpływowa osobistość, jaką był minister Biliński..

Chwila wybrana do utworzenia Komitetu była odpowiednią, gdyż po zajęciu Królestwa przez wojska państw centralnych, można już było odsyłać Królewiaków do ich siedzib.

W listopadzie 1915 r. zawiązał się tedy Komitet pod przewodnictwem prezesa Koła Bilińskiego, pod nazwą „Komitet ratunkowy dla internowanych Polaków z Królestwa Polskiego", w skład którego węszli: Ks. Andrzej Lubomirski, poseł Jabłoński i ja, jako członkowie Koła polskiego, dalej brat prezesa, radca dworu Marjan Biliński, p. Offenheim, którego czynność ograniczyła się do cennego zresztą bardzo dostarczenia nam lokalu, wreszcie dawny sekretarz ministra Bilińskiego z czasów urzędowania jego jako wspólnego ministra finansów, p. Flandrak, sekretarz Austro-Węgierskiego Komitetu Pomocy dla obszarów zajętych przez cesarsko-królewskie wojska, który oddał Komitetowi przysługę, zakupując zawczasu jeszcze po taniej cenie, dość znaczne zapasy odzieży dla internowanych[1]. Wspomniany Komitet austro-węgierski udzielił nam zapomogi w kwocie 10.000 koron. Taką samą sumę wypłacił Krakowski Książęco Biskupi Komitet (K. B. K.), zaś Komitet Sienkiewiczowski w Vevey przesłał nam 30.000 koron. Ks. biskup Sapieha wyznaczył jako swojego delegata pewnego wysokiego urzędnika, godnego człowieka, ale nieco za ostrożnego, który dowiedziawszy się na pierwszem posiedzeniu o co idzie, wycofał się. Ks. Biskupa zastępował zatem ks. Pierzowicz (zał. 136).

Personel składał się z sekretarza p. Składzienia, obznajomionego z tego rodzaju sprawami z czasów swojej pracy w Komitecie opieki moralnej nad uchodźcami i jednej siły pisarskiej. Uzyskano w dniu 1 grudnia 1915 od urzędu nadzoru wojennego pozwolenie zwiedzania obozów internowanych, w których przebywali Królewiacy, dla członków Komitetu, a nazajutrz ks. Andrzej Lubomirski, radca dworu Biliński i ja, udaliśmy się do Drosendorfu, największego obozu w obrębie starostwa Waidhofen an der Thaya, w którem przebywało w tym czasie, na 1200 internowanych, około 700 Polaków. Baraki, przeznaczone każdy na 260 osób, składające się z 4 dużych i wysokich izb o 65 łóżkach były znacznie lepsze, jak umieszczenie uchodźców wWagna i Chocni. Wikt i obchodzenie się z internowanymi — oczywiście z wyjątkiem dni, w których kto zwiedzał zakład — pozostawiały dużo do życzenia. Ludzie byli widocznie steroryzowani i trudno było czego od nich się dowiedzieć, zwłaszcza, że podoficerowie straży, a w szczególności internowany Żyd rosyjski Filgur, który widocznie cieszył się zaufaniem zarządu i opatrzony opaską na ramieniu, na znak bliżej nieznanych funkcji, kręcił się po obozie, pilnie się przysłuchiwali rozmowom. Jeden tylko z internowanych wręczył mi niespostrzeżenie zażalenie pisemne, inny, b. kucharz w Radziechowie u ś. p. marszałka Badeniego, odważył się, ku wielkiemu niezadowoleniu jednego z obecnych podoficerów, skarżyć się, że wszystkie posady zaufania i lepsze zatrudnienia mają żydzi, a odsuwa się od nich zupełnie Polaków, że w kuchni zarząd ma były kelner Żyd, kucharzami są tylko Żydzi, Serbowie i Rosja-

[1] Biliński L. Wspomnienia i dokumenty. Warszawa 1924, t. II, str. 3.

nie, i t. p. Zażalenie to było słuszne, nawet w oddziale dla kobiet komendantką była jedyna zamieszkała w tym oddziale Żydówka, w innym oddziale „Zimmerkomendantem" był funkcjonarjusz policji rosyjskiej, i t. d. Dowiedziawszy się później od osób wypuszczonych z Drosendorf o nadużyciach z ubraniami przeznaczonemi przez rząd dla internowanych, o złem obchodzeniu się z internowanymi i innych niewłaściwościach, których się niektórzy podoficerowie wraz ze swoimi zaufanymi dopuszczali, zwróciłem na te stosunki uwagę starosty w Waidhofen, p. Bofizio von Thurnberg, który okazywał dużo dobrej woli, i otrzymałem od niego wkrótce zawiadomienie, że komendant w Drosendorf — był to jakiś kapitan — został przeniesiony (na jego miejsce przyszedł urzędnik, zał. 137). Pewne niewłaściwości, które wytknąłem, usunięto.

Szpital w Drosendorf, przeznaczony dla ciężej chorych ze wszystkich stacyj internowanych w powiecie, był porządnie utrzymany, zarządzał nim internowany lekarz, Serb. Wśród chorych zwracała uwagę przystojna młoda Rosjanka (wychrzcianka) br. Hoffmann, skazana jeszcze przed wojną za szpiegostwo, która po odcierpieniu kary więzienia, widocznie chora na suchoty, odstawioną została do zakładu dla internowanych. W oddziele dla chorób zakaźnych było 10 osób chorych na czerwonkę.

Przeważna część Polaków w Drosendorf — między nimi kilkadziesiąt kobiet, 3 dzieci, kilkunastu chłopców 12 do 16 letnich, kilkunastu zgrzybiałych starców — byli to włościanie, „forszpani", robotnicy rolni, m. i. robotnice sezonowe, zajęte przy wybuchu wojny w dobrach koło Przemyśla, rzemieślnicy, tudzież kilkanaście osób z inteligencji m. i. ksiądz Kowalski, który się jednak zupełnie odsuwał od wspólinternowanych i robił wrażenie człowieka umysłowo nienormalnego. W baraku kontumacyjnym było około 300 Żydów, między nimi wiele kobiet i dzieci, w drodze do stacji dla żydowskich internowanych w Markl. Prosili o zwolnienie z kontumacji i odesłanie ich do obozu żydowskiego, a to głównie ze względu na wikt koszerny. Resztę mieszkańców obozu stanowili przeważnie Rosjanie i Serbowie.

Odzież przesłaną przez nasz komitet, rozdaliśmy pomiędzy Polaków. Obdarowaliśmy także dzieci żydowskie. Pomiędzy sprowadzonymi do obdzielenia Polakami okazało się, że był i Niemiec z pod Łodzi, Niemka z bałtyckich prowincji, młodziutka, wynędzniała Francuska w łachmanach, kilka żydówek i stosunkowo dość dużo Rusinów z Chełmszczyzny i Wołynia, między nimi i prawosławni. Nie odmawialiśmy tym biedakom, którzy się do nas zgłosili, pomocy, o ile nasze zapasy starczyły. Wkrótce po naszej bytności w Drosendorf zjechała tam delegacja duńskiego czerwonego krzyża, a z nią jakaś księżna rosyjska. Niektórzy z obdarowanych przez nas, całowali ją po rękach, wyrażali radość z odwiedzin i prosili o pomoc. Prawdopodobnie byli to owi prawosławni, ale być może, że i z pośród Polaków poddanych rosyjskich, których stale nazywano Rosjanami i traktowano jako takich, byli niektórzy, mniej uświadomieni, którzy w smutnem położeniu, w jakiem się znajdowali, zwracali się o pomoc do osoby, która ich odwiedziła i okazała im zaintere-

resowanie się ich dolą. Z tego zajścia, które zapewne na podstawie sprawozdań władz miejscowych doszło do wiadomości nieżyczliwie dla nas usposobionych osobistości we Wiedniu, zaczęto kuć broń przecwko Polakom, przytaczając je jako objaw polskiego moskalofilstwa. Dowiedziawszy się o tem przesłałem ministerstwu spraw wewnętrznych i innym władzom wyjaśnienie stanu rzeczy.

Dwustukilkunastu Polaków zastałem w końcu grudnia 1915 w starem zamczysku w Karlstein, około 40 mężczyzn, reszta kobiet i dzieci, jedna kobieta obłąkana, jedna niemowa. Rozmieszczeni byli, przeważnie po parę rodzin, w dwudziestukilku lepszych i gorszych ubikacjach. Około 100 dzieci, w tem mniej więcej 70 polskich, bawiło się w obszernem podwórzu zamkowem. Dzieci uczył p. Nowicki, agronom. Komendant straży, podoficer, robił wrażenie dobrego człowieka. Nadzór nad stroną administracyjną i żywnościową miał poseł do rady państwa Kittinger, właściciel gospody, zamieszkały w pobliskiem miasteczku Karlstein, któremu gorąco poleciłem internowanych Polaków, Przez kilka godzin, rozmawiałem swobodnie z internowanymi i nabrałem przekonania, że im się stosunkowo nienajgorzej powodzi. Oczywiście jednak wszyscy tęsknili za wolnością, za rodzinami, za domem. Przydały im się rzeczy przysłane przez nasz komitet, bo odzież ich i bielizna, w której byli zabrani, zniszczała.

W Kirchbergu było w tym czasie około 40 Polaków, przeważnie z inteligencji: akademicy, studenci, nauczyciele ludowi, kilku urzędników prywatnych, rządcy dóbr, i t. d. Umieszczeni byli w jasnych, suchych pokojach dobrze utrzymanego zamku. Administrację sprawował proboszcz miejscowy ks. Zak. Komendę nad strażą miał wachmistrz. Kirchberg uchodził za najlepszą stację internowanych.

Za stosunkowo dobrą stację uchodziła również osada barakowa Grossau, zamieszkała przeważnie przez Anglików i Francuzów. Było w niej około 60 Polaków, gdy stację tę zwiedzałem w grudniu 1915 roku.

W Ilmau zastałem w końcu grudnia 1915, około 120 Polaków, przeważnie rodziny włościańskie. Jedyny inteligent Gorzechowski, uczył dzieci. Pomieszczenie i wikt były znośne. Na „Zimmerkomendanta" Swędzioła, byłego policjanta rosyjskiego, były skargi. Rozrzewniającą była wprost uroczystość „gwiazdki", którą z p. Kreuzową urządziliśmy dla dzieci internowanych w tem starem zamczysku austrjackiem, daleko od ziemi ojczystej. Również i w Karlsteinie urządzono „gwiazdkę" dla polskich dzieci.

W obozie dla Żydów w Markl, przebywało, jak mnie informowano w starostwie w Waidhofen, około 1000 Żydów rosyjskich, tudzież 24 Polaków chrześcijan, których tam przydzielono do robót. Domagałem się przeniesienia ich do jednego z obozów, w którym znajdowali się przeważnie Polacy. Na obóz w Markl, były liczne skargi, a jednak Żydzi ortodoksi z innych obozów, usilnie się domagali, by ich tam przeniesiono, ze względu na kuchnię rytualną. Przeprowadzali nawet głodówkę w tym celu. Elementa niedbające tak ściśle o swoje przepisy religijne, pozostały w niektórych innych stacjach, gdzie na podstawie pewnej znajomości języka niemieckiego,

otrzymywali posady dozorców i t. p. Przeważnie jednak nie cieszyli się wcale sympatją wśród internowanych i nie zasługiwali też na nią. Póżniej usunięto ich z tych posad.

Z końcem roku 1915 znajdowało się w obrębie starostwa Waidhofen około 1100 internowanych Polaków z Królestwa i niewielka liczba konfinowanych. Na ogół się jeszcze najlepiej powodziło internowanym w obrębie tego starostwa. Internowani z Steinklamu, którzy zaczęli wtedy napływać do obozów starostwa w Waidhofen, stwierdzali wielką różnicę na korzyść tych obozów. Położenie stacji było zdrowe, epidemje nie grasowały tak silnie, jak po innych obozach, a w roku 1916 całkiem je stłumiono. Śmiertelność w największym obozie w Drosendorf w roku 1915 i 1916 wynosiła, jak mi mówił lekarz powiatowy, po kilkanaście osób rocznie, a w innych obozach była mniejszą. To też te obozy pokazywano misjom zagranicznym, jak n. p. duńskiej, o której wspomniałem. Była w nich także misja amerykańska w roku 1915, która, jak twierdziły dzienniki wiedeńskie [1]), pochlebnie się o tych obozach wyraziła. Starosta Bofizio von Thurnberg, człowiek kulturalny, szedł komitetowi na rękę — może przyczynił się do tego także mój dobry stosunek z namiestnikiem dolno-austrjackim, Regner von Bleyleben, moim dawnym kolegą ze służby w namiestnictwie w Bernie, który mi nieraz pomagał w sprawach internowanych i uchodźców.

Po usunięciu niewłaściwości, spostrzeżonych przy zwiedzaniu obozów w końcu roku 1915, stosunki w roku 1916 bardzo się poprawiły, jak to stwierdził radca namiestnictwa galicyjskiego Noel, który przebywając w Wiedniu na dłuższym urlopie, oddał się gorliwie na usługi naszego Komitetu i zwiedził na wiosnę roku 1916 te osady internowanych. To też Komitet wystosował podziękowanie do starosty i zawiadomił o tem jego władzę przełożoną. Był to zupełnie wyjątkowy wypadek.

Wspomniane osady zwiedziła także p. Kreuzowa, kierowniczka schroniska Komitetu w Wiedniu, zajmując się głównie kobietami i dziećmi, a delegat biskupi ks. Pierzowicz, odprawiał w nich nabożeństwa i udzielał pociech religijnych internowanym. Gdy jednak Urząd nadzoru wojennego robił ks. Pierzowiczowi trudności, postarał się Komitet, w porozumieniu ze starostwem, o przydzielenie jako kapelana dla internowanych, ks. Pytlewskiego, konfinowanego w Münichreit. Ksiądz ten konfinowany został za to, że Austrjacy znaleźli w jego mieszkaniu przedmioty, które u niego pozostawił w przechowaniu uciekający funkcjonarjusz rosyjski. Robił on bardzo dodatnie wrażenie i chętnie podjął się swojej misji. Komitet rozdzielił wśród Polaków przebywających w tych obozach 1000 garniturów bielizny i 1800 sztuk odzieży i przesłał im także nieco książek. Wobec względnie pomyślnych stosunków w tych osadach i łatwości odwiedzania ich, starał się Komitet o ściągnięcie wszystkich internowanych Królewiaków do obozów koncentracyjnych w obrębie starostwa Waidhofen. Usiłowania te odniosły jednak tylko częściowo skutek.

---

[1]) „Reichpost" z 4 listopada 1915.

Wszystkich osad internowanych, w których przebywali Królewiacy było w Austrji około 20, niektóre z nich bardzo odległe od Wiednia, jak Kufstein lub Schwaz w Tyrolu. Ze względu na nader szczupłą liczbę członków Komitetu, niepodobieństwem było zwiedzić wszystkie te osady, miano jednak o przebywających w nich Polakach jakie takie wiadomości i interweniowało się na ich rzecz u kompetentnych władz.

W Galicji przebywało około 250 internowanych cywilnych Królewiaków przy obozie jeńców rosyjskich w Kleczy dolnej pod Wadowicami. Obóz ten odwiedził ks. Biskup Sapieha ku wielkiej radości przebywających tam Polaków.

Najgorzej było z obozami na Węgrzech. Komitet nie miał żadnej ewidencji, gdzie znajdowali się Polacy i ilu ich tam było. Prezes Biliński zwrócił się do węgierskiego ministra spraw wewnętrznych Szandora, o wyjaśnienia w tym względzie, prosząc równocześnie o zaopiekowanie się Polakami i spowodowanie wypuszczenia ich na wolność, wreszcie o upoważnienie dla delegatów Komitetu do zwiedzenia obozów węgierskich. Z uprzejmej odpowiedzi węgierskiego ministra, z dnia 13 marca 1916 L. 8300 Praes., wynikało, że z obozów pozostających pod zarządem cywilnym, najwięcej poddanych rosyjskich znajdowało się w Maros Vàsàrhely i Vàc, a mianowicie w pierwszym 1571 a w drugim 367, nadto w pięciu innych miejscowościach około 100 osób. Byli to prawdopodobnie przeważnie Polacy. O stosunkach w obozach pozostających pod zarządem władz wojskowych, z których największy był w Nezsider (Neusiedl, przebywało tam, jak później dowiedzieliśmy się, około 300 Polaków), minister nie był powiadomiony. Oświadczył gotowość zajęcia się losem Polaków, zaznaczając, że uwolnienie ich zależy od ministerstwa wojny (Urzędu nadzoru wojennego), wreszcie zapraszał do wysłania delegatów. Niestety z powodu braku znajomości języka węgierskiego, który do tej wyprawy był koniecznie potrzebny, nie mogliśmy znaleść osób chętnych do odwiedzenia obozów węgierskich. Polacy przebywający w nich narzekali, i to zupełnie słusznie na obojętność społeczeństwa polskiego z Galicji dla ich losu, a podnoszono także zarzuty z tego powodu przeciwko Komitetowi (zał. 138). Zarzuty te nie były uzasadnione, gdyż jak wspomniałem, Komitet składał się zaledwie z kilku osób — obarczonych nadto licznemi zajęciami publicznemi — które stosunkowo dużo czasu poświęciły opiece nad internowanymi Królewiakami.

Wśród przedstawicieli społeczeństwa polskiego w parlamencie wiedeńskim nietylko przeważna część poszczególnych posłów nie interesowała się nimi, ale były nawet całe kluby poselskie, w których, aż do czasu rozpoczęcia obrad w parlamencie, nikt sprawami internowanych, i to tak z Królestwa, jak i z Galicji, podobnie, jak i uchodźców wojennych, się nie zajmował. Natomiast po zebraniu się parlamentu, niektórzy z przedstawicieli tych klubów mówili w Izbie poselskiej o tych kwestjach.

Od nielicznych osób, które opuściły obozy internowanych na Węgrzech, dowiadywał się Komitet o opłakanem położeniu przeby-

wających tam Polaków i starał się o wydobycie tych, o których go wiadomości doszły.

Interwencje o uwolnienie internowanych były oczywiście najważniejszą czynnością Komitetu. Prezes Biliński, począwszy od 16 grudnia 1915, pisał kilkakrotnie do Urzędu nadzoru wojennego, a także do ministra spraw wewnętrznych, stawiając kwestję z punktu widzenia zasadniczego. Wykazywał on, na podstawie moich sprawozdań z objazdu obozów internowanych, że przeważna część internowanych to ludzie spokojni i bynajmniej nie podejrzani o działalność na szkodę państwa austrjackiego, którzy, o ile szło o osoby zamieszkałe w Galicji, li tylko z powodu poddaństwa rosyjskiego, a co do zamieszkałych w Królestwie, przeważnie zupełnie przypadkowo, albo też wskutek zbytniej gorliwości, lub bezmyślności władz, uprowadzeni zostali ze swoich siedzib i najniepotrzebniej od dłuższego już czasu byli więzieni. Wskazywał na szkodliwość takiego postępowania dla interesów austrjackich w Królestwie i domagał się uwolnienia tych wszystkich, przeciwko którym nie ciężyły uzasadnione zarzuty.

Prezes Biliński zwrócił się w tej sprawie także do szefa Urzędu nadzoru wojennego, generała Schleyera (zał. 139). Również i minister dla Galicji, Morawski, przesłał dobrze uzasadnioną notę w tej kwestji do ministerstwa spraw wewnętrznych (zał. 140), a także i Wydział krajowy parokrotnie pisał do Urzędu nadzoru wojennego o uwolnienie Królewiaków (zał. 141). Wiadomo mi również o interwencji episkopatu galicyjskiego w tej sprawie.

Minister spraw wewnętrznych odpowiedział prez. Bilińskiemu listem z 4 lutego 1916, że niema właściwie z temi sprawami nic do czynienia, gdyż należą one do kompetencji Urzędu nadzoru wojennego, a ministra dla Galicji zawiadomiło później ministerstwo spraw wewnętrznych na ponowne jego przedstawienie, że je żadne a żadne skargi w sprawie internowanych Królewiaków nie doszły (zał. 142). Urząd nadzoru wojennego dawał wykrętne odpowiedzi lub obiecywał, jak np. w nocie z 12 kwietnia 1916 ogólne odesłanie do domu internowanych i zawiadamiał o poczynionych już w tym celu krokach, gdy w rzeczywistości przygotowania w tym względzie poczyniono, ale dopiero prawie w rok później i to na wyraźne polecenie cesarza. Szef tego urzędu, generał Schleyer, w swojej odpowiedzi do prezesa Bilińskiego, podawał zupełnie fałszywe cyfry — 1386 — internowanych Polaków i twierdził niezgodnie z prawdą, iż znaczna część internowanych, to indywidua politycznie podejrzane (zał. 143).

Z władz, do których się Komitet zwracał, jedynie generał baron Diller, generał-gubernator w Lublinie, szedł nam na rękę i starał się ze swojej strony o powrót tych Królewiaków z obszarów generał-gubernatorstwa, przeciwko którym nie przemawiały jakieś szczególne powody. Oczywiście wśród internowanych była pewna, aczkolwiek stosunkowo niewielka, liczba osób, bądź to rzeczywiście podejrzanych o wysługiwanie się lub sprzyjanie Rosjanom, bądź też indywiduów niebezpiecznych dla porządku i bezpieczeństwa publicznego, bandytów, złodziei i t. p. Ogromna jednak większość, to ludzie zu-

pełnie nieszkodliwi, których niesłusznie odesłano do obozów internowanych i niepotrzebnie tam przetrzymywano.

Ustalono wreszcie sposób postępowania z Urzędem nadzoru wojennego w ten sposób, że Komitet miał dla każdego internowanego, względnie każdej rodziny z osobna, wnosić podania (z początku do tego urzędu, później, dla uproszczenia, wprost przez generał-gubernatorstwo lubelskie, a Urząd nadzoru wojennego obiecał podania te życzliwie traktować i możliwie szybko załatwiać. Rozpoczęła się więc masowa fabrykacja podań w kancelarji Komitetu, na podstawie notatek, jakie sporządziłem w obozach, spisów radcy Noela i próśb, jakie otrzymywaliśmy. Wniesiono ich około 1000, obejmujących nieraz po kilka osób.



„Podejrzani politycznie" Polacy w Steinklamm.

Korespondencja z rodzinami internowanych, by uzyskać od nich potrzebne bliższe informacje albo wyjaśnienia, nie była ułatwioną. Kartki pisane po polsku, wracały z okupacji niemieckiej z dopiskiem: „polnisch unzulässlich — unzulässig zurück".

Dla ilustracji, z jakich to elementów składała się przeważna część internowanych, przytoczę kilka streszczeń z podań, wniesionych przez Komitet:

Jadwiga Salomonowa, córka gospodarza z Sierczy pod Wieliczką, obywatela austrjackiego, wydana za poddanego rosyjskiego Damazego Salomona. Mąż jej wstąpił do legjonów i pisał 15 października 1915 do znajomych na kartce polowej ze szpitala wojskowego w Kraśnie na Morawach: „Donoszę, że brałem udział w sześciu bitwach i dopiero w siódmej kula moskiewska przeszyła mi lewą rękę i to dość niebezpiecznie. Obecnie leżę w szpitalu na Morawach. Pro-

szę uprzejmie o jaką wiadomość o mojej żonie, bo od czasu wyjazdu z Wiednia nic o niej nie wiem". Rząd austrjacki postarał się o zaopatrzenie dla jego rodziny: umieścił żonę z dwojgiem drobnych dzieci, jako poddanych rosyjskich, w osadzie dla internowanych w Karlstein.

Inny legjonista Wacław Matysiak, pisał 3 listopada 1915 do swojego ojca, rzemieślnika osiadłego od 20 lat w Krakowie, ewakuowanego wraz z żoną w listopadzie 1914, a następnie internowanego: „Kochani Rodzice, zapytuję o Wasze zdrowie i powodzenie, ja Bogu dzięki jestem zdrów, będąc już w kilku większych bitwach, wychodząc z nich cało bez najmniejszego szwanku. Przykro mi bardzo Kochani Rodzice, że niemam od Was żadnej wiadomości już blisko 4 miesiące. Nieraz w okopach zapłakałem sobie nad Waszym losem



„Polnisch unzulässig" w Królestwie.

w niewoli, ja ilem mógł starałem się o Wasze uwolnienie i nic dotychczas niewiem co się z Wami dzieje". Kartki te polowe, wręczone mi w Karlsteinie, dołączyłem wraz z tłumaczeniem do podań wniesionych do Urzędu nadzoru wojennego. Uwolnienie Matysiaków i Salomonowej, zdradzającej już objawy melancholji, nadeszło w pierwszej połowie marca 1916.

Zięć Józefa Wernickiego, rękodzielnika osiadłego od 18 lat w Krakowie, internowanego wraz z całą rodziną w Karlsteinie, Franciszek Sermak, służył przy 13 pułku piechoty i padł na polu walki. Liczne rodziny włościańskie z Czajowic w Kieleckiem, Ornaty, Szopy, Kasprzyki, Synowscy, Kowaliki, Seweryny i t. d. z drobnemi dziećmi, kalekami, niemową i matołkiem, ewakuowane rzekomo tylko na kilka godzin, z powodu toczących się walk w ich okolicy, oparły się aż o Karlstein, pozostawiając na pastwę losu gospodarstwa,

niektóre i członków rodziny. Pełnomocnik dóbr Gałęzowa, Ludwik Paszkiewicz, za którym się wstawiały wybitne osobistości z Królestwa m. i. biskup sandomierski. Maciej Piasecki, słuchacz uniwersytetu jagiellońskiego, wyjechał podczas ewakuacji, zaopatrzony poświadczeniem dyrekcji policji w Krakowie z 2 października 1914 l. 70. 820, że „dotychczasowe zachowanie się jego podczas pobytu w Krakowie nie dało powodu do niekorzystnych dla niego spostrzeżeń". Pomimo tego wraz z kilku innymi akademikami, posiadającymi podobne poświadczenia, aresztowany na Węgrzech i internowany wreszcie w Kirchbergu. Wincenty Jabłoński, internowany w Drosendorfie, przedtem przeszło 30 lat zatrudniony przy kopalniach nafty w Borysławiu, syn jego wstąpił na początku wojny dobrowolnie do legjonów. Antoni Olszewski, student w zakładzie OO. Salezjanów w Daszawie; przełożony jego dał mu najlepsze świadectwo, wnosił dwukrotnie podanie o uwolnienie, prosił komitet o wydobycie go z zakładu dla internowanych w Kirchbergu, „by mógł powrócić do grona swych kolegów, którzy się spokojnie uczą obecnie w Oświęcimie". Stanisław Łaszkiewicz, funkcjonarjusz galic. Wydziału krajowego, służył na froncie jako podoficer 13 pułku piechoty. Gdy został ranny, matka zareklamowała go jako poddanego rosyjskiego, został zwolniony z wojska i internowany w Grossau. Władysław Morawski, były urzędnik pocztowy w Warszawie, po rewolucji roku 1906 schronił się do Krakowa, i t. d., i t. d.

O ile Komitet miał wgląd w te sprawy, można było się przekonać, że i w obozach węgierskich przebywała mniej więcej ta sasama kategorja internowanych, jak w austrjackich, to znaczy w ogronej większości ludzie, do których przetrzymywania nie było absolutnie żadnego powodu. Jednym z tych niebezpiecznych dla Austro-Węgier cudzoziemców, był 72 letni emerytowany urzędnik w dobrach austrjackiego ochmistrza dworu cesarskiego, hr. Lanckorońskiego, Kazimierz Morgulec, były powstaniec z roku 1863, który po powstaniu schronił się był do Galicji. Węgrzy zabrali go i internowali w Maros Vasarhely. Syna jego, dyrektora kopalni nafty w Bitkowie, Stanisława Morgulca, uprowadzili Rosjanie — nie wiedząc, że jest poddanym rosyjskim — jako zakładnika austrjackiego, a drugiego syna, Michała, urzędnika bankowego we Lwowie,wywieźli Austrjacy, jako poddanego rosyjskiego do Steinklamm (zał. 145).

Załatwianie podań Komitetu trwało zwykle kilka tygodni, a nieraz i miesięcy. Zarządzenie Urzędu nadzoru wojennego, uwalniające daną osobę z internowania, nie kończyło jeszcze sprawy. Zarządzenia takie leżały miesiącami całemi po starostwach przeciążonych pracą w czasie wojny i po zarządach stacji internowanych, którym wcale nie spieszyło się z uwalnianiem swoich pupilów, z obawy zmniejszenia personelu, którego część musiałaby może wyruszyć na front lub w każdym razie do służby cięższej jak spełnianie obowiązków w zarządzie lub straży w zakładach internowanych. W razie przydzielenia internowanego do robót lub przeniesienia do innego obozu koncentracyjnego, sprawa zarządzonego już uwolnienia przeciągała się na długie miesiące, albo nawet szła zupełnie w zapomnienie.

Gdy nareszcie wskutek starań Komitetu zaczęto uwalniać internowanych, okazały się nowe trudności. Domagano się od nich paszportów podróżnych i to wystawionych w ambasadzie hiszpańskiej, która objęła była w czasie wojny opiekę nad poddanymi rosyjskimi. Nawet osoby wysłane z obozów internowanych z powodów rodzinnych czy też ważnych interesów, pod eskortą na krótki czas do Królestwa, — nawet na jeden dzień — musiały być zaopatrzone w taki paszport (zał. 146). Wskutek przedstawień Komitetu, uchylono z czasem to absurdalne żądanie dla obywateli Królestwa Polskiego, którego niezależność od Rosji stwierdził już był cesarz austrjacki. Paszporty wystawiały więc później władze austrjackie. Drugą trudnością były koszta podróży. Od tych ludzi przemocą uprowadzonych ze swoich siedzib, domagano się, by płacili koszta powrotu do domu. Przeważna część internowanych nie miała ani grosza. By nie przedłużać ich pobytu w obozach, Komitet płacił za nich bilety kolejowe, co się oczywiście niekorzystnie odbijało na jego, niewielkich zresztą, funduszach.

Komitet uzyskał jednak wkrótce wolną jazdę na kolejach węgierskich dla internowanych wracających do domu. Uzyskanie tych ulg w Austrji trwało dłużej — przy znanej nieżyczliwości ministra koleji br. Forstera dla Polaków. Przyznano wreszcie reskryptem ministerstwa koleji z 22 lutego 1916 L. 6197/6a zniżkę 50% dla niezamożnych, a bezpłatny transport dla nieposiadających żadnych środków pieniężnych.

Ponieważ załatwianie wszystkich formalności podróżnych w Wiedniu trwało zwykle kilka dni, dla zaoszczędzenia znacznych stosunkowo kosztów pobytu uwolnionych z internowania w najskromniejszych choćby hotelach, założył Komitet własne schronisko na Weyringerstrasse Nr. 14 i pieczę nad niem powierzył p. Natalji z Weleżyńskich Kreuzowej, która z wielką gorliwością zajęła się umieszczaniem w niem internowanych, załatwianiem formalności podróżnych i ekspedjowaniem ich do domów. W schronisku tem prócz noclegu i skromnego wiktu, otrzymywali ci, którzy tego niezbędnie potrzebowali, bieliznę i odzież, tudzież drobną kwotę pieniężną na wydatki w czasie podróży. Z pomocy schroniska korzystało aż do czasu zwinięcia Komitetu, t. j. do końca czerwca 1917 roku, 1086 internowanych, jak to wynikało ze sprawozdania sekretarza Komitetu p. Składzienia. Już w schronisku czuli się internowani na swoim terenie, otrząsali się ze strasznego przygnębienia, w jakiem żyli w obozach koncentracyjnych i cieszyli na myśl szybkiego powrotu do swoich siedzib. Pamiętam z jaką dziecinną wprost radością, wyjeżdżał przeszło osiemdziesięcioletni gospodarz z Hebdowa w Kieleckiem, Mucharski, zabrany swego czasu jako „forszpan" przez Austrjaków, a po stracie koni i wozu odesłany w nagrodę do Drosendorfu, o którego powrót energicznie się upominał wice-prezes Głównego Komitetu ratunkowego w Lublinie, p. Zdanowski. Staruszek ten nie mógł się nacieszyć, że zobaczy jeszcze swoją ziemię rodzinną, w co już był zwątpił.

Liczba internowanych Polaków poddanych rosyjskich nie była nam nigdy dokładnie znaną. Według wykazów, które otrzymałem

prywatnie z ministerstwa spr. wewn. było w dniu 9 lutego 1915 internowanych Polaków z Królestwa w zakładach w Austrji, pozostających pod zarządem władz cywilnych, 5532 (zał. 147). Wykaz ten nie był jednak dokładny, gdyż z całego szeregu miejscowości, które nie były w nim wymienione, otrzymywałem wiadomości od internowanych Królewiaków. Nadto byli internowani także w zakładach wojskowych: kilkudziesięciu w Thalerhofie, około 250 w Kleczy dolnej, bardzo wielu było na Węgrzech. Okazało się później, że nie udzielono nam dat o Polakach, pochodzących z ziem pod panowaniem rosyjskiem poza Królestwem, dalej o tych, którzy się znajdowali w barakach dla uchodźców wojennych, w teorji nibyto nie internowanych, nie mogących jednak otrzymać pozwolenia powrotu do domu. Znajdowali się oni nietylko w Wagna i Chocni, gdzie ich spotykałem, ale także w obozach dla Rusinów, w Wolfsberg (zał. 148), i Gmünd. Zapomniano również o robotnikach przymusowo przydzielonych do różnych zakładów przemysłowych. Dowiedzieliśmy się przypadkowo, wskutek usilnych starań ks. Maciejskiego, członka głównego Komitetu ratunkowego w Lublinie, o wydobycie Wołyniaków w liczbie około 900 osób w obozie Grödig pod Salzburgiem, że wśród nich przebywają nietylko Rusini katolicy, ale także i Polacy (zał. 149). Liczba konfinowanych, z których wielu przebywało w Galicji, m. i. i w miejscowościach kąpielowych, a w szczególności w Zakopanem, była również bardzo znaczną.

W ciągu roku 1915 stosunkowo niewielu internowanych powróciło do swoich siedzib. To też liczba 4000 do 5000, jaką podał prezes Biliński w swoim liście do przewodniczącego Urzędu nadzoru wojennego, generała Schleyera, nie była wcale przesadzoną, lecz raczej za niską. Podana przez tego generała w jego odpowiedzi cyfra nie odpowiadała wcale rzeczywistości.

Z początkiem roku 1917 do usiłowań wspomnianych już czynników o powrót Królewiaków, przyłączył się również i Naczelny Komitet Narodowy. Członek jego, prokurator Habicht, zwiedził zakłady w obrębie starostwa Waidhofen, przekonał się, jakie to elementa tam przeważnie przebywają, ułożył na tej podstawie w pierwszej połowie stycznia 1917 r. pismo Komitetu do ministerstwa spraw zagranicznych, wykazujące szkodliwość przetrzymywania niewinnych mieszkańców Królestwa dla interesów politycznych dynastji i Austrji i osobiście w tem ministerstwie interwenjował. Ministerstwo spraw zagranicznych zainteresowało się tą sprawą. Również i wiedeńska Sekcja Ligi kobiet wniosła podanie do cesarzowej Zyty, w sprawie internowanych Królewiaków. Wszystkie te usiłowania osiągnęły wreszcie ten skutek, że cesarz polecił zwolnić Królewiaków. Naczelna komenda armji, zwróciła się z pismem z dnia 31/I. 1917 do ministerstwa wojny o wykonanie tego polecenia, jednak z zastrzeżeniem, że to ma nastąpić przy uwzględnieniu austrjackich interesów ekonomicznych i wojskowych (zał. 150).

Urząd nadzoru wojennego wydał więc odpowiednie zarządzenia (zał. 151). Teraz więc dopiero reskryptem z dnia 22 lutego 1917 polecono zbadać, za co kto był internownym. Na perlustrację internowanych przyjechał w pierwszych dniach marca 1917 do Waidho-

fen i Oberhollabrunn delegat generał gubernatorstwa w Lublinie Według komunikatu c. k. biura korespondencyjnego (zał. 152) zwolniono 1500 osób (najlepszy dowód jak fałszywemi były liczby podane w piśmie Urzędu nadzoru wojennego do prezesa Bilińskiego). Zwolnionych wysyłano transportami po kilkadziesiąt osób. Zbliżało się zwołanie parlamentu, zaczęto zatem oczyszczać wszystkie obozy koncentracyjne z ich mieszkańców.

Okazało się, jak mało było w rzeczywistości tych „licznych osób rzeczywiście politycznie podejrzanych", o których pisał generał Schleyer.

Zatrzymano także dość znaczną liczbę osób politycznie nie podejrzanych. Opierając się na ostatnim ustępie pisma naczelnej Komendy armji, Urząd nadzoru wojennego polecił reskryptem z 8 marca 1917 L. 98404, by nie odsyłano do domu robotników rzekomo niezbędnych dla przedsiębiorstw gospodarstwa wojennego. Uwolniono ich wprawdzie z internowania, lecz zatrzymano przymusowo jako robotników (zał. 153) źle płatnych i źle traktowanych przez zarządy wojskowe przedsiębiorstw i fabryk, w których pracowali.

Urząd nadzoru wojennego zawiadomił Komitet jeszcze w marcu 1917, że wskutek wspomnianych zarządzeń, tudzież podań Komitetu, zwolniono już wszystkich internowanych Królewiaków, z wyjątkiem tych, co do których zachodziły uzasadnione podejrzenia szkodliwej działalności dla państwa, lub też niebezpiecznych dla spokoju i porządku publicznego, wreszcie osób pochodzących z okupacji niemieckiej, co do których miano przeprowadzić rokowania z władzami niemieckiemi.

Wobec zarządzenia uwolnienia ogółu Królewiaków, a także zebrania się parlamentu, który miał się zająć sprawami niewielu jeszcze pozostałych — jak się zdawało — internowanych, rozwiązał się Komitet — którego fundusze już były wyczerpane — po bardzo owocnej, przeszło półtora rocznej działalności, w dniu 30 czerwca 1917 roku.

Rozwiązanie Komitetu było jednak nieco przedwczesne, okazało się bowiem, że pomimo wszelkich zapewnień jeszcze stosunkowo wielu Królewiaków pozostało w obozach internowanych w Austrji i na Węgrzech, i to ludzi, na których nie ciężyły w ogóle żadne zarzuty. Na szczęście nie zwinięto jeszcze schroniska na Weyringerstrasse, na którego utrzymanie jeszcze przez kilka miesięcy uzyskałem potrzebne fundusze od Komitetu Książęco-Biskupiego i ratunkowego w Lublinie. Schronisko to pod kierownictwem pani Kreuzowej, opiekowało się dalej powracającymi do swoich siedzib internowanymi Królewiakami, a pomocną przy załatwianiu ich spraw była sekcja Ligi Kobiet. Zacne panie z Ligi Kobiet, lubowały się wprawdzie w swoich sprawozdaniach w mocno przesadnych cyfrach — w końcowem sprawozdaniu o swojej działalności mówiły n. p. o interwencjach, z których korzystało 12.000 osób! — działalność ich była jednak bezsprzecznie pożyteczną. W końcu lipca 1917 objechałem osady w powiecie Waidhofen i przekonałem się, że przebywa w nich jeszcze blisko 500 osób z Królestwa. Starosta wydał mi spisy internowanych z Królestwa, tak chrześcijan jak i żydów, według stanu

z dnia 28 lipca, w których uwidoczniono powody ich zatrzymania. Spisy te obejmowały 462 osób, w tem 147 Żydów. Przeważną część stanowiły osoby pochodzące z okupacji niemieckiej, co do których władze austrjackie jeszcze się nie były porozumiały z niemieckiemi, celem odebrania ich [1]).

Jeden z wykazów obejmował 228 nazwisk, osób pochodzących z obu okupacji, zatrzymanych w internowaniu dla specjalnych powodów. Było tam więc 50 osób (między niemi 5 Żydów) niebezpiecznych dla porządku publicznego, względnie dla własności: paru podejrzanych o bandytyzm, przeważnie osoby karane za kradzież, włóczęgi i t. p. Dalej 27 osób podejrzanych o szpiegostwo (6 Żydów), 89 (20 Żydów) podejrzanych politycznie („politisch verdächtig", politisch bedenklich, politisch unverlässlich, politisch nicht sicher, nich vertrauenswürdig") ,dalej 42 (31 Żydów) z adnotacją „żołnierz" („Soldat"), wreszcie 20 osób z różnych przyczyn, jako to: pochodzące z terenu operacyjnego, dezerterzy z wojska rosyjskiego, i t. p.

Żołnierze byli to poddani rosyjscy, zamieszkali w Galicji, asenterowani do wojska austrjackiego, lecz wyreklamowani przez swoje rodziny, lub którzy odmówili wyruszenia na front, z powodu bezpodstawnego asenterowania (zał. 155). Było ich dawniej dość dużo, zwłaszcza z 13 i 80 pułku. Część jednak już wcześniej wydobyto z internowania. Pozostałych chciano odstawić do okupacji austrjackiej lub niemieckiej, skąd ich rodzice pochodzili, czyniąc im zarzut, iż nie postarali się swego czasu o uzyskanie obywatelstwa austrjackiego. Wykazałem niesłuszność tego zarzutu i trudności — niemal nieprzezwyciężone dla niezamożnych — uzyskania obywatelstwa austrjackiego dla poddanych rosyjskich, jeszcze w czasach przedwojennych.

W zakładach internowanych w obrębie starostwa Waidhofen znajdowało się według wykazu ministerstwa spraw wewnętrznych (zał. 147) na początku 1915 roku 1616 Polaków chrześcjan, i około 1000 Żydów w Markl. Poźniej przybyła jeszcze przeważna część internowanych ze Steinklamm, a następnie także internowani z innych obozów, tak, że można przyjąć liczbę Polaków, którzy przeszli przez te zakłady na około 3000, a Żydów na 1000 osób. Pozostała tylko garstka ludzi podejrzanych o pospolite zbrodnie i przestępstwa, o szpiegostwo, tudzież podejrzanych politycznie, razem 186 osób, niecałe więc 5% tych, którzy w obozach przebywali. Przeciwko reszcie, t. j. 95% nie było nawet powodów do podejrzeń. Ale i wśród „podejrzanych politycznie" byli tacy, przeciwko którym naprawdę nie było żadnych istotnych poszlak. Jednym z nich był działacz w sferach katolickiej młodzieży w Krakowie p. Lubecki, o którego uwolnienie Komitet się starał jeszcze w roku 1916 i otrzymał odmowną odpowiedź, bez żadnego uzasadnienia (zał. 156). Drugim te-

[1]) Takie porozumienie wymagało dużo czasu i wchodziły tu w grę najrozmaitsze władze, nawet gdy nie szło o internowanych. I tak n. p. sprawa powrotu 130 kolejarzy z rodzinami — razem 224 osób — ewakuowanych z Królestwa a zatrudnionych przy kolejach w Galicji, która się oparła o ministerstwo dla Galicji, wymagała w Austrji interwencji aż trzech ministerstw (zał. 154).

nor, p. Donajski, znany pod nazwiskiem teatralnem Orzelski, o którego uwolnienie z Drosendorfu nietylko pisemnie, ale i osobiście członkowie Komitetu czynili bezskuteczne starania. Zapisany był jako „politisch verdächtig". Aktów, na podstawie których nastąpiło internowanie, nie można jednak było odszukać. Przy pomocy jednego z pisarzy starostwa w Waidhofen, znalazłem je nareszcie. Jedynym powodem odesłania go do Drosendorfu było pismo starostwa w Königrätz, że „miał podobno robić długi, ma aroganckie maniery, i robi wrażenie „Hochstaplera".[1]) Na tej podstawie więziono znanego śpiewaka przez przeszło 8 miesięcy, pomimo instancji poważnych ludzi.

W dniu 30 lipca wniosłem podanie do Urzędu nadzoru wojennego o uwolnienie kilkudziesięciu osób, m. in. owych dwóch „podejrzanych politycznie" — przyczem wyszczególniłem śmieszne powody internowania p. Donajskiego. Część wkrótce uwolniono, m. in. p. Donajskiego, od którego otrzymałem już z Królestwa list, w którym dziękując mi donosił, iż „nareszcie możemy swobodnie oddychać pełną piersią na naszej ukochanej ziemi".

Gdy uwolnienie innych się przeciągało, wniosłem w dniu 3 października w parlamencie interpelację, która była zarazem streszczeniem dziejów internowania Królewiaków w Austrji (zał. 157). Nieco później z okazji przemówienia w Izbie w sprawie uchodźców w dniu 16 października [2]), poruszyłem także sprawę internowanych, których jeszcze nie uwolniono: „Jeżeli już mówię o barakach, nie mogę pominąć milczeniem obozów barakowych dla internowanych, w których jeszcze dotychczas niewinni ludzie przebywają. Wspomnę także o obywatelach Królestwa Polskiego, którzy pomimo humanitarnych zarządzeń Jego Cesarskiej Mości, jeszcze dotychczas nie zostali uwolnieni. W barakach w Drosendorfie, w Illmau i na Węgrzech, m. in. w Maros-Vásárhely znajduje się do dziś dnia dość znaczna liczba Polaków. Z Krakowa zwracają się do mnie zrozpaczeni rodzice: stary weteran z powstania polskiego z roku 1863 przeciw Rosjanom, Łukomski, pyta o swego syna. Stara, ułomna matka, Bilińska, pyta również o syna. Zgłasza się p. Dreherowa, której dwóch synów przebywa w obozie internowanych [3]) i wielu innych. Wszyscy ci internowani służyli w wojsku austrjackiem. Niektórzy otrzymali nawet odznaczenia, inni dosłużyli się stopni podoficerskich, zanim ich rodziny wyreklamowały. Internowano ich li tylko z powodu ich przynależności do Królestwa Polskiego. Królestwo Polskie nie jest przecież państwem nieprzyjacielskiem i należałoby starać się o pozyskanie jego sympatji. Nie prowadzi jednak do tego celu bezpodstawne internowanie obywateli tego Królestwa. Domagam się stanowczo, by

---

[1]) „Soll Schulden gemacht haben, hat ein freches Auftreten, macht den Eindruck eines Hochstaplers".

[2]) Protokół stenograficzny posiedzenia Izby poselskiej z 16 października 1917 str. 1509 i 1510.

[3]) Załącznik 158 i 159.

tych ludzi w myśl szlachetnych intencji Jego Cesarskiej Mości uwolniono i pozwolono im powrócić do ich Ojczyzny".

Ponagliłem również Urząd nadzoru wojennego, który tymczasem zmienił swoją znienawidzoną nazwę, wskutek ataków w parlamencie (zał. 160) na skromniejszą: „Komisji ministerjalnej". Stał się on też skromniejszym i uczynniejszym w swojem urzędowaniu. Niebawem otrzymałem list od radcy ministerjalnego Swobody z zawiadomieniem, że zarządzono uwolnienie wszystkich osób wymienionych w moich pismach, a zarazem z usprawiedliwieniem, dlaczego uwolnienie ich wcześniej nie nastąpiło (zał. 161). Upomniałem się — ponownie — o byłego burmistrza w Pinczowie, Romana Zamojskiego, internowanego już trzeci rok, którego, jako ostatniego Polaka zatrzymano jeszcze w Illmau na podstawie zapisku: „Hat den Eid verweigert", „odmówił złożenia przysięgi (Austrjakom). Zarządzono telegraficznie jego uwolnienie, jak mi donosił z drogi powrotnej do domu.

Nareszcie obozy zaczęły się opróżniać z Polaków. Jednak z początkiem grudnia 1917 roku znajdowało się jeszcze na robotach na Morawach około 130 Polaków z Wołynia, których odesłania do domu domagałem się wskutek pisma głównego Komitetu ratunkowego w Lublinie (zał. 162).

W piśmie ministra dla Galicji Twardowskiego, z 19 marca 1918 roku, w którem przedstawił przebieg swoich interwencji w sprawie internowanych (zał. 163), była mowa o 17 osobach, które pozostały jeszcze w internowaniu, a w odpowiedzi rządu z dnia 17 kwietnia 1918 Nr. 558 na moją interpelację, już tylko o siedmiu.

W rzeczywistości było ich więcej, pozapominanych w różnych miejscowościach, z których odzywały się ich wołania o pomoc (zał. 164). Jeszcze w końcu lipca 1918 roku wnosiłem do Komisji ministerjalnej podanie o uwolnienie kilku osób.

Władze austrjackie postąpiły bardzo nielojalnie z robotnikami z Królestwa, których werbowały do robót w zakładach wojskowych i innych fabrykach pracujących dla wojska w Austrji. Akcję werbunkową prowadzono bardzo intensywnie, a za przeciwdziałanie jej groziła kara śmierci (zał. 165). Całą akcję przedstawiano jako chęć przyjścia z pomocą ludności w Królestwie i dania jej pracy i zarobku. Płace obiecywano równie wysokie, jak te, które pobierali robotnicy austrjaccy tej samej kategorji. Zapewniano robotników, że aż do uzyskania pracy utrzymywani będą na koszt rządu, a następnie otrzymają odszkodowanie od przedsiębiorcy za cały czas od przybycia transportu do Wiednia i t. p. (zał. 166). Żadnego z tych warunków nie dotrzymano. Pracy nie dostarczano przez kilka tygodni, ludzi umieszczono w stajniach na zgniłej słomie, głodzono ich i bito. Mężczyznom dawano płace niższe aniżeli robotnicom austrjackim, a z kobietami obchodzono się wprost nieludzko (zał. 167 i 168). Gdy robotnicy wobec niedotrzymania warunków umowy żądali, by ich odesłano do domu, karano ich w sposób barbarzyński (zał. 169).

XIII.

Sprawą jeńców wojennych narodowości polskiej zajął się Naczelny Komitet Narodowy już w pierwszych miesiącach wojny — jak to stwierdził poseł Jaworski w interpelacji, wniesionej w parlamencie w dniu 20 grudnia 1917 Nr. 1847 — i prosił o oddzielenie ich od Rosjan i umieszczenie w jednym obozie, tudzież o pozwolenie odwiedzania ich przez swoich delegatów. Pozwolenia tego przez dwa lata nie udzielono. Polaków umieszczono w obozach razem z Rosjanami, albo też z nimi wysyłano ich na robotę, prawie wyłącznie poza Galicją. Nie dopuszczano do nich nawet księży Polaków, tak, że pozostawali stale pod wpływem rosyjskim. Równocześnie udzielano ze strony ministerstwa wojny jak najsilniejszego moralnego poparcia propagandzie ukraińskiej wśród żołnierzy Rusinów. Dopiero po ogłoszeniu manifestu cesarzy z 5 listopada 1916 w sprawie Królestwa, skoncentrowano Polaków w obozach w Plan w Czechach i Csoth na Węgrzech i pozwolono zastępcom N. K. N-u ich odwiedzać. Delegaci ci dowiedzieli się od jeńców Polaków, jak haniebnie się z nimi obchodzono i ilu wyginęło, względnie nabawiło się nieuleczalnych chorób, suchot i t. p. „Przez dwa lata obchodzono się z nami, jak ze zwierzętami", mówili oni do delegatów. Polepszenie doli jeńców Polaków wskutek starań N. K. N.-u nie trwało długo. Już w styczniu 1917 zabroniono delegatom przystępu do nich, i zaczęły się znowu znęcania nad nimi. Jedynego człowieka wśród zarządu obozu, który się nimi opiekował, kapelana Knoppa, przeniesiono na front. Cała treść interpelacji posła Jaworskiego, przewodniczącego N. K. N-u, jest jednem oskarżeniem przeciwko nieludzkiemu i nierozsądnemu postępowaniu władz austrjackich z ministerstwem wojny na czele, z jeńcami Polakami, których było około 40.000.

Jeńcami tymi interesował się ks. biskup Sapieha i odwiedził tych, którzy byli umieszczeni w obrębie jego dyecezji, w Kleczy dolnej pod Wadowicami, jak to już wspomniałem. Odwiedzanie takie obozów jeńców wojennych, w których panowały różne zarazy, nie było bezpiecznem, jak tego dowodził przykład biskupa z Linzu Hittmaiera, który w obozie jeńców w Mauthausen nabawił się tyfusu plamistego i chorobie tej uległ. Władze wojskowe, pragnąc jeńców Polaków w Kleczy usunąć z pod opieki ks. biskupa Sapiehy, która im była widocznie niewygodną, przeniosły ich do innych, dalszych obozów.

W interpelacji wniesionej 6 lutego 1918 (Nr. 2168) opisał poseł Bobrowski losy oficerów i żołnierzy Polaków, którzy zgłosili się do służby w legjonach:

„Dnia 6 listopada 1916 r. na skutek odezwy Cesarzy Austrji i Niemiec z dnia 5 listopada 1916 r., liczny zastęp oficerów Polaków, jeńców z armji rosyjskiej, złożył podania na ręce komendanta stacji dla oficerów jeńców w Salzerbadzie w Dolnej Austrji o zaliczenie ich w poczet oficerów Legjonów Polskich, jako kadrów przyszłej polskiej armji. W parę dni zostali dotyczący oficerowie przeniesieni do obozu polskiego w Csót na Węgrzech, gdzie ku swemu niepomiernemu zdziwieniu zastali oficerów jak i szeregowców jeńców moskali. Na skutek dopominania się o realizację podania z dnia 6 listopada 1917 r.

usunięto po paru tygodniach z oficerskiego oddziału oficerów moskali, jak również i usługę, składającą się do tej pory z samych Rosjan.

W tym okresie w początkach grudnia 1916 r., przyjechał do obozu Csót, z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego dr. Ernest Habicht i rozwinął wśród oficerów i żołnierzy Polaków agitację w celu zapisywania się na ochotników do wojska polskiego".

„Mimo wielce nieprzyjaznych warunków w obozie Csót, to jest braku pościeli, obuwia, ubrania, wstrętnego odżywiania, obecność oficerów Polaków, których żołnierze Polacy poznawali często jako byłych przełożonych z armji rosyjskiej, znanych im już uprzednio z dodatniej strony, przyczyniła się do pomyślnego werbunku; zwerbowano w przeciągu 10 dni 3000 ludzi; rozporządzenie c. i k. Min. Wojny (Res. Abt. 10 Kgf. Nr. 41600 23/XII) wyznaczające kapitana Zawistowskiego do pełnienia obowiązków adjutanta w sprawach polskich, resztę zaś oficerów do służby czynnej w obozie, określając nawet djety dzienne oficerów, a także i nowe przepisy normujące tryb życia i żywienie żołnierzy Polaków, zameldowanych do wojska polskiego, podniosło liczbę meldujących się do 6000 na ogólną 16.000 jeńców zebranych w obozie Csót. Niespodziewanie, rozporządzeniem swoim c. i k. Ministerjum Wojny (Res. Abt. 10 Kgf. Nr. 260 vom 11/I. 1917) zawiesiło całą akcję w Csót, później pozostawiło bez zmiany stworzony stan rzeczy, jedynie nakazując zaprzestania dalszego werbunku. Z rozporządzenia marszałka polnego por. hr. Stürgha, dnia 29 stycznia 1917 r., kapitan Zawistowski pojechał do Vassurany na stację oficerów jeńców rosyjskich, aby tam, łącznie z c. i k. porucznikiem Benedictem, przyjąć zgłoszenie oficerów Polaków, dobrowolnie meldujących się do wojska polskiego. Nagle i niespodziewanie dnia 21 lutego 1917 r. odłączono w obozie Csót oficerów od żołnierzy Polaków, pierwszym zapowiedziano przeniesienie na stację Vassurany, a drugim zwolnienie do robót polnych w Królestwie po lewym brzegu Wisły".

Następnie opisuje poseł Bobrowski szykany, których doznawali oficerowie Polacy w Vassurany, które doprowadziły jednego z nich, porucznika Kamińskiego, do zamachu samobójczego.

„Podobnie gorzki zawód spotkał żołnierzy Polaków jeńców, którzy zgłosili się do służby ochotniczej w Legjonach. Po kilku miesiącach ćwiczeń i łudzeniu ich nadzieją wcielenia do Legjonów wysłano ich do bataljonów robotniczych w Albanji, zmuszając ich do pracy zdala od Ojczyzny w zabójczym malarycznym klimacie".

W ten sposób ułatwiały władze austrjackie tworzenie armji polskiej przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi!

Obchodzenie się z jeńcami Polakami odkomenderowanymi do robót było częstokroć nieludzkie. Jeden wypadek znęcania się nad takim jeńcem, Bolesławem Zaczkowskim, w Galicji ze strony przedsiębiorcy i podoficerów żydów doszedł do mojej wiadomości, wskutek notatki w „Kurjerze Lwowskim" (zał. 164). Wniosłem w tej sprawie zażalenie do ministerstwa obrony krajowej.

XIV.

Osobną kategorję internowanych tworzyli legjoniści, którzy po znanych wypadkach z połowy lutego 1918 roku pod Rarańczą dostali się do obozów koncentracyjnych w Huszt i innych w północnych Węgrzech.

Redaktor naczelny „Kurjera Lwowskiego", p. Wysłouch, zwrócił się do mnie, bym się przekonał, w jakich warunkach żyją tam legjoniści i zawiózł im pewne fundusze zebrane dla poprawienia ich bytu, tudzież korespondencję. Sepłniłem to życzenie. Nadto umieściłem dla poinformowania opinji publicznej, a zwłaszcza rodzin internowanych o ich losie, opis mojej bytności w tych obozach w dniach 12 do 15 kwietnia 1918 roku, w „Kurjerze Lwowskim" i w „Głosie Narodu" z 18 kwietnia 1918. Kilka innych dzienników powtórzyło go w skróceniu. Opis ten brzmiał:

„W drugiej połowie lutego umieszczono przeszło 5000 legjonistów w Huszt i okolicznych miejscowościach położonych przeważnie wzdłuż linji kolejowej między Kiralyi-Hasa a Maramarosz-Sziget. W pobliżu odnośnych stacji kolejowych znajdują się obozy w Huszt, Szeklencze, Szaldobos, Bustyahaza, Taraczköz, Nagyszölös do najbardziej odległych należy Talabor-Falva i Lulfalva (14 km. od stacji w Bustyahaza).

Niewielka stosunkowo liczba oficerów zamieszkuje prywatne mieszkania i ma względną swobodę ruchów, przeważna ich część jednak i żołnierze legjonowi znajdują się w obozach barakowych, przeznaczonych pierwotnie dla wojsk austr., dla jeńców wojennych i t. p. W mieście Huszt przebywają na wolnej stopie gen. Zieliński, którego zdrowie mocno ucierpiało po ciężkich przejściach moralnych i fizycznych 2 miesięcy ostatnich, szef sanitarny podpułk. dr. Rogalski, który gorliwie pełni funkcje skarbnika miejscowego komitetu pomocy dla internowanych, major audytor Ganczarski, dr. Korolewicz, kapelan ks. Panaś, ks. Gilewicz, kap. Pomazański, por. Grabowski i inni. Pod ścisłą strażą znajdują się pułk. Zagórski, major Górecki, rotmistrz Okołowicz, kap. Bold i około 30 innych.

Największa liczba, bo około 1500 legjonistów przebywała w obozie barakowym w Bustyahaza. Umieszczono ich najpierw w 4 małych barakach, później dobudowano jeszcze piąty. Panowało tam wielkie przepełnienie. Po odejściu jednak transportów do Włoch pozostało w obozie barakowym jeszcze kilku oficerów, m. in. lek. dr. Bermański, kapelan ks. Łuszczki, kap. Chełmicki (z Królestwa), który został przytrzymany, gdy wracał z urlopu z Warszawy i dotychczas jest internowany, tudzież 480 żołnierzy. W miejscowości Bustyahaza mieszka kilku oficerów pozostających na wolnej stopie, jak podp. Głowacki, chor. Łysakowski, chor. Szałowski i inni.

W Dulfalva przebywa 104 oficerów z pułkownikiem Sikorskim na czele i około 50 żołnierzy legjonowych. W Talaborfalva, gdzie był większy obóz, zastałem 13 bm. już tylko pozostających na wolnej stopie lekarzy legjon. dr. Babeckiego i dr. Prusa. Poprzedniego dnia wyruszył już był bowiem ostatni transport leg. z tego obozu.

Miło mi było słyszeć w tej miejscowości słowa uznania z pośród miejscowej ludności dla humanitarnej działalności naszych lekarzy. W Taraczkös przebywają niemal wyłącznie legjoniści pochodzący z Królestwa Polskiego. Z oficerów dr. Wertheim i Siemaszko. Obozy w Szeklence (45 oficerów i około 120 żołnierzy), Szaldabos niezbyt liczne. Z tych obozów spotkałem po drodze rotmistrza Brzezińskiego i por. Seligera. W Nagy-Szölös maj. Nieniewski i kilku innych.

Nadto ma przebywać już w innej okolicy w Gjuk Fecherwar 30 internowanych legjonistów, którzy byli na kursie podoficerskim w Hermanstadt.

Przyjazd legjonistów nastąpił stosunkowo nagle. Kwatery nie były dostatecznie przygotowane. To też w pierwszych czasach stosunki były bardzo ciężkie. Baraki prymitywnie urządzone, prowizoryczne budynki były przepełnione, mało ogrzewane, wikt był lichy i niedostateczny. Najbardziej bolało tak oficerów jak i żołnierzy legojonowych nadzwyczaj surowe (częstokroć dokuczliwe) obchodzenie się z nimi. (Zdarzały się wypadki wprost karygodnych wybryków), (skonfiskowano). Najprzykrzejsze stosunki panowały i panują poniekąd jeszcze w samem Huszt i w Bustyahaza. Natomiast podnoszono z uznaniem poprawne zachowanie się niektórych komendantów, jak np. w Talabor-Falva. Później stosunki w obozach zwłaszcza po inspekcji marsz. pol. eksc. Kanika znacznie się poprawiły.

Wskutek nieodpowiednich stosunków hygienicznych i lichego wiktu wybuchła w niektórych obozach, a w szczególności w Bustyahaza czerwonka, nadto było kilka sporadycznych wypadków innych chorób zakaźnych. Obecnie jednak epidemje wygasły. W szpitalu znajduje się wprawdzie około 170 chorych, oczywiście jednak nie wszystkie wypadki choroby są ciężkie. Umarło dotychczas dwóch legjonistów. Liczba, według moich doświadczeń poczynionych w osadach barakowych dla uchodźców i cywilnych internowanych, nie wygórowana. Do poprawy stosunków sanitarnych przyczyniły się starania lekarzy legjonowych i polepszenie wiktu. Legjoniści otrzymują obecnie wikt żołnierski, nadto dodatkowo środki żywności zakupywane ze składek napływających z kraju. W ostatnich dniach eksc. Schilling nie dozwolił używać tych pieniędzy na cele aprowizacyjne. Na moje przedstawienie zgodził się jednak, by napływające fundusze jak np. kwota 19.000 koron, którą przywiozłem z redakcji „Kurjera Lwowskiego", były używane dalej na ten cel. Funduszów składkowych używa się, według przedstawionych mi rachunków, bądź to na poprawę wiktu, bądź to na udzielanie doraźnych zapomóg legjonistom opuszczającym obozy internowanych, a pozbawionym własnych środków pieniężnych.

Pozostający na wolnej stopie oficerowie żyją wśród ciężkich warunków. Nietylko bowiem trudno o odpowiednie pomieszczenie w miejscowościach, w których przebywają, ale nadto narażeni są częstokroć na niemiłosierne zdzierstwo niektórych czynników miejscowych. Położenie oficerów było tem cięższe, że naogół nie pobierali wcale gaży albo też otrzymywali tylko 50 proc. zaliczki. Według informacji, jaką na odjezdnem otrzymałem, zarządzono obecnie wy-

płatę zalegających gaż. Także i podoficerom ma się obecnie wypłacać należne im pobory, co dotychczas nie miało miejsca. Tak oficerowie, jak i żołnierze stracili cały swój bagaż, częstokroć nawet wszystko to, co przy sobie mieli. Wielką ich troską napawa myśl o położeniu rodzin, którym wstrzymano pobory.

(Ustęp skonfiskowany: Znaczna część legjonistów, przeszło 3000, wysłaną została, jak mi mówiono do Włoch, do Udine. W dniu mojego przybycia do Huszt, 12 bm., odszedł już trzeci z rzędu transport liczący około 1200 ludzi. W transportach tych znajdować się miała stosunkowo znaczna liczba żołnierzy, którzy ze względu na swój wiek, nie byli obowiązani do służby wojskowej, a w szczególności młodzież poniżej 17 lat).

Po przeglądzie uznani za zdolnych do broni, odbywać będą kilkutygodniowe ćwiczenia. W najbliższych dniach ma odejść dalszy transport, tak, że wkrótce pozostaną tylko obwinieni, świadkowie do rozprawy lub też obcy poddani, których się zgłosić miało około 1000, oczywiście przeważnie Królewiacy, ale są między nimi także legjoniści pochodzący z zaboru pruskiego i rosyjskiego, są niektórzy i ze Stanów Zjednoczonych, a nawet i z Turcji (p. Brzozowski). Dość spora liczba ma pochodzić z dzisiejszej Ukrainy. Nazwanie ich Ukraińcami wywołało energiczne protesty, oczywiście wszyscy uważają się za Polaków. Specjalnie z powodu legjonistów pochodzących z Ziemi Chełmskiej były ostre nieporozumienia. Podczas gdy u odnośnej władzy oświadczono mi, że legjonistów tych ze względu na nieprzeprowadzone jeszcze rozgraniczenie zaliczono do obywateli Królestwa Polskiego, twierdzono ze strony legjonistów, podając mi dla przykładu nazwiska, że odnośnych żołnierzy zaliczono do Ukraińców. W każdym razie kwestja traktowania obcych poddanych będzie wymagała specjalnej uwagi, a przynajmniej odesłanie Królewiaków będzie rzeczą starań odpowiedzialnych czynników rządowych w Królestwie Polskiem, jak też i politycznych w naszym kraju.

Wobec wyjazdu przeważnej części legjonistów nie uważam obecnie za pożądane, aby członkowie ich rodzin przedsiębrali tak żmudną i kosztowną podróż do obozów barakowych, nie dowiedziawszy się poprzednio czy internowani, których zamierzają odwiedzić, jeszcze się w obozie znajdują. Zaznaczam przytem, że pogłoski o rzekomych ułatwieniach przy widzeniu się z internowanymi, są mylne. Przeciwnie, wydano w tym względzie w ostatnich czasach zaostrzenia. Przepisy wojskowe dozwalają widzenia się z aresztowanymi tylko w obecności sędziego, co wobec małej liczby sędziów i zajęcia ich przy przesłuchiwaniu obwinionych i świadków, uniemożliwia prawie w zupełności współudział przy odwiedzaniu aresztowanych przez rodziny.

Ekc. Schilling ściśle trzyma się tych przepisów, jak tego sam doświadczyłem, gdyż odmówił mi nietylko zwiedzenia obozów barakowych, ale także widzenia się z poszczególnymi internowanymi. Wiadomym mi jest także fakt, że w ostatnich dniach p. Germanowa która stale przebywa w Huszt, gdzie mąż jej, syn wicepr. Izby poselskiej, jest internowany, od dłuższego czasu nie mogła uzyskać pozwolenia ponownego widzenia się z mężem, którego poprzednio kilka-

krotnie odwiedzała. Zamiast więc podróży, których wynik jest niepewny, należałoby raczej przeznaczoną na ten cel kwotę przesyłać na ręce komitetów opiekujących się internowanymi. Temu jednak, kto chce ze Lwowa lub okolicy udać się do obozu internowanych, polecić mogę tylko pociąg odchodzący o godz. 7 wieczór ze Lwowa na Ławoczne—Barju—Kiralyhaza, tudzież powrót tą samą drogą z wyjazdem o godz. 4 popoł. z Huszt. Wszelkie inne połączenia, a w szczególności na Sianki są bowiem znacznie dłuższe.

Dotychczas przybywało dość wiele osób w odwiedziny do legjonistów. Prócz rodzin ich przybywały kilkakrotnie delegacje pań. Ze sfer politycznych był pos. Zieleniewski, który odwiedzał syna swego, dr. Dwernicki, dla zasiągnięcia informacji w sprawie obrony oskarżonych, Węgier bar. Sintinis z Budapesztu w towarzystwie p. Stamirowskiego, a gdy przejeżdżałem w nocy z 13 na 14 przez Huszt, dowiedziałem się, że przybyli tam wiceprezesi Koła polskiego hr. Baworowski i p. Zieleniewski.

Przy przesyłkach listów, pakietów i pieniędzy należy podawać dokładne adresy. Zdarzało się bowiem, że przesyłano np. przesyłkę dla leg. Zająca, bez bliższego określenia, gdy tymczasem w obozach internowanych znajdowało się aż 17 żołnierzy tego nazwiska. Przy środkach żywności należy unikać przesyłek środków łatwo ulegających zepsuciu, gdyż trzeba się liczyć z wielkiem opóźnieniem przy doręczeniu. Legjoniści upominają się o gazety polskie i książki. Przesyłka gazet natrafia na dziwne trudności, tem mniej uzasodnione, że przecież dzienniki są starannie cenzurowane.

Na miejscu w Huszt udziela wszelkich potrzebnych informacji przybyłym p. Germanowa, która wraz z dwiema innemi byłemi sanitarjuszkami legjonów gorliwie się internowanymi opiekuje. Wiele cennych informacji otrzymałem od byłego kap. legjonów p. Łuczyńskiego, doskonale obznajomionego ze stosunkami w legjonach, również jak i w obozach internowanych [1]).

Wiadomości o terminie rozprawy, które się pojawiły, nie są dokładne. Akt oskarżenia jeszcze nie jest wygotowany. Ze względów technicznych nie jest prawdopodobne, by rozprawa odbyła się prędzej, jak w połowie maja. Ze względu na obszerny materjał potrwa ona zapewne dłuższy czas. Jako obrońcy zgłosić się już miały wybitne siły, między innemi posłowie Liebermann i Löwenstein, dr. Dwernicki i inni.

Do ważnych zadań społeczeństwa i naszej reprezentacji, oprócz kwestji, odnoszących się do samych internowanych, należy opieka nad rodzinami legjonistów, wyjednanie im dalszej wypłaty poborów i zasiłków, zajęcie się kwestją zwrotu funduszu, przeznaczonego dla wdów i sierót po legjonistach i inwalidach legjonowych i opieka nad uwolnionymi legjonistami w celu wyszukania im odpowiedniego zajęcia, któreby im umożliwiło egzystencję".

Do opisu tego dodał „Głos Narodu" następujące informacje:

„13 bm. przybyli do Huszt wiceprezesi Koła polskiego, hr. Baworowski i Zieleniewski, dalej generał eksc. Rozwadowski, zaś na-

[1]) Otrzymałem je również od pułkownika Sikorskiego, z którym się pokryjomu widziałem.

stępnego dnia delegaci Rady regencyjnej z Warszawy: ks. kanonik Bliziński i hr. Rostworowski. Odwiedzili oni generała Zielińskiego i widzieli się z oficerami legjonów, pozostającymi na wolnej stopie, a następnie mieli dłuższą konferencję z komendantem obozów internowanych, eksc. Schillingiem. Ani delegaci Rady regencyjnej, ani też wiceprezesi Koła polskiego nie uzyskali zezwolenia na zwiedzenie obozu w Huszt. Posłowie Baworowski i Zieleniewski udali się do Dulfalva, zaś delegaci Rady regencyjnej do obozu w Taraczkös, gdzie przebywają Królewiacy.

Dotychczas tylko wyjątkowo otrzymało od eksc. Schillinga pozwolenie na zwiedzenie obozów internowanych 5 księży, przysłanych ze Lwowa przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego dla pełnienia posług duchownych".

Powierzenie komendy nad obozami internowanych legjonistów generałowi Schillingowi było niewłaściwością, a zapewne i złośliwością. Generał Schilling był rozjuszony na legjonistów z powodu przytrzymania go przez kapelana legjonów księdza Panasia koło Rarańczy (nie wiedział jednak napewne kto był autorem tego przetrzymania, gdyż nikt księdza Panasia nie wydał) i z powodu obelg, które go przy tej sposobności spotkały. Żalił się przedemną gorzko, że go podówczas legjoniści nazwali „starym osłem". Robił on legjonistom niepotrzebne trudności i nie dopuszczał nikogo do ich odwiedzenia, nawet rodziców, którzy odbyli daleką i uciążliwą podówczas podróż, by zobaczyć swoich synów [1]). Konferowałem z nim dwukrotnie, na moje przedstawienie poczynił pewne drobne ustępstwa na korzyść internowanych.

Zainteresowanie sprawą legjonistów w całem społeczeństwie polskiem, a w pierwszym rzędzie u kobiet, dla tych żołnierzy otoczonych aureolą bohaterstwa i cierpienia dla Ojczyzny, było ogromne. Czyniono wiele, by im ułatwić egzystencję. Wiele osób starało się ich odwiedzić [2]), liczni politycy interweniowali w ich sprawie u rządu, m. in. poseł Daszyński, wnosili interpelacje w parlamencie, a szereg wybitnych adwokatów podjął się obrony oskarżonych. Wobec tego, mając rozliczne inne zajęcia, a między innemi opiekę nad takiemi ofiarami wojny, o których mało pamiętano, nie jeździłem już ponownie do obozów internowanych legjonistów. O spostrzeżeniach moich zdałem sprawę prezydjum Koła polskiego, a gdy internowanie legjonistów z Królestwa — pomimo zapowiedzi odesłania ich do domu — się przeciągało, interweniowałem w tej sprawie wraz z wiceprezesem Koła Baworowskim u ministra obrony krajowej (zał. 170).

Po licznych interwencjach Koła polskiego nastąpiło, jak wiadomo, umorzenie procesu legjonistów, o czem cesarz zawiadomił osobiście wezwanego na audjencję prezesa Koła, dra Tertila w dniu 27 września 1918 roku. Miesiąc później padły ostatnie zapory, które nie pozwalały legjonistom powrócić na łono rodziny i na służbę dla własnego kraju.

---

[1]) Donosił o tem „Kurjer Lwowski" z 13 kwietnia 1918.

[2]) Prawie równocześnie ze mną opisały dwie panie swoją podróż do obozów internowanych legjonistów. Rzeczowe sprawozdanie p. Kazeckiej, umieszczono w „Gazecie Wieczornej" z 18 kwietnia 1918. Relacja drugiej damy zawierała wylew subjektywnych uczuć i przeważnie opis własnej podróży.

XV.

Nie należy przypuszczać, że egzekucje wojskowe, masowe aresztowania i internowania były wyłącznie przywilejem Galicji. I w innych krajach austrjackich i węgierskich dawała się gospodarka wojenna dotkliwie odczuwać mieszkańcom. Najwięcej stosunkowo ofiar wśród cywilnej ludności padło wśród Serbów bośniackich i hercegowińskich. Co prawda nie była to ludność bardzo potulna, przyzwyczajona od dawna do powstań przeciwko Turkom, a potem przeciwko Austrjakom. Być może, że część jej dopomagała regularnym i nieregularnym (komitadżi) wojskom serbskim. Wojska austro-węgierskie, a zwłaszcza oddziały ochotnicze korpusu ochronnego (Schutzcorps) dopuszczały się jednak okrucieństw i nie oszczędzały ani kobiet, ani dzieci. Posłowie południowo słowiańscy, w swoich interpelacjach wniesionych w parlamencie austrjackim, opisywali zgrozą przejmujące szczegóły, o masowem mordowaniu ludności, bez dochodzenia, czy kto był winien, czy też nie. W odpowiedzi na te interpelacje rząd starał się zaprzeczyć niektórym faktom, a inne złagodzić, nie mógł jednak zaprzeczyć, że w pewnych wypadkach popełniono okrucieństwa, do czego później już niedopuszczono, a winni zostali rzekomo ukarani [1].

W krajach zamieszkałych przez ludność słoweńską, która broniła się — głównie pod przewodnictwem duchowieństwa — przed wynaradawianiem przez Niemców, ale nie żywiła specjalnych sympatji dla Serbów, odbyły się także egzekucje, a zwłaszcza liczne aresztowania.

Interpelacje posłów włoskich z południowego Tyrolu wskazywały na podobne stosunki jak w Galicji: wieszania, internowania, branie zakładników wśród ludności miejscowej, z tą różnicą, że wśród części Włochów tyrolskich istniało zupełnie zrozumiałe dążenie do połączenia się z państwem włoskiem, czego oczywiście u Polaków w Galicji w stosunku do Rosji nie było.

W Czechach i na Morawach nie było wprawdzie samosądów i masowych egzekucji, skazano jednak wiele osób na śmierć, nieraz za niewielkie tylko przewinienia przeciwko państwu, jak np. rozszerzanie a nawet przechowywanie tylko zabronionych odezw, obrazę majestatu i t. p., wiele zaś na ciężkie kary więzienia, nie wyłączając 12 letnich nawet chłopaków.

Ale i w krajach czysto niemieckich zdarzały się bezpodstawne aresztowania i przesadnie ostre zasądzenia. Na przykład „Reichspost" z 6 kwietnia 1915 donosiła o aresztowaniu proboszcza z Kopfing w Górnej Austrji, którego żandarm w Wielki piątek prowadził dwie godziny piechotą do najbliższej stacji kolejowej, co wywołało oburzenie ludności. Szło tu o fałszywą denuncjację. „Arbeiterzeitung" piętnowała w roku 1917 zasądzenie werkmistrza Ottona Para, Wiedeńczyka, na 4 lata więzienia, które nastąpiło w r. 1915, za to, że wrzucił do paki ze śmieciami, podobno bez zamiaru obrazy, kartkę oddartą z kalendarza, na której widniały wizerunki cesarza austrjac-

---

[1] Odpowiedź rządu 7 października 1917 ad Nr. 371/I.

kiego i niemieckiego. Miłą swoją podróż na urlop wypoczynkowy opisał urzędnik ministerstwa skarbu, dr. Gams, Niemiec, w wiedeńskiej „Reichspost" z 23 marca 1915. Wybrał się on z Wiednia do miejscowości kąpielowej Rohitsch — Sauerbrunn w Styrji. W plecaku wiózł starannie zapakowany aparat fotograficzny, by tam robić zdjęcia. Dwóch żandarmów, rewidując pociąg, znalazło ten aparat, mapę turystyczną i słownik niemiecko-słoweński i aresztowało dra Gamsa pod zarzutem, iż robił zdjęcia — z pędzącego pociągu i przy zamkniętych oknach — i obwinili go, iż jest szpiegiem serbskim, pomimo, iż się legitymował jako urzędnik ministerjalny. Miał ogromne szczęście: nie odstawiono go do Thalerhofu, lecz do więzienia w Grazu. Przez 30 godzin nie dano mu żadnego pożywienia, a przez 20 dni nikt go nie przesłuchiwał. Ponieważ mu odebrano przy aresztowaniu wszystkie pieniądze, nie mógł sobie dać kupić nawet kartki pocztowej. Nareszcie któryś ze współaresztowanych zlitował się nad nim i podarował mu kartkę. Po zawiadomieniu władzy przełożonej został zaraz uwolniony. Ładny ten obrazek stosunków panujących pod Wiedniem, umieściłem w moim wniosku o odszkodowanie dla niesłusznie zasądzonych, internowanych i t. d. [1]).

Dość głośną była sprawa aresztowania przez wojsko posła Nidrista — typowego chłopa tyrolskiego, gorącego patrjoty austrjackiego, oddanego dynastji — za sprzeciwianie się nieuzasadnionym rekwizycjom.

XVI.

O wszelkich nadużyciach opinja publiczna była zwykle informowaną tylko w drodze opowiadań, nieraz przesadnych.

Prasa była zupełnie skrępowaną i to nietylko konfiskatami, dochodzącemi nieraz do szczytu bezmyślności, ale także i innemi represjami.

Konfiskowano wszystko możliwe: Skonfiskowano odpowiedź cesarza Franciszka Józefa na hołdowniczy telegram przesłany mu przez prezesa Koła polskiego, Bilińskiego, imieniem parlamentarzystów polskich zebranych na zjeździe w Krakowie w dniu 30 kwietnia 1916. Stąd białe plamy w dziennikach krakowskich, n. p. w popołudniowej „Nowej Reformie" z 1 maja. Z okazji tego samego zjazdu skonfiskowano w „Naprzodzie" z 3 maja ustęp z wniosku posła Daszyńskiego: „wzywa się komisję polityczną Koła, aby wystosowała do tronu pismo, przedstawiające żądania narodu polskiego" (skonfiskowane:) „utworzenia samoistnego państwa polskiego złożonego z niepodzielnego Królestwa kongresowego i Galicji". Skonfiskowano odpowiedź prezydenta ministrów hr. Stürgkha, udzieloną wiceprezydentowi parlamentu Pernerstorferowi, gdy ten się żalił na praktyki konfiskacyjne [2]). Skonfiskowano częściowo przemówienie powitalne marszałka krajowego Niezabitowskiego, do nowo mianowanego namiestnika Collarda [3]), i t. d. i t. d.

---

[1]) Nr. 304 załączn. stenogr. protokołu Izby poselskiej.

[2]) „Arbeiter—Zeitung" z 5 marca 1915.

[3]) „Kurjer lwowski" z 17 sierpnia 1915.

Pisma, pomimo całej oględności z jaką podówczas pisano, świeciły białemi miejscami. Znaczenie tych białych miejsc tłumaczył „Piast" swoim czytelnikom w sposób następujący: „W każdym prawie numerze „Piasta" znajdujecie, kochani czytelnicy, w środku artykułów, lub między artykułami, białe miejsca puste. Są to miejsca skonfiskowane przez Prokuratorję Państwa. Dzisiaj w czasie wojny, o różnych rzeczach pisać nie wolno, choćby się o nich napisać zdało — gdy się napisze, Prokuratorja konfiskuje i w piśmie powstają takie białe dziury. Dzięki konfiskacie w poprzednim numerze, zamiast artykułu wstępnego mieliśmy same — białe miejsca. Zwracamy wam na to uwagę, byście nie myśleli, że to może z innego powodu „Piast" jest czasem taki „wybielony" [1]).

Wydawnictwo dzienników, źle zapisanych u wojskowości, zawieszano, jak n. p. „Głos Narodu" w Krakowie (zał. 175). Za pośrednictwem katolickich sfer niemieckich w Wiedniu, poczyniłem starania o zniesienie tego zakazu. Niejednokrotnie musiałem interwenjować w sprawach „Piasta", któremu również zagrożono zawieszeniem i jego redaktora p. Rączkowskiego, którego koniecznie chciano brać do wojska, lub wnosić interpelację w sprawie „Kurjera lwowskiego", którego zabroniono doręczać przez pocztę polową żołnierzom, tudzież na obszarze okupacji austrjackiej w Królestwie [2]). Także i „Ilustrowany Kurjer codzienny" niedobrze był widziany. Odebrano mu debit na austrjackim terenie okupacyjnym, o co interpelował wice-prezes Koła polskiego, poseł Kędzior w parlamencie [3]). Pismom z poznańskiego, które miały większą swobodę wypowiadania swych opinji i podawania informacji, odebrano debit w Galicji, rozporządzeniem ministerstwa spraw wewnętrznych z 28 listopada 1916 L. 22857.

Delikatniejszym środkiem przeciwko niemiłej prasie, jak zawieszenie lub odebranie debitu, było robienie trudności z przydziałem papieru. Pod tym względem traktowano wogóle całą polską prasę po macoszemu. Niektórym jednak dziennikom przydzielano specjalnie niski kontygent papieru, który nie mógł żadną miarą wystarczyć na ilość egzemplarzy potrzebnych dla abonentów. W tych sprawach papierowych, trzeba było wielokrotnie interwenjować.

Dzięki poparciu wojskowości, powstały niemieckie dzienniki w Krakowie i Lwowie: „Die Korrespondenz", „Krakauer Zeitung" i „Lemberger Zeitung". Redaktor pierwszych, Rosner, został zasądzony w końcu roku 1915 na więzienie za oszczerstwa. Waldmann, redaktor lwowskiego pisma, był po przewrocie reprezentantem żydowskiej mniejszości narodowej przy rządzie ukraińskim. Mieli oni obaj swojego czasu znaczny wpływ na sprawy prasowe w Galicji.

Dziennikarzy z pism nieuważanych za dość lojalne brano do wojska. Obszerną jest lista współpracowników pism, za którymi interwenjowałem. Dzięki znajomościom w ministerstwie obrony krajo-

---

[1]) „Piast" z 3 stycznia 1915.

[2]) Interpelacja N-o 3016.

[3]) „Illustrowany Kurjer Codzienny" z 24 lutego 1918.

wej, a zwłaszcza przyjacielowi mojemu, referentowi spraw wojskowych w ministerstwie spraw wewnętrznych, dziś już nieżyjącemu hofratowi Jekeyowi, udało mi się uzyskać dość liczne zwolnienia, względnie odroczenia służby, tak, że Syndykat dziennikarzy w Krakowie kilkakrotnie dziękował mi za skuteczne interwencje.

W sprawach prasowych, było jednak w każdym razie więcej posłów chętnych do interwencji jak n. p. w sprawach internowanych, o których poprzednio mówiłem (zał. 173).

Utrapienia ludności spowodowane przez absolutne rządy biurokracji, a zwłaszcza wojskowości, dały się tak we znaki szerokim warstwom ludności w Austrji, że z utęsknieniem czekano zebrania się parlamentu, i z prawdziwą radością go powitano, gdy nareszcie 30 maja 1917, po trzyletniej przeszło przerwie, rozpoczął swoje obrady. Parlament ten, swojemi waśniami na tle walk partyjnych, społecznych, a przedewszystkiem narodowościowych, intrygami politycznemi, zbytnią gadatliwością posłów, nieraz karczemnemi wprost kłótniami, nie był się bardzo dodatnio zapisał przed wojną w pamięci społeczeństwa. Okazało się jednak, że rządy nieodpowiedzialne i nieograniczone jakąkolwiek publiczną krytyką, były gorsze, a dla ludności uciążliwsze jak nieudolne nieraz rządy parlamentarne.

Nietylko na polu uchodźtwa wojennego i internowań, ale wogóle we wszystkich sprawach ekonomicznych, społecznych, finansowych i t. d. gospodarka wojskowa i biurokratyczna ujemnie się odbiła. Najumiarkowańsi nawet ludzie, mający największy szacunek dla rządu i władz, poddawali zarządzenia wojenne ostrej krytyce. Między innymi poseł Halban, znany z czasów przedwojennych jako rządowiec, po zebraniu się parlamentu poddał ciętej krytyce ową gospodarkę wojskową w przemówieniu wygłoszonem na komisji budżetowej w dniu 25 października 1917.

„Omawiano już w Izbie nieprawne a polityczne nierozsądne nadużycia na polu cenzury i w sprawie internowań. Obecnie proszę o pouczenie mnie, mówił poseł Halban, czy, względnie na jakiej podstawie zrzekł się c. k. Rząd wykonywania władzy policyjnej. Obowiązek bronienia Państwa przysługuje Rządowi. On tylko ma sprawować władzę policyjną, on tylko ma rozstrzygać o nieprawomyślności politycznej. Na jakiej podstawie wykonywanie tego uprawnienia przekazano funkcjonarjuszom wojskowym, którzy do tego nie mieli ani przygotowania fachowego, ani prawa, a to nawet obywatelom węgierskim? Nie chcę z pewnością występować przeciwko narodowi węgierskiemu, pytam się tylko, czyby rząd węgierski ścierpiał n. p., żeby austrjacki obywatel rozstrzygał, którzy węgierscy obywatele mogą powracać do swoich siedzib? A przecież we Lwowie kapitan Szente rozstrzygał bezapelacyjnie, kto z nas może wstąpić do Lwowa. Najpiękniejszy paszport, ani nawet polecenie ministra spraw wewnętrznych, nie miało tu żadnego znaczenia. Powiedzcie, mi moi Panowie, skąd ten oficer mógł mieć tę znajomość ludzi, by osądzić prawomyślność tysięcy osób, których nazwisko słyszał po raz pierwszy w życiu? Nietylko poszczególne działy urzędowania, ale całe kompleksy spraw, znalazły się nagle w rękach wojskowości. Utworzono całkiem nowe urzędy: komendy miast. Co to jest takiego? O ile wiem

nie ma nawet instrukcji dawnej Naczelnej komendy armji dla tych urzędów. Na jakiej zatem podstawie załatwia taka komenda miasta wszystkie sprawy należące do kompetencji władz administracyjnych, wydaje przepisy o godzinie policyjnej, wpływa na sprawy przemysłowe, nawet na kwestje fundacyjne i dobroczynności publicznej? Komenda miasta wydaje pozwolenia wywozowe, karze przekroczenia tych spraw na podstawie nieznanych przepisów i t. d. Zaznaczam, że nie zwracam się przeciwko obecnemu komendantowi miasta, tylko pytam się jako prawnik, skąd pochodzi kompetencja tej władzy, nieustanowionej przez żadną ustawę? Jak nieokreślonem jest to wszystko, wskazuje fakt, że poprzedni komendant miasta Lwowa, — obywatel węgierski — chciał zarządzić rozszerzenie miasta przez wcielenie do niego sąsiednich gmin — oczywiście bez ustawy krajowej — i komisarzowi rządowemu zalecał rozpisanie nowych podatków, do których ściągania ofiarowywał się udzielić mu asystencji wojskowej.

Stworzono także i inne nowe urzędy, n. p. urząd okręgowy w Drohobyczu, o niejasnej kompetencji, dla zagłębia naftowego, na którego czele stoi węgierski oficer. Obsadzono starostwa oficerami. Czy otrzymali oni dyspenzę od przepisanych studjów? Komu podlegają oni pod względem dyscyplinarnym? Odebrano ich wojsku, nie należą jednak do etatu urzędników. Dokąd więc należą? Znaleźli się także nagle oficerowie w dyrekcji policji we Lwowie, by wypełnić luki powstałe przez powołanie urzędników policyjnych do wojska. Więc urzędnicy przy wojsku, a oficerowie w urzędach. Mogę panom przedstawić ładny obrazek sposobu tego urzędowania. Gdy przyszło do konfliktu pomiędzy starostą w Drohobyczu, a oficerem żandarmerji, który — wbrew wszelkim przepisom organizacyjnym, według których żandarmerja podlega władzom administracyjnym — przypisywał sobie władzę nad starostą, to oczywiście nie tego oficera, lecz starostę przeniesiono. Przysłano na jego miejsce poczciwego pułkownika, który o służbie administracyjnej tak mało wiedział, że zażądał od najstarszego komisarza „regulaminu służbowego", a był nader nieprzyjemnie zdziwiony, gdy mu (wielotomowe dzieło) Mayerhofera przyniesiono. Gdy otrzymał do aprobaty obszerny elaborat w jakiejś sprawie przemysłowej, zażądał od referenta słowa honoru na to, że załatwienie jest dobre. Ten urzędnik musiał pouczyć swego naiwnego szefa, iż zapatrywanie prawnicze nie może być stwierdzone słowem honoru. Dopiero, gdy i drugi urzędnik potwierdził, iż załatwienie nastąpiło według najlepszej wiedzy referenta, zdecydował się szef podpisać. Powiat brodzki obdarzono oficerem, który ma wdrożone śledztwo sądowo-honorowe przeciwko sobie, ale któremu nieposzlakowani urzędnicy podlegać muszą.

Do nowych urzędów, którym bezprawnie nadano kompetencję władz cywilnych, należą komendy etapowe, którym udzielono władzy dyskrecjonalnej. Możnaby przypuszczać, że jeżeli już zgwałcono ustawowe przepisy o kompetencji i pozbawiono ludność jej praw, to przynajmniej postępowano z oględnością przy wyborze organów, którym przyznawano tak szeroką władzę. Już przykład wojskowego starosty w Brodach i sądowo-karne dochodzenie w sprawach referenta dla spraw wywozu przy komendzie miasta Lwowa wskazują, jak mało starannie postępowano przy wyborze tych osób. Nie chcę

się zajmować innemi osobami, których wybór wskazuje w jaki, nie dający się skwalifikować, sposób w tych sprawach postępowano. Muszę jednak Panom opowiedzieć o pewnym klasycznym wypadku, stwierdzonym sądownie, który doprowadził do zasądzenia winnego:

Izaak Hoenig, żydowski nauczyciel prywatny, który przed wojną bez wszelkich środków do życia pracował jako pomywacz naczyń w żydowskiej kuchni ludowej — został wzięty do wojska. W krótkim czasie „w nieznany sposób" awansował na sierżanta. Z okazji superarbitrowania sam siebie mianował kadet-feldfeblem i w tym charakterze zgłosił się do min. obr. kraj. z prośbą o odpowiedni dlań przydział. Zostawszy leutnantem, przydzielony został jako cenzor do Białej, a potem do Nowego Sącza. W Nowym Sączu oddział wywiadowczy zwrócił uwagę na jego grube błędy stylistyczne i ortograficzne, został przeto przesłuchany i uwięziony, a jego nominację na oficera unieważniono.

Udało mu się jednak uciec i wypłynął w Gracu, gdzie zameldował się znów jako kadet Józef Neuman. Otrzymał tam, bez żadnego fałszerstwa ze swej strony „Offener Befehl" do Przemyśla na imię dra Józefa Neumanna. Ponieważ jednak Przemyśl wydał mu się niebezpiecznym jako miejsce stałego pobytu, wolał przenieść się do Przemyślan, gdzie się zameldował w komendzie etapowej. Tam nawet nie zwrócono uwagi na różnicę między Przemyślem a Przemyślanami. Przedłożył komendantowi kartę służbową, z której wynikało, że został do tejże komendy przydzielony w celu „zbierania materjałów". Dano mu nawet sześciu żołnierzy do rozporządzenia, wcale nie dochodząc kto go tu przysłał. Z tym oddziałem objechał całą okolicę za bydłem, uznał, iż bydło chłopskie jest pochodzenia rosyjskiego, sprzedał je na publicznej licytacji, co mu przyniosło 43 tysiące koron.

Wkrótce przesiedlił się do Glinian, przywdział mundur leutnanta z dekoracjami i ustanowił tam samodzielną komendę etapową, w której sam się mianował oberleutnantem; kazał sobie zrobić pieczątki odpowiednie i tablicę urzędową. Przełożona komenda etapowa II. armji (Feldmarszałek Schilhawsky) widocznie ani razu nie dochodziła, na skutek czyjego to rozkazu ta nowa komenda powstała, a także kwaterujący w Glinianach oddział kawalerji nie zaczepił wcale tej samozwańczej komendy.

Gdy na skutek licznych skarg na nowego komendanta wspomniany generał przybył na wizytację, nawet wówczas nie próbował dochodzić, czy wogóle w Glinianach legalnie komenda etapowa istnieje. Wizytacja wypadła świetnie, skarżącym zagrożono karami surowemi i jedynie tu decydujący szef feldmarszałek orzekł, że oberleutnant dr. Neumann jest najsprężystszym oficerem w całej jego służbie etapowej.

I dopiero przypadek położył wreszcie kres jego oszukańczym manipulacjom. — Jeden z intendentów powziął podejrzenie z powodu 175 tys. koron, jakie dla niego kasa operacyjna przeznaczyła na zakupno kartofli, zaś pewien kadet, który go znał z Nowego Sącza, wyjawił wreszcie, co to za ptaszek. Działo się to w okręgu armji, gdzie n. p. oddawanie „dobrowolnie" metali nakazane było pod groząkary śmierci!..."

XVII.

Wszyscy byli spragnieni powrotu rządów konstytucyjnych i przywrócenie praw obywatelskich. Wobec srogości sądów wojskowych i zasądzania przez nie wielu niewinnych, tęskniono za sądami przysięgłych, przeciwko którym w czasie pokoju podnoszono nieraz uzasadnione zarzuty, z powodu zbytniej ich łagodności i uwalniania zbrodniarzy, których wina była stwierdzoną. To też jednem z pierwszych żądań postawionych w parlamencie, w dniu 5 czerwca 1917 imieniem Koła polskiego, przez prezesa Łazarskiego, było przywrócenie sądownictwa cywilnego dla ludności cywilnej i sądów przysięgłych [1]).

Upominano się w parlamencie o jego członków zasądzonych o zdradę stanu i uwięzionych (stracony został na terenie walk Włoch Batisti, schwytany z bronią w ręku). Z Rusinów byli to Kuryłowicz i Markow, jeden Słoweniec i siedmiu Czechów. Posypały się interpelacje i mowy Czechów, Słoweńców, Włochów, z powodu egzekucji i internowań. Największe wrażenie zrobiła mowa posła czeskiego Stribrnego, o której już poprzednio wspomniałem, zawierająca ciężkie bardzo oskarżenia z powodu stosunków w Thalerhofie, oparta na obszernym materjale nazwisk i faktów.

Posłowie ukraińscy wnieśli szereg interpelacji, poruszając w nich sprawę zamordowania wielu ludzi we wschodniej Galicji, głównie przez Węgrów, a zwłaszcza honwedów „których działalność mogła", jak twierdzili ci posłowie, „najlojalniejszych obywateli i wrogów Rosjan przemienić w najgorętszych moskalofilów" [2]). Niektórzy z tych posłów mówili o tych sprawach na plenum Izby. Żale ukraińskie na gwałty soldateski były naogół zupełnie uzasadnione, aczkolwiek materjał nie był zawsze dość krytycznie badany. Świadczyła o tem n. p. ironiczna odpowiedź rządu — który naogół unikał dawawania odpowiedzi w tych drażliwych i nie miłych dla niego kwestjach — w sprawie jednego z rzekomo straconych Mikołaja Swerduna, że „żyje w Sławku i dobrze mu się powodzi" [3]). Występowanie posłów ukraińskich wykazywało jednak zwykłe dwa błędy: ofiary samosądów wojskowych nazywano „męczennikami ukraińskimi" „Ukrainische Märtyrer", gdy w przeważnej części wcale Ukraińcami nie byli. Zaliczano np. do nich osoby wymordowane w Przemyślu w dniu 15/IX. 1914 z panną Mochnacką na czele [4]), gdy wiadomem było, że pochodziły one z okolic staroruskich, a panna Mochnacka należała do znanej rodziny staroruskiej, której także i inni członkowie padli ofiarą ówczesnych stosunków. Był to bardzo prosty system tworzenia męczenników partyjnych. Jeżeli komu winę udowodniono, to był zdrajcą moskalofilem, lub starorusinem, jeżeli jej nie stwierdzono, męczennikiem ukraińskim.

---

1) Interpelacja nr. 41.

2) Interpelacja nr. 989.

3) Odpowiedź rządu nr. 292 z 13 stycznia 1918.

4) Interpelacja nr. 126.

Brzydką stroną ich interpelacji i przemówień było składanie winy moralnej za nadużycia i gwałty wojskowości na Polaków i ciągłe oskarżanie ich o zdradę wobec Austrji i Niemiec. Z wyjątkiem jednego przemówienia posła Dniestrzańskiego, który zaznaczył nawet, że w jednym wypadku włościan, którym groziło powieszenie, ocaliła interwencja Polaka [1]), we wszystkich innych przemówieniach posłów ukraińskich, i to nietylko narodowych demokratów, ale i radykałów, przy każdej okazji podnoszono owe oskarżenia przeciwko Polakom. Ze strony polskiej nie odwzajemniano się jednak w tym względzie Ukraińcom, a Rusinów brano niejednokrotnie w obronę, jak to wynika z poprzednich moich wywodów i co podnosiły także niektóre nasze pisma (zał. 173).

Zarzuty, dotyczące represji przeciwko ludności rusińskiej, podnoszone przez Ukraińców przeciwko Polakom były tem bardziej nieuzasadnione, że oni sami swojemi wystąpieniami przeciwko starorusinom powodowali ich prześladowanie. Wskażę tu na wspomniane już broszury ukraińskiej Rady narodowej, które zarzucały Polakom moskalofilstwo, za to tylko, że rzekomo popierali starorusinów. Z własnego doświadczenia wiem o listach proskrypcyjnych, zawierających nazwiska działaczy staroruskich (między innymi księży), które przypadkowo dostały mi się do wglądu w ministerstwie spraw wewnętrznych, złożonych tam przez Ukraińców.

Z pośród posłów niemieckich, narodowcy niemieccy i wszechniemcy, z początku dość butnie występowali, między innymi poseł Wolf wiele mówił o zdradach na wszystkich frontach, poseł Neunteufel bronił postępowania wojskowości na terenie operacyjnym itd. Byli jednak odosobnieni, gdyż chrześcijańsko-socjalni w tych sprawach milczeli, a socjaliści niemieccy nie zabierali wprawdzie głosu w Izbie, jednak czasami poruszali kwestję złego obchodzenia się z internowanymi w interpelacjach (m. in. interpelacja o Drosendorfie przedstawiała stosunki w tym obozie nawet w przesadnie niekorzystnem świetle), a przyznać trzeba, że organ ich, „Arbeiter-Zeitung" niejednokrotnie jeszcze przed zwołaniem parlamentu, występował przeciwko nieprawnym internowaniom i nieuzasadnionym lub zbyt srogim wyrokom sądów wojskowych. Ciężkie obwinienia ze strony przedstawicieli innych narodowości przeciwko nadużyciom wojskowości, poparte faktami i nazwiskami, i ogólne oburzenie, jakie wyjawiane gwałty i okrucieństwa wywoływały, zmusiły wkrótce wszechniemców i nacjonalistów niemieckich do milczenia. Jednemu z nich, z zawodu radcy budownictwa Heinemu, który odezwał się, „że za mało ludzi wieszano" [2]), dał poseł Daszyński w mowie z 15 czerwca 1917, w której poddał krytyce cały system panujący podczas wojny w Austrji, ciętą odprawę, która Heinego ośmieszyła. Ustęp mowy posła Daszyńskiego o gwałtach popełnionych przez wojsko w Galicji brzmi:

---

[1]) Protokół stenograficzny z 3 lipca 1917 str. 613.

[2]) „Es sind viel zu wenig aufgehängt worden", protokół stenograficzny z 14 czerwca 1917 strona 279.

„Powrót Austrji do Galicji był pochodem szubienic i mordu (potakiwania). Nie wiem w ilu wypadkach — jedni mówią o 30 tysiącach powieszonych, inni wymieniają dwa razy tyle [1]) — (słuchajcie, słuchajcie!), w każdym razie wieszało się na ślepo, wieszało się bez żadnej świadomości o co idzie. Moi Panowie, nie chcę zajmować się tym tematem, o którym jeden z kolegów tu obszerniej mówić będzie, ale przytoczę tu jeden tylko fakt. Jakiemuś wiejskiemu idjocie polecono udać się z wojskiem do Królestwa jako woźnicy. Ponieważ to był idjota, chciała gmina się go pozbyć. Gdy po kilku tygodniach powrócił, posiadał 3 ruble w kieszeni. Gdy się zbliża do swojej wsi, widzi ustawioną niemiecką artylerję i zdziwiony przypatruje się jej. Chwytają go, przeglądają jego kieszenie, znajdują w nich 3 ruble i natychmiast zostaje powieszony [2]) (słuchajcie! słuchajcie! żywe wykrzykniki). Moi Panowie! chciałbym wiedzieć co o tem myśli starszy radca budowlany od szubienic [3]) Heine? (żywe potakiwania i oklaski). Chciałbym wiedzieć co Pan Poseł, który jest osobistym przyjacielem i protegowanym pana ministra kolejowego, o tem myśli? Chciałbym wiedzieć, jakie zapatrywanie by wypowiedział o tym wypadku, on, dla którego za mało jeszcze wieszano! Przypatrujemy się temu panu, a raczej patrzymy z góry na niego z zimną pogardą, jaką można mieć dla człowieka tego rodzaju i nie bierzemy zbyt na serjo tego rozwścieczonego niemiecko-burżuazyjnego idealisty, zwyrodniałego wskutek panującego braku piwa (żywe potakiwania i oklaski)".

W dalszym ciągu swojej mowy odparł poseł Daszyński zarzut zdrady, stawiany galicyjskim kolejarzom. Wskazał na działalność Polaków po stronie Austrji w czasie wojny i oświadczył, że tylko głupcy mogą mówić o polskiej zdradzie.

Prezes Koła polskiego dr. Tertil, przemawiając w dniu 4 lipca w imieniu Koła podczas debaty nad rozporządzeniami, dotyczącemi działalności sądów przysięgłych i oddania osób cywilnych pod jurysdykcję sądów wojskowych, mówił dość obszernie o popełnianych bezprawiach. Miał on słowa uznania dla amnestji cesarskiej i dla działalności byłego namiestnika bar. Dillera. Polemizował z zarzutami zdrady, między innemi z mowami generała Dankla i byłego ministra Plenera, wypowiedzianemi w Izbie panów. Zaznaczył przytem, że Dankla i jego armję od zupełnej katastrofy ocalili legjoniści z Piłsudskim na czele. Wskazał wreszcie na nadużycia sądownictwa woj-

[1]) Cyfry urojone. W zachodniej Galicji stracono wskutek samosądów i na podstawie wyroków sądowych kilkaset osób z ludności — z bardzo nielicznemi wyjątkami, ludzi niewinnych. W środkowej i we wschodniej części kraju stracono ich znacznie więcej. Ogólna jednak liczba straconych w Galicji nie przekraczała kilku tysięcy.

[2]) Fakt autentyczny. Przed wypowiedzeniem swojej mowy zwrócił się poseł Daszyński, który mało był o tych sprawach poinformowany — w „Pamiętnikach" swoich (II str. 200) stwierdza, że „niewiele narazie tych wszystkich okropności dochodziło do naszych uszu" — do posłów włościańskich P. S. L. o podanie mu faktów wieszania w Galicji. Jeden z opowiedzianych mu faktów przedstawił w powyższy sposób w swojem przemówieniu.

[3]) „Obergalgenbaurat".

skowego i wieszania bez sądu. Krytykował wyrok śmierci, wykonany w Tarnowie na prof. Łazarskim, który po śmierci dziecka oddał się był zapamiętale spirytyzmowi, a którego stan umysłowy pogorszył się wskutek wydarzeń wojennych, co stwierdzonem zostało przez świadków podczas rozprawy i na co wskazywało całe zachowanie się obwinionego. Dr. Tertil mówił dalej o licznych wypadkach wieszania bez sądu, które go doszły z opowiadań. Z własnego doświadczenia opowiedział o trzykrotnie wdrożonem przeciwko niemu śledztwie jako burmistrzowi miasta Tarnowa, na podstawie jakieś denuncjacji. Jako argumentu przeciwko niemu używano w szczególności faktu, że go Rosjanie, cofając się, nie uprowadzili. Gdy się wreszcie wszystko wyjaśniło, zażądał p. Tertil wyjawienia mu nazwiska denuncjanta. Odmówiono z uwagą, że się przecież musi donosiciela do pewnego stopnia chronić. Bardzo niebezpiecznem było spełnianie obowiązków burmistrza, komisarza rządowego lub naczelnika gminy w czasie wojny. Burmistrza w Jaśle Baranowskiego, a potem jego następcę dra Mielnika, w Łańcucie dra Szpunara, również jak i jego następcę, to samo w Jaworowie i Dębicy, a w Buczaczu burmistrza posła Sterna, w Gorlicach ks. Świeykowskiego pociągano do odpowiedzialności za ich urzędowanie, i to we wszystkich wypadkach niesłusznie. Z wójtami po wsiach nie robiono wielkich ceremonii i za byle co ich wieszano. W powiecie tarnowskim za okupacji rosyjskiej wystawiono naczelnikom gmin legitymacje w języku rosyjskim. W roku 1915 po powrocie Austrjaków, znaleziono taką legitymację u wójta z Janowic, Krakowskiego i za to go powieszono.

Dr. Tertil omawiał wreszcie dość głośny podówczas proces przeciwko studentom gimnazjalnym w Tarnowie, więzionym za rzekomą obrazę majestatu [1]).

Poseł Andrzej ks. Lubomirski, krytykując w swojej mowie [2]), wypowiedzianej 6 lipca 1917 w Izbie poselskiej, postępowanie władz austrjackich w Galicji, mówił także o bezprawnych egzekucjach, aresztowaniach i internowaniach:

„Na podstawie anonimowych doniesień, lub podejrzeń, wypływających z osobistej nieprzyjaźni, aresztowano tysiące obywateli, często duchownych, i jako politycznie podejrzanych wleczono ich do Thalerhofu i innych obozów koncentracyjnych. Tutaj wcale ich nie przesłuchiwano, zamykając uszy na ich skargi, zażalenia, zaklęcia o niewinności. System taki, odwlekający w nieskończoność postępowanie karne, jest nawet w czasie wojny niegodny Państwa prawnego. Fakt to powszechnie znany i nie wymaga bliższych komentarzy, że z internowanymi, zbiegami i ewakuowanymi postępowano częstokroć wprost nieludzko, że bogacili się na nich prywatni spekulanci, że grasowały wśród nich zarazy, że pomarły wszystkie dzieci poniżej lat 4-ch, a 25% starszych.

---

1) Sprawa zakończyła się uwolnieniem studentów i współobwinionego prof. Wojciechowskiego z braku winy.

2) Wydana w polskim przekładzie pod tytułem: „Mowa Andrzeja ks. Lubomirskiego w Sprawie Polskiej", Lwów, 1917.

I przy tych wszystkich cierpieniach mogli ludzie ci mówić jeszcze o szczęściu, gdyż setki, może nawet tysiące, innych, równie spokojnych i lojalnych obywateli, stawiano przed sądy polowe i skazywano na podstawie zeznań osobistych wrogów, którzy w ten sposób załatwiali osobiste rachunki — skazywano niejednokrotnie nawet bez przesłuchania przez sędziów, i to nie znających ich języka.

Zaprowadzenie rządów wojskowych zaostrzało jeszcze owe metody, gdyż administracja złożona całkowicie w ręce organów, prawniczo nie przygotowanych, nie odczuwała nawet popełnianego bezprawia. Przytem, mniemając, iż znajduje się w kraju nieprzyjacielskim, chciała, odpowiednią surowością w represjach, zmusić ludność do posłuchu, w wojskowem tego słowa znaczeniu. Żandarmerja, przeważnie języka krajowego nie znająca, czyniła wszystko, co w jej mocy, by tylko uciskać ludność i budzić nieprzychylną dla Państwa orjentację. Rekwizycje przeprowadzano w najjaskrawszej formie, przedsiębrano bezpodstawne uwięzienia, rozlicznemi ograniczeniami tamowano wszelki handel i obrót. Sądownictwo karne powierzono audytorom, którzy z ludnością jedynie z ciężką biedą rozmówić się mogli, stosowali zaś surowe paragrafy ustaw wojskowych do ludności cywilnej, niejednokrotnie na podstawie nieporozumienia".

Poseł Moraczewski poruszył w interpelacji (nr. 530 z r. 1917) nienawistne wprost postępowanie ministra koleji Forstera — znanego nieprzyjaciela Polaków — z kolejarzami w Galicji, wprowadzenie systemu szpiegostwa i prowokacji, nękanie kolejarzy dochodzeniami o różne urojone przewinienia. Jeden z nasłanych przez ministra obcych urzędników, obwinił w rozmowie ze znanym w czasie wojny sprawozdawcą wojennym Roda-Roda, ogół galicyjskich urzędników kolejowych o zdradę. Roda-Roda ogłosił to w dziennikach wiedeńskich. Dyrektor koleji we Lwowie zwrócił się do ministra koleji o wzięcie urzędników w obronę. Otrzymał odpowiedź, iż może wnieść sprostowanie. Dyrektor wysyła je. Cenzura nie pozwala go umieścić.

Po wyparciu Rosjan ze znacznej części Galicji w roku 1915 ministerstwo koleji zarządziło dochodzenia przeciwko funkcjonarjuszom, którzy w czasie inwazji opuścili swoje stanowiska, jak też przeciwko tym, którzy na miejscu pozostali. Urzędnicy ministerstwa przesłuchali w Dyrekcji krakowskiej przeszło 1000, a we lwowskiej 3300 kolejarzy. U kolejarzy krakowskich nie znaleziono ani w jednym wypadku przewinienia. U lwowskich, gdzie byli Polacy, Żydzi, Niemcy i Rusini, wdrożono przeciwko 340 dochodzenie dyscyplinarne, a 58 spraw oddano sądom polowym. Do lipca 1917 zakończono dochodzenia w 170 wypadkach: 140 uwolniono, 30 ukarano dyscyplinarnie. W sprawach odstąpionych sądom wojskowym, ukarano czterech, uwolniono 54. Szczególnie energicznie prowadził dochodzenia jeden z radców ministerjalnych, sam jednak nie świecił dobrym przykładem: to się upił, to znowu wysłał do domu zabitą świnię w pace, jako przesyłkę urzędową „Generalinspektionsakten", akta generalnej inspekcji.

Wojsko ze swojej strony gnębiło kolejarzy. I tak np. w r. 1915 wysłano pod bagnetami 200 kolejarzy z Dyrekcji stanisławowskiej na Węgry. Przeciwko 65 z nich wdrożono postępowanie karne i więziono ich przez dłuższy czas. Gdy stanęli przed sądem wojskowym, wszystkich uniewinniono, gdyż działali w myśl otrzymanych pisemnych rozkazów. Władze kolejowe nie troszczyły się długi czas o uwolnionych z więzienia, tak, że musieli żebrać, by nie zginąć z głodu.

Krwawe nadużycia wojska w Galicji, a bezprawne internowania poza terenem operacyj wojennych omówiłem w przemówieniach w Izbie poselskiej z 12 lipca i 16 października 1917 podczas debaty w sprawach uchodźców wojennych, nadto w 2 interpelacjach z 28 września 1917 Nr. 852 i 3 października 1917 Nr. 907, wreszcie we wniosku o odszkodowanie dla ofiar popełnionych bezprawi [1]) (zał. 174), tudzież w projekcie ustawy, dotyczącej tego odszkodowania [2]).

I w Izbie panów toczyła się w końcu czerwca 1917 podczas rozprawy budżetowej debata o nadużyciach wojennych. Były minister Biliński krytykował postępowanie wojska, które zraziło Polaków, zwłaszcza w Królestwie, do Austrji: „Późną jesienią 1914 i na początku roku 1915 byliśmy wszyscy — wszyscy, nie wyłączając polskich ministrów — zdrajcami. Wyszło to od Naczelnej komendy armji, oczywiście nie jako władzy, ale od poszczególnych ludzi". Mówił też o telegramie hołdowniczym, jaki wystosował w r. 1916 imieniem wszystkich stronnictw polskich, zebranych na zjeździe w Krakowie, do cesarza i nader łaskawej odpowiedzi monarchy, którą jednak skonfiskowano, nie pozwalając jej w prasie ogłosić [3]).

Hr. Piniński wspomniał o rozgoryczeniu, jakie niesłuszne prześladowania i zgrozą przejmujące egzekucje w kraju wywołały. W znanej mowie swojej w sprawie polskiej wspomniał wspomniał arcybiskup Teodorowicz także o zarzutach zdrady podnoszonych przeciwko Polakom i zbijał je, wskazując m. in. na zachowanie się Polaków podczas inwazji rosyjskiej we Lwowie.

Niektórzy przedstawiciele Niemców w Izbie panów byli dość agresywni. Napadał na Polaków ks. Auersperg. Najgwałtowniej jednak przemawiał stary liberał Plener, twierdząc, iż wśród urzędników, akademików i wogóle ludności polskiej w Galicji objawiały się tendencje rusofilskie. Wskazywał na trudności, na jakie wojsko austrjackie napotkało w Królestwie i na brak sympatji dla Austrji wśród tamtejszych Polaków. Żalił się, że żaden z mowców polskich nie zaoponował przeciwko wywodom arcybiskupa Teodorowicza, który w mowie swojej przedstawił w rzeczywistości „program połączenia wszystkich Polaków, bez względu na jakąkolwiek inną przynależność państwową".

---

[1]) Nr. 304 załączników do protokołu stenograficznego z roku 1917. Motywowanie wniosku jest za obszerne — 10 stron drobnego druku — by je tutaj podawać, zresztą przeważna część faktów tam przytoczonych, jest wspomnianą w niniejszej książce.

[2]) Nr. 883.

[3]) Protokół stenograficzny z Izby Panów z 28 czerwca 1917 strona 113 i 114.

Generał Dankl mówił o Polakach z Królestwa w sposób następujący: „Byliśmy w kraju nieprzyjacielskim i otoczeni na każdym kroku zdradą" [1]. Jakżeż inaczej brzmiały wywody innego generała, barona Dillera: „Jakkolwiek sympatycznemi mi są wywody księcia Auersperga o wojsku, muszę jednak mu się sprzeciwić, o ile zarzucił ludności polskiej na pograniczu nielojalne zachowanie się. Byłem więcej jak 2 i pół lat na froncie, a także poza frontem w Galicji i w Królestwie Polskiem. Przez ten blisko trzyletni okres czasu nie miałem ani jednego wypadku zdrady (gorące oklaski u Polaków). Muszę również odeprzeć zarzuty przeciwko urzędnikom politycznym w Galicji (oklaski). Moi urzędnicy polityczni oddali się z całem poświęceniem swojemu zadaniu, tak w Galicji, jak i w Królestwie Polskiem i spełnili w zupełności swoje obowiązki" (oklaski) [2].

Profesor uniwersytetu Lammasch, Niemiec, wskazywał, że Austrja wskutek pewnych wydarzeń w czasie wojny, zyskała opinję państwa bardziej autokratycznie rządzonego jak nią była nawet carska Rosja i że jest dla zagranicy państwem Spielbergów i smutnej pamięci Heynau'ów [3].

Wszystkie te debaty nie miały już większego praktycznego znaczenia i były raczej tylko reminiscencjami z niedalekiej przeszłości i publicznem potępieniem popełnionych gwałtów. W czasie bowiem, gdy się toczyły, jaskrawe nadużycia już były prawie całkiem

---

[1]) „Wir waren in Feindesland und auf Schritt und Tritt von Verrat umlauert".

[2]) „Streszczenie debaty w „Neue Freie Presse" z 30 czerwca i 1 lipca 1917: „So sympatisch ihm die militärischen Ausführungen des Fürsten Auersperg gewesen seien, so müsse er ihm darin widersprechen, wenn er die polnische Grenzbevölkerung einer unverlässlichen Haltung beschuldigt habe. Ich war — sagt Redner — über 2 1/2 Jahre an der Front, hinter der Front in Galizien und Polen. In diesen fast drei Jahren ist mir kein einziger Fall von Verrat vorgekommen (lebhafter Beifall bei den Polen). Auch die Anschuldigung gegen die politischen Beamten Galiziens, muss ich als unbegründet zurückweisen (Beifall). Meine politischen Beamten haben sowohl in Galizien wie in Polen sich ihrer schwierigen Aufgabe mit Hingebung gewidmet und ihre Pflicht voll und ganz erfüllt. (Beifall)". Z przykrością muszę stwierdzić, że w Polsce nie odwdzięczono się generałowi Dillerowi, który jako namiestnik Galicji zyskał sobie sympatję u Polaków i oddał im duże usługi, broniąc kraju przed nadmiernemi rekwizycjami, starając się o wydatną pomoc rządową i t. d. Gdy opuszczał to stanowisko, był bardzo serdecznie i ze szczerym żalem żegnany przez najpoważniejsze korporacje i prasę polską. Po przewrocie przyjął obywatelstwo polskie, aczkolwiek miał majątek w Czechach. Gdy się znalazł w trudnych stosunkach finansowych, prosił o przyznanie mu emerytury jako byłemu namiestnikowi. Pomimo wskazania na jego zasługi i gorącego poparcia z mojej strony — byłem podówczas posłem Rzeczypospolitej w Pradze — odmówiono mu emerytury, również jak następnie pensji wdowiej jego żonie, za którą poważne osobistości polskie się wstawiały.

[3]) Znane u nas więzienie stanu z doby absolutystycznej w Austrji, w którem przesiadywali znani polscy patrjoci z roku 1846 i 1848, Heynau generał austrjacki osławiony wieszaniami przy tłumieniu rewolucji węgierskiej w roku 1848. (Protokół stenograficzny posiedzenia Izby panów z 28 czerwca 1917, str. 103).

ustały. Jeszcze przed zebraniem się parlamentu, wskutek zarządzenia Naczelnej komendy armji, niewykonywano już samosądów, ograniczono władzę żandarmów do norm przepisanych regulaminem służbowym, ustały nowe internowania, a prawie wszystkich internowanych, przeciwko którym nie ciążyły poważniejsze zarzuty, uwolniono. Po rozpoczęciu się obrad parlamentu, wzmógł się kierunek humanitarny. Odręcznem pismem cesarskiem z dnia 2 lipca 1917, zarządzono szeroką amnestję. W końcu lipca depeszą cesarską do Naczelnej komendy armji, przypomniano zakaz egzekucji na podstawie wyroków doraźnych i polecono przedkładać wyroki do zatwierdzenia Naczelnej komendzie. Uczciwe elementa w wojsku znalazły nareszcie odwagę potępienia nadużyć i gwałtów, jak na to wskazywał rozkaz feldmarszałka Habermanna z 15 października 1917, nr. 1487, przy wkroczeniu wojsk austrjackich na Bukowinę, przytoczony przez posła bukowińskiego Łukasiewicza, w jego przemówieniu w Izbie poselskiej w dniu 21 listopada 1917: „Wydarzyły się w ostatnich czasach liczne wypadki nieprawnych rekwizycji, kradzieży, rabunków i plondrowania, przyczem nie brakło znęcania się nad ludnością cywilną, która własność swoją chronić chciała przed nadużyciami, a to nawet w niektórych wypadkach z wynikiem śmiertelnym" [1]. Zapowiedziano w tym rozkazie najsurowsze kary za takie nadużycia.

Za ostre wystąpienia i krytykę w parlamencie nie pociągnięto żadnego z posłów do odpowiedzialności. Zadowalniano się konfiskatą ich przemówień w prasie.

Wobec poprawy stosunków zadaniem parlamentu było już tylko pod względem praktycznym uzyskanie odszkodowania dla niewinnych ofiar samowoli, zaś dla zadośćuczynienia poczuciu prawa, spowodowanie pociągnięcia winnych do odpowiedzialności.

W sprawie odszkodowania dla ludzi bezpodstawnie internowanych i konfinowanych, tudzież dla rodzin pozostałych po ludziach niewinnie straconych, wpłynęły do parlamentu trzy projekty ustaw: dra Adolfa Grossa, mój, tudzież posła słoweńskiego dra Benkovica. Wnioski uzgodnił dr. Gross (zał. 175), a po przyjęciu projektu przez Komisję prawniczą, uzasadniał ten projekt ustawy pod względem prawniczym, jako referent na posiedzeniu Izby poselskiej w dniu 12 marca 1918 r. Potrzebę takiej ustawy ilustrowałem w dłuższem przemówieniu, faktami bezprawnego stracenia ludzi w Galicji i internowania niewinnych w Thalerhofie [2].

---

[1] „Es sind in der letzten Zeit zahlreiche Fälle von unberechtigten Requisitionen, Diebstähle, Raub und Plünderungen vorgekommen, wobei es sogar nicht an Misshandlungen der Zivilpersonen, welche ihr Eigentum vor solchen Missgriffen schützen wollten, fehlte, die in einigen Fällen sogar einen tödlichen Ausgang hatten." (Protokół stenogr. posiedzeń Izby posel. z r. 1917 str. 2173).

[2] Przemówienie to umieszczono w przekładzie z niemieckiego w „Kurjerze Lwowskim" z 29 marca, 4, 6, i 7 kwietnia 1918 r. Prawie wszystkie drażliwsze ustępy uległy jednak konfiskacie. Podobnie postąpiono poprzednio także z tekstem niemieckim, przeznaczonym dla prasy niemieckiej.

Przeważną część przemówienia w tłumaczeniu z protokołu stenograficznego Izby poselskiej, podałem na str. 82—87 i 99 tej książki.

Posłowie Benkovic, dr. Baxa i dr. Gentili przedstawili krwawe nadużycia z punktu widzenia Słowian południowych, Czechów i Włochów. Tego samego dnia mówił poseł ukraiński Siengalewicz o gwałtach popełnianych na Ukraińcach, nie zaniedbując przy tej sposobności wycieczek przeciwko Polakom. Przemawiał także polski socjalista Liebermann, opowiadając o wydarzeniach, których był świadkiem: „W imię prawa państwa do doraźnej obrony popełniono w Austrji niezliczone zbrodnie. Przypominam sobie, że w większem mieście na terenie operacyjnym, młodemu oficerowi, kapitanowi, dozwolono bez postępowania sądowego kazać wieszać ludzi. W tem mieście znajdowały się dwa sądy wojskowe. Pytałem się poco istniały te sądy, jeżeli młodemu, niedoświadczonemu oficerowi, udzielono prawa wieszania ludzi bez żadnego postępowania, bez żadnej kontroli. Prawa tego udzieliła mu Naczelna komenda armji. Był to bardzo miły oficer, bardzo szanowny, sympatyczny człowiek, o którym nie mogę nic złego powiedzieć, ale czynił on użytek ze swojego prawa. Miał niektórych pomocników, pisarzy, także i komisarzy. Schwy-

---

Przemówienie to moje miało niespodziewany epilog. Zaczynało się ono od słów stwierdzających uczucia, jakie żywili Polacy na początku wojny wobec Habsburgów:

„Hasłem dla Polaków z początkiem wojny było: wolna Polska, zjednoczona pod berłem Habsburgów. Dla urzeczywistnienia tej zasadniczej myśli, która znalazła wyraz w uchwałach pełnego zgromadzenia polskich posłów w Krakowie, dnia 16 sierpnia 1914, poparli ją Polacy nietylko słowem, lecz także czynami. Przypomnę zwłaszcza, że poświęcili dla tej idei kwiat swej młodzieży, legjony. Cesarz Franciszek Józef nie szczędził pełnego uznania dla stanowiska Polaków. Dowodem tego są słowa, wyrzeczone przez cesarza do deputacji, która jawiła się u niego w styczniu 1915 r. Monarcha wyraził swe uznanie dla „niezliczonych ofiar mienia i krwi", które złożyli mieszkańcy Galicji ochotnie, częstokroć ponad miarę ustawowo przepisanej służby wojskowej. Jakkolwiek Polacy u najbardziej kompetentnej osobistości, bo u cesarza spotkali się z uznaniem, to przecież już i wtedy zachowanie wielu potężnych czynników w państwie, było takie, iż musiało się mniemać, jakoby one dążyły do tego, aby zachwiać zaufanie Polaków i wywołać ich rozgoryczenie".

Następnie przedstawiłem nadużycia wojska i władz austrjackich, które przyczyniły się do zrażenia Polaków do Austrji. Przemówienie moje miłem rządowi nie było, jak to stwierdziła m. in. „Arbeiter Zeitung" z 13 marca 1918, podając je w artykule jako jedno z tych, które uległy zakazowi cenzury, i stwierdzając dalej, iż korespondencja parlamentarna wzmianki o wszystkich wypadkach nadużyć, jakie wymieniłem, skonfiskowała (zał. 176).

Pomimo stwierdzenia tych faktów przez swój organ partyjny, poseł socjalistyczny Renner, późniejszy kanclerz Republiki austrjackiej, gdy zastępywał Austrję w St. Germain, powołał się pomiędzy innemi enuncjacjami polskich parlamentarzystów, także na wspomniany wyżej ustęp mojej mowy, dla poparcia swojej tezy, że naród polski był jednym z współdziałających czynników przy prowadzeniu wojny przez monarchję Habsburgską. W nocie z dnia 2 lipca 1919, wystosowanej do prezydenta konferencji pokojowej p. Clemenceau, wywodził poseł Renner, że „niema powodu uważać niemieckiej Austrji jako strony wojującej, albo za spadkobierczynię zobowiązań upadłej monarchji habsburgskiej i trakto-

tano różnych ludzi, komisarz albo feldwebel przesłuchał ich i udzielał akta panu kapitanowi. Ten był bardzo zajęty, nie miał czasu schwytanych ludzi samemu przesłuchiwać, przeczytał pobieżnie akt i napisał na nim: „Powiesić". Podpis — data —, Widziałem to na własne oczy, moi panowie. W ten sposób załatwiano akta. Nie widział wogóle delinkwenta, nie mówił wcale z nim, przeczytał tylko pobieżnie, bardzo pobieżnie parę notatek, które mu jego pisarz albo pomocnik napisał. Sam widziałem, że na takim akcie, było napisane „Powiesić", data, podpis — i na drugi dzień widziałem człowieka na szubienicy, wyrok został wykonany. Moi Panowie! powiadam, że nie wiem, czy ludzie, których tam powieszono, byli niewinni. W każdym razie tego rodzaju postępowanie krótkie, sprężyste, nie nadawało się, by niewinnych ludzi uwolnić od oskarżenia i uchronić przed niebezpieczeństwem powieszenia. Muszę wprawdzie na cześć kół wojskowych powiedzieć, że jak raz ten oficer w towarzystwie, w którem się i ja znajdowałem, opowiadał o tych swoich sprawach, stary jenerał — nie poza frontowy jenerał, tylko taki, który jaknajdzielniej

---

wać ją inaczej, jak inne państwa, które z monarchji tej powstały. Wprawdzie wypowiedzenie i prowadzenie wojny było wynikiem zarządzeń monarchy, a zwłaszcza kierowników sztabu generalnego, ale działo się to za współdziałaniem innych czynników i to nietylko niemieckiej ludności. Wojna była także walką Węgrów przeciwko Serbom, Polaków przeciwko ich dziedzicznym wrogom i gnębicielom, przeciwko Rosji, która głównie współdziałała przy podziale Polski, walką Ukraińców przeciwko caratowi, Kroatów i Słoweńców z jednej strony przeciwko Włochom, ich dawnym rywalom nad Adrjatykiem, z drugiej o przewagę Słowian południowych katolików nad prawosławnymi narodami bałkańskiemi". (Deutsch-Oesterreichs Antwort auf die Friedensbedingungen, Wien 1919, str. 141 i następne). Dla udowodnienia tego twierdzenia przytoczył Renner w swoim memorjale urywki z mów polityków czeskich, południowo-słowiańskich i całego szeregu polskich, nie pomijając także socjalistów polskich, Daszyńskiego i Liebermana. Z mowy pierwszego z nich z 15 czerwca — o której już poprzednio wspomniałem — przytoczył ustępy, w których poseł Daszyński, mówiąc o wkroczeniu legjonistów do Królestwa, zaznaczył, iż Polacy „uważali za swój obowiązek stwierdzić wobec Austrji, że stoją przy niej, nie czczem słowem i pustym frazesem, ale z bronią w ręku, a dowieść światu, że nie zapomnieli oni tyranji rosyjskiej, szubienic i Sybiru". Drugi zaś mówiąc — 4 lipca 1917 — o entuzjazmie legjonistów — w gronie których walczył — oświadczył, iż „gdyby po zajęciu Warszawy pozwolono Legjonom polskim wejść do miasta, naród zostałby pociągnięty i setki tysięcy ludzi poszłoby do wojska, aby stworzyć na wschodzie wał ochronny dla państw centralnych". Przytoczył także i moje słowa z przemówienia z 12 marca 1918: „Hasłem Polaków była wolna Polska zjednoczona pod berłem Habsburgów".

Te reminiscencje z początków wojny nie pomogły wprawdzie kanclerzowi Rennerowi do uzyskania lżejszych warunków pokoju dla Austrji, ale znalazły podówczas echo w niektórych gazetach warszawskich, które, nie znając stosunków i nie zadawszy sobie oczywiście trudu zbadania źródeł, zaatakowały wszystkich posłów, o których p. Renner wspominał, a m. in. i mnie za przemówienie, w którem napiętnowałem nadużycia popełnione przez wojsko i władze austrjackie na Polakach.

walczył na froncie — odpowiedział na jego opowiadania: „Ależ kapitanie, czy ty myślisz, że ludność będzie milczała? Przyjdzie dzień w którym ludność zażąda obrachunku za tę krew przelaną, za te powieszone ofiary. Zastanówcie się moi panowie". Ja to słyszałem i nigdy tego w życiu nie zapomnę. Spojrzałem z prawdziwą wdzięcznością na tego generała. Zapowiedzał on, że przyjdzie dzień, gdy się będzie żądało obrachunku. Dzień ten nadszedł. Zebraliśmy się. Często rodziny straconych, nie są w stanie albo nie mają dostatecznego zrozumienia, by wystąpić jako oskarżyciele i żądać kary za zamordowanie tylu niewinnych ludzi. Ale my jesteśmy od tego, moi panowie, i, ludność oczekuje tego od nas" [1].

Minister sprawiedliwości przyznał szczerze, że w czasie wielkiego niebezpieczeństwa, w jakiem się państwo znajdowało, wojskowi i organa państwowe, zwalczając zamachy na państwo, nieraz nie trzymali się przepisanych norm postępowania prawnego i, że zdarzało się, że w sposób bezprawny, życie ludzi i ich wolność padły ofiarą ciężkich naruszeń poczucia prawa. Za to naruszenie prawa należy się zadośćuczynienie i wynagrodzenie wyrządzonej szkody. Rząd godzi się zatem na odpowiednie wynagrodzenie po stwierdzeniu stanu rzeczy (zał. 177).

Parlament uchwalił wspomniany projekt ustawy.

Uchwalono również opracowane przez dra Grossa projekta ustaw dotyczące wznowienia postępowania i zbadania wyroków sądów doraźnych i polowych [2]. Uchwalono wreszcie poruszone we wnioskach dra Grossa i moich, a opracowane przez dra Ofnera, odszkodowanie dla osób niesłusznie więzionych na podstawie zarządzeń sądów, a m. i. także sądów wojskowych [3].

Zdaje się, że niestety nie wiele było pożytku z tych wszystkich ustaw. Uchwalono je podczas sesji wiosennej parlamentu w roku 1918, następnie przetrzymano dość długo w Izbie panów, a gdy nareszcie uzyskały sankcję cesarską i zostały ogłoszone (najważniejsza z nich z dnia 18 sierpnia 1918 Dz. p. p. L. 317, dotycząca odszkodowania dla niesłusznie internowanych i konfinowanych, tudzież dla rodzin osób niewinnie straconych) rozpadła się wkrótce potem Austrja. Nie wiem, czy kto miał możność korzystania z nich. Wprawdzie wniesiono po przewrocie dość liczne zgłoszenia o przyznanie odszkodowania, ale ich rząd nowej republiki austrjackiej nie chciał uznać (zał. 178), a rząd polski odrzucał podania, ponieważ państwo polskie nie jest obowiązane do płacenia odszkodowania za zarządzenia byłych władz austrjackich.

W roku 1917 wyrobiłem w namiestnictwie we Lwowie niewielkie zapomogi dla kilkunastu ofiar bezprawnych samosądów i internowań w powiecie tarnobrzeskim. Obawiam się, że nie uzyskali nic więcej.

Poszkodowani nie otrzymali nawet materjalnego zadośćuczynienia. O ile mi wiadomo, nie pociągnięto również żadnego z wino-

---

[1]) Protokół stenogr. Izby posel. z 12 marca 1918, str. 3610.

[2]) Nr. 751 załącz. stenogr. protokołu Izby posel.

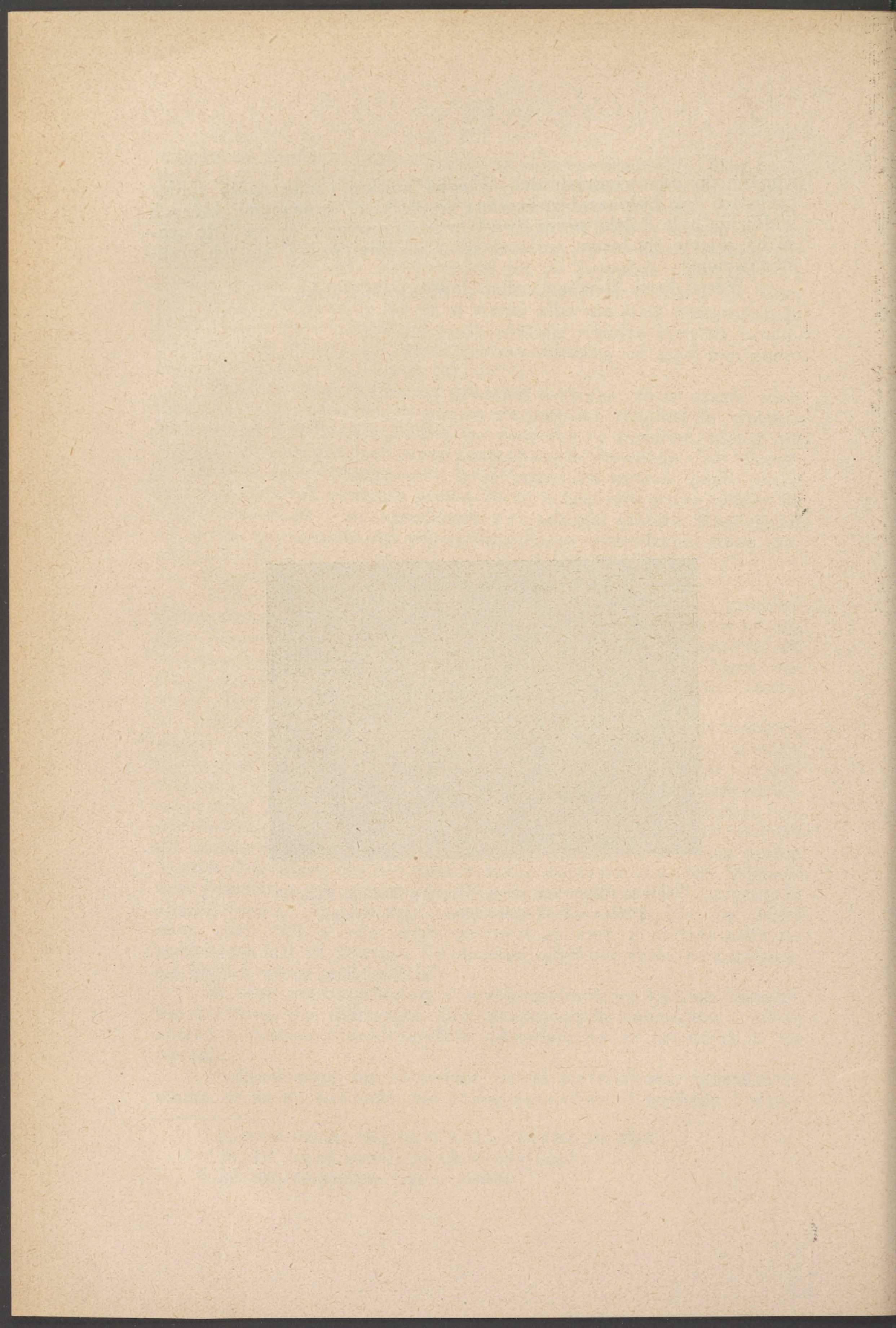
[3]) Nr. 1005 załączników tego protokołu.

wajców do odpowiedzialności. Władze polskie i całe nasze społeczeństwo tak było zaabsorbowane wypadkami wojennemi, których widownią była Polska przez dwa lata po przewrocie, że nie było czasu na zajęcie się losem ani tych ofiar wielkiej wojny, ani ich prześladowcami.

Wśród krwi, cierpień i ofiar powstawała Polska...



Plakieta ofiarowana przez Książęco Biskupi Komitet działaczom na rzecz ofiar wielkiej wojny.



Załącznik 1.

O ZJEŹDZIE POLSKIM W BERNIE.

Potrzebę wymiany myśli, informacji wzajemnej o doli uchodźtwa na obczyźnie, dalej konieczność wspólnej akcji, opartej na szerszej organizacji odczuwaliśmy już zdawna, bawiąc przeszło pół roku poza granicami własnego kraju i ojczyzny.

Tej to słusznie odczuwanej potrzebie uczynił zadość Komitet polski w Bernie, przez zwołanie ogólnego zjazdu delegatów reprezentujących Komitety poszczególnych ciał wychodźczych na Morawach.

Cel zjazdu scharakteryzował dobitnie i jasno przewodniczący zjazdu dr. Krzysztofowicz, mówiąc, że celem naszego zjazdu jest: dać głodnym chleb, zdrowym pracę, chorym zdrowie, a rozbitym na poszczególne grupy dać silną i poważną organizację, którąby głosem potężnym mogła przemówić do tych, których obowiązkiem jest nieść pomoc tym, co padli ofiarą niebywałej w dziejach wojny.

Z tematów, poruszonych na zjeździe, największe zainteresowanie wzbudziły referaty o zapomodze 70 halerzowej, dalej, szkolnictwo, prawo swobodnego przesiedlania się i kwestja baraków w Choceniu.

Delegaci przemawiający imieniem 23 kolonji polskich na Morawie stwierdzili pełnogłośnie fakt, że we wszystkich tych osadach znajdują się setki takich, którym grozi śmierć głodowa, jeżeli rząd rychło nie przyjdzie im z pomocą. Polacy, jak mogli dotąd opodatkowywali się sami na rzecz biednych uchodźców, obecnie jednak wobec ciągle wzrastającej drożyzny, ofiarność prywatna nie może starczyć na utrzymanie licznych zgłodniałych i pozbawionych środków do życia polskich rodzin. Rząd musi przyjść z pomocą wydatnie a rychło. Przez usta mowców przebijał się głęboki żal do naszych polskich posłów, którzy w czasie wyborów złote góry obiecywali szumnie ludności, a obecnie nieliczne tylko jednostki żywo interesują się losem nieszczęsnych uchodźców. Nic też dziwnego, że zjawienie się na zjeździe dwóch polskich posłów, hr. Lasockiego i Rychlika, oraz delegata Wydziału krajowego p. Madurowicza, było przyjęte przez zjazd wprost owacyjnie. Również rezolucje, wyrażające hołd i uznanie dla ks. biskupa Sapiehy, Sienkiewicza, Paderewskiego i Eksce-

lencji Bilińskiego, za znane ich wystąpienie na rzecz zubożałej i doszczętnie wyniszczonej ludności polskiej na terenie wojennym, powitane były długotrwałymi oklaskami i powszechnym aplauzem.

Sprawa szkolnictwa, referowana przez dyrektora Duchowiera i pojedynczych delegatów, była jakby kroplą ożywczą, spadłą na zbolałe serce polskie. Dzięki niesłychanej uprzejmości władz lokalnych i wydatnemu poparciu ze strony Władzy szkolnej krajowej, nie ma na Morawach ani jednej większej kolonji, gdzieby nie było szkółki polskiej. Po miastach wielkich, jak w Bernie, Przerowie, Hradyszczu, Ołomuńcu, Ostrawie, Prościejowie istnieją także i szkoły średnie. Z małymi wyjątkami urządzenie dla szkoły, lokal, światło, opał otrzymywali Polacy bezinteresownie od władz miejscowych. Rada Szkolna krajowa szła wszędzie na rękę zarządom szkół, a także funduszem, podręcznikami w połowie ceny ofiarowanymi, wspomagali nasze polskie szkolnictwo na uchodźtwie.

Fakt, że inicjatorami wszystkich szkół powstałych na obczyźnie byli przeważnie sami nauczyciele i kapłani polscy, spotkał się z największem uznaniem zgromadzonych.

„Kraść oczyma wszystko, co dobre, na obczyźnie" — jak się wyraził p. Wierowicz w swem przemówieniu — powiedzenie to ma dać podstawę do kształcenia się na wygnaniu, aby z powrotem do kraju, skoro nam przyjdzie odbudowywać się, na prawdę kraj nasz odbudował się na wzór innych krajów, wysoko pod względem ekonomicznym stojących.

W Bernie i innych miastach głównie nauczycielstwo korzysta z całego szeregu kursów praktycznych, jakoto: nauki zręczności, snycerstwa, kartoniarstwa, modniarstwa, tkactwa, koszykarstwa, kwieciarstwa, koronkarstwa, a nawet budowy mostów i dróg.

Doświadczenie, jakie w tym względzie odniesiemy na obczyźnie, może się wielce przyczynić do podniesienia stanu rzemieślniczego i robotniczego u nas w kraju zaniedbanego.

Sprawą swobodnego przesiedlania się przyrzekł zająć się poseł hr. Lasocki.

Przemówienie p. Czajkównej oraz memorjał opracowany przez p. Wyspiańskiego o położeniu ludności polskiej w barakach w Choceniu, zrobił wprost przygnębiające wrażenie. Mimo niektórych ulepszeń wprowadzonych w ostatnich czasach, stosunki w barakach, zwłaszcza pod względem zdrowotnym i hygienicznym, są wprost nie do wytrzymania.

Z przemówień delegatów uderzał bardzo niemile fakt niejednokrotnego nieudzielania zapomóg 70 hal.

W tym samym kraju w pewnych miejscowościach ludność uboga pobiera zapomogi rządowe, a w drugich nie pobiera wcale. Ludność żydowska jest najszczęśliwsza pod tym względem, (skonfiskowano). Mamy jednak nadzieję, że wobec jak najlepszej chęci i usposobienia władzy — jak nas o tem zapewnił p. Lasocki — ustaną wkrótce owe nierównomierności i każdy prawdziwie i istotnie potrzebujący, znajdzie należytą u władz opiekę.

Kończąc to krótkie sprawozdanie ze Zjazdu, niech mi będzie wolno pod koniec publicznie złożyć podziękowanie wszystkim tym,

co przyczynili się z niemałym trudem i poświęceniem do jego urzeczywistnienia. Cokolwiek w rezultacie przyniosłyby konferencje, odbyte w Bernie, zawsze świadczyć one będą, że w najcięższych czasach dla nas chcemy się bronić, chcemy żyć i nieść pomoc tym, którzy ofiarą wojny najwięcej dotknięci zostali.

Ks. Kaz. Bisztyga.

(„Głos Narodu" z dnia 13 marca 1915).

Załącznik 2.

List do posła Lasockiego.

Wiedeń, dnia 8. III. 1915.

„Wiedeński Kurjer Polski", pismo poświęcone sprawie Legjonów i Wychodźtwa polskiego. Telefon 14820, 16113, 17658, 21604, 21820, 23116. Wiedeń, IX./4, Canisiusgasse Nr. 8—10.

Jaśnie Wielmożny Panie Pośle!

C. K. Prokuratorja Państwa w numerze dzisiejszym „Wiedeńskiego Kurjera Polskiego" skonfiskowała ustęp mowy wygłoszonej przez Pana Posła na zjeździe w Bernie. Odnośny ustęp traktował mianowicie o sprawie wysyłania wychodźców naszych, przez rząd osadzonych w barakach w Leibnitz — do Serbji. Komunikując Panu Posłowi odnośną wiadomość, mamy zarazem zaszczyt upraszać jak najgoręcej o poczynienie kroków, jakieby Jaśnie Wielmożny Pan uważał za stosowne, celem bodaj częściowego zluźnienia węzłów cenzuralnych, które w stosunku do prasy polskiej specjalnie stały się ostatnimi czasy wprost nieznośne i uniemożliwiają wszelką pracę publicystyczną w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Wyrazy głębokiego poważania ma zaszczyt przesłać „Wiedeński Kurjer Polski" Redakcja **Konarski.**

Załącznik 3.

Bürgermeister Dr. Weiskirchner hat, wie die „Rathauskorr." mitteilt, in den letzten Tagen neuerlich beim Ministerpräsidenten Grafen Stürgkh und beim Minister des Innern Freiherrn v. Heinold in Angelegenheit der galizischen Flüchtlinge vorgesprochen und die bestimmte Erklärung entgegengenommen, dass die Regierung zeitgemäss die entsprechenden Massnahmen veranlassen werde, um die Rückwanderung der Flüchtlinge in ihr Heimatland durchzuführen.

(„Neues Wiener Tagblatt" z 29 października 1914).

Załącznik 4.

Były namiestnik Korytowski wychodźcą wojennym? Jak ściśle przestrzeganą jest przyjęta przez c. k. ministerstwo spraw wewnętrznych zasada wydalania z Wiednia wszystkich galicyjskich wychodźców, którzy przybyli po 10 grudnia z. r., dowodzi zabawna przygoda, która spotkała byłego namiestnika Galicji, c. i k. radcę tajnego, Ekscel. dra Witolda Korytowskiego, mianowanego świeżo kanclerzem żelaznej korony. Kiedy onegdaj przyjechał z Marienbadu do

Wiednia z żoną i zamieszkał prywatnie w jednej z pensyj wiedeńskich, zjawił się zaraz zwabiony polskiem nazwiskiem i przynależnością do Galicji, agent policyjny i całkiem serjo wezwał Ekscel. Korytowskiego wraz z małżonką do opuszczenia Wiednia. Śmiejąc się, wytłomaczył nasz były namiestnik gorliwemu urzędnikowi, że pomimo, iż jako namiestnik galicyjski, a więc w charakterze urzędowym, do Wiednia już więcej nie przybywa, zaszczytną nominację na wychodźcę wojennego odrzucić musi i że go zatem wydalenie nie dotyczy.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 1915).

Załącznik 5.

Wydalenie z Wiednia. Dnia 7 marca br. przyjechała do Wiednia p. Marja K., żona adwokata dr. Z. K. z Krakowa, pełniącego służbę wojskową jako porucznik c. i k. armji od chwili wybuchu wojny. P. Marję K. zaskoczyła burza wojenna w Warszawie, gdzie bawiła u krewnych w odwiedzinach. Z wielkim trudem udało się jej uzyskać pozwolenie na powrót do Austrji i po czternastodniowej uciążliwej i niezwykle przykrej podróży zdołała dostać się przez Rumunję do Wiednia. Tutaj nie mogąc wracać do Krakowa z powodu zamknięcia twierdzy, a chcąc czas wyzyskać, zapisała się na kurs buchalterji. W lipcu br., po czteromiesięcznym pobycie otrzymała od policji tutejszej wezwanie do opuszczenia Wiednia. Zwróciła się do ministerstwa spraw wewnętrznych, potem do ministerstwa dla Galicji z usilną prośbą, żeby jej pozwolono pozostać w Wiedniu przynajmniej do ukończenia kursu buchalterji t. j. do dnia 23 sierpnia br. Pomimo wszystkie starania otrzymała wreszcie wezwanie z policji na 7 sierpnia br., gdzie jej oświadczono, że ministerstwo pozwolenia na pobyt w Wiedniu nie udzieliło. Wobec tego p. Marja K. zniewoloną była Wiedeń opuścić, wniosła jednak zażalenie do Trybunału państwa o naruszenie praw politycznych konstytucją zagwarantowanych wolności przesiedlania się, wolnego miejsca pobytu i zamieszkania.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 14 sierpnia 1915).

Załącznik 6.

Ustęp przemówienia Steinera o uchodźcach brzmiał:

„Weiters wäre durch eine Notverordnung Vorsorge zu treffen, dass alle nach dem 1. August 1914 aus Galizien und der Bukowina eingewanderten Flüchtlinge, nach ihrem früheren Aufenthaltsorte zurückbefördert oder anderswo gesiedelt werden. (Lebhafte Zustimmung)". Burmistrz odpowiedział: „Zu den von Dir heute vorgeschlagenen Maasnahmen, die ich als vollkommen gerechtfertigt anerkenne, hat der Stadtrath bereits teils Stellung genommen, teils werde ich sie veranlassen, um der Regierung entsprechende Vorschläge zu unterbreiten".

(„Reichspost" z 1 stycznia 1915).

Załącznik 7.

Najpoważniejszą obecnie troską Krakowa — to troska o los przymusowo ewakuowanej ludności naszego miasta. Z miejscowości, gdzie ewakuowanych umieszczono na przedłużający się niezmiernie okres trwania kryzysu wojennego, nadchodzą wieści nieraz nawet bardzo smutne — często wstrząsające grozą. Obca ziemia i ludzie nie zawsze okazywali wyrozumienie i współczucie dla naszej niedoli. To też nie brak w Krakowie objawów rozgoryczenia.

Zdarzyło się naprzykład, że do sali jednego z hotelów krakowskich wkroczył burmistrz Wiednia, dr. Weisskirchner, który w stosunku z wychodźcami naszymi w Wiedniu okazał pono szczególnie małą dozę gościnności. W jednej chwili szeptem przeszła po sali wiadomość o obecności Weisskirchnera i w jednej też chwili Weisskirchner pozostał przy stoliku — samiuteńki. Samorzutna ta a wymowna demonstracja nie będzie dlań może lekcją bez pożytku.

(„Kurjer Polski" — pismo wychodzące w czasie wojny w Morawskiej Ostrawie — z dnia 15 lutego 1915).

Załącznik 8.

Wiedeńczyk o korzyściach przypływu wychodźców do Wiednia. W sali Towarzystwa inżynierów i architektów w Wiedniu wygłosił dr. Fryderyk Leiter odczyt pod tytułem „Dobroczynność wiedeńska w roku wojny". W odczycie tym podniósł między innemi, że 50 do 55.000 wychodźców w Wiedniu, którzy się sami utrzymują, wydali najmniej 80,000.000 koron, przyjmując minimalny wydatek dzienny po 5 kor. od osoby, przy uwzględnieniu niezbędnego zakupna sukien itp. Łącznie z wychodźcami, którzy otrzymują zasiłek rządowy, wpłynęła w Wiedniu z pobytu wychodźców kwota zwyż 100,000.000 koron.

(„Nowa Reforma" z 15 marca 1915).

Załącznik 9.

Brutalny postępek. Piszą nam z Wiednia: Onegdaj skopał i pobił bez wszelkiej przyczyny chłopak roznosiciel gazety „Ostdeutsche Rundschau" mieszkającego przy ulicy św. Rafała w XX. dzielnicy 12 letniego chłopca Piątkowskiego z Krakowa, jedynie dlatego, że jest Polakiem! Szczególnie ta dzielnica odnosi się wrogo do wychodźców naszych, a bicie i wyzywanie „polnischer Hund" i t. p. epitety są na porządku dziennym.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 8 czerwca 1915).

Załącznik 10.

Przykry fakt. Pan W. K. urzędnik jednej z galicyjskich finansowych instytucji podaje nam do wiadomości następujące zajście: „Dnia 31 maja br. wsiedliśmy do tramwaju Nr. 80, rozmawiając po polsku o rzeczach prywatnej natury. Tym samym wozem jechało dwóch Wiedeńczyków z wyglądu i odzienia sądząc robotników lub stróżów kamienicznych. Jeden z nich usłyszawszy, że rozmawiamy po polsku,

począł czynić różne apostrofy do nas, słyszeliśmy jak z ust jego padały ustawicznie słowa „Flüchtlinge“, „Polen“ itd., treści jednak jego rozmowy nie rozumieliśmy, gdyż mówił skrajnym djalektem wiedeńskim. Zachowywaliśmy się dalej wobec niego obojętnie. Na rogu ulicy Erdbergerstrasse obaj Wiedeńczycy wysiedli. Jeden z nich wysiadając, zwrócił do nas zaciśniętą pięść, mówiąc: „Sie verfluchte polnische Hunde“. Czując się obelgą boleśnie dotknięci, wysiedliśmy za nim z tramwaju i zażądaliśmy, by nam podał swe nazwisko. Gdy tego uczynić nie chciał, poszliśmy za nim. Spotkawszy po drodze policjanta Nr. 983, poprosiliśmy go, by zażądał od owego napastnika nazwiska, gdyż zostaliśmy przez niego obrażeni i chcemy szukać zadośćuczynienia na drodze sądowej. Na to tenże podniesionym głosem i niegrzecznie do nas się odezwał: „Das geht mich gar nicht an, das ist eine Privatsache, übrigens gehen Sie auf die Wachstube, dort wird man Ihnen helfen“.

(„Wiedeński Kurjer Polski“ z 9 czerwca 1915).

Załącznik 11.

Z doli wychodźców polskich. Z miejscowości Maschan, w Czechach, donoszą o następującym oburzającem zajściu: Dnia 5 bm. wieczorem w Rynku na trzech spokojnie przechodzących wychodźców polskich, pp.: Józefa Holendrę, teologa, Ludwika Kremera, artystę teatru i Artura Prędskiego, literata, napadło znienacka około dwudziestu tęgich, muskularnych pachołków i wśród przeraźliwych okrzyków, z których rozróżnić było można np.: „verfluchte Polen! Elendes Volk! Die Polaken!“ itd. rozpoczęli bójkę, która na szczęście natychmiastową interwencją żandarmerji zakończyła się szybko. Panu Prędskiemu dostało się kilka namacalnych epitetów ze strony napastników, z których kilku ujęto. Sprawę oddano sądowi.

(„Rodak“ Nr. 35 z roku 1915).

Załącznik 12.

Z OSAD WYCHODŹCZYCH.

Bregencja, w sierpniu.

Wychodźtwo galicyjskie w Bregencji, siedzibie władz naczelnych tego kraiku koronnego, pod życzliwą opieką starosty hr. Thuna oraz jego zacnej małżonki, nie jest narażone na wrogie zachowanie się ludności miejscowej, złożonej przeważnie ze sfer urzędniczych, a więc ludzi inteligentnych, mogących zrozumieć i odczuć cały tragizm naszego narodu. Nie tak jednak dzieje się w pobliskiem Hard. Ludność tej wsi składa się przeważnie z samych chłopów, uprawiających ogrody warzywne i sady, wypasających swoje krowy, lub trudniących się rybołowstwem na jeziorze Bodeńskim. Około 80 rodzin galicyjskich, osiadłych tu od września ub. r., od samego początku narażonych jest na nieprzyjemności ze strony tych, którzy raczej powinni być wdzięczni chwilowym przybyszom, posiadającym pensję i gotówkę, co daje utrzymanie i przysparza dochodów licznym sklepom i „gasthausom“. Skąpo licząc, najmniej pół miljona koron zostawili dotychczas wychodźcy w kieszeniach tubylców.

Znęcanie się nad wychodźcami w postaci rzucania kamieniami za dziećmi, a nawet kobietami, szczucie psami, lekceważenie przy zakupnie towarów jest na porządku dziennym. Oprócz tego daje się we znaki brak najprymitywniejszych artykułów żywności; chleb ze stęchłej kukurydzianki jest rozsadnikiem chorób żołądkowych, drożyzna tak znaczna, że np. świeżo w dziennikach pomieszczona taryfa maksymalna we Lwowie wywołuje zachwyt u wychodźców. Starano się tym anormalnym stosunkom zaradzić przez wnoszenie skarg do „władzy" miejscowej, lecz trudno.

Koroną martyrologji wychodźczej jest, jak nam z kompetentnego źródła z Hard donoszą, wypadek, jaki przydarzył się nauczycielce p. L. Dnia 10 lipca została owa nauczycielka, ucząca w polskiej szkole, nie mogąc znieść lżenia i maltretowania uczniów galicyjskich, za grzeczną uwagę, by nie „szympfowano" na Galicjan, pobitą żelazną laską przez miejscowego chłopa tak dotkliwie, że otrzymała ranę 3 cm. długą a 1 cm. głęboką w czoło nad lewem okiem. Ranę musiał lekarz zeszywać. Przypadkowi tylko zawdzięczyć należy, że całe zajście nie przybrało dalszych tragicznych konsekwencji. Pobita nabawiła się z przestrachu choroby nerwowej. Sprawa cała poszła do sądu bregenckiego. Posłowie parlamentarni zostali o całem zajściu zawiadomieni.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 17 sierpnia 1915).

Załącznik 13.

Księżna Gabrjela Windisch-Gretz ofiarowała względnie wysłała 8 krów dla osady barakowej choceńskiej, przeznaczając mleko dla dzieci i starców. Gdy się jednak okazały trudności z wyżywieniem tych krów, uzbierała księżna znaczniejszą kwotę na ich utrzymanie. Pierwszy złożył na ten cel Najjaśniejszy Pan kwotę 2000 kor.

(„Głos Narodu" z 14 października 1915).

Załącznik 14.

Szlachetna hrabina. Dwoje niemowląt: Józio Mandulski i Paula Grabowska znalazły się nagle na tułaczce w Styrji sierotami, bo matka Józia umarła, a matkę Paulińki oddano do szpitala obłąkanych. Dowiedziawszy się o tem hr. Marja Herberstein-Proskau, która właśnie oddała na mieszkanie uchodźców polskich zamek Wurmberg w Styrji, pospieszyła natychmiast sierotom z pomocą i karmiła je własną piersią, obok swojego synka przez przeszło 4 miesiące. Jest to czyn, za który należy się tej dostojnej niewieście cześć i szacunek.

(„Lud Katolicki" z 9 stycznia 1916).

Załącznik 15.

DOLA WYCHODŹCÓW W STYRJI.

Pobrela pri Cilju — Styrja, w marcu.

W tutejszej miejscowości słowiańskiej w południowej Styrji, ochrzczonej na Heilenstein, mieszka około 400 Polaków, mniejsza

część mieszka sposobem barakowym [1]), inni prywatnie. Pobyt jednak tej kolonji zakłócają od czasu do czasu wieści, że zostaną przeniesieni gdzieindziej, co tem bardziej straszy ludzi, że już niektórzy porobili jakie takie zapasy, a nie wie się, jak władza zrozumie to słowo: „Flüchtling" — ciągle jeszcze używane.

Obawy są uzasadnione, gdy przy tutejszej kasie kolejowej taki wywieszono telegram urzędowy c. k. starostwa w Cilli z 27/2: „An galizische Flüchtlinge dürfen über Auftrag der k. k. Bezirkshauptmannschaft Cilli nur dann Fahrkarten ausgegeben werden, wenn sie sich mit einer Fahrbewilligung der k. k. Bezirkshauptmannschaft Cilli ausweisen können. Scheitz mp.". Rozporządzenie to jest bardzo dziwne. Powinno było być przedtem ogłoszone w gminie i podany termin do wyrobienia sobie legitymacji.

Gdyby ten telegram był ogólnie wydany, możnaby to tłumaczyć jakiemś zarządzeniem sanitarnem, albo jakiejś głębszej natury, jak to było w Galicji, gdy po zajęciu naszych strategicznych pozycji przez nasze wojska zwycięskie, musieliśmy mieć takie legitymacje. Myślę, że p. starosta chce tylko dokuczyć Polakom, bo ten rozkaz wyłącza nawet od jazdy Polaków, mających legitymacje urzędnicze kolejowe, więc nie będących na strawnem c. k. rządu.

Jeśli starosta na polecenie władz wyższych to zarządził, to może nasze reprezentacje w Wiedniu zdołają znaleść drogę do tych władz, by wydawały rozporządzenia w jakiś oględniejszy sposób.

Malski Adam, c. k. prof. gimn., Przemyśl Zasanie.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 5 marca 1915).

Remonstrowałem przeciwko temu zarządzeniu w prezydjum namiestnictwa w Grazu. Otrzymałem zawiadomienie z 20 marca 1915 o uchyleniu go.

Załącznik 16.

Z doli naszych wychodźców. „Wiedeński Kurjer Polski" z datą wczorajszą przynosi następującą informację:

„14 bm. przejeżdżał przez Wiedeń do Bruck nad Murem pociąg z polskimi wychodźcami. Zatrzymał się na tutejszym dworcu kolei północnej przeszło 20 minut. Pociąg ten składał się z dziesięciu wagonów towarowych, w których pomieszczeni byli nasi wychodźcy, przeważnie kobiety i dzieci. Jechali już pięć dni i pięć nocy. Po drodze dostawali tylko herbatę i chleb i cieszyli się niezmiernie na myśl, że w przejeździe przez stolicę państwa będą mogli nareszcie pożywić się trochę lepiej i rozprostować nieco, znużone długą podróżą kości. Tymczasem tutaj otoczono pociąg kordonem policyjnym i wojskowym i pomimo próśb i błagań, nie pozwolono się nikomu wydalić".

---

[1]) Dzieje osady barakowej w Heilenstein opisał urzędnik namiestnictwa w Grazu, W. Burghauser w broszurze p. t. „Zwischen zwei Zügen", wykazującej pewną znajomość stosunków i życzliwość dla uchodźców. Czy stosunki w osadzie były tak idylliczne, jak to przedstawił jej były kierownik, niewiem. W każdym razie nie było stamtąd zażaleń.

W dalszym ciągu „Kurjer Polski" wzywa Polonję wiedeńską do zaopiekowania się wychodźcami na dworcach, choćby przez podanie im ciepłej strawy i udzielenie pierwszych potrzebnych informacyj.

(„Nowa Reforma" z 18 listopada 1914).

Załącznik 17.

Z DOLI TUŁACZEJ.

Wiedeń, 22 listopada.

O wielkich masach tułaczy galicyjskich, znajdujących się poza Wiedniem i rozmieszczonych w różnych krajach koronnych w barakach specjalnie zbudowanych, krążą formalne legendy i dlatego postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia posłów drów Kolischera, Löwensteina i Raucha i razem z nimi udaliśmy się do Nikolsburga, miasteczka najbliżej Wiednia położonego, aby oglądać tamtejsze baraki i na własne oczy przekonać się o stosunkach tam panujących.

Nie żałujemy trudów i przykrości z taką wycieczką połączonych i apelujemy do wszystkich, zajmujących się sprawami publicznemi i interesujących się losami owych nieszczęśliwych obywateli, aby zwiedzili różne baraki, gdyż tylko w ten sposób można będzie ustalić braki panujące i je usunąć.

Najodpowiedniejszem byłoby jednak **zerwać z całym systemem barakowym,** jako zupełnie nieodpowiednim i niewłaściwym pod względem sanitarnym, społecznym i moralnym, a jak przykłady uczą, także ze stanowiska finansowego niepraktycznym.

Przypatrzmy się teraz barakom w Nikolsburgu:

Na pagórku, z którego roztacza się piękny widok na „świętą górę", kilka kilometrów od Nikolsburga oddalonym, powstało nowe miasto, a raczej gniazdo nędzy, brudu i przymusowego próżniactwa. Są to baraki, wybudowane przez rząd kosztem **pół miljona koron** dla 6.000 wychodźców, którzy opuścili miasta rodzinne z powodu wypadków wojennych. Dowiedziawszy się o tak znacznych kosztach budowy, spodziewaliśmy się znaleść budynki, urządzone rzeczywiści na mieszkania dla ludzi, ale rozczarowanie było gorzkie. O wygodach oczywiście nie ma mowy, ale brak wszelkiej czystości, światła i powietrza w tym baraku, a właściwie magazynie, napchanym ludźmi, zamiast workami. Aby nas nie posądzono o przesadę, przytaczamy opis takiego baraku podług memorjału, wręczonego przez posłów wyżej wymienionych ministrowi spraw wewnętrznych bar. Heinoldowi.

„Obóz barakowy składa się z 16 baraków — czytamy w memorjale — a każdy barak dzieli się na dwie hale, z których każda przeznaczoną jest dla 200 osób. W halach nie ma żadnego przedziału, natomiast dla uzyskania miejsca na ulokowanie 200 osób podzielono ją na „trzy piętra". „Pierwsze pietro" to podłoga, na której rozłożone są sienniki, jeden przy drugim, w grupach po 10, jedna grupa przy drugiej, na około całej hali. Nad głowami wychodźców tutaj „mieszkających" znajduje się w wysokości mniej więcej jednego metra „drugie piętro", dostępne drabiną, a nad mieszkańcami „drugiego piętra" widzimy „trzecie piętro". Nikt z szanownych czytelników nie widział jeszcze takiego mieszkania ludzkiego...

Zaczynamy rozmowę z wychodźcami. Są to wyłącznie Żydzi i ich rodziny w różnym wieku i z różnych warstw społecznych: Żydzi ortodoksyjni t. zw. „chałatowcy", postępowi, kupcy, właściciele realności, urzędnicy prywatni, nawet nauczycielki i studenci i typowe postacie „Lumpenproletarjatu". Wszystko to bezładnie „mieszka" w jednej i tej samej hali, siennik obok siennika, młode kobiety i dziewczęta jednej rodziny obok młodych ludzi innej rodziny, i nie mając żadnego zajęcia, leży dniem i nocą na słomie, od tygodni nie czyszczonej. Środkiem hali, gdzie ustawiony jest długi stół, kręci się kilkadziesiąt dzieci brudnych, na pół nagich i bosych.

„Jakże się Wam powodzi?" — pytamy. Przyznaję, że długi czas nie mieliśmy odwagi wystąpić z tem pytaniem. Wszak sami mogliśmy sobie dać odpowiedź. Ale biedni ludziska widocznie także nie mieli odwagi zrazu powiedzieć, co ich gniecie. Spostrzegliśmy szyderczy uśmiech na ich twarzach i żadnej nie słyszeliśmy odpowiedzi na nasze pytanie. Tylko jeden lokator barakowy wyrwał się z tłumu, obdarzył obecnego zarządcę baraków p. Krakauera komplementami i zapewnił, że „wszyscy są bardzo zadowoleni", poczem dodał: „Nic nam nie brakuje". W drugim i trzecim baraku powtórzyło się dosłownie to samo. Zawsze jeden i ten sam tylko wychwalał stosunki w barakach, aż wreszcie sprowokował opozycję. „Czemu pan zawsze gada? przecież pan tu nawet nie mieszka" — apostrofowano chwalcę, który powoli się usuwał.

Gdyśmy wyszli z baraków zbliżyły się do nas poszczególne grupy ze swemi życzeniami i żalami.

— Wracam właśnie z pod Przemyśla — woła pewien młody człowiek, — otrzymałem krótki urlop z powodu lekkiej rany i przyjechałem tutaj, gdzie zastałem matkę i siostrę młodszą w baraku wspólnym. Proszę w imię moralności o umieszczenie ich w osobnym baraku wyłącznie dla kobiet przeznaczonym.

Obecny komisarz barakowy, koncypista Engel, przyrzekł spełnić słuszne żądanie.

Zbliża się grupa kobiet i po wahaniu zaczynają:

— Proszę Panów posłów, my się już od 5 tygodni nie przebierały. Trudno się przecież rozbierać w hali przepełnionej do połowy mężczyznami. Możebyśmy mogły otrzymać przynajmniej jakiś kącik z firankami, aby od czasu do czasu garderobę zmienić. Spać musimy w sukniach, które nosimy od tygodni.

Notujemy tę aż nadto uzasadnioną prośbę i przyrzekamy starać się o jej spełnienie. Taką samą odpowiedź musieliśmy dać biedakom, proszącym o odzież, której brak zwłaszcza wobec zimy jest bardzo dotkliwy.

— A jak tam z wiktem? — zapytujemy.

— Wikt jest dobry, — trochę za mało.

Rano dostaje każdy wychodźca $1/4$ litra mleka i wielką porcję chleba, na obiad zupę i chleb a na kolację tylko kawał chleba. Dzieci otrzymują także wieczorem mleko, a dwa razy w tygodniu dostają wychodźcy na objad prócz zupy także kawałek mięsa.

Jest to wikt zupełnie niedostateczny, i nieodpowiadający wcale tej kwocie, którą rząd wyznaczył na ten cel.

(„Nowa Reforma" z 28 listopada 1914.)

Załącznik 18.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Przyjechałem już z Mamą do Gaya. Wynająłem mały pokoik za 30 K. i zamyślamy prowadzić gospodarstwo, gdyż inaczej nie można absolutnie wyjść. Ludność tutejsza jest nieprzychylnie usposobiona dla uchodźców, zwłaszcza Żydów, tak dalece, że ja wszędzie, gdzie pytałem się o mieszkanie, musiałem akcentować, że nie jestem Żydem. W mieście samem jest dość dużo rodzin żydowskich (parę z Tarnobrzega) w barakach jest 2000 Żydów. Ma przybyć jeszcze około 1000, zwłaszcza z Galicji. Baraki są odległe od Gaya przeszło 3 klm. W barakach (jest ich 14, ale jeszcze się będzie budować) panuje wielka nędza: nieczystość, różne robactwo i t. d. Jest tu przydzielony jeden lekarz, dopiero z igły zdjęty, nadto student medycyny. Prowizoryczny szpital podobno ma tylko około 40 chorych. Wstęp wzbroniony, nie widziałem więc chorych. Natomiast bardzo dużo się zgłasza do lekarza chorych. Dzieci na ogół źle wyglądają.

Nowy zarządca, który jest tu coś od miesiąca, zaprowadza ład. Poprzedni ustąpił z powodu „niewłaściwości". W barakach odżywia zarządca ludzi na rachunek starostwa. Żywność jest na ogół dobra, n. p. śniadanie: kawa z chlebem, obiad: zupa, mięso, ziemniaki, kolacja: herbata z rumem, kasza.

Z Tarnobrzeskiego są tu ludzie.

Spotkałem Haarową, żonę syna starszego Haara. Ta prosiła mnie, aby się mogła wydostać za wszelką cenę z 6-giem dzieci z baraków. Na wsi, gdzieby mieszkanie wynajęła, mając zapomogi rządowej 4 k. 90 h. dziennie, rzeczywiście mogłaby dobrze żyć. Mąż jej jest przy wojsku.

Prosiłem komisarza, aby jej dał zezwolenie na opuszczenie baraków. Tymczasem w ostatnich dniach nawet za świadectwem lekarskiem nikogo nie wypuszczają. W barakach wybuchła bowiem szkarlatyna — w tem już dwa wypadki śmiertelne Z tego i z innych powodów jest duże zaniepokojenie. Możeby tak Koliszer, albo który inny poseł tam zaglądnął.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania

Łącki, Gaya, Mähren, Bezirkshauptmannschaft.

Gaya 21/IV. 1915.

Załącznik 19.

EWAKUACJA KRAKOWA.

Kraków jest „ewakuowany"... Łatwo to stwierdzić przedewszystkiem już choćby na dworcu kolejowym, który przedstawia obraz, w niczem nie przypominający gorączkowego ożywienia, jakie tam panowało w dniach ostatnich. Ruch prawie żaden. Dorożka stoi przed dworcem jedna. Nie widać nawet tragarzy i posługaczy kolejowych. Z zajeżdżającego tramwaju wysiada dwóch—trzech pasażerów, zdążających do dworca; liczbę ich zrzadka pomnoży jaki pieszy przechodzień. Żandarmi i żołnierze uzbrojeni stanowią całą ludność stacyjnego gmachu.

Odjazd ostatnich pociągów.

Dzisiaj z dworca osobowego odszedł raniutko jeden pociąg, obsadzony bardzo słabo przez podróżnych. O godzinie 1 m. 14 odszedł drugi, służbowy, na jazdę którym potrzebna jest specjalna legitymacja komendy twierdzy. O godz. 6 m. 38 odejdzie trzeci i — ostatni.

Z dworca towarowego pociągi już nie odchodzą.

Ewakuacja pod bagnetami.

Pociąg ewakuacyjny odjechał dzisiaj ze stacji Podgórze-Bonarka, skąd jeszcze jeden odjedzie około godz. 4. Pociąg ten napełniony był ludnością najuboższą, której gromadki pod konwojem żandarmów i żołnierzy z bagnetami zdążały przez ulice Krakowa na Podgórze ze wszystkich stron: z gmin podmiejskich, Ludwinowa oraz Kazimierza. Mężczyzn szło tam mało; przeważnie dzieci i kobiety z niemowlętami, często choremi na rękach, dźwigając nędzne tobołki. Na twarzach przygnębienie, rozpacz lub łzy. Czy wiedzą, kiedy powrócą, co się stanie z ich dobytkiem, który, choć mizerny, całe ich mienie stanowił... Twarde prawo wojny nie zna miłosierdzia; nad te jednostkowe katastrofy wyższy jest interes twierdzy, która nie może mieć balastu, zawadzającego obronie...

Odcięcie od świata.

Druga arterja, łącząca Kraków ze światem zewnętrznym — poczta, taksamo jak kolej jest już prawie przecięta, w każdym razie podwiązana. W gmachu głównym niema już urzędników pocztowych, listonoszów i t. d. cywilnych. Stoją tylko żołnierze uzbrojeni w przedsionku, a w dalszych ubikacjach również wojskowi. Listów poleconych i t. p. nadawać nie można; telegramy tylko wojenno-urzędowe. Zresztą cicho i niemal pusto jest na gwarnej niegdyś poczcie.

Zamarłe miasto.

Tak samo jak zewnętrzne, tak i wewnętrzne życie miasta przycichło i zmieniło charakter. Zwłaszcza wpłynęło na to zarządzenie komendy twierdzy co do zamknięcia sklepów i składów. Zupełnie niezwykły to widok w dzień powszedni. Zapuszczone żaluzje, zamknięte drzwi magazynów przypominają dzień świąteczny, czemu jednak przeczą zaraz zupełne pustki na ulicach i Rynku. Zamknięte jest literalnie wszystko: restauracje, sklepy galanteryjne, handle artykułów żywności, biura techniczne, apteki. Na chodnikach przed niemi nie widać ludzi. Nie ma także ruchu pojazdów cywilnych. Tylko od czasu do czasu głucho dudnią w ulicach przejeżdżające wozy i transporty wojenne, kuchnie polowe itd., klamcają rozgłośnie kopyta koni oddziałów kawalerji. Grupami stoją lub przechodzą również piesi żołnierze. Wszędzie słowem, na Rynku i ulicach, w całym zewnętrznym wyglądzie miasta przeważa żywioł wojskowy. Krakowianie cywilni, jakby czując, jak ich rola staje się obecnie minimalną,

siedzą cicho po domach, czekając co bieg wydarzeń przyniesie. Oby po tych dniach przygotowań przyniósł wieści radosne, a nadewszystko spokój, oddalenie się grozy wojny od cichych murów starego podwawelskiego grodu.

(„Nowa Reforma" z 12 listopada 1914).

Załącznik 20.

Przymusowa ewakuacja Krakowa. C. i k. Komenda twierdzy wydała dziś rozporządzenie, mocą którego każdy właściciel domu, w którym znajdują się niezaprowiantowani mieszkańcy, zostanie ukarany natychmiast ściągalną grzywną w wysokości od 50 do 500 K., a odnośni mieszkańcy siłą przez wojskowość poza obręb twierdzy wyprowadzeni.

(„Ilustrowany Kurjer Codzienny" z 11 listopada 1914).

Załącznik 21.

CHOCEŃ — POLSKIE MIASTO W CZECHACH.

Choceń liczy przeszło 5 tysięcy mieszkańców, leży w powiatowym okręgu Wysokie Myto, w ślicznej górskiej okolicy nad cichą Orlicą, na linji kolejowej Wiedeń—Brno—Praga. Miasto czyste, zamieszkałe wyłącznie przez Czechów.

Obok czeskiego Chocenia wyrosło jakby drugie miasto, ludniejsze, bo liczące 22 (?) tysiące mieszkańców. To kolonja polska, słynne już „barakowe miasto w Chocniu".

U stóp góry, pokrytej lasem nad Orlicą, stanęło w krótkim czasie 37 baraków; każdy mieści 530 osób. Kto pierwszy poddał myśl stawiania baraków dla ludności, zbiegłej z kraju, trudno dojść, ale dziś już wszyscy przyznali, że nie była to myśl szczęśliwa; teraz rzecz jest nie do odrobienia. Gdyby w pierwszej chwili poważnie wystąpiono przeciw umieszczaniu ludzi w barakach, łatwo byłoby zarzucić ten plan, ale nie było komu tego poruszyć. Piszący te słowa był w listopadzie w Choceniu, kiedy już na dobre wrzała praca nad wykończeniem baraków, uznawał wielkie braki i złe skutki systemu barakowego, ale zarazem widział, że wstrzymać się roboty nie da. W ostatnich dniach wniósł poseł Lasocki memorjał w sprawie baraków do ministerjum spraw wewnętrznych i domagał się, by rząd baraki obrócił na koszary [1], a ludność rozsiedlił po wioskach. Ale to już zapóźno — starać się raczej trzeba, by usunąć braki i niedostatki systemu barakowego i ludność uchronić od szkód fizycznych i moralnych, jakie z konieczności płyną z mieszkania i pożycia w barakach.

W tym celu wyjechał do Czech ks. prof. dr. Józef Kaczmarczyk, by i w namiestnictwie i w Wiedniu poczynić pewne propozycje i przedstawienia. Żądania jego streszczały się w następnych punktach: o wybudowanie paru sal na ochronkę i mieszkanie dla Sióstr

[1]) Proponowałem użycie baraków dla jeńców, którzy jako ludzie przyzwyczajeni do niewygód wojennych, prędzejby tam mogli wytrzymać, jak kobiety i dzieci.

Służebniczek, które do Chocenia przybyły, wybudowanie paru sal na zebrania dla mężczyzn i dla kobiet, by nie musieli cały dzień przebywać w gnijącym powietrzu barakowem, zbudowanie osobnego baraku dla inteligencji, zbudowanie dużej kaplicy i mieszkania dla księży, otwarcie szkoły, urządzenie pracowni, w rodzaju szwalni etc. Sprawa nie szła gładko — dopiero dzięki staraniom prof. dra Górskiego, który w tym celu osobną napisał odezwę, księżnej Marji Lubomirskiej, sprawa poszła naprzód i już niebawem będzie urzeczywistniona. Życie w obecnych barakach nie należy zaiste do przyjemności...

Przed kilku dniami zostało dokonane przez ks. Karola Słowiaczka poświęcenie kamienia węgielnego pod kaplicę, która będzie drzewną, dł. 30 m., szer. 18 m. Już zamówiony dzwon, organy, zegar na wieży. Koszta obliczono na 25 tys. kor. Niedługo zostanie otwartą bibljoteka, czytelnia; szkoła a zarazem ochronka będzie uroczyście otwartą po świętach.

Życie ciągłe w barakach i brak ochronki odbił się fatalnie na zdrowotności dzieci; umierają codziennie; nieraz w jednym dniu jest 5 pogrzebów. Pewien kapłan opisuje w ten sposób, jak się odbywają te pogrzebki naszych dzieci na obczyźnie: „Trzeba mieć silne nerwy i potrochu skamienieć, by na to patrzeć. Wyobraźcie sobie taki widok: W trupiarni na stołach leży pięć trumienek, w nich zwłoki dzieci, w tem dwaj braciszkowie. Grupka ludzi z kolonji i —zanoszące się od płaczu matki. Ksiądz pokropił, składają ich na jedne mary obok siebie. Na cmentarzu jeden wielki, prostolinijny dół — to mogiła polskiej dziatwy. Spuszczają trumienki i układają jednę obok drugiej, potęguje się szlochanie matek; istny obraz grottgerowski".

Na uznanie zupełne zasługuje działalność kierownika kolonji p. nadkomisarza Wallesa i jego żony; jemu też dużo zawdzięcza dojście do skutku budowa kaplicy, ochronki, sal i wystawienie małego szpitalika dla chorych.

Na św. Mikołaja urządziły panie pod przewodnictwem p. Miarczyńskiej z Krakowa „Mikołajka" dla dzieci; wypadło to dość udatnie. Dnia 8 grudnia odwiedziło barak parę pań z Konferencji św. Wincentego a Paulo z Pragi, przywożąc ciepłe ubranka dla dzieci. Na święta przygotowują „Jasełka"; ale smutne to będą święta dla tych wygnańców z domu i kraju swego. To też „Komitet krakowski dla niesienia pomocy ewakuowanym" choć w części osłodzi te przykre chwile, przesyłając bogatą gwiazdkę do Chocenia. Jest nadzieja, że w każdym baraku stanie choinka i odezwie się choć wśród płaczu i szlochań śpiew naszej polskiej kolędy. **X.**

(„Nowa Reforma" z 17 grudnia 1914).

Załącznik 22.

WYSOKIE PREZYDJUM KOŁA POLSKIEGO.

Klub parlamentarny P. S. L. po gruntownem rozważeniu spraw, potrzeb i klęsk nawiedzonego bezprzykładną wojną kraju i ludzi, zwraca się do Wysokiego Prezydjum z następującem oświadczeniem:

Podczas kiedy cały naród polski w Galicji, a w szczególności lud polski, zasila swymi synami z gorliwością i poświęceniem szeregi wojska, podczas kiedy ten Naród, ożywiony zapałem, wiedziony poczuciem wdzięczności do Monarchy i Państwa, oddaje swych synów, co jeszcze pozostali, jako ochotników w szeregi legjonów, kiedy na jego ziemi tocząca się wojna przynosi ze sobą całą swoją grozę, którą nasz kraj najwięcej odczuwa, a lud najbardziej cierpi, kiedy polskie pułki, wierne i nieustraszone po bohatersku walczą, a rodziny żołnierzy pozbawione dachu tracą mienie, tułają się, mrą z nędzy, zimna i chorób, kiedy w stosunku do innych krajów koronnych, oddaje nierównomiernie więcej usług Państwu, oddaje wszystko, swoje mienie i dobytek — spotyka Lud ten... haniebne i oszczercze posądzenie o zdradę.

Nazwę haniebną „polskich zdrajców" słyszy się tysiąckrotnie powtarzaną. Słyszy się twierdzenie, jakoby armja nasza znajdowała się w kraju wroga, widzi się ciągle, jak ten lud pada ofiarą praw wojny a często bezprawia, widzi się, jak ginie masowo na stryczkach, albo pod kulami własnych żołnierzy, a mienie ich bywa palone, najczęściej bez należytego zbadania, lecz na podstawie pozorów, posądzenia lub denuncjacji.

Wypędzeni z domów i osad ludzkich, kryją się i chronią w różnych miejscowościach i krajach koronnych, pędzeni tak często bez potrzeby, nie jak ludność własnego kraju, ale jak etap katorżników na Sybir, doświadczają praw wojny, stosowanych zwykle do nieprzyjaciela.

Matki odrywa się od dzieci, rodziny rozdziela się bez żadnego względu, nawet najpotrzebniejszych przedmiotów zabrać nie dozwalają.

W niektórych krajach koronnych spotykają się wygnańcy z niechęcią, głodem, chłodem i wzgardą.

U pozostałych w kraju przeprowadza się bezwzględnie ciągłe rekwizycje, zabierając ludowi prawie wszystko bydło, konie i paszę do ostatniego źdźbła, oraz wszystką żywność za bezcen a często za darmo, nie dając nawet potwierdzenia (kwitu) na to.

Podczas gdy w innych krajach rekwizycje są przeprowadzane bardzo względnie, za wszystko płacąc należyte ceny, chłop nasz musi być zadowolony, gdy prócz zabranego bydła, paszy i zboża (które, jeżeli było nie młócone, zostało zniszczone przez konie) nie utracił jeszcze życia.

Rodziny powołanych pod broń rezerwistów, pozbawione środków żywności przez rekwizycje, w powiatach środkowej Galicji, nie pobierają także zasiłków z ustawy im się należących, ani też nie otrzymują zapłaty za zabrane im bydło, produkty i sprzęty.

W wielu okolicach naszego kraju z powodu operacji wojennych nie mogły być zasiewy ozime wykonane, lub wykonane zostały tylko częściowo, w wielu okolicach zostały przez późniejsze operacje zniszczone. Z powodu zabrania lub zniszczenia prawie całego inwentarza żywego oraz martwego lud bez wydatnej pomocy rządu nie będzie w stanie dokonać zasiewów wiosennych, a następstwem tego byłby głód, który musiałby wywołać niemniej straszne od wojny na-

stępstwa. Z powodu niedbale pogrzebanych ciał ludzi poległych i zwierząt padłych, które pochowano za płytko, często tak mało przysypano ziemią, że ręce i nogi wystają, grozi z wiosną przy rozkładzie tych ciał zakażenie powietrza i wody. W zniszczonym doszczętnie kraju zapanować musi między ludnością głód a osłabione organizmy będą tem podatniejsze potem do szerzenia się chorób epidemicznych.

Ewakuowana ludność z Galicji, nie mniej robotnicy sezonowi, powracający z Niemiec, umieszczeni w barakach, wysyłani zostają przymusowo do robót przy szańcach w Serbji, powracają stamtąd zniszczeni na zdrowiu, przynosząc ze sobą rozmaite epidemiczne choroby.

Posłowie PSL. wzywają Prezydjum Koła, ażeby energicznie protestowało przeciw oszczerstwom i krzywdom, które Lud doznaje i przedstawiło Rządowi następujące żądania:

Następywały sformułowane na posiedzeniu Klubu żądania w sprawie najpilniejszych potrzeb ludności, wystąpienie przeciwko nadmiernym rekwizycjom, przeciwko barbarzyńskiemu sposobowi ewakuacji, złemu obchodzeniu się z uchodźcami itd.

Załącznik 23.

O POPRAWĘ DOLI NASZYCH WYGNAŃCóW.

O okropnej doli naszych wygnańców, których zawierucha wojenna na daleką obczyznę zapędziła, dowiadywaliśmy się pośrednio ze sporadycznych ech prasy i prywatnych wieści. Byli jednak tacy, co wzięli w opiekę tych nieszczęsnych rozbitków obecnych wypadków, którzy starali się przyjść im z ulgą i pomocą, którzy od pierwszej chwili przymusowej emigracji ludności naszego kraju, czuwali nad nieszczęśliwymi, starając się choć w części zmniejszyć i polepszyć ich ciężką dolę.

Pracownikami serdecznymi a cichymi są: panie krakowskie i za wielkoduszną inicjatywą księcia Biskupa — współpracownicy tychże — nasi księża. Zawiązawszy Komitet pomocy naszym „wygnańcom", grono naszych działaczek złączyło się w zbożnej pracy z kapłanami i zdziaławszy już wiele, postanowiło do dalszych trudów zachęcić ogół i powołać czynniki kompetentne.

To miało na celu obok sprawozdania wczorajsze zebrania obywatelskie, zwołane na sali Rady Powiatowej przez Komitet pomocy dla naszych „wygnańców". Zebranie zgromadziło licznie bardzo najpoważniejszych obywateli, panie i kapłanów, przybyli na nie arcybiskup Symon i ks. biskup Nowak, zarząd miasta reprezentowali pp.: wicepr. dr. rektor Kostanecki, wicepr. prof. Nowak i dr. Bandrowski.

Po zagajeniu zebrania przez p. Popielównę, zabrała głos sekretarka Komitetu redaktorowa Chołoniewska, zdając sprawę z jego czynności, długiej już, bo kilka miesięcy już trwającej, a wydatnej.

Ze sprawozdania tego dowiedziano się, jak gorąco przejęły się panie Komitetowe przyjętymi obowiązkami, poczynając od interwencji u różnych władz, dalej dyżurowania przy odjazdach „wygnańców"

na dworcach aż do stałej opieki zdala od nich, wyrażające się w zbieraniu dla „wygnańców" składek, datków w naturze i przesyłaniu tych na obczyznę. Szerszą dziedzinę, równie, a może nawet bardziej wskazaną, objęła moralna pomoc naszym „wygnańcom" przez stałe z nimi stosunki przeprowadzana. W tym celu z ramienia Komitetu i księcia Biskupa krakowskiego, serdecznego opiekuna „wygnańców" — wyjechał do głównej ich kolonji w Chocni w Czechach ks. Kasprzyk i po powrocie uwiadomił Komitet o potrzebach „wygnańców" i kierunku akcji, jaki okazał się koniecznym.

P. Siedlecka przedstawiła cyfry sum uzyskanych przez Komitet, który zebrawszy 7.660 K, wydał z tego 6.018 K na zapomogi doraźne dla wyjeżdżających, ubrania, gwiazdkę i t. p. przesłane do Chocni.

Referent zgromadzenia ks. L. Kasprzyk przedstawił zebranym okropne warunki życia naszych wychodźców w barakach w Czechach, gdzie jedynymi ich opiekunami byli wysłani przez księcia Biskupa kapłani, lecz których ingerencja łagodziła tylko pewne okropności, lecz nie zniosła zła, bo ono tkwi w zasadzie umieszczenia nieszczęśliwych w barakach, bez najprymitywniejszych wygód i urządzeń mieszkania ludzkiego. Straszne te warunki życia powodują wielką śmiertelność dzieci — po kilka tygodniowo, wśród starszych panują gorączki a nawet choroby zakaźne, których rozwojowi sprzyjają wilgoć, chłód i brud baraków.

Najlepiej stosunkowo powodzi się — według referenta — naszym wygnańcom w Krainie, gdzie tamtejszy ich opiekun ks. Lagosz zawiązał komitety lokalne, powiatowe i nawet centralny. Ten właśnie pomysł referent proponował przejąć, radząc, by do centralnego komitetu wstąpili nasi posłowie i osobistości wybitne, które swymi wpływami w Wiedniu mogłyby wyjednać poprawę tych stosunków.

W następnych przemówieniach przedstawiciele gminy prof. Nowak i rektor Kostanecki radzili zwrócić się z żądaniem do Namiestnika, Wydziału krajowego i Koła polskiego, w tym też duchu zapadła rezolucja zebrania.

W dyskusji nad rezolucją wypowiedział ks. Kraupa kilka ostrych, lecz słusznych słów pod adresem Prezydjum Koła polskiego i wogóle całego jego składu, z którego jeden tylko poseł Lasocki znalazł czas i ochotę zająć się losem naszych wygnańców. W sali odzywały się głosy: „nasi posłowie zajęci „wielką polityką", zapomnieli o swych wyborcach i braciach"... smutne głosy, ale niestety prawdziwe...

(„Głos Narodu" z 7 stycznia 1915).

Podobna, aczkolwiek mniej ostra krytyka w „Nowej Reformie" z 6 stycznia 1915 itd.

Załącznik 24.

W sprawozdaniu, złożonem na posiedzeniu Rady Naczelnej Polskiego stronnictwa ludowego, odbytem w listopadzie 1917 r. w Tarnowie, o działalności politycznej Klubu posłów PSL., przedstawił poseł Rey ustąpienie dra Lea z prezesury Koła polskiego, w sposób na-

stępujący: „Wprawdzie właśnie wtedy obsadzono ministerjum galicyjskie Zdzisławem Morawskim, jednak stało się to bez porozumienia z prezesem Koła polskiego i wbrew niemu. Ponadto rozwiązano Radę miejską w Krakowie, ażeby prezesowi Koła usunąć platformę polityczną. W tych warunkach Leo nie mógł być prezesem Koła, a tu musimy przypomnąć, iż spowodowali go do tego kroku posłowie ludowi: Angermann, Lasocki i Rey w ostrem wystąpieniu o niezwoływanie Koła'.

(„Sprawozdanie Klubu posłów Polskiego stronnictwa Ludowego z działalności politycznej za czas wojny od 28 lipca 1914 do 28 maja 1917", Kraków 1918, strona 14).

Załącznik 25.

UCHWAŁY KOŁA POLSKIEGO.

Wiedeń, 25 lutego.

Sekretarjat Koła polskiego komunikuje: Na posiedzeniu Koła polskiego, odbytem 23 bm., z wniosków politycznych, zgłoszonych przez grupę demokratyczną (referent poseł Krogulski) przyjęto w tekście ustalonym przez prezydjum Koła następujące:

I. Koło wyraża przekonanie, że należałoby zwołać parlament przynajmniej na krótką sesję wojenną.

II. Prezydjum Koła zwróci się do prezydenta ministrów i ministra sprawiedliwości z żądaniem uchylenia dzisiejszej niewłaściwej praktyki cenzuralnej.

III. Prezydjum odniesie się do rządu z przedstawieniem potrzeby uchylenia wyjątkowych praktyk, stosowanych wobec wychodźców galicyjskich w Wiedniu i innych miejscowościach, oraz ogłosi protest przeciwko enuncjacjom burmistrza Weisskirchnera i p. Steinera o wychodźcach galicyjskich.

(Dzienniki z 26 lutego 1915).

Załącznik 26.

POSTULATY KOŁA POLSKIEGO.

(Komunikat sekretarjatu Koła).

Wiedeń, 4 marca.

Na posiedzeniu Koła polskiego w dniu 23 lutego przekazano osobnym komisjom do załatwienia następujące wnioski:

Wniosek posła hr. Lasockiego imieniem posłów stronnictwa ludowego:

1) Poleca się prezydjum Koła wniesienie u rządu przedstawienia z protestem przeciwko nieznośnym pod każdym względem stosunkom, w jakich, zwłaszcza w pierwszych miesiącach swojego pobytu, wychodźcy nasi zmuszeni byli przebywać w barakach, dalej przeciwko przymusowemu zatrzymywaniu w barakach nawet osób posiadających dostateczne środki utrzymania, między innymi funkcjonarjuszy publicznych i t. p.

W szczególności nieuzasadnionem było ograniczenie swobody wielotysięcznej rzeszy robotników sezonowych, ludzi niepodejrza-

nych politycznie i posiadających środki do życia z zarobku uzyskanego w Niemczech i Danji, z których wielu, pochodzących z powiatów zupełnie niezagrożonych przez nieprzyjaciela, przewieziono do osad barakowych i zatrzymywano.

2) Polecamy prezydjum, by jak najenergiczniej zaprotestowało przeciwko wysyłaniu wychodźców z naszego kraju, wyludnionego wojną, do Serbji i okolic Węgier, w których się toczyły walki, dla spełnienia świadczeń wojennych.

Poleca się dalej prezydjum:

1) by wyjednało mieszkańcom gmin ewakuowanych dostęp do pozostałych tam jeszcze budynków i gospodarstw, a to dla wymłócenia zboża i zabrania stamtąd ruchomości i zapasów żywności, tudzież dla wiosennej uprawy swoich pól.

2) Celem ochrony wychodźców zechce prezydjum dołożyć starań około utworzenia centralnego komitetu opieki nad wychodźcami, w skład którego powołać należy reprezentantów Wydziału krajowego, Koła polskiego i duchowieństwa tj. czynników, które dotychczas się tą opieką zajmowały. Na wydatki biurowe tego komitetu, koszta podróży delegatów i doraźne zasiłki wyjednać należy odpowiednią kwotę od rządu, a dla delegatów komitetu pozwolenie zwiedzania osad barakowych [1]).

3) Przymus pozostawania w barakach należy ograniczyć do koniecznej potrzeby, a w zasadzie pozostawić wychodźcom, także tym, którzy pobierają zasiłek rządowy, swobodę obierania miejsca pobytu. Domagać się należy, by bezwarunkowo nie przymuszano do pobytu w barakach osób nie pobierających zasiłku i posiadających własne środki utrzymania, jak również, by im nie czyniono ustawowo zupełnie nieuzasadnionych trudności w ich czasowem osiedlaniu się; wreszcie, by nie rozdzielano przymusowo członków rodzin.

4) Osobom, pochodzącym z okolic niezagrożonych przez wroga, obecnie np. z powiatów wielickiego, bocheńskiego, limanowskiego i nowosądeckiego wyjednać należy powrót do domu; innym wychodźcom, a w szczególności robotnikom rolnym, pochodzącym z okolic, zajętych jeszcze przez nieprzyjaciela, pozwolenie udania się na roboty polne przedewszystkiem do Galicji, względnie do innych krajów koronnych.

5) Poleca się prezydjum, by wyjednało robotnikom naszym, którzy powrócili z Serbji, względnie rodzinom tych, którzy tam poginęli, wypłacenie należnych im kosztów utrzymania i wynagrodzenia szkody, jaką ponieśli, i by zastrzegło się jak najenergiczniej przeciwko wysyłaniu naszych wychodźców do Serbji lub Węgier.

6) Prezydjum zechce zwrócić uwagę rządu na wychodźców z naszego kraju, przebywających na Śląsku, również jak i na mie-

---

[1]) Niezamożni delegaci Komitetu Opieki nad uchodźcami i Wydziału krajowego pobierali zwrot kosztów podróży. Z posłów — posiadających karty wolnej jazdy — którzy zwiedzali osady barakowe, żaden nie żądał i nie pobrał zwrotu tych kosztów.

szkańców okolic zajętych przez wroga, którzy się schronili do powiatów zachodniej Galicji niezagrożonych i wyjednać dla nich udzielanie zasiłków.

7) Poleca się wreszcie prezydjum, by zażądało od rządu wykazu Polaków, pozostających w Thalerhofie, Steinklam i innych więzieniach dla osób politycznie podejrzanych i wyjednało uwolnienie tych ludzi, za którymi prezydjum uzna za wskazane się wstawić.

(Dzienniki z 4 marca 1915).

Załącznik 27.

KOMISJA KOŁA POLSKIEGO DLA SPRAW WYCHODŹCZYCH.

(Komunikat sekretarjatu Koła).

Wiedeń, 17 marca.

Wybrana na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego komisja dla spraw wychodźczych, ukonstytuowała się pod przewodnictwem posła Germana, wybierając zastępcą przewodniczącego p. Kędziora, a sekretarzem p. Rychlika. Referentem został wybrany poseł Lasocki, współreferentami pp. Godek i Rauch, pierwszy dla spraw urzędniczych, drugi dla spraw żydowskich. Komisja odbyła dotychczas 5 posiedzeń i rozwinęła żywą działalność, interwenjując bądź to bezpośrednio, bądź też za pośrednictwem Koła polskiego u władz centralnych. Już na pierwszem posiedzeniu przedłożono komisji bardzo obszerny materjał, składający się z licznych podań i zażaleń komitetów lokalnych, grup wychodźczych, dalej poszczególnych wychodźców z Galicji. Między innymi przesłał poseł Daszyński komisji cały szereg pism i telegramów, jakie otrzymał z różnych miejscowości Czech z prośbą o interwencję w sprawie tych wychodźców, którym starostwa poleciły udać się do baraków w Choceniu, a proszących o pozostawienie ich w dotychczasowych miejscach pobytu.

Celem omówienia tych wszystkich spraw, również jak i postulatów Koła polskiego w sprawie opieki nad wychodźcami zaproszono na posiedzenie komisji dnia 6 marca referenta ministerstwa spraw wewnętrznych radcę Marcheta. Na konferencji z tym referentem komisja uzyskała przyrzeczenie, że przesiedlanie wychodźców do baraków zostanie na przyszłość wstrzymane, dalej, że w barakach przeprowadzony będzie szereg ulepszeń, że podania o pozwolenie na powrót do powiatów na zachód i południe od Krakowa będą szybko i pomyślnie załatwiane, że ministerstwo porozumi się z innemi kompetentnymi czynnikami dla umożliwienia wychodźcom powrotu do innych powiatów przez wroga nie zagrożonych, jak na przykład wielickiego, bocheńskiego, nowosądeckiego i limanowskiego. Uzyskano dalej od rządu obietnicę użycia robotników polnych z Galicji, znajdujących się w barakach, do robót wiosennych przedewszystkiem w naszym kraju, względnie w innych krajach rolnych, zaś robotników przemysłowych, znajdujących się w barakach, do robót we fabrykach i innych zakładach przemysłowych w Austrji. Rząd zgodził się dalej wyjątkowo na pozwolenie dwu tysiącom robotników, znajdującym się w osadach barakowych, a w szczególności w Libnicy, na udanie się na roboty sezonowe do Danji.

Sprawa uzyskania podwyższenia zasiłku rządowego dla wychodźców w wysokości 1 korony dziennie dla osoby natrafiła na trudności, również jak i przyznanie zasiłków tym ofiarom wojny, które się schroniły do powiatów naszego kraju, niezagrożonych przez wroga, na Węgry i Śląsk. Wychodźcom takim, znajdującym się w okręgach t. z. „Etappenkommandos", nie przyznaje się zasiłków, przeznaczonych dla wychodźców. W Galicji rzeczą namiestnictwa będzie przyjść im z pomocą z ogólnych funduszów zapomogowych, o co się już komisja do namiestnika zwróciła. Z Węgier i Śląska następuje przesiedlanie wychodźców do zachodnich krajów austrjackich.

Uzyskano dalej od rządu zezwolenie na osiedlanie się wychodźców w całym szeregu miejscowości, zniesienie nieuzasadnionych a dla wychodźców przykrych zarządzeń, jak np. omawianego już w prasie rozporządzenia starostwa w Cylei, zabraniającego sprzedawania wychodźcom kart kolejowych bez specjalnego pozwolenia ze strony starostwa, otrzymano obietnicę poprawy wiktu w barakach, w szczególności na zbliżające się święta wielkanocne i t. p. Do ważniejszych koncesyj rządu w sprawach wychodźczych należy zobowiązanie się rządu do zwrotu z funduszów państwowych wydatków Wydziału krajowego, poniesionych w celach opieki nad wychodźcami, tudzież przyznanie prawa delegatom Wydziału krajowego zwiedzania baraków i innych osad wychodźczych i współdziałania z organami rządowymi w pieczy nad wychodźcami z Galicji. Wobec tego stanu rzeczy jest nadzieja, że Wydział krajowy rozpocznie energiczniejszą działalność i stworzy osobne biuro dla zajęcia się ochroną interesów blisko miljona mieszkańców naszego kraju, znajdujących się obecnie na wychodźtwie.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 17 marca 1915).

Załącznik 28.

PISMO DO PREZYDJUM KOŁA POLSKIEGO.

Wysokie Prezydjum!

Podpisani wychodźcy polscy przedstawiamy do łaskawego załatwienia następującą skargę a zarazem prośbę:

Mieszkamy w miasteczku czeskiem Nove Straseci, które nam wyznaczono na pobyt. Stanowimy kilka rodzin z okolicy Tarnowa i Ropczyc. Przy pomocy zapomogi rządowej, własnej gotówki lub dochodów stałych, jak również życzliwości miejscowych czynników egzystujemy tu od czterech miesięcy, z utęsknieniem oczekując chwili powrotu w ojczyste strony.

W ostatnich jednak dniach dowiedzieliśmy się, że na podstawie rozporządzenia władz centralnych wszyscy Polacy z powiatu, w którym mieszkamy, pobierający zapomogę rządową zostaną przymusowo przesiedleni do baraków w Chocni. Łatwo zrozumieć, że ta hiobowa wieść wywołała u wszystkich przerażenie i lęk przed osławionem piekłem wychodźców polskich. Postanowiliśmy bronić się przed tem nieszczęściem, sądząc, że ewentualnie lepiej głodować tu na wolności, niż tam w niewoli w siedlisku nędzy i chorób wszelakich.

Starosta powiatu tutejszego, do któregośmy się zwrócili, przyznając rację naszym argumentom, zajmuje stanowisko niezdecydowane i powołuje się na rozporządzenie, mimo, że wielu z nas chce się zrzec dotychczasowej zapomogi pod warunkiem pozostania na miejscu, albowiem w kolonji naszej znajduje się wiele kobiet i dzieci, co tem więcej przerazić musi przed Chocnią. Nadto zauważyć należy, że kolonja tutejsza, choć nieliczna, składa się przeważnie z ludzi inteligentnych, którzy albo nigdy fizycznie nie pracowali albo pracować nie umieją, albo wogóle do pracy fizycznej nie są zdolni. Mimo to ci, którzy są zdolni do pracy już od dawna pracują w sąsiedniej kopalni węgla a niektórzy pójdą jeszcze do lżejszych robót polnych.

Przymusowe przesiedlanie do Chocni takich ludzi przedstawia się tedy jako jakaś bezmyślna złośliwość, zwłaszcza, że ludzie ci chcą ewentualnie rezygnować z dotychczasowej zapomogi, byle tylko pozostać na miejscu. A to prześladowanie — bo trudno inaczej to nazwać, jeżeli przyjmiemy, że postępowanie takie polega na jakiejś myśli rozumnej — dokonuje się w tym samym czasie, kiedy w innych krajach rozciąga się prawo do pobierania zapomogi na uchodźców, którzy z niego jeszcze nie korzystali, kiedy burmistrz miasta Pragi apeluje do właścicieli domów, aby odstępowali do użytku uchodźców wolne mieszkania i kiedy Nasza Szanowna Reprezentacja Narodowa domaga się słusznie podwyższenia zapomogi na 1 k. dziennie.

Wobec tego trudno się dopatrzeć logicznej lub praktycznej myśli w odnośnem rozporządzeniu władz, pomijając, że ono narusza zasadnicze prawa obywatelskie o wolności przesiedlania się.

Bo dlaczego ludzie, którzy przyzwyczajeni są do innych lepszych warunków życiowych, dlaczego kobiety i dzieci polskie mają pleśnieć i tracić zdrowie w nędznych barakach choceńskich, gdy tu przy najskromniejszej zapobiegliwości mogą egzystować, być może, że już niezbyt długo. Dlaczego ludzie inteligentni, dla których wolność osobista jest najświętszem dobrem, w tych tak strasznych czasach, mają być pozbawieni nawet wolności osobistej, w choceńskich kaźniach, dlaczego rozpaczne myśli i gorąca tęsknota za ojczystym krajem, które im tu mózg i serce trawią, mają ich tam dobijać. Dlaczego wreszcie najnieszczęśliwsza z nieszczęśliwych ludność polska ma być traktowana i poniewierana jak bydło bezbronne?

Z pełną wiarą, że nasz głos serdeczny będzie wysłuchany zwracamy się do Wysokiego Prezydjum naszej Reprezentacji Narodowej z gorącą prośbą o jak najspieszniejszą interwencję u odnośnych władz centralnych, aby

1) pozostawiono nas w dotychczasowych miejscach pobytu, a w miarę potrzeby udzielano dotychczasowej zapomogi rządowej także i nadal —

2) ewentualnie, na wypadek, gdyby żądanie ad 1) nie dało się utrzymać, aby pozostawiono w dotychczasowych miejscach pobytu przynajmniej tych ludzi, którzy się zrzekną zapomogi rządowej.

Czynniki miejscowe, proszone przez nas o pomoc, odsyłają nas do naszej Reprezentacji parlamentarnej. Tak tedy czynimy w nadzieji, że nasza władza narodowa uczyni skutecznie zadość naszej serdecznej prośbie.

Nove Straseci u Kladna dnia 16 marca 1915.
Ludwik Paszyński z rodziną, geometra cywilny z Dąbrowy koło Tarnowa. Franciszek Dutkiewicz z rodzeństwem, kandydat notarjalny z Ropczyc. Józef Targoń, seminarzysta. Zdzisław Elterlein z rodziną, c. k. oficjał podatk. Nowosielski K., absolwent szkoły przemysłowej, były legjonista. Władysław Truczka, prawnik.

(Wiceprezes Kędzior i ja interwenjowaliśmy 19 marca 1915 w ministerstwie spraw wewnętrz. i otrzymaliśmy przyrzeczenie, że się pozostawi tych uchodźców na miejscu z zasiłkiem rządowym).

Załącznik 29.

† **S. p. Adolf Walles,** kierownik baraków wygnańczych w Choceniu zmarł tamże w dniu 25 marca br. w 46 roku życia. Śp. Walles przez 5 miesięcy spełniał ciężkie obowiązki, przywiązane do urzędu kierownika baraków. Spełniał te obowiązki z nadzwyczajną sumiennością i z uwzględnieniem rzeczywistych potrzeb wygnańców. Jako Polak odczuwał położenie wygnańców polskich i był ich szczerym przyjacielem i orędownikiem. Pełniąc swój ciężki urząd nabawił się choroby, z którą spoczął na wieki wśród polskich mogił na cmentarzu w Choceniu. Cześć pamięci zacnego człowieka.

(„Głos Narodu" z dnia 30 marca 1915).

Załącznik 30.

Choceń, 2 kwietnia 1915.

Przestrzega się mieszkańców tutejszych baraków przed zakupywaniem chleba, pieczywa we Wysokiem Mycie.

Ponieważ bardzo wielu mieszkańców z tutejszych baraków udaje się do Wysokiego Myta w celu zakupna chleba, przeto c. k. Starostwo [1]) w Wysokiem Mycie wydało nakaz aresztowania kupujących i dostawienia ich do c. k. Starostwa, gdzie będą surowo za przekroczenie niniejszego zakazu karani.

Naczelnik c. k. Baraków Dr. Blaha, c. k. Radca Namiestnictwa.

Nadto ogłoszono w języku czeskim w Chocni i w Wysokiem Mycie zarządzenia burmistrzów, któremi zabroniono handlarzom sprzedaży chleba i wyrobów mącznych mieszkańcom baraków. — Kupcy, nie mogąc oczywiście rozróżnić, kto był mieszkańcem baraków, a kto zwykłym uchodźcą, odmawiali sprzedaży wszystkim Polakom.

Załącznik 31.

List do posła Lasockiego.

Dnia 1 kwietnia 1915.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Dnia 30 marca br. otrzymałem korespondentkę, za którą najserdeczniejsze składam podziękowanie.

---

[1]) Starosta Cesany, późniejszy kierownik osady choceńskiej.

Niestety dotychczas jeszcze nie została zwolniona moja rodzina z baraków. Dnia 28 marca br. umarła mi najmłodsza córka, a list, który otrzymałem od mej żony dnia 1 kwietnia donosi mi, że prawdopodobnie dwoje młodszych dzieci będą musiały zejść z tego świata. Także moja żona jest bardzo chora. To jest los mej nieszczęśliwej rodziny, wydartej z miejsca pobytu w czasie rekonwalescencji.

Panie Hrabio! Wierzę, że tylko energiczna interwencja Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego może uchronić moją rodzinę od zupełnej zagłady — dlatego zwracam się z usilną powtórną prośbą o interwencję w Ministerstwie lub Namiestnictwie w Pradze o jak najszybsze załatwienie i uzyskanie zezwolenia na wyjazd.

W nadzieji, że Pan Hrabia przychyli się do mej prośby, kreślę się z najgłębszem uszanowaniem

Piotr Jasiński,
Landwehrinfanterieregiment, Ersatzbataillon, Feldpost 186.

(Pomimo moich interwencji rodzina ta i następne zostały dopiero zwolnione z okazji pobytu namiestnika w osadzie choceńskiej).

Załącznik 32.

List do posła Lasockiego.

Choceń, dnia 13 kwietnia 1915.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Jedyną nadzieję pokładam w Jaśnie Wielmożnym Panu, że wyratuje mnie z tego piekła, do którego muszę powracać za jaki tydzień. Rozum już tracę na samą myśl o tem. Dziecina jedna moja nie może przyjść do zdrowia z tego prochu i powietrza, słucham jej oddechu i patrzę, jak mi to w oczach niknie. Ostatnie centy, jakie miałam, poświęciłam sama nie jedząc, aby to maleństwo ratować, jednak z drżeniem widzę, że i to zostać musi ofiarą baraków, uleci i to do tamtych aniołków, prosić Boga o pomstę dla tych, co nam te baraki postawili. Ta śmierć tylu setek dzieci i łzy biednych matek, które płaczą, nie widząc ratunku, niech spadnie na nich.

Panie Hrabio! Mam jeszcze jedno dziecko, które muszę ratować, które wprowadziwszy do baraków, znowu to samo je czeka, gdyż też mi chorowało, będąc tylko tydzień w barakach. Moje dzieci, chowane w czystości i powietrzu innem, muszą baraki zabić.

Sił mi już nie starczy, pisać nie mogę, dzieje się we mnie coś takiego, że porwana szałem, potrafię straszne rzeczy wyprawiać. Boję się dziś sama o siebie.

Jaśnie Panie Hrabio! Ratuj mi Pan dziecinę, bo chociaż widzę, że mi to ginie, jednak się łudzę jeszcze, że mnie tak strasznie niema czego Bóg karać.

Całą nadzieję pokładam, że mnie Jaśnie Pan Hrabia uratuje.

Z głębokiem poważaniem
Barbara Sierosławska.

Załącznik 33.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Pośle!

Od 8 miesięcy tułaczki i od czasu najazdu carskiego, któren zniszczył nasze życie, mienie i pracę naszą, staliśmy się zupełnie bez-

bronnymi i cierpiącymi głód, nędzę, trwogę i smutek, rozpacz i żal. Od czasu zamieszkania w barakach w Chocni straciłem trojga dzieci ukochanych, pozostał mi tylko jeden syn z żoną, którzy od czasu tej katastrofy ciągle chorują. Wikt, któren tutaj dostajemy jest absolutnie nie do jedzenia dla zdrowego, nie mówię już o chorym. Powietrze jest tak ciężkie, że człowiek silnej budowy musi przejść chorobę. Ażeby ochronić życie mego dziecka i żony od katastrofy, upraszam Jaśnie Wielmożnego Pana Posła o łaskawe wyjednanie u władz kompetentnych przeniesienia z baraków na prywatne mieszkanie i zasiłku 70-cio halerzowego od osoby.

Spodziewam się, że prośba moja przychylnie zostanie załatwiona. Z głębokim szacunkiem

Paweł Sikorski. Barak 3.

Załącznik 34.

List do posła Lasockiego.

Wielmożny Panie!

Racz Pan być tak łaskawy zlitować się nad nami wybawić nas z tego piekła nędzy. W świętaśmy mieli czarną polewkę spaloną i to co dzień taka. Choć ziemniaczana jest czasem to ani jeden ziemniak nie pływa, świnie się pasą a my giniemy głodem pomału. W jedzeniu nie wolno słowa nigdzie się sprzeciwić bo areszt a w nim kolbami biją, nieszczęśliwi co się tam dostaną. Wyratuj nas Wielmożny Panie, jeżeli obecnie wracać nie można to się gdzie na prowincję wybrałabym.

Ja z domu swego wygnana mam trzech braci w wojnie, dwóch synów miałam też, już mi jeden zginął, gazety o nim pięknie piszą a ja w barakach na nędzy matka, ojciec i czworo dzieci. Tych jeszcze jak kiedy wychowam ojczyzna zabierze jak swoje a nie pyta czem i jak ty matko ich wychowałaś? Mają mnie z Wiednia Panowie wychodźców opiekunowie uwolnić z tych baraków. Niech Wielmożny Pan raczy się przyczynić, aby to było jak najprędzej. Jak tonący chwyta się trawki tak ja na wszystkie strony próbuję z tego kryminału, przemawiam do serca Wielmożnego Pana i proszę zaopiekować się nami, którzy chcą stąd wyjść i proszę Boga i Wielmożnego Pana, aby mnie stąd wybawili.

Z niskim ukłonem i szacunkiem
Anna Dudzińska.

Załącznik 35.

List do posła Lasockiego.

Leibnitz, 13/II. 1915.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Znając gotowość w niesieniu pomocy gdzie tylko potrzeba zachodzi, ośmielam się zwrócić z gorącą prośbą, by JWPan Hrabia raczył o ile czas pozwoli przyjechać do Leibnicu albo wprost z Wiednia Swoją interwencją poprzeć kilka spraw.

Niejaki Antoni Iwański, barak 16, ma syna na Morawie, Gruszów koło Ostrawy, który pisze do ojca, aby do niego przyjechał,

gdyż mógłby go utrzymać. Ten wniósł podanie do Namiestnictwa przed 6 tygodniami i dotychczas żadnej odpowiedzi niema. Dlaczegoż on ma marnieć w barakach, kiedy u syna ma zapewniony kącik spokojny? To starszy człowiek — około 60 lat.

Jest także Królewiak, którego rodzice mieszkają w Zakopanem już od trzech lat. Nazywa się Bolesław Liszkowski, barak 1. Jest wątłego organizmu, może nabawić się gruźlicy, albowiem skarży się na piersi i ciągle słabuje. Bardzo by było pożądaną rzeczą, by mógł zamieszkać przy rodzicach w Zakopanem.

Wiele osób przyjechało z powiatów wolnych, do których Ministerjum nie dało jeszcze pozwolenia, po swoje dzieci lub wogóle krewnych. Otóż te osoby zaopatrzone we wszelkie legitymacje ze swoich Starostw, nietylko że nie zabrały ze sobą osób, po które przyjechały, ale nadto same musiały zostać, gdyż im żandarmerja odebrała przy wejściu do baraków legitymacje a zarząd nie pozwolił wrócić do kraju. Dwoje z tych osób zwracało się z prośbą do JWPana Hrabiego, aby im wyrobił wolny powrót do stron rodzinnych [1]). Przyjechali do Leibnitz 1 stycznia. Matka staruszka przyjechała po córki, gdyż gospodarstwo wielkie, a nie ma kto robić. Przyjechał mąż po żonę, albowiem w domu gospodarstwo i małe dzieci, więc trzeba matki, by dzieci dopilnowała. Mimo gorących próśb, musieli w barakach pozostać. Mąż nazwiskiem Jan Szymoniak umarł 8/II. br., żony nie zabrał, sam umarł a dzieci zostały sieroty. Matka staruszka, Anna Cap zachorowała teraz na tyfus plamisty i kto wie czy kiedy zobaczy strony rodzinne. Obydwoje przyjechali ze wsi Wiśniowej powiat Wieliczka (barak 11). Wskazaną by było rzeczą, aby Prezydjum Koła polskiego wpłynęło na nasze Namiestnictwo, by ono się zajęło swoimi ludźmi i z ramienia swego wysłało Polaka, któryby stale czuwał nad dolą ludu.

Przyjechał także urzędnik pocztowy po swą żonę, by ją wziąść ze sobą, a tem samem zapewnić lepsze życie, tem bardziej, iż przy żonie są drobne dzieci. Nic nie pomogło. Ona się zwróciła do Zarządu, ten zaś kazał wnieść podanie do Namiestnictwa i skończyło się na tem, że nadal w barakach zostaje. Dlaczegoż ci ludzie, wolni obywatele, bez cienia przestępstwa politycznego, mają być traktowani jak niewolnicy?

Niedzieli ubiegłej tj. 7/II. br. wysłano 150 robotników do Marmarosz Sziget. Niewiadomo czy oni mają zapewniony chleb i zapłatę? Rząd kazał i transport idzie. Ale co się z nimi stanie, o to się nikt nie troszczy. Ludzie, gdy słyszą, że idzie jaki transport, to truchleją ze strachu, bo widzą skutki wysyłki do Serbji. Teraz panuje tyfus plamisty, przywieziony jedynie przez robotników ze Serbji. Niech też JWPan Hrabia poruszy w Prezydjum powrót do dalszych powiatów koło Krakowa. Niech ci ludzie jak najprędzej wracają do domu.

Pełen czci i uszanowania
ks. Adam Pierzowicz.

---

[1]) Pisałem zaraz w tej sprawie do radcy Marqueta, otrzymałem odpowiedź wymijającą z dnia 16 stycznia 1915.

Załącznik 36.

List do posła Lasockiego.

Udawamy się z prośbą my Polacy do Jaśnie Pana Hrabiego Posła, cośmy poniszczeni przez podróż do Serbji.

Jakżeśmy przyjechali tu do baraków w Libnicy to zaraz w nocy odłączyli żony od chłopów, siostry od bratów i ojców od drobnych dzieci, zaraz nas zawieźli do Serbji przez żadnej opieki i jakżeśmy odjeżdżali do Serbji to nam mówili, że dostaniemy zaraz robotę i po 3 korony dziennie, a my zajechali do Serbji nie dostaliśmy ani roboty, jadła ani 3 korony, tylko o głodzie gnali nas od miasta do miasta. Tośmy byli w Serbji przez 14 dni Jaśnie Panie Pośle. Leżeliśmy pod gołem niebem w błocie o głodzie, tylko za 14 dni dostaliśmy 4 razy obiad i po jednemu komiśniakowi. Tu do kościoła nas nie puszczają, ani do miasta i jeść mało dają, tylko głodem mrzemy. My prosimy Jaśnie Pana Hrabiego Posła bardzo pięknie, żeby nas stąd uwolnili, żebyśmy pojechali stąd gdzie na roboty, my ludzie prosimy Jaśnie Pana, żeby się o nas starał i żeby nas stąd i zaraz odprawił gdzie indziej, bo jak tu dłużej będziemy, to z głodu wyginiemy.

Jan Biało, wieś Chmielów i 9 innych podpisów.

Załącznik 37.

USŁUGI OBCYCH DLA NASZYCH WYCHODŹCÓW.

Walka z epidemją. — Samarytańska praca. — Ofiara zawodu.

Wiedeń, 16 marca.

(l) Wydział krajowy delegował Franciszka hr. Zamoyskiego do Styrji dla zbadania stosunków wśród wychodźców, celem roztoczenia nad nimi odpowiedniej opieki. Hr. Zamoyski przedłożył już Wydziałowi krajowemu obszerne sprawozdanie dla użytku urzędowego, w którem podnosi też z uznaniem usługi obcych dla naszych wychodźców, a mianowicie działalność trzech delegatów organizacji „Samarytanina", powołanej do życia przez profesora uniwersytetu w Gracu dr. Prausnitza pod nazwą „Sanitäts Hygienische Hilfsabteilung".

Prof. Prausnitz obrał sobie za zadanie organizowanie zastępu młodych ludzi, przeważnie prawników, których zaznajomiwszy należycie z zasadami zwalczania wszelkich epidemji i działań desynfekcyjnych, zarówno odnośnie do osób, jak i ubrań, sprzętów, deleguje do najbardziej zagrożonych zarazą miejsc, dla skutecznego podjęcia walki z tym straszliwym nieprzyjacielem. W Leibnitz widział hr. Zamoyski przy robocie trzech młodych takich ochotników z wymienionej organizacji, pp. dr. praw Uranitscha, dr. praw Pripscha i Nagele'go. Pod wskazówkami lekarza dr. Neumana pracują oni od rana do późnego wieczora, a często i w nocy. Skoro lekarz stwierdzi w baraku chorobę infekcyjną, oni chorego przewożą do szpitala infekcyjnego, oni go myją i oczyszczają z robactwa, ciężko rannych doglądają, a nieboszczyków zawijają w nasiąknięte lisolem prześcieradła. Oni przeprowadzają desynfekcję ubrań podejrzanych o epidemję osób, słowem stykają się ciągle z niebezpieczeństwem. Wszystko to czynią bezinteresownie. Przytem odnoszą się do pacjentów łagodnie z niesłychaną wyrozumiałością.

Widząc działalność tych ludzi, jest się pełnym podziwu i wdzięczności dla ich wyjątkowego męstwa i dla tak pięknie pojętej obowiązkowości.

W St. Michael [1]) czynnych jest z ramienia „S. H. H." trzech desynfektorów i siedm pielęgniarek. Ósma pielęgniarka, Alojza Hradnik padła ofiarą zawodu i umarła na tyfus plamisty.

(„Wiedeński Kurjer Polski" z 16 marca 1915).

Działalność kolumny sanitarnej dr. Prausnitza w osadzie libnickiej podniosłem w artykule umieszczonym w „Głosie Narodu" z 6 lutego 1915.

Załącznik 38.

Z obszernego sprawozdania, złożonego przez lekarzy d-rów Borysiewicza i Warteresiewicza (znajduje się ono w całości w mojej interpelacji nr. 215 z roku 1917), zawierającego opis baraków i ich urządzeń, dalej niedomagań co do pomieszczenia i żywienia mieszkańców osad barakowych, pomocy lekarskiej itd., przytaczam tylko część dotyczącą tłumienia tyfusu plamistego, ogólnych spostrzeżeń i wniosków tych lekarzy:

„Dla chorych na tyfus plamisty są dwa baraki szpitalne o 2 salach, urządzone po szpitalnemu dobrze i porządnie z łazienkami, utrzymane w porządku, o łóżkach żelaznych po 24 w każdej sali. Zauważyliśmy tylko, że **chorzy obojga płci leżą w tych samych salach,** co obecnie ma być usunięte, oraz, że **pielęgniarki nie mają płaszczów żadnych.** Dr. Neumann wyjaśnił nam, że te pielęgniarki wogóle nigdy poza obręb szpitalu nie wychodzą, co jednakowoż wydaje się nieprawdopodobnem. **Trzeci oddział również przepełniony chorymi na tyfus plamisty i innymi chorobami, umieszczony jest w zwykłym baraku mieszkalnym piętrowym. Tu chorzy leżą na siennikach na ziemi w ciemnych klatkach i zadusze** i szczęśliwi o ile są nieprzytomni, czekają swego losu i wyzwolenia. **Na chorych na parterze ściekają nieczystości i odchody z wywróconych przez chorych naczyń z piętra,** a naczynia te pełne stoją obok chorych, bo 8 dozorców na cały barak bezwarunkowo nie wystarcza. Nie ma więc tu mowy o czystości, przewietrzeniu, dozorze chorych nieprzytomnych. Lecz też i lekarze w takich warunkach nie są w stanie zbadać chorego lub wykonać jaki zabieg. Chorzy muszą chodzić boso do nędznych wychodków — w których znaleźliśmy też skład ubrań — wogóle nie mają żadnych pantofli. Nie widać osobnej sali dla lekarza, ani sali dla porodów, ani akuszerek. **Jednem słowem jest to stajnia, wypełniona chorymi i konającymi.** Po chorych wyzdrowiałych względnie zmarłych bielizna oddawana zostaje do desynfekcji. **Co do desynfekcji kołder i pościeli** lekarz naczelny nie umiał nas objaśnić, dopiero **siostra zakonna nam powiedziała, że te nie bywają desynfekcjonowane.**

---

[1]) St. Michael, obóz barakowy w Styrji, w którym przebywali przeważnie Rusini, a niewielka liczba Polaków. Jeden z najgorszych obozów, w którym grasował stale tyfus plamisty. Został on po niedługim czasie zwinięty.

Chorych na tyfus plamisty było około 200 na oddziałach Dr. Radziszowskiego i Dr. Mędrkiewicza. Od 28 marca do 3 kwietnia przybyło nowych wypadków 167. Prócz tych są pojedyńcze wypadki płonnicy (2), odry — mumps, a róża panuje epidemicznie.

Po wyjściu ze szpitala zakaźnego chorzy przebywają w osobnym baraku dla ozdrowieńców (Reconvalescentenheim?) pod dozorem przez dwa tygodnie, gdzie odbywają taką samą głodówkę jak wszyscy wychodźcy. Dalszem nieszczęsnem urządzeniem są baraki t. zw. kontumacyjne. Jeśli w baraku zwykłym mieszkalnym zajdzie wypadek choroby zakaźnej, w szczególności tyfusu plamistego, to chory oddany zostaje do baraku szpitalnego a wszyscy inni lokatorzy całego baraku pozostają pod dozorem w owym baraku. **Barak zostaje odgrodzony siatką drucianą i nikomu z niego wyjść nie można — jedynie na małe obejście przed siatką. Naturalnie nie ma to prawie żadnego znaczenia skoro do siatki od zewnątrz przychodzą inni ludzie i mogą rozmawiać i dotykać będących w kontumacji. Kontumacja taka trwa trzy tygodnie i szczęśliwi ci, jeśli nie zajdzie nowy wypadek choroby — ale jeśli ktoś nowy zachoruje, to znów kontumacja trwa dalszych trzy tygodnie** itd. ad infinitum. Skutek tego barbarzyńskiego urządzenia taki, że niektórzy pozostają cały czas w kontumacji, pozbawieni wolności i swobody a rozgoryczeni do najwyższego stopnia. A przecież temu można zapobiec łatwo przez urządzenie mniejszych lokalów izolacyjnych, gdzie tylko mniejsza ilość lokatorów, którzy byli w bezpośredniej styczności z chorym byłaby kontumacowaną. **Ludzie ci przechodzą tu istny czyściec i nic dziwnego, że się wykradają a następnie przychwyceni, podlegają karom.**

Dalekoby nas zawiodło przytaczanie wszystkich szczegółów — podajemy ogólny zarys tylko, że urządzenia sanitarne pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Wszelkie zakusy poprawienia tych stosunków przez sprowadzonych trzech [1]) młodych lekarzy Polaków o najlepszych chęciach i pełnych dobrej woli i energji rozbijają się o złą wolę, czy też brak zrozumienia i pojęcia o hygjenie lekarza naczelnego Dra Neumanna.

Tu musimy zauważyć, że lekarz ten po wyłuszczeniu naszych spostrzeżeń wobec p. Starosty odważył się powiedzieć, że zna stosunki w Galicji — skąd pochodzi — i twierdzi, że wychodźcom tu stokroć lepiej podczas wojny niż u nich w domu podczas pokoju...

Ogólne uwagi i spostrzeżenia nasze są ujemne bardzo, brak tu zrozumienia i serca czy nawet litości dla biednych wygnanych nie z własnej winy z swych siedzib, brak znajomości duszy ludzkiej i brak dobrej woli, niedostateczny zarząd i dozór i prawdopodobnie niesumienność organów wykonawczych, względnie dostawców. Nie wiemy, ile preliminowano na utrzymanie. Od głowy wszędzie otrzymują po 70 h., tu jednak całodzienny wikt z pewnością nie przekracza 20 h. od głowy. Ludzie rwą się do pracy, nie otrzymują na to pozwolenia, czy z powodu kontumacji, czy z innych przyczyn.

---

[1]) trzecim był dr. Sermak.

Żołnierze superarbitrowani, którzy okaleczeli lub nabawili się chorób na wojnie, umieszczeni w barakach płaczą i wzywają miłosierdzia Boskiego.

Rozgoryczenie jest ogromne i jak nas informowano, dosięga już szczytu i grozi użyciem niedozwolonych środków zwłaszcza, że skargi i żale nie bywają przyjmowane, względnie nie rozumiane.

Pozwalamy sobie postawić pewne ogólne wnioski:

I. Dla stłumienia chorób zakaźnych bezwarunkowo koniecznem jest powstrzymanie dalszego dowozu chorych do baraków.

II. Usunięcie z naczelnego stanowiska lekarza Dr. Neumanna a zastąpienie go innym starszym o dobrej woli, wiedzy i znajomości hygjeny.

III. Pomnożenie liczby lekarzy i uregulowanie ich czynności oraz ustanowienie jednego lekarza tylko dla czuwania nad ogólną hygjeną mieszkań i dozorowania środków spożywczych.

IV. Usunięcie chorych z baraków mieszkalnych, gdzie tylko więcej rozchorować się mogą, i pomnożenie ilości szpitali.

V. Zabezpieczenie pomocy i lokalu dla rodzących.

VI. Zniesienie piąter w barakach mieszkalnych i wogóle poprawa w nich urządzeń hygjenicznych.

VII. Uregulowanie innych spraw administracyjnych, przyczem wskazanem byłoby, by kierownik zarządu mógł się porozumieć z ludnością wychodźczą. Powinien to być Polak, znający nasz lud i wyrozumiały na wyjątkowe nędzne nasze położenie, któryby osobiście też zechciał czasem przekonywać się o istotnym stanie rzeczy.

Grac 14 kwietnia 1915.

Dr. Wiktor Borysiewicz.
Dr. Stefan Warteresiewicz.

Załącznik 40.

List byłego legjonisty Hauptmana do Redakcji „Rodaka".

Libnica 3. III. 1915.

N. b. p. Jezus Chrystus! Wielebny Księże Dobrodzieju! Przypadkiem dostałem jeden egzemplarz „Rodaka" do przeczytania, a uznając słuszność zapatrywania księdza Dobrodzieja, spieszę z największą ochotą z wiadomościami z tutejszych baraków.

Byłem magazynierem przy kopalniach nafty w Borysławiu i na tej posadzie zaskoczyła mię wojna. **Jako prawy Polak i wierny poddany Cesarza poszedłem bić się z odwiecznym wrogiem Moskwą, wciągając się do Strzelca,** a potem po złączeniu różnych partji walczyłem w pierwszym pułku pod komendą pułkownika Piłsudskiego w Kielcach, pod Tarnowem i Szczucinem, a w końcu pod Dęblinem i Krzywopłotami i pod Warszawą. **Jako niezdatny do dalszej walki, mając złamaną lewą, zwichniętą prawą rękę i dwa żebra w prawem boku** a w dodatku oberwany w sobie, **zostałem ze szpitala po uwolnieniu zupełnem tu odesłany do baraków** z zapewnieniem, że tu będę miał wszelką wygodę i opiekę i odpowiednią kuchnię, tymczasem dostaję cały tydzień rano i wieczór wodę farbowaną na kolor her-

baty a na obiad raz pencak z fasolą, drugi raz kapustę z kartoflami lub ryż z fasolą, do tego dostaje się ćwiartkę chleba na cały dzień tak, że w dobrym apetycie zje go się na raz a potem trzeba głodnym być.

Szczęście moje, że **spotkałem tu brata, który służył przy artylerji, ma nogę i bok na wylot przestrzelone,** więc się nim zajmuję, bo proszę księdza zacząłem już szemrać przeciw woli Bożej, żem nie umarł na placu boju lub w szpitalu i muszę się tu męczyć, **zacząłem rozpaczać i chciałem barak spalić a sobie życie odebrać, bo proszę księdza na głos narodu i Cesarza zostawiłem żonę Annę i córeczkę Manię w Borysławiu bez zaopatrzenia a sam poszedłem bronić Ojczyzny a teraz nie wiem czy jeszcze żyją — gdzie są.** Z bratem nie widziałem się 5 lat, aż dopiero tu się znowu zeszedłem po tych przejściach mam więc w Bogu nadzieję, że i z moimi najdroższymi się zobaczę. Tu w barakach jest coś 16 tysięcy ludzi przeważnie powracających z robót z Prus, Danji i innych miejscowości i tu zatrzymanych, ale po części już wracają do swoich domów, bo są z powiatów, gdzie można już wracać a po części wracają nazad do Prus do robót polnych. Ci mają zarobione pieniądze, dokupują sobie żywność, ale **są tu żołnierze, których liczba dochodzi do pięciuset, którzy swoją krew przelewali, broniąc Ojczyzny a teraz gorzej wszystkich tu traktowani a są często jeszcze chorzy,** tak, że potrzebowaliby lepszego odżywienia. Piszę to ks. Dobrodziejowi dlatego, by tę sprawę poruszył, bo **niezadowolenie przybiera coraz większe rozmiary i może do poważnych zatargów doprowadzić a może i do rozlewu krwi,** bo niema tu **żadnego porządku, ludzie chorzy na tyfus plamisty lub inne zakaźne choroby leżą w barakach, bo w szpitalach nie ma miejsca,** więc żeby nie rozszerzać choroby **zamyka się trzysta do czterysta ludzi razem ze zdrowymi,** by zdrowi zarażali się od chorych, żeby więcej ludzi na obczyźnie wymarło. A przecież można jeden barak przeznaczyć dla chorych a zdrowych na wolność wypuścić. Dezynfekcji wcale się tu nie przeprowadza i taki barak Nr. 33 jest z powodu słabości opróżniony od 6 tygodni a słoma po ludziach leży do tego czasu niespalona ani barak nie oczyszczony. Tu umiera przeciętnie 8—12 ludzi dziennie, wczoraj umarł na tyfus ojciec 5-ciorga dzieci, zostawiając żonę w nieopisanym smutku. Najstarsze dziecko ma 12 lat. Jest tu dużo różnych rzemieślników, którzy bez celu błąkają się po ulicach a mogliby i chcą pracowć we warsztatach, ale nie możemy doprosić się otwarcia takowych. Niema praczek a mydła nie ma za co kupić, więc nędza gryzie człowieka tak samo jak i w polu kiedy człowiek musiał cztery i sześć tygodni w jednej chodzić koszuli. Brak nam bardzo ubrania, chodzimy więc w wojskowym bardzo zniszczonem, często boso. Mimo tych wygód woleliby my wracać o głodzie do domu do swoich niż tu bezczynnie siedzieć. Proszę księdza Dobrodzieja, by się łaskawie dowiedział w innych barakach może jest gdzie moja żona Anna z córką z Borysławia a może dostałbym gdzie jakie zajęcie, bym mógł sobie coś zarobić, żebym jak wrócę do swoich mógł im dać parę centów.

Kończąc na dzisiaj całuję rączki i polecam się pamięci. Wincenty Hauptmann w Libnicy. Wagna bei Leibnitz barak Nr. 27.

Załącznik 41.

List do posła Lasockiego.

Górnawieś dnia 3. III. 1915.

Wielmożny Panie Hrabio i kochany Kolego!

Znowu się do Wnego Pana udaję o interwencję w sprawie internowanych w barakach w Leibnitz ludzi z naszych okolic, powiat Myślenicki. Przyszły do mnie kobiety z Brzączowic, że mężowie i synowie na wojnie a ich córki pozostają dotąd w barakach, skąd piszą rozpaczliwe listy, prosząc o pomoc i wydobycie ich stamtąd. O niektóre z nich prosił już p. Bzowski, prezes Rady powiatowej.

Obecnie wiosna się rozpoczyna, potrzebne one w domu do pomocy w gospodarstwie, utrzymanie ich tam przecie rząd kosztuje.

Z samej gminy Brzączowic są tam w baraku 13 czy 12 Wiktorja Chorabik, Tekla Krawczyk, Wiktorja Maniecka, Marja Serafin, Katarzyna Serafin, Katarzyna Strzałka, Katarzyna Motyka.

Bardzo uprzejmie proszę o wydobycie ich z tego więzienia i pozwolenie im na powrót do gminy. Przecie powiat Myślenicki należy do tych, do których wolno wracać, gdyż nie jest objęty operacjami wojskowemi i doprawdy oburzenia człowiek doznaje gdy władze pomimo orzeczenia komendy jeszcze dotąd robią trudności przy powrocie.

Wogóle proszę nie ustawać w staraniach, bo ludzie tam umieszczeni piszą tu bardzo rozpaczliwe listy, że aż żal bierze. Wogóle przy tej wojnie obchodzą się z naszymi ludźmi strasznie bezwzględnie.

N. p. ten Szatan, o którego dawniej pisałem, który był zabrany przemocą z Leibnitz i wysłany do okopów na Bukowinę, tam się przeziębił i zachorował, bo tam byli w górach, w śniegach, bez dachu nad głową. Puszczono go do domu, wracał częścią pieszo, częścią koleją. Powróciwszy położył się i umarł. Pozostała matka z 6-giem dzieci drobnych bez środków do życia. Słowem wszędzie dramaty, które kiedyś wyjdą na wierzch. Dałby to Bóg, by te straszne ofiary, które nasz naród przechodzi, przynajmniej chociaż jaśniejszą przyszłość nam przyniosły.

Raz jeszcze proszę o energiczne staranie dla wydobycia tych dziewcząt stamtąd.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku a przy sposobności nadchodzących Świąt najserdeczniejsze życzenia zasyłam

A. Średniawski.

Załącznik 42.

AUDJENCJA

Ekscel. Bilińskiego, Hr. Lasockiego i Stan. Czarnowskiego w sprawie baraków u Arcyksiężny Izabeli, w pałacu Jej przy Albrechtgasse w dniu 16 kwietnia 1915.

W środę 14 kwietnia 1915 powiedział mi Ekscel. Biliński, że w sprawie baraków będę miał razem z nim i Hr. Lasockim posłucha-

nie u Arcyks. Izabelli 16 kwietnia i że przedłoży się jej przez nas napisany memorjał. Gotowy już memorjał otrzymałem do podpisu i przeczytania 16-go w południe, a tego dnia o 6-tej wieczorem znaleźliśmy się wszyscy trzej na I piętrze w salonach arcyksiążęcego pałacu.

Na nasze spotkanie wyszedł najprzód Arcyksiążę Karol Stefan (w mundurze admirała marynarki z orderem Złotego Runa), któremu przedstawił nas Ekscel. Biliński i zaraz ukazała się Arcyksiężna Izabella (w białej sukni z guzami brylantowemi z kołnierzem futrzanym) i przyjęła nas w małym saloniku, pełnym miniatur i drobiazgów. Zasiedliśmy za stołem (Ekscel. Biliński na kanapie, Oni i my na fotelach) a na prośbę Arcyksięcia zabrał głos Hr. Lasocki i wyczerpująco, ze swadą, przedstawił stan baraków w Chocni.

Oboje Arcyksięstwo z ogromnem zainteresowaniem przysłuchiwali się jego wywodom, w momentach jaskrawych wybuchając nawet oburzeniem „Unerhört — wie kann man so was machen etc.". Kiedy poseł Lasocki mówił o strasznej śmiertelności, zwłaszcza dzieci i o ich żywieniu kawą i herbatą z rumem, o żołnierzach znoszących nędzę, widać było u nich wielkie wzruszenie a Arcyksiążę Stefan nie mógł usiedzieć na fotelu.

Na co tych ludzi tam umieścili? Po co trzymają tam tych, którzy mają własne środki? Rząd przecież wiele by na tem oszczędził! Tu zwrócił się do posła Lasockiego z zapytaniem. Poseł odpowiedział: Trudno to wytłomaczyć. Może były skargi ludności miejscowej, ale trzeba było ludność pouczyć, że mają do czynienia z nieszczęśliwymi uchodźcami, a nie ze zdrajcami lub szumowinami społeczeństwa, że należało nas gościnnie przyjąć. „Ganz recht" odpowiedział Arcyksiążę, a Ekscel. Biliński dodał: „Wogóle na Polaków oszczercze zarzuty się podnosiło. Znajomy mój wracając ze Szwajcarji, miał w kuferku dzienniki krakowskie a urzędnik cłowy widząc to, powiada: „Polnische Zeitungen? Die Polen sind Verräther" i zaczął mu robić szykany. Po wylegitymowaniu się i okazaniu pisma członka Domu cesarskiego, zmieniło się to postępowanie". „Lumpenproletarjat" trzeba w barakach zatrzymać — ciągnął Arcyksiążę dalej — ale resztę wypuścić! Wielu górali (Goralen) pisało do mnie z baraków, aby ich uwolnić. Rzecz dziwna jak dobrze i logicznie potrafią ci ludzie pisać (po polsku). Wielu z nich dałem zajęcie w dobrach moich w Żywcu". Kiedy poseł mówił o studentach, którzy tam z szumowinami wielkomiejskiemi przebywają i tracą rok studjów, odpowiedział Arcyksiążę: „Es gibt bei uns so viele reiche Klöster, man könnte dort sehr leicht all die 200 Schuljugend unterbringen".

Arcyksiężna Izabella zapytała nas, gdzieby można podziać tych ludzi?

Poseł Lasocki odpowiedział, że bardzo łatwo wszyscy oni znaleźliby sobie mieszkania w miastach prowincjonalnych, a zwłaszcza po wsiach. Wielu dostałoby robotę a nawet niektórzy mieli miejsca z których ich do baraków zabrano ku niezadowoleniu tak ich, jak i pracodawców.

Arcyksiążę dodał:

Żołnierzy można przecie umieścić w różnych koszarach. Nie wiem przecie, gdzie mają głowy ci ludzie — ale w różnych naszych portach, np. w Spalato jest mnóstwo okrętów z gotowemi łóżkami, kuchniami itd. — Tamby tysiące ludzi zdrowe i odpowiednie mieszkanie znalazło.

„Dass ist eine herrliche Idee" — rzekł Ekscel. Biliński a myśmy mu potakiwali.

Kiedy poseł Lasocki mówił, że ludzie z okolic Wieliczki, Bochni, Krakowa siedzą bezczynnie w barakach, a roli u nich niema kto uprawiać, powiedział Arcyksiążę:

„Hier braucht Fritz [1]) nur ein Wort zu schreiben, und die Sache ist erledigt!"

Kiedy skończył poseł Lasocki, zwróciła się Arcyksiężna Izabella do mnie w sprawie Leibnitz. Już przedtem opowiedział hr. Lasocki o braniu do Serbji ludzi, którzy tyfus zawlekli, ja opowiedziałem o żołnierzach — jest ich około 500 — kaleki bez rąk, wszyscy prawie ranieni, wszyscy wynędzniali, bez bielizny, bosi, z dumą noszą jeszcze den „Kaiserrock" [2]), ale są ogromnie rozgoryczeni na swój los.

Nie mają mydła, ani bielizny, ani ubrania, ani tytoniu, a gdyby mieli nawet pieniądze, to kupić nic nie mogą, bo wyjść im z baraków nie wolno. „Das Herz hat mir geblutet wie ich die Leute gesehen habe. Sie sind Kaisertreu geblieben, aber sehr erbittert. Es gibt dort Zugsführere, Korporäle, die sind dort so behandelt wie Verbrecher".

Arcyksiążę oburzył się na to, powiedział: „Dass ist unerhört".

Powiedziałem Mu, że mamy dowody, że te ich skargi wydostają się już do wojsk frontowych. Kiedy mówiłem o żołnierzach walczących w polu, których żony są w barakach, rzekł Arcyksiążę: Jak musi być przykro tym żołnierzom wiedzieć, że ich żony i dzieci są w barakach. Żonom rezerwistów walczących należy się przecie „Unterhaltsbeitrag". Czemu go nie wypłacą im w całości? Tu poseł Lasocki dodał, że otrzymał listy od walczących na froncie żołnierzy, którzy donosili o śmierci dzieci w barakach i prosili o opiekę nad resztą. „Das muss eine sehr schlechte Stimmung machen" — rzekł Arcyksiążę. Mówiłem potem o nowych transportach zdrowych ludzi do baraków, o „Vorszpanach", że ich jest kilkuset, że spełnili swój obowiązek, że mają nawet niektórzy pieniądze a przemocą ich trzymają, że głód jest i chleb bardzo zły, że dzieci małe prawie już wyginęły.

Około 7-ej odezwał się telefon. Arcyksiężna Izabella poszła do niego i przeprosiła nas, że będzie rozmawiać.

Arcyksiążę Karol Stefan wziął nas do 2-go salonu i tam stojąc z 10 minut, rozmawialiśmy z nim po polsku.

Mówił z początku o hr. Romerze, który do Królestwa pojechał, a potem o tem, że hr. Lasocki jako ochotnik biorąc z początkiem wojny udział w obronie Radomyśla, zetknął się z jego synem Arcyks.

---

[1]) arcyksiążę Fryderyk, naczelny wódz.

[2]) mundur.

Karolem Albrechtem w Rozwadowie. Z zadowoleniem Arcyksiążę śmiejąc się o tem przypomniał, a poseł Lasocki pokazał Arcyksięciu meldunek wojskowy, podpisany wtenczas przez Arcyksięcia Karola. Następnie przyszła Arcyksiężna Izabella do nas i bardzo łaskawie z nami się pożegnała. Naturalnie zostawiliśmy jej memorjał. Pożegnawszy się z Arcyksięciem Stefanem, zeszliśmy na dół, gdzie z 15 minut czekaliśmy jeszcze na Ekscel. Bilińskiego. I on i my byliśmy pod jak najlepszemi wrażeniami i pełni dobrych nadzieji.

Na odchodnem rzekł Ekscel. Biliński: Pod ścisłą tajemnicą: Arcyksiężna Izabella chce, aby Panowie byli na audjencji u Cesarza. O ile ja znam te rzeczy — to jednak tak nie będzie. Na to ja powiedziałem: Jest wobec tego rzeczą konieczną zebrać nowe wiadomości z Leibnitz. Tak jest — rzekł Ekscelencja. Jedź Pan tam zaraz. (O samej audjencji rzekł jeszcze Ekscelencja do mnie: Hrabia Lasocki rąbał cyframi i faktami — Pan więcej do serca przemawiał).

Na drugi dzień Dyrektor Steczkowski był u Arcyksięcia Stefana, który powiedział, że on i jego „szwagierka" byli tak wzruszeni, że spać nie mogli i zaznaczył, że to musi być zmienione.

Do Leibnitz przybyłem 18-go w południe i zabawiłem do wieczora. Poinformowawszy się od księży Bialikiewicza i Pierzowicza o obecnym stanie rzeczy w Libnicy, namówiłem ich, ażeby zaraz do Wiednia pojechali, co się też i stało (byli u Ekscel. Bilińskiego, u wice-marszałka Pilata, u pani Abrahamowiczowej i u Hr. Wandy i Zofji Tarnowskich. Ksiądz Pierzowicz był z Czarnowskim u Germana). Dnia 21-go o 8 wieczór powiedział Ekscel. Biliński hr. Lasockiemu i Czarnowskiemu, że Arcyksiężna żąda krótkiego memorjału wypracowanego przez nas i hr. Zamoyskiego, któryby mogła odczytać Cesarzowi.

Dnia 22-go w południe zebrali się u Ekscel. Bilińskiego hr. Lasocki, hr. Zamoyski i Czarnowski. Tu oświadczył hr. Lasocki, że krótkiego memorjału nie jest w stanie napisać, zaś hr. Zamoyski, że nie może podpisać memorjału naszego, ponieważ podpisuje tylko to co sam widział i sprawdził.

Stanęło na tem, że napiszemy jeden memorjał na 10 stron i krótką notatkę mającą być odczytaną Cesarzowi oraz, że do tego dołączonym będzie memorjał Zamoyskiego.

O godz. 6 wieczór otrzymał hr. Lasocki wiadomość, że najdalej do 9-tej wieczór musi być memorjał Arcyks. Izabelli przedłożonym.

Przybywszy o 7¾ wieczór do Ekscel. Bilińskiego, zastałem hr. Lasockiego w największym pośpiechu dyktującego memorjał pannie piszącej na maszynie. Co chwila zapytywał Ekscelencja, czy już jest gotów memorjał?

Około godz. 9 i pół wieczór Sekretarz Jabłoński telefonował do hr. Capri, ochmistrza dworu Arcyks. Izabelli, że dopiero po 10-tej memorjał będzie gotów. Był on gotowy już przed 10-tą, ale krótkiej notatki dla Cesarza nie było jeszcze.

W 10 minut hr. Lasocki ułożył tę notatkę i podyktował ją. O 10 i pół oddaliśmy oba pisma (razem z memorjałem hr. Zamoyskiego) do rąk ochmistrza hr. Capriego.

Arcyksiężna Izabella miała audjencję u Cesarza 23-go rano. Odczytała ona Cesarzowi nie krótką notatkę, ale cały memorjał. (Ekscel. Biliński zauważył nawet, że jak do niego potem telefonowała była zachrypnięta). Cesarz wysłuchał memorjału z wielką uwagą.

Stanisław Czarnowski.

Pisałem w Wiedniu 27 kwietnia 1915 roku.

Załącznik 43.

MEMORJAŁ POSŁA LASOCKIEGO O POŁOŻENIU UCHODŹCÓW POLSKICH W OSADACH BARAKOWYCH PRZEDŁOŻONY CESARZOWI [1].

In dem Barackenlager in Chotzen (Böhmen) befinden sich derzeit ungefähr 16.500 Flüchtlinge aus Galizien, polnischer Nationalität, römisch-katholischer Religion.

Die Baracken wurden in aller Eile, daher mangelhaft hergestellt. In den ebenerdigen Räumen herrscht im Winter eine derart empfindliche Kälte, dass, laut Angabe glaubwürdiger Personen, in manchen Tagen das Wasser in diesen Räumen zugefroren ist. In den oberen Räumen ist die Luft infolge der Ausdünstungen und mangels einer entsprechenden Ventilation sehr schlecht. Die Baracken sind der grössten Feuersgefahr ausgesetzt, insbesondere würde von den Bewohnern der ersten Stockwerke im Falle eines Brandes, da keine Stiegen direkt nach aussen führen, kaum jemand sein Leben retten können.

Die ersten Flüchtlingstransporte kamen nach Chotzen im Oktober 1914 an. Das Lager war für den Empfang der Flüchtlinge gar nicht vorbereitet und eingerichtet und es herrschten in demselben geradezu unhaltbare Verhältnisse, über die Universitätsprofessor Dr. Theologie Kaczmarczyk und Reichsratsabgeordneter Graf Lasocki unter dem 4. Dezember 1914 dem k. k. Ministerium des Innern schriftlich Bericht erstatteten. Im Laufe der Monate Dezember und Jänner besserte sich die Lage der Barackenbewohner in Chotzen. Sämtliche wurden mit Strohsäcken und Decken, viele mit Kleidungsstücken versehen. Die Kirche, welche für die sehr religiöse polnische Bevölkerung einen grossen Trost bildet, weiter das Spitalgebäude, Isolierbaracken, eine Waschküche wurden fertiggestellt, die Schule aktiviert, ein Kinderheim und eine Nähstube errichtet. Der seither verstorbene Leiter der Barackenverwaltung, k. k. Oberkommissär Walles, erfreute sich wegen seines taktvollen und humanen Vorgehens des grössten Ansehens bei den Flüchtlingen, mit denen er, da er die polnische Sprache beherrschte, sich direkt verständigen konnte. Die Zahl der Barackenbewohner betrug Mitte Jänner dieses Jahres ungefähr 5000 Personen. Es bestand daher keine Ueberfüllung. Unter diesen Verhältnissen konnte die Lage der Barackenbewohner im Jänner als verhältnismässig günstig bezeichnet werden.

---

[1]) Odpis memorjału tego znajduje się w interpelacji nr. 215 z r. 1917.

Infolge der in den Monaten Februar und März erfolgten Abschiebung von Tausenden von Flüchtlingen aus Provinzstädten und Landgemeinden, hauptsächlich Böhmens, in das Barackenlager, haben sich die dortigen Verhältnisse neuerdings sehr ungünstig gestaltet. Die Abschiebung wurde vielfach in besonders strenger Weise durchgeführt. Bemittelte Personen, die eine staatliche Unterstützung weder beansprucht noch erhalten haben, Leute in angesehener sozialer Stellung, Frauen im Wochenbette usw. erhielten den Auftrag, sich nach Chotzen zu begeben. Hunderte von Familien aus der Intelligenz und Mittelstandsschichte, Staatsangestellte, Eisenbahner, Tausende landwirtschaftlicher und gewerblicher Arbeiter, von denen manche schon eine Beschäftigung gefunden hatten, wurden dortselbst abgeschoben. Tausende von Leuten, die aus der bescheidenen staatlichen Unterstützung von 70 h pro Person ihr Leben fristeten und sich ruhig verhielten, wurden gezwungen, sich in die Baracken zu begeben, wo sie in der Kälte, schlechten Luft, bei der ungenügenden und schlecht zubereiteten Kost und in der Gesellschaft des Abschaumes der Bevölkerung, der in den Baracken ziemlich zahlreich vertreten ist, sich höchst unglücklich fühlten. Dazu kamen zahlreiche Erkrankungen und Todesfälle, insbesondere bei Kindern. Es gibt kaum eine Familie, die nicht den Verlust von Kindern oder wenigstens die Erkrankung derselben zu beklagen hätte. Während des Aufenthaltes der Reichsratsabgeordneten Dr. Biały und Graf Lasocki, die am 8. und 9. April die Baracken besuchten, wandten sich Tausende von Barackenbewohnern an sie mit der Bitte, ihre Befreiung aus den Baracken zu erwirken. Viele Fälle waren wirklich berücksichtigungswürdig. Marie Jasińska, Gattin eines Volkschullehrers, der derzeit im Felde steht, hat bereits ein Kind während des verhältnismässig kurzen Aufenthaltes in den Baracken verloren. Ein zweites Kind lag schwer krank, die übrigen zwei Kinder und die Mutter selbst waren stark abgemagert und erschöpft.

Barbara Sieroslawska, Gattin eines technischen Privatbeamten, flüchtete als ihr Kind erkrankte aus dem Barackenlager, in dem, laut vorgewiesenen Zeugnisses eines Arztes aus Chotzen, der Aufenthalt für seine Gesundheit unerträglich war. Die Genannte erklärte, dass sie, falls sie gezwungen werden sollte, in das Barackenlager zurückzukehren, lieber Selbstmord begehen würde, da sie die Qual ihres Kindes nicht ansehen könnte. Paul Sikorski, Bohrmeister, hat bereits drei Kinder in dem Barackenlager verloren und flehte, man möge ihn mit seiner Frau und dem einzigen Kinde, das ihnen noch zurückgeblieben ist, aus dem Barackenlager befreien usw. In den Baracken befinden sich zirka 200 Gymnasialschüler, die nicht bloss ihr Studienjahr verlieren, aber auch in der Gesellschaft des männlichen und weiblichen Abschaumes der Grossstadtbevölkerung verkommen müssen.

Einen peinlichen Eindruck machen die superarbitrierten Soldaten und polnische Legionäre; viele bitten, man möge ihnen statt der Versorgung in den Baracken, die 70 Heller Unterstützung gewähren. Der Zugsführer Nowak bat um keine Unterstützung, sondern bloss um die Bewilligung, sich zu einem Kameraden zu bege-

ben, der ihm in Böhmen, laut vorgewiesenen Briefes, Gastfreundschaft und Beschäftigung anbot. Nowak behauptete aber, eine Entlassungsbewilligung aus den Baracken nicht erlangen zu können. Hunderte von Frauen von einberufenen Soldaten flehten händeringend, man möge sie mit ihren Kindern aus dem Barackenlager entlassen und ihnen den Unterhaltsbeitrag auszahlen. Die Praxis, dass man Familien der zur aktiven Dienstleistung Herangezogenen zwingt, in den Baracken Aufenthalt zu nehmen, wo Hunderte von Kindern, deren Väter für Kaiser und Reich kämpfen und sterben, zugrunde gehen, entspricht — abgesehen von den ethischen Rücksichten — offenbar nicht den Bestimmungen des Gesetzes vom 26. Dezember 1912, R. G. Bl. Nr. 237, in denen die Gewährung eines Unterhaltsbeitrages, keinesfalls aber die Verwendung desselben zur Deckung der Kosten eines unfreiwilligen Aufenthaltes in den Baracken vorgesehen ist.

Die Sterblichkeit in den Baracken ist sehr gross und nimmt in der letzten Zeit fortwährend zu. Laut Matrikeneintragung sind seit dem 1. Jänner bis 9. April d. J. 512 Personen, zumeist Kinder, gestorben. Im Monat März allein sind 247 Todesfälle vorgekommen.

Die Ursachen dieser ungewöhnlich grossen Sterblichkeit sind hauptsächlich die Unterernährung und mangelhafte ärztliche Aufsicht.

Für Kinder bis zum Alter von drei Jahren sind drei Semmeln und ein Liter Milch täglich vorgesehen. Die genannten Abgeordneten haben konstatirt, dass während ihres Aufenhaltes in Chotzen den Kindern allerdings drei winzige Semmeln, aber bloss ein halber Liter Milch verabreicht wurden. Viele Eltern behaupteten, dass ihre Kinder öfter bloss einviertel Liter Milch erhalten. Der Wirschaftsdirektor des Barackenlagers gab zu, dass es tatsächlich vorkommt, dass für die Anstalt zu wenig Milch geliefert wird, infolgedessen entfällt auf ein Kind bloss ein halber Liter. Am 13. April fand eine Statthaltereikommission im Barackenlager statt. An diesem Tage und tagsvorher wurde die ganze vorgeschriebene Quantität Milch verabreicht. Ein Beweis, dass man die nötige Milch, wenn es notwendig ist, erhalten kann.

Ueberhaupt bildet die Verköstigung der Flüchtlinge stets einen Grund zumeist vollkommen begründeter Klagen. Im März gab es Tage, an denen den Barackenbewohnern überhaupt kein Brot verabreicht wurde.

Für die ärztliche Aufsicht ist es bezeichnend, dass den erwähnten Abgeordneten anlässlich ihres Barackenbesuches in mehreren Baracken mitgeteilt wurde, dass in denselben ein Arzt monatelang nicht erschienen ist. In einem Teile der Baracke Nr. 23 liegen zirka 150 Sieche in einem trostlosen Zustande. Daselbst befinden sich auch einige Wahnsinnige. In dieser Baracke, welche wohl eine besondere ärztliche Aufmerksamkeit erfordert, war laut Angabe der Barackenbewohner ein Arzt innerhalb sechs Wochen einmal zu Besuch. Die Aufnahme ins Spital ist sehr erschwert. Der Vater des sozialdemokratischen Abgeordneten Wityk war schwer krank und bat inständigst um die Spitalsaufnahme, konnte dies jedoch nicht erreichen und starb höchst verwahrlost in der Baracke. Es wurde auch über den

Mangel an Desinfektion in den Baracken geklagt. Mütter behaupteten, dass, nachdem keine Desinfektion nach Scharlacherkrankungen stattgefunden hätte, auch ihre Kinder an Scharlach erkrankt seien.

Nach dem Tode des früheren Barackenleiters wurde ein strenges Regiment den Flüchtlingen gegenüber eingeführt. Dasselbe wäre wohl hinsichtlich der subversiven Elemente, die sich zumeist aus den Grossstädten rekrutieren, am Platze, ist jedoch für die ruhigen, anständigen Staatsbürger, die die Mehrzahl der Barackenbevölkerung bilden, sehr lästig. Es wird überall über zu energisches Vorgehen mancher untergeordenter Organe, ja sogar über Misshandlungen und das Nationalgefühl der Barackenbewohner arg verletzenden Beschimpfungen geklagt. Einen empfindlichen Nachteil bildet der Mangel an Beschäftigung. Nie Nähstube kann kaum 50 Mädchen fassen, die Schneiderwerkstätte ist nicht im Betriebe, da sie als Magazin benutzt wird, in der Schuhmacherwerkstätte gab der vom galizischen Landesausschusse entsandte Instruktor an, dass die Arbeit mangels an Ledermaterial ruhe; es fehlte an den notwendigsten Einrichtungsgegenständen und Werkzeugen, übrigens könne der betreffende Raum kaum für zwölf Schuhmacher ausreichen, während sich bisher schon 102 Schuster gemeldet hatten.

Die Verhältnisse in dem Barackenlager Chotzen sind derzeit unerfreulich, es besteht aber die Hoffnung, dass Seine Exzellenz der k. k. Statthalter Graf Coudenhove, der gleich nach seinem Amtsantritte ein reges Interesse für das Barackenlager an den Tag gelegt und sofort zweckmässige Anordnungen getroffen hat, eine Besserung der Lage der Barackenbewohner herbeiführen wird.

Die Verhältnisse in dem Barackenlager in Leibnitz (Steiermark) sind zum Teil die gleichen, zum Teil noch schlechter wie in Chotzen. Das Barackenlager wurde im November 1914 belegt und es befinden sich in demselben zirka 13.000 Personen. Die Herstellung wichtiger Bauten und Einrichtungen wurde in der zweiten Hälfte des Monats Jänner nach dem persönlichen Besuche und dem Eingreifen Seiner Exzellenz des Herrn k. k. Statthalters Grafen Clary mit der gebotenen Beschleunigung durchgeführt. Die Absperrungsmassnahmen wurden noch vor Ausbruch der Flecktyphusepidemie so streng gehandhabt, dass die Barackenbewohner nicht einmal in die Kirche in Leibnitz gehen durften. Es ereignete sich der Fall, dass mehrere Arbeiterinnen die Seelenmesse, die sie für ihre in den Baracken verstorbene Freundin bestellten, nicht anhören durften. Eltern, die aus Galizien kamen und ihre Töchter, um deren körperliches und moralisches Wohl sie mit Recht besorgt waren, aus dem Barackenlager zu holen, wurden zum Besuche ihrer Kinder nicht zugelassen. Manche, unter anderen die Landwirte Jahann Szymoniak und Anna Cap, die in das Lager gelangt waren, wurden dortselbst, obwohl sie die notwendigen Unterhaltsmittel hatten, zwangsweise behalten — Szymoniak erkrankte im Lager an Flecktyphus und starb am 8. Februar, Anna Cap ist an Flecktyphus erkrankt.

Aus dem Barackenlager in Leibnitz wurden ungefähr 4000 Männer gegen ihren Willen zu Eisenbahnbauten und sonstigen Arbeiten nach Serbien expediert. Viele wurden gewaltsam von ihren Frauen

und Kindern getrennt. Unter diesen Arbeitern befanden sich 14jährige Knaben und 65 jährige Greise, welche entgegen den Bestimmungen des Kriegsleistungsgesetzes zu diesen Leistungen herangezogen wurden. Viele von diesen Arbeitern sind infolge der Strapazen und Entbehrungen zugrunde gegangen, die übrigen kehrten, nachdem sie weder einen Lohn noch eine Verpflegung erhalten hatten, von Hunger und Kälte gepeinigt worden waren und auch noch ihr Gepäck verloren hatten, nach Leibnitz zurück. Die Abgeordneten Exzellenz v. Długosz, Dr. Banaś, Średniawski, Graf Lasocki haben in ihren an die kompetenten Zentralstellen gerichteten Eingaben vom 25. Jänner d. J. um Gewährung des den erwähnten Arbeitern gebührenden Lohnes und Ersatz des erlittenen Schadens angesucht und gleichzeitig auch auf manche, anlässlich des Besuches des Barackenlagers in Leibnitz wahrgenommenen Uebelstände hingewiesen.

Die aus Serbien zurückgekehrten Arbeiter brachten in das Lager ansteckende Krankheiten mit, unter anderem Flecktyphus, der zuerst am 20. Jänner d. J. konstatiert worden ist und seither ununterbrochen wütet. Die sanitären Massnahmen für die Unterdrückung dieser Krankheiten waren nicht hinreichend. Längere Zeit hindurch war bloss ein Arzt vorhanden, der unter normalen Verhältnissen für das zirka 13.000 Personen zählende Lager nicht genügen konnte. Typhuskranke lagen unter gesunden Barackenbewohnern, die Ueberwachung der Kranken war unzureichend. Beweis dessen der am 18. März erfolgte Ertrinkungstod der Katarina Kotula. Die Pflegerinnen waren nicht einmal mit Schutzmänteln versehen, sechs derselben sind an Flecktyphus gestorben. Die Desinfektion wurde zum Teil mangelhaft, zum Teil in einer der Hygiene und Sittlichkeit nicht entsprechenden Weise durchgeführt (Frauen und Mädchen mussten in Gegenwart von Männern baden), die Desinfizierten lagen mehrere Tage lang auf blossem Fussboden ohne Strohsäcke und Decken u. dgl.

Trotz der im Barackenlager herrschenden Flecktyphusepidemie werden dortselbst fortwährend neue Transporte von Flüchtlingen, auch viele superarbitrierte Soldaten und polnische Legionäre entsendet.

Die geschilderte Behandlung der Flüchtlinge entspricht offenbar nicht den edlen Absichten unseres gütigen und hochherzigen Monarchen, der seine väterliche Fürsorge für die Flüchtlinge aus dem Königreiche Galizien und die Anteilnahme für das Los seiner Einwohner, die nach den Kaiserworten „ungezählte Opfer an Gut und Blut bereitwillig, ja vielfach selbst über das Mass gesetzlich vorgeschriebenen Waffendienstes hinaus, für das Wohl und die Grösse des Vaterlandes gebracht haben", bewiesen hat.

Die Herstellung und Verwaltung der Baracken hat dem Staat viele Millionen Kronen gekostet, diese Art der Versorgung hat jedoch bei den in den Baracken konfinierten, ruhigen, loyalen und kaisertreuen Elementen unter den Flüchtlingen eine grosse Unzufriedenheit, ja geradezu Erbitterung hervorgerufen. Viele von diesen Flüchtlingen haben ihr Hab und Gut freiwillig verlassen und dem Feinde preisgegeben, da sie auch nicht vorübergehend unter seiner

Herrschaft verbleiben wollten. Statt einer freundlichen Aufnahme in den vom Kriege verschonten Kronländern haben sie die zwangsweise Unterbringung in den Barackenlagern und statt des Schutzes der Behörden vielfach strenge Ausnahmsverfügungen gefunden. Erwähnt sei bloss beispielsweise, das seitens der k. k. Bezirkshauptmannschaft Hohenmauth erlassene spezielle Verbot des Verkaufes von Brot und Mehlerzeugnissen an Barackenbewohner, noch bevor der allgemeine Brotkartenzwang eingeführt wurde. Infolge dieses Verbotes wurde auch den ausserhalb der Baracken wohnenden Flüchtlingen der Verkauf der wichtigsten Lebensmittel verweigert, da man sie doch von den Barackenbewohnern nicht unterscheiden konnte, weiter das seitens der k. k. Bezirkshauptmannschaft Cilli herausgegebene (seither aufgehobene) Verbot des Verkaufes von Eisenbahnfahrkarten an Flüchtlinge ohne besondere Bewilligung der k. k. Bezirkshauptmannschaft, infolgedessen auch galizischen Staatsbeamten Fahrkarten verweigert wurden usw.

Die Unterbringung in den Baracken mancher aus den Grossstädten evakuierter, für die öffentliche Ordnung und Sicherheit gefährlicher und arbeitsscheuer Elemente dürfte gerechtfertigt sein. Keinesfalls aber die Unterbringung der übrigen Flüchtlinge. Es wäre daher angezeigt, womöglich alle besseren Elemente aus den Barackenlagern zu entlassen. Insbesondere gilt dies vor allem von nachstehenden Kategorien von Personen:

1. Diejenigen Personen, die über eigene Mittel verfügen oder einen fixen Gehalt beziehen und keine staatliche Unterstützung beanspruchen.

2. Familien der zur aktiven Dienstleistung herangezogenen Soldaten, denen ein Unterhaltsbeitrag gesetzlich zukommt. Der Unterhaltsbeitrag wäre voll auszubezahlen und in den gewiss seltenen Fällen, in denen sich der auf einzelne Familienmitglieder entfallende Betrag geringer stellen sollte als die staatliche Flüchtlingsunterstützung, wäre er entsprechend zu ergänzen.

3. Superarbitrierten Soldaten und Legionären wäre bei der Entlassung aus den Barackenlagern der staatliche Unterstützungsbeitrag zu bewilligen, desgleichen an Personen, die Vorspanndienste im Kriege geleistet haben. Viele von denselben haben ihre Pferde und Wagen verloren, bisher aber keine Vergütung erhalten.

4. Mittellose Personen aus dem Intelligenz- und dem Mittelstande, Angestellte öffentlicher Behörden und dergleichen. Diese Kategorie von Flüchtlingen fühlt sich in den Baracken besonders unglücklich und beeinflusst ungünstig andere, wenn auch an bescheidenere Verhältnisse gewohnte Personen. Arbeiter, Dienstboten und dergleichen, die eine Beschäftigung zugesichert erhalten haben, wären aus dem Lager zu entlassen. Für die Arbeitswilligen wäre dringend Arbeitsgelegenheit zu beschaffen. Sollte dies im Inland nicht tunlich sein, so wäre es denn doch besser, dass die Leute, sei es in Deutschland, sei es in Dänemark oder Schweden Geld verdienen und ihren Unterhalt finden, als dass sie beschäftigungslos auf Kosten des Staates in den Baracken verbleiben.

In den Baracken befinden sich noch Personen aus den neun westlich und südlich von Krakau gelegenen Bezirken, denen die Rückkehr in die Heimat bereits im Jänner im Prinzipe bewilligt worden ist. Die Heimbeförderung dieser Personen wäre mit tunlichster Beschleunigung zu veranlassen.

Viele Landwirte samt Familienangehörigen aus den vom Feinde nicht bedrohten Bezirken Wieliczka, Bochnia, Limanowa und Neusandez klagen darüber bitter, dass sie in den Baracken zurückgehalten werden, während ihre Felder brach liegen. Die Heimbeförderung dieser Leute wäre sowohl in ihrem eigenen als auch im allgemeinen Interesse erwünscht, falls es die militärischen Rücksichten gestatten.

Im Interesse derjenigen Personen, die in den Barackenlagern verbleiben müssen, wären

1. die aus technischen, sanitären und feuerpolizeilichen Rücksichten gebotenen Adaptierungen durchzuführen,
2. die Kost wäre entsprechend aufzubessern und die Verköstigung zu überwachen,
3. die bestehenden Werkstätten wären zu erweitern, mit der entsprechenden Einrichtung, Werkzeugen und Material zu versehen. Für die für das Barackenlager verrichteten Arbeiten wäre eine wenn auch geringe Entlohnung zu gewähren,
4. für die Barackenbewohner wären Vorträge religiösen, moralischen, patriotischen und wissenschaftlichen Inhaltes abzuhalten; für Frauen und Mädchen ein Haushaltungskurs, für Männer die Ausbildung in einfachen Bauarbeiten erwünscht, da in Galizien nach dem Kriege sehr viele Gebäude werden hergestellt werden müssen und ein empfindlicher Mangel an qualifizierten Arbeitern sich fühlbar machen wird.

Weitere Flüchtlingstransporte wären vorläufig nach Chotzen wegen der bereits bestehenden Ueberfüllung der Baracken, nach Leibnitz aber, wegen der dortselbst herrschendes Flecktyphusepidemie zu sistieren.

Sigismund Graf Lasocki, Reichsratsabgeordneter,
Referent des Ausschusses des Polenklubs für Flüchtlingsfürsorge.
Stanislaus Ritter von Czarnowski,
Vertreter des Zentralkomitees für die moralische Fürsorge für Auswanderer.

Załącznik 44.

HOŁD LEGJONÓW ARCYKS. IZABELLI.

Departament prasowy N. K. N. donosi z Wiednia: Dnia 20 bm. przyjęła Arcyksiężna Izabella deputację Legjonów polskich, która małżonce Naczelnego wodza armji, Arcyksięcia Fryderyka, wręczyła odlany na jej cześć medal. Deputację, składającą się ze szefa sztabu generalnego I brygady, Kazimierza Sosnkowskiego, pułk. I brygady Marjana Januszajtisa, szefa dep. wojsk. podpułk. Władysława Sikorskiego i majora III brygady Andrzeja Galicy przedstawił profesor Mycielski jako prezes komitetów humanitarnych popierających Legjony, których Arcyksiężna jest protektorką. Prof. Mycielski przed-

stawiając deputację zaznaczył, że dwaj pułkownicy i jeden major, trzech brygad legjonowych, przybyli ze szefem departamentu wojskowego wczoraj wprost z frontu, aby złożyć wyrazy najgorętszej wdzięczności za niesioną Legjonom pomoc, za pieczę nad Legjonistami rannymi, przebywającymi w szpitalach. **Pomną oni także współczucia okazanego wygnańcom galicyjskim w czasie najazdu rosyjskiego.** Jako skromny znak wdzięczności, proszą o przyjęcie medalu pamiątkowego, o zachowanie dla Legjonów polskich nadal życzliwości i o poparcie ich celów najwyższych i ideałów narodowych. Pułk. Januszajtis wręczył następnie medal. Arcyks. odpowiedziała, że najserdeczniej dziękuje za przybycie deputacji i tak piękny medal.

Medal Arcyks. Izabelli jest dziełem rzeźbiarza Kazimierza Chodzińskiego, twórcy pomnika Kościuszki w Chicago i Pułaskiego w Washingtonie i innych. Na stronie przedniej medal zawiera wizerunek Arcyks. Izabelli z profilu. Napis w otoku w języku łacińskim opiewa: „Archiducissa Isabella de principibus Croy, Friderici copiarum omnium Austriae et Hungariae ducis supremi coniunx inclitissima. (Arcyksiężna Izabella z domu księżniczka Croy, Najdostojniejsza Małżonka Fryderyka, Naczelnego wodza wszystkich wojsk Austro-Węgier). Na stronie odwrotnej wyobrażony jest Legjonista pieszy i ułan. Obie postacie przedzielone są napisem: 1914—1916 Legionorum Polonarum fautrici benignae, militum laesorum patronae benificae misericordi, civium bello opressorum tutelae ac praesidio Poloni milites gratissimi. (Legjonów Polskich protektorce łaskawej, żołnierzy rannych patronce dobroczynnej miłosiernej, obywateli wojną przygnębionych Opiekunce i Orędowniczce najwdzięczniejsi żołnierze polscy). (Komunikat departamentu prasowego N. K. N. w dziennikach z 25 maja 1916).

Załącznik 45.

Wydział krajowy
LW 42950

Lwów, dnia 28 października 1919.

Do

JWPana Zygmunta hr. Lasockiego
w Krakowie.

Zwijając obecnie agendy swoje na polu opieki nad wychodźcami wojennymi zwraca się Wydział krajowy z wdzięczną pamięcią do JWPana jako jednego z najzasłużeńszych w tej dziedzinie.

Przez dwa lata z górą (1915—1917) pełniłeś JWPanie urząd delegata naszego dla spraw opieki nad wychodźcami polskimi w obozie barakowym w Choceń w Czechach. Ponadto spieszyłeś nam JWPanie z radą i pomocą w sprawach dotyczących całokształtu tej opieki we wszystkich krajach.

Niezapomnianą zostanie Twoja JWPanie odwaga, z jaką w najtrudniejszych warunkach politycznych walczyłeś o należne najelementarniejsze prawa tych wychodźców. Niezapomnianem zaś zostanie w szczególności Twoje JWPanie poświęcenie, gdy narażając

zdrowie własne i życie zwiedzałeś szczegółowo obozy tych wychodźców w Chocen i Libnicy (w Styrji) w chwilach panującej tam zarazy. To też w historji naszego wychodźtwa wojennego na zawsze chlubną zdobyłeś sobie kartę.

Wydział krajowy wyraża Ci JWPanie za całą Twoją działalność na tem polu najszczersze uznanie i najgorętsze podziękowanie. Marszałek krajowy: Niezabitowski. Członek Wydziału krajowego: Koziebrodzki.

Załącznik 46.

O POPRAWĘ BYTU WYCHODŹCÓW POLSKICH.

(Koresp. „Nowej Reformy").

Wiedeń, 7 maja.

(Baraki w Chocni i Libnicy).

Opłakane położenie uchodźców polskich, umieszczonych w barakach w Chocni i Libnicy, obudziło zainteresowanie arcyksiężnej Izabelli, małżonki naczelnego komendanta armji, arcyksięcia Fryderyka. Z obszernego memorjału o sprawie uchodźców arcyksiężna poinformowała się szczegółowo o ich losie. Dzięki temu można się teraz spodziewać rychłego usunięcia różnych braków w barakach uchodźczych. — Świeżą wizytę namiestnika czeskiego, hr. Coudenhovego, w barakach, należy już uważać za taki dowód wzmocnionej chęci poprawy doli uchodźców, tem bardziej, że nie była to wcale zwykła formalna inspekcja. Hr. Coudenhove, któremu towarzyszył poseł hr. Lasocki, nie ograniczył się do zwiedzenia niektórych tylko ubikacyj, umyślnie „ad hoc" przygotowanych, jak to zwykle bywa przy oficjalnych wizytach, ale zbadał także sam szczegółowo urządzenia wszystkich kuchni barakowych i wszystkie oddziały barakowe. Wysłuchawszy szeregu słusznych skarg i życzeń, namiestnik przyrzekł rychłe zaradzenie tym brakom, a organy, odpowiedzialne za różne nieprawidłowości, będą usunięte. Należy się więc spodziewać znacznej zmiany w zarządzie baraków, którą uchodźcy powitają niewątpliwie z zadowoleniem. **Sz.**

(„Nowa Reforma" z 10 maja 1915).

O sposobie przeprowadzenia lustracji przez namiestnika wyrażono się również z uznaniem w korespondencji z Chocni, umieszczonej w „Głosie Narodu" z 5 maja 1915, itd.

Załącznik 47.

List do posła Lasockiego.

Kraków, dnia 12. XII. 1916.

Czcigodny Panie Hrabio!

Wiem, że Pan Hrabia ma dużo roboty z ewakuowanymi, pozwalam sobie jednak zainteresować go jeszcze następującą sprawą. Zwrócił się do nas żołnierz Franciszek Lipiec 30 pp. 6 komp. Żona jego uciekła z pięciorgiem dzieci w 1915 roku przed Moskalami. Oddano ją do baraków w Chotzen. Tam troje dzieci umarło. Ojcu cho-

dzi o uratowanie bodaj pozostałych dwojga i prosi o wydobycie tej biedaczki z Chotzen. Kobieta ta nazywa się Joanna Lipiec i przebywa w baraku Nr. 15, oddział 2.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania zawsze oddany

Józef Rączkowski.

Załącznik 48.

List do posła Lasockiego.

Gorzyce 14/I. 916.

Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus!

Wielmożny Panie Hrabio i Pośle nasz! Piszę i upraszam cię serdecznie o uzwolnienie mych curek Wandy i Franciszki Bernaś z baraków w z Hocena. Barak 33 oddział 2, kture przybyły z niemiec dnia 1 grudnia do baraków i dodziś dnia tam przebywają.

Więc upraszam Wielmożnego Hrabię i Posła naszego a rzeby się przychylił mej prozbie, a rzeby me curki mogły się jak najprędzej dostać do domu. Ja odchodzę 16/I do wojska, a Rzona i dziesięć drobnych dzieci zostaje w domu bez jednego centa i prawie boso i nago a ony jaki grosz zarobiły to w barakach zmarnują.

Pozdrawiam scałą famielią jak najserdeczniej

Tomasz Bernaś z Gorzyc p. Tarnobrzeg.

Załącznik 49.

Wielce Wielmożny Imci Pan
Hr. Lasocki poseł do Parlamentu
we Wiedniu.

Czytając kilkakrotnie, że Wielce Wielmożny stara się, by ludność (robotnicy sezonowi) mogła z baraków powracać, zwróciła się tutejsza ludność ukraińska do WPana z prośbą, by zechciał ją w tak krytycznym czasie zastąpić i czują do Pana wielkie zaufanie. Wielce Wielmożnemu wiadome są stosunki wieśniaków, że bez pomocy giną gospodarstwa, ponadto, że ich ojcowie obecnie idą do wojska a synowie na wojnę. Proszę zastąpić ludność, która na moje ręce składa WPanu najniższe podziękowanie i Bóg zapłać. Równocześnie wpłynęły prośby do ck. Ministerstwa spraw wewnętrznych co podaję o tych osób uwolnienie, które są w barakach, dalej zawiadamiam WPana Posła, że rodziny mają poddostatkiem chleba, by wracających wyżywić a osoby które są w barakach reszty nie marnowały. Proszę jeżeli możebnem zawiadomienie i przysyłam 1 marek.

Z poważaniem
Aleksander Sawicki.

Sądowa Wisznia dnia 16/I 916.
Załączony wykaz 22 osób.

Załącznik 50.

List do posła Lasockiego.

Wielmożny Panie!

Polaków z Dobropola jest tu w Gmindzie osub 66. Niech Wielmożny Pan się włoży żeby nas wszystkich zabrał na Choceński posady bo my tu nie możemy być pomiędzy Rusinami oni z nas się

naśmiewają do szkoły nasze polskie dzieci chodzą jak które z nich słowo powi popolsku to się zaraz śmieją i muwią ty Polaku, Lachu i ty kacapu. Wielmożny Panie my tu nie możemy być my by chcieli wjednej chwili dostać się na Choceński Posady gdzie jest Kościół Katolicki i Szkoła Polska tu jeszcze jest więcej Polaków z innych wiosek tak samo nie chcą tu zostać to niech Posłowie Polscy tym zajmią żeby nas stąd wszystkich zabrać na Choceński Posady bo nam bardzo żal jest, że tu nie mamy ni Kościoła swego ni Księdza, że nawet nie mamy się gdzie wyspowiadać i my sami domagali żeby nas odesłali stąd do Chocenia i chodziliśmy tu do tego że tu jest Komisarz całego Lager Baraku Biliński [1]) to on mówi, że z Chocenia wszyscy Polacy do Gmünd przyjdą i śmieją się z nas tu i tam nas nie chcą puścić i tak my sobie życzymy z chęcią niech się Wielmożne Państwo tak stara, żeby nas zabrać wszystkich i tylko że jeszcze dzieci troje wszpitalu by nam wydali ich to my w jednej chwili chcieli by się dostać do Polskich baraków Choceńskich teraz dziękujemy Wielmożnemu Państwu, że się stara o swój naród Polski bo my nadziei nie tracimy że jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy my między tymi Rusinami mieszkać nie możemy oni tu mają wszystkie swoje a my jak sieroty ani Księdza ni szkoły ni Kościoła pójdziemy do miasta to Ksiądz niemiecki my się nie możemy wyspowiadać a Ruski nie chce to niech się już o to stara Wielmożny Państwo by nas zabrać do Baraków Choceńskich proszę odpis

Leon Błanciak [2]) Gmünd Baraki 82.

Załącznik 51.

List do p. Woroszyńskiego.

Wny Łaskawy Panie!

Udaję się do Wnego Pana z wielką prośbą ażeby Pan Dobrodziej był łaskaw naszych próśb wysłuchał nas tu na Gmundzie jest pietnaście familij ze Seredyniec i tu nam Polakom między rusinami bardzo przykro żyć jesteśmy wszyscy zdrowi i prosimy Pana komisarza Bilińskiego ażeby nas przyprawił na polskie baraki do swoich ludzi jednak prośby naszej nie wysłucha. Wtem my się dowiedzieli, że Wny Pan Dobrodziej Radcą na polskich barakach i tak wszyscy poradziliśmy się że jak Wny Pan Dobrodziej nam znany z dawniejszych lat mamy ufność w Pańskiej pomocy że Wny Pan Dobrodziej z łaski swojej nam w tem pomoże a gdyby nam się to udało to my by Wnemu Panu stokrotnie dzienkowali. Nam tu nie wolno polskiego słuwka wymuwić bo jakeśmy przyjechali pirszego dnia, przyszedł do baraku jakiś eligańsko ubrany pan, ja się pytam co to za osoba, powiedziano mi, że to Inspektor a miałem do niego prośby, przystępuję do niego i zdejmuję czapkę i muwię: proszę łaski Pana gdziebym się miał udać żebym mugł dostać siennik pościelić dzieciom a on wy-

---

[1]) urzędnik galic. Namiestnictwa, Ukrainiec.

[2]) Otrzymałem od posła Serwatowskiego adresy niektórych chłopów polskich z jego okolic, umieszczonych w Gmünd i zwróciłem się do nich o informacje. Stąd korespondencja z nimi.

ciągnął rękę i chciał mnie uderzyć w twarz alem się cofnął w tył i zamyślałem się czym ja go tak obraził a on do mnie muwi: ty chłopy murgo Polak szo do meny po polsku howorysz wże ty jazyk wykrutyło a cimyr komyndant jakyś bojko każy do meny tu po polsku ny wolno howoryty. To tak jest łaskawy Panie nasz polski lud także za Ojczyzny krew przelewają a nam nie wolno po polsku muwić jak się pokazuje że rusini jeszcze nie złapali a już skubią. Może Wny Pan pomyśli jak nam tu przybywać z rusinami.

Jeszcze się raz zwracamy z prośbą do Wnego Pana niech Pan Dobrodziej bendzie łaskaw nami się zaopiekować ja jest znany Wielmożnemu Panu bom u Pańskich Rodzicuw cztery lata służył to ja Jendrzej Głuszczak i tu jest Maciej Ambroszko i my się bardzo ucieszyli jakeśmy dowiedzieli się, że Wny Pan jest na polskich barakach i mamy nadzieję, że Wny Pan Dobrodziej naszy prośby wysłucha pozdrawiamy Wielmożnego Pana wszyscy z szacunkiem: Adrys nasz: Gmund Barake Lager Nr. 56.

Załącznik 52.

List do posła Lasockiego.

Wielmożny Chrabio Lasocki!

chcemy się powrócić w jedny chwili do naszy ojczyzny i ukochany Polski tam będziemy mieli wszyscy miejsce tam nam nikt nie powie tyś taki albo taki bo tu miłości dla nas nima ino nas wyzywają mazurami.

Wielmożny Chrabio Lasocki upraszamy uprzejmie o wstawienie się za nami sierotami bo ojciec ani matka nam tu nic nie pomogą ani nikt więcy prócz Wielmożnego Pana. Żeby jaknajprędzy my się mogli z tej niewoli wyzwolnić.

Z poważaniem
Katarzyna Wtorek
z Sokolnik powiat tarnobrzeski.

Gmünt dnia 6/5 1916.

Załącznik 53.

Galiz. Landesausschuss
Zl. 77.155.

Biała, den 25. Mai 1915.

An das k. k. Ministerium des Innern
in Wien.

ad Z. 22.183 v. 18. 1. M.

Der unterzeichnete Landesausschuss kann dem ihm mitgeteilten Standpunkte des k. k. Ministeriums nicht zustimmen und bittet daher das k. k. Ministerium und zwar sowohl aus grundsätzlichen als auch aus praktischen Gründen seinem Vertrauensmanne für die Flüchtlingsfürsorge, Herrn Reichsratsabgeordneten Grafen Lasocki die Ermächtigung zum Besuche des Flüchtlingslagers in Gmünd erteilen zu wollen.

Der Landmarschall: Niezabitowski.

Das Landesausschussmitglied: Bernadzikowski.

Załącznik 54.

List do posła Lasockiego.

Łaskawy Panie Hrabio!

Ministerstwo spraw wewnętrznych uważa na podstawie następujących cyfr, podanych już także do wiadomości Wydziału krajowego, obóz w Gmünd jako ruski i zwiedzanie obozu przez Posła polskiego już jako nieaktualne.

Polaków było bowiem w Gmünd 702. Z tych należało do grupy A 350, z których 175 już odjechało do domu a drugi transport odjeżdża jutro. Z pozostających 252 przyjęło 103 robotę 10 maja, a 60 19 maja, tak, że z dniem pojutrzejszym pozostanie w Gmünd tylko 10 do 15 Polaków.

O ile wymienione cyfry i transporty się już nie zmienią — a zostały mi podane jako całkiem pewne — to by Pan Hrabia w samej rzeczy jnż nikogo w Gmünd z naszych ludzi nie zastał.

Łączę serdeczne wyrazy i pozdrowienia

Twardowski.

Wiedeń 25 maja 1916.

Załącznik 55.

List do posła Lasockiego.

Wielmożny Panie Hrabio!

Cierpliwie i z płaczem oczekujemy na Pana Hrabiego pomoc ponieważ Pan Hrabia otpisali donas że się starają pilnie i tak Prezydjom w Praze dostał od was zawiadomienie i otrzymaliśmo strozaki i kołdry dospania. Fasunku obuwia i odzienia i bilizny nic nie otrzymaliśmo. Dotychczas jakśmo mogli takśmo się obchodzili bo było ciepło a teraz przyjszła zima wszystko bose i nagie zaczyna dołuczać zimno z mrozem.

Fasujemy po 1 koronie dziennie ale Czesi nam nie chcą nic sprzedać no i cóż mamy robić, musimy ginąć z głodu, przeto prosimy Welmożnego Pana Hrabiego ażeby nam tę prośbę wysłuchał i żeby nas zabrali jaknajprędzę do Galicyji zachodnej do pracy ażebyśmy pracowali i żebyśmy nie cierpieli głodu.

Osobno ja Łukasz Muzyka i my ci wszystki co na wniosku podajemy uchylamy się z prośbą w tem celu że nasze konie pracują spoczątku marca b. roku anie posiadamy żadnej płacy i żadnych poświadczeń. Nasze krowy znajdują się także w Gmindzie, a nie posiadamy żadnych poświadczeń. Ja Łukasz Muzyka kilkanaście razy chodziłem do pana Bilińskiego [1]) prosiłem opłacę i poświadczenie, tak on mówił że nie daje nic, ni płacy, ni poświadczenia. Oczekujemy odpisu cy mogą nas zabrać do Zachodnej Galicji po wsiach i podzielić po jednej familiji po gospodarzach, ponieważ nam w mieście jest bardzo ciężko żyć, bo w mieście jest dwa razy droższy wszystko jak

---

[1]) Zob. załącznik 52

powsiach. Prosimy Welmożnego Pana Hrabiego ołaskawe upomnienie pana Bilińskiego w Gmindzie Austrji dolnej o rychłe wydanie nam poświadczeń i płacy.

Oto prosimy Welmożnego Pana Hrabiego o łaskawe załatwienie i zawiadomić jak i co ztym bendzie.

Łukasz Muzyka z Semikowiec
powiat Podhajce kraj Galicija
Hotel Kotilek ulica Winarska No. 459 in Praha Czechy.

Dołączony wykaz 13 gospodarzy, których krowy, konie i wozy pozostały w Gmünd.

Załącznik 56.

List do posła Lasockiego.

Praga dnia 11 kwietnia 1917.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Stosunki naszych uchodźców w Pradze są dzisiaj tak rozpaczliwe, że ośmielam się zwrócić do Pana Hrabiego z prośbą, by mi łaskaw był donieść, czy starania Jego w sprawie zabrania naszych uchodźców chłopów z Pragi do Galicji zachodniej, względnie rozlokowania ich po wsiach czeskich odniosły skutek.

Stali mieszkańcy Pragi wyjeżdżają na prowincję i tam robią zakupna artykułów żywności, nasi chłopi nie mają żadnych znajomości ani potrzebnej obrotności, skazani są na to, by po kilkugodzinnem czekaniu przed sklepami dowiedzieć się, że już ich poprzednikom w szeregach wszystko rozsprzedano. Wracają więc zziębnięci do domów z próżnemi rękoma. Skutki tego takie, że dzieci umierają, starzy zaś snują się jak cienie po ulicach i wiatr niemi kołysze. Jeden bochenek chleba jest od dwóch tygodni jedynem całotygodniowem ich pożywieniem. Na wsi jest jeszcze z czego żyć, proszę więc w swojem i Ojca Dąbrowskiego imieniu, by Pan Hrabia dopomógł nam uratować ten naród od głodowej śmierci.

Sługa najoddańszy
Ks. Wójcik
(delegat ks. biskupa Sapiehy do Czech).

Załącznik 57.

* **(Warnung). Die Prager Polizeidirektion teilt mit, in letzter Zeit sei die Wahrnehmung gemacht worden, dass im Barackenlager zu Chotzen untergebrachte und von da nach Prag zugewiesene Kriegsflüchtlinge sich in der Landeshauptstadt in zerrissenen Kleidern herumtreiben, obwohl sie bei ihrer Abreise aus dem Barackenlager in Chotzen mit allen nötigen Kleidungsstücken versorgt worden waren, welche sie nun offenbar entweder verborgen oder verkauft haben.** Um das Mitleid des Publikums zu erwecken, antworten sie auf allfällige Fragen, dass sie erst jetzt aus Galizien und der Bukowina nad Prag überführt wurden, viele Tage auf der Reise waren und die ganze Zeit hindurch nichts gegessen haben. Ebenso **verbreiten sie die Lügen, dass sie um alles gekommen sind, wiewohl sicher-**

gestellt ist, dass sie aus dem Barackenlager in Chotzen ihr oft bedeutendes Vermögen mitgenommen haben. Da diese falschen Angaben geeignet sind, die Bewohnerschaft Prags in mancherlei Hinsicht, insbesondere was die staatliche Flüchtlingsfürsorge anbelangt, in Irrtum zu führen, so wird hiemit der Oeffentlichkeit zur Kenntnis gebracht, dass diese polnischen und ruthenischen Flüchtlinge weder aus Galizien noch aus der Bukowina kommen, sondern aus dem Barackenlager in Chotzen, wo sie schon mehrere Monate lang verpflegt wurden und von wo sie jetzt nach Prag kamen, und dass diese Flüchtlinge vom Landeshilfskomitee für Kriegsflüchtlinge die staatliche Unterstützung (1 K pro Tag und Kopf) bekommen und dass ihnen auch die Bekleidung auf Staatskosten beschafft wird.

Prager Tagblatt Nr. 170. 21 Juni 1916.

Załącznik 58.

OGŁOSZENIE.

Zarząd c. k. baraków zawiadamia wszystkich właścicieli koni i krów, **że pomimo usilnych starań nie może zarząd znikąd uzyskać większej ilości paszy dla dobytku.**

Wskutek niedostatecznego odżywiania bydła a nawet w krótkim czasie zupełnego braku paszy, właściciele tegoż dobytku narażeni byliby na wielkie straty.

Ponieważ zarząd nie może brać na siebie za to odpowiedzialności, nakłania tychże właścicieli, aby zawczasu sprzedawać swój dobytek, dopóki z powodu ogólnego braku paszy ceny bydła nie spadną zupełnie.

Choceń, 29. II. 1916.

Załącznik 59.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Gdym był teraz w Morawskiej Trzebowie (Mährisch-Trübau) i widział na własne oczy, jak ludzie przybywający ze wschodniej Galicji odbywają tam kwarantannę, to pojęcie ludzkie przechodzi, że takie rzeczy dzieją się w w Austrji, państwie cywilizowanem i to spotyka ludzi co wszystko dla państwa poświęcili i są obywatelami Austrji. Otóż ci biedacy, tak Polacy jak Rusini umieszczeni są w stajniach dworskich. Bydło wygnali wieczór, a ludzi na drugi dzień rano tam wprowadzili. Śpią na dylach zgnojonych, pełno wszędzie pajęczyny, czarnej jak sadza, światła mało, stęchlizna straszna. Za umeblowanie służą żłoby i drabiny końskie. Jest ludzi około 2000. Gdym wszedł poprostu oniemiałem z przerażenia, a ludzie płakali jak małe dzieci. W takich warunkach ludzie mają odbywać kwarantanę. Gdzie hygjena, gdzie choć odrobinę poczucia ludzkości? Otóż nie dziw, że w barakach choceńskich śmiertelność w tych tygodniach się ogromnie zwiększyła, a w szpitalach miejsca już niema dla chorych. Po odbyciu kwarantany w Trzebowie odsyłają ich do Gmünd albo Chocni, gdzie drugi raz muszą odbywać kwarantanę. Choćby był najzdrowszy musi uledz.

Otóż o ile Pan Hrabia pojedzie do Białej, to proszę wstąpić do Moraw. Trzebowy. Ja pojadę do Księcia Biskupa Sapiehy i wszystko opowiem. Po drodze wstąpię do Ungarisch Hradisch, gdzie też mają być straszne stosunki. Kreślę się z najgłębszem uszanowaniem

ks. Pierzowicz.

Załącznik 60.

Memorjał ks. Marcinkiewicza w sprawie braków napotkanych w barakach uchodźczych we Węgierskiem Hradyszczu.

W czasie od 1 do 31 marca 1917 zwiedziłem w sprawach duszpasterskich osady uchodźcze na Morawach. Najpierw baraki stacji przeglądowej w Węgierskiem Hradyszczu, a to w Marzatycach, w Kunowicach, w kasarni, w starej poczcie, w szpitalu, w kuchni. Baraki te nie posiadają najprymitywniejszych urządzeń, bo są barakami przeznaczonymi tylko na tymczasowe pomieszczenie ludzi ewakuowanych. Tymczasem zastałem tam ludzi trzymanych przez 7 miesięcy... Z charakteru przejściowego tych baraków wynikło, że dotychczas nie pomyślano o tem, aby tam zaprowadzić choćby najpojedyńcze urządzenia. I tak w żadnym z wymienionych baraków niema ani umywalni, ani pralni, ani klozetów, więc wszystko odbywa się „sub divo". Nic dziwnego, że lud się nie myje, bo na mrozach tej zimy chyba to niemożliwem, że zmienia trudno bieliznę, gdy jej niema w dostatecznej ilości i niema gdzie wyprać. Mieszkanie w kasarni przedstawia się jak olbrzymi obóz cygański z jego nieopisanym brudem i wschodniem niechlujstwem. Mieszkają tu wszystkie niemal narodowości Austrji: Polacy, Rusini, Rumuni, cygani i inni. Kuchnie urągają nazwom właściwym. A warza, jaką się podaje, sama z siebie może u zdrowych wywołać choroby i zaburzenia żołądkowe, co rzeczywiście się dzieje. W Marzatycach urządzono w ostatnim czasie łaźnię dla wszystkich wyszczególnionych baraków. Odległość poszczególnych wynosi nawet do 1½ godziny drogi. Starcy więc z kąpieli korzystać nie mogą. Odzież kąpiących się równocześnie poddaje się dezynfekcji parowej, wskutek czego odzież staje się, jeżeli nie mokrą, to conajmniej wilgotną i w to musi się lud po kąpieli ubierać i iść z powrotem, jak wyżej się rzekło, 1½ godziny w mróz. Nic więc dziwnego, że taka kąpiel ponętną nie jest, ani też zdrowotną, sprowadza przeziębienia, katary, ostre zapalenia i tak liczne wypadki śmierci. Jeśli już mowa o śmiertelności, to podam zestawienie wypadków zachorzeń i zgonów od 1 stycznia br. do 13 marca 1917. I tak: w styczniu do szpitala oddano 188 osób, z czego zmarło 72. Ogólna liczba śmierci w styczniu: 101. W lutym do szpitala oddano 81 osób, wróciło 54. W marcu statystyka za cały miesiąc jeszcze nie była gotowa; do 13-go jednak już przekroczyła liczbę 100. Dziatwa niema tu najmniejszej opieki. W wypadku, gdy matkę wezmą do szpitala, a takich wypadków jest bardzo wiele, dzieci albo giną z głodu, bo nikt się o nie nie pyta, ani też o ich nakarmienie nie dba, albo jeśli już same dadzą sobie rady i umieją wywalczyć łyżkę strawy, to dziczeją dosłownie bez matczynej opieki.

Niezbędną rzeczą byłoby tu wglądnięcie odpowiednich czynników i przeprowadzenie sanacji stosunków, którąby szła w następującym kierunku:

Poprawić wikt, zbudować pralnie i umywalnie, klozety, zwiększyć ilość wydawanej odzieży i bielizny, dla dziatwy utworzyć ochronkę. W tym celu powołać przez Komitet Książęco Biskupi odpowiednią liczbę zakonnic kwalifikowanych. Starać się jak najspieszniej wysłać ludzi do właściwych miejsc przeznaczeń, aby ta „tymczasowość" nie trwała miesiącami. Wglądnąć w administrację baraków, aby się więcej nie działy takie rzeczy, iż bieliznę po zakaźnie chorym, oddaje się innemu, a nową w imieniu jego „fasowaną" wysyła się znajomym czy krewnym, lub się ją sprzedaje po prostu na miejscu. Kary cielesne, które tu mają zastosowanie i areszty, winny być także usunięte.

W Bernie, dnia 25 kwietnia 1917.

Ks. Dr. Marcinkiewicz.

Załącznik 61.

Odpowiedź p. Malickiego, koncyp. galic. namiestnictwa, na kwestjonarjusz Komitetu pomocy dla polskich wychodźców z Galicji i Bukowiny w Bernie morawskiem.

Wszystkich uchodźców, zarówno dobrowolnych jak i przymusowo ewakuowanych, którzy przybywają transportami wojskowymi do stacji perlustracyjnej w Węg. Hradyszczu, po przeprowadzeniu sanitarnej i policyjnej rewizji przez komisję perlustracyjną i po podzieleniu według narodowości, przeznacza się celem odbycia kwarantanny do tutejszej stacji obserwacyjnej, a następnie po ukończonej kwarantannie zgłasza taż komisja do Centralnego kierownictwa transportów w celu przewiezienia ich do obozów uchodźczych lub do gmin uchodźczych w Dolnej i Górnej Austrji, Styrji, Czechach, Morawach, Salcburgu lub Śląsku, które Ministerstwo spraw wewn. podaje do wiadomości temu kierownictwu.

Uchodźcy natomiast, którzy wykażą się odpowiednią gotówką wystarczającą na zapewnienie utrzymania dla siebie i ewentualnie wspólnie żyjących członków rodziny i zrzekną się państwowego zasiłku uchodźczego i osoby inteligentne mogą w stacji perlustracyjnej same sobie wybrać miejsce pobytu i udać się tam na koszt własny Z tego korzystali w wielkiej mierze żydzi, którzy posiadając gotówkę, udawali się z odpowiednią legitymacją od komisji perlustracyjnej n. p. do miasta zamkniętego jakiem jest Berno i tam po zamieszkaniu, twierdząc, że wyczerpali już swoje środki do życia, przy poparciu swoich komitetów uzyskiwali i tam przyjęcie w opiekę na koszt państwa.

Tutejsze baraki koncentracyjne mieszczą się w dwóch szkołach, 2 pusto stojących zajazdach, 2 cegielniach, ratuszu gminnym, starej poczcie i kasarni. Stosunki mieszkaniowe w szkole i ratuszu w Starem mieście i w szkole w Kunowicach były znośne. Zajęte one były przez żydów. Polacy i Rusini umieszczani byli w cegielniach. Są to szopy podzielone np. w Mażatycach na trzy piętra. O piekle,

jakie tu istniało, nie będzie miał nikt pojęcia, jeżeli tam nie był. W szopie tej umieszczano do półtora tysiąca ludzi, którzy chodząc po podłodze z desek w butach z drzewa, sprawiali szalony hałas, do tego dodać jeszcze hałas od powały, jaki sprawiali chodzący na wyższem piętrze, kurz sypiący się przez szpary w powale i przeciekającą wodę. Bardzo często zrywał się uchodźca w nocy, skropiony z powały „wodą" powstałą z powodu moczenia dzieci na piętrze wyższem. We wszystkich jednak barakach stosunki sanitarne i moralne były straszne. Brak umywalni i praczkarni, sypianie obok siebie mężczyzn z kobietami, nieletnich różnej płci, a co gorsze umieszczanie zepsutych kobiet, jak np. ewakuowanych prostytutek, razem z młodzieżą, szerzyło nad wyraz zgorszenie i demoralizację.

Tutejsza stacja obserwacyjna jako stacja sanitarna zupełnie chybia celu. Jeżeli bowiem w jednym baraku znajduje się ponad tysiąc uchodźców, a jak w cegielni w Mażatycach w trzech salach (na każdem piętrze jedna sala) do półtora tysiąca i wybuchnie tyfus plamisty, jak to miało miejsce w jesieni 1916, to odrazu całe półtora tysiąca jest narażone na zarażenie się i zamiast 21 dni odbywają uchodźcy sześciomiesięczną kwarantannę. Kiedy w jesieni 1916 wybuchł tyfus w Mażatycach, lekarz barakowy Markel (ze Lwowa) względnie szef sanitarny M. Salpeter (z Podhajec), powinien był zamknąć Mażatyce dla nowych uchodźców, tembardziej, że było i tak w cegielni ponad tysiąc ludzi, a to, że łatwiej byłoby zwalczać epidemję i nie narażałoby się świeżych uchodźców na zakażenie. Tymczasem wszystkie nowe transporty Polaków i Rusinów zarząd barakowy umieszczał właśnie w cegielni w Mażatycach, tłumacząc się tem, że dla Polaków i Rusinów niema innych ubikacji. Ale po naszem ustawicznem przedstawianiu znalazł wolne ubikacje w Kunowicach — chociaż za późno.

Również robotników sezonowych z Galicji zachodniej wracających z Czech lub Prus, bez odpowiednich legitymacji a do Hradyszcza przez organa kontroli odstawionych, zamykano tu do kwarantanny. Przeciwko takiemu postępowaniu protestowaliśmy często. Najpierw żądaliśmy, ażeby dla takich powracających robotników z okolic zdrowych, przeznaczono osobne ubikacje, gdzieby parę dni mogli się zatrzymać, a to dlatego, bo nie zawsze mogliśmy w tym dniu, w którym uchodźca względnie robotnik przybył do tutejszej stacji, dalej go instradować. N. p. musiał postarać się o fotografję i myśmy wystawiali mu paszport, na to zaś potrzebował conajmniej 24 godzin. Gdyśmy go oddali do baraków z prośbą, ażeby go do dnia następnego tam umieścili, to baraki nie mogły następnego dnia go wypuścić, bo zetknął się z innymi uchodźcami i musiał z nimi odbywać kwarantannę, która trwała miesiącami. Zarząd zaś baraków osobnej ubikacji dla takich uchodźców-robotników nie chciał przeznaczyć.

Zarząd baraków oddał wymierzanie sprawiedliwości w Mażatycach w ręce lekarza barakowego Markla. Ten zamykał do aresztu uchodźców polskich i ruskich. Areszt był najpierw w piwnicy w willi Logetta w Mażatycach. Później odkrył ten lekarz w cegielni jeszcze gorszą piwnicę zupełnie bez światła i powietrza, wilgotną i pełną

zgnilizny. Przykre położenie uchodźców wykorzystywali funkcjonarjusze zarządu baraków i tak np. kiedy uchodźcy mieli odjechać stąd do innych obozów a zwłaszcza do gmin uchodźczych i już byli wykazani od odjazdu — pytał się tych wykazanych Natan Gottlieb, sekretarz barakowy, czy chcą odjechać, kazał sobie zapłacić 200 do 400 koron z tytułu, że on o to się postara, ażeby ten odjechał stąd z rodziną. Od jednego transportu tak pobrał około 2400 koron.

Inny znowu „sekretarz" Emanuel Gabe, sporządzał uchodźcom w Mażatycach prośby do Namiestnictwa w Bernie, ażeby to zezwoliło na przesiedlenie się uchodźcy z baraku w Mażatycach do innego obozu lub gminy uchodźczej, a za to pobierał od uchodźcy wynagrodzenie do 200 koron. Podania były bezprzedmiotowe, ponieważ uchodźcy są tu w kwarantannie.

Ciekawe porządki panowały w szpitalu barakowym. O tych rzeczach mógłby dużo powiedzieć Dr. Jan Seyk z Czerniowiec, obecnie lekarz barakowy w Grödig koło Salzburga, jedyny lekarz Polak, który tu był chwilowo (2 miesiące), a którego stąd wygryźli. W tym celu posunęli się tak daleko, że go nawet posądzili o moskalofilstwo.

O ile chory wyzdrowiał w tym szpitalu, to nie małe było jego ździwienie, bo wszystko co miał znikło, dobre ubrania, kożuch, buty, pieniądze itd. Z dzieci małych wszystko ginęło, tak, że w zimie odnosił żołnierz ze szpitala dziecko do baraków w Mażatycach (przeszło 4 klm.) w koszuli.

Co do statystyki śmiertelności to po dzień 31 grudnia 1916 nie prowadził zarząd baraków żadnych zapisków zmarłych. Statystykę zebrałem w urzędach metrykalnych. Zmarło:

w lipcu	1916	37	w styczniu	1917	121
w sierpniu	„	63	w lutym	„	65
w wrześniu	„	129	w marcu	„	29
w październ.	„	109			
w listopadzie	„	170			
w grudniu	„	88			
W drugiem półroczu 1916 r.		596			

O znęcaniach się nad uchodźcami chrześcijańskimi można wyrobić sobie sąd z paru faktów, które przytoczę. Dnia 8 a następnie 13 listopada 1916 zgłaszają się u mnie w kancelarji Katarzyna Zarska, Marja Zarska i Katarzyna Dąbrowska z Odaja powiat Stanisławów i Karolina Kądzielewska z Halicza i Albina Sazańska z Wyżnicy, wszystkie umieszczone w cegielni w Mażatycach, skąd przez parkan uciekły, aby mogły pożalić się u nas na obchodzenie się funkcjonarjuszy zarządu baraków a przedewszystkiem na Natana Gottlieba i Filipa Hanusza, którzy cały dzień chodzą z „drągami" i biją bez powodu każdego, tak starszych jak i dzieci, kto im tylko po drodze nawinie się pod rękę, twierdząc, że wszyscy mają siedzieć w cegielni a po podwórzu nie mają się wałęsać, nie szczędząc przytem uchodźcom przezwisk i przekleństw. Wyż wymienione zeznają, że wikt jest całkiem postny, w którym nadto znajdują się rozmaite nieczystości, jak kamienie, włosy, ślimaki, kawałki z worów itp. Ku-

charka, żydówka, nie pozwala nawet oczyścić wiktuałów przeznaczonych do gotowania twierdząc, że dla chłopskich żołądków wszystko dobre. Kucharka ta i jej pomocnice również żydówki dopuszczają się kradzieży wiktuałów na szkodę uchodźców. Żaliły się dalej, że mleka, które mają pobierać dla dzieci, nie wydają im w ostatnich czasach, to też wiele z niemowląt umiera, ludzi, którzy przychodzą po swoje porcje do kuchni kucharki biją pięściami, warzechwiami, a Gottlieb, który i tam przychodzi, kijem.

Starostwo kazało uchodźcom sprzedawać bydło rzekomo z braku paszy. Wykupywali je żydzi lub Czesi. Uchodźców przedtem maltretowali funkcjonarjusze i opowiadali im, że jak stąd dalej pojadą, będą musieli za darmo bydło oddać. Funkcjonarjusze przy sprzedaży wymawiali sobie odpowiedni procent ceny kupna, naturalnie od uchodźcy. Dalej zeznały: Dnia 10 listopada 1916 ogłosił Gottlieb uchodźcom, ażeby wszyscy w kancelarji na dole bydło zgłosili w celu spisania i wysłania posiadaczy wraz z bydłem do innych baraków. Uchodźcy ucieszeni, że w końcu to znęcanie się nad nimi skończy, gdyż sądzili, że nigdzie nie może im być tak źle, jak w tej cegielni, zeszli do kancelarji, a tu oświadczył im Gottlieb, że bydło dojne mają sprzedać albo oddać barakom za paszę, a jałownik zaś muszą bezwarunkowo sprzedać. Kiedy jedna z kobiet zarzuciła Gottliebowi, dlaczego ich ciągle okłamuje, ten rzucił się w stronę kobiet, bił je, a kiedy mężczyźni chcieli kobiety obronić, zawołał Gottlieb żołnierzy pełniących tam służbę, kazał parę kobiet aresztować. Uchodźcy nie chcieli tych kobiet wydać, a wojsko wtedy z Gottliebem na czele rzuciło się na uchodźców i biło ich kolbami.

Dalej zeznały, że do kąpieli nie dają kobietom żadnych przepasek i te z dziećmi kąpią się nago. Wśród kobiet gołych chodzą Gottlieb i tak zwani saniteci (żydzi) i wyśmiewają je. W czasie kąpieli biorą ubrania do dezynfekcji i wszyscy muszą nago czekać godzinami aż im przyniosą je z powrotem. To też wiele, zwłaszcza dzieci, się zaziębiło".

P. Malicki przytacza szereg zeznań tego rodzaju o znęcaniu się nad uchodźcami.

„Takie protokoły spisawszy z uchodźcami jeszcze w listopadzie 1916 udaliśmy się do kierownika starostwa, ażeby mu je w drodze służbowej przedłożyć. Na to dostaliśmy taką odprawę: „To co Gottlieb robi — robi z mego polecenia i za to ja biorę odpowiedzialność". Następstwem dalszem było, że się posypały zarzuty, że się wtrącamy w nie swoje rzeczy, słowem droga urzędowa została nam zamknięta. Poznałem tylko jak kierownik starostwa p. Janustik pojmuje opiekę państwa nad uchodźcami.

Donosiłem również ustawicznie o kradzieżach, które popełniają funkcjonarjusze, w znacznej części żydzi, zajęci w kuchniach i magazynach ze szkodą dla uchodźców, naturalnie zawsze bez skutku. Poleciłem przeto przyłapać z pakunkiem jednego z nich i przyprowadzić go do kancelarji. Ten, Simche Beder, przyznał się, że czynił to nieraz. W ślad zatem zarządziła miejscowa policja rewizję domową, która wykazała u wyż wymienionego i u Jakóba Unterforta olbrzymi skład rzeczy skradzionych. Zarząd baraków zamiast sprawę oddać

do sądu, zadowolił się, że na kilkanaście dni oddalił owych funkcjonarjuszy, a następnie z powrotem Unterforta przyjął. Dlatego — jak mówią — że on za wiele wie z gospodarki zarządu.

Konie i bydło, które wychodźcy z sobą przywieźli, wykupywali od nich żydzi, Czesi i funkcjonarjusze zarządu (a nawet powszechnie opowiadano, że p. Klosowa — ciesząca się wielkiemi względami kierownika — kupowała a później z dobrym zarobkiem odsprzedawała) ze szkodą dla uchodźców i naszego gospodarstwa. Zmuszeni byli do tego sekaturami zarządu, który w tym celu przez parę dni z rzędu nie wydawał uchodźcom paszy dla bydła i mówił uchodźcom, żeby albo bydło sprzedawali albo niech im ginie. Wszystkim zaś tym, którzy bydła nie chcieli sprzedać, rekwirowała bydło p. Klosowa, zarządczyni braków, za zgodą kierownika starostwa, na cele nieuchodźcze (wbrew instrukcji) i oddała albo gminie albo okolicznym dworom i chłopom. W tutejszej gminie Węg. Hradyszcze dnia dzisiejszego jest 15 sztuk krów, od których mleko sprzedaje miasto dla swoich obywateli. Właścicieli zaś bydła wysłano do innych baraków. Kiedy ani prośby ani płacze uchodźców nie skruszyły p. Klosowej, i dalej zabierała bydło uchodźcom, rozgoryczenie ich doszło do ostatnich granic, tak, że z początkiem listopada 1916 groził bunt uchodźców przeciwko Zarządowi, tak, że Zarząd musiał uciekać się aż do zawezwania wojska celem „poskromienia buntowników". Skończyło się na zmaltretowaniu jednostek śmielszych, na nabiciu im guzów i pozamykaniu w „areszcie". Zarząd jednak dalej nie chciał wydawać paszy dla tej reszty sztuk bydła, które jeszcze zostały, a w końcu wydawał tylko słomę. A kiedy uchodźcy prosili, ażeby im do tego dawał trochę ciepłej wody, aby mogli sieczkę skropić, to i tego im odmawiał, pomimo, że mleko zabierał dla swej potrzeby. Ginęło więc bydło z wycieńczenia.

Pod presją uchodźcy zawarli za namową p. Klosowej niekorzystne i nieformalne kontrakty, na mocy których miano im zwrócić po wojnie sztukę albo bardzo niską cenę. Kontrakty te jednak ku wściekłości p. Klosowej udaremniłem, a sam pisałem i osobiście prosiłem w Centrali odbudowy kraju p. wiceprezydenta Grodzickiego o pomoc. Centrala więc zabrała stąd wszystkie konie i zarządziła, aby uchodźców z bydłem nie wysyłać do Węg. Hradyszcza, lecz osiedlać w obozie w Oświęcimiu, ewentualnie prywatnie po wsiach w Galicji zachodniej.

Przy tych manipulacjach zarządu z bydłem, wiele sztuk zaginęło i dziś Zarząd upominających się pociesza, że sztukę wysłał przez pomyłkę do obozu w Gmünd lub do Chocni...".

Załącznik 62.

List do posła Lasockiego.

Sekcja opieki nad wysiedleńcami Książęco-biskupiego
Komitetu w Krakowie, ul. św. Anny 6.

L. 4.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Otrzymaliśmy pismo od ks. Jana Buka z Podhorzec, poczta Złoczów, że część jego parafjan z Majdanu pieniackiego w liczbie 30

rodzin wyznania rzymsko-katolickiego, została w drugiej połowie listopada 1916 ewakuowana do Węgierskiego Hradyszcza. Umieszczono ich tam w jakiejś cegielni, bez pieca. Jak pomieszczenie to było nieodpowiedniem, dowodzi fakt, że w przeciągu kilku tygodni pobytu zmarło tam już około 30 osób, bez Sakramentów nawet, bo księdza nie posiadają.

Piszemy równocześnie do c. k. Namiestnictwa z prośbą o interwencję w sprawie przeniesienia ich do zachodniej części kraju, a przynajmniej o udzielenie im lepszego pomieszczenia i opieki. Liczymy na łaskawą pomoc w tej sprawie Pana Hrabiego i jego interwencję w Ministerstwie.

Sekcja opieki nad wysiedleńcami Książęco-biskupiego komitetu w Krakowie.

Przewodniczący:
Profesor M. Siedlecki.

Załącznik 63.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Bardzo przepraszam, że ośmielam się pisać i przedstawić nasze przejścia, byliśmy ewakowani z Boryków gminy powiat Podhajcy, byliśmy najpierw po wsiach na własnych utrzymaniach — później zabrano nas do Ung. Hradisz, gdzie obchodzono się okropnie, po pierwsze męska obsługa przy kąpieli, to wprost było barbarzyństwem jakiś rusin bukowińczyk i żyd pędzili nas do kąpieli i zdzierali ze mnie koszulę aż podarli całą koronkę od koszuli na mnie, ten rusin obelżywemi słowami traktował mię i chciał mię uderzyć ale córki moje 17letnia i 14-letnia i dwóch synków 7 i 6 letni zaczęli okropnie płakać i tak odszedł. W Choceń ta sama awantura z parnią i kąpielą nie jestem przeciwniczką porządku, ale po ludzku żeby to zrobić cały tłum barakowy matki, babki, wnuczki, córki i synowie 7 i6 letni razem nago, prostytutki chore na obrzydliwe choroby. Była tam także niejaka 100 letnia Rozalja Rozdolska i tę nie uszanowano, biedna staruszka trzęsła się z zimna i strachu, ale pielęgniarki dokonywały swoich przepisów, obnarzali nas, co to był za sądny dzień krzyk, płacz lament nic nie pomógł chichotały one z doktorami robili sobie frajdę z naszych ciał. Strasznie było patrzeć na te biedne kobiety i dziewczęta wiejskie. Chłopcy strzygli włosy na wszystkich częściach ciał tych nieszczęśliwych. Coś nakształt amfiteatrów Nerońskich. I taka straszna demoralizacja działa się w 1916 roku jakby w średniowiecznych czasach. Pan Doktor przytrzymywał kształtniejsze i poklepał to uszczypnął w pierś dziewczynę a która stara brzydka wieśniaczka, to nazwał potworą zatraconą, krew się burzyła patrzyć a po tych operacjach kąpiel później wyczykiwanie po 2 godziny na ubranie zanim z parni przyjdzie — to było okropne. Pani Czerwińskiej synek Walerjan 2 lata liczył umarł po takich kąpielach, biedna matka byłaby go ciałem okryła swem. Tysięcy dzieci ginęły. Ja miałam trochę uciułanego grosza 3000 K myślałam, że będę miała na czarną godzinę, ale gdzież, zjadły baraki bo zgniłej rze-

py dzieci jeść nie mogły. Ja dopiero od 12 maja otrzymałam zasiłek a tyle straciłam, cały majątek, zdrowie — dzieci marnują mi się bo z dnia na dzień zwleka się z tą podróżą do domu. Chciałam dać dziecko synka gdzieś do zakładów, nigdzie nie udało mi się i tak marnuje się biedne.

Błagam Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego Dobrodzieja umieścić gdzieś go w zakładzie, pozostaję z szacunkiem i poważaniem sługa Helena Gąsiorowska.

Załącznik 64.

7 lutego 1917.

Sprawozdanie z wizytacji baraków w Chocni odbytej w dniu 1 lutego 1917 r.

Zwiedzenie baraków choceńskich wykazuje, że **one absolutnie nie kwalifikują się do umieszczenia ludzi,** zwłaszcza w czasie zimy. Baraki są prawie ciemne, a zwłaszcza przedziały barakowe leżące w środkowej części każdego baraku prawie zupełnie światła nie mają. Baraki są ogrzewane jednym lub dwoma żelaznymi piecami, a że są źle zaopatrzone, wobec tego w barakach jest zimno nie do wytrzymania, tylko w chwili, gdy się w piecu pali, ci ludzie, co bezpośrednio przy piecu siedzą, mogą się trochę ogrzać.

Życie jest bardzo złe, jedynie dla dzieci młodszych, dla których przyznana jest odpowiednia ilość mleka, jest wikt do zniesienia, ale i dla dzieci warunki hygieniczne wskutek pomieszczenia w barakach ciemnych i nieogrzanych są nie do zniesienia. Śmiertelność wśród dzieci jest ogromna. Pożywienie jest niedostateczne, a zwłaszcza stanowczo za mało podawane jest tłuszczu. W kuchni Nr. 5 w dniu wizytacji na 529 osób wydano substancji tłuszczowych 3/4 kg. masła i 5 kg. słoniny, jednakowoż wśród tego tylko 1 kg. słoniny prawdziwej, reszta skwarki. Przyrządzenie także jest niedobre. Zupa próbowana przezemnie była wstrętna.

Pod względem sanitarnym urządzenie szpitali jest wprawdzie wzorowe, **ale naczelne kierownictwo pozostawia nadzwyczajnie dużo do życzenia.**

1) Znalazłem bardzo wiele miejsc nieobsadzonych w szpitalach, a natomiast w barakach leżały chore dzieci, w najgorszych warunkach, jakie umieszczenie barakowe tam stwarza. W jednym z nich znalazłem dziecko wypuszczone ze szpitala, które wyszedłszy stamtąd miało pełną głowę gnid. Dziecko było chore na grulicę stawu kolanowego (gonitis tuberculosa). Oprócz tego była gruźlica u ręki i nogi.

2) W razie wybuchnięcia chorób epidemicznych, zwłaszcza tyfusu plamistego przetransportowywani są wszyscy mieszkańcy baraków do baraków zamkniętych. W tych barakach siedzą czas niejednokrotnie nadzwyczajnie długi. N. p. w baraku Nr. 16 znalazłem ludzi siedzących tam 12 tygodni, do tego baraku przyszli z baraku Nr. 18, gdzie siedzieli 6 tygodni zamknięci. Do baraku Nr. 18 przyszli z baraku Nr. 31, gdzie siedzieli 9 tygodni. W ten sposób siedzą w zamkniętym baraku 27 tygodni. Rozumiem dobrze, że zamykanie

ludzi, przy rozpoczęciu epidemji jest koniecznem, ale to przesiadywanie całemi tygodniami jest następstwem zbyt wielkich baraków. W tak znacznej liczbie jest oczywiście łatwiejsze pojawienie się nowego przypadku zakaźnych chorób. Należałoby zrobić w ten sposób, żeby baraki kontumacyjne były zupełnie niewielkie i grupy ludzi, którzyby przeszli kontumację szczęśliwie mogłyby wrócić do baraków otwartych.

3) Podczas gdy z niektórych baraków zamyka się ludzi, to inne mimo przypadków tyfusu plamistego pozostają otwarte. Ludzie komunikują się z sobą, tyfus plamisty dalej się szerzy. W ten sposób otwartym pozostał barak Nr. 6 i barak Nr. 8, mimo przypadków tyfusu plamistego.

4) Traktowanie ludzi w barakach zamkniętych sprzeciwia się zasadom ludzkości. Tych ludzi prowadzi się do kąpieli, co naturalnie wskazane, jednakowoż niejednokrotnie są oni niedostatecznie odziani, źle, albo wcale nie obuci, mimo tak wielkiego mrozu, jaki obecnie panuje. Przed kąpielą, gdzie przeprowadza się strzyżenie włosów, zabiera się ubranie do dezynfecji. Kiedy po kąpieli ludzie wychodzą, ubranie jest niegotowe i nieraz po kilkadziesiąt kobiet równocześnie w jednym pokoju czeka na przyniesienie ubrania całkiem nago. Są tam razem kobiety starsze, stare i dzieci. Rewizję w kierunku dokładnego usunięcia robactwa przeprowadzają medycy, mimo, że do personalu lekarskiego należy lekarz kobieta [1]). Przetrzymywanie godzinami całemi nagich ludzi jest zupełnie zbyteczne, tembardziej, że Zarząd posiada płaszcze, któremi mogliby przynajmniej kobiety okryć. Ubrania, w których wracają z kąpieli są częstokroć mokre, a ludzie muszą przechodzić przez podwórze do swych baraków w mrozie. Po powrocie do baraków nie zastają tam pościeli, widziałem ludzi, którzy dla całej rodziny mieli do okrycia jeden tylko koc, sienniki były zabrane do dezynfekcji, tak, że na gołych deskach musieli po kilka nocy przepędzić bez należytego okrycia.

5) W szpitalach niepotrzebnie trzyma się rekonwalescentów po tyfusie plamistym, zwłaszcza, jeżeli się stwierdzi fakt, że ludzie, którzy ze szpitala wychodzą, mają jeszcze wszy i że jest osobny oddział dla chorób zakaźnych.

Że cała ta sprawa sanitarna jest źle prowadzona, to najlepszym dowodem jest fakt, że w barakach choceńskich stale jest tyfus plamisty, mimo, że się ma do czynienia z ludnością, która jest zamknięta i że ludność, która świeżo przychodzi mogłaby być poddana kwarantannie.

Prof. Dr. Emil Godlewski.

Załącznik 65.

DZIECI ŚLEPNĄ. Jaglica (egipskie zapalenie), jeśli nie jest leczona natychmiast, sprowadza ślepotę; jest przytem bardzo zaraźli-

[1]) W czasie, gdy prof. Godlewski zwiedzał baraki, zaszła już była zmiana na lepsze. Nie zachowywano się już brutalnie i nieprzyzwoicie przy rewizjach, strzyżenia włosów dokonywały kobiety i ograniczano je do niewielkiej stosunkowo liczby wypadków.

wa i udziela się otoczeniu. Otóż jaglica szerzy się wśród dzieci zastraszająco, roznoszona zwłaszcza przez powracających z baraków. **Pośród dzieci, przywiezionych z Chocenia, przeszło 80 proc. jest dotkniętych jaglicą, a na miejscu zupełnie nie leczonych.** By dzieci ratować od niechybnej ślepoty, Komitet Książęco Biskupi założył w Oświęcimiu schronisko lecznicze na 235 dzieci. Rozmiary epidemji nakazują znaczne rozszerzenie zakładu, tymczasem stan funduszów Komitetu Książęco Biskupiego wymaga ograniczenia go, jeśli nie wręcz zamknięcia. Jedyna nadzieja w „Tygodniu K. B. K.". A nieleczone dzieci oślepną i staną się społeczeństwu ciężarem.

(„Głos Narodu" z 12 grudnia 1917).

Załącznik 66.

List ministra Twardowskiego do posła Lasockiego.

Łaskawy i Kochany Panie Hrabio!

Mówiłem dziś z hr. Toggenburgiem: Pelikan zostanie usunięty. Cieszę się, że mogę o tym rezultacie donieść i łączę szczere wyrazy

szczerze oddany

Twardowski.

Wiedeń 1 grudnia 1917.

Załącznik 67.

List do posła Lasockiego.

Choceń 30/XII 1917.

Wielmożny Panie Hrabio!

Spieszę pogratulować Panu Hrabiemu sukcesu, jaki odniósł. Ludzie cieszą się ze zmiany Pelikana. Gdy jedna kobieta dowiedziała się, że już go niema, wykrzyknęła: „Te Deum laudamus, że już ten antychryst pojechał". Cieszymy się, że jest szefem szpitala Polak, i dziękujemy Wielmożnemu Panu Hrabiemu bo wiemy, że Jemu to mamy do zawdzięczenia. U nas w ostatnich tygodniach nic nowego nie zaszło, prócz wyjazdu Pelikana. Był bardzo przygnębiony. Proszę Pana Hrabiego o łaskawe przysłanie mi Swej mowy o uchodźcach wygłoszonej w parlamencie.

Załączam życzenia szczęśliwego Nowego Roku od siebie i całego ludu ewakuowanego. Niech Pan Bóg wynagrodzi stokrotnie trudy i starania Wielmożnego Pana Hrabiego nad polepszeniem doli biednego ewakuowanego ludu.

Z wyrazami głębokiego poważania

Ks. Ignacy Dudziak.

Załącznik 68.

List ministra skarbu Letha do prezesa Bilińskiego.

Der K. K. Finanzminister.

Wien am 18. Oktober 1916.

Eurer Excellenz

beehre ich mich in Angelegenheit der Unterbringung polnischer Flüchtlinge mit Bezug auf das hochgeschätzte Schreiben vom 25. v. M. mitzuteilen, dass ich in der Eurer Excellenz bereits mit dem Schreiben vom 5. d. M. bekanntgegebenen Absicht, den Wünschen Eurer Excellenz möglichst Rechnung zu tragen, durch die während

meines Aufenthaltes in Galizien gemachten Wahrnehmungen auf's wesentlichste bestärkt wurde. Ich nehme daher gleichzeitig Anlass, den Herrn Leiter des Ministeriums des Innern in **einer neuerlichen Note** zu begrüssen, in welcher ich speziell auf die Notwendigkeit der Behebung des Mangels an Arbeitskräften in Galizien hinweise und meine Zustimmung erkläre, dass den in Rede stehenden Flüchtlingen, auch wenn sie in den westlichen Gebieten Galiziens untergebracht sind, die übliche Flüchtlingsunterstützung ausgezahlt werde.

Ich bitte diese Mitteilung bis zur endgiltigen Entscheidung der Angelegenheit gefälligst vertraulich behandeln zu wollen.

Genehmigen Eure Excellenz den Ausdruck meiner ausgezeichneten Hochachtung

Leth.

Załącznik 69.

Na zażalenie episkopatu galicyjskiego z powodu niewłaściwości popełnianych przy zarządzaniu i przeprowadzaniu ewakuacji w Galicji, odpowiedział arcyksiążę Fryderyk pismem z dnia 9 października 1916 Nr. 130.392 na ręce arcybiskupa Bilczewskiego. W obszernem tem piśmie twierdził, iż Naczelna komenda armji zarządza ewakuacje tylko wtedy, gdy względy militarne i ochrona ludności w czasie walk tego wymagają i stara się uniknąć przytem zbędnych uciążliwości dla ewakuowanych. Omówił następnie obszernie przepisy, jakie pod tym względem obowiązują. Jeżeli się czasami zdarzają nadużycia, jest to winą podrzędnych organów wykonawczych. Co do umieszczenia ludności ewakuowanej oświadczył, iż Naczelna komenda armji w porozumieniu z namiestnictwem galicyjskiem, zawsze zajmowała to stanowisko, iż ludność ewakuowaną należy pozostawić o ile możności jak najbliżej jej siedzib i zatrudniać ją przy pracach pożytecznych dla ogółu, a to w tym celu, by w danym razie umożliwić jej szybki powrót, utrzymać w kraju siły robotnicze i nie powiększać jeszcze trudności aprowizacyjnych w krajach poza terenem wojennym. Zaznaczył przytem, że z początku była różnica zapatrywań pomiędzy namiestnictwem — br. Diller — a ministerstwem spraw wewnz., w kwestji pomieszczenia ewakuowanych, albowiem ministerstwo nalegało na odesłanie wszystkich ewakuowanych do obozów dla uchodźców, położonych poza terenem wojennym. Później jednak przyszło do porozumienia, które uwzględniło wszystkie życzenia w tej kwestji.

Odnośne ustępy brzmiały w oryginale:

„Anlangend die Unterbringung der Evakuierten hat das AOK im Einvernehmen mit der k. k. galizischen Statthalterei immer den Standpunkt vertreten, die Bevölkerung möglichst nahe ihrer Heimat unterzubringen und zu gemeinnützigen Zwecken zu verwenden, um gegebenenfalls ihre rasche Rückkehr zu ermöglichen, dem Lande die Arbeitskräfte zu erhalten und die grossen Approvisionierungs-Schwierigkeiten im Hinterlande nicht noch zu vermehren.

Es bedarf hiebei auch nicht unerwähnt bleiben, dass sich die galizische Statthalterei bezüglich der Unterbringung der Evakuierten anfangs nicht ganz im Einklang mit dem k. k. Ministerium des Innern

befand, welches auf dem Abschub aller Evakuierten in die Flüchtlingslager des Hinterlandes drängte. Inzwischen ist jedoch bereits eine allen Ansprüchen Rechnung tragende Einigung in dieser Frage erzielt worden".

Załącznik 70.

List do posła Lasockiego.

Choceń 19 września 1916.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Zapewne JWPanu Hrabiemu wiadomo, iż przed kilku tygodniami zarządziło c. k. Ministerstwo spraw wewnętrznych, by tutejszych **Polaków** wysiedlać na „prywatne mieszkania" do Styrji, aby uczynić miejsce dla nowych transportów świeżo ewakuowanych z Galicji.

Wspomniane zarządzenia c. k. Ministerstwa na razie doznały zwłoki, ponieważ z powodu podejrzanych wypadków tyfusowych na 2 wolnych barakach został obóz barakowy na 3 tygodnie zamknięty. Po otwarciu przystąpił c. k. Zarząd baraków do złożenia pierwszego transportu do Styrji (na razie 500 osób), ogłoszono więc możność zapisania się na prywatne mieszkanie do Styrji. Psyche baraków zna Jaśnie Wielmożny Pan Hrabia dokładnie, nie potrzebuję więc dodawać, że zgłosiło się dosyć ochotników. W dniach 13 i 14 b. m. wysłano transporty po 250 ludzi.

W dniu dzisiejszym przybyły do baraków pierwsze wieści od osób, które tam wyjechały. Malują one warunki pobytu tam w tak dosadnych barwach, że postanowiłem bezwłocznie uwiadomić o tem Pana Hrabiego z prośbą o zużytkowanie tego materjału w miarę Swej decyzji. Naprędce zebrałem kilka korespondentek i dosłowne ich odpisy przesyłam JWPanu Hrabiemu w załączeniu. Drugą kopję przedkładam równocześnie Wydziałowi krajowemu w Białej. Oryginały mam u siebie i są do dyspozycji JWPana Hrabiego.

Miejscowość, do której wysłano ludzi zowie się Gusswerk powiat Bruck a./M. w Górnej Styrji.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku i wysokiego poważania

Jan Bandrowski

Adjunkt konc. Gal. Wydziału kraj. [1]).

Załącznik 71.

Wielmożny Wiśniowski Inspektor Chotzen (Böhmen)

Barackenlager — Gusswerk 17/IX 1916.

Wielmożny Panie Inspektorze!

Nigdy w życiu nie bylibyśmy uwierzyli żeby nas Zarząd baraku tak zaprzedał jak żydzi Pana Jezusa zaprzedali. To to jest prywatne mieszkanie! Przyjęcie nasze było kolbami od żandarmerji, kilka kobiet kolbami pobili. Przy śniadaniu, przy obiedzie i przy kolacji stoją

---

[1]) Wydział krajowy wysyłał swoich urzędników do osady choceńskiej w celach pośrednictwa pracy do Galicji — przyczem napotykał na największe trudności ze strony ministerstwa spraw wewnętrznych i zarządu baraków — tudzież dla nadzoru nad warsztatami, które w osadzie tej założył. Jednym z tych urzędników był p. Bandrowski.

żandarmi z najeżonymi bagnetami — to my sobie na to zasłużyli! Jeżeli zarząd wiedział że my do baraku jedziemy, to mógł wyraźnie powiedzieć, a nie ludzi zbuntować na prywatne mieszkanie. My już wysłali depeszę do Ministerstwa jak sobie Zarząd z nami postąpił, bezbronnych ludzi kolbami bić i katować i nazywać „Polskie świnie". Wnosimy zażalenie do Pana Inspektora i błagamy o pomoc gdzie jesteśmy odcięci od świata bez pomocy lekarskiej, bez księdza i kościoła i szkoły dla dzieci. Prosimy to podać do księży żeby głosili co z nami będzie. Pozdrawiamy Pana. Adresować Józef Niemczewski Gusswerk Bezirk Bruck a/M Obersteier.

Załącznik 72.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Dnia 12 i 13 października byłem znowu w Gusswerku chciałem według życzenia Pańskiego zakupić mleka dla dzieci uchodźców. Jednakże pomimo wszelkich starań nie było mi możliwem ani jednego litra otrzymać, gdyż w tamtejszej okolicy nikt nie chce mleka sprzedać, tem więcej, że jest to dla biednych uchodźców galicyjskich. Byłbym dobrze mleko zapłacił, jednakże niczego nie otrzymałem. Z tych 200 koron zamyślam u pewnego kupca w Maria Zellu zakupić przynajmniej 50 kg. jabłek a 1 kor. 20 h., żebym dzieci obdzielił. Co się zaś tyczy reszty pieniędzy to prosiłbym Jaśnie Wielmożnego Pana o wskazówki co by z niemi uczynić. Myślałbym za kilka koron kupić chleba dla ubogich uchodźców, gdyż niekiedy otrzymują kartki na chleb, a nie mając pieniędzy, nie mogą sobie niczego kupić.

Położenie kolonji zawsze to samo. Dnia 13/X zwiedzał tę kolonję p. Starosta baron Willfried wraz z komisarzem starostwa p. Drem Prochaską. **Panowie ci przeczytali także przedstawienie Pańskie co do traktowania uchodźców ze strony żandarmów a pan starosta oświadczył, że tego żandarma nie odkryto, który miał dziewczyny bić.** Z całego przebiegu debaty poznałem, że chcieliby polepszyć los uchodźców, jednakże cała sprawa idzie bardzo powoli.

Dotychczas już umarło 8 osób a w szpitalu jest ich około 15, gdyż pomieszkanie w fabryce jest zdrowiu strasznie szkodliwem. Wszyscy proszą i błagają o przeniesienie do innej miejscowości. Możeby Pan Hrabia mógł coś w tej sprawie uczynić, żeby może uchodźców przeprowadzić do Galicji zachodniej.

Dnia 13/X urządziłem w kościele w Gusswerku nabożeństwo i starałem się kazaniem ludzi pocieszyć i uspokoić. Wszyscy chętnie przybyli a poznałem, że śpiew w kościele i nabożeństwo polskie bardzo wszystkich pocieszyło.

Na przyszły tydzień we wtorek lub środę znowu pójdę do Gusswerk. Jest prawda, że droga ta 4-godzinna, którą trzeba piechotą odbyć, gdyż powozu nie można otrzymać, jest męczącą, jednakże pospieszam tam chętnie, gdyż leży mi na sercu los biednych uchodźców.

Proszę więc usilnie JWielmożnego Pana nie chcieć zapomnieć o tych biednych a dopomódz im, żeby się z tego niezdrowego pomieszkania wydostali.

Także pan starosta oświadczył, że Pan Hrabia może i jest w stanie dużo w tej sprawie zdziałać.

Ks. Józef Kubok,
administrator parafji w Neuhaus.

Neuhaus, Post Langau 14/X 1916.

Załącznik 73.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Studentów jakoteż sierot i terminatorów nie mogę wysłać do kraju. Zarząd nic nie ułatwia, raczej trudności wyszukuje. Jeżeli w tych dniach do niedzieli nie zadecyduje, pojadę do Krakowa na nowo poruszyć sprawę u ks. Biskupa.

Sprawa pokaleczonego Krupy tak się przedstawia: Na bramie do baraków stróż nie chciał wpuścić przekupki z owocami. Wtedy Krupa, który miał w ten dzień służbę, ujął się za ową babą. Przyszło między nimi do starcia na języki, którego rezultatem było wezwanie żandarma przez stróża. Krupa tymczasem spokojnie udał się do baraku na strażnicę a za nim wnet podążył żndarm z bagnetem wydobytym z pochwy. Lecz tutaj mu nic nie zrobił tylko zabrał go ze sobą na posterunek. Ponieważ Krupa był w służbie, a według regulaminu nie zdejmuje się z głowy hełmu, stanął przed żandarmem z hełmem na głowie. Kiedy na wezwanie żandarma nie chciał zdjąć hełmu z głowy, wtedy dopiero żandarm sam zerwał mu go z głowy i grzebieniem hełmu ciął Krupę w nos tak, że krew trysnęła i jeszcze teraz ma nabrzmienie na nosie dość porządne. Następnie żandarm obuchem od toporka strażackiego uderzył Krupę w bok, lecz nie zranił. Na dobitkę zamknięto go jeszcze do kozy na kilkanaście godzin.

Dra Ottenbreita już niema. Rozgoryczenie w Zarządzie było bardzo wielkie z powodu jego obywatelskiego wystąpienia wobec Ministra. Za kilka dni uwolniono go z obowiązków, a ponieważ nie można było osobiście mu tego aktu wręczyć, na drzwiach jego pokoju przybito ten ukaz, że nie wolno mu odtąd mieszkać ani wiktować się w szpitalu. Wieczorem żandarm śledził w szpitalu, czy Dr. Ottenbreit się gdzie nie ukrywa. Po rosyjsku! Lekarze także usunęli się od p. Ottenbreita, który ze łzami wyjechał żałowany tylko przez ludzi i siostry. Był to lekarz pełen serca i poświęcenia dla chorych. Wielka szkoda. Teraźniejszy szef sanitarny Dr. Pelikan wprowadza rządy absolutne i system oszczędnościowy może czasem do przesady. My zajmujemy stanowisko wyczekujące.

Łączę wyrazy głębokiej czci dla Pana Hrabiego.

X. Słowiaczek.

Choceń 7 października 1915.

Załącznik 74.

List do posła Lasockiego.

Choceń Kolonja polska 10/VIII 1917.

Wielmożny Panie Hrabio!

Nie pisałem długo, bo żywiliśmy nadzieję, że lada chwila Pan Hrabia zaszczyci nas swoją wizytą. Szczególnie bylibyśmy się cie-

szyli, gdyby był Pan Hrabia przyjechał w czasie wizyty ks. Arcybiskupa Bilczewskiego, która n. b. wspaniale wypadła. J. E. ks. Arcybiskup wszystkiem żywo się interesował, słuchał żalów i skarg ludu, krzepił i pocieszał jak umiał, nie szczędząc słów pochwały jednym a nagany drugim. Nawet i wszechwładnemu p. Pelikanowi coś się dostało z pigułek gorzkich. Był także na cmentarzu barakowym i widział to straszne żniwo śmierci na wygnańcach polskich. Zabawił tu od 13—15/VII. Wszystko ładnie wypadło, ale był i dysonans. Rusini zupełnie usunęli się od przyjęcia. Ks. Arcybiskup boleśnie to odczuł. Ostatniemi czasy były tu rozmaite komisje z Pragi i Wiednia. Był także pan sekretarz ministerjalny Wieser i informował się co do p. Pelikana i co do stosunku jaki zachodzi między Polakami a Rusinami. Baraki już w większej części przebudowane, ale jeszcze nikt w nich nie mieszka, bo jeszcze niema łóżek. Dzięki interwencji K. B. K. wywieziono przeszło 100 dzieci starszych do Oświęcimia. 1/VIII, zawiozłem tam 50 przeważnie chore na oczy z II baraku i Sierocińca, w środę zaś wysłano tamże 54 z innych baraków. Wczoraj była tu Julja Tuchalska z Krynicy i prosiła żebym się wstawił za nią u Wielmożnego Pana Hrabiego bo jej tutejszy Zarząd nie chce wydać krowy. Ma poświadczenie, że miała tutaj krowę Nr. 574, lecz tu gdzieś przepadła. Przyjeżdżała biedaczka z Krynicy po nią, musząc opłacać sobie kolej tu i z powrotem, a tymczasem ani krowy ani wynagrodzenia dostać nie może. Byłem już w tej sprawie u p. Sekretarza, ale bez skutku.

W załączeniu przesyłam kartę z ruchu ludności. Jestem tu na razie sam — bo ks. Dudziak pojechał na kilka dni do Tarnowa. Z początkiem lipca bawił tu mój poprzednik ks. Karol Michalski.

Łącząc dla Wielmożnego Pana Hrabiego wyrazy czci i szacunku — pozostaję szczerze oddany

ks. Paszyna.

Załącznik 75.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Napisałem do Ministra Handla [1]) w sprawie przeniesienia naszych wysiedleńców do Mitterndorf. Powiedziałem, że konieczna przedsięwziąć: „eine gründliche Sanierung des Elends, ehe alle Greuel, die an unserem Volke begangen wurden, ans Tageslicht gebracht werden... Es liegt das im Interesse des Volkes aber nicht desto weniger des öffentlichen Wohles und der Hohen Regierung".

Wobec tego, że Pan Hrabia pisze, iż ma się rozpocząć przeniesienie naszych uchodźców z Chocni do Mitterndorf i do innych miejscowości, mam wątpliwość, czy jechać do Chocni czy też odczekać trochę i odwiedzić ich dopiero w nowych ich siedzibach. W każdym razie nim mrozy nie zelżą, niepodobna jechać, bo może nie mogliby się nawet wszyscy do mnie zbliżyć.

———————

[1]) Minister spr. wewn. br. Handel wydał w czasie krótkiego swojego urzędowania parę zarządzeń korzystnych dla uchodźców.

Prosiłem radcę Dworu p. Twardowskiego o przeniesienie kilkudziesięciu Polaków z Klapping [1]) do Mitterndorf. Odpisał mi, że sprawa już na dobrej drodze.

Łączę dla JWPana Hrabiego wyrazy głębokiego poważania

J. Bilczewski.

Lwów 10/II 917.

Załącznik 76.

Memorjał Episkopatu do prezesa Koła polskiego, Bilińskiego.

Ekscelencjo!

Z powodu mającego się odbyć w Krakowie posiedzenia Koła Polskiego, postanowił Episkopat polski w Galicji zwrócić się do Jego Ekscelencji jako Prezesa Polskiej parlamentarnej reprezentacji w Austrji, w sprawie ulżenia nieszczęsnej doli tysięcy uchodźców i ewakuowanych, których smutny los nie może być obojętnym dla tych, którzy na straży naszych narodowych interesów stać powinni.

Ze smutkiem jednak stwierdzić musimy, że na cierpienia przymusowo wygnanych uchodźców Koło Polskie, jako polska parlamentarna reprezentacja w Austrji, nie zwróciło należytej uwagi, gdyż z posłów polskich i chrześcijańskich głównie tylko poseł Hr. Lasocki, pracując z całą gorliwością, stał się prawdziwym opiekunem tych najnieszczęśliwszych ofiar obecnej wojny.

Na pobojowiskach giną tysiące Polaków, w naszych wsiach i miastach pochłonęły zarazy niezliczone ofiary, złe odżywienie zmniejsza odporność naszego dotychczas tak bardzo wytrzymałego ludu — tak, że krajowi naszemu grozi najokropniejsza z klęsk: klęska wyludnienia. W takich warunkach, bardziej niż kiedykolwiek ciąży na społeczeństwie, a zwłaszcza na jego reprezentantach, obowiązek bronienia przed zagładą tych, którzy stanowią przyszłość narodu tj. najmłodszego pokolenia. A przecież oddawna dochodzą nas wieści, że w barakach ewakuacyjnych, opuszczone i zdane na łaskę losu w najokropniejszych warunkach giną tysiące polskich dzieci. Na dowód, że tu nie chodzi o gołosłowne skargi, przytoczymy kilka cyfr wyjętych ze statystyki śmiertelności w barakach choceńskich:

W 1915 r. przy przeciętnem zaludnieniu 15.000 ludzi, umarło 1227 osób — z czego 900 dzieci.

W 1916 r. w 4-ch miesiącach, tj. styczniu, lutym, marcu i kwietniu przy przeciętnem zaludnieniu 9.000 ludzi, umarło 1410 osób, z tego 1078 dzieci — zaś do 24 IX. br. umarło wogóle 2083 osób, w czem 1303 dzieci, a zatem w przeciągu 7 kwartałów zginęło 2203 dzieci w samem tylko Choceniu.

Jakież są przyczyny tego olbrzymiego wzmożenia się śmiertelności?

Otóż począwszy od stycznia do kwietnia br. wywożono ewakuowanych ze wschodnich powiatów i umieszczano ich na Morawach w Węgierskiem Hradyszczu i Morawskiej Trzebowie dla odbycia kwarantanny. W Węgierskiem Hradyszczu umieszczano ich w cegielniach, gdzie ludzie cierpieli dotkliwe zimno, w Morawskiej Trze-

[1]) Mała osada, w której uchodźcom źle się powodziło.

bowie zaś wprowadzano ich do stajen dworskich i tam wprost na gnoju, bez światła, w powietrzu przesyconem stęchlizną, odbywali oni 21-dniową kwarantannę. Jeżeli zaś zaszedł jaki wypadek tyfusu, lub zaszło podejrzenie o tyfus plamisty, wówczas kwarantanna się przedłużała. Polscy księża widzieli te stajenne kwarantanny w Morawskiej Trzebowie, a nawet ludzi obozujących pod gołem niebem. Po odbyciu takiej kwarantanny, która wprost destrukcyjnie na organizm działać musiała, odsyłano ludzi do baraków choceńskich, gdzie powtórnie zamykano ich w barakach izolacyjnych dla odbycia nowej kwarantanny.

W barakach byli wygnańcy zamknięci po dwa, trzy do czterech miesięcy na kwarantannie. Znosili zimno, brak światła, spali częstokroć na gołej podłodze bez sienników — szli do kąpieli urządzonych w ten sposób, że po każdej kąpieli wiele osób musiało nabawiać się choroby. Obcinanie włosów w celach dezynfekcji przeprowadzano w sposób niesłychanie bezwzględny, a nadto dziewczęta i kobiety wraz z dziećmi musiały zupełnie nago stać po dwie, trzy i cztery godziny, podczas gdy lekarz swoje badania przeprowadzał.

Dla dezynfekcji odbierano kożuchy, nie znaczono ich też należycie, wskutek czego wielu uchodźców straciło nawet i ten swój ostatni dobytek.

Odżywianie ludności w barakach jest zupełnie niedostateczne, pokarmy podaje się bez omasty i w ilości zaledwie chroniącej od śmierci głodowej, wskutek czego występuje u ludzi ogromne osłabienie organizmu, bezpośredniem zaś tego następstwem jest wielki procent śmiertelności.

Jak bardzo lud jest osłabiony, świadczy o tem fakt, jaki zaszedł w dobrach Hr. Kinsky'ego na Morawach. W czasie tegorocznych żniw wysłano znaczniejszą ilość ludzi do robót polnych w dobrach Hr. Kinsky'ego. Ludzie ci padali wśród pracy z omdlenia i to po kilka razy dziennie. Przerażony właściciel posłał po lekarza, bo przypuszczał, że wybuchła może wśród robotników epidemja. Przywołany lekarz stwierdził u robotników ogromne wycieńczenie organizmu. Dzisiaj, gdy już od dłuższego czasu odżywiają się oni należycie, są robotnikami, dla których właściciel niema dosyć słów uznania.

Baraki choceńskie są niedostatecznie oświetlone, a nadto wskutek ich przepełnienia rozszerzają się w nich bardzo łatwo choroby zakaźne np. odra, cierpienia oczu itp. Większość baraków nie jest należycie zaopatrzona, tak, że dotkliwe zimno czuć się w nich daje, bo szparami wiatr przewiewa.

Chociaż obecnie więcej jest lekarzy i chociaż szpital postawiono na stopie zupełnie nowoczesnej, to jednak opieka lekarska stała się gorszą. Dochodzą bowiem skargi na grubiańskie obchodzenie się jednego z lekarzy tak, że ludność od szpitala stroni i do ostateczności, nawet wbrew przepisom sanitarnym ukrywa dzieci w barakach — tem bardziej, że odwiedzanie chorych w szpitalu jest wzbronione. Czyż więc może biedna matka, która czasami traci w jednym tygodniu na epidemję dwoje lub troje dzieci, spieszyć z chorem dzieckiem do szpitala, gdy nie wolno jej przed jego śmiercią zobaczyć ostatnie nieraz może dziecię?

Czyż można mieć zaufanie do szpitala, gdzie, jak słuchy dochodzą, jeden z lekarzy podobno bije pielęgniarki, a te, idąc zapewne za przykładem z góry, biją chore dzieci?

Obecnie, obok Polaków przebywają w barakach choceńskich także i Rusini, pomimo tego, że Ministerstwo orzekło, iż baraki choceńskie mają być przeznaczone dla polskich tylko uchodźców. Stwierdzić tutaj należy, że ruscy posłowie godnie się wywiązują ze swego zadania i nieustannnie o swoich rodaków się troszczą, bo od kwietnia br. do chwili obecnej posłowie: Lewicki, Semaka i Kołeša byli już kilka razy w Chotzen, a ksiądz Żuk odwiedził baraki dwa razy. Postarali się ci posłowie o szkołę dla Rusinów i wprowadzili do zarządu urzędnika Rusina.

Usadowienie się znacznej ilości Rusinów w barakach choceńskich w zasadzie przeznaczonych dla ludności polskiej, pomimo tego, że posiadają oni osobne baraki w Wolfsberg w Karyntji i olbrzymią osadę w Gmünd w Dolnej Austrji, sprawiło, że młodzież nasza nie może korzystać z nauki tak, jak tego plan szkolny wymaga. Dlatego też na 1200 dzieci polskich uczęszczających do szkoły, jest tylko 5 sal do dyspozycji, bo 3 sale odstąpiono Rusinom. Zwrócić też musimy uwagę na fakt, że oprócz tego 600 dzieci polskich odbywa jeszcze kwarantannę a i te z czasem powiększą liczbę dzieci szkolnych.

Na pomieszczeniu w barakach choceńskich znacznej ilości ludzi obcej narodowości i odmiennego obrządku cierpi także ogół naszego ludu, gdyż nie może on należycie spełniać swych praktyk religijnych, bo kościół nie może pomieścić wszystkich wiernych. Tak samo zresztą, jak i Polacy narzekają na te stosunki Rusini, ale zapobiegliwi ich posłowie sprawili, że projektuje się budowa nowej szkoły, a nawet podobno także cerkwi kosztem około 200.000 Kor.

Niedawno temu, bo 13 i 14 września br. na wyraźne polecenie Ministerjum, usunięto z baraków choceńskich do Styrji rzekomo na prywatne mieszkania 500 Polaków, nie zaś Rusinów. Dochodzą nas wieści, że panują tam straszne warunki, bo uchodźców nie umieszczono wcale w prywatnych mieszkaniach, lecz w jakichś z fabryki przerobionych barakach, bez pieców, w niewygodzie, pod wartą wojskową, jakby więźniów.

Czyż wobec tego można się dziwić, że wśród uchodźców wzrasta żal i że mimowoli nasuwa im się pytanie, dlaczego nasi posłowie nie starają się o nich?

Daty i fakty podane w powyższem piśmie odnoszą się tylko do baraków choceńskich, gdyż nie mogliśmy uzyskać równie ścisłych dat odnoszących się do innych barakowych kolonji, a zupełnie nie były dla nas dostępne obozy internowanych z Królestwa Polskiego. Z wiarygodnych źródeł wiemy jednak, że we wszystkich tych kolonjach panują opłakane stosunki. Wobec tego gorąco upraszamy:

1. Aby Koło Polskie zechciało uznać już podczas obecnych obrad sprawę zajęcia się ludnością ewakuowaną, jako niezmiernie ważną dla narodu polskiego i stwierdzić, że sprawa ta załatwiana była dotychczas przez miarodajne czynniki w sposób nieodpowiedni, uwłaczający zasadom ludzkości i chrześcijańskiego miłosierdzia.

2. Upraszamy, aby Koło Polskie zechciało wybrać mężów zaufania, którzyby we wszystkich miejscowościach, gdzie żyje ludność ewakuowana, stwierdzili istotny stan rzeczy i w jak najkrótszym czasie zdali sprawę ze swych badań Kołu w celu przeprowadzenia środków zaradczych.

Poza temi dwoma prośbami ogólnej natury wysuwają się szczegółowe postulaty, których załatwienie w bardzo znacznym stopniu ulżyćby mogło nieszczęsnej doli wygnańców. Dlatego prosimy w dalszym ciągu o wzięcie pod uwagę i uznanie, że

3. ludność polska i chrześcijańska powinna być umieszczoną w osobnych kolonjach barakowych;

4. że w takich kolonjach Zarząd baraków powinien spoczywać w rękach polskich urzędników;

5. że w wielu kolonjach barakowych, a zwłaszcza w Choceniu budynki mieszkalne są nieodpowiednio zbudowane, ciemne i niedostatecznie zaopatrzone przed zimnem.

6. Wobec olbrzymiej i ciągle wzrastającej śmiertelności w barakach choceńskich upraszamy Koło Polskie o zażądanie od odpowiednich władz urzędowej statystyki; oraz wyjaśnienia przyczyn tej klęski.

7. Upraszamy o poczynienie kroków, aby do szpitali barakowych i do miejsc osiedlenia wygnańców wysyłano znaczniejszą ilość lekarzy Polaków.

8. Wreszcie upraszamy o stwierdzenie, że dotychczasowe pośrednictwo w dostarczaniu pracy wygnańcom było niedostateczne, oraz o poczynienie kroków, by przynajmniej w kolonjach barakowych założono szereg pracowni i warsztatów, któreby nietylko dały ludności możność zarobkowania, lub wykształcenia się rzemiosłach, lecz przedewszystkiem uchroniły ją przed demoralizacyjnym wpływem przymusowego próżniactwa.

Powyższe uwagi, podyktowane nietylko przez uczucie prostej litości, lecz przedewszystkiem przez poczucie obowiązku rozciągania moralnej opieki nad powierzonym nam polskim ludem, przedkładamy Ekscelencji ufni, że On sam, jakoteż cała polska parlamentarna reprezentacja, rozwiną energiczną działalność i przez swą skuteczną akcję zdołają ochronić od niechybnej zagłady tysiące niewinnych i nieszczęśliwych naszych braci.

W imieniu i z upoważnienia Episkopatu Polskiego w Galicji

† Adam Sapieha

Książę Biskup Krakowski.

Załącznik 77.

Memorjał posła Lasockiego przesłany prezydentowi ministrów Koerberowi, ministrowi spraw wewnętrznych br. Schwartzenau i ministrowi dla Galicji Drowi Bobrzyńskiemu.

Die Unterbringung der grossen Massen von Flüchtlingen aus Galizien und der Bukowina, die im Herbste 1914, vor der Russeninvasion Zuflucht in den westlichen Kronländern gesucht haben, war gewiss keine leichte Aufgabe, es sind daher viele Mängel und Uebel-

stände, welche in den ersten Wochen, sogar in den ersten Monaten dieser Bewegung vorkamen, leicht erklärlich und entschuldbar. Nachdem sich jedoch die Verhältnisse mit der Zeit nicht wesentlich geändert hatten, speziell die **Flüchtlinge polnischer Nationalität**, die in den Barackenlagern in Leibnitz und Chotzen untergebracht waren, **geradezu inhuman behandelt** wurden, und sämtliche bei den zuständigen Behörden vorgebrachten Vorstellungen ergebnislos blieben, **mussten sich Vertreter der Polen, im April 1915, unter Führung des Obmannes des Polen-Klubs, Exzellenz Ritter von Biliński, an Mitglieder des Kaiserlichen Hauses um Schutz und Hilfe wenden. Dank deren edlen Bemühungen und dem Einschreiten unseres gütigen und für alle seine Völker gleich gerechten Monarchen, wurde eine bedeutende Besserung der Lage der Flüchtlinge für längere Zeit erzielt. Leider sind in der Folge neuerlich Missgriffe begangen worden:** So wurden z. B. **Ende 1915, Tausende von** aus Deutschland und Dänemark heimkehrenden **Saisonarbeiterinnen ungebührlich lang in den Flüchtlingslagern zurückbehalten,** obwohl der Rückkehr derselben in die freigegebenen Bezirke Galiziens nichts im Wege stand. Diese Arbeiterinnen mussten — während man sie in der Heimat, die sie vor bald 2 Jahren verlassen hatten, sehnsüchtig erwartete, wo sie ihren durch die Kriegsereignisse hart betroffenen Familien mit ihren Ersparnissen und ihrer Arbeit hätten helfen können — in den Baracken verbleiben und zumindestens einen Teil des im Auslande erworbenen Geldes für die Kostaufbesserung und oft unnütze Auslagen verausgaben. Manche derselben fielen den im Lager in Chotzen herrschenden Seuchen zum Opfer. Es bedurfte wiederholter Bemühungen S. E. des Obmannes und der Vertreter des Polenklubs, um die Entlassung der Arbeiterinnen aus den Baracken und deren Heimbeförderung zu erwirken.

Die Ende 1915 und Anfangs d. J. aus Ostgalizien evakuierten bäuerlichen Familien wurden direkt menschenunwürdig behandelt. Ein Teil der Evakuierten wurde **in Mähr. Trübau in Stallungen** untergebracht. Als Lager diente ihnen der Mist, sie litten unter einer empfindlichen Kälte, die Ernährung war unzureichend und schlecht. Die sanitären und sonstigen **Verhältnisse in der Perlustrierungsstation Ung. Hradisch** waren ebenfalls **denkbar schlecht. Aus diesen Stationen, in welchen viele Flüchtlinge, insbesondere Kinder, starben,** wurden durch Transporte allerlei **Seuchen in die Flüchtlingslager eingeschleppt, u. a. die Flecktyphusepidemie nach Chotzen.** Diese Seuche wurde in dem Barackenlager Chotzen folgendermassen bekämpft: **grössere Gruppen von Frauen und Mädchen** — auch „leidende" und Kranke sowie Knaben bis zu 8 Jahren, **mussten splitternackt mehrere Stunden lang in dem kalten Vorraum der Badeanstalt warten** (daher zahlreiche Verkältungen), **bevor ein Arzt, beziehungsweise ein Barackeninspektor jede einzelne untersucht hätte, ob sie ungezieferfrei ist,** eine Manipulation, die wohl die erste beste Pflegerin hätte vornehmen können. In den ersten Tagen, insolange nicht die Oberbehörden infolge von Beschwerden eingeschritten sind, wurde beinahe ausnahmslos **jeder Frau und jedem Mädchen das Haar am Kopfe und an den Geschlechtsteilen durch junge Busrchen, Friseur-**

gehilfen, geschoren. Durch diese drakonische, das Sittlichkeits- und Schämgefühl der anständigen Bauernfrauen und Mädchen arg verletzende Massnahme wurde nichts erreicht, da die **Flecktyphusepidemie, die im Lager seit Februar d. J. ununterbrochen herrscht, bisher nicht unterdrückt wurde.**

In der zweiten Hälfte Juni d. J., **knapp vor der Ernte, wurden 2.750 Flüchtlinge** poln. Nationalität, **durchwegs bäuerliche Familien, nach Prag dirigiert,** wo sie in Gasthöfen letzten Ranges, in Massenquartieren untergebracht wurden, in welchen sie den ganzen Sommer hindurch verblieben. Die **Polizeidirektion in Prag erliess** kurz nach der Ankunft der Flüchtlinge in allen Prager Blättern eine **Warnung an die Bevölkerung vor der Beteilung derselben mit Kleidern** „da sie im Barackenlager Chotzen mit allen nötigen Kleidungsstücken versorgt worden sind". „Lügen verbreiten, dass sie um alles gekommen sind, obwohl sie oft ihr bedeutendes Vermögen mitgenommen haben" und „ihre falschen Angaben geeignet sind die Bewohnerschaft Prags in Irrtum zu führen". Diese Warnung, die sicherlich kaum geeignet war das gute Einvernehmen zwischen den Flüchtlingen und der einheimischen Bevölkerung herzustellen, entsprach auch nicht den Tatsachen, da die Flüchtlinge in der Regel ihr ganzes Hab und Gut hatten zurücklassen müssen und mittellos waren, auch hatte ein grosser Teil derselben keine Kleider erhalten, u. z. die Flüchtlinge die aus Gmünd kamen. In Gmünd wurde ihnen die Beteilung mit Kleidungsstücken unter Hinweis darauf, dass sie als Polen nach Chotzen befördert und dort mit Kleidern bedacht werden, verweigert, in Chotzen blieben sie nur kurze Zeit, u. z. in gesperrten Baracken, wo sie gleichfalls keine Kleider erhielten.

Mitte September d. J. wurden zirka 500 Polen, vorzugsweise **Familien mit kleinen Kindern,** aus dem Barackenlager in Chotzen **in den Gebirgsort Gusswerk** (745 m. Seehöe) an der Mariazeller Bahn, in welchem schon Ende September eine empfindliche Kälte herrschte, wo eine grosse Lebensmittelknappheit und Teuerung besteht, **befördert und in einem von einer Privatunternehmung betriebenen, in jeder Hinsicht hin vollkommen unentsprechenden Massenquartier untergebracht.** Bei ihrer Ankunft wurden die Flüchtlinge **von Gendarmen mit Kolbenstossen und Beschimpfungen „polnische Schweine" empfangen.** Infolge Verkältung und Unterernährung sind in Gusswerk in kurzer Zeit **verhältnismässig viele Kinder gestorben.**

Die eben angeführten Episoden, deren es noch viele andere ähnliche gab, beweisen, dass **bei der Flüchtlingsfürsorge zahlreiche Fehler und Missgriffe begangen** wurden. Als **prinzipielle Fehler** müssen jedoch **das Barackensystem selbst,** die **Erschwerung der Heimbeförderung der Flüchtlinge, sowie der Unterbringung derselben in Galizien,** und **hinsichtlich der polnischen christlichen Flüchtlinge, die ungleichmässige Behandlung derselben mit anderen Nationalitäten, beziehungsweise Konfessionen,** bezeichnet werden. Es wäre wohl begreiflich, wenn man die für die öffentliche Ruhe, Ordnung und Gesundheit bedenklichen Elemente in Konzentrationslagern untergebracht hätte. **In die Barackenlager wurden aber wahllos** — und dies nicht bloss in den ersten Monaten der Flüchtlingsbewegung, sondern

auch noch im dritten Kriegsjahre — vollkommen unbedenkliche, ruhige, loyale Staatsbürger, u. a. auch **bemittelte Leute, die vom Staate keinerlei Unterstützung verlangten, Staats-Beamten- u. Angestelltenfamilien, Mittelschüler, tausende von Familien von Reservisten und Landsturmmännern untergebracht, die einen gesetzlichen Anspruch auf den Unterhaltungsbeitrag** — der gegen ihren Willen für den Unterhalt in den Baracken verwendet wurde — **hatten.** Viele dieser Familien **verloren ihre Kinder in den Baracken, während die Familienernäher für Kaiser und Reich im Felde standen. Tausende von Bauernfamilien und landwirtschaftlichen Arbeitern** verbrachten ihre Zeit im Nichtstun **in den Baracken, während man ihre Arbeit bei der Landwirtschaft dringend benötigte. Ordentliche Leute mussten mit dem Abschaume der Bevölkerung,** anständige Frauen mit Dirnen nicht bloss in denselben Baracken, sondern auch in denselben Abteilungen verbleiben. Die Unterbringung der anständigen Elemente in den Barackenlagern war nicht bloss in hygenischer, aber auch in moralischer Hinsicht höchst bedenklich.

Nach dem Hinausdrängen des Feindes bedurfte es geräumer Zeit und grosser Bemühungen bevor die Flüchtlinge in ihre Heimstätten zurückkehren durften. **Tausende von Joch Feld lagen brach, weil ihre Besitzer in den Baracken verbleiben mussten.** Die Rückkehr in einen Teil der vom Feinde längst geräumten Bezirke (Gruppe B) wurde dadurch erschwert, dass die Flüchtlinge, die bereits alle ihre Mittel erschöpft hatten, **die Reise** in diese Bezirke **selbst bezahlen mussten.** In Chotzen allein haben ein paar Tausend Leute Fahrkarten lösen müssten. Die meisten hatten ihre letzten Habseligkeiten, Kleidungsstücke u. drgl. zu diesem Zwecke verkauft und **traten die Heimreise unter Schluchzen und Fluchen an.**

Nachdem man den **teoretischen Grundsatz aufgestellt hatte, dass als Flüchtlinge nur diejenigen anzusehen sind, die sich ins Hinterland begeben haben,** wurde für jene zahlreichen **Flüchtlinge und Evakuierten,** die im Vertrauen, dass unsere Truppen bald den Feind zurückdrägen werden, beziehungsweise auch aus Furcht vor der Unterbringung in den Baracken, **in den von den Russen nicht bedrohten Gegenden Galiziens zurückgeblieben waren,** durch die längste Zeit gar keine staatliche Hilfe zu Teil. Diese Leute wurden **ihrem Schicksal und ihrem Elend überlassen.**

Die Unterbringung der Flüchtlinge, insbesondere der bäuerlichen Bevölkerung, im weiteren Kriegsgebiete und gar der polnischen Flüchtlinge in den westlichen Bezirken Galiziens, somit in einer Entfernung von mehreren hundert Kilometern von dem Kampfgebiete, unter Gewährung der Flüchtlings-Unterstützung, wäre wohl die einfachste, für den Staat die billigste und für die Flüchtlinge die vorteilhafteste Art der Flüchtlingsfürsorge gewesen. Die Flüchtlinge würden sich unter einen gleichsprachigen Bevölkerung befinden, sie könnten ihren Gottesdienst, die Kinder aber die Schule besuchen. Viele würden Arbeitsgelegenheit und Verdienst finden und der Landwirtschaft Galiziens, welche Arbeitskräfte dringend braucht, gute Dienste leisten. Dem Staate würden viele derzeit im Hinterlande für den Barackenbetrieb, Verwaltung, religiöse und kulturelle Flüchtlingsfürsor-

ge erforderlichen Ausgaben entfallen. Aus diesen Gründen wurde wiederholt **seitens der Vertreter der Polen um Unterbringung der Flüchtlinge und Evakuierten polnischer Nationalität in den westlichen Bezirken Galiziens ersucht.**

Die Unterbringung der kleinstädtischen jüdischen Flüchtlingsbevölkerung in Galizien ist während des Krieges aus dem Grunde weniger angezeigt, weil viele kleine Städte in Westgalizien gänzlich ausgeplündert und zum Teil zerstört worden sind, die jüdische Bevölkerung sich aber in der Regel zu manuellen Arbeiten, somit zu Wiederaufbauarbeiten wenig eignet und sonst schwer Verdienst und Ernährungmöglichkeit finden würde. Die jüdische Flüchtlinge, die gewöhnlich nicht in Barackenlagern, sondern gemeindeweise, unter Gewährung der Flüchtlingsunterstützung, untergebracht wurden, sind in grossen und ganzen mit ihrem Aufenthalte im Hinterlande für die Kriegsdauer zufrieden, wo sie sich hauptsächlich Dank der tatkräftigen Fürsorge ihrer Glaubensgenossen, viel besser helfen können als die christlichen Polen.

Nach offiziellen Quellen waren **Barackenlager im Jahre 1915 für zusammen zirka 50.000 polnische** (Leibnitz und Chotzen) und **23.000 jüdische Flüchtlinge** (Nikolsburg, Gaya, Pohrlitz, Bruck) **bestimmt.** („Denkschrift über die von k. k. Regierung aus Anlass des Krieges getroffenen Massnahmen I Teil, S. 294 und Sektionsrat von Marquet „Die Staatliche Flüchtlingsfürsorge in Oesterreich"). Diese Ziffern wurden allerdings nie voll erreicht und waren auch mit Rücksicht auf den wirklich zur Verfügung stehenden Belagraum nicht zu erreichen. Jedenfalls aber befanden sich **bedeutend mehr christliche Polen als Juden in den Baracken,** während die **Zahl der unbemitttelten polnischen Flüchtlinge** nach den in der Ausstellung für Flüchtlingsfürsorge aufgestellten offiziellen Tabellen **Mitte 1915 rund 169.000, diejenige der Juden 266.000 betrug.**

Die ruthenischen Flüchtlinge wurden zum grossen Teil **in Barackenlagern** untergebracht, **die jedoch bedeutend besser waren** als das für Polen bestimmte Lager in Chotzen. **Insbesondere** gilt dies von **Gmünd,** was die Anlage, Bauart der Baracken, Einrichtungen für die Beschäftignung und Zerstreuung der Flüchtlinge und überhaupt den ganzen Betrieb anbelangt. Es wurden weiter Unterschiede in der Remunerierung der polnischen und ruthenischen Lehrkräfte zu Ungunsten der Ersteren gemacht. Derzeit gibt es noch weniger Lehrkräfte an der polnischen Schule in Chotzen, als an der ruthenischen, obwohl die Anzahl der polnischen Schulkinder bedeutend grösser ist.

Den **polnischen Abgeordneten** wurde der **Besuch der Barackenlager, in welchen sich polnische Flüchtlinge befanden erschwert, oder auch überhaupt nicht gestattet,** während die ruthenischen als willkommene Gäste empfangen wurden. **Die christlichen Polen sind die einzige Nationalität, beziehungsweise Konfession, die kein besonderes Lager für sich allein besitzt,** sondern das ursprünglich für sie bestimmte Lager in Chotzen mit den Ruthenen teilen muss. Daraus ergeben sich für die Polen Nachteile hinsichtlich der Benützung der Kirche und Schule. Es ist zwar glücklicherweise gelungen bisher nationale Reibungen im Lager zu vermeiden, die Unterbringung der Po-

len in einem besonderen Lager wäre jedoch für sie vorteilhafter. Um jedoch eine ruthenische Minderheit im Lager zu erhalten, wurden Transporte von Polen in die Massenquartiere nach Prag und Gusswerk befördert.

Wenn auch die Lage sämtlicher Flüchtlinge, die in den Barackenlagern untergebracht sind, keinesfalls beneidenswert ist, so sind doch **die christlichen Polen am schlechtesten untergebracht.**

Die Lage des Barackenlagers in Chotzen, auf einem sumpfigen Platze ist keine gesunde, das Wasser ist nicht gut, **am schlechtesten** sind aber **die Baracken,** einstöckig gebaut, mit einem Belagraume für je 526 Personen, oft überfüllt. Die inneren Räume sind derart finster, dass man in denselben sogar an hellichsten Sommertagen nich lesen kann. Die Baracken sind im Winter schwer beheizbar, im Sommer dumpfig, es wimmelt in denselben von allerlei **Ungeziefer.** Im Falle des Vorkommens einer epidemischen Krankheit unter den zahlreichen Bewohnern der Baracke, wird dieselbe gesperrt.

Bei jedem neuen Erkrankungsfalle wird die Sperre auf mehrere Wochen verlängert. Auf diese Weise **müssen mehrere hundert Leute oft 5 bis 6 Monate in den gesperrten Baracken verbleiben.** Dieser grosse Uebelstand besteht in weit geringerem Masse in Lagern, welche Baracken neueren Typus mit einem geringeren Belagraume besitzen. Ueber die hygenischen und sanitären Verhältnisse **im Barackenlager Chotzen sprechen die Sterblichkeitsdaten** eine deutliche Sprache: **vom 1. Jänner bis zum 11. Oktober 1916** gab es nach den Todesmatriken **2.297 Todesfalle** (zumeist Kinder) **bei einer Bevölkerungszahl von durchschnittlich zirka 12.400 Personen.** Es gibt selten eine Familie im Lager, die nicht zumindestens ein Kind verloren hätte. Es gipt auch viele Waisen, deren Eltern in den Baracken gestorben sind.

Das Barackensystem ist für den Staat die kostspieligste und bei den Flüchtlingen eine direkt verhasste Art der Flüchtlingsfürsorge.

Aus den in der bereits erwähnten Denkschrift des Ministeriums des Innern „Staatliche Flüchtlingsfürsorge" enthaltenen Daten ergibt sich, dass etwas weniger als **ein Sechstel der Gesamtzahl der unbemittelten Flüchtlinge in den Barackenlagern untergebracht wurden. Ihre Unterbringung und Verpflegung allein** — abgesehen von den Auslagen für Verwaltung, religiöse und kulturelle Fürsorge, Bekleidung u. s. w. — **hat bis zum 1. Oktober 1915 rund K. 41,652.000 gekostet, während die Barunterstützungen an die übrigen (somit fünf Sechstel) in Gemeinden untergebrachten Flüchtlinge rund K. 82,457.000 betragen haben** (Seite 10, 46 und 47 der Denkschrift).

Man musste manchmal **den Unternehmern mehr für die Verköstigung der Flüchtlinge in den Baracken zahlen, als die ganze für Wohnung, Kost, Beheizung, Beleuchtung u. s. w. bestimmte Barunterstützung für in Gemeinden untergebrachte Flüchtlinge betrug.** Es wurde z. B. im Barackenlager Leibnitz im Frühjahr 1915 dem Unternehmer für die Kost — deren Wert zwei Aerzte auf zirka 20 Haller schätzten — 85 Heller täglich pro Kopf gezahlt, während zur gleichen Zeit die Flüchtlingsbarunterstützung 70 Heller betrug. In der letzten Zeit wurde dem Unternehmer in Gusswerk für das denkbar

schlechte Massenquartier und die elende Kost 1 Krone 10 H. pro Person gewährt; die Barunterstützung an Flüchtlinge, welche Privatwohnungen bezogen, beträgt 1 Krone.

Die Flüchtlinge denen die gewiss bescheidene Unterstützung von zuerst 70, dann 90 Heller, schliesslich 1 K. gewährt wurde, beklagten sich nicht über die ihnen zu Teil gewordene staatliche Flüchtlingsfürsorge, unter denjenigen aber die unter der Misswirtschaft in den Baracken zu leiden hatten — es sind deren viele Tausende — besteht eine **geradezu bedenkliche Stimmung.**

Das Barackensystem war weder für den Staat, noch für die Flüchtlinge vorteilhaft. Einen Vorteil hatten eigentlich nur die Bauunternehmer, Verköstigungsunternehmer, Lieferanten und dgl.

Mit Rücksicht auf die Verhältnisse in den Barackenlagern **haben sich Vertreter der Polen bemüht, insolange die Rückkehr der Flüchtlinge nach Galizien nicht tunlich war, die gemeindeweise Unterbringung derselben im Hinterlande, später aber die Unterbringung der Flüchtlinge und Evakuierten aus Ostgalizien in Westgalizien zu erwirken.** Die Belassung der Flüchtlinge in Galizien hätte u. a. die **Entlastung der Eisenbahnen** und die **Ersparnis der Kosten** der Beförderung der Flüchtlinge ins Hinterland, der Verschiebungen innerhalb des Hinterlandes und der Rückbeförderung zur Folge. Diese Kosten dürfen zwar nicht jene **phantastischen Ziffern,** die zur Zeit der Flüchtlingsfürsorge-Austellung angegeben und in der Presse verlautbart wurden — insgesamt bis 1. Oktober 1915 angeblich 124,840.000 Kronen, hievon **für Verschiebungen innerhalb des Hinterlandes 64 Millionen** — die ich zu beanständen Gelegenheit hatte, erreicht haben, betragen aber jedenfalls eine bedeutende Summe, insbesondere für Verschiebungen innerhalb des Hinterlandes, als deren Beispiele die Eingangs erwähnten Beförderungen der polnischen Flüchtlinge nach Prag und Gusswerk dienen können.

Vom militärischen Standpunkte dürfte, wie **aus dem** in Abschrift mitfolgenden **Erlasse des k. k. Etappenoberkommando vom 18. April 1915, Op. Nr. 39.397,** an den Vizepräsidenten der Stadt Kra-Kau Dr. Nowak, sowie aus dem Umstande **zu entnehmen ist, dass** viele Tausende von Flüchtlingen sich früher in den westlichen Bezirken Galiziens aufgehalten haben und sich auch jetzt aufhalten, ohne beanständet zu werden, **gegen die Unterbringung der Flüchtlinge in Westgalizien keine prinzipiellen Bedenken obwalten.**

Hinsichtlich des in der **Note des k. k. Ministeriums des Innern vom 19. September 1916 Zl. 44964 an den galizischen Landesausschuss geltend gemachten Grundsatzes, dass die staatliche Flüchtlingsfürsorge und die Gewährung von staatlichen Mitteln hiefür nur ausserhalb der Kriegsgebiete im Hinterlande einzusetzen haben,** welcher Grundsatz „eines der mit dem Finanzministerium s. Z. vereinbarten und unverrückbar festgehaltenen Grundprinzipien der staatlichen Flüchtlingsfürsorge bildet, **dessen Aufgeben die weitestgehenden staatsfinanziellen Konsequenzen haben könnte**", wird nachstehendes bemerkt: **Der erwähnte Grundsatz hat offenbar nur für Galizien Geltung,** nachdem galizische Flüchtlinge in Steiermark — z. B. in Gusswerk — welches zum weiteren Kriegsgebiete gehört und in

Kärnten — z. B. in Wolfsberg — **sogar im engeren Kriegsgebiete** der staatlichen Flüchtlingsfürsorge sei es durch Unterbringung in Baracken und Massenquartieren, sei es durch Gewährung der Barunterstützung teilhaftig werden. Auch hat der frühere Herr **Finanzminister** S. E. Ritter **von Leth,** nach einer Besprechung mit Exzel. Ritter von Biliński Mitte Oktober d. J. seine **Zustimmung erklärt, dass gewissen Kathegorien von Flüchtlingen auch wenn sie in den westlichen Gebieten Galiziens untergebracht sind, die übliche Flüchtlingsunterstützung ausgezahlt werde,** wodurch dieser Grundsatz durchbrochen erscheint.

Die **wichtigste Frage hinsichtlich der Fürsorge für die christlichen Flüchtlinge polnischer Nationalität wäre daher die Unterbringung derselben in westlichen Bezirken Galiziens, unter Gewährung der staatlichen Barunterstützung.**

Der **richtige Zeitpunkt** für die Beförderung der Flüchtlinge nach Galizien wurde **versäumt.** Wären die Leute noch wenigstens zu den Herbstarbeiten nach Galizien befördert worden, so hätte man sie als willkommene Aushilfe für die einheimische Bevölkerung aufgenommen, sie hätten etwas Geld für den Winter verdient, man hätte für ihre Ernährung im Winter, Vorsorge getroffen. Die Unterbringung der Flüchtlinge lässt sich jetzt allerdings nicht mehr so leicht bewerkstelligen. Ich glaube jedoch, dass **Vorbereitungen für eine derartige Unterbringung rechtzeitig zu treffen wären.**

Sollte die Beförderung der Flüchtlinge nach Galizien aus irgend welchem Grunde verschoben werden, so wäre es dringend notwendig:

1) Die **Baracken in Chotzen entsprechend zu adaptieren,** für Familien mit kleinen Kindern **Baracken neuen Typus,** mit geringem Belagraume und Abteilungen für Familien **herzustellen;**

2) Denjenigen Flüchtlingen, die sich zu Angehörigen und Bekannten nach Westgalizien begeben wollen, die Abreise zu gestatten;

3) Sämmtlichen unbemittelten Flüchtlingen, denen die Reise nach Galizien bewilligt wird, die Freiheit zu gewähren. Hiebei wäre zu berücksichtigen, dass die meissten Evakuierte sind, die sich nicht aus freiem Willen ins Hinterland begeben haben;

4) Die Ursachen der geradezu erschreckenden Sterblichkeit und der ungünstigen **sanitären** Verhältnisse in dem Barackenlager in Chotzen wären festzustellen und die **Uebelstande zu beseitigen;**

5) **Für Polen wäre** — wie es früher der Fall war — ein **besonderes Lager** zu bestimmen. Sollten die Ruthenen in das für sie bestimmte und bedeutend bessere Lager in Gmünd befördert werden, so könnte man das für den neuen Schulbau in Chotzen bestimmte Material für den Bau von entsprechenden Baracken verwenden;

6) Die Versorgung des Flüchtlingslagers mit Kleidern u. drgl. wäre der Barackenverwaltung zu überlassen. Die Bekleidungszentralle für die Barackenlager hat sich, wenigstens was die Versorgung der Polen anbelangt, gar nicht bewährt, u. a. musste die sehr gut geleitete Nähstube in Chotzen, welche zirka 300 Mädchen beschäftigt und das Lager mit Wäsche versehen hat, durch länger als 2 Monate ihren Betrieb einstellen, weil ihr die Zentrale kein Material geliefert hat;

7) **Von dem** durch das k. k. Ministerium des Innern **angeordneten Einkaufe des Viehes,** welches die Evakuierten aus Ostgalizien gerettet und mitgebracht haben, wäre es dringend angezeigt, insoferne es sich nicht um Vieh handelt, welches zur weiteren Zucht wirklich nicht geeignet ist, **Abstand zu nehmen.** Der zwangsweise Einkauf (eigentlich Enteigung) hätte nicht bloss eine grosse Schädigung der Viehbesitzer, sondern aus des Landes Galizien zur Folge, deren Viehbestände in einer Weise herabgemindert wurden, wie in keinem anderen Kronlande. **Nach offieziellen Daten entfallen nämlich auf Galizien zirka 90% des Gesamtverlustes Oesterreichs an Pferden. Die übrigen Viehverluste dürften nicht viel geringer sein.**

Hinsichtlich des Bedenkens, dass es für das Vieh kein Futter geben wird, muss eingewendet werden, dass das Vieh doch dasselbe Futter benötigen wird, ob es Eigentum der bisherigen Besitzer bleibt, oder in Eigentum der Barackenverwaltungen übergeht. Schon im Frühjahr dieses Jahres hatte der damalige Barackenvorstand die Flüchtlinge aufgefordert, das Vieh mit Rücksicht auf den bevorstehenden Futtermangel zu verkaufen — es wurde tatsächlich eine Anzahl Stück Vieh zu Schleuderpreisen verkauft — später wurde diese Verfügung infolge Einschreitens des galizischen Landesausschusses rückgängig gemacht und das nötige Futter herbeigeschafft. **Die Flüchtlinge dürften doch bald, wenn nicht in ihre Heimat, so doch nach Galizien zurückkehren, man sollte ihnen doch gestatten, die einzige Habe, die sie gerettet haben, mitzunehmen.** Landwirtschaftliche Korporationen, der galizische Landesausschuss und der Polenklub haben sich gegen den erwähnten Viehankauf ausgesprochen.

8) Von grosser Wichtigkeit für sämtliche Flüchtlinge, die sich ausserhalb der Barackenlager befinden, wäre die **Erhöhung des Flüchtlingsunterstützungbeitrages,** da der jetzige Betrag von einer Krone täglich pro Person bei der grossen Teuerung sogar für den bescheidensten Lebensunterhalt nicht mehr ausreichen kann. **In Ungarn** wurde **den Flüchtlingen aus Siebenbürgen** der Unterstützungsbetrag per **zwei Kronen** bewilligt.

9) Den **in Galizien befindlichen Flüchtlingen wäre die Flüchtlingsunterstützung zu gewähren. Hiefür sprechen Menschlichkeitsrücksichten,** da es doch ebensolche unglückliche Opfer des Krieges sind, wie alle anderen Flüchtlinge und es **für das Hinterland nur von Vorteil ist,** insbesondere bei der jetzigen Lebensmittelknappheit, wenn sie sich dorthin nicht begeben.

Ich kann schliesslich nicht umhin zu bemerken, dass in den allerletzten Tagen die Beförderung der polnischen Flüchtlinge aus Gusswerk in ein entsprechendes Quartier verfügt würde, eine Massnahme, die hoffentlich auf eine dauernde Besserung der Verhältnisse bei der Fürsorge für christliche Flüchtlinge polnischer Nationalität deuten dürfte.

Wien, am 3. November 1916.

Sigismund Gf. Lasocki,

Referent des Polenklubs für Angelegenheiten der Fürsorge für christliche Kriegsflüchtlinge polnischer Nationalität und Vertrauensmann des galiz. Landesausschusses für das Flüchtlingslager in Chotzen.

Załącznik 78.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Doczekał się Pan wreszcie tryumfu! Ministerstwo spraw wewnętrznych reskryptem z dnia 30 listopada 1916 L. 60.745 wystosowanem do Namiestnictwa w Białej zarządziło wypłatę zapomóg dla ewakuowanych przebywających w Galicji zupełnie analogicznie jak wychodźcom poza krajem.

Bliższe szczegóły będę mógł Jaśnie Wielmożnemu Panu Hrabiemu zakomunikować ustnie.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i szacunku

Edward Neuman.

Wiedeń, dnia 4 grudnia 1916.

Załącznik 79.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio,

Dzisiaj otrzymaliśmy reskrypt Min. spr. wewn. z dnia 20 marca 1917 L. 11836 z poleceniem wysłania wkrótce najwyżej 4000 osób narodowości polskiej **nie wchodzących w rachubę jako siły robotnicze** do Galicji zachodniej na prywatne mieszkania.

W reskrypcie tym niema wcale mowy o koniach i krowach a znając dobrze „swoich" [1]) widzę, że konieczną jest interwencja JWPana Hrabiego we Wiedniu, lub też na miejscu. W każdym razie będę się starał wstrzymać wszystko, aż do przyjazdu JWPana Hrabiego do Chocni co nie wątpię, że mi się uda, zwłaszcza, że po Świętach odejdzie kilka większych transportów robotników rolnych do Moraw.

Stan chorób się zmniejsza.

Gdyby JWPan Hrabia nie mógł przed 15-tym do nas przyjechać, to proszę łaskawie porozumieć się z naczelnikiem, by zezwolił odjeżdżającym zabrać ze sobą bydło do Galicji.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Woroszyński.

Choceń 6/IV. 1917

Załącznik 80.

— Nowe ofiary uchodźtwa. Czytamy w „Głosie Narodu": Do Kalwarji i Lanckorony przywieziono znowu — jako epilog ostatnich wydarzeń na wschodzie — wielką rzeszę uchodźców, niemal wyłącznie narodowości rusińskiej. Nieszczęśliwi ci zmuszeni do opuszczenia swych siedzib, przedstawiają obraz nędzy i rozpaczy. Ani chleba, ani odzieży, a częstokroć ani dachu nad głową. Ludność miejscowa, względnie komitet miejscowy, przy pomocy funduszów KBK. serdecznie zajęła się losem rozbitków, lecz cóż w obecnych czasach znaczy pomoc prywatna, kiedy z próżnego nie naleje? Powiat wadowicki wyniszczony jest przecież do cna rekwizycjami na rzecz krajów zachodnich, przy gorliwem zresztą poparciu tych, którzy naj-

[1]) Personel zarządu i baraków.

bardziej chyba są powołani do straży nad dobrem ludności powierzonego im okręgu, a o zaopatrzeniu tych, których nieszczęście do powiatu tego rzuciło, zdaniem naszych eksploatatorów, nie pora myśleć.

Czyż poprostu zwyczajne poczucie ludzkości nie wymaga, by przynajmniej część tych środków żywności, które ciągle jeszcze wywozi się z naszego kraju, skierować do obozu uchodźców? („Kurjer Lwowski" z 22 lipca 1917).

Gorąco ujął się za tymi tułaczami „Ilustr. Kurjer Codzienny" w dłuższym artykule z 21 lipca 1917, zaznaczając przytem, iż ochronę ludu ruskiego, powracającego obecnie z wychodźtwa wojennego zdali posłowie ukraińscy na publiczność polską.

„Uczucia ludzkości nakazują ludności polskiej dać chociażby doraźną pomoc uchodźcom ruskim, ludność polska spełnia też ten w chwili obecnej niepomiernie ciężki obowiązek i nie pyta, jakie przyjęcie znaleźliby Polacy u patrjotów „ukraińskich, gdyby los zrządził tę odmianę. Jak się dowiadujemy miejscowy komitet w Kalwarji z ks. Stojanowskim i drem Nikliborcem na czele udzielił też uchodźcom z funduszów Książęco Biskupiego Komitetu kwotę 500 K. i znaczną ilość kondensowanego mleka. Prowadzona przez tenże komitet miejscowa kuchnia wojenna rozpocznie od jutra wydawać uchodźcom ciepły posiłek przynajmniej raz na dzień.

Bardzo uczynnym okazał się również p. poseł dr. Banaś, który wraz z ks. Stojanowskim podjął interwencję w starostwie wadowickiem zarówno o bezzwłoczną wypłatę zasiłków, jak i o odesłanie uprawnionych do powrotu w okolice rodzinne, a rozmieszczenie pozostałych w przyległych wsiach, o co oni proszą i gdzie będą mogli być pożyteczni".

Załącznik 81.

Jaśnie Wielmożny Hrabio

Nie pojechałem do Reizenbergu lecz zgodziłem się pełnić służbę inspekcyjną w Gleissdorfie i źle bardzo na tem wychodzę. Nadmieniam, że pracuję tu ciężko tak fizycznie jak i umysłowo a robię to dla swoich biednych uchodźców, którzy tu są w barakach nowo wybudowanych w liczbie 313 osób. Uchodźcy są wieśniakami i straszną nędzę wycierpieli mieszkając w jakiejś stodole gdzie przedtem mieszkali jeńcy Moskale. Uchodźcy z brudu i nieczystości, zostawionej przez Moskali dostali tyfus plamisty. Dziś dzięki Bogu są już zdrowi, umarło przeszło 40 osób.

Nie mogę powiedzieć, by uchodźcom było tu źle teraz w barakach ale przedtem działo się różnie.

Gdy wstąpiłem do służby zaczęli uchodźcy jak zwykle wieśniacy skarżyć się przedemną że służba sanitarna podbierała im pieniądze podczas choroby, na co ja zwróciłem uwagę równocześnie prosząc, by im własność oddano. Zrobiono to prędko lecz nie bardzo chętnie ale stało się zadość uchodźcom, ja ale padam ofiarą, ponieważ cierpią złość do mnie.

Jaśnie Wielmożny łaskawy Hrabio zlituj się nademną, nad moją żoną i mojem małem dzieckiem, które przez dwa lata wybawiałem od śmierci, błagam Pana Hrabiego, by mi Namiestnictwo pozwoliło zamieszkać gdziekolwiek prywatnie i pobierać zasiłek.

Wiele już wycierpiałem w Choceńskich barakach. Łaskawy Hrabio wybacz biednemu, że udaję się pod Jego protekcję.

Sobotnicki.

Gleissdorf 17/I. 1917.

Załącznik 82.

List do ks. prof. Schweigera.

Dnia 16/IV. 1917.

FLICHTLINGSLAGER IN GALLENHOFEN.

Pan Jezus zmartwychwstał.

PROŚBA DO KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Z prośbą i płaczem do Księdza proboszcza, my by prosili, żeby Ksiądz Proboszcz był taki łaskaw aby się oto ułożył do Ministerji, aby nasz powiat Tłumacki stąd wyjechał na zachodnią Galicję na robotę. My chcemy robić a niema gdzie, bo te niemce sami nie mają co robić. Ksiądz Proboszcz skoro odjechał to od tego czasu nasz ferwalter daje nam tylko po 6 deka chleba szczegosz te biedne małe dzieci mają wyżyć. Teraz dostajemy po 12 kila kartofli na 92 luda. My będziemy z głodu ginąć. Chustki poprzechodzili dla nas a on nam nic nie daje. Dzieci gołe podarte nic nie zafasowali. Chodziliśmy do starosty się upominać i jakiśmy przyszli od starosty to zarządca nam nie dał objadu, za to żeśmy chodzili się upominać tośmy byli cały dzień głodni za karę a na drugi dzień przyszedł żandar, mówili, że my bunt zrobili. I mówił zarządca że przyjdą 4 żołnerze i będą stali na bramie na warcie, że byśmy nawet nie szli do kościoła ani się upominać. I jeszcze raz prosimy z prośbą i płaczem Księdza Proboszcza, aby się Ksiądz Proboszcz o to ułożył aby nasz Powiat Tłumacki stąd odjechał na zachodnią Galicję na robotę. Z głębokim szacunkiem — Powiat Tłumacki — Podpisują się: Wałyszyn Sabina i 6 innych podpisów.

Załącznik 83.

TRAGEDJA UCHODŻCÓW.

Zamieszczony w naszem piśmie artykuł p. t. „O ochronę uchodźców galicyjskich" wywołał echo silne u tych osób, które miały sposobność zapoznania się ze stosunkami w Feldbach. Szczegóły, które otrzymaliśmy, obrazują wymownie całą tragedję uchodźców i sposób ich traktowania na obczyźnie.

Informator nasz pisze:

— Gdy uchodźcy przybyli do Feldbachu, kazano im iść do kąpieli. Uchodźcy bali się opuszczać dobytek swój, przeczuwając snać, że widzą go po raz ostatni. Wówczas uspokojono ich temi słowy: „Idźcie i kąpcie się, a wasze krowy i konie będą na was czekać tam, dokąd i wy pójść macie!"

Uchodźcy opuścili wagony kolejowe, a gdy z kąpieli wrócili, nie zastali już krów ani koni, które tymczasem wędrowały do Grazu. Tam z powodu rzekomej zarazy część bydła wyrznięto, zaś resztę obiecano uchodźcom zwrócić, gdy będą wracać do Galicji. O tej „reszcie" pisano już w artykule „Kurjera".

Zamiast pieniędzy otrzymywali uchodźcy kwity, przyczem komisarz radził niezadowolonym z nizkiego oszacowania uchodźcom, aby przystawali na połowę ceny, gdyż i tak tylko połowa zostanie im wypłacona.

Z życia uchodźców podaję jeszcze następujące szczegóły:

Niejaka Anna Czorna, matka 7-ga dzieci, stacjonowana we wsi Stadtbergen, pow. Feldbach, wyszła pewnego razu z dziećmi na ulicę i zaczęła rzewnie płakać. Dzieci jej drobne nie miały kilka dni nic w ustach. Wójt tej wsi, którego opiece powierzono interesa uchodźców tejże miejscowości, nadszedł przypadkowo i zapytał o przyczynę płaczu. A gdy nieszczęśliwa kobieta, nie umiejąc po niemiecku, gestem ręki odpowiedziała, że głód doskwiera jej dzieciom, nielitościwy wójt ruchem ręki uczynił gest, który oznaczał: „Weź sznur i powieś się razem z twojemi dziećmi".

Podobnym gestem odpowiedziano uchodźcom w jednej z piekarń w Fuerstenfeldzie, gdy prosili, aby im chleba sprzedano.

Inna znowu kobieta galicyjska, stacjonowana u niejakiego Sterna w Hainfeld, musiała z drobnemi dziećmi spać w nieopalonej stajni przez całą zimę.

Wskutek zimna i głodu jedno dziecko umarło, a inne zabrano do miejskiego szpitala w Fuerstenfeld. Po kilkudniowym zaledwie pobycie wyrzucono w zimie bose i tak osłabione, że biedna matka z chorem dzieckiem ledwie dowlokła się do Heinfeldu. Wspomniana Sternowa przez trzy dni nie dała chorym nic jeść, mimo iż pobierała ich zasiłek i obowiązaną była żywić ich. Na prośby nieszczęśliwych odpowiadała: „Niema pracy, niema i jeść"! Uchodźcy rozmieszczeni byli początkowo po chłopach styryjskich na następujących warunkach: gospodarz-styryjczyk pobierał zasiłek uchodźcy i był obowiązany żywić go; za pracę na polu należała się uchodźcy osobna zapłata. Tymczasem uchodźcy za pracę swoją nie otrzymywali nic, a jeść dawano im jedynie w tych dniach, w których pracowali. Jeżeli n. p. padał deszcz, co w Styrji bardzo często się zdarza, wówczas gospodarz nie dawał uchodźcom jeść, ponieważ nie pracowali na polu. (Ciekawe rozumowanie, ale prawdziwe!).

Zasługuje na uwagę fakt, że do Feldbachu przysłano ubrania zimowe dla uchodźców przy końcu kwietnia 1917 r.

Uchodźcy pobierali na jedną osobę: 1 (jeden) bochenek chleba 30 dkg. na tydzień, 1 (jeden) kg. mąki (czasem pół kg.) na miesiąc, 65 dkg. cukru na miesiąc. Przeznaczonem im było 75 dkg. cukru, ale 10 dkg. uszczknęli miejscowi dla siebie.

Uchodźcy, którzy mogą poświadczyć prawdziwość moich słów pochodzą z powiatu zborowskiego, wieś Białogłowy i okoliczne.

W. Ł.

(„Ilustrowany Kurjer Codzienny" z 8 sierpnia 1917.)

Załącznik 84.

DOLA UCHODŹCZA.

Interpelacja w sprawie uchodźców wojennych, wniesiona przez posła hr. Lasockiego, jeszcze w dniu 26. czerwca b. r. dotąd nie pojawiła się w druku. Drukarnia państwowa, przeciążona drukowaniem niezliczonych rozporządzeń, wydanych na mocy § 14, zdołała dotąd dostarczyć tylko posłowi hr. Lasockiemu odbitki szczotkowej. A szkoda wielka, że z wydrukowaniem tej interpelacji drukarnia się nie pospieszyła. Przeczyta ją bowiem każdy chętnie, choć liczy ona 43 stron druku, a po przeczytaniu każdy zapyta, czy to wszystko, co w interpelacji zamieszczono, jest możliwe i prawdziwe?

Niestety, tak! Wszystko poparte datami i zeznaniami świadków naocznych względnie nieszczęśliwych ofiar, o ile one z tych katuszy zdołały wyjść cało. I dlatego nic dziwnego, że poseł Pittoni, człowiek na ból ludzki i krzywdę ludzką wrażliwy słysząc, co hr. Lasocki w komisji o cierpieniach uchodźców opowiada, nasamprzód w dosadnych słowach postępywanie z uchodźcami rządowi wytknął, a potem zemdlał.

Izba poselska jeszcze przed rozpoczęciem feryj letnich uchwalić ma ustawę o opiece nad uchodźcami wojennymi. Ustawa, której wykonanie połączone jest naturalnie z ofiarą materjalną względnie wysoką, ustrzedz ma uchodźców przed powtórzeniem się cierpień, których nie oszczędzono całej wielkiej rzeszy tułaczej. Nie chodzi w tym wypadku o jedną tylko narodowość, o jeden tylko stan. Spodziewać się więc należy, że uchwalenie tej ustawy nie natrafi na żadną większą trudność.

Ktokolwiek jednak miałby wątpliwości co do nieodzowności takiej ustawy. temu polecić tylko można przeczytanie interpelacji hr. Lasockiego i towarzyszy. —ag.—

(„Głos Narodu" z 13 lipca 1917.)

Interpelacja ta — nr. 215 z r. 1917 — jest zbyt obszerną, bym ją tu umieścił, zawiera bowiem 43 stron drobnego druku. Przeważna część faktów w niej przytoczonych znajduje się w niniejszej książce, również jak część dokumentów, które umieściłem dla ich stwierdzenia.

Załącznik 85.

Tłumaczenie z niemieckiego.

Nr. 945. **Posiedzenie Izby poselskiej z 11 października 1917.**

Interpelacja posła hr. Lasockiego i towarzyszy do jego Eksc. Pana Ministra spraw wewnętrznych w sprawie niewłaściwości przy opiece nad uchodźcami.

W interpelacji wniesionej w czerwcu b. r. przez posła hr. Lasockiego i towarzyszy, wykazano liczne niewłaściwości przy opiece nad uchodźcami, nadużycia i bezprawia, które na uchodźcach wojennych a w szczególności na Polakach w Galicji popełniono. Uchodźców — między nimi także osoby, które ani żądały, ani potrzebowały pomocy państwowej, umieszczono przymusowo w obozach barakowych i osadach zbiorowych, wśród warunków, które urągały wszelkim pojęciom hygjeny i moralności. Tych ludzi — po największej czę-

ści kobiety i dzieci — zupełnie odosobniono, i trzymano pod nadzorem wojska i żandarmerji. Uchodźcy byli często narażeni na wymyślania i bicie a z powodu drobnych przewinień, karano ich w drodze dyscyplinarnej nieraz kilkomiesięcznym aresztem. Otrzymywali oni niedostateczne i złe pożywienie, cierpieli wskutek dolegliwego zimna i plagi robactwa. Rodzinom powołanych do służby rezerwistów i pospolitaków, nie wypłacano należnego im zasiłku wojskowego, lecz używano go do pokrycia kosztów ich przymusowego pobytu w barakach. Wiele tysięcy rolników i robotników rolnych, tudzież powracających z zagranicy robotnic sezonowych, których brak w rolnictwie w ich kraju, względnie w zachodnich krajach monarchji, dawał się dotkliwie odczuwać, zmuszano do próżnowania w barakach. Również odebrano możność zarobkowania wielu rękodzielnikom, robotnikom sezonowym i robotnikom przemysłowym. W obozach barakowych szerzyła się prawie bez przerwy epidemja tyfusu plamistego, która jest, jak wiadomo, następstwem niedostatecznego odżywiania się i brudu. Śmiertelność w tych obozach była wprost zastraszającą. Cały system baraków był męczarnią dla uchodźców. System ten wykazywał same ujemne strony tak dla uchodźców — ze względów sanitarnych i moralnych — jak też i dla państwa — pod względem finansowym i politycznym — przynosił on tylko korzyści wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwom budowy, dostarczania żywności, odzieży i t. p., o których interesa szczególniej dbano. Także i poza barakami, zachowanie się władz wobec uchodźców było zwykle niechętne, często nawet wrogie.

W powyżej wspomnianej interpelacji przytoczono między innemi następujące jaskrawe wypadki: W obozie barakowym w Wagna pod Libnicą, w końcu listopada i z początkiem grudnia 1914 roku, otaczano w nocy baraki strażą, i przemocą porywano mężczyzn — razem około 4000 — między nimi 65-letnich starców i 14-letnich chłopców, od ich rodzin i ekspedjowano do Serbji, do robót wojskowych. Tam nie otrzymywali ani płacy, ani żywności, wielu straciło swoje pakunki i swoje pieniądze. Część tych robotników wyczerpana głodem i zimnem wróciła w strasznym stanie do obozu barakowego, do którego zawlekła epidemję tyfusu plamistego, która się potem przez kilka miesięcy w tym obozie srożyła. Wielu z tych uchodźców i robotników zginęło w Serbji. Jeżeli już okoliczność, że się użyło właśnie uchodźców i robotników z Galicji tak ciężko nawiedzonej klęską wojenną, do robót w dalekim kraju nieprzyjacielskim, gdy można było do tych robót użyć mieszkańców obszarów graniczących z Serbją, musi wywołać oburzenie, to fakt, że zmuszono do tych robót ludzi, którzy dawno przekroczyli 50 rok życia musi się nazwać wprost bezprawiem.

W obozie barakowym choceńskim, zwalczano w miesiącu marcu 1916 roku tyfus plamisty w sposób następujący: kobiety, dziewczęta, dzieci, także chłopcy do 8 lat, między innemi osoby chore, musiały w grupach po 60 do 70 osób stać zupełnie nago przez kilka godzin, w nieopalanym lokalu, aż lekarze, inspektorzy barakowi i td. zbadali je, czy nie mają robactwa. Stąd wiele przeziębień i wypadków śmierci, wskutek przeziębienia. Zbadanym ostrzyżono nietyl-

ko włosy na głowie, ale na całem ciele. Czynili to pomocnicy fryzjerscy, młodzi chłopcy, którzy się przytem dopuszczali różnych żartów. Odegrały się sceny nie do opisania pomiędzy temi porządnemi kobietami i dziewczętami wiejskiemi, których wstydliwość została w najwyższym stopniu naruszoną. Wskutek groźnej postawy ludności baraków, tudzież interwencji u władzy przełożonej, wstrzymano to barbarzyńskie postępowanie. Dla zwalczania epidemji tyfusu plamistego, nie miały te drakońskie zarządzenia żadnego znaczenia. Przedewszystkiem należało baraki, w których się roiło od robactwa, oczyścić i dezynfekować. Pomimo tego zarządzenia, liczba zachorowań na tyfus plamisty ciągle wzrastała i po upływie roku nie zdołano stłumić zarazy. W lutym bieżącego roku, gdy Arcyksiążę Karol Stefan zwiedził obóz wraz z pawilonami dla chorób zakaźnych, znajdowało się w nim jeszcze więcej jak 160 chorych na tyfus plamisty.

Nadzór sanitarny był zupełnie niedostateczny a zwłaszcza w barakach zamkniętych panowały haniebne stosunki, na które nietylko ja się żaliłem w kilku pismach do Ministerstwa spraw wewnętrznych, ale które fachowiec, profesor uniwersytetu dr. Godlewski opisał w sposób następujący:

(następowało sprawozdanie prof. dr. Godlewskiego w tłumaczeniu niemieckiem, zob. załącznik 68).

Że cała opieka sanitarna nie była odpowiednia, dowodzi najlepiej okoliczność, że w barakach choceńskich panuje stale tyfus plamisty pomimo, że baraki są zamknięte, i że ludzie, którzy do nich przybywają podlegają kwarantannie. Najbardziej bijącym w oczy dowodem dla ocenienia stosunków sanitarnych w tej osadzie barakowej, jest olbrzymia śmiertelność: w roku 1916 przy przeciętnej liczbie 12500 mieszkańców, 2.628 wypadków śmierci. Z ksiąg metrykalnych wynika, że w roku 1916 pomimo, że istniał obszerny i dobrze urządzony budynek szpitalny, znaczna część chorych umarła poza szpitalem, w barakach.

Wszelkiemi środkami starano się stłumić zażalenia i wszelką krytykę. I tak został np. ks. Pierzowicz po zasłużonej dwuletniej działalności w obozach barakowych w Wagna i Chocni „z powodu artykułów w dziennikach podburzających uchodźców i poniżających państwową opiekę nad uchodźcami" zmuszony natychmiast opuścić obóz, gdy jego sprawozdanie o stosunkach sanitarnych i śmiertelności w tym obozie zostało przypadkowo ogłoszone w jednym z lwowskich dzienników.

Za opisane niewłaściwości sanitarne w Chocni jest oczywiście odpowiedzialnym naczelny lekarz, c. k. starszy lekarz powiatowy dr. Pelikan. Nadano mu przed kilku miesiącami odznaczenie za zasługi cywilne w czasie wojny: 2628 wypadków śmierci, przy przeciętnej liczbie mieszkańców 12.500 w ciągu roku, półtora roczne nieprzerwane trwanie epidemji tyfusu plamistego w obozie, i t. p.

W drugiej połowie września 1916 roku wysłano 600 uchodźców do Gusswerku w Styrji do górskiej okolicy, o ostrym klimacie, w której już w tej porze roku panowało dotkliwe zimno i gdzie nawet miejscowa ludność walczy z największemi trudnościami aprowizacyjnemi. Z tymi uchodźcami, prawie wyłącznie kobietami i dziećmi, obchodzili

sę żandarmi zaraz po ich przybyciu do Gusswerku w sposób niesłychanie brutalny, bili ich kolbami, przykładali bagnety do piersi, wymyślali w sposób w wysokim stopniu naruszający poczucie narodowe.

W stacji perlustracyjnej w Węgierskiem Hradyszczu, panowały haniebne stosunki tak pod względem administracyjnym jak i sanitarnym. Pomieszczenie w cegielni w Marzaticach, gdzie zwykle Polaków lokowano, było niegodne ludzi. Po dwu i pół letniem istnieniu stacji, nie było jeszcze przyborów do mycia i pralni. Mężczyźni, kobiety, młode dziewczęta, dzieci wszystko to spało razem, we wspólnych lokalach, gdzie nie było nawet zasłon. Uchodźców wyzyskiwał personel barakowy, przy rozdziale odzieży, wykupnie od nich bydła, które ze sobą przywieźli, i t. p. Stosunki sanitarne były niesłychanie niepomyślne: w pierwszych miesiącach bież. roku, — gdy już nastąpiła pewna poprawa stosunków — umarło 215 osób na przeciętną liczbę 1400 uchodźców. Tak kierownik starostwa, sekretarz namiestnictwa Janustik, jak też i naczelny lekarz dr. Salpeter, zaniedbali ciężko swoje obowiązki.

Wszystkie zażalenia i przedstawienia wnoszone w sprawach uchodźców były przez dwa lata z reguły bezskuteczne. Dopiero po ustąpieniu kierownika departamentu dla spraw uchodźczych, radcy sekcyjnego von Marquet nastąpiła poprawa w postępowaniu z temi nieszczęśliwemi ofiarami wojny, która na szczęście trwa dalej. Chociaż można obecnie stwierdzić bardziej życzliwe i ludzkie postępowanie Ministerstwa spraw wewn. z uchodźcami, to musi się jednak żądać, ażeby szczególnie jaskrawe nadużycia, które popełnione na uchodźcach, a zwłaszcza wypadki, w których wskutek zaniedbania albo winy dotyczących czynników, wielu ludzi straciło życie, nie pozostawały bezkarnemi. Ukaranie winnych przyczyniłoby się z pewnością w przyszłości do zapobieżenia nadużyciom i niewłaściwościom.

Ponieważ wzmiankowana na początku interpelacja nie doczekała się dotychczas odpowiedzi, stawiają niżej podpisani Jego Ekscelencji Panu Ministrowi spraw wewnętrznych następujące zapytanie: Czy wypadki przytoczone w tej interpelacji są Jego Ekscelencji znane? Czy Jego Ekscelencja jest skłonny zarządzić, ażeby osoby winne nadużyć, które przedstawiono, zostały pociągnięte do surowej odpowiedzialności, i żeby ofiarom tych nadużyć, względnie pozostałym po nich rodzinom, przyznano odszkodowanie?

Czy Jego Ekscelencja jest skłonny udzielić Izbie poselskiej dat, któreby dały dokładny obraz stosunków w obozach barakowych i zbiorowych osadach uchodźczych, a w szczególności dat o śmiertelności, o ogólnej liczbie i przeciętnej liczbie rocznej mieszkańców każdego z tych zakładów z osobna, za lata 1914 do 1917, jakoteż dat o szerzeniu się tyfusu plamistego w tych zakładach w tym samym czasokresie?

Załącznik 86.

PRZYZNANIE SIĘ DO WINY.

(Od naszego korespondenta)

Wiedeń, 10 marca.

(gr.) W czerwcu ubiegłego roku wniósł hr. Lasocki interpelację do rządu, w której szczegółowo przedstawił krzywdy uchodźców wo-

jennych, spowodowane zaniedbaniami władz rządowych, a w wielu wypadkach nadużyciami niższych organów, którym powierzono troskę o uchodźców. W październiku uzupełnił hr. Lasocki ten obraz nędzy drugiem zapytaniem.

Na obie te interpelacje odpowiedział obecnie pan minister spraw wewnętrznych, starając się naturalnie uwypuklić w swej odpowiedzi to wszystko, co w międzyczasie ku poprawie losu uchodźców uczyniono. Bezwątpienia uczyniono wiele, bo pod wpływem Izby poselskiej skodyfikowano jako obowiązek państwa, to, co dawniej tylko z łaski uchodźcom w skąpej mierze przyznawano. Lecz mimo wszelkie zastrzeżenia, których w odpowiedzi ministra nie brak, raz jeszcze przed oczyma czytelnika zarysowuje się ponury obraz gorżkich doświadczeń uchodźców, którym nawet w drodze powrotnej do kraju nie zaoszczędzono rozczarowań. Sam pan minister przyznaje przecież, że powracającym do kraju dawano jadło i przyodziewek... o ile naturalnie niemi rozporządzano.

Rozpatrując odpowiedź pana ministra dojść trzeba nasamprzód do wniosku, że wszystkie oskarżenia i zażalenia hr. Lasockiego były całkowicie uzasadnione. Powtóre, jak ociężale pracował aparat administracyjny, który nawet nie zdołał wczas spożytkować poczynionych świeżo doświadczeń. Przykładem nienajgorszym w tej mierze jest szczegół odnoszący się do stacji zbornej i przeglądowej w Węgierskiem Hradyszczu.

Umieszczenie uchodźców w tej miejscowości urągało najprymitywniejszym zasadom ludzkiego obchodzenia się z ludźmi. Rząd o tem wiedział i nie zapoznawał konieczności dokonania reorganizacji tej stacji. I cóż się stało? Pan minister powiada: „Skoro minął okres pierwszych wielkich ewakuacji (zima i wiosna 1914/15) zaniechano niestety wykonania projektowanego wówczas należytego wyposażenia stacji przeglądowej w Węgierskiem Hradyszczu, ponieważ sądzono, że z północnego terenu wojennego nie nadpłynie już nowa fala uchodźców. Uważano przecież za nieprawdopodobne, by się miały powtórzyć wydarzenia z zimy 1914/15". O święta naiwności, która każesz w lecie 1916 r. uchodźcom polskim zaludniać cegielnie w Marzatycach i dziwisz się, że w ślad za nimi szła cholera, szedł tyfus a i ospy nie brakło.

Z odpowiedzi pana ministra wynika, że kilku winowajców pociągnięto już do odpowiedzialności, a dalsze dochodzenia są w toku. Pan minister nie zawahał się jawnie napiętnować zaniedbania i przewinienia, których ofiarą padli uchodźcy. Należy mu się za to uznanie, bo, że niedobrowolna wędrówka po obozach uchodźczych, której się poddać musiał, by dać hr. Lasockiemu odpowiedź, przerazić musiała pana ministra do głębi, w to wątpić nie należy.

Szowiniści zaś niemieccy odczytawszy odpowiedź pana ministra conajmniej odetchnąć musieli swobodnie na myśl, że nie reprezentują kraju przeoranego wzdłuż i wszerz pługiem wojennym.

(„Kurjer Lwowski" z 14 marca 1918.)

Załącznik 87.

TRAGEDJA POLSKICH UCHODŹCÓW.

(Telefonem od naszego korespondenta).

Wiedeń, 6 lipca.

(wir) Na dzisiejszem posiedzeniu komisji dla spraw uchodźców przedstawił poseł Lasocki wyczerpujący obraz bezgranicznej niedoli polskich uchodźców w rozlicznych miejscach koncentracyjnych zachodnich krajów monarchji, roztaczając przed słuchaczami całą gehennę Chocenia. W czasie przemówienia posła Lasockiego poseł włoski Pittoni w najwyższem rozdrażnieniu porwał się ze swego miejsca i skierował najostrzejsze rekryminacje przeciw obecnym w sali przedstawicielom rządu. Wzruszenie posła Pittoni'ego było tak silne, że po pewnej chwili padł nieprzytomny na ziemię. Wezwany lekarz udzielił mu pomocy, a chory, którego tymczasowo złożono w sali obrad „Unio latina" dopiero po długim czasie przyszedł do siebie. Wypadek ten wywołał w parlamencie wielkie poruszenie.

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 8 lipca 1917. Podobne wzmianki w kilku innych dziennikach).

Załącznik 88.

Ein „Zwischenfall im Flüchtlingsausschuss".

Im Flüchtlingausschuss, so berichten die Blätter, ereignete sich ein aufregender Zwischenfall. Es wurden die Zustände in den Barackenlagern besprochen, wobei die Redner so aufregende Schilderungen gaben, dass der italienische Sozialdemokrat Abgeordneter Pittoni, sonst ein Muster von Besonnenheit und Zurückhaltung, in in einen Zustand höchster Erregung geriet, „mit den Fäusten auf den Tisch zu trommeln begann und sich in Worten schärfster Kritik gegen die anwesenden Regierungsvertreter wendete". Pittoni war so erregt, dass ihn ein Schwindel befiel; er musste aus dem Saale gebracht werden. Er erholte sich dann wieder, nachdem er gelabt worden war.

Aber viel interessanter als die Ohnmacht des Abgeordneten Pittoni sind die Tatsachen selbst, die im Ausschuss erzählt wurden. Man beriet schon seit gestern darüber, wie man die Erlässe über die Flüchtlingsfürsorge in ein Gesetz umwandeln könnte, damit die Flüchtlinge mehr Recht geniessen und auch der Staatsbeitrag erhöht werde, während der Staat bisher bloss „freiwillig" Beiträge zu leisten behauptete. Bei dieser Gelegenheit wurde von verschiedenen Seiten die Lage der Flüchtlinge geschildert. Namentlich Graf Lasocki erzählte schreckliche Tatsachen, wie auf einmal Hunderttausende Flüchtlinge nach dem Westen geschoben wurden, wie die Zivilbehörden von dieser Massregel der Militärbehörden gar nicht verständigt wurden und wie sie im letzten Augenblick ganz ratlos waren. Eine Unterbringung war nicht möglich, für Kleider und hygienische Vorkehrungen in den Lagern ebensowenig vorgesorgt wie auf der Reise. Graf Lasocki erzählte, wie zum Beispiel im Flüchtlingslager in Wagna bei Leibnitz in Steiermark eine entsetzliche Sterblichkeit der Kinder und Greise die Folge war; es sind dort bei einem durch-

schnittlichen Jahresbelagraum im Jahre 1916 von 12.600 Flüchtlingen nicht weniger als 2600 begraben wurden [1]. In Chotzen in Böhmen wieder waren die Zivilbehörden so plötzlich überrascht und so uneingeweiht in die Tatsachen, dass sie in ihrer Angst vor der Einschleppung von Flecktyphus in ungeheizten Lokalitäten die Mädchen und Frauen sich entkleiden liessen; männliche Friseure, da es dort keine weiblichen gab, mussten den jungen Frauen die Schamhaare rasieren (als ob der Flecktyphus in den Haarläusen und nicht in den Kleiderläusen seinen Träger hätte), die Frauen bekamen hysterische Anfälle...

Zwei Tage lang dauerten schon die Schilderungen, eine schrecklicher als die andere. Genosse Pittoni, der wirklich einer der ruhigsten Männer ist — hat er doch schon Arbeiterelend von Jugend auf genug gesehen! —, verlor plötzlich die Fassung. Er schrie: „Wer sind die Schurken! Das ist schon zu viel, wie man uns martert!" Dann bekam er einen Herzkrampf und musste hinausgeführt werden. Aerzte gaben ihm Umschläge und Injektionen, bis sich sein Herz ein wenig beruhigte.

(„Arbeiter-Zeitung" z 7 lipca 1917).

Załącznik 89.

USTAWA O OCHRONIE UCHODŹCÓW.

Ustawa o ochronie uchodźców wojennych ułożona przez posłów Bugatto (Włoch) i Lasockiego, stwierdza prawo uchodźców do wybierania swojego miejsca pobytu, uchyla przymus barakowy, reguluje transport uchodźców i ich dobytku, również jak i stosunki w osadach zbiorowych dla uchodźców, postanawiając m. i., że personel administracyjny i sanitarny tych osad ma dokładnie być obznajomiony z językiem i stosunkami krajowymi uchodźców, i przyznając pewien samorząd uchodźcom w tych osadach. Zasiłek w gotówce podwyższonym zostaje na kwotę 2 kor. dziennie na osobę, przyczem jednak utrzymuje w mocy dotychczasowe świadczenia rządu na rzecz uchodźców, np. odzież, pomoc lekarską itp.

Umożliwia uchodźcom pracę i zarobkowanie postanowieniem, że zarobek do kwoty 4 kor. dziennie nie wyklucza prawa do pobierania zasiłku.

Obradom komisji i podkomitetu, w skład którego z posłów polskich wchodzili pp. Gall, hr. Lasocki i Rauch, przewodniczył poseł Halban. Sprawozdawcą dla Izby poselskiej ustanowiono posła Kreka, Słoweńca.

Reprezentanci rządu byli z początku przeciwni kodyfikowaniu przepisów o ochronie uchodźców w formie ustawy, a przedstawiciel ministerstwa skarbu sprzeciwił się podwyższeniu zasiłków. Wśród posłów niemieckich objawiała się w komisji uchodźczej opozycja przecwko zbyt wygórowanym, zdaniem ich świadczeniom na rzecz uchodźców. Do zmiany tego stanowiska przyczynił się obraz niedoli nakreślony wymownie przez posłów zastępujących interesa ludności

---

[1]) Daty te dotyczyły nie obozu w Wagna, ale w Chocni.

wygnanej ze swoich siedzib, a w szczególności znane zajście z posłem Pitonim, podczas przemówienia posła Lasockiego.

Uchwalono wreszcie ustawę w komisji, tudzież szereg rezolucji, wzywających m. i. rząd do zaniechania niepotrzebnych ewakuacji. Uchwalono również rezolucję p. Lasockiego o pociągnięcie do odpowiedzialności czynników, które dopuściły się nadużyć na uchodźcach.

W izbie poselskiej niemiły rozdźwięk wywołało przemówienie posła Freislera, Niemca ze Śląska, skierowane przeciwko niektórym uchodźcom, niekorzystne wrażenie tej mowy zatarły niebawem gorące przemówienia przedstawicieli tych narodowości, których liczni obywatele zmuszeni byli szukać gościny w obcych krajach i spożywać gorzki chleb niedoli na tułactwie. Imieniem Koła polskiego przemawiał jako mowca generalny p. Lasocki. Ustawa przeszła i w Izbie poselskiej. Napotyka ona jednak na trudności w izbie panów, a to ze względu na znaczne wydatki połączone z nią dla skarbu państwa. Zwłaszcza postanowienie par. 9. przyznające zwrot kosztów utrzymania niezamożnym osobom ewakuowanym na polecenie władz, którym jednak nie udzielono odpowiedniej pomocy państwowej podczas trwania ewakuacji, budzą dość silne wątpliwości tak w sferach rządowych, jak też i u niektórych członków izby panów. W krótkim memorjale wręczonym kilku parom starali się posłowie Halban i Lasocki wątpliwości te usunąć, wykazując jak słusznem, a nawet dawniejszemi przepisami uzasadnionem jest to postanowienie. Szereg polskich członków izby panów, a także zawsze dla naszego kraju życzliwy eksc. bar. Diller, przyrzekli swoje poparcie dla ustawy. Odrzucenie jej w izbie panów spowodowałoby bowiem długą zwłokę zanimby izba poselska kwestję tę mogła ponownie wziąć pod obrady, a zatem i wielką stratę dla nieszczęśliwych ofiar wojny.

(„Kurjer Lwowski" z dnia 20 lipca 1917.

Załącznik 90.

Obrady Izby posłów.

(Telefonem od korespondenta „Czasu").

Wiedeń, 15 lipca.

Sesja parlamentarna dobiega do końca. Wczoraj Izba posłów znów przez cały dzień bardzo pilnie pracowała i załatwiła cały szereg spraw zarówno pilnych ze względów ogólno-państwowych, jak pożądanych przez ludność. Między innemi uchwalono też ustawę o wsparciach dla uchodźców. Dojście do skutku tej ustawy zawdzięczać należy w znacznej części prezesowi komisji profesorowi Halbanowi, jakoteż hr. Lasockiemu. Niestety w Izbie panów okazują się trudności w tej sprawie. Wiadomość ta wywołała wśród posłów polskich wprost konsternację, bo zważywszy, że dziś ma się odbyć narazie ostatnie posiedzenie, zaś najbliższe najwcześniej w połowie sierpnia, ustawa nie mogłaby już wejść w życie w ciągu lata. Wobec tego posłowie polscy za pośrednictwem senatorów polskich interwenjują u członków Izby panów, by umożliwić zgodną uchwałę.

Posiedzenie Izby panów ma się odbyć we środę.

(„Czas" z 15 lipca 1917).

Załącznik 91.

O spełnianie obowiązków poselskich.

Nasz korespondent wiedeński (Wir) pisze:

Z kierujących polityków Koła **nie przebywa nikt od tygodnia we Wiedniu.** Korzystając z zapowiedzianego na niedzielę 2 bm. zebrania Koła sejmowego, już na kilka dni przedtem wszyscy nasi posłowie wyjechali z Wiednia, aby w Krakowie przygotować — sytuację. Koło sejmowe minęło — ale nasi mimo to nie chcą wracać do obowiązków tutejszych. Na wczorajszem zebraniu **komisji uchodźczej prócz przewodniczącego p. Halbana, było tylko dwóch posłów polskich: Gall i Lasocki.** Innych brakowało.

Pewien polski członek komisji nie wziął w jej obradach **ani razu udziału.** A jest to komisja, która **przedewszystkiem obchodzi ludność kraju naszego.**

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 8 września 1917. Podobne wzmianki i w innych dziennikach).

Załącznik 92.

Z Izby posłów.

Wiedeń. (TBK). Na wczorajszem posiedzeniu p. L a s o c k i przypomniał skargi uchodźców polskich umieszczonych swego czasu w Wagnie. Pomimo kilkakrotnych podań i interpelacji, jakie mówca wnosił w tej sprawie, by winnych pociągnąć do odpowiedzialności, nic dotąd nie uczyniono. W Chocni wybuchła w lutym r. 1916 epidemja tyfusu plamistego. Przy zarządzeniach wydanych celem zwalczenia tej epidemji postępowano w sposób obrażający ciężko wprost nawet uczucia wstydliwości niewieściej. Epidemja trwała półtora roku, zarządzenia sanitarne były niedostateczne, czego dowodem orzeczenia rzeczoznawców. Późną jesienią r. 1916 wysłano uchodźców polskich w okolicę górską o ostrym klimacie i umieszczono ich w podłych kwaterach masowych. **Żandarmi traktowali ich kolbami i obelgami,** mimo to nie pociągnięto ich do odpowiedzialności. Mówca krytykuje ostro stosunki administracyjne i sanitarne, panujące na stacji przeglądowej w Węgierskiem Hradyszczu. Najcharakterystyczniejsze są atoli daty **śmiertelności wśród uchodźców.** Przyznać należy, że prawie od roku, a głównie w ostatnich miesiącach stosunki znacznie się poprawiły, widoczny jest lepszy rys w postępowaniu z uchodźcami, lepsza intencja i lepsza opieka ze strony ministerstwa spraw wewnętrznych. Dobra wola ministra i referentów jednak nie na wiele się przydadzą, jeżeli nie nastąpi zmiana w niższych instancjach, a zwłaszcza jeżeli nie zostaną pociągnięci do surowej odpowiedzialności ci, którzy dopuścili się jaskrawych nadużyć. Naturalnie, że trzeba także wedle możności dać odszkodowanie i tym, którzy ponieśli szkodę. Raz na zawsze trzeba zerwać też ze systemem samowoli i bezprawia. **Ludziom pomieszczonym w barakach przywrócić należy swobodę ruchu. Ciągle jeszcze istnieją niestety baraki internowanych dla obywateli Królestwa Polskiego.** Ci ludzie mimo wszyst-

kich ludzkich zarządzeń monarchy, ciągle są jeszcze trzymani w barakach. Mówca domaga się, aby tych ludzi w myśl szlachetnych intencji monarchy natychmiast wypuszczono z obozu i umożliwiono im powrót do ojczyzny. Z powodu zajścia w Wagnie wyraża mówca uchodźcom z południa i ich przedstawicielom jak najżywsze współczucie i życzy im, by i oni rychło powrócili do swojej ojczyzny, jak się to u Polaków po większej części już stało.

Na tem dyskusję o wychodźcach wyczerpano.

(„Kurjer Lwowski" z dnia 17 października 1917).

Załącznik 93.

USTAWA O UCHODŹCACH.

(Od naszego korespondenta).

(Powtórne przedłożenie ustawy, po odrzuceniu przez Izbę panów. — Kompromis w sprawie uchodźców, pozostających w obszarze wojennym).

Wiedeń, 22 listopada.

(gr.). Na jednem z najbliższych posiedzeń załatwioną zostanie ustawa o uchodźcach.

Po raz wtóry stanie to przedłożenie na porządku dziennym obrad, gdyż, jak wiadomo, **pierwotne brzmienie projektu ustawy nie zostało zaaprobowane przez Izbę panów.** Powodem odrzucenia ustawy przez Izbę panów był **par. 9,** przeciwko któremu oświadczył się rząd. Paragraf ten odnosi się do wypłaty zapomóg **tym uchodźcom, którzy pozostawszy w obszarze wojennym, nie pobierali żadnych zasiłków.** Liczba tych uchodźców wojennych nie jest małą. **Wzgląd na finanse państwa zmusił rząd do zaoponowania przeciwko pierwotnemu projektowi Izby poselskiej.**

Komisja dla spraw uchodźczych niezrażona przeciwnościami, zdołała w końcu nakłonić rząd do **kompromisu.** Paragraf 9 pozostał i w nowym projekcie z tą tylko różnicą, że **zapomoga ma być ex post wypłacona tym osobom, które zapomogi nie pobierały, jeśli ich ewakuacja trwała co najmniej 3 miesiące.** Kwota na głowę **nie może przekraczać 500 koron.** Członkowie komisji uchodźczej hr. Lasocki i dr. Kolessa zwalczali to uciążliwe zastrzeżenie i domagali się, by czasokres ewakuacji uprawniający do pobrania zapomogi zniżyć z trzech miesięcy na jeden miesiąc. Wniosek ich jednak upadł, przegłosowano go dwoma głosami. Zapewne, **gdyby wszyscy polscy członkowie byli na posiedzeniu obecni, rezultat byłby inny.** Mimo to wnioskodawcy nie zgłosili wotum mniejszości, niechcąc niem zakwestjonować rychłego i gładkiego załatwienia projektu ustawy, który przedstawia się jako nie najgorszy kompromis.

Tak więc to wszystko, co dotąd jako zawarte tylko w rozporządzeniach pozbawione było trwałej podstawy, niebawem jako skodyfikowane w ustawie zagwarantuje uchodźcom dochodzenie ich słusznych praw.

(„Kurjer Lwowski" z 24 listopada 1917).

Załącznik 94.

NASI W WIEDNIU.

Nagonka przeciw uchodźcom galicyjskim.

(Od naszego korespondenta).

Wiedeń, 27 września.

Chciałem dziś poruszyć temat pogodniejszy i przyjemniejszy, niż w ostatniej korespondencji. Nie mogę na razie, ponieważ mam jeszcze na sercu sprawę żółciową, której radbym pozbyć się jak najrychlej.

A zatem. Nagonka przeciw uchodźcom galicyjskim odżyła na nowo. Wychodzące od kilku tygodni pismo południowe „Wiener Mittag" przyniosło artykuł, w którym zjadliwie nazywa uchodźców galicyjskich nietykalnem „tabu". Jakkolwiek paskarze, podbijacze cen i „bohaterowie" kroniki skandalów mieszkaniowych rekrutują się prawie wyłącznie z tych sfer, jakkolwiek przekształcają one Wiedeń w jakieś Brody, Kołomyję, Tarnopol i na wielką skalę uprawiają lichwę i wygładzanie ludności, władze przypatrują się temu z niepojętym spokojem. Dotąd przebywa we Wiedniu 120.000 uchodźców z Galicji i Bukowiny, którzy zajmują nie mniej niż 15.000 mieszkań, lecz władz nic to nie obchodzi, aż wreszcie wyjdzie Wiedeńczykom cierpliwość, którą oni posiadają w tak oburzającym stopniu.

Tyle „Wiener Mittag". Zaś na onegdajszem posiedzeniu tutejszej rady miejskiej radny Kuntschak domagał się wprost wypędzenia uchodźców. Stosunki aprowizacyjne, a jeszcze więcej katastrofalna klęska mieszkaniowa, uzasadniają, jak twierdził, w całej pełni żądanie, by Wiedeń uwolniono nareszcie od uchodźców galicyjskich. Wobec tego r. Kuntschak apeluje do burmistrza, by ponownie i z całym naciskiem przedstawił rządowi konieczność usunięcia ich z miasta w najkrótszym terminie, oraz, by wydał jak najrychlej zarządzenia, pozbawiające uchodźców z Galicji, bez względu na to, czy pobierają zasiłek, kart poboru środków żywności. Dr. Weisskirchner przyrzekł co do pierwszego wniosku ponowić starania u rządu, a drugi przekazał magistratowi do sprawozdania.

Powyższe dwa fakta charakteryzują się same, komentarze są zbyteczne. Mimowoli jednak nasuwa się pytanie, poco właściwie tylu uchodźców galicyjskich wciąż jeszcze przesiaduje w Wiedniu, który z taką „gościnnością i życzliwością" odnosi się do nich. Bardzo wielu niewątpliwie mogłoby wrócić do kraju, zwłaszcza zamożniejsi. Chyba nie należy do przyjemności być wyrzucanym za drzwi, chociażby za cenę wątpliwej wartości rozkoszy wiedeńskich. W każdym razie warto zapamiętać sobie tego rodzaju głosy i wystąpienia.

(„Gazeta Poranna" z 29 września 1918).

Załącznik 95.

Masowe aresztowania moskalofilów. Do więzienia przy ul. Kazimierzowskiej i do więzienia garnizonowego we Lwowie odstawiono pod zarzutem zdrady stanu, agitacji na rzecz Rosji i szpiegostwa 1200 osób. Są to przeważnie Rusini i kilkudziesięciu żydów. Wśród aresztowanych znajdują się także kobiety.

(„Głos Narodu" z 21 sierpnia 1914).

Załącznik 96.

List do posła Lasockiego.

Przemyśl 19/XII. 1917.
Smolki 26.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Piszący ten list był długoletnim Radcą Dworu i Kierownikiem Starostwa w Przemyślu — w roku 1911, z powodu słabości spensjonowany został z tytułem Wiceprezydenta Namiestnictwa. Po odzyskaniu zdrowia został w styczniu 1914 ustanowiony Komisarzem rządowym w Przemyślu. Na tem stanowisku zaskoczyła mnie wojna. Przebyłem mobilizację, oblężenie, nie mogłem jednak przebyć kapralskich rządów smutnej pamięci Collarda i w styczniu 1916 wniosłem rezygnację. Obecnie pracuję nad pamiętnikiem oblężeń przemyskich — nie mam jednak nadziei, aby je cenzura dopuściła do druku. Otóż w tych pamiętnikach zanotowałem fakt, który się zdarzył w Przemyślu za mego urzędowania w czasie wojny, wołający o pomstę do nieba. Oto w dniu 15 września 1914 popołudniu, przywieziono z powiatu Dobromilskiego 46 ludzi rzekomo podejrzanych o moskalofilstwo pod eskortą 6 żołnierzy celem dalszego ich odstawienia koleją Karola Ludwika. Z wyjątkiem jednej osoby inteligentnej, panny Mochnackiej, córki księdza gr. kat. z Wojtkowy, byli to sami włościanie, 44 mężczyzn a 1 kobieta. Gdy ich eskorta prowadziła z dworca bakończyckiego ulicą Aleksandra Dworskiego do Komisarjatu Policji, napadli prowadzonych dragoni, piekarze wojskowi i inni żołnierze i wybili 44 osób kołami, szablami co do nogi, tak, że zostało z całego transportu 2 żywych — zawdzięczających uratowanie temu, że popadali między zabijanych i udawali zabitych. Powodem miało być, że w czasie marszu dragonów przez jakąś wieś w Dobromilskiem, mieli włościanie na nich strzelać i że między prowadzonymi miało się kilku z tych co strzelali znajdować! Tymczasem pokazało się, że to absolutnie nieprawda, że przez powiat dobromilski żadni dragoni nie szli i t. d. Oburzające jest, że pomimo doniesienia Komisarjatu policji do Komendy twierdzy i do c. k. Prokuratorji Państwa nikt ani palcem nie ruszył aby choć się zdawało „ut aliquid fecisse videatur", żeby przynajmniej eskortantów pociągnięto do odpowiedzialności dla czego nie bronili pomordowanych — dlaczego straż policyjna wynosząca podówczas około 300 policjantów, bo żołnierze policyjni lwowscy po zajęciu Lwowa przez Moskali byli do tut. Komisarjatu Policji przydzieleni, nie pośpieszyła na ratunek mordowanych, chociaż mord ten o 2—300 kroków od koszar policyjnych się odbywał. Udało mi się w lutym 1916 przesłuchać jednego z obu przy życiu pozostałych — włosy na głowie powstają! Siedziałem cicho w czasie wojny — dziś jednak wobec zawieranego właśnie pokoju, uważam, że sprawę tę można poruszyć bez obawy narażenia się na zarzut „der Militaerfeindlichkeit". Tem więcej uważam się za uprawnionego do tego wyczytawszy w dzisiejszych dziennikach, że JWny Pan Hrabia zgłosił w Izbie wniosek w sprawie wynagrodzenia dla rodzin niewinnie życia pozbawionych. Może JWPanu wiadomość o tym fakcie się przyda. Nikt o biedne rodziny pomordowanych się nie upomniał, bo się boją poruszać tej sprawy jako nie-

patrjotycznej — przypuszczam jednak, że gdyby JWPan Hrabia ją poruszył, to rząd sam będzie ją badał. Proszę przyjąć od nieznajomego wyrazy czci i poważania

Lanikiewicz.

C. k. Komisaryat Policyi w Przemyślu L. 14890. Przemyśl, dnia 16 września 1914. Do c. k. Prokuratoryi Państwa w Przemyślu, Dnia 15. bm. popołudniu konwój składający się z 46 aresztantów podejrzanych o propagandę moskalofilską, odstawiony przez eskortę wojskową z Krościenka do tut. c. k. Komisaryatu policyi, został na ulicy Siemiradzkiego zaatakowany przez grupy stojących tam żołnierzy z rozmaitych gatunków broni, którzy w przeciągu krótkiej chwili zapomocą kołów wyrwanych z parkanu, szabel i strzałów rewolwerowych wybili cały konwój prawie do nogi, tak że zaledwie ocalało 2 osoby, a mianowicie Jan Machnik z Wojtkowy ranny, którego oddano do tut. szpitala powszechnego i Stefan Borsuk z Grąziowy, który znajduje się w tut. aresztach. Eskorta konwojująca aresztantów, a składająca się z kaprala pospolitego ruszenia Dawida Scheinera oraz pospolitaków Langsama, Andrzeja Mindzicza, Jana Beschlera, Wasyla Ilczyszyna i Stanisława Kijowskiego, przydzielonych do posterunku żandarmeryi w Krościenku nie zdołała zapobiedz wypadkowi. C. k. kancelista policyi Ostrowski, który udał się na miejsce wypadku, po bezskutecznem śledztwie w kierunku wykrycia sprawców, kazał odstawić zwłoki do kostnicy cmentarnej. O ile tu wiadomo to przeważna część żołnierzy, którzy na konwój napadli składała się z dragonów a przyczyną napadu miało być to, że któryś z żołnierzy rozpoznał w konwoju chłopów, którzy mieli gdzieś strzelać do patroli wojskowej austr. i zastrzelili 2 czy 3 dragonów. O tem c. k. Prokuratoryę zawiadamiam przy dołączeniu wykazu zabitych osób. Z c. k. Komisaryatu Policyi: Benoit mp.

Ausweis über verdächtige Rusophile welche im Falle der Annäherung des Feindes im Stande sind die öster. ungar. Armee zu verraten. (Następuje wykaz 46 osób).

Pan Józef Kostrzewski c. k. inspektor podatkowy w Dobromilu wezwał wspomnianego Jana Machnika mieszkającego w Wojtkowej powiatu Dobromilskiego i dnia 14 Lutego 1916 spisał z nim protokół, który dosłownie przytaczam. „W poniedziałek dnia 14 września 1914 byłem zajęty w domu robotą stolarską. W tem przyszedł do mnie sąsiad Józef Gładziński, który ze mną wspólnie pracował i powiedział mi, że mnie żandarm woła. Wyszedłem z izby — było koło 10 rano i zapytałem żandarma czego sobie życzy? Na to odpowiedział żandarm, że mam jechać do protokołu do Starostwa w Dobromilu. Równocześnie zauważyłem 5 do 6 fur z ludźmi na gościńcu czekające. Zebrałem się i siadłem na furę, która mnie wraz z ludźmi z Grąziowy odwiozła na posterunek żandarmeryi. Około południa komendant kazał nas dwom żandarmom odprowadzić do Krościenka. Tam nas odebrał posterunek żandarmeryi, odprowadził nas na stację kolejową i wsadził do wagonu towarowego. W tym wozie siedzieliśmy do następnego dnia pod strażą żołnierzy mniej więcej do 9-tej rano. Jedzenia nikt nam nie dał. Około 9-tej nadszedł

pociąg osobowy, wsadzono nas do tego pociągu i odwieziono do Przemyśla. Konwojowało nas 5 żołnierzy pod komendą Dawida Scheinera kupca z Liskowatego. Po południu około 1-szej byliśmy na stacyi w Bakończycach. Tu kazano nam wysiąść, sformowano w 4-ki. Byli sami mężczyźni, prócz panny Mochnackiej córki księdza z Wojtkowej i Katarzyny Bandrowskiej gospodyni z Wojtkowej matki 4-ga drobnych dzieci, której mąż jest w Ameryce. Już od samej stacyi w Bakończycach obstępywała nas gawiedź uliczna i wykrzykiwała „Zdrajcy moskalofilscy przez was krew się leje" i t. p. poszturkiwała nas — rzucała kamieniami, a pannę Mochnacką ktoś kopnął. Eskorta nasza nie broniła nas zupełnie. Pod naporem gawiedzi, jej wykrzykników i potrącań zaczęliśmy biedz. W tem ni z tąd ni z owąd nadbiegli żołnierze węgierscy wyciągnęli długie szable i niemi zatrzymali nas. Wtedy zjawił się na koniu żołnierz (czy prosty czy oficer niewiem) z hełmem na głowie i z konia rozciął szablą głowę jednemu z moich towarzyszy. Żołnierze, którzy nas zatrzymali zaczęli nas wtedy bić. Ludzie chroniąc się przed razami usiłowali uciekać, lecz żołnierze spędzali ich nazad do gromady i prąc przed sobą zepchnęli nas pod ścianę kamienicy. Stojących pod ścianą i otoczonych zaczęli bić na śmierć i strzelać. Z kamienicy zaś rzucali na nas flaszkami. Ja upadłem i zdając sobie sprawę, że przez udanie śmierci mogę życie uratować, leżałem bez ruchu między zabitymi. Nim jednak między zabitych twarzą na dół leżąc dostałem się, widziałem jak jeden z żołnierzy płachą sągową dobijał leżących. Potem słyszałem klaskanie w dłonie i wreszcie wszystko ucichło. Jak długo tak leżałem niewiem; dopiero gdy nadjechała fura i pomordowanych na nią ładować zaczęto podniosłem się. Mnie żywego i drugiego Stefana Borsuka odstawili pod ścianę — wkrótce nadjechał wóz wyleźliśmy nań i pod osłoną około sześciu policyantów odstawiono nas na policyę. Tam nas nie przesłuchiwano, mnie odstawiono do szpitala, bo miałem ranę 5 cm. na tyle głowy, a co się stało z Borsukiem niewiem. W szpitalu byłem leczony. W jakie dwa tygodnie mego pobytu w szpitalu przyszło po mnie wezwanie do Komendy twierdzy. Udałem się tam i byłem przez oficera przesłuchany. W końcu przesłuchania zapytał się mnie jakiej żądam nagrody. Odpowiedziałem, że żadnej tylko puszczenia mnie do domu. Na to odpowiedział mi oficer, że niewie co Policya ze mną zrobi. Udałem się na Policyę — tu kazano mi iść do domu, ponieważ jednak Przemyśl był już oblężony nie mogłem się dostać do domu. Przesiedziałem więc w szpitalu całe oblężenie jako stróż szpitalny, a skoro Moskale Przemyśl zajęli wróciłem do domu. Stwierdzam, że nikt z nas, a w szczególności panna Mochnacka nie strzelała. Stwierdzam dalej, że aż do chwili zabrania mnie z domu, żadne wojska przez Wojtkowę nie maszerowały, że eskorta nasza przed napastnikami nas nie broniła. Wprawdzie kapral Scheiner krzyknął „nie bić" gdy nas zaczęli mordować, lecz tego nikt nie słuchał. Dodaję, że między nami był Mikołaj Żołdak z pod Gródka Jagiellońskiego, który uciekając przed inwazją nieprzyjacielską żonę i dzieci wysłał w kierunku Sanoka, a sam wybrał się później szukać ich. W drodze aresztowała go żandarmerya jako szpiega i razem z nami odstawiono go do Przemyśla, gdzie zginął. Między pierwszem

i drugiem oblężeniem mogłem iść do domu, lecz nie mogłem się tam dostać bo mi komenda twierdzy nie dała przepustki — nie mogłem się o nią dopchać. W Dobromilu 14 lutego 1916. Jan Machnik w. r. Spisał J. Kostrzewski.

Załącznik 97.

„Durch die Aussagen des Zeugen Mussak wurde es bewiesen, dass der Angeklagte Nikola Dzus russischen Soldaten den Weg gegen die Ortschaft Cablo zu gezeigt hat. Auf Grund des Geständisses dieses Angeklagten wurde festgestellt, dass die russischen Soldaten bei ihm durch zwei Tage bequartiert waren. Auf Grund dieser Feststellungen wurde schliesslich als erwiesen angenommen, dass der Angeklagte Nikola Dzus den Russen die besagten Auskünfte gegeben hat, um dem Feinde einen Vorteil zuzuwenden. Die über ihn gemäss § 444 M.-St.-P.-O. verhängte Strafe soll Angeklagter Dzus als fünster verbüssen, weil seine lügnerische Verteidigung darauf hinwies, dass er den Russen vollauf ergeben war".

(Motywa jednego z wyroków, podane w „Arbeiter-Zeitung" z 7 lutego 1918).

Załącznik 98.

AUTOMOBILEM PRZEZ GALICJĘ.

Garść wrażeń z podróży specjalnego sprawozdawcy „Ilustr. Kurjera Codziennego" do Lwowa.

ŻÓŁTAŃCE.

W stosunkowo dość krótkim czasie dojeżdżamy do Żółtaniec, pierwszej większej miejscowości na wschód od Lwowa.

Już z daleka czernieją na widnokręgu czarne sylwety zburzonych lub spalonych domostw. Tu i ówdzie strzelają ku niebu ogniste języki. Swąd spalenizny unosi się w powietrzu. Wjeżdżamy do wsi. Po obu stronach gościńca wszystkie chaty spalone, niektóre jeszcze dogryza żółtawy płomyk. Również i dalsze zabudowania spłonęły. Wysoka cerkiew prawosławna, o trzech kopułach, zburzona. Tak samo i plebanja parocha, który uciekł wraz z wojskami rosyjskiemi. Ludność rusińska, która po wkroczeniu Rosjan w r. ub. przeszła na prawosławie wyemigrowała w głąb Rosji. Zostało zaledwie kilka rodzin. Obok domku gminnego, obecnie również spalonego, stała prosta szubienica a w pobliżu ślad świeżo wykopanej mogiły, opatrzonej prostym krzyżem. Jak mnie pozostali mieszkańcy poinformowali, w mogile tej leży nauczycielka miejscowa, Rusinka, powieszona wyrokiem sądu doraźnego za zdradę pozycyj austrjackich.

Nauczycielka owa miała ukryty, w maszynie do szycia, telefon, połączony z baterjami rosyjskiemi. Gdy Austrjacy wkroczyli do wsi i zajęli pozycje, wówczas ta zawiadomiła Rosjan o kierunku bateryj austrjackich, które też w krótkim czasie dostały się w ogień dział rosyjskich. Austrjacy sądząc, iż Rosjanie odkryli ich pozycje, ustawili baterje na innem stanowisku. Ale gdy i wówczas ogień rosyjski

zasypywał a nawet uszkodził działa, domyślano się, iż sukcesy Rosjan spowodowane są zdradą, któregoś z mieszkańców. Zbadano dokładnie linję odwrotową Rosjan i rzeczywiście odkryto drut telefoniczny w fosie przydrożnej. Drut ten prowadził do szkoły. Ostrożnie weszli żandarmi polowi do budynku szkolnego i zastano nauczycielkę przy maszynie do szycia, ze słuchawką telefoniczną w ręku. Pochwyconą na gorącym uczynku skazano na karę śmierci, a wyrok wykonano natychmiast na miejscu publicznem. Ponieważ mieszkańcy, Rusini, wiedzieli o tem połączeniu z Rosjanami a nie ostrzegli naszych wojsk, z rozkazu wyższego, wieś za karę została podpaloną na czterech końcach.

MIKŁASZÓW.

Wkrótce opuszczamy Żółtańce, jadąc w kierunku południowo-wschodnim. Okolica doszczętnie zniszczona. Dojrzewająca pszenica i żyto leży pokotem, stratowana miljonami ciężkich stóp żołnierskich. Jak daleko tylko okiem sięgnąć, ciągną się głębokie rowy strzeleckie, nasypy, nakrywki ziemne.

Zbliżamy się do Mikłaszowa. Wieś spalona doszczętnie również za zdradę. Nigdzie nie widać mieszkańców. Wszystkich władze wywiozły na zachód.

We wsi tej — objaśniał mnie pewien wojskowy — stały baterje austrjackie i konnica. W jakiś czas po zajęciu stanowisk rozpoczęli Rosjanie gwałtowny ogień działowy. Grad ołowiu zasypywał pozycje austrjackie. Jak wszędzie tak i tu, dla zmylenia nieprzyjaciela zmieniono pozycje, poczem sądząc, że zachodzi tu zdrada, oficerowie obserwowali okolicę. Nagle od strony lasu, pędził chłop krowy, w prostym kierunku pozycji, a w kilka minut później działa rosyjskie ostrzeliwały baterje austrjackie [1]). Było więc pewnem, iż chłop ów jest zdrajcą. Pochwycono go na miejscu i rozstrzelano.

Wacław Sperber.

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 26 lipca 1915.)

Załącznik 99.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio,

Podpisana czytając dużo o uczynkach Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego i o Jego staraniach, by ulżyć biednej ludności, śmie zwrócić się do niego z następującą prośbą: W roku 1914 w miesiącu wrześniu, przyszła do miejscowości Wróblik szlachecki koło Rymanowa patrol huzarów węgierskich, złożona z około 15 ludzi w czasie gdy nie było jeszcze wojsk rosyjskich ani naszych i bez żadnego powodu porwała mego męża Piotra Burdziaka lat 52 liczącego, chorego, pasącego koło domu krowy i krzycząc do niego po madziarsku niezrozumiałe słowa — rozstrzelała go koło mego domu. Nie pomogły żadne prośby me i mych małych dzieci, wojsko nie dało się ubłagać. Straciłam męża, a me dzieci ojca, nie mamy żadnych środków do utrzymania.

---

[1]) Prawdopodobnie typowy wypadek urojonej zdrady (uwaga autora).

Udaję się z wielką i gorącą prośbą do Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego, by w ministerstwie dali mi jakie odszkodowanie za niewinnie zastrzelonego męża.

Marjanna Burdziak z 3 dziećmi.

Wróblik szlachecki, koło Rymanowa, dnia 20/XII. 1917.

Załącznik 100.

Kraków, dnia 10 września.

„Sygnały na wieży Karmelitów Bosych". Plotka krakowska, tak wszechwładna w czasie wojennym, odkryła wreszcie w Krakowie armję... francuską. Armia ta znajduje się na wieży kościoła Karmelitów i z wieży porozumiewa się z korpusem rosyjskim, stojącym w Miechowie (sic!). Ale na szczęście odkryto sygnały na wieży i aresztowano cały klasztor (zamieszkały przez Francuzów) itd. itd.

Tak przedstawia się plotka. Prawda natomiast jest mniej zajmującą. W klasztorze mieszkają wyłącznie Polacy i Czesi (prowincjałem jest O. Lamosz, wikarjuszem O. Bylica). Onegdaj paliły się Prusy pod Kocmyrzowem. Dyrektor Zakładu Lubomirskich Salezjanin (Polak z Górn. Śląska) przybył z ogrodnikiem do klasztoru i zaznaczywszy, że według pogłosek pali się klasztor Karmelitów w Czernej, poprosił o klucz na wieżę, by mógł przypatrzeć się pożarowi. Życzeniu uczynił przeor zadość. Później przeor, aby się przekonać, czy goście są na wieży, wyszedł z lunetą na podwórze. Nagle w bramie powstał hałas i weszła patrol, która zrobiła w klasztorze rewizję (oczywiście nic nie znalazła) i aresztowała ogrodnika na wieży. Powodem całego hałasu było wypatrywanie okolicy przez ogrodnika. Klasztor nie jest wcale wmieszany w tę awanturę.

(„Głos Narodu" z 11 września 1914.)

Załącznik 100-a

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio,

Dziękuję najuprzejmiej za przesłanie mi miłej wiadomości o udzieleniu przysiołkowi Burdzy ad Przyszów zapomogi 10.000 K.

Przy tej sposobności pozwalam sobie zwrócić się do Pana Hrabiego z prośbą w sprawie p. W., b. porządnego człowieka: Siostra żony p. W., pani J. T. została niedawno internowana w . . . . Jest ona wdową po urzędniku w . . . . . , który umarł przed trzema miesiącami. Panią T. obecnie internowano wskutek pochodzącego z chęci zemsty doniesienia służącej, cichej metresy nieboszczyka męża, którą pani T. po śmierci męża z domu napędziła. Jako powód internowania podaje mi pan W. tę okoliczność, że szwagrowa jego, będąc piersiowo chorą wyjeżdżała często do Włoch, z tego powodu więc może donosicielka posądziła ją o sympatję dla Włochów. Ponieważ znam uczynność Pana Hrabiego i wiem, że sprawami niesłusznie internowanych żywo się zajmuje, upraszam

o łaskawe rozpatrzenie sprawy w miejscu właściwem i w danym razie o poczynienie kroków, aby niewinnie internowaną uwolniono.

Prosząc o kilka słów w sprawie p. T. łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania

Dolnicki (Starosta w Nisku).

Nisko, dnia 27/II 1917.

Załącznik 101.

LIST CESARSKI DO X. KAN. ŚWIEYKOWSKIEGO.

Danem nam jest ogłosić charakterystyczne dokumenty w mało znanej sprawie X. kan. Świeykowskiego z Gorlic. Po przełamaniu frontu, tragiczny los miasta wzbudził ogólne współczucie. Na tem tle uwydatniła się zarazem postać pełnego poświęcenia kapłana, który w czasie inwazji sprawował tymczasowy zarząd miasta jako najgorliwszy opiekun ludności. Nie brakło jednak i cierni. Na podstawie denuncjacji wydalonego ze służby za pijaństwo funkcjonarjusza miejskiego, odbyła się przeciw X. Śweykowskiemu rozprawa w krakowskim sądzie polowym. Rozprawa wydobyła na jaw nie przewinienia, ale tak wyjątkowe zasługi, że cesarz nadał mu krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa z dekoracją wojenną. X. Świeykowski zwrócił się z prośbą do monarchy, aby pozwolił mu pracować dalej bez świeckiego oznaczenia, gdyż to, co zdziałał, czynił jedynie z „kapłańskiego powołania" i „chrześcijańskiej miłości bliźniego". Niebawem zjawił się w Gorlicach żandarm pałacowy, jako kurjer, który wręczył X. kan. Świeykowskiemu list cesarski, będący najpiękniejszem uznaniem jego obywatelskiej działalności, a zarazem znamiennym dokumentem szlachetności serca monarchy. List brzmiał:

Baden 16 marca 1917.

Kochany kanoniku Świeykowski!

Uznaję powody, jakie skłoniły Pana do prośby, by wolno mu było zwrócić krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa z dekoracją wojenną, który mu udzieliłem.

We wzorowem wypełnianiu powierzonych obowiązków rządowego komisarza w ciężko doświadczonem mieście Gorlicach, w idealnem wykonywaniu swojego powołania, jako duszpasterz, zdziałałeś Pan rzeczy, które posłużą za przykład i zjednały Ci pełen podziwu szacunek szerokich kół społeczności.

Kapłan, który wysokim zadaniom swego wzniosłego urzędu tak sprostał, jak Pan, który w najcięższych czasach był dla bliźnich swoich duchowym pocieszycielem, pomocnym przyjacielem i zapobiegliwym doradcą, wystawił sam sobie w sercach współobywateli najpiękniejszy pomnik i zapewnił sobie kartę honorową w dziejach swej Ojczyzny.

Dla tak wiernego sługi Bożego zbyteczne być może zewnętrzne odznaczenie, albowiem znajduje najwyższą nagrodę w świadomości doskonałego wypełniania obowiązku.

Z pełni serca życzę Panu, byś mógł zapomnieć krzywdy (Ungemach), doznanej niezasłużenie w marcu 1916 roku.

Najgoręcej dziękuję za wszystko dobre, dokonane prace Pana, i proszę Boga o najobfitsze dlań błogosławieństwo.

Karol m. p.

List X. kan. Świeykowskiego, przesłany do kancelarji cesarskiej, brzmiał:

Wasza cesarska i królewska Apostolska Mość najłaskawszy Cesarzu i Panie!

Z Wiener Ztg. dowiedziałem się, że nadane mi zostało wysokie odznaczenie krzyża kawalerskiego orderu Franciszka Józefa. Z niżej przytoczonych powodów widzę się jednak zmuszonym, to dla mnie ze wszech miar cenne odznaczenie, z pokornem podziękowaniem Waszej ces. i król. Mości oddać do dyspozycyi.

Od 21 lat przebywam jako kapłan i profesor religji w Gorlicach. Ściśle związany z tem miastem, przeżyłem tam tyle chwil szczęśliwych, że nie widziałem w tem nic nadzwyczajnego i godnego uznania jeżeli w połowie września 1914 r., gdy wszystkie polityczne i autonomiczne władze były zmuszone z powodu wypadków wojennych miasto opuścić, postanowiłem objąć urząd burmistrza i opiekę nad pozostałymi mieszkańcami.

Skłoniło mnie do tego postanowienia moje kapłańskie powołanie, które mi każe chrześcijańską miłość bliźniego nie tylko słowy głosić, ale czynami okazywać; bez względu więc na to, czy moje usiłowania i trudy zasłużą wobec świata na odznaczenia i pochwały, pragnąłem jedynie pełnić wolę Wszechmocnego Sędziego i Jego święte przykazania. Najpiękniejszą nagrodę dał mi spokój sumienia i silne przekonanie, że w tych strasznych miesiącach podczas dwukrotnej rosyjskiej inwazyi i ostrzeliwania miasta, trwającego przez 126 dni, uczyniłem wszystko w miarę moich sił i mojej wiedzy, na chwałę Boga i dla dobra moich bliźnich.

Ciężkie i gorzkie krzyże dźwigałem przez ten czas, tak, że w końcu maja 1915 r. mogłem szczerze i bez żadnej ukrytej myśli odpowiedzieć pewnemu niemieckiemu jenerałowi, który w obecności kilku urzędników magistratu oświadczył: „Wasza Przewielebność! słyszałem już o księdzu: Należy się Panu krzyż żelazny!" — „Dziękuję Ekscelencjo za te słowa; dość krzyżów dźwigałem jako burmistrz, te mi się należą jako katolickiemu kapłanowi; pozostaw Ekscelencyo inne krzyże tym, którzy ich pragną".

Wychowany od dzieciństwa w ściśle konserwatywnych i lojalnych zasadach przez całe 52 lata mego życia pozostałem im wierny na każdym kroku, i starałem się dowieść tego przy każdej sposobności. A jednak już w czasie, kiedy namiestnik Collard zamianował mnie komisarzem rządowym dla Gorlic, zostałem za denuncjacyę sługi magistrackiego wydalonego za pijaństwo, zawezwany przed sąd polowy w Krakowie. Przyszedł straszliwy moment, rozprawa, chociaż moja niewinność była już wykazana w śledztwie przez świadectwa politycznych władz, c. k. żandarmeryi i wielu świadków; i na tej rozprawie, która odbyła się 10 marca 1916 r., musiałem stanąć jako obwiniony. Zostałem jednomyślnie uwolniony, gdyż inaczej być

nie mogło. Jednakże to stawanie przed sądem było dla mnie, kapłana, który przez całe życie spełniał nienagannie swoje obowiązki wobec Boga, Kościoła i Ojczyzny, najcięższym krzyżem, jaki włożono na moje barki i serce.

Podczas tej okropnej wojny straciłem mego jedynego brata porucznika ułanów; moja matka umarła ze zgryzoty po jego śmierci, moje prywatne mienie zostało zniszczone przy zburzeniu miasta — ale wszystkie te krzyże lżej mogłem znieść jako ofiary na ołtarzu miłości Ojczyzny. Ten ostatni zupełnie niezasłużony krzyż z 10 marca 1916 — który to dzień będzie najpamiętniejszym w mojem życiu — był mi najcięższy i największą goryczą mnie napoił.

Polecając moją najpoddańszą prośbę najwyższej łasce, kreślę się z najgłębszą czcią i poddaniem.

Gorlice 21 lutego 1917 r.

Bronisław Świeykowski
kanonik, katecheta, komisarz rządowy

(„Czas' z soboty 23 czerwca 1917.)

Załącznik 102.

Z IZBY SĄDOWEJ.

O obrazę komisarza policji.

Lwów, 20 października.

Przez trzy ubiegłe dni toczyła się przed zwykłym trybunałem karnym rozprawa przeciwko Jakóbowi Mehrerowi, asyst. poczt., oskarżonemu o zbrodnię oszczerstwa, popełnioną na osobie komisarza policji p. Alfreda Rudka. Głośna ta sprawa, będąca echem czasów inwazji, dwukrotnie odraczana, roztoczyła przed forum sędziowskiem szeroki obraz stosunków, jakie wówczas panowały w mieście. Pamiętnemi na długie lata, a zanotowane w kronikach Lwowa, pozostaną setki spraw, rozpatrywane przez trybunały cywilne i wojskowe bezpośrednio po inwazji, a których tłem była zazwyczaj nieuzasadniona denuncjacja poważnych nieraz obywateli, którzy padali ofiarą sporu, mającego podłoże stosunków osobistych.

Podobnie też przedstawia się sprawa wczorajsza.

Komisarz p. Rudek, pozostawszy we Lwowie po ustąpieniu władz austrjackich, wstąpił do służby policji miejskiej, zorganizowanej przez zarząd miasta, w charakterze komisarza policji. Obwiniony Mehrer zjawiwszy się na inspekcji z żądaniem wydania pozwolenia na otwarcie sklepu jego brata, spotkał się z odmową, ponieważ nie posiadał zgody na to ze strony rodziny. Podziałało to na Mehrera tak irytująco, że postanowił zemstę i wykonał ją zaraz po powrocie władz austrjackich do Lwowa.

Zajście znalazło miejsce w lokalu śniadankowym Fliesera przy ul. Jagiellonskiej, gdzie Mehrer spotkawszy p. Rudka, zarzucił mu „szpiegostwo i zdradę". Sprawa oparła się najpierw o dyrektora policji radcę dworu Reinlendera, była też przedmiotem dochodzeń ze strony władz wojskowych, aż wreszcie epilog sprawy rozegrał się przed trybunałem karnym.

Po przeprowadzonej rozprawie trybunał ogłosił wczoraj w południe wyrok, uznający Mehrera winnym zbrodni oszczerstwa przez

posądzenie o szpiegostwo i skazał go na karę 3-tygodniowego aresztu, obostrzonego dwoma postami, oraz na zwrot kosztów postępowawania karnego.

(„Kurjer Lwowski" z dnia 20 października 1917.)

Załącznik 103.

Ustęp z artykułu **„Polnische Schicksalswendungen"** „Neue Zürcher Zeitung" z 5 maja 1915, Nr. 541.

„...Zieht man noch in Betracht, dass auch der Tod in den Reihen der polnischen Freiheitskämpfer wütete, so ist von der galizischen Legion nur eine kleine Gruppe übrig geblieben, ein trauriger Ueberrest des mit solcher Begeisterung begonnenen Werkes. In Oesterreich und Deutschland wird ihm kein besonders liebevolles Andenken bewahrt, wie dort, überhaupt über die galizischen Polen jetzt so manches hartes Urteil gesprochen wird. Maximilian Harden — es scheint mir geeignet, ihn hier sprechen zu lassen — äussert sich darüber in der „Zukunft": „Von den Taten der galizischen Legion haben wir weniger gehört als von dem Verrat und der Ausspähung, deren Oesterreichs Heer auf seinem Vormarsch und auf seinem Rückzug sich kaum zu erwehren vermochte, und die Tatsache, dass fast 700 Staatsbeamte, also Polen, der Mitwirkung zu solchen Trachten verdächtigt wurden, müsste jeden, der nicht blind sein will, lehren, was ist".

Ob nun Hardens Behauptungen Recht behalten oder nicht — seine Ansicht wird jetzt in der Donaumonarchie so ziemlich **allgemein geteilt** und die Polen, die in den ersten Wochen des Krieges als dieser Monarchie beste Bürger bezeichnet wurden, **tragen heute dort das Merkmal des Verrates".**

Załącznik 104.

WYKRĘTY PASZKWILANTA.

Marks Harden odpowiada w „Zukunft" z 20 bm. na znany list otwarty prof. Jaworskiego dosłownie tak:

„Dnia 30 stycznia powiedziałem: „O czynach galicyjskiego Legjonu słyszeliśmy mniej, niż o zdradzie i szpiegostwie, przed którem wojsko austrjackie ledwie ustrzedz się mogło w czasie pochodu, jak i odwrotu; a fakt, że prawie siedmiuset urzędników państwowych, a więc Polaków (perfidja, czy ignorancja Hardena przeocza, że są też urzędnicy Rusini w Galicji) było podejrzanych o współdziałanie w tych sprawkach, musiał na to, co się święci, otworzyć oczy każdemu, kto niechce być ślepym". W otwartym liście mówi mi pan Dr Władysław Sas Jaworski „Prezydent N. K. N. Polskiego", że Legjony są dumą Polski, a ich czyny zasługują na podziw najwyższy. Nie mam powodu o tem wątpić; ale dotąd o tych czynach bohaterskich nic nie słyszałem. Pan Sas Jaworski twierdzi dalej, że „siedmiuset Polakom zarzuciłem najpodlejszą zdradę" i wzywa mnie, „abym na to dostarczył dowodu". Spodziewam się, że pierwsza jego teza ma podstawę silniejszą. Zarzuciłem zdradę? Nie! Mówiłem o podejrzeniach. Czy chce ten szlachcic („der Ritter") im przeczyć? Chce

sprzeciwiać się twierdzeniu, że w Galicji tysiące ludzi aresztowano, a prawie siedmiuset urzędników było podejrzanych? Wiadomość o tem mam nietylko od ukraińskich nieprzyjaciół Polski; także z niemieckich memorjałów ludzi całkiem bezstronnych. Jak wielu podejrzanych zostanie udowodnioną wina, okaże się z wyroków styryjskich sądów. A że o tem i o „dowodach" dopiero po wojnie będzie można bez odsłonek mówić, wie twórca otwartego listu tak dobrze, jak i ja. Żałuję, że mu „trudno opanować oburzenie"; teraz jednak zbrojenie się jest niebędne, oburzanie szkodliwe; i nie sama tylko władza zakazuje głośnych sporów. Dlatego nie podaję dzisiaj nic z broszury „Rosyjska propaganda i jej polscy opiekunowie w Galicji [1]), **nie wspominam o wiadomościach z Gracu** [2]) i nawet nie pytam, dlaczego do nas, sprzymierzonych dochodzą z Austrji tylko otwarte listy? Rycerze i giermkowie, wypędźcie z habsburskiej ziemi wroga; potem będą mogli oburzeni w spokoju mówić dalej".

Tyle Hardenowskiego wykręcania się sianem.

Załącznik 104 a.

URZĘDOWA ODPOWIEDŹ NA OSZCZERSTWA HARDENA.

Wiedeń, 15 marca.

(y) „Gazeta Lwowska" ogłasza następujący artykuł:

Od dłuższego czasu pojawiały się z różnych stron przeciw administracji kraju nieprzychylne zarzuty, uwłaczające czci narodowości polskiej tej administracji. Zarzuty te skrystalizowały się w ostatnim czasie w artykule berlińskiej „Zukunft"; podnoszą, że prawie 700 urzędników państwowych narodowości polskiej w Galicji, podejrzanych jest o zbrodnię zdrady stanu lub szpiegostwo.

Wskutek tych ataków widział się profesor Wł. Leopold Jaworski, prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, spowodowany wystosować do Hardena, redaktora czapisma „Zukunft" list otwarty, w którym domagał się dowodów na to niebywałe oskarżenie. W numerze z 20 lutego czasopisma „Zukunft" okazała się wykrętna i podchwytliwa odpowiedź redaktora Hardena na to otwarte pismo; nie przyniosła ona żadnych dowodów, natomiast podtrzymane jest w niej dawniejsze twierdzenie z uwagą, że wina owych rzekomo podejrzanych urzędników może dopiero po wojnie być stwierdzona, i że dopiero wówczas o tej sprawie będzie można mówić.

Prezydjum c. k. namiestnictwa odniosło się wobec tego do wszystkich c. k. władz i urzędników w kraju z zapytaniem, czy od początku zaburzeń wojennych wdrożyły sądy karne, cywilne albo wojskowe, przeciw któremukolwiek z urzędników narodowości polskiej dochodzenia o zdradę stanu lub jaką inną zbrodnię polityczną, a w wypadku potwierdzającym z jakim skutkiem.

Na wezwanie to wpłynęły następujące odpowiedzi:

1. Z prezydjum c. k. lwowskiego wyższego sądu krajowego obecnie w Ołomuńcu: z całą stanowczością stwierdzono, że w dru-

[1]) Łozyńskij: „Die russische Propaganda und ihre Gönner in Galizien".

[2]) Idzie tu oczywiście o Thalerhof pod Grazem i dochodzenia t. zw. komisji thalerhofskiej w Grazu.

giej połowie zeszłego roku i w bieżącym nie zostały wdrożone ani ze strony sądów cywilnych ani wojskowych przeciw funkcjonarjuszom lwowskiego wyższego sądu krajowego narodowości polskiej żadne karne dochodzenia o zdradę, lub szpiegostwo, lub inną zbrodnię polityczną.

2. Z prezydjum c. k. krakowskiego wyższego sądu krajowego obecnie w Ołomuńcu: W czasie od 1 lipca 1914, do dnia dzisiejszego nie wdrożono przeciw żadnemu z funkcjonarjuszy sądowych Galicji zachodniej narodowości polskiej żadnego śledztwa karno-sądowego. Wprawdzie miały miejsce przedwstępne dochodzenia przeciw jednemu sędziemu, oficjantowi kancelaryjnemu i słudze sądowemu o szpiegostwo, zostały jednak wkrótce przez sąd wojskowy dla braku wszelkiej podstawy faktycznej zastanowione.

3. Prezydjum c. k. galicyjskiej krajowej dyrekcji skarbu obecnie w Białej przysyła odpowiedź, z której wynika, że przeciw żadnemu urzędnikowi skarbowemu narodowości polskiej nie wdrożono dochodzeń karnych z jednym wyłącznie wyjątkiem, a mianowicie przeciw jednemu urzędnikowi cłowemu są dochodzenia wstępne o szpiegostwo w toku.

4. Prezydjum c. k. galicyjskiej dyrekcji poczt i telegrafów obecnie w Białej doniosło pismem z 5 bm., że nikt z galicyjskich funkcjonarjuszy pocztowych narodowości polskiej nie dopuścił się zbrodni zdrady stanu lub innej zbrodni politycznej Dla dokładności przytacza się, że wdrożone wskutek denuncjacji dochodzenia wstępne przeciw trzem funkcjonarjuszom pocztowym, wykazały bezpodstawność dochodzenia, wobec czego w ciągu krótkiego czasu zostały one zastanowione.

5. C. k. lwowska dyrekcja kolejowa, obecnie w Bernie, pisze dnia 8 bm.: przeciw żadnemu z urzędników narodowości polskiej w tutejszej c. k. dyrekcji od początku wojny nie zostały wdrożone dochodzenia o zbrodnię polityczną. Dla dokładności przytacza się, że przeciw trzem podurzędnikom i jednemu konduktorowi, były w toku dochodzenia o zdradę stanu, względnie szpiegostwo, że jednak wszystkie dla braku dowodów, w krótkim czasie zostały zastanowione.

6. C. k. krakowska dyrekcja kolei państwowej, obecnie w Żywcu, donosi 7 bm., że nie było żadnego wypadku, by przeciw któremukolwiek z tamtejszych urzędników kolejowych narodowości polskiej zostały wdrożone sądowo-karne dochodzenia o zbrodnię zdrady stanu lub szpiegostwa.

7. C. k. Dyrekcja Stanisławowska kolei państwowej, obecnie w Hranicach, donosi telegraficznie, że przeciw żadnemu z tamtejszych urzędników kolejowych narodowości polskiej, nie zostały wdrożone sądowo-karne dochodzenia o zbrodnię zdrady stanu lub szpiegostwa.

8. Co się tyczy wreszcie urzędników administracji politycznej, to również na żadnym z nich nie ciąży zarzut zdrady stanu, czy szpiegostwa. Mamy tu tylko do zanotowania dwa następujące wypadki:

Kierownik jednego ze wschodnio-galicyjskich starostw, który do ostatniej chwili wytrwał na swem stanowisku, gdy wreszcie na po-

lecenie władzy wojskowej opuścił pod gradem kul nieprzyjacielskich swą siedzibę urzędową, został w sąsiednim powiecie przez oddział honwedów, nie rozumiejących ani po polsku, ani po niemiecku, zatrzymany. Sprawa ta, którą tylko fatalnemu nieporozumieniu przypisać należy, niebawem się wyjaśniła i ów kierownik starostwa został nazajutrz uwolniony, oraz otrzymał należną satysfakcję.

W drugim wypadku, na podstawie złośliwej denuncjacji, aresztowano komisarza powiatowego starostwa husiatyńskiego i wdrożono przeciwko niemu dochodzenia o zdradę tajemnicy urzędowej. Dochodzenia te wykazały najzupełniejszą bezpodstawność denuncjacji. Komisarz ten pełni, jako oficer rezerwowy w linji, służbę wojskową.

Tak się przedstawia, w świetle dat i świadectw ściśle urzędowych, potwarczy zarzut największej zbrodni zdrady stanu, uczyniony urzędnikom państwowym narodowości polskiej w Galicji. Dalsze podtrzymywanie tego zarzutu byłoby przeto prostem, już świadomem, oszczerstwem.

Załącznik 104. b

Wiedeń, 25 lutego.

Sekretarjat Koła Polskiego komunikuje: W dyskusji nad wnioskami na posiedzeniu Koła Polskiego w dniu 20 b. m., jak donoszą „Poln. Nachrichten" poseł Witos wskazywał, że ludność wobec nieprzyjacielskiej inwazji nie otrzymała żadnych wskazówek i protestował przeciw pewnym usiłowaniom rzucania oszczerstw. Ludność nasza ofiarnie poniosła czego od niej żądano i ponosi bez szemrania wszystkie rekwizycje, znosiła straszne następstwa kilkakrotnych przemarszów wojsk. Kraj po inwazji nieprzyjacielskiej stał się pustynią. Naród, leżący dziś na pogorzelisku swojego mieszkania, oprócz obowiązków, nałożonych przez ustawę, wysłał także tysiące ochotników w pole. Narodowi temu z pewnej strony czynione są jeszcze zarzuty zdrady, choć tysiąc lat naszej historji wskazuje, żeśmy zdrady nie znali. Mowca proponuje rezolucję w tym duchu.

(„Głos Narodu" z 26 lutego 1915.)

Załącznik 105.

PRZECIW DENUNCJACJOM.

Wychodząca w Dąbrowie górniczej „Gazeta Polska" zamieszcza w rubryce pod tyt. „Rozporządzenia władz" następujący komunikat:

„Bezimienne doniesienia, nadchodzące w ostatnim czasie do tutejszych władz, powodują mnie do przedstawienia ludności, co następuje:

„Jest wprawdzie obowiązkiem każdego obywatela w interesie porządku i bezpieczeństwa donieść władzom przekroczenia ustaw, które doszły do jego wiadomości, zważyć jednak należy, że lekkomyślne albo nieprawdziwe doniesienia łatwo za sobą pociągnąć mogą nieufność władz i nieprzyjaźń między współobywatelami. Kto jest o prawdziwości swego doniesienia przekonany, albo komu przynajmniej znane są ważne przyczyny, uzasadniające podejrzenie, ten może z czystem sumieniem, bez obawy niekorzystnych następstw dla

siebie podpisać doniesienie swem nazwiskiem, a to tembardziej, że nazwisko donosiciela osłonięte jest tajemnicą urzędową. Anonimy wzbudzają nietylko wrażenie, jakoby donosiciel wskutek osobistej nieżyczliwości lub chęci zemsty chciał drugiemu przysporzyć niezasłużonych przykrości, ale także utrudniają i opóźniają działalność władz przy dochodzeniu karygodnego czynu, a nawet czynią w niektórych wypadkach ukaranie winnego niemożliwem, wykluczają, bowiem przeważnie możność przesłuchania donosiciela, który byłby w stanie dać władzom pożyteczne wskazówki. Mam nadzieję, że ludność obwodu wstrzyma się od tak niemoralnego postępowania, jakiem jest wnoszenie bezimiennych doniesień. W przeciwnym razie byłbym zmuszony użyć takich doniesień tylko w tym celu, aby wykryć i ukarać donosicieli.

(„Głos Narodu", dnia 9 października 1915.)

Załącznik 106.

OBWIESZCZENIE.

1) W dwie godziny po rozlepieniu i ogłoszeniu niniejszego obwieszczenia t. j. dnia 9-go października od 4-tej popołudniu godziny począwszy nie wolno zasadniczo wszystkim mieszkańcom opuszczać swych mieszkań.

O zmroku jest opuszczanie domów bezwarunkowo wzbronione.

Niezastosowanie się będzie jaknajsurowiej karane.

Przepustki nie będą wydawane.

2) Gminy są obowiązane od zmroku aż do rana postarać się o wystarczające oświetlenie ulic (świece i lampy w oknach).

3) Gminy odpowiadają za całość i bezpieczeństwo znajdujących się na ich terytorjum wojskowych przewodów telegraficznych i telefonicznych.

W tej gminie, w której rejonie przewody telegraficzne lub telefoniczne zostałyby uszkodzone, zostanie ściągnięta dotkliwa kontrybucja pieniężna.

W razie powtórzenia zostaną naczelnik gminy, sekretarz, ewentualnie także wzięci zakładnicy rozstrzelani a dotycząca miejscowość spalona.

4) Żądaniom dostarczenia środków żywności, mieszkań i t. d. ze strony wojska należy natychmiast zadośćuczynić.

Wszystkie sklepy muszą być otwarte bez względu na niedziele i święta (a więc i szabasy).

W razie oporu wejdą w zastosowanie wymienione pod 3) środki karne.

5) Urzędy gminne mają bezwarunkowo zakazać dzwonienia i nie zezwolić na to pod żadnym pozorem.

6) Osoby cywilne przydybane na wieżach kościelnych lub miejscach wyniosłych zostaną natychmiast przyaresztowane.

Niniejsze obwieszczenie ma być mieszkańcom ogłoszone.

C. i K. Komenda korpusu.

Załącznik 107.

C. K. Sąd Powiatowy w Nisku
Pod. dnia 13 stycznia 1916.

No I. 388/16
Jeżowe 10 stycznia 1916.

L. 8.

Świetnemu C. K. Sądowi Powiatowemu
w Nisku

przesyła się w załączeniu zeznania wiarygodnych osób, które były naocznymi świadkami śmierci ś. p. Walentego Mścisza, gospodarza z Jeżowego N. d. 581.

Równocześnie zapytuje się niżej podpisany Urząd parafialny, czy te zeznania są miarodajne już do uznania ś. p. Walentego za umarłego, czy też Świetny C. K. Sąd Powiatowy sam będzie powtórnie tych świadków przesłuchiwał. O ewentualny odpis dekretu uznania za zmarłego uprasza się, aby na tej podstawie wykreślić ś. p. Walentego z metryk. O zwrot załączonego aktu uprasza się

Z Urzędu parafjalnego
w Jeżowem
w. z. ks. J. Kułak.

Protokół.

w sprawie śmierci s. p. Walentego Mścisza, gospodarza z Jeżowego Nr. 531.

Staje Kasper Tkacz, gospodarz z Jeżowego Nr. 144. i zeznaje co następuje: Śp. Walenty Mścisz, mimo nakazu ewakuacji pozostał w domu, gdyż jako trochę upośledzony umysłowo nie odczuwał żadnego lęku przed wojskiem. Gdy przybyły do wsi węgierskie pułki i żołnierze poczęli w niemożliwy sposób rabować i brali kury śp. Walentego Mścisza, a tenże począł bronić swej własności i przeklinać: przyskoczył jeden z żołnierzy węgierskich i uderzył go w głowę. Tem śp. Walenty rozzłoszczony, że był silny, odtrącił żołnierza gwałtownie od siebie. Rozwścieczeni tem oporem madziarzy, zwołali jeszcze więcej towarzyszy, przynieśli powróz i ukrytego pod domem Walentego wyciągnęli i poprowadzili ze sobą. Co się dalej działo świadek nie wie, bo przerażony tem zajściem natychmiast dom i wszystko opuścił i uciekł.

Józefa Bakalarz, żona Antoniego z Jeżowego 855 i Zofja Ożakiewicz, żona Feliksa z Jeżowego Nr. 71: będąc na ewakuacji, właśnie zbliżały się do swych domów, aby popatrzeć co się dzieje i wziąć nieco żywności do lasu, gdzie przebywali, gdy zobaczyły jak kilku żołnierzy było zajętych wieszaniem śp. Walentego. Na razie nie mogły dostąpić bliżej, bo żołnierze nie dopuścili, ale gdy wracały z domu do lasu, przechodziły właśnie koło powieszonego i od obecnych tamże Józefa Wyki z Jeżowego i Franciszka Krawca dowiedziały się, że to powieszony Walenty Mścisz. Twarzy nie rozpoznały, bo była bluzą okręcona, zresztą żołnierze ich odpędzili. Kto pochował i kiedy nie wiedzą, grób zaś znajduje się na pastwisku. Aby upozorować wyrok, madziarzy umieścili tablicę, że powiesili szpiega. To tylko można było zrozumieć, co więcej napisane było, nikt nie znający te-

go języka nie zrozumiał. To się działo w piątek po Bożem Ciele (4/6 1915 r.) Kasper Tkacz m. p. pm. Ks. Kułak, Zofja Ożakiewicz mp. Józefa Bakalarz m. p. Zawezwani zaś Józef Wyka i Franciszek Krawiec rozpoznali w powieszonym Walentego Mścisza, a zresztą żołnierze wskazywali wyraźnie na dom śp. Walentego, że właśnie w tym domu był „szpieg" którego wieszają; i wypytywali się czy go wymienieni znają. Kto go pochował i kiedy nie wiedzą, bo wskutek ewakuacji musieli natychmiast uchodzić. Gdy zaś wrócili do domu, zobaczyli obok tego miejsca, na którem wisiał ś. p. Mścisz, grób, a koło niego tablicę z napisem niezrozumiałem, z którego to napisu mogli odczytać i wyrozumieć tylko słowo: „spion", t. j. szpieg. Grób ten zresztą dotychczas istnieje. Te zeznania swoje gotowi przysięgą stwierdzić. Jan Wyka m. p. Franciszek Krawiec m. p. pm. Ks. Kułak. Tak zeznali wobec mnie: Ks. Fr. Kułak. Jeżowe dnia 14 listopada 1915. Ks. Fr. Kułak m. p. L. S.

(Odpis protokołu dołączonego do mojego wniosku o odszkodowanie dla niesłusznie zasądzonych, internowanych i konfinowanych, oraz dla rodzin osób niewinnie straconych, nr. 304 załączników stenograficznego protokołu Izby poselskiej z r. 1917).

Załącznik 108.

List do posła Lasockiego.

Poniedziałek 29/9 14.

Kochany Panie,

Mówiłem Stürgkhowi i Georgiemu o tem, co mi Pan opowiadał, o zachowaniu się Honwedów. Sądzę, że dobrze by było, gdyby Pan sam do Georgiego zaszedł na Babenbergerstrasse i mu to opowiedział, powołując się na mnie.

Ściska Pana

Morawski.

Załącznik 109.

Eine Konferenz des Polenklubs.

Donnerstag, den 1. d., fand im Hotel Erzherzog Karl unter dem Vorsitz des Vizepräsidenten Hofrat Dr. German eine Konferenz des Polenklubs statt, an der sich ungefähr dreissig polnische Abgeordnete aller Fraktionen beteiligten. Auf der Tagesordnung der Konferenz, die über fünf Stunden währte, standen insbesondere die Fragen des Moratoriums und der Flüchtlingsversorgung. Die Abgeordneten sprachen sich gegen die neue Verordnung bezüglich des Moratoriums aus und erklärten, dass wenigstens für Galizien ein spezielles Gesetz geschaffen oder Ausnahmsverfügungen getroffen werden sollen. Was die Frage der Flüchtlingsversorgung anlangt, wurden die bisherigen Aktionen des Hilfskomitees gutgeheissen und den diese Aktionen leitenden Faktoren die vollste Zufriedenheit ausgedrückt. Schliesslich wurden in Angelegenheit der in der Konferenz zur Sprache gebrachten, mit den Kriegsereignissen auf dem nördlichen Kriegs-

schauplatz in Zusammenhang stehenden Verhältnissen die Abgeordneten Dr. Graf Lasocki und Starowieyski beauftragt, bei dem Landesverteidigungsminister Freiherrn v. Georgi und dem Minister des Innern Baron Heinold vorzusprechen.

(„Neues Wiener Tagblatt" z 3 października 1914).

Załącznik 111.

OGŁOSZENIE.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. i K. Sąd polowy 4-tej Komendy etapowej armji, jako orzekający w charakterze Sądu doraźnego obrony krajowej na przeprowadzonej dnia 19 maja 1915 rozprawie głównej, pod przewodnictwem pułkownika 4tej operującej armji, Józefa Brehma, i kierownictwem Oberstauditora Karola Paulusa w obecności: feldfebla 67 pułku piechoty Armina Schwarcza jako pisarza, kapitana Dra Rudolfa Psauknera jako oskarżyciela, profesora Bolesława Łazarskiego jako oskarżonego i nadporucznika dra Rudolfa Spitza jako obrońcy, uznał w podniesionej skardze na wniosek oskarżyciela przeciwko wyżej wymienionemu oskarżonemu, z powodu zbrodni z§fu 58 c. u. k. iż BOLESŁAW ŁAZARSKI urodzony w Tarnowie w roku 1865 i tamże przynależny i zamieszkały, religji rzym.-kat. żonaty, ojciec 4ga dzieci, profesor seminarjum nauczycielskiego w Tarnowie, posiadacz krzyża jubileuszowego dla urzędników stanu cywilnego

jest winien

że podczas inwazji Moskali w Tarnowie w czasie od listopada 1914 aż do maja 1915

1) siłę Rosji na ulicy a więc jawnie i przed wieloma ludźmi chwalił, a Austrji odmawiał zupełnie przyszłości;

2) że w ratuszu na zgromadzeniu straży obywatelskiej przeciw panującmu pijaństwu w armji rosyjskiej mówił, aby ją tem podnieść i aby nie poniosła podobnej klęski jak pod Krakowem, którą przypisywano właśnie pijaństwu;

3) że po poddaniu się Przemyśla jechał w towarzystwie rosyjskiego oficera na zaimprowizowane na rynku w Tarnowie wojskowe nabożeństwo, po skończeniu zaś tego rynek opuścił,

a więc dopuszczał się czynności, które w połączeniu z towarzyszącemi okolicznościami częścią jawnie, częścią przed wieloma ludźmi zdziałane, miały na celu doprowadzić do zniszczenia publicznej idei państwowej a przez to oderwania jednej części ze związku państwowego Monarchji Austro-Węgierskiej.

Wyżej nazwany został więc z powodu zbrodni zdrady głównej wedle §fu 58 c. u. k. przy zastosowaniu ces. rozporz. z dnia 25 lipca 1914 Dz. u. p. Nr. 158 i rozporządz. naczelnej Komendy armji res. Nr. 44 z 3 sierpnia 1914 oraz §fu 444 2 woj. proc. karn. na karę śmierci przez powieszenie zasądzony.

Wyrok dnia 21 maja 1915 o godzinie 12.30 przed straceniem ponownie ogłoszono.

Załącznik 112.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio Dobrodzieju,

Bardzo serdecznie dziękuję za okazaną mi życzliwość. Byłabym jeszcze wczoraj odesłała podanie, ale chciałam się jeszcze dokładniej dowiedziedzić coś o śmierci mego biednego męża, gdyż w Thalerhofie powiedziano mi, jak byłam 31-go, że temi dniami życie zakończył, a w Namiestnictwie dowiedziałam sę ze spisu, że jeszcze 5-go stycznia. Odrazu się zapytałam gdzie się mam udać po ważne dla mnie papiery t. j. książka od pieniędzy, police asekuracyjne, listy ważniejsze od rodziny, świadectwa męża, wszystko to Węgrzy zabrali jak i 400 koron. W namiestnictwie kazano mi się udać do Komendy wojskowej do dra Premingera, u którego dzisiaj byłam. Dr. Preminger wskazał mi adres do Starostwa, w Grazu, żebym wniosła podanie. Otóż Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio, ja sobie sama z tem rady nie dam, dlatego adres posyłam z pokorną prośbą o załatwienie tego podania. Wielką nam wyrządzono krzywdę nie pozwalając nam się widzieć i nawet listownie się porozumieć. Będąc w Nowy Rok w Thalerhofie, prosiłam, błagałam, żeby mi pozwolili choć z daleka męża widzieć, głos Jego słyszeć, nic nie było dozwolone i listy nie doręczone. Biedny mój mąż zakończył życie w ostatniej nędzy i opuszczeniu. Ja będę musiała tu pozostać do Marca, żeby wszystko pozałatwiać, i może się coś o mężu więcej dowiem od tych ludzi, którzy 15go mają wyjść z Thalerhofu.

Łączę wyrazy wdzięczności i uszanowania

Stanisława Maślak.

Graz 6/II. 1915.

Załącznik 113.

Präsidium der k. k. steiermärkischen Statthalterei.

Pr.. Z. 463. Graz, den 28 Februar 1915.

An Frau Stanislawa Maslak

in Graz.

Es wird Ihnen mitgeteilt, dass über Antrag der Thalerhofer Untersuchugskommission vom 15 Dezember 1914, die Freilassung Ihres am 5 Jänner 1915, verstorbenen Gatten Emilian Maslak aus der politischen Haft in Thalerhof wegen politischer Unbedenklichkeit beschlossen worden war. Dieser Beschluss konnte wegen der in Thalerhof herrschenden Typhusepidemie nicht durchgeführt werden.

Für den Statthalter:
podpis nieczytelny.

Załącznik 114.

List do posła Lasockiego.

Maria Trost bei Graz, Kloster pp.
Franziskaner 27/IV. 915.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Do powszechnie znanego z dobroci i uczynności serca Pana Hrabiego ośmielam się odwołać w mojem nieszczęściu i o pomoc najgoręcej prosić.

Dnia 1 grudnia r. p. odwiedził mnie w mojem mieszkaniu starszy lekarz armji austrjackiej i zabrał ze sobą leżącą na biurku polską gazetę „Dzień", wydawaną w Warszawie. To był jedyny powód, dla którego żandarmerja austrjacka dnia 4 grudnia r. p. z Zagórza przewiozła mnie do Thalerhofu, gdzie przebywałem do 24 lutego br. Nigdzie i o nic przez cały czas internowania niepytany, niebadany, ani sądzony, z Thalerhofu zostałem przewieziony do Maria Trost i tu w klasztorze OO. Franciszkanów znów, czy internowany, czy konfinowany nie wiem, bo, jak to poprzednio zaznaczyłem, żadna władza ze mną nie rozmawiała, ani mnie badała, ani też żadnych wskazówek co do mojego obecnego położenia mi nie dawała.

Zagórze, gdzie jestem proboszczem, leży w Królestwie Polskiem pomiędzy Będzinem i Dąbrową górniczą. Miejscowość ta od sierpnia r. p. znajduje się w rękach sprzymierzonych armji austrjacko-pruskiej, powrót więc do domu i do parafji, liczącej około 20.000 dusz zdaje się być zupełnie możliwym, a jednak trudno mi pozwolenie powrotu otrzymać, bo, nie znając języka niemieckiego i stosunków tutejszych i warunków, wprost nie umiem sobie radzić.

W tem przeto nieszczęśliwem położeniu ośmielam się najgoręcej prosić Pana Hrabiego o jakąś pomoc, o łaskawe zajęcie się moją i mojej parafji sprawą, bo przecież brak proboszcza w tak licznej parafji w dzisiejszych czasach jest i dla niej nieszczęściem.

Panem Bogiem się świadczę, że nawet myślą nie popełniłem żadnego karygodnego występku względem państwa austrjackiego i to dodać muszę, że gdybym się czuł winnym, nigdybym się do żadnego z Polaków o pomoc i wstawiennictwo nie uciekał, by go na wstyd za moje postępki nie narażać.

Panowie: Ludwik Ramułt i prof. Uniwers. lwowskiego p. Aleksander Doliński [1]), przekonawszy się o mojej niewinności i współczując mi w nieszczęściu, piśmiennie poręczyli za moją lojalność i za staraniem pana Ludwika Ramułta wszystkie papiery, dotyczące mojej sprawy razem z moją prośbą o pozwolenie powrotu do Zagórza i z dobrą opinją Starostwa w Gracu dziś przez Starostwo zostały wysłane do Wiednia do Kriegsüberwachungsamt im Kr. Minist.

Cała więc rzecz jest zdaje się na dobrej drodze i najserdeczniej przeto proszę Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego o łaskawe poparcie mojej sprawy w Wiedniu. Proszę o tę łaskę z zupełną wiarą i ufnością, że wstawiennictwo Pana Hrabiego pożądany skutek osiągnie.

Wyrazy głębokiego szacunku i poważania łączę

sługa ks. Wincenty Zamojski
Kanonik kapituły Kieleckiej i proboszcz
w Zagórzu.

Załącznik 115.

Do Wysokiego Koła Polskiego
w Wiedniu.

Komitet Polaków internowanych w Thalerhofie uprasza w imieniu pozostających tam Polaków:

---

[1]) Prezes i wiceprezes polskiego Komitetu opieki nad uchodźcami w Grazu.

1) by Koło Polskie przyjęło wobec Wysokiego Rządu porękę za patrjotyczne usposobienie tych wszystkich Polaków, przeciwko którym skargi dotychczas nie wniesiono i spowodowało ich rychłe uwolnienie z internacji,

2) by Koło Polskie wyjednało możliwość powrotu do kraju przynajmniej tych osób, których miejsca stałego zamieszkania nie są zajęte przez wrogów,

3) by Koło Polskie wyjednało dla konfinowanych odpowiednie środki utrzymania podczas pobytu w obcych powiatach,

4) by Koło Polskie wyjednało dla internowanych w Thalerhofie polepszenie bytu nietylko przez lepsze pożywienie, lecz także przez dostarczenie im odpowiedniej gotówki.

Powyższe prośby uzasadnia się następująco:

ad 1) Pomiędzy Polakami internowanymi w Thalerhofie niema prawie osób, któreby zasługiwały na miano osób politycznie podejrzanych.

Pomimo tego nie mogą oni być z internacji uwolnionymi, dlatego, że niema żadnych aktów, któreby stan ich sprawy wyjaśniały, a wyjaśnień potrzebnych nie może Namiestnictwo w Grazu zdobyć z powodu niemożliwości korespondencji z odnośnymi Starostwami i Władzami wojskowymi.

Nic dziwnego, że obce c. k. Namiestnictwo postępuje ostrożnie z powodu nieznajomości osób, lecz krajanie przekonać się muszą, że do internowanych należą nietylko Polacy zbiegli z własnych powiatów z powodu wojennej grozy, lecz także woźnice, którzy po stracie zaprzęgu usiłowali wrócić do własnych okolic, lecz w drodze przytrzymani zostali w obcych powiatach i przez osoby ich języka nieznające aresztowanymi, wreszcie osoby, które anonimowo oznaczone zostały jako podejrzane ze względów prywatnych.

Osoby te narażone są na stratę życia bez winy.

Internat ten nie był wcale przygotowany na pomieszczenie 7000 osób, bo dopiero w grudniu 1914 zbudowano do 20 baraków i w nich pomieszczono — umieszczając nawet wyżej 500 osób w jednym baraku.

Baraki zbudowano w najniższem miejscu na gruntach bagnistych jeszcze nieuprawionych, na miejscu nieprzewiewnem, pozbawionem wody do picia i odpływu dla opadów atmosferycznych — z materjałów zarażonych grzybem, wskutek tego pomieszczenie w nich po 500 osób wspólnie na mokrej, zbutwiałej słomie musiało być dla zdrowia lokatorów zabójcze.

Szkodliwość dla zdrowia powiększała się jeszcze przez to, iż na wypadek okazania się słabości, barak zamykano i uniemożliwiano lokatorom nietylko uzyskanie lepszego pożywienia za własne fundusze, lecz nawet świeżego powietrza.

Do dnia 20 lutego 1915 zmarło w Thalerhofie 1100 osób, 1360 leży w szpitalach, a 900 jest rekonwalescentami, co dowodzi, że stan zdrowia jest opłakany i uzasadnia konieczność uwolnienia z takiego internatu przynajmniej tych osób, przeciw którym dotychczas żadnych zarzutów nie podnoszono.

Porękę taką dać może Koło Polskie i spowodować uwolnienie nieszczęśliwców i o tę porękę upraszamy.

ad 2) W Thalerhofie pomieszczono pod nazwą politycznie podejrzanych wiele osób, które nie zdołały na czas opuścić swego domostwa mimo nakazanej ewakuacji.

Okolice owe są obecnie wolne od wrogów, jak np. okolica Krakowskiego, Wielickiego powiatu, a wobec tego dalsze internowanie tych osób jest zbędne.

Osoby owe z powodu zakazu wnoszenia próśb o uwolnienie, z powodu zakazu wysyłania listów, z powodu zakazu otrzymywania gazet, nie są w stanie osobiście domagać się swego uwolnienia, a wobec tego interwencja Koła Polskiego jest niezbędna.

Komisje polityczne w Gracu nie są w stanie złemu zaradzić, gdyż z powodu nałożonej na Thalerhof kwarantanny, nie mogą przeprowadzić badań, zresztą jej orzeczenia uwalniające nie są wykonywane natychmiast, lecz często dopiero po miesiącach.

ad 3) Konfinowani zobowiązani do pobytu w oznaczonej im miejscowości, mieli pierwotnie własne skromne fundusze na swoje utrzymanie, lecz gdy konfinowanie trwa czas dłuższy, zagraża nędza także tej kategorji Galicjan i dlatego też środki zaradcze przedsięwziąść należy.

ad 4) Utrzymanie internowanych w Thalerhofie jest mizerne, jednostajne i dla zdrowia szkodliwe.

Gdy internowani własne fundusze już wyczerpali i nowych z własnego majątku zdobyć nie mogą, przeto wskazanem jest, by pobierali oni także zasiłek pieniężny przez czas pobytu w internacie.

Podpisany Komitet przedkładając powyższą prośbę, popiera ją jak najgoręcej, gdyż grozi krajowi dalsza znaczna i niepowetowana strata w razie ubytku tylu głów rodzin.

Thalerhof, 20 lutego 1915.

Komitet Polaków internowanych w Thalerhofie: Przewodniczący Dr. Szpunar, Sekretarz J. Ujejski.

Załącznik 116.

Hohes k. k. Ministerium!

Nachstehende Landwirte aus der Umgebung von Krakau bitten um ihre Entlassung aus dem Interniertenlager in Thalerhof:

Anton Wyroba, Marie Waligóra, Marie Szczybka und Franz Poniedziałek aus Chełm, Bezirk Krakau. Den Grund ihrer Internierung bildete, laut Angabe der Genannten der Umstand, dass sie dem Evakuierungsbefehle nicht sofort Folge leisteten, sondern versuchten sich in ihrer Heimatsgemeinde länger aufzuhalten, um ihre Lebensmittelvorräte in Sicherheit zu bringen. Wegen dieses Ungehorsams erscheinen sie durch einen mehrmonatlichen Aufenthalt in Thalerhof und die Flecktyphusepidemie, die sie dort bestanden haben, hart bestraft.

Franz Permus, Landwirt aus Kunice, Bezirk Wieliczka, leistete Vorspanndienste. Auf dem Heimwege wurde ihm, nach seiner Behauptung, in der Gegend von Myślenice von Soldaten sein Wagen mit Pferden weggenommen; als er sich auf die Suche begab und nach

den betreffenden Soldaten fragte, soll er angehalten und nach Krakau sodann nach Thalerhof gebracht worden sein.

Marie Bąk aus Zastaw, Bezirk Krakau, besuchte, wie sie angibt, ihre zwei in der Gemeinde Zaporyce wohnhaften, an russische Staatsangehörige verheirateten Töchter, wurde Mitte November angehalten und nach Thalerhof gebracht. Die genannte 58-jährige Bäuerin beruft sich darauf, dass sie zwei Söhne hat, die in unserer Armee dienen.

Falls gegen die genannten Personen sonst keine gravierenden Momente vorliegen sollten, wären ihre Entlassungsgesuche wohl berücksichtigungswürdig. Ich gestatte mir daher das hohe k. k. Ministerium zu ersuchen, den Sachverhalt untersuchen zu lassen, eventl. die Entlassung der Genannten veranlassen zu wollen.

Schliesslich erlaube ich mir die Aufmerksamkeit des hohen k. k. Ministeriums darauf zu lenken, dass sich unter den in Thalerhof Internierten, Dienstmädchen, welche aus Anlass der Evakuierung von Krakau nach Thalerhof gebracht worden sind und sonstige jugendliche Frauenspersonen befinden von welchen schwer anzunehmen ist, dass sie irgend eine für den Staat oder die Armee schädliche Tätigkeit entwickelt hätten. Es wurden mir nachstehende Namen angeführt: Katharina Bąk, Michalina Bąk, Marie Bąkała, Eva Cymbalista, Aniela Gut, Magdalena Hujska, Eva Iwaniec, Josefa Kuzio, Rosalie Katarzyńska, Katharina Łozińska, Marie Polusz, Marie Rybiec, Franziska Udziela, sämtliche Dienstboten, sowie die 19 jährige Lehrerin Stefanie Jarosławska.

Ich kenne persönlich keine von den oben angeführten Personen, kann daher für keine von denselben die Haftung übernehmen und beschränke mich lediglich darauf der Erwägung des Hohen k. k. Ministeriums zu überlassen, ob sie mit Rücksicht auf die in Betracht kommenden Verhältnisse als politisch verdächtig und staatsgefährlich angesehen werden können.

Wien, den 29. März 1915.

Sigismund Gf. Lasocki.

Załącznik 117.

List do posła Lasockiego.

Der Minister des Innern.

Hochgeborener Graf!

Ueber das geschätzte Schreiben vom 29. März 1915, beehre ich mich mitzuteilen, dass von den darin genannten Personen nach dem Berichte des Herrn Statthalters in Graz Marie Bakala und Magdalena Hujska in den Tabellen der Thalerhofer Untersuchungskommission nicht vorkommen, Marie Rybiec in Thalerhof gestorben ist und die übrigen aus der Internierung entlassen und in eine Flüchtlingsniederlassung überstellt worden sind.

Empfangen Euer Hochgeboren den Ausdruck meiner ausgezeichneten Hochachtung.

Wien, am 17. Juli 1915.

Heinold.

Załącznik 118.

KEINE ABSONDERUNGSBARACKEN.

Die Ursachen der Flecktyphusseuche in Steiermark. — Ein Bericht der Statthalterei.

Graz, 19. Februar.

In einem soeben an alle Bezirkshauptmannschaften herausgegebenen Erlass der steiermärkischen Statthalterei heisst es:

Anlässlich der letzten Epidemien hatte sich gezeigt, wie sehr bei der Unmöglichkeit der sofortigen Absonderung Infektionskranker die Eindämmung der Epidemie verhindert wird. **Das rasche Anwachsen der Flecktyphusepidemie in Thalerhof** sowie in **St. Michael** war sicher nur auf den **Mangel der Bereitstellung von Isolierbaracken** zurückzuführen, während in **Wagna-Leibnitz,** wo eine, wenn auch unvollständige Isolierbaracke bereitstand, die gleiche Epidemie viel langsamer anwächst und baldige Unterdrückung hoffen lässt.

(„Arbeiter-Zeitung" z 21 lutego 1915).

Załącznik 119.

Graz, 17. Juni. **(Kantineure im Thalerhof).** Die Kantineurin Julie Diwald, deren Geschäftsführer Franz Mayer und die Gemischtwarenverschleisserin J. Tetoma des Interniertenlagers in Thalerhof bei Graz waren vor dem hiesigen Bezirksgerichte wegen krasser Preistreibereien angeklagt. In dem gemeinsamen Geschäfte der Angeklagten waren **für ein Kilogramm Kartoffeln 36 H.,** für 0.7 Liter Milch 52 H., für ein Kilogramm Zucker 1 K. 80 H., **für einen kleinen Laib Brot zwei Kronen** verlangt worden. — Bezirksrichter Dr. Plankensteiner: Wer war denn für die Ausgabe von Brot verantwortlich? — Angeklagter Mayer: Ich. — **Richter: Was hat Sie ein Laib Brot gekostet? — Angekl.: Samt den Spesen 80 H.** — Richter: Eine solche Ausbeutung der Not armer Menschen war noch nicht da! Das ist in der Geschichte unseres Gerichtes einzig dastehend und gehört an den nächsten Baum genagelt. Schämen Sie sich! — Die Angeklagte Tetoma hatte für ein Kilogramm Erdäpfeln 36 H. verlangt. — Richter: Sie haben die Erdäpfeln 24 H. gekostet. — **Angekl.: Die Internierten haben uns für jedes Kilogramm Erdäpfeln, das wir Ihnen verkauften, die Hand geküsst.** — Richter: Und Sie beuten die Not der armen Menschen dann derart aus. — Frau Diwald hatte auch verbotenen Rum ausgeschenkt und für 1/16 Liter 80 H., für den Liter somit 12 K. 80 H. verlangt. Der Einkaufspreis war 1 K. 90 H. per Liter. Schliesslich hatte das Lagerkommando diesem Treiben der Angeklagten ein Ende gemacht und die Anzeige gegen die Beschuldigten erstattet.

Der Richter verurteilte Julie Diwald und Franz Mayer zu je **drei Wochen strengen Arrests,** die Angeklagte J. Tetoma **zu vierzehn Tagen Arrests** und **fünfhundert Kronen Geldstrafe.**

(„Neue Freie Presse" z 18 czerwca 1916).

Załącznik 120.

List do posła Lasockiego.

Hinterbrühl, Hauptstrasse 86.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio i Pośle !

W załączeniu przesyłam wykaz Polaków pozostających w Thalerhofie, sporządzony na podstawie moich notatek, który niema pretensji do wyszczególnienia wszystkich Polaków, dlatego, że nie miałem przystępu do wszystkich ubikacji. Ani do szpitali, ani do baraków zakaźnych przystępu nie było, a wobec tego nie można było stwierdzić czy tam są Polacy lub nie.

Z powiatu Dąbrowskiego zasługują na szczególne poparcie: Henryk Scheindlinger, kandydat adwokacki i Tadeusz Kleszczyński, agronom, bo obaj żadnych funduszów nie mają, a ponadto dotychczas nie zdołałem odszukać adresu chlebodawcy tego ostatniego p. Stefana Sroczyńskiego, wice-marszałka powiatu, który mógłby nędzy Tadeusza zaradzić.

Ponieważ Pan Hrabia ofiarował się z gotowością wyjazdu do Grazu i Thalerhofu na zbadanie sprawy i jestem tego przekonania, że przyrzeczenie rychło spełni, przeto wyjaśnić jeszcze muszę, że kwarantanna nie jest bezwzględną zaporą przeciw wydostaniu się z Thalerhofu, gdyż osoby, które uzyskały wysoką protekcję, otrzymały od szefa lekarzy w Grazu przepustkę i na mocy tej przepustki wyjeżdżały nawet automobilami do Grazu.

Do tak protegowanych należeli tylko atoli Ukraińcy, którzy zresztą mieli wszędzie pierwszeństwo i różnego rodzaju względy. Według mego zdania, możnaby wiele spraw uprościć zapomocą owego szefa lekarzy, bo musi on być człowiekiem wyrozumiałym, byle znaleźć odpowiednie wpływy.

Dziękując za okazane chęci, serdeczne podziękowanie w imieniu najnieszczęśliwszych z nieszczęśliwych Polaków i prosząc w ich imieniu o gorliwe zajęcie się sprawą

Kreślę się Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego

oddanym

Dr. Szpunar.

22. III. 915.

Załącznik 121.

Wysokie Koło Polskie !

Podpisany Franciszek Permus, lat 37, żonaty, ojciec 5 dzieci, urodzony i zamieszkały w Konicach pow. Wielickiego, gospodarz gruntowy, wysłany został w dniu 27 listopada 1914 na forszpan do Kalwarji Zebrzydowskiej celem przewiezienia rannych żołnierzy do szpitala i obowiązek swój spełnił.

W dniu 28 listopada w drodze powrotnej zabrało wojsko jego zaprząg w Myślenicach i obiecując rychło wrócić mu jego dobytek, kazało czekać tam do wieczora w oznaczonem miejscu. Gdy atoli obietnicy nie spełniło, udał się podpisany w dniu 29 listopada 1914

na poszukiwanie swego zaprzęgu do Kalwarji Zebrzydowskiej, a następnie do Myślenic, gdzie został aresztowany i przez Kraków odstawiony do Thalerhof.

Gdy brak podstawy do uważania podpisanego za osobę politycznie podejrzaną, i gdy strata zaprzęgu usprawiedliwia zupełnie jego rozpytywania się za wojskiem, i gdy pobyt w Thalerhofie naraża zdrowie i życie podpisanego na szwank, przeto niniejszem ośmiela się upraszać:

Wysokie Koło Polskie raczy poczynić odpowiednie kroki celem uwolnienia podpisanego od internowania w Thalerhofie i celem odstawienia do gminy Konice, a to tem więcej, że żadnych funduszów gotówkowych przy sobie nie posiada i nie może odbyć drogi powrotnej o własnych funduszach.

Franciszek Permus.

Załącznik 122.

STOSUNKI W THALERHOFIE.

(Telefonem)

Wiedeń, 27 czerwca.

W piśmie, odpowiadającem na interpelację pos. Langenheina w sprawie obrazy oficerów przez posłów czeskich w ciągu dyskusji budżetowej, powołał się b. minister obrony krajowej Georgi, celem wykazania, że stosunki w Thalerhofie są dość znośne, na świadectwo pos. Sterna.

Pos. Stern ma dziś w Izbie oświadczyć, że przez pierwsze dwa pierwsze miesiące swego pobytu los jego był dość przykry, później jednak, po interwencji pos. Lasockiego, polepszył się [1]).

(„Nowa Reforma" z 27 czerwca 1917.)

Załącznik 123.

27 grudnia 1916.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio !

Przesyłam list Ossowskiego, który tu w Thalerhofie bardzo na duchu i ciele cierpi.

Sprawa jego jak mi wiadomo we Wiedniu gdzieś jest traktowana, jednakowoż nie wiem w jakim urzędzie.

Powrót do Galicji a względnie do Tarnobrzeskiego zależy od Starosty przynależnego i od Namiestnictwa. W Namiestnictwie rozstrzyga w tej sprawie radca nam. p. Wenz, on może też sprawę przynaglić by Ossowski już raz stąd wyszedł.

Warunki w Thalerhofie takie, że jeśli by Ossowski tu dłużej pozostał to śmiercią głodową zginie, gdyż organizm jego nie dość odporny. Około 120 miesięcznie tą drogą idzie.

---

[1]) Informacja ta nie jest dokładną zapewne ze względów cenzuralnych: poseł Stern w Izbie dał wyraz swojemu oburzeniu na stosunki w Thalerhofie, nadto zaznaczył przy różnych okazjach, że według wiadomości, jakie otrzymał od współinternowanych, stosunki, które z początku były okropne, po mojej interwencji u gen. Baczyńskiego się poprawiły.

Sam cierpię tu na duchu pod wpływem tego widoku, tem bardziej, że pomódz nie mogę. Sama Komenda Obozu jest w tej mierze bezsilna, gdyż ministerjum wojny wyznacza tak małą sumę na utrzymanie 2700 internowanych, że z niej głodowy wikt tylko sporządzić się da.

Spodziewam się, że Pan Hrabia tę wiadomość dla ulżenia doli internowanych spotrzebować raczy, lecz czy się uda to inna rzecz.

Proszę przyjąć wyrazy mego głębokiego szacunku

powolny sługa

B. Eckhardt.

Załącznik 124.

Z Thalerhofu do Lwowa na sąd. Dziś przywieziono do Lwowa p. Kazimierę Szparakowską, żonę właściciela folwarku koło Żółkwi, internowaną od czerwce br. wraz z mężem w obozie internowanych w Thalerhofie. Stanęła ona przed trybunałem karnym, któremu przewodniczył r. Rubinstein, oskarżona o to, że pochwalała czyny zbrodnicze w czerwcu 1914 r., po ohydnym mordzie w Sarajewie. Oskarżał zastępca prokuratorji p. Młynarski. Jako jedyny świadek klasyczny stanęła niejaka Kołodziejówna, starsza już niewiasta, fizycznie upośledzona. Przed nią to miała się wyrazić oskarżona w sposób karygodny. Kołodziejówna, której krewni żywili pewną nienawiść do pp. Szparkowskich, obciążając p. Szparkowską, zeznawała jednak odmiennie niż w śledztwie. Trybunał po krótkiej naradzie uwolnił oskarżoną a w motywach podał, że nie dał wiary Kołodziejównej, która zresztą stwierdziła, że nigdy przedtem nie rozmawiała z oskarżoną. Ponieważ oskarżona jest osobą inteligentną, a świadek zalicza się do sfery analfabetów, nie mógł trybunał wprost wierzyć, aby oskarżona mogła przed Kołodziejówną wypowiedzieć słowa inkryminowane, zwłaszcza, że są one wprost nielogiczne. Po ogłoszeniu wyroku oddano p. Szparkowską żołnierzowi, który zawiózł ją napowrót do Thalerhofu.

(„Kurjer Lwowski" z 23 grudnia 1916.)

Załącznik 125.

List do posła Lasockiego.

14. lipca 1917.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio i Pośle!

Przy sposobności ośmielam się podać sprawę mego zięcia Marjana P.

Otóż gdy p. G., kapitan żandarmerji wojennej i W. audytor, mnie się pozbyli, udali się z wizytą do zięcia w nadziei, że z żoną i siostrą zięcia urządzą sobe romansik. Ażeby mąż nie był im na przeszkodzie 4 marca 1916 aresztowali go bez względu na to, że przebył operację jednej nerki.

Gdy żona starała się o zwolnienie chorego i przyspieszenie przesłuchania p. G. oświadczył, że uwolnienie zależy tylko od Pani.

Na taką propozycję nie było już mowy o jakiemkolwiek staraniu. Przed natarczywością tych panów musiały opuścić . . .

i udać się do Galicji zachodniej, a męża więziono chorego 13 miesięcy, to jest od chwili kiedy pana W. zastąpił audytor Polak, który nie widząc przyczyny ścigania i więzienia zięcia, w tej chwili go uwolnił.

Przybyła mi więc jeszcze jedna ofiara nędzy, na którą bezradny patrzeć muszę.

Z wysokiem poważaniem

M...

Załącznik 126.

STRASZNE SCENY W THALERHOFIE.

Wspomnienia z czasów grasowania soldateski austrjackiej.

Wiedeń, 14 grudnia.

„Neues Wiener Journal", którego niepodobna podejrzewać o niechęć do rządu b. monarchji austrjackiej, podaje grozą przejmujące szczegóły z czasów grasowania sołdateski austrjackiej podczas wielkiej wojny. I tak:

„W długich pociągach — pisze ten dziennik — w wagonach towarowych, ściśnięci jak zwierzęta, tłoczą się mężczyźni, kobiety i dzieci. Nie wszyscy wysiadają w Thalerhofie. Wielu służba wynosi już jako trupy. Prawie nikt nie wie, dlaczego i za jakie grzechy zostali tu wywiezieni.

Pomimo późnej jesieni nie było na tem polu ogrodzonem kolczastym drutem, żadnych baraków, żadnego dachu nad głową.

Gdy nadszedł transport nowych skzańców, dzielono go na grupy zupełnie dowolnie. Nawet niemowlęta odrywano od rodziców. Działy się dantejskie sceny. „Zdrajca"... To było przestępstwo, pozwalające na wszystko wobec aresztowanych.

Pewnego dnia przywieziono cały orszak weselny. Młoda panna w ślubnej toalecie, drużki w białych sukniach, mężczyźni na czarno razem kilkanaście osób. Podano im, tak jak byli, łopaty i kazano kopać wielki dół. Kto nie usłuchał, temu kolbami łamano kości. Gdy dół był gotowy, huknęła salwa karabinowa i wszyscy stoczyli się do wykopanego przez siebie grobu. Zasypano ich wapnem a potem ziemią.

Innym razem przywieziono z Małopolski hrabinę, która znajdowała się w brzemiennym stanie. Leżąc na ziemi, w błocie rodziła dziecko. Zgraja dzikich żołdaków otaczała położnicę, rzucając pod jej adresem najhaniebniejsze, najcyniczniejsze dowcipy. — Nim dziecko na świat przyszło, zakłuto matkę bagnetami.

Pewien ksiądz prowadził procesję i błogosławił wiernych Przenajświętszym Sakramentem. Żołnierze dopatrzyli się w tem „dawania znaków" nieprzyjacielowi i rozniesiono go na ostrzach bagnetów. Na jego grobie położono napis: „Tu spoczywa największy łotr"...

Ludzie mieszkający w pobliżu obozu w Thalerhofie, po całych dniach i nocach słyszeli rozpaczliwe jęki i wrzaski kobiece. To zezwierzęcone żołdactwo gwałciło kobiety i dziewczęta.

Dzień w dzień napełniały się w Thalerhofie groby rozstrzelanemi bez sądu ofiarami. Kto uszedł kuli, ten ginął na tyfus plamisty".

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 17 grudnia 1924).

Załącznik 127.

Stefan Grzywacz, aus Gorzyce, Galizien, geb. 1880, Grundbesitzer, wird zu Folge Erlasses des Statthalterei — Präsidiums in Graz vom 1. April 1915, Pr. Z. 1789, mit heutigem Tage aus der politischen Haft entlassen.

Steinklamm 22. April 1915.

Der Vorstand: Revertera.

Załącznik 127a.

Griwacz Stefan.

Im Depot hinterlegt:	K. 2103
Einkäufe:	K. 30.85
Kost v. 12 Dezember—23 April K. 120.70	K. 151.55
Restsumme:	K. 1937.45

Steinklamm, 23. April 1915.

Obigen Betrag bar und richtig erhalten zu haben bestätigt: podpis nieczytelny.

Załącznik 128.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Najchętniej spieszę z udzieleniem informacji w sprawie Maksymiljana Borysa i Wojciecha Wianeckiego.

Rosjanie wycofując się od Sanu z końcem czerwca 1915, zabrali przymusowo mężczyzn w wieku wojskowym. W ten sposób zabrali także Borysa i Wianeckiego.

Obydwom udało się uciec z pod Lublina, a wojska węgierskie ich zabrały ze sobą. W przemarszu przez Rozwadów rodziny tak jednego jak drugiego udawały się za nimi **z listami z gminy uwierzytelniającemi identyczność ich osób, potwierdzonymi przez posterunek żandarmerji i urząd parafialny,** ale ich nie wypuszczono z tego powodu, że między jeńcami prowadzonymi z nimi pokazała się cholera. Pozatem rodziny obydwóch otrzymały od nich wiadomości, że Wojciech Wianecki znajduje się w Wadowicach w Kleczy Dolnej a Max Borys w Wadowicach przydzielony do obsługi w sądzie.

Za jednym i drugim rodziny robiły starania przez Starostwo tarnobrzeskie ale dotychczas bez skutku.

Obydwaj są ludźmi nieposzlakowanymi, w ciągu wojny zachowali się lojalnie. Dowód lojalności względem Austrji okazali tem, że zabrani przez Moskali, uciekli Moskalom.

Zasługują ze wszech miar na łaskę jaką im Pan Hrabia zamierza okazać starając się o ich uwolnienie.

W imieniu ich rodzin dziękuję serdecznie Panu Hrabiemu za opiekę nad nimi i piszę się Pana Hrabiego

życzliwym sługą
X. Adam Oberc.

Radomyśl n. S. 7 kwietnia 1916.

Załącznik 129.

K. k. steierm. Statthaltereipräsidium.

Graz, am 30. April 1917.

An

Herrn Marian Małuszyński

Gutsverwalter

derzeit in Nisko.

Bei der mit dem Zirkularerlasse des k. u. k. Kriegsüberwachungsamtes Nr. 97717 vom 8. März 1917, angeordneten allgemeinen Perlustrierung der internierten und konfinierten Inländer wurde Ihre Entlassung aus der Konfinierung verfügt.

Hievon werden Sie in Kenntnis gesetzt.

Vom k. k. Statthaltereipräsidium:

podpis nieczytelny.

Pieczęć Namiestnictwa w Gracu.

Załącznik 130.

INTERNOWANI W WIŚLE.

Otrzymujemy następujący list:

Szanowny Redaktorze!

W imieniu około stu osób z Królestwa, których na letnich wywczasach w Wiśle (Śląsk) zaskoczyły wypadki wojenne, zwracamy się do Szan. Redaktora z gorącą prośbą, poniższej treści.

Od dwóch z górą tygodni, jesteśmy pozbawieni możności wyjazdu z Wisły, w którą bądź stronę. Ci z nas, którzy w pierwszych dniach sierpnia usiłowali wyjechać dotarli jedynie do Bielska, skąd niezwłocznie najbliższym pociągiem z powrotem do Wisły zwróceni zostali.

Odczekawszy dni kilka najgorętszych przygotowań mobilizacyjnych, zwróciliśmy się do p. starosty w Bielsku, ze zbiorową prośbą o wskazanie nam, gdzie i kiedy będziemy mogli uzyskiwać glejty na przejazd w granice Królestwa przynajmniej do miejscowości zajętych już przez wojska austrjackie i niemieckie: dotychczas jednak nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Tymczasem położenie nasze z każdym dniem niemal staje się bardziej krytyczne: zapasy pieniężne wielu z nas zostały wyczerpane zupełnie lub są na wyczerpaniu; posiadanych przez nas papierowych pieniędzy rosyjskich, nigdzie nie możemy zmienić, o otrzymaniu zaś zasiłku pieniężnego z kraju wobec przerwania wszelkiej komunikacji kolejowej i pocztowej, mowy być nie może.

Jeśli dodać do tego bolesny niepokój o los pozostałych w Królestwie osób najbliższych, o los przedsiębiorstw, jakie niektórzy z nas tam posiadają, a które nieobecność właścicieli o ruinę przyprawić może, nadewszystko zaś, jeśli wziąć pod uwagę owo naturalne gorące pragnienie, by w tych dniach przełomowych być w kraju, w mieście rodzinnem razem z niem wszystko przeżyć i razem z całem społeczeństwem wziąć udział w przedsiębranych przezeń dla dobra sprawy polskiej akcjach — wówczas jasnem się stanie, że z każdą chwilą w bezczynności przymusowej tu przebytą gorycz i rozgoryczenie nasze wzbierać musi.

W tem samem położeniu znajduje się, jak nam wiadomo w różnych miejscowościach Galicji i Śląska, tysiące królewiaków!

Na miłość Boską, tedy Szan. Redaktorze, zechciejcie w swem piśmie domagać się energicznie uregulowania sprawy naszego położenia od władz odnośnych i nie zaprzestajcie, dopóki skutku konkretnego nawoływania Wasze nie odniosą.

Najbardziej przygnębia nas nieświadomość, jak długo pobyt przymusowy nasz tutaj ma się przeciągać: Czy internowani będziemy 1-o do ruchu kolejowego, czy 2-o do chwili zajęcia Warszawy przez wojska austrjacko-niemieckie, czy 3-o do końca wojny(!), co może nastąpić za kilka miesięcy albo i... za lat parę!!

Pewnej odpowiedzi na to palące dla nas zagadnienie nie możemy znikąd i od nikogo otrzymać.

Zmiłujcież się przeto Szan. Redaktorze, raczcie tę sprawę w swem piśmie wyjaśnić zasadniczo, oraz udzielić wyczerpujących wskazówek nam i setkom osób w podobnej pozostającym sytuacji, co mamy poczynać, co przedsiębrać, do kogo się zwrócić?...

Jeszcze raz gorąco polecając prośbę naszą uwadze i poparciu Szan. Redaktora łączymy wyrazy wysokiego poważania (następują podpisy).

Przypuszczamy, że wystarczy, żeby fakt ten doszedł do wiadomości władz wyższych, a sprawa będzie załatwiona.

(„Głos Narodu" z dnia 20 sierpnia 1914.

Załącznik 131.

WŚRÓD INTERNOWANYCH PODDANYCH ROSYJSKICH.

(Oryginalna korespondencja „Wiedeńskiego Kurjera Polsk.")

St. Martin, w marcu.

Chwila obecna, to nowe etapy anhellicznej wędrówki wśród nędz naszego narodu. Szamanem, który wiódł mnie w te drogi był dla mnie Karmelita, ks. Romuald, niosący dzielną pomoc wszystkim naszym najbardziej uciśnionym duszom. Droga ta zawiodła mnie do siedliska internowanych poddanych rosyjskich w St. Martin koło Lincu. Ciężka dola tych najbiedniejszych z naszego biednego narodu!

Bo kimże są ci internowani, poddani rosyjscy, którzy żyją pod ścisłym dozorem wojskowym? Oto przeważnie Polacy, najwięksi nieprzyjaciele tej Rosji, pod której knutem nie chcąc żyć, przekroczyli granicę humanitarnego państwa austrjackiego. Są to głównie dezerterzy wojskowi lub politycznie w Rosji zawikłani, którzy od lat całych osiedli w Galicji, tu się pożenili i w tutejszej służbie pracowali. Spotkałam tam między innymi dobrze mi znajomego robotnika sanockiej fabryki wagonów... Co za dziwne spotkanie! Ostatni raz widziałam go na patrjotycznym obchodzie Drużyn Bartoszowych, z okiem pełnem zapału, śpiewającego pieśń „Jeszcze nie zginęła" — widywałam go tak często w pochodach sokolich, jako plutonowego oddziału!... A teraz w St. Martin.

Mówiłam tam z ojcem, którego syn służy w wojsku austrjackiem. On już od 30 lat w Galicji osiadł — ale czy się tam kto troszczył o te formalności z uzyskaniem poddaństwa?!

Widziałem posiwiałego w katordze Sybiraka, który zapewne już z St. Martin nie wyjdzie jako żywy.

A jakież położenie tych ludzi?... Oto, co opowiadają.

W chwilach największej paniki i zamieszania w kraju po inwazji moskiewskiej, zabierano ich z miejsca, z lokomotywy, warsztatu, taczki, czy urzędu tak, że nierzadko nie mieli nawet czasu uwiadomić rodziny, tem mniej, zabrać jakichkolwiek rzeczy, bielizny lub pieniędzy.

Tutaj przebywają w budynku fabrycznym, w składnicach materjałów, pożywienie daje im przedsiębiorca, który na ten cel ma otrzymywać od rządu 20 hal. od głowy i chleb!...

Najgorzej jednak daje się we znaki tym biedakom brak bielizny! Naturalnie skutkiem tego powstają choroby, a te sprowadzają dalsze pogorszenie ich doli. Bo oto wielu przynajmniej fachowo uzdolnionych znajdowało pracę w fabrykach w pobliskiem Traun, co pozwalało im na lepsze wyżywienie się i wyrywało ich z dusznego zamknięcia! Wskutek chorób i to źródło polepszenia doli zamyka się przed nimi.

Na 300 internowanych w St. Martin znajduje się przeszło 200 żydów, reszta katolików. I ci są najbiedniejsi. Bo żydzi dostają ze swoich komitetów wyznaniowych wsparcia i to dość obfite. O tych nie troszczy się nikt dotąd, jak mi to w liście, rozdzierającym swoją prostą rzewnością, pisał ów robotnik ze Sanoka. Przytaczam tu ustęp dosłownie:

„Nasi bracia Królewiacy tu są uważani jak sól w ukropie — a przecież ile nasi Królewiacy lali krwi dla wspólnej idei i dziś leją. Żeby to wiedzieli o naszej niedoli Piłsudcy i inni!... O nas się nikt nie troszczy z powodu, że my rosyjscy poddani a przecie żydzi nie uważają, tylko pakami posyłają i żałują swoich i o podejrzenia, że wspierają rosyjskich poddanych się nie boją! — Nie piszę tego dlatego, żebym pragnął dla siebie wsparcia, broń Boże, ale to tak cierpko, nie znaleść współczucia u swoich!"

Czy ten głos bolesny naszych rodaków minie bez echa w naszem społeczeństwie? Czy nie znajdą się między nami tacy, którzy udowodnią tym braciom naszym, że i dla nich nasze serca biją?...

Podnoszę ten apel do wszystkich Polaków — my dziś w potrzebie, dać wiele nie możemy, ale ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka. — Na początek składam na ten cel skromną ofiarę, na którą mnie stać: 5 K. na ręce naszego komitetu.

Kto zechce ulżyć doli internowanych, niechaj nadsyła dary z wyraźnem zaznaczeniem celu do naszego komitetu ratunkowego dla uchodźców w Lincu a/D. Hotel Erzherzog Karl. Więcej jeszcze od darów pieniężnych, byłaby pożądana bielizna i odzienie.

Janina Kossak-Pełeńska.

Załącznik 132.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio i Pośle!

Ośmielony znaną dobrocią Pana Hrabiego i tem, że Pan Hrabia naszą sprawę zechciał łaskawie poruszyć już poprzednio w Kole Polskiem, pośpieszam imieniem swojem i wszystkich tu zamieszka-

łych (internowanych) Polaków z Królestwa Polskiego złożyć Panu Hrabiemu najserdeczniejsze podziękowanie za życzliwość nam okazaną, a równocześnie rzucając kilka szczegółów dotyczących nas wszystkich, najserdeczniej i najgoręcej prosić o dalsze popieranie naszej sprawy i możliwość jak najwcześniejszego przyspieszenia naszego uwolnienia. W miejscowości St. Martin, powiat Linz jest internowanych kilkudziesięciu ludzi z Król. Polsk. na których absolutnie żadne podejrzenia natury politycznej nie ciążą, a zostali w dniu rozpoczęcia wojny internowani tylko dla tego, że są poddani rosyjscy t. z. że fatalizm kazał nam urodzić się pod znienawidzonym zaborem rosyjskim. Ludzie ci od dłuższego czasu są zamieszkali w Galicji, gdzie mają swe majątki, gospodarstwa rolne, handle, warsztaty lub pełnią inne obowiązki. Od dnia internowania t. j. od pierwszych dni sierpnia ur. wszyscy Polacy tu internowani pracują po części w fabrykach lub na roli u poszczególnych gospodarzy. Obecnie jednak dużo fabryk z powodu braku surowca staje, wobec czego gros nas nieszczęśliwców, obok tęsknoty za rodzinami i Ojczyzną pogrążony będzie w nędzy i niedostatku. Jeszcze raz przeto imieniem swojem i ich udaję się do Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego, jako znanego orędownika uciśnionych i biednych prosząc, by Pan Hrabia zechciał swojemi wpływami położyć kres naszej nędzy przez wyrobienie nam powrotu do naszych domów i rodzin pozostawionych w Galicji.

Prosimy zatem, aby w znanym memorjale Koła Polskiego nie pominięto i nas i aby odpowiedź rządu i nas dotyczyła. Ogromny brak ludzi jest na ziemiach polskich, a tymczasem tkwią bezużytecznie setki polskich rąk, zdolnych i chętnych do pracy, czyż nie lepiej ich zwrócić na osierocony zagon rodzinny.

Specjalnie co do mej osoby otrzymałem wiadomość od WPani Marji Skarbek Borowskiej, iż Jaśnie Wielmożny Pan Hrabia łaskawie zechciał się zająć moją sprawą, przeto najuprzejmiej załączam dokładny opis, urodzony jestem w Król. Polsk. Gub. Kalisz w roku 1878, syn powstańca z 1863 roku, od lat 10 jestem w Galicji na stanowisku leśniczego WPana Ludwika Skarbka Borowskiego, dobra Wyżłów, powiat Skole, internowano mnie 1 sierpnia 1914. Obecnie jestem tutaj na wolnej stopie z obowiązkiem meldowania się raz na tydzień; gdyby chodziło o opinję co do mojej osoby, to powołuję się na c. k. Starostwo w Skolem, na c. k. Żandarmerję w Ławocznem, a również na swojego pana WPana Ludwika Skarbka Borowskiego. Oczekując łaskawego słówka odpowiedzi, co do przebiegu naszej sprawy łączę wyrazy wysokiej czci i poważania i kreślę się Jego powolnym sługą

Marjan Narożny, leśniczy.

Traun bei Linz O. Oest.
Haus N-o 105, dnia 26/XII. 1915.

Załącznik 133.

List do notarjusza p. Wilczka.

Wielmożny Panie Rejencie!

Dziś trafia się okazja do Wiednia więc ośmielam się prosić o jedną rzecz, a mianowicie jest nam tutaj straszna bieda t. j. jedze-

nie niemożliwe, pieniądze wszystkie odebrali i nie można wskutek tego nic dostać.

Pan Pełnomocnik posłał mi pieniądze, ale kiedy je żandarmerja zatrzymała i nie mam ani centa przy sobie. Wszy nas jedzą niemożliwie, a oprócz tego panuje tyfus brzuszny, więc wobec tego trzeba się trochę lepiej odżywiać, a kto nie zachował centa, ten musi jeść z wszystkimi z kotła. Posyłam przez zaufanego żołnierza mój pamiątkowy złoty zegarek, prosząc bardzo, aby Pan Rejent był na tyle łaskaw zastawił go w jakim przyzwoitym lombardzie, a gotówkę uprzejmie proszę wysłać w ten sposób:

Za kilkanaście koron otrzymanych za zegarek prosiłbym kupić jakiej żywności, a między nią kilka paczek tytoniu i w jedną włożyć papierowe pieniądze i list. Wysyłki rewidują, ale może się uda. Ja już dawno zapisałem się do legjonów, ale nic z tego, władze nie pozwoliły dotąd, nie wiem dlaczego, chociaż mieliśmy już pewność. Zapisałem się dlatego, że wolę zginąć na polu bitwy, jak tutaj na cholerę lub tyfus. Przepraszam, że o coś podobnego Pana Rejenta proszę, ale bieda zmusza do tego.

Jest nas więcej jak tysiąc rosyjskich poddanych, traktowani jesteśmy jak bydło — rozpacz. Trudno opisać wszystko na kolanie jak ja piszę.

Kończę ten list, bo płakać mi się chce jak wspomnę dawne czasy i pomyślę za co ja tu pokutuję już szósty miesiąc w więzieniu — za jakie grzechy?

Pozostaję z wielkiem uszanowaniem i poważaniem

Kaz. Topczewski.

Załącznik 134.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Ponieważ moje usiłowania, by osobiście Panu Hrabiemu sprawę p. Kazimierza Topczewskiego, rządcy folwarków ordynacji ks. Czartoryskich z Sieniawy przedłożyć, spełzły na niczem, przeto pozwalam sobie na tej drodze donieść Jaśnie Wielmożnemu Panu Hrabiemu, że p. Topczewskiemu oznajmiono w Steinklamm przed 2 dniami, że wskutek i dzięki interwencji Pana Hrabiego, ma on w najbliższych dniach odjechać do obozu wychodźców w Gmünd N. Oe. Ponieważ p. Topczewski posiada swe fundusze pozostające u mnie w przechowaniu, więc jest w wielkiej niepewności co owo przeniesienie go do „obozu wychodźczego" ma znaczyć. Proszę więc o łaskawe rychłe uwiadomienie mnie, czyli p. Topczewski po wykazaniu się dostatecznymi funduszami, będzie mógł uzyskać nieograniczoną wolność i czy tem samem przestał być podejrzanym?

Z wyrazami głębokiego szacunku i poważania

Stanisław Wilczek
c. k. notarjusz z Sieniawy

Wiedeń 27/V 1915.

Załącznik 135.

Kommando der Personalsammelstelle
für polnische Legionäre
Wien X Laimäckergasse Nr. 17.
Exh. Nr. 4557.

Wien, am 24. Feber 1916.

Es wird hiemit bestätigt, dass der russ. Untertan poln. Nationalität Fusiarski Antoni sich im September 1915 zur Poln. Legion freiwillig gemeldet hat und auf Grund der Vrdg der Landwehrgruppe des k. u. k. Mil. Kdos praes. Nr. 8692 vom 24. Oktober 1915, zur Poln. Legion assentiert wurde.

Nachdem die Frontdiensttauglichkeit des genannten inzwischen in Frage gestellt wurde, wurde Fusiarski am 19. 11. 1915, einer Landsturmmusterung unterzogen, als frontdienstuntauglich erkannt und über Vdg. der L. Gppe des k. u. k. MKdos am 21/11. 1915, nach Steinklamm zurückgestellt.

Platzoffizier der polnischen Legion in Wien
Malisz Obl.

Załącznik 136.

KOMITET OPIEKI NAD INTERNOWANYMI KRÓLEWIAKAMI.

(Korespondencja własna „Głosu Narodu").

Wiedeń, 4 stycznia.

(J.) W końcu listopada u. r. powstał z inicjatywy i pod przewodnictwem prezesa Koła ekscelencji Bilińskiego Komitet opieki nad internowanymi Królewiakami. Na razie weszli w skład Komitetu: Książę Andrzej Lubomirski, posłowie Jabłoński i hr. Lasocki, radca dworu Marjan Biliński, X. Adam Pieżowicz, wreszcie urzędnik wspólnego ministerstwa skarbu i sekretarz austrjacko-węgierskiego Komitetu pomocy dla obszarów zajętych przez c. k. armję p. Flandrak. W ciągu grudnia zwiedzili członkowie Komitetu książę Lubomirski, hrabia Lasocki i radca dworu Biliński osadę barakową w Drosendorf, zamki w Karlstein i Kirchberg, w których to osadach znajduje się blizko 1000 Polaków z Królestwa, i rozdali z ramienia Komitetu pomiędzy internowanych przeszło 600 sztuk odzieży i bielizny. Przedmioty te zostały zakupione z funduszów przyznanych przez Komitet austro-węgierski i Komitet Książęco-Biskupi. Dla niesienia pomocy duchownej udał się z polecenia Księcia Biskupa do obozu internowanych X. Pieżowicz.

Położenie wspomnianych trzech osad jest zdrowe, stosunki hygjeniczne i zdrowotne są odpowiednie. Starostwo w Waidhofen sprawuje nadzór nad tymi zakładami w sposób życzliwy. Wśród internowanych ujemnie odczuwać się daje brak zatrudnienia i oczywiście trawi ich tęsknota za domem i za pozostałemi rodzinami. To też Komitet czyni starania celem uzyskania od właściwych władz pozwolenia powrotu do kraju dla tych internowanych, co do których pod względem ich zachowania się nie zachodzą żadne przeszkody.

(„Głos Narodu" 28 stycznia 1916).

Załącznik 137.

Der k. k. Bezirkshauptmann
in Waidhofen an d. Thaya.

Waidhofen a. d. Thaya, am 12/II 1916.

An Seiner Hochgeboren Herrn k. k. Statthaltereirat
Siegmund Grafen Lasocki
in Wien.

Für die freundliche Mitteilung Euer Hochgeboren vom 26/I, betreffend die Ihnen zur Kenntnis gelangten Beschwerden über Drosendorf bestens dankend teile ich mit, dass ich schon seit geraumer Zeit aus den Euer Hochgeboren bekannten Gründen ein besonderes Augenmerk auf Drosendorf gerichtet habe. Ich habe mich daher im Einvernehmen mit dem k. k. Statthalterei-Präsidium veranlasst gesehen eine Aenderung in der Verwaltung eintreten zu lassen. Auch wurden gewisse Elemente versetzt, insbesonders die Juden. Ich will nun hoffen, dass auch in Drosendorf jene Verhältnisse eintreten werden, wie sie in den anderen Stationen bestehen.

Indem ich Euer Hochgeboren für die gütige Mitteilung vielmals und bestens danke, verbleibe ich stets zu Diensten gerne bereit, mit besonderer Hochachtung

Ihr ganz ergebener
Bofizio.

Załącznik 138.

INTERNOWANIE OBYWATELI KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z Maros-Varsehely donoszą, że w tamtejszym obozie dla internowanych przebywają obywatele Królestwa Polskiego, internowani i przewiezieni tamże przed trzema laty. Jak się dowiadujemy, ze strony polskiej nikt dotąd Polaków tych nie zwiedził i nikt żadnej pomocy internowanym Polakom nie udzielił. Ludzie ci już czwarty rok żyją odcięci od Polski, wśród nich ludzie inteligentni, skazani na wszelki brak.

Podobno opiekę nad obozami internowanych z Królestwa Polskiego na Węgrzech objął Polski Komitet dla uchodźców w Wiedniu, którego prezesem jest p. Biliński [1]). O działalności tego komitetu na Węgrzech dotąd nic nie słyszeliśmy, sądzimy przeto, że sprawą tą zajmie się komisja uchodźcza Koła polskiego, co jest tembardziej wskazane, że wśród internowanych Polaków z Królestwa szerzy się gorycz, jakoby komitety galicyjskie nie chciały im przyjść z pomocą.

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 24 września 1917.)

Załącznik 139.

Wien, am 28. Jänner 1916.

List do gen. Schleyera.

Eure Exzellenz!

Von dem seit Kriegsbeginn in der Schweiz unter Vorsitz des berühmten Dichters Sienkiewicz zu Gunsten der Kriegsopfer im Kö-

---

[1]) Komitet w tym czasie już nie istniał. Przyczynił się on, za czasów swojego istnienia, do uwolnienia pewnej liczby Polaków także z Maros-Vasarhely.

nigreich Polen wirkenden Hilfskomitee habe ich ein Schreiben erhalten, dessen Uebersetzung ich Eurer Exzellenz zu übermitteln die Ehre habe. Aus diesem Schreiben werden Hochdieselben zu entnehmen die Güte haben, dass das Komitee die Absicht hat für Kriegsgefangene und internierte Polen aus den von unseren Truppen besetzten Gebieten eine eben solche Hilfstätigkeit durch Zusendung von Nahrungsmitteln, Kleidern und Wäsche zu entwickeln, wie dies bisher mit Zustimmung der deutschen Behörden in den von den deutschen Truppen besetzten Gebieten des Königreiches Polen geschieht.

Eurer Exzellenz ist es erinnerlich, dass insoferne es sich um die internierten Polen handelt, in Wien unter meinem Vorsitze ein Komitee tätig ist, das sich ebenfalls mit der Versorgung von Kleidern und Wäsche, überdies aber in intensiverer Weise mit der Vermittlung bei der Erwirkung der Rückkehrbewilligung für die Internierten befasst. Indem ich nun Eure Exzellenz einerseits bitte die für mein Komitee aus finanziellen Gründen sehr erwünschte Konkurrenztätigkeit des Schweizer Komitees bewilligen zu wollen, möchte ich mir erlauben andererseits Hochihre Aufmerksamkeit auf eine prinzipielle Eingabe des hiesigen Komitees und auf zahlreiche Spezialeingaben wegen Befreiung aus den Interniertenlagern zu lenken. Die Interniertenlager enthalten 4—5000 Polen russischer Staatsangehörigkeit, gegen die schon nach ihrer Beschäftigung — es sind dies zumeist Bauern und Arbeiter mit ihren Familien — nicht der geringste politische Vorwurf erhoben werden kann und deren Rückkehr in die Heimat schon durch die Beruhigung innerhalb der schwer betrübten Familien einen gewissen politischen Nutzen für unsere Verwaltung schaffen müsste. Hat doch auch der Herr Generalgouverneur von Lublin sehr zahlreiche Eingaben der bedrängten Familien befürwortend dem Hohen Kriegsministerium vorgelegt, worüber allerdings bisher noch ebenso wenig, wie über die Eingaben des hiesigen Komitees, eine Erledigung erfolgt ist.

Ich möchte daher meine Bitte dahin konkretisieren, dass parallel mit der Förderung der Nahrungsmittel-, Kleider- und Wäscheeinfuhr, über welche ich gleichzeitig auch ihre Exzellenzen die Herren Finanz- und Eisenbahnminister begrüsse, eine möglichst rasche und im Rahmen des militärischen Interesses wohlwollende Behandlung der Entlassungsgesuche der Internierten angeordnet werden möge.

Bei dieser Gelegenheit möchte ich noch eine Spezialbitte Eurer Exzellenz Gnade empfehlen. Der Fürstbischof von Krakau, welcher unserem Komitee affiliiert ist, hat in das letztere als seinen Abgesandten einen jungen Priester Pierzowicz delegiert, welchen wir mit der Verteilung der Kleidungsstücke zu betrauen beabsichtigten und der über Auftrag seines Bischofs den Internierten polnischer Nationalität geistliche Hilfe angedeihen zu lassen berufen wäre. Wir haben uns an das Kriegsüberwachungsamt vor etwa 14 Tagen wegen Erteilung einer Eintrittskarte in die Interniertenlager gewendet und befinden uns nunmehr, da die Erledigung aussteht, in der Verlegenheit den Internierten sowohl die materielle wie die geistliche Hilfe dermalen vorenthalten zu müssen. Von Eurer Exzellenz bekannter

Gerechtigkeitsliebe erhoffen wir uns in all den hier bezeichneten Angelegenheiten gute und erfolgreiche Unterstützung.

Genehmigen Eure Exzellenz die Versicherung meiner ausgezeichnetsten Hochachtung.

Biliński.

Załącznik 140.

Nr. 3499.

Wien, am 5. Oktober 1915.

An
Seine Exzellenz
den Herrn k. k. Minister des Innern.

Die bei Kriegsausbruch gegen die in Oesterreich sich aufhaltenden Angehörigen feindlicher Staaten ergriffenen Massregeln haben die aus dem Königreich Polen, aus Wolhynien, Podolien etc. stammenden Angehörigen der polnischen Nation in gleicher Weise getroffen, wie die übrigen russischen Staatsbürger. Die meisten der in Galizien verweilenden Polen russischer Staatsangehörigkeit wurden zwangsweise in das Hinterland gebracht und in Konzentrationslagern interniert. Die Nichtinternierten wurden konfiniert oder sonst der Möglichkeit beraubt, in ihren früheren Aufenthaltsort zurückzukehren.

Aus der Tatsache, dass die vorwiegende Anzahl der in Oesterreich wohnenden Polen russischer Staatsbürgerschaft seit vielen Jahren Galizien als Zufluchtstätte vor der Verfolgung durch die russischen Behörden gewählt, in diesem Kronland sich dauernd angesiedelt, Grund und Boden oder sonstigen Realbesitz erworben hat oder eine Erwerbstätigkeit ausübt und auf diese Weise zur Hebung der Steuerkraft des Landes beiträgt, glaube ich meinen Beruf ableiten zu dürfen, um aus schwerwiegenden Gründen politischer Natur die Frage aufzuwerfen, ob nicht in der Behandlung solcher Polen eine Revision der obererwähnten Massregeln angezeigt erschiene.

In einem weltgeschlichtlich hochbedeutsamen Augenblick, da die Befreiung des gesamten Königreiches Polen von der russischen Herrschaft zur Tat geworden ist und das Verhältnis zwischen der dortigen Bevölkerung und den Organen der österreichisch-ungarischen Verwaltung sich immer vertrauensvoller gestaltet, dürfte es wohl auch Eurer Exzellenz als Anomalie erscheinen, dass Polen in Oesterreich vielfach mit derselben Rigorosität behandelt werden, wie sonstige Angehörige der Feindesstaaten.

Aus politischen Kreisen werden denn auch immer dringendere Aufforderungen an mich gerichtet, in dieser Hinsicht bei den kompetenten Stellen Vorstellungen zu erheben. Ich kann nicht verhehlen, dass das bisherige Vorgehen unserer Behörden gegenüber den Polen russischer Staatsangehörigkeit keineswegs immer dem Umstand Rechnung getragen hat, dass ein grosser Teil des Königreiches Polen schon im ersten Stadium des Krieges von k. u. k. Truppen besetzt wurde und seit dieser Zeit unter österreichisch-ungarischer Verwaltung steht, der schon politische Klugheit die Tendenz nahelegt, bei

der einheimischen Bevölkerung den Unterschied zwischen der früheren russischen Herrschaft und dem neuen humanen und gerechten Regime besonders hervortreten zu lassen. Auch das jene Bevölkerung, wie dies besonders in den letzten Monaten in den Berichten des Kriegspressequartiers und sonstigen offiziellen Veröffentlichungen betont wurde, eine sehr korrekte und in den meisten Gegenden eine in jeder Hinsicht entgegenkommende und freundliche Haltung einnimmt, was z. B. beim Einzug unserer Truppen in Lublin ganz besonders lebhaft zum Ausdruck gekommen ist, hat bis nun auf die Haltung unserer Behörden keine nennenswerte Rückwirkung ausgeübt, während nach einer aus der österreichisch-ungarischen Botschaft in Berlin stammenden Mitteilung die preussischen Behörden schon seit Kriegsbeginn „zwischen Russen und Polen unterscheiden".

Ferner wird vollends übersehen, oder zumindest nicht beachtet, dass mehrere tausend k. u. k. Polnische Legionäre sich aus dem Königreich Polen rekrutieren. Umso peinlicher empfinden es daher sowohl die unmittelbar Betroffenen wie auch hochgestellte politische Persönlichkeiten die zugunsten der Ersteren bei den kompetenten Stellen intervenieren, dass sie an die Spanische Botschaft, ale jene Behörde gewiesen werden, die den Schutz der russischen Staatsbürger in Oesterreich übernommen hat.

Ebenso wirkt es in der polnischen Gesellschaft sehr deprimierend, wenn Angehörige von Legionären aus dem Königreiche Polen, die im Sinne der Allerhöchsten Entschliessung vom 4. Dezember 1914 den bei den k. u. k. Truppen im Militärdienst stehenden Personen gleichzuhalten sind, interniert oder sonst in ihrer Freiheit beeinträchtigt werden. Zur periodischen polizeilichen Ausweisleistung sind auch solche Legionäre selbst verhalten worden.

Vom Gesichtspunkt der wirtschaftlichen Interessen Galiziens und der Bestrebungen zum Wiederaufbau des Landes ist es von besonderer Wichtigkeit, dass den im Hinterland weilenden Gutsbesitzern, Gutspächtern und -Verwaltern, sowie den vielen sonstigen, aus dem Königreiche Polen stammenden technischen Kräften galizischer Fabriks- und Grubenunternehmungen — namentlich im Naphtagebiet sind zahlreiche sehr tüchtige polnische Techniker russischer Staatsangehörigkeit tätig gewesen — die Rückkehrbewilligung nach Galizien erteilt werde.

Auch der Umstand sollte nicht ausser Acht gelassen werden, dess zahlreiche Polen, die heute noch russische Staatsbürger sind, sich schon vor geraumer Zeit um die österreichische Staatsbürgerschaft beworben haben. Wenn die betreffenden Gesuche bei Kriegsausbruch noch nicht erledigt waren, so ist dies meist auf den schleppenden Gang der üblichen Erhebungen zurückzuführen. Für diejenigen, welche keine Schritte in dieser Richtung unternommen haben, dürften vorwiegend Familien- bzw. Vermögensverhältnisse, insb. die Ausschliessung fremder Staatsangehörigen von der Erbschaft unbeweglichen Vermögens in Russland bestimmend gewesen sein.

Im Hinblick auf die dargelegten Momente glaube ich Eurer Exzellenz den Vorschlag zur Erwägung stellen zu dürfen, dass die russischen Staatsangehörigen polnischer Nationalität in Oesterreich,

die doch nur noch formell diese fremde Staatsbürgerschaft besitzen und sich derselben als eines „privilegium odiosum" sobald als möglich entledigen möchten, von den gegen Angehörige fremder Staaten gerichteten Massregeln eximiert werden.

Ich hege die Ueberzeugung, dass Eurer Exzellenz dieser Anregung keine Einwendung entgegenstellen sie vielmehr beim k. u. k. Kriegsüberwachungsamt umso wärmer unterstützen werden, als ein solcher den Grundsätzen der Humanität entsprechender Schritt nicht verfehlen würde, auch ausserhalb der Grenzen des Reiches den allergünstigsten Eindruck hervorrufen, weshalb der allerweitesten Publizität einer solchen Entschliessung der k. k. Regierung politisch gerade im gegenwartigen Augenblick eine besondere Bedeutung zukommen würde.

Bei diesem Anlass sei es mir gestattet, eine im engen Zusammenhang mit der dargelegten Frage stehende Anregung des Fürstbischofs von Krakau Fürsten Dr. Adam Sapieha zur Sprache zu bringen und Eure Exzellenz zu bitten sie im Hinblick auf ihre politische Bedeutung bei den militärischen Stellen unterstützen zu wollen.

Der Fürstbischof von Krakau vertritt die gewiss richtige Ansicht, dass unter den russischen Kriegsgefangenen den Angehörigen der polnischen Nation eine möglichst rücksichtsvolle Behandlung zuteil werden muss. Dies liesse sich praktisch am leichtesten durch eine Isolierung der Polen in besonderen Baracken erreichen, wodurch sie auch dem unwillkommenen und schädlichen Einfluss der Russen entrückt würden. Da die Polen sich fast ausschliesslich zur römisch-katholischen Religion bekennen, könnte auf diese Weise auch ihr Seelsorgedienst wesentlich erleichtert und eine Beeinflussung ihrer Denkungsart ermöglicht werden.

Für ehestgefällige Mitteilungen wäre ich Eurer Exzellenz zu besonderem Dank verpflichtet.

Morawski.

Załącznik 141.

Galiz. Landesausschuss
Nro 52.043/916.

Biała, den 8. Jänner 1916.

An das k. u. k. Kriegsüberwachungsamt
im k. u. k. Kriegsministerium in Wien.

Indem wir uns auf unsere an das k. u. k. Kriegsüberwachungsamt gerichtete Note vom 7. Dezember 1915 Z. 47.010 berufen, beehren wir uns nochmals mit grösstem Nachdrucke die Aufmerksamkeit des k. u. k. Kriegsüberwachungsamtes auf die unumgängliche Notwendigkeit zu lenken der gründlichen, durchgreifenden und generellen Revision der seit Jahr und Tag angeordneten Internierung vieler Hunderten aus Königreich Polen stammenden Polen näher treten zu wollen.

Wir müssen an dieser Stelle der allgemeinen nicht nur in Galizien, aber auch im ganzen Königreiche Polen herrschenden Ueberzeugung Ausdruck geben, dass es höchst peinlich wirkt, dass viele

Polen, darunter auch österreichische Staatsbürger oder auch solche, welche aus dem durch die k. u. k. und verbündete Armeen besetzten und verwalteten Königreich Polen stammen, seit Monaten, in vielen Fällen seit mehr als einem Jahre interniert werden und bis jetzt sogar nicht verhört wurden. Man versteht einfach nicht, aus welchem Grunde sie so lange Zeit auf Staatskosten in der Internierungshaft gehalten werden und verlangt allgemein, dass wenigstens diejenigen sofort befreit werden, gegen welche keine konkrete Anklage obwaltet.

Wir betrachten diese Forderung als vollkommen begründet und indem wir uns auf die oben zitierte Note berufen, bitten wir entsprechende Verfügungen treffen und uns dieselben mitteilen zu wollen.

Der Landmarschall: Landesausschussmitglied:
Niezabitowski. Dąmbski.

Załącznik 142.

List do posła Lasockiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

W tej chwili otrzymujemy notę z Ministerstwa Spraw wewnętrznych w odpowiedzi na naszą notę w sprawie Królewiaków, w której Minister spraw wewnętrznych komunikuje nam, że w powyższej sprawie nic uczynić nie może, ponieważ Ministerstwo spraw wewnętrznych dotychczas żadnych a żadnych skarg i rekryminacji co do postępowania władz z obywatelami Królestwa nie otrzymało.

Zakrawa to w istocie na ironję. Proszę zatem Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego, aby z Komitetu na Walnerstrasse zebrał cały rozporządzalny materjał i nadesłał pod naszym adresem. Byłoby bardzo pożądanem, aby Pan Hrabi ze sprawą tą ponownie wystąpił.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i szacunku

Edward Neumann.

Wiedeń, dnia 30 października 1916.

Załącznik 144.

List do prezesa Koła polskiego Bilińskiego.

Euere Exzellenz!

Nach meiner Rückkehr von einer längerer Dienstreise beehre ich mich Euer Exzellenz in Beantwortung des geschätzten Schreibens vom 28. Jänner d. J. in Angelegenheit der internierten Russisch-Polen Folgendes mitzuteilen.

Vor allem ist es ein Irrtum, dass sich in den Interniertenlagern bei uns 4—5.000 Polen russischer Staatsangehörigkeit befinden. Nach den mir vorliegenden statistischen Daten sind in Oesterreich dermalen 1386 aus Russisch-Polen stammende Personen interniert und zwar die meisten in den Stationen des politischen Bezirkes Waidhofen a. d. Thaya, Drosendorf, Grossau, Illmau, Karlstein, Kirchberg a. d. Wild zusammen 1172 ferner 54 in Enzersdorf, Be[illegible]k Oberhollabrunn. Ausserdem waren 160 Russische Polen in Schwaz und Kufstein in Tirol interniert; die Ueberstellung dieser Personen nach Enzersdorf (Oberhollabrunn) ist jedoch im Zuge.

Die Konzentrierung aller Russisch-Polen in einer Internierungsstation erscheint aus verschiedenen Gründen, namentlich aus disziplinären Rücksichten derzeit nicht durchführbar.

Was die Freilassung und Heimbeförderung der internierten Russisch-Polen anbelangt, so muss darauf hingewiesen werden, dass sich unter den Internierten zahlreiche Personen befinden, die tatsächlich politisch bedenklich sind und von den zurückweichenden Russen in Polen bezw. Galizien absichtlich zurückgelassen worden sind, daher von unseren Truppen abgeschoben werden mussten. Deshalb ist auch eine individuelle Behandlung der einzelnen Fälle und die Einleitung von besonderen Erhebungen aus Anlass der von den Internierten eingebrachten Gesuche notwendig.

Tatsächlich haben die meisten Internierten bezw. ihre Angehörigen Gesuche um Freilassung eingebracht. Dort wo eine Befürwortung seitens des k. u. k. Militär-Generalgouvernements Lublin resp. der Statthalterei in Biala vorlag, wurde die Freilassung angeordnet. Auf diese Weise wurden bereits zahlreiche Internierte heimbefördert. Viele Gesuche sind noch in Behandlung.

Ich werde jedenfalls für eine rasche Erledigung Sorge tragen.

Gegen die Zusendung von Kleidern, Wäsche etc. an die Internierten besteht, wenn eine Anmeldung bei den betreffenden Leitern der Internierungsstationen erfolgt, kein Anstand.

Vertreter des von Euerer Exzellenz geleiteten Hilfskomitees haben ohnedies in der letzten Zeit mit h. o. Zustimmung die Lager besucht und gesammelte Gaben verteilt. Hiebei war auch der von Euer Exzellenz erwähnte Geistliche Pierzowicz beteiligt.

Eine regelmässige Bereisung der Lager zum Zwecke der Versehung der Seelsorge durch den genannten Geistlichen erscheint nicht notwendig, da schon seit langer Zeit durch Anstellung eines anderen römisch-katholischen polnischen Geistlichen Vorsorge getroffen wurde, dass die Internierten ihren religiösen Verpflichtungen nachkommen können.

Dem von Euer Exzellenz erwähnten Schweizer Komitee steht es frei, die gesammelten Gaben eventuell an die Leiter der Internierungsstationen zu senden. Was die Zoll- und Frachtfreiheit betrifft, so entzieht sich die Angelegenheit meiner Kompetenz; desgleichen sind die Angelegenheiten der Kriegsgefangenen meiner Einfluss-Sphäre entrückt.

Empfangen Euere Exzellenz den Ausdruck meiner vorzüglichsten Hochachtung

Schleyer FZM.

Wien, den 19. Februar 1916.

Załącznik 145.

Hohes
k. u. k. Kriegsüberwachungsamt
Wien.

Wien, am 28. März 1916.

Kasimir Morgulec, Pole, röm.-kath., russischer Staatsangehöriger, 72 Jahre alt, aus Podolien, hat sich an das gefertigte Komitee

mit der Bitte um die Erwirkung seiner Entlassung aus der Interniertenstation in Maros Vasárhely in Ungarn und der Bewilligung zur Heimreise nach Bitków, Bezirk Nadworna in Galizien gewendet.

Der Genannte ist pensionierter gräflich Lanckoronskischer Güterdirektor. Die Anhaltung und Abschiebung desselben nach Maros Vasárhely erfolgte mit Rücksicht auf seine russische Staatsangehörigkeit. Kasimir Morgulec **hat an dem polnischen Aufstande im Jahre 1863 teilgenommen und musste deshalb aus Russland flüchten.** Er kam nach Galizien, wo er zunächst in Ułaszkowce, Bezirk Czortków eine Anstellung in der Güterverwaltung Sr. Exzellenz des Grafen Karl Lanckoroński bekommen hatte und dann die selbständige Verwaltung des gräflich Lanckoronskischen Stammgutes Wodzisław in Polen übernahm. Als Pensionist lebte er bei seinem Sohne Stanisław Morgulec, **Naphtagrubendirektor in Bitków, Bezirk Nadworna. Der Letztere wurde nach dem russischen Rückzuge 1915, als Geisel mitgeschleppt und verbleibt in einem russischen Internierungslager in Sibirien.** Kasimir Morgulec übernahm die Stellvertretung des Sohnes in Bitków, wo er **bis zum Monate Februar 1916 anstandslos verweilte.** Erst im Februar 1916 wurde er in Maros Vasárhely interniert. Sein zweiter Sohn Michael Morgulec, Bankbeamter in Lemberg, interniert als russischer Staatsangehöriger **in Steinklamm, wurde über Verfügung des Hohen k. u. k. Kriegsüberwachungsamtes am 9. III. d. J. freigelassen.**

Das gefertigte Komitee beehrt sich somit das Ansuchen des Genannten aufs wärmste zu befürworten und an das Hohe k. u. k. Kriegsüberwachungsamt die ergebenste Bitte zu stellen, das Geeignete zwecks baldiger Entlassung des Genannten verfügen zu wollen.

Hilfskomitee für Internierte
aus den von k. u. k. Truppen besetzten Gebieten Polens.

Der Vorstand:
I. V. Lasocki.

Załącznik 146.

K. k. Bezirkshauptmannschaft.
Zl. 2932/1/4.

Waidhofen an der Thaya.

Legitimation

für den russischen Staatsangehörigen Heinrich Brzostowicz derzeit konfiniert in Karlstein, welchem zufolge Erlasses des k. u. k. Kriegsüberwachungsamtes in Wien vom 9. September 1916 Z. K. Ue. A. 72421, ein Urlaub in der Dauer eines Tages zum Aufenthalte in Granica gestattet wird. Der Genannte hat sich im Falle einer notwendigen Reiseunterbrechung sofort bei der nächsten Polizeibehörde, in Wien beim k. k. Polizei-Direktions-Präsidium und sofort nach seinem Eintreffen in Granica beim k. u. k. Militärstationskommando in Granica zu melden.

Waidhofen an der Thaya, am 19. September 1916.

Der k. k. Bezirkshauptmann:
Bofizio.

Abgegangen am 12/12. 1916.
Schleiff Stadtkommandant.

Nr. 7715.

Reisepass.

Der Botschafter Sr. Majestät des Königs von Spanien in Wien mit der Wahrung der Interessen von Russland und seiner Untertanen in Oesterreich-Ungarn betraut ersucht alle Zivil- und Militärbehörden, Vorzeiger dieses, dem russischen Untertanen Heinrich Brzostowicz, welcher sich nach Wien, dann nach Granica retour Wien, Karlstein begibt freies Geleite zu geben und im Notfalle Hilfe und Schutz zu gewähren.

Wien, am 14. Dezember 1916.

Der königl. spanische Botschaftsrat:
podpis nieczytelny.

Załącznik 147.

Internierungs-Stationen

die **nicht** in militärischer Verwaltung stehen.
(Stand vom **8. Februar 1915**).

Bezirkshauptmannschaft Waidhofen a. d. Th.:	
Drosendorf	653
Grossau	313
Illmau	203
Karlstein	302
Kirchberg a. W.	115
Markl	30
Bezirkshauptmannschaft St. Pölten:	
Kammerhof	159
Pottenbrunn	229
Walpersdorf	166
Wielandsthal	144
Steinklamm	1000
Unter-Radlberg	560
Bezirkshauptmannschaft Bruck a. d. Leitha:	
Hainburg	320
Oberösterreich:	
Bezirkshauptmannschaft Linz:	
St. Martin a. Tr.	280
(Bezirkshauptmannschaft) Braunau a. Inn	298
Tirol:	
(Bezirkshauptmannschaft) Kufstein	330
(Bezirkshauptmannschaft) Schwaz	430
	5532

Załącznik 148.

Do Prześwietnego Centralnego Komitetu
Opieki Moralnej
we Wiedniu.

P r o ś b a.

Udajemy się z prośbą do Prześwietnego Centralnego Komitetu Opieki moralnej jako Polacy z Królestwa Polskiego zajęci jesteśmy na forszpan przez c. k. armję w roku 1914 w miesiącu sierpniu.

Zostaliśmy od forszpanu uwolnieni w lutym 1915 roku. Jechaliśmy już od forszpanu do domu lecz zwrócili nas z pod Krakowa i wysłali nas na barak do Lejbnitz. W Lejbnitz byliśmy 4 miesiące — po 4 miesiącach prosiliśmy c. k. Zarząd Baraku aby nas puścili do domu, lecz oni nam odpowiedzieli, że do domu nie możemy jeszcze powracać i odesłali nas do Tyrolu na robotę, pracowaliśmy przez 4 miesiące w fabryce.

Po ukończonej robocie prosiliśmy c. k. Zarząd fabryki aby nas zwolnili do domu, tymczasem oni nam odpowiedzieli na tę prośbę, że gdy wyjedziemy na baraki, to z baraków będziemy mogli powrócić do domu. Więc tutaj w barakach pozostajemy już 4 tygodnie i żadnej wiadomości nie mamy a do Galicji ludzie odjeżdżają.

Przeto udajemy się do Prześwietnego Centralnego Komitetu Opieki moralnej o pomoc i o wypuszczenie nas stąd do domu, przeważnie jesteśmy z Miechowskiego powiatu, guberni Kieleckiej. Jeżeliby ta nasza prośba niemożliwa była do powrotu do domu to upraszamy Prześwietny Komitet o pomoc wycofania nas z tych baraków, do baraków polskich, gdzie są Polacy i kościoły polskie ponieważ tutaj są same rusiny i niema polskiego księdza, i kościoła, jesteśmy Polacy odcięci od kościoła polskiego.

Upraszamy Prześwietny Komitet o łaskawe zajęcie się naszą sprawą i o rychłe zawiadomienie nas. Jesteśmy przeważnie wszyscy rolnicy, którzy pozostawiliśmy żony i dzieci przez żadnej opieki i niema kto w domu pracować w dowód czego się podpisujemy.

Hipolit Szmulczyński gminy Luborzyckiej powiatu Miechowskiego gub. Kieleckiej, następuje 14 podpisów.

Wolfsberg, Barak No 40, 23 grudnia 1915.

Załącznik 149.

Lublin 15 lutego 1917.

List do posła Lasockiego.

Szanowny Panie Hrabio!

Główny Komitet ratunkowy w Lublinie, postanowił przenieść wszystkich Polaków katolików z obozów w Grödig do Królestwa — nie wyłączając i rusinów katolików, których jest tam około 130. Prezydjum Komitetu złożyło w tej kwestji memorjał Jeneralnemu gubernatorstwu, co do miejsca zaś ulokowania tych ludzi, porozumiało się z Komitetami w ziemiach radomskiej, kieleckiej i piotrkowskiej. Z ogólnej liczby 809 osób, które mają wyjechać z Grödig, około 100 osób rozjedzie się po całem Królestwie, mianowicie do swoich bliższych krewnych. Reszta zostanie podzielona pomiędzy wyżej wymienione ziemie. Postanowiono w Komitecie, że ja udam się do Wiednia i Salzburga i tam wskażę komu należy adresy, pod którymi poszczególne grupy należałoby skierować. 10 bm. podanie Komitetu skierowano z Gubernatorstwa do Ministerjum w Wiedniu, mnie zaś nie radzą jechać do Wiednia aż przyjdzie stamtąd odpowiedź, raczej pozwolenie na zabranie tych ludzi.

Na parę dni przedtem Ministerjum w Wiedniu powiadomiło tutejsze Jenerał Gubernatorstwo, że ma do oddania nam 800 interno-

wanych Polaków, nie wskazując co to za internowani i dlaczego ich oddaje. Domyślają się tu, że może to ci sami Polacy w Grödig, lecz dlaczego użyto określenia „internowani"?

W każdym razie tu czekamy na odpowiedź i wyjaśnienie Ministerjum. Ja się bardzo niecierpliwię, bo szkoda mi ludzi, których męki przez niepotrzebną zwłokę przedłużają się — a pojechać muszę, bo bezemnie naprawdę sobie rady nie dadzą. Te 20 osób, które zaraz po nas wyjechałły, miały wprost niemożliwą podróż, następne zaś 49 jeszcze dotąd nie wyjechały.

Najgoręcej przeto i najuprzejmiej Zacnego Pana Hrabiego proszę, by był łaskaw poszukać w Ministerjum śladów naszego podania i papierów z Jenerał Gubernatorstwa w Lublinie i tak następnie wpłynąć, by jak najprędzej przychylna odpowiedź Ministerjum do Lublina nadeszła.

Wyrazy głębokiego szacunku i poważania łączę

sługa w Xsie Panu

Ks. Maciejski.

Załącznik 150.

Pismo Naczelnej komendy armji do ministra wojny.

A. O. K. Abt. X. v. 31/ I. 917 M. V.

Nr. 6410/P.

Alle in der Monarchie internierten und konfinierten Zivilpersonen, die aus dem Militär-Generalgouvernement Lublin stammen, sind, ausgenommen Russen (Ortodoxe) und politisch Unverlässliche in ihre Heimat zu entlassen.

Hiebei haben jedoch jene Einschränkungen einzutreten, welche das Kriegsministerium zu Wahrung von wirtschaftlichen oder militärischen Interessen für notwendig erachtet.

Załącznik 151.

K. Ue. A. 97184.

An
die k. k. Bezirkshauptmannschaft
in Waidhofen an der Taya.

Wien, am 20. Februar 1917.

Zufolge Anordnung des A. O. K. ist nunmehr die Heimsendung der in der Monarchie noch internierten oder konfinierten Angehörigen des Königreiches Polen, die ihren ständigen Wohnsitz im Bereiche des k. u. k. Militärgeneralgouvernements Lublin hatten, raschestens durchzuführen.

Von dieser Massnahme sind nur politisch Unverlässliche auszunehmen, darunter sind jedoch nur solche Personen zu verstehen bezüglich welcher verlässliche konkrete Anhaltspunkte dafür vorliegen, dass sie auch noch dermalen die öffentliche Ordnung oder militärische Interessen im Okkupationsgebiete gefährden würden.

Behufs Perlustrierung der abzuinstradierenden Personen wird in den nächsten Tagen — es ist hiefür einer der ersten Tage des Mo-

nates März in Aussicht genommen — ein Delegierter des k. u. k.. Militärgeneralgouvernements Lublin nach Waidhofen an der Taya und nach Oberhollabrunn entsendet werden.

Behufs Vorbereitung dieser Perlustrierung werden die k. k. Bezirkshauptmannschaft Waidhofen an der Taya und die Leitung der Konzentrationsstationen in Oberhollabrunn hiemit beauftragt, unverzüglich eine Vorperlustrierung aller jener in ihrem Bereiche internierten (oder konfinierten) Angehörigen des Königreiches Polen, die ihren ständigen Wohnsitz im Gebiete des k. u. k. Militärgeneralgouvernements Lublin hatten, vorzunehmen und nebst Daten über Heimatszuständigkeit, Ort des ständigen Aufenthaltes im k. u. k. Okkupationsgebiete, auch aus den dortigen Akten und sonstigen Behelfen Zeitpunkt und Grund der erfolgten Internierung (Verhaftung, Abschub ins Hinterland) nach Möglichkeit festzustellen.

Diese Vorperlustrierung ist mit möglichster Genauigkeit und Raschheit durchzuführen, da die Anwesenheit des Vertreters des Militärgeneralgouvernements in Lublin in den einzelnen Lagern nur auf ganz kurze Zeit (etwa einen Tag) in Aussicht genommen ist. Um den Aufenthalt dieses Vertreters nicht zu verzögern, werden auch die von ihm zu perlustrierenden Polen, insoferne sie etwa dermalen in verschiedenen Lagern des dortigen Bereiches untergebracht sind, für den erwähnten Zweck in einem Orte zu vereinigen sein.

Die endgültige, in Anwesenheit des Vertreters des Militärgeneralgouvernements Lublin stattfindenden Perlustrierung hätte kommissionell zu erfolgen und sich darauf zu beziehen, nach welchen Gouvernementskreisen die Einzelnen abzuschieben, bzw. welche von ihnen wegen ihrer Bedenklichkeit etwa von der Abinstradierung auszuschliessen wären.

Sodann wird von der Lagerleitung mit aller Beschleunigung der Transport zusammenzustellen sein.

Die Anmeldung des Transportes bei der Zentrantransportleitung hat in der üblichen Weise zu erfolgen.

Ferner wird bemerkt, dass sozial höherstehenden Personen über ihre Bitte zugestanden werden kann, auf eigene Kosten die Heimreise allein anzutreten, zu welchem Zwecke ihnen vorschriftsmässige Reisepässe auszustellen wären.

Bei diesem Anlasse wird darauf aufmerksam gemacht, dass auch die Vorbereitungen wegen der Entlassung der übrigen aus dem Königreiche Polen stammenden Internierten und Konfinierten, welche im Sinne der bereits ergangenen h. o. Zirkularerlässe im Flüchtlingslager (Oświęcim) bzw. in den früheren ständigen Aufenthalte im Hinterlande oder nach dem deutschen Okkupationsgebiete zu überstellen sind, mit aller Beschleunigung durchgeführt werden müssen, damit die wiederholten Rekriminationen, dass unschuldige Angehörige des Königreiches Polen nur wegen ihrer ehemaligen russischen Staatsbürgerschaft in Haft gehalten werden, endlich aufhören.

Bezüglich der weiteren Behandlung der auf Arbeit befindlichen Internierten, die im Interesse der Kriegswirtschaft in ihrer dermaligen Beschäftigung bei Aufhebung der Internierung verbleiben sollen, werden Verfügungen nachfolgen.

Ergeht an die Bezirkshauptmannschaft Waidhofen an der Taya, Leitung der Konzentrationsstationen Oberhollabrunn und wird der Statthalterei in Wien und Militärgouvernement Lublin mitgeteilt.

Załącznik 152.

Lublin, 22 marca.

C. k. Biuro korespondencyjne ogłasza:

Sprawa wypuszczenia na wolność polskich jeńców cywilnych została załatwioną w myśl życzeń ogółu polskiego. Komisja, złożona z przedstawicieli ministerstwa wojny i wojskowego jenerał-gubernatora lubelskiego, zwiedziła wszystkie obozy jeńców cywilnych i postanowiła 15.000 [1]) osób natychmiast wypuścić na wolność i odesłać do domu. Wypuszczeni na wolność będą grupami odwiezieni, tak, że na Wielkanoc wszyscy znajdą się u swych rodzin..

(„Czas" z 22 marca 1917).

Załącznik 153.

Arbeiter-Inspektorat der k. k. Bezirkshauptmannschaft

Z. 698.

Waidhofen a/d. Thaya, am 18. März 1917.

Herrn

Trela Jan

in Wien Simmering.

Elektrizitätswerk.

Im Sinne des Erlasses des k. u. k. Kriegsüberwachungsamtes in Wien vom 8. März 1917, Zl. 98404 werden Sie als Angehöriger des Königreiches Polen mit heutigem Tage aus der Internierung entlassen, und zufolge desselben Erlasses unter das Kriegsleistungs-Gesetz gestellt.

Die diesbezüglichen weiteren Verhaltungsmassregeln werden Ihnen von Herrn militärischen Leiter des Betriebes, in welchem Sie beschäftigt sind, bekannt gegeben werden.

Der k. k. Arbeiterinspektor:

podpis nieczytelny.

Załącznik 154.

List do posła Lasockiego.

Wielce Łaskawy Panie Hrabio!

Celem uzyskania pozwolenia na powrót do Warszawy pozostałym w Tarnopolu kolejarzom z Królestwa Polskiego, odniosłem się do Ministerstwa spraw wewnętrznych, które nadesłane mi przez Wielce Łaskawego Pana Hrabiego wykazy, przesłało Ministerstwu spraw zagranicznych.

O wyniku kroków przedsięwziętych przez Ministerstwo spraw zagranicznych, pozwolę sobie w swoim czasie Pana Hrabiego zawiadomić.

Proszę przyjąć wyrazy serdecznego poważania, oddany

Twardowski.

Wiedeń, dnia 14 września 1917.

---

[1]) Oczywiście pomyłka o jedno zero.

Załącznik 155.

2530/I.

INTERPELACJA

posła Witosa i towarzyszy do J. E. p. Ministra obrony krajowej w sprawie nieprawnego postępowania władz wojskowych z poddanymi Królestwa polskiego.

Jak bardzo wielu innych, Polaków byłych poddanych rosyjskich, a obecnie poddanych Królestwa polskiego, asenterowano w roku 1915 Michała Martusiewicza, urodzonego w roku 1881 we Lwowie, i mimo uwierzytelniających dokumentów wcielono do 20 pułku piechoty.

Prośba poparta dowodami o zwolnienie go jako obcego poddanego ze służby pozostała bez skutku. Przydzielono go do żandarmerji polowej, gdzie spełniał służbę przez dziesięć miesięcy, poczem odesłano go wraz z 200 innymi Polakami, również nieprawnie asenterowanymi, do 80 pułku z zamiarem odesłania ich do służby frontowej.

Ponieważ nie chcieli oni uledz bezprawiu i odmówili posłuszeństwa, pod grozą użycia broni zmuszono ich do przyjęcia karabinów. Po nieudałej próbie użyto ich do innych czynności, a w międzyczasie internowano w ciemnej stajni przez cztery tygodnie.

Nie mogąc znieść szykan przeradzających się częstokroć w niesłychane katusze, z tych 200 ludzi 40 zbiegło, kilkudziesięciu internowano w Drosendorfie, a resztę dnia 30 stycznia b. r. wysłano jako żołnierzy na front włoski.

Wobec tego jaskrawego nadużycia władz wojskowych wobec Polaków, będących obcymi poddanymi, a stojącego w rażącej sprzeczności tak z zasadami ogólno ludzkiemi, jak też istniejącemi międzynarodowemi przepisami, zapytują podpisani:

„Czy Waszej Ekscellencji znane są wyż podane fakta?

Czy gotów jest te nadużycia w krótkiej drodze usunąć?"

Załącznik 156.

An die geehrte Leitung des Hilfskomitees für Internierte aus dem von k. u. k. Truppen besetzten Gebieten Polens.

Die Polizei Direktion beehrt sich mitzuteilen, dass das k. u. k. Kriegsüberwachungsamt laut Erlasses vom 27/II. 1917 Z. 95825 nicht in der Lage ist, dem Ersuchen um Entlassung des Marian Taddaeus Lubecki aus der Internierung, und Konfinierung desselben in Krakau eine willfahrende Folge zu geben.

Polizei Direktion am 8. September 1917. Pr. Z. 37/26662.

Załącznik 157.

Interpelacja posła hr. Lasockiego i towarzyszy do J. E. p. prezydenta ministrów i J. E. p. ministra spraw wewnętrznych w sprawie uwolnienia obywateli Królestwa Polskiego z internowania.

Po wybuchu kroków nieprzyjacielskich z Rosją, Polaków, przebywających w Austrji, a pochodzących z Królestwa Polskiego, ze względu na ich rosyjską przynależność państwową internowano lub konfinowano. Chodziło tu o wiele tysięcy niewinnych ludzi. Wielu

z nich mieszkało stale w Austrji od dłuższego czasu, często od dziesiątek lat, wielu ożeniło się tu, wychowało swe dzieci, nabyło nieruchomości, urządziło sobie handle, uprawiało przemysł. Synowie lub krewni niektórych walczyli w szeregach armji austrjackiej lub w Legjonach polskich. Zdarzało się często, że mąż lub syn w walce przeciw Rosji ranny został lub padł, podczas gdy żona z dziećmi lub starzy rodzice zamierali w zakładach internacyjnych, jako „Rosjanie". Między internowanymi znajdowali się i tacy, których najbliżsi krewni wywleczeni zostali przez Rosjan w przypuszczeniu, że są obywatelami austrjackimi. Rzeczywistej swej przynależności państwowej nie mogli oni rzeczywiście zdradzić, by nie ścigano ich jako dezerterów, względnie uchodźców rosyjskich. Byli też między nimi tacy, którzy zbiegli z wojska rosyjskiego w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, lub tacy, którzy brali udział w ruchu rewolucyjnym z roku 1905 i by uniknąć kary w Rosji ich czekającej, zbiegli do Austrji. O tendencjach rusofilskich tych ludzi nie mogło być oczywiście mowy; przeciwnie, przeważna część ich była fanatycznymi wrogami caratu.

Drugą kategorję internowanych tworzyli robotnicy i robotnice, którzy w chwili wybuchu wojny zajęci byli w Austrji przy gospodarstwach rolnych lub w przemyśle, albo też w drodze do Ameryki, Niemiec itd., lub wracając z tych krajów, zostali zatrzymani w przejeździe przez Austrję. Dalej chłopi wzięci przez wojsko austrjackie jako woźnice. Gdy im padły konie, albo też rozchorowali się lub zostali zranieni, odsyłano ich w głąb kraju i umieszczano w obozach internowanych. Ten sam los przypadł w udziale mieszkańcom miejscowości, które zostały ewakuowane z powodu walk. W ten sposób dostały się do zakładów dla internowanych tysiące starców i niedorosłych chłopaków, kobiet i drobnych dzieci. Wreszcie znajdowały się w tych zakładach osoby, które zostały internowane ze względu na bezpieczeństwo i spokój publiczny albo też politycznie podejrzane. Liczba tych, na których ciężyły poważniejsze poszlaki była nieznaczna. Po największej części były to ofiary nieporozumień, pomyłek lub kłamliwych denuncjacji.

Liczba internowanych Polaków — do wykazów wciągnięto ich jako Rosjan — nie była władzom kompetentnym znana, podobnie, jak nie znały one w wielu wypadkach powodu, dla którego osoby te internowano. Przeważną część ich internowano wyłącznie z powodu rosyjskiej przynależności. Ważne względy polityczne nakazywały jednak, by Polaków z Królestwa Polskiego, skoro chciano zjednać sobie ich sympatję, nie traktowano jako Rosjan i nieprzyjacielskich obcokrajowców. Umieszczenie, wyżywienie i trzymanie pod strażą wielkiej liczby internowanych, połączone było dla państwa ze znacznymi kosztami, dla samych zaś internowanych internacja była szkodliwą zarówno pod względem zdrowotnym, materjalnym jak moralnym. Pod względem politycznym wywołało pozbawianie wolności wielu tysięcy niewinnych ludzi i śmierć wielu na wygnaniu wielkie rozgoryczenie, nietylko u krewnych internowanych, lecz także w szerokich kołach ludności.

Przedstawiciele Polaków z Galicji zwracali kilkakrotnie uwagę czynników kompetentnych na szkodliwe skutki internacji. W ciągu

długiego czasu udało się im zaledwie uzyskać uwolnienie poszczególnych osób. Komitet ratunkowy, utworzony jesienią roku 1915 w Wiedniu z inicjatywy i pod przewodnictwem prezesa Koła polskiego Dra Bilińskiego, wskazywał w szeregu podań i z okazji wielu interwencji osobistych u wszystkich w tej mierze w rachubę wchodzących władz i osobistości, na konieczność odesłania do domu internowanych niepodejrzanych. Wskutek około 1000 podań, wniesionych przez Komitet co do poszczególnych osób lub rodzin, uwolniono wprawdzie dość znaczną liczbę osób, przeważnie po długich dochodzeniach, ogólne jednak zarządzenie co do wszystkich osób niepodejrzanych zostało wprawdzie kilkakrotnie przyrzeczone m. in. pismami Urzędu nadzoru wojennego z 12 kwietnia 1916 L. 65771, dalej z 18 lipca 1916 L. 75686, itd., lecz go niestety nie wykonano. Nawet po uznaniu niepodległości Polski w manifestach obu sprzymierzonych cesarzy z 5 listopada 1916 roku, musiały jeszcze tysiące Polaków z powodu swej rzekomej rosyjskiej przynależności państwowej pozostać w internacji lub konfinacji.

Wreszcie kroki, podjęte z końcem roku 1916 i z początkiem roku bieżącego u wszystkich władz miarodajnych przez Koło polskie, Wydział krajowy, Episkopat, Komitet ratunkowy i kierujące polskie osobistości, niemniej petycja, skierowana przez kobiety polskie do cesarzowej Zyty, odniosły ten skutek, że wskutek zarządzenia cesarza c. i k. Urząd nadzoru wojennego, za zgodą c. i k. naczelnej Komendy armji z 31 stycznia b. r., wydał w ciągu lutego i marca zarządzenie co do uwolnienia Polaków w monarchji internowanych i konfinowanych, a pochodzących z wojskowej gubernji lubelskiej (z wyjątkiem politycznie podejrzanych). I to jednak zarządzenie przeprowadzono w powolnem tempie i tylko częściowo. Z końcem lipca b. r. znajdowały się jeszcze setki politycznie niepodejrzanych Polaków, przeciwko którym nic niekorzystnego nie przemawia, w zakładach internacyjnych w Austrji (m. in. w Drosendorf, Illmau, Markl) i na Węgrzech (Maros—Vásárhely, Vác itd.), wielu jest jeszcze konfinowanych albo też przymusowo odkomenderowanych na roboty. Pomiędzy nimi znajduje się stosunkowo wielu obywateli Królestwa Polskiego, których — gdy nie mogli wykazać przy przeglądach swego obcopoddaństwa — wcielono do c. i k. armji, później ich jednak z powodu reklamacji swych rodzin wprawdzie ze związku armji zwolniono, ale za to internowano. Podania o uwolnienie tych osób pozostały dotychczas bez skutku. Rodziny ich miały przecież prawo ich reklamować. Internowanie zwolnionych z wojska za to, że ich krewni uczynili użytek z przysługującego im prawa, jest niczem nieuzasadnione. Obywateli polskich nie można żadną miarą traktować jako nieprzyjacielskich obcokrajowców. Internowanie ich jest zatem nieuzasadnione i niezrozumiałe.

Ze względu na przedstawione wyżej stosunki zapytują podpisani J. E. p. prezydenta ministrów i J. E. p. ministra spraw wewnętrznych, czy skłonni są spowodować, by niepodejrzani obywatele Królestwa Polskiego i wogóle obywatele rosyjscy narodowości polskiej, przeciw którym nic niekorzystnego nie przemawia, zostali bez wyjątku i jak najszybciej uwolnieni z internowania, konfinowania itp.

i odesłani do swojej Ojczyzny, względnie do swoich siedzib w Galicji? [1]).

Załącznik 158.

JWPan Poseł hr. Lasocki raczy łaskawie zająć się następującemi sprawami:

Władysław Antoni Łukomski, urodzony w Londynie 18 czerwca 1896, poddany rosyjski, został 23 października 1916 asenterowany i wysłany do Ołomuńca. Matka jego z żalu zmarła po sześciu tygodniach. Ojciec, staruszek 74-letni, dawny uczestnik powstania. Oboje rodzice utrzymywani byli przez tegoż syna Władysława, który pracował w krakowskim magistracie. Na interwencję ambasady hiszpańskiej został uwolniony z wojska, ale nie odesłany do domu, tylko do Internierungslager, Drosendorf a. d. Taya, Nieder Oesterreich. Ma tam numer 11.998. Ojciec umiera z głodu.

Antoni Józef Biliński, urodzony w Londynie 1897, poddany rosyjski, przebywał w Krakowie razem z matką, którą utrzymywał z pracy rąk, był bowiem zajęty w ślusarni. 23 października został asenterowany i wysłany na plac boju. Uwolniony z wojska dzięki staraniom ambasady hiszpańskiej, został internowany również w Drosendorf, gdzie ma numer 12.212. Matka chora i kaleka, mrze z głodu. Chodzi o wydobycie go z obozu internowanych.

(Informacja udzielona redakcji „Piasta").

(powrócili do domu w listopadzie).

Załącznik 159.

List do posła Lasockiego.

Breindel Lea Dreher
ul. 5 Listopada 37.

Kraków 9 lipca 1917.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Z inicjatywy Wielm. Pana Posła I. Daszyńskiego, którego wizytówkę tu załączam, pozwalam sobie niniejszem zwrócić się do JWPana Hrabiego z następującą uniżoną prośbą:

Jestem wdową i mam dwóch synów internowanych jako rosyjskich poddanych w Marklu w Dolnej Austrji.

Jak z załączonych odpisów podań o uwolnienie ich do Ministerstwa wojny (Kriegsüberwachungsamt) wynika, synowie moi służyli: starszy Zygmunt od września 1914, młodszy Leopold od kwietnia 1915 w armji austrjackiej, w dobrej wierze, że są poddanymi austrjackimi. Dopiero w czerwcu 1916 po śmierci bł. pamięci męża mego wyjaśniło się, że są oni poddanymi rosyjskimi.

Wobec tego, że zostałam wdową i nie mogąc się bez synów obejść, wniosłam podanie do Ministerstwa obrony krajowej, przedłożywszy wszystkie potrzebne dokumenty, na której to podstawie

---

[1]) Interpelacja nr. 907. Umieszczona w tłumaczeniu na język polski w „Czasie" i „Nowej Reformie" z 24 października 1917 i „Kurjerze Lwowskim" z 23 października 1917.

z armji austrjackiej wypuszczeni zostali, lecz niestety nie do domu, tylko internowani najpierw do Drossendorfu, następnie do Marklu, gdzie od maja br. przebywają. Chcąc JWPanu Hrabiemu opisać pobyt internowanych w barakach, musiałabym się zanadto o tem rozpisywać, powiem więc tylko krótko, że ja sama będąc bez majątku musiałam się zadłużyć, ażeby moich synów zasilać to pieniędzmi, na zakupno prowiantów, lub paczki od czasu do czasu posyłać, inaczej musieliby ginąć z głodu. Natomiast jak już w podaniu wykazałam, to synowie moi w razie gdyby pozwolenie na przyjazd do Krakowa otrzymali, mogliby nietylko na samych siebie zarabiać, ale i mnie spierać.

Prośbę niniejszą pozwalam sobie tembardziej przedłożyć, że słyszałam wiele o szlachetności i usłużności JWPana Hrabiego w podobnych wypadkach, wobec czego spodziewam się, że i tu JWPan nie odmówi mej prośbie lecz raczy interweniować, aby sprawa jeszcze przed zamknięciem parlamentu korzystnie została załatwioną.

W tem oczekiwaniu pozostaję, dziękując z góry za wszelkie poczynione starania w tym kierunku z najwyższem poważaniem

Breindel Lea Dreher.

(powrócili do domu w listopadzie).

Załącznik 160.

O ZNIESIENIE URZĘDU NADZORU WOJENNEGO.

110.000 zarządzeń.

(Telefonem od naszego korespondenta).

Wiedeń, 19 lipca.

(Wir) W komisji konstytucyjnej Izby posłów toczyła się dzisiaj dyskusja nad wnioskiem w sprawie zniesienia Urzędu nadzoru wojennego (Kriegsüberwachungsamt).

Poseł P i t t o n i wystąpił bardzo silnie przeciw dalszemu istnieniu tego urzędu, który jest w samem pojęciu swojem sprzeczny z zasadami konstytucji i obejmuje prócz spraw cenzury także władzę konfinowania i internowania. Ostatnio czynnny był ten urząd także w parlamencie, do którego delegował 2 urzędników jako nadzorców. Urząd nadzoru wojennego wydał w ciągu wojny sto dziesięć tysięcy zarządzeń.

Poseł D i a m a n d przedstawił zgubne skutki i straszny wpływ tego urzędu na ludzi w państwie i żądał natychmiastowego zastanowienia tej instytucji, która niema żadnej podstawy prawnej, a której skład przeciwny jest postanowieniom konstytucji.

Poseł T e r t i l przedstawił wymieniony urząd jako „mixtum compositum" uprawnień i podał drastyczne przykłady sposobu jego urzędowania. Między innymi podniósł dr. T e r t i l, że urząd nadzoru wojennego skonfiskował telegram śp. cesarza Franciszka Józefa do Koła Polskiego. Mówca wyjaśnił również stosunek urzędu nadzoru do polskich Legjonów.

Na wniosek dra D i a m a n d a uchwaliła komisja konstytucyjna polecić prezydjum komisji wypracowanie stosownych wniosków i przedłożenie ich pełnej komisji do końca sierpnia b. r.

* * *

(Telegram c. k. Biura korespondencyjnego).

Min. Toggenburg o celach urzędu nadzoru.

Wiedeń. (B. K.) W komisji konstytucyjnej minister Toggenburg dał wyjaśnienie o działalności Urzędu nadzoru wojennego. Urząd ten istnieje od początku wojny przy ministerstwie wojny jako komitet międzyministerjalny wszystkich urzędów centralnych. Załatwia on sprawy, które wskutek stosunków wojennych wymagają szybkiego załatwienia, głównie w związku z rozporządzeniami wyjątkowemi, a zwłaszcza te, w których idzie o zapobieganie szpiegostwu, rozszerzaniu wiadomości, któreby mogły zaszkodzić interesom wojny, dalej różne agendy policyjne, a zwłaszcza te, które odnoszą się do traktowania nieprzyjacielskich obywateli zagranicznych, jakoteż do internowań i konfinowań. Odpowiedzialność za wydawane przez urząd rozporządzenia jest więc podzielona: spada na te ministerstwa, które są w urzędzie reprezentowane, jak: min. spraw zagr. i wojny, wspólne min. skarbu w sprawach, dotyczących Bośni i Hercegowiny, nadto austr. minist. spraw wewn., sprawiedliwości, skarbu, handlu, kolei i obrony kraj. Na czele tego zjednoczenia stoi generał, podpisujący pisemne akty. Mylnem jest zapatrywanie, że jest to wspólny urząd centralny z odrębnym zakresem działania. Głównym celem urzędu jest pośrednictwo między ministerstwami i kontakt między administracją cywilną a wojskową podczas wojny. Komendy armji w obszarach wojennych nie podlegają temu urzędowi. Mylnem też jest pojęcie, jakoby urząd ten był pewnego rodzaju tajnym gabinetem.

(„Ilustr. Kurjer Codzienny" z 21 lipca 1917).

Załącznik 161.

List do posła Lasockiego.

Euer Hochgeboren!

Unter Bezugnahme auf das geschätzte Schreiben vom 21. Oktober d. J. betreffend die Entlassung mehrerer in Drosendorf oder Markl internierten Personen, beehre ich mich Euer Hochgeboren mitzuteilen, dass die in dem mir übermittelten Verzeichnisse Genannten nach Durchführung der Erhebungen nunmehr durchwegs entlassen worden sind. Sieben von ihnen waren bereits vor Einlangen des geschätzten Schreibens, einzelne sogar vor mehreren Monaten auf freien Fuss gestellt. Auch die Freilassung der von Euer Hochgeboren an erster Stelle genannten Ladislaus Łukomski und Anton Biliński wurde bereits unterm 6. August 1917, Zl. 114562 angeordnet, anscheinend aber noch nicht durchgeführt, weshalb neuerlich diesfalls die Verfügung getroffen wurde.

Auch die Freilassung des bisher konfiniert gewesenen Simon Szust aus Łańcut wurde bereits im September angeordnet.

Mit dem Ausdrucke vorzüglicher Hochachtung

Euer Hochgeboren ergebener
Swoboda.

Wien, am 24. November 1917.

Auch dem Dr. Wołosiewicz wird die gewünschte Uebersiedlung von Semering nach Zakopane bewilligt.

Załącznik 162.

Główny Komitet Ratunkowy w Lublinie
Krakowskie Przedmieście 47.
Nr. 2535.

Jaśnie Wielmożny Hrabia Zygmunt Lasocki
Poseł do Parlamentu
w **Wiedniu**
Wien, Abgeordnetenhaus.

W Auspitz na południowych Morawach, na robotach w miejscowych fabrykach znajduje się około **130 osób, Polaków-katolików,** ewakuowanych na początku 1916 r. z Wołynia początkowo do Królestwa, później zaś do obozów w Grödig, wreszcie w lutym br. skierowanych z tych baraków na wspomniane roboty. Obecnie ludzie ci skarżą się, że po dwuletniej nędzy i tułaczce, znowu na zimę mają być przeniesieni do baraków w Grödig pod Salzburgiem.

Jeśli w czerwcu br. zdołaliśmy wyciągnąć z baraków w Grödig wszystkich Polaków i uratować ich od niechybnej śmierci głodowej, to zawdzięczamy to tylko łaskawej pomocy i interwencji W. Panów Posłów, a w szczególności Komitetowi Opieki nad internowanymi, który wówczas przy Kole Polskim istniał.

Zwracamy się obecnie z gorącą prośbą do J. W. Hrabiego, znanego ze swej dobroczynnej opieki nad polskimi tułaczami, przebywającymi w austrjackich barakach, o łaskawe poczynienie kroków w celu uwolnienia tych ludzi i umożliwienia im powrotu nie do baraków w Grödig, lecz do Królestwa.

Komitet Ratunkowy w Miechowie zaopiekuje się nimi.

Z wysokiem poważaniem
Prezydjum Głównego Komitetu Ratunkowego.
Jan Stecki.

Załącznik 163.

List do posła Lasockiego.

Minister dla Galicji.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Wiedząc jak się Jaśnie Wielmożny Pan interesuje sprawą internowanych obywateli Królestwa Polskiego, podaję niniejszem rezultat całego szeregu podjętych przezemnie w ostatnich czasach w tej sprawie interwencji w Komisji ministerjalnej przy Ministerstwie wojny, względnie w Oddziele 10 tegoż Ministerstwa.

Licznymi reskryptami zarządziła wspomniana Komisja, że obywatele Królestwa Polskiego nie mogą być internowani wyłącznie z powodu ich poprzedniej przynależności do Państwa rosyjskiego. Faktycznie też już przed rokiem została wdrożona akcja celem umożliwienia powrotu odnośnym osobom do Królestwa Polskiego względnie do ich pierwotnych miejsc zamieszkania w obrębie Monarchji austrjackiej.

W najnowszym czasie zarządzono ponowną akcję, na podstawie której wszyscy internowani jeszcze dotąd obywatele Królestwa Polskiego mają być bez względu na istniejące przedtem wątpliwości, uwolnieni względnie traktowani jak uchodźcy, z wyjątkiem 17, któ-

rzy z okupowanych prowincji pod szczególnie ciężkimi zarzutami (zbrodniarze, zasądzeni szpiegowie itd.) odstawieni zostali.

To zarządzenie zostało rzeczywiście przeprowadzone, tak, że w obozach jeńców w Austrji podlegających Komisji ministerjalnej w Ministerstwie wojny, obecnie znajduje się tylko wspomnianych 17 obywateli Królestwa Polskiego. Jednak także co do tych osób zwróciła się Komisja ministerjalna w Ministerstwie wojny do Naczelnej Komendy Armji z wnioskiem, ażeby ich nie zatrzymywano w tutejszych obozach, lecz oddano do dyspozycji władzom w Królestwie Polskiem.

Jeżeli jeszcze obecnie słyszeć się dają skargi z powodu rzekomego zatrzymywania Polaków w obozach dla internowanych, to może się to odnosić do osób, które w czasie wspomnianych akcji nie znajdowały się w obozach, lecz jako internowane, przydzielone zostały rozmaitym przedsiębiorstwom do robót i z powodu przeoczenia nie zostały wyraźnie zawiadomione o zasadniczo zarządzonem uwolnieniu z pod internowania. Obecnie i w tym kierunku zarządzono rewizję i wydano polecenie, ażeby odnośnych osób nie traktowano jako internowanych i ewentualnie uwolniono je celem powrotu do kraju.

Dla stwierdzenia, czy i o ile obywatele Królestwa Polskiego internowani są w obozach dla jeńców wojennych, zwróciła się Komisja ministerjalna do kompetentnego Departamentu Ministerstwa wojny. Oprócz tego wystosowała Komisja ministerjalna do królewskiego węgierskiego Ministerstwa spraw wewnętrznych prośbę, ażeby — o ile to dotychczas jeszcze nie nastąpiło — według tych samych zasad traktowało sprawy internowanych Polaków i podało liczbę zatrzymanych jeszcze dotychczas internowanych z Królestwa Polskiego.

W odpowiedzi na zapytanie Komisji ministerjalnej doniosło Ministerstwo wojny, że już w lutym 1917 r. zarządziło reskryptem L. 6000/17 Abt. 10/Kgf ogólne uwolnienie z pod internowania cywilnych osób przynależnych obecnie do Królestwa Polskiego. Odesłanie tych osób do stałego miejsca ich zamieszkania zostało już w większej części przeprowadzone.

Ze 130 obywateli Królestwa Polskiego, którzy internowani byli w obozie dla jeńców wojennych w Marchtrenk, znajduje się tam obecnie tylko 9. Inni zostali uwolnieni lub też znaleźli zajęcie w rozmaitych przedsiębiorstwach. Także z tymi pozostałymi 9 Polakami postąpi Ministerstwo wojny w podobny sposób.

Co do internowanych Polaków, którzy nie pochodzą z Królestwa lecz z Rosji, zarządziła Komisja ministerjalna ażeby ci, którzy przed wybuchem wojny przez dłuższy czas w Monarchji mieszkali, o ile przeciwko nim nie podniesiono żadnych zarzutów, wypuszczeni zostali z pod internowania celem powrotu do poprzednich miejsc zamieszkania, co też już przed dłuższym czasem nastąpiło. Generalne zarządzenie co do innych z Rosji pochodzących Polaków nie jest łatwe do przeprowadzenia, ponieważ, jak to z niektórych poszczególnych wypadków na jaw wyszło, niektórzy rosyjscy poddani podają tylko dlatego swą narodowość jako polską, ażeby uzyskać uwolnie-

nie. W takich wypadkach postępuje jednak Komisja, o ile to możliwe, w sposób najbardziej liberalny.

Swego czasu została większa liczba rosyjskich poddanych z Wołynia odstawiona do Austrji a między nimi znajdowali się także Polacy. Tych osób nie traktowano jako internowanych, lecz umieszczono je, ponieważ chodziło właściwie o ewakuowanych, jako uchodźców w obozach dla uchodźców. Te osoby bardzo często wymieniane są mylnie w zażaleniach jako jeńcy wojenni lub internowani, ponieważ zostali pomieszczeni w odstąpionym częściowo przez zarząd wojskowy Ministerstwu spraw wewnętrznych obozie dla jeńców wojennych w Grödig — Niederalm. Co do tych Wołyniaków jest w toku akcja celem odstawienia ich do kraju. Niektórzy z nich znajdowali się dotychczas w obozie dla internowanych, obecnie jednak odstawieni zostaną do wymienionego obozu dla uchodźców i w ten sposób wciągnięci w akcję powrotną.

W swoim czasie wydała Komisja ministerjalna zarządzenie, ażeby te osoby, które podawały się bądź jako obywatele tutejsi, bądź jako zagraniczni, stosownie do tego, co dla nich wydawało się korzystniejszem, po ewentualnem uwolnieniu od służby wojskowej, wskutek braku austrjackiej przynależności, internować w Drosendorfie względnie w Markl. Wskutek tego zarządzenia byli też mylnie internowani Polacy, wszyscy jednak zostali z wymienionych powyżej obozów uwolnieni.

Obecnie otrzymały zarządy obozów polecenie, ażeby na wypadek, gdyby w przyszłości uwolnieni od służby wojskowej Polacy mieli być tam odstawieni, natychmiast bez żadnych dalszych dochodzeń zostali uwalniani.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Twardowski.

Wiedeń, dnia 19 marca 1918.

Załącznik 164.

Z DOLI INTERNOWANYCH POLAKÓW.

(Do wiadomości J. E. ministra spraw wewn.).

Lwów, 26 maja.

W odpowiedzi na zapytanie posła hr. Lasockiego zaznaczył minister spraw wewnętrznych, że w austrjackich obozach internowanych dla cywilnych przebywa jeszcze tylko siedm osób, przynależnych do Królestwa Polskiego, a pochodzących z niemieckiego obszaru okupacyjnego. Ponadto oświadczył p. minister spraw wewnętrznych, że w sprawie uwolnienia osób, pochodzących z Królestwa Polskiego, internowanych na Węgrzech odniósł się do rządu węgierskiego z zapytaniem, czy znajdują się tam tacy internowani z Królestwa Polskiego, których uwolnić należy.

Podana w oświetleniu ministerjalnem cyfra siedmiu Królewiaków, internowanych jeszcze w austrjackich obozach — to zapewne cyfra z ostatnich dni. Szybko zatem zmalały do tej nieznacznej garstki te tysiączne masy, które jeszcze przed bardzo niewielu dniami zalegały obozy internowanych. Nie wiemy, czy w owych zestawieniach statystycznych uwzględnione zostały znane dobrze baraki „janow-

skie" we Lwowie, gdzie jeszcze niedawno internowani chodzili na 12-godzinne roboty za wikt i... 14, wyraźnie: czternaście halerzy dziennego względnie nocnego wynagrodzenia.

Radzibyśmy wiedzieć także, czy w tem zestawieniu owych „siedmiu" internowanych znajduje się Bolesław Zaczkowski ze Słobódki, w powiecie ostrołęckim, w gubernji łomżyńskiej — przebywający obecnie w Janowie. Nie wiemy, czy dotarły do Wiednia echa owego epizodu, który rozegrał się w tem miasteczku w dniu 7 maja. Zaczkowski, pędzony na robotę do pewnego „obywatela" janowskiego, który głodził przygodnych robotników — odmówił i za to w okuciu prowadzony był po rynku janowskim a następnie na przeciąg jednej godziny wiązany przy słupie, chociaż już podczas wojny rozporządzeniem cesarskiem z r. 1915 t. zw. „anbinden" — powinno było zniknąć ze słownika kar koszarowych.

A na Węgrzech tych obozów internowanych cywilnych jest jeszcze wiele. Właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności z wyjaśnieniem ministerjalnem interpelacji posła hr. Lasockiego zeszedł się w naszej redakcji list, jaki otrzymaliśmy od jednego z internowanych cywilnych Królewiaków w Szatmar Nemeti.

Znów pobłądźmy myślą po dalekiej ziemi węgierskiej, znów wzrok nasz przenieśmy poprzez przełęcze karpackie — tym razem w obóz internowanych cywilnych Polaków w Szatmar-Nemeti. Znane już są nadto dobrze owe obozy na węgierskiej ziemi, poznane i opisane dokładnie przez tych, którzy ocierali swe stopy o druty kolczaste pogórskich obozów.

Szatmar-Nemeti — to innego typu obóz. Nie kryje szarych legjonowych mundurów — ale wśród barakowych zabudowań mieści niemniej gorące serca polskie, trawione tęsknotą za rodzinną ziemią, ku której wstęp został im nagle zaparty. W Szatmar-Nemeti internowano tych żołnierzy-Polaków, służących dawniej w wojsku rosyjskiem, którzy w chwili wkroczenia armji niemieckiej i austrjackiej na ziemie sztucznego brzeskiego tworu — dobrowolnie zgłosili się w ich komendach w tej nadziei, że stanie im wolna droga do ojczystych sadyb w Królestwie, gdy tymczasem po chwilowych złudach rozwiane zostały iluzje i biedacy po długich, błędnych drogach, od baraku do baraku, od stacji etapowej do stacji ostali się wreszcie w barakach w Szatmar-Nemeti.

I z węgierskiej tej miejscowości dochodzi nas głos jednego z internowanych rodaków, tęskny, świadczący o udrękach barakowego życia. Wyjątków z tego listu posłuchajmy:

(Skonfiskowano).

„Mają nas w najbliższym czasie wywieźć na roboty — dokąd, nie wiemy. I znowu dziesiątki tysięcy Polaków, którzy tęsknili za ziemią ojczystą i rodzinami, będzie pozbawionych tego, co człowiek uważał za swój cel życia, tj. powrotu do kraju. Nie powrócą jednakowoż kiedyś wszyscy, niejeden zostanie tu na obcej ziemi, były bowiem wypadki, iż niektórzy próbowali ucieczki, więc jednego posterunek zastrzelił, jednego znowu zakłuto bagnetami, kilku schwytanych pobito kolbami. Ale to nie budzi przestrogi dla tych, którzy z poza drutów kolczastych na to patrzą. Ludzie nie uważają tedy na

groźbę śmierci, gdy głód jest strasznym doradcą i z narażeniem swego życia przez płoty dążą na wieś, by szukać chleba. W tak strasznych chwilach, które przeżywamy, daremny trud spodziewać się pomocy, wybawienia z ciężkiej udręki barakowego życia, dokąd właściwie wpadliśmy za to, żeśmy chcieli wracać w rodzinne progi. Pozbawieni książek i gazet przez cały dzień nękamy się czarnemi myślami..."

Aż nadpłynął w dniu wczorajszym i list drugi, jaki otrzymujemy od internowanego cywilnego, Leona S., pozostającego w Rykowie koło Turki. Przytaczamy fragment owego listu, pełnego narzekań na twardą dolę, w jakiej żyje obecnie. „Prosimy na miłość Boską — pisze — raczcie dopomódz nam, byśmy prędzej wydostać się mogli z tej otchłani, w której wleczemy się jak mary... chodzimy w lasy na roboty, zdarliśmy odzież i obuwie, wydaliśmy grosz ostatni, głód nam dokucza, błąkamy się z miejsca na miejsce bez jakiejkolwiek nadziei zmiany tych stosunków".

A możeby przecież nieszczęśliwym internowanym rodakom podać pomocną dłoń?

(„Kurjer Lwowski" z dnia 27 maja 1918).

Załącznik 165.

Za rozszerzanie fałszywych pogłosek c. k. komendant obwodu w Lublinie przestrzega na łamach pism w okupacji austr. Królestwa Polskiego, iż sołtysi winni ogłosić ludności, pod osobistą ich odpowiedzialnością, że przeciw tym, którzyby z tytułu zestawienia oddziałów robotniczych, tendencyjnie rozsiewali między ludem fałszywe pogłoski o powoływaniu robotników do innych celów, aniżeli do roboty, postąpi c. i k. Komenda obwodowa ze srogą bezwzględnością; za tego rodzaju bowiem zbrodnię skazany został Wincenty Dąbrowski w Lublinie na karę śmierci przez rozstrzelanie. (Dz. urz. c. i k. Komendy obwodowej w Lublinie nr. 1 z dnia 30 stycznia 1916 r.).

Uwolnieni od wcielenia w oddziały robotnicze są ci ludzie, przy których w listach w uwadze wydrukowano: „Frei".

Reszta wpisanych podlega wcieleniu.

(„Ilustrowany Kurjer Codzienny" z 3 maja 1916).

Załącznik 166.

K. u. K. K. A. V. in Końsk
ad Exh. Nr. 19/16. K. A. V. A.

Do Władysława Słomki
w Czarnej — Duraczów.
Końskie, dnia 9 sierpnia 1916.

Na podstawie rozporządzenia c. i k. Generalnej Gubernji wojskowej w Lublinie z dnia 3 maja 1916 Nr. 29956/q podaje się Wam do wiadomości co następuje:

Transport robotników fachowych (profesjonistów, jakoto giserów, krawców, szewców, piekarzy, kamieniarzy, murarzy itd.) odejdzie z Końskich do Wiednia 17 sierpnia 1916.

Warunki pracy dla tego transportu są następujące:

1. Podróż odbywa się na koszt rządu, podczas transportu otrzymacie takie same wyżywienie, jakie otrzymują transporta wojskowe.

2. C. i k. Ministerjum wojny wydało odpowiednie zarządzenia, ażeby kwalifikowani robotnicy z Królestwa Polskiego znaleźli we wielkich fabrykach Monarchji odpowiadającą ich uzdolnieniu pracę.

3. Płaca odpowiada wynagrodzeniu, które obecnie otrzymują w Monarchji robotnicy tej samej kwalifikacji.

4. Aż do chwili przydzielenia (oddania) do odnośnej fabryki otrzymuje każdy robotnik pomieszczenie i utrzymanie na koszt rządu.

5. Za czas od chwili przybycia transportu do Wiednia aż do chwili przydzielenia do fabryki zapłaci odnośny fabrykant każdemu robotnikowi odpowiednie odszkodowanie pieniężne.

Jeżeli pod warunkami temi chcecie pracę przyjąć, należy to najdalej do dnia 15 sierpnia 1916 w c. i k. obwodowym urzędzie pośrednictwa pracy w Końskiem ustnie oświadczyć, poczem czas odjazdu transportu zostanie Wam dokładnie do wiadomości podany.

Ze względu, że cała akcja pośrednictwa pracy ma głównie na celu umożliwienie robotnikom znalezienia pracy i zarobku, tudzież, że akcją tą zajmuje się c. i k. Ministerjum wojny, powinniście się do naszego działania odnosić z zaufaniem i przekonaniem, że ma ona jedynie Wasze dobro na oku.

K. u. k. Kreiskommando in Końsk, Kreisarbeitsvermittlungsamt.

Franz Korecek, Oblt.

Załącznik 167.

Pismo do Ministra dla Galicji.

Ekscelencjo!

Komitet nasz otrzymał w dniu 2 września br. od sekcji pomocy dla internowanych Królewiaków przy Lidze kobiet N. K. N. zażalenie na obchodzenie się z robotnikami z Królestwa. Członek komitetu hr. Lasocki miał sposobność porozumienia się jeszcze tego samego dnia z kilku robotnikami sprowadzonymi z Królestwa, którzy na ogół fakta przytoczone we wspomnianem zażaleniu potwierdzili. M. in. dwóch superarbitrowanych legjonistów żaliło się, że zgodzili się wyjechać na roboty, gdy ich zapewniono w urzędzie pośrednictwa pracy w Kielcach, że będą zarabiać po 10 K dziennie. Wyjechali przed dwoma tygodniami, trzymano ich przez 8 dni w Wieselburgu a/d E., następnie przywieziono do Wiednia. Pracy żadnej dotychczas nie otrzymali, są trzymani pod ścisłym nadzorem, cierpią głód, obchodzenie się z nimi, również jak i z innymi robotnikami jest bardzo ostre. Zdarzają się wypadki pobicia. Robotę mało kto dostał, nadto niewiadomo pod jakiemi warunkami się ją uzyskuje. Jakiś tokarz, którego wyznaczono do roboty i któremu kazano podpisać jakiś papier — zdaje się umowę — domagał się, by mu dano przeczytać co ma podpisać, na to został pobity i zmuszony do podpisania. Wobec tych stosunków prosili, by im wyjednano powrót do domu. Znaczniejsza liczba fachowych robotników ma się znajdować w podobnem położeniu w barakach w Morawskiej Ostrawie i Wieselburgu. Parę tysięcy ma być w drodze.

Niżej podpisany komitet uprasza Waszą Ekscelencję o łaskawe spowodowanie, by zaniechano dalszych transportów fachowych robotników z Królestwa, kiedy widocznie niema dla nich zajęcia, sprowadzonych zaś traktowano odpowiednio i albo dano im możność zarobkowania albo też odesłano do domu. Przetrzymywanie ludzi w barakach wśród opisanych stosunków krzywdzi robotników, którzy się dobrowolnie zgłosili do pracy, podkopuje zaufanie do obietnic udzielonych przez odnośne władze okupacyjne i z pewnością nie wywiera dodatniego wpływu pod względem politycznym wśród tych obywateli Królestwa Polskiego.

Prosimy Waszą Ekscelencję przyjąć wyrazy wysokiego poważania

Komitet ratunkowy dla internowanych Polaków z Królestwa Pol.

Prezes: Biliński.

Wiedeń, dnia 3 września 1916.

Załącznik 168.

Liga kobiet N. K. N.
Sekcja pomocy dla internowanych Królewiaków.
IV. Weyringergasse 14. II.

W myśl ogłoszeń, które się pojawiły w większych miastach Królestwa Polskiego w miesiącu sierpniu i września, zawiadamiając ludność, że są potrzebne robotnice i inteligentne pracowniczki do zajęć w fabrykach amunicji za dobrem wynagrodzeniem, zgłosiło się bardzo wiele naszych rodaczek, między innemi 400 robotnic, w liczbie których 100 inteligentnych do fabryki amunicji w Wöllersdorfie.

Po przyjeździe transportu do Wöllersdorfu rozmieszczono je w barakach od 150—200 w każdym.

Śpią na narach, na których położone są brudne sienniki, w których słomy nie zmieniano nigdy. Na każdym sienniku przeważnie wyznaczano miejsce na dwie osoby. Ponieważ po przyjeździe znajdowały się 5 dni w celu dezynfekcji w barakach osobnych, współtowarzyszki Niemki i Czeszki zaczęły je od pierwszego dnia prześladować i odsuwały się od nich mówiąc, że to jest polska banda, która przywiozła wszystkie zarazki z Królestwa oraz szykanując je na każdym kroku.

Co pewien czas odbywa się t. zw. dezynfekcja, polegająca na tem, że o 3-ciej w nocy przychodzą żołnierze, budzą robotnice, zrywając po kolei z każdej kołdry, z rozkazem wynoszenia wszystkich rzeczy przed barak.

Później odbywa się dezynfekcja polegająca na zlewaniu sienników zimną wodą a kołdry się parują. Po skończeniu tej czynności rzeczy i sienniki leżą cały dzień bez względu na pogodę, a dopiero po pracy zabierają je z powrotem do baraków, przyczem zachodzą wspólne nieporozumienia co do zamiany sienników. Na tych to mokrych i tem samem brudniejszych siennikach po całodziennej pracy układają się wszystkie do snu.

Podczas zbierania sienników miał miejsce następujący fakt: Zamieniono jednej żydówce siennik na gorszy, na co poszkodowana zaczęła szukać swego siennika i pretensje wnosić do swojej sąsiadki

Polki, że ta jakoby miała wziąść jej siennik, co okazało się nieprawdą, gdyż ta miała siennik swój naznaczony. Żydówka niezadowolona takim wynikiem poszła na skargę do żandarma, który przyszedł i zabrał obydwie do spisania protokołu. Po powrocie kazał Polce oddać swój siennik a brudny wziąść sobie, gdy ta spełniając rozkaz mówiła, że ona zupełnie jest bez winy, żandarm ów podszedł do niej, zaczął ją policzkować tak silnie, że kobieta owa upadła i powtarzał te ekscesy kilkakrotnie na innych.

Powstał ogólny płacz i zamieszanie a po pewnym czasie wszystkie polskie kobiety chciały pójść zaprotestować do majora. Wtedy dozorca baraków zebrał żołnierzy z kantyny podchmielonych, którzy przybiegli z bagnetami w celu rozgonienia ich. Nadmienić należy, że Polka owa nie umiała mówić po niemiecku, wobec czego żydówce przyznano słuszność. Gdy żołnierze zmuszali kobiety do spania uderzeniami po twarzach i biciem kolbami, wtedy jedna z nich przybiegła a władając niemieckim językiem chciała wytłumaczyć powody, na to jeden z żołnierzy kazał jej zamilczeć, używając najgorszych wyrazów i rozkaz swój poparł uderzeniem kolbą w piersi tak silnie, że wyżej wymieniona potoczyła się i zemdlała. Zemdloną zaniesiono do szpitala, gdzie zaczęto ją przywoływać do życia uderzeniami kilkakrotnemi po twarzy i zlewaniem wodą i taką pozostawiono aż do przyjścia lekarza.

Kąpiel transportu kobiet odbywa się w obecności żołnierzy. Dola Polek w takich warunkach jest wprost straszna, biorąc jeszcze pod uwagę nieznajomość języka, co jest powodem ciągłych utarczek między zwierzchnością a robotnicami.

Oprócz tego Polki są używane do najgorszych i najniebezpieczniejszych prac, a w wielu wypadkach ma miejsce nieprzestrzeganie umów, na czem cierpią robotnice materjalnie.

(Informacja dla Komitetu ratunkowego dla intern. Polaków z Król. Pol.).

Załącznik 169.

Wien, am 27. Oktober 1916.

Die nachstehend angeführten Arbeiter wurden wegen Arbeitsverweigerung mit 3 bis 7 Tagen Arrest bestraft. Alle Strafen verschärft durch täglich 6 Stunden Spangen und durch Fasttage.

Stanislaus Dobroczek,
Thomas Bardziński,
Kasimir Bardziński,
Karl Garuda,
Stanislaus Jeziorowski,
Stanislaus Moskwa.

Teudloff & Dittrich
Armaturen u. Maschinenfabrik Gesellschaft m. b. H.

Der Direktor:
podpis nieczytelny.

Załącznik 170.

INTERWENCJA KOŁA POLSKIEGO.

Wiedeń. (Tel. wł.). Urzędujący wiceprezes Koła hr. Baworowski wraz z hr. Lasockim interwenjowali dziś u ministra obrony kraj. w sprawie znanego wniosku o powrót Królewiaków, więc także Legjonistów, internowanych w Żórawicy i Taraczkös, do Królestwa Polskiego. Minister przyrzekł jak najżyczliwsze traktowanie sprawy, względnie poparcie tam, gdzie jego głos nie rozstrzyga.

(„Kurjer Lwowski" z 15 maja 1918).

Załącznik 171.

C. k. Prezydjum Dyrekcji Policji w Krakowie.
L. 4705/pr.

Kraków, dnia 14 listopada 1914.

Do
Szanownej Redakcji czasopisma „Głos Narodu"
w Krakowie.

Wskutek zarządzenia c. i k. Komendy twierdzy z dnia 12 listopada 1914. L. 3514 zawieszam dalsze wydawnictwo dziennika „Głos Narodu".

Za c. k. Radcę Dworu i Dyrektora Policji:
Dr. Józef Broszkiewicz.

Załącznik 172.

Wiedeń, 12 października.

(Z. Fg.) Koło polskie w sprawie ratyfikowania układów prezydjum Koła polskiego z premjerem Seidlerem zwołane zostało na dziś piątek godz. 9.30 przedpoł. — Na posiedzeniu dzisiejszem obecnych było zaledwie 36 członków Koła. Na wczorajszem posiedzeniu obecnych było bardzo mało posłów polskich. Z ubolewaniem stwierdzić należy, że posłowie polscy bardzo się absentują — szczególnie w tym tygodniu jest ich we Wiedniu bardzo mało, pomimo, że decyduje się sprawa tak bardzo doniosła dla Galicji. O onegdajszych pertraktacjach prezydjum Koła polskiego z premjerem Seidlerem wysłałem Wam zaraz po konferencji telegram, zawierający przeszło 1000 słów. Nie wiadomo, czy doszedł na czas, wogóle depeszowanie w czasach obecnych jest loterją. Telefon międzymiastowy nie funkcjonuje — jesteśmy ciągle odcięci od świata a porozumienie wielce utrudnione.

Zabiegała w tej sprawie wczoraj deputacja dziennikarzy lwowskich pod wodzą posłów Głąbińskiego i Tertila. Przedstawiałem ministrom bardzo szczegółowo wszystkie utrapienia prasy lwowskiej: cenzurę, brak telefonu, marne funkcjonowanie telegrafu i poczty, a niemniej Biura korespondencyjnego, wreszcie brak papieru i nierówny przydział — wszyscy ministrowie przyrzekli solennie uwzględnienie słusznych żądań, ministrowie pp. Twardowski i Ćwikliński popierają gorliwie zabiegi dziennikarstwa polskiego — niemniej i posłowie Głąbiński, Tertil, Kolischer, Korytowski, Kędzior, Lasocki

i Stesłowicz i spodziewać się należy, że w najbliższym czasie nastąpi poprawa stosunków pod tym względem. Pożądana czujność ze strony posłów polskich, którzy nie powinni dłużej tolerować pokrzywdzenia prasy polskiej.

(„Kurjer Lwowski" z 16 października 1917).

Załącznik 173.

DWIE METODY.

Wiedeń, 2 lipca.

Od lat znamy dobrze metodę, jaką posługują się Rusini przy wytaczaniu swoich skarg na „krwawe krzywdy" i „prześladowania" ze strony polskiej, metodę, w której poszanowanie prawdy najmniejszej nie odgrywa roli. Dla przykładu przypomnimy tylko, jak to jeden z przywódców ruskich ogłosił w niemieckim języku „statystykę", z której wynikało, że w Galicji niema ani jednej szkoły ludowej ruskiej i jak w Reichstagu niemieckim poważny poseł oparł się na tej osobliwej „statystyce". Jednak sądziliśmy, że odkąd Rusini korzystają z liczebnie tak poważnej reprezentacji parlamentarnej, odkąd z Rusinów przedzierzgnęli się w Ukraińców, szczególnie odkąd do niedawna ponad historję i geografję w powietrzu bujające „państwo ukraińskie" wydaje się im już mniej lub więcej bliskie urzeczywistnienia — tej metody się wyrzekną i, według zasady noblesse oblige, przyjmą w życiu publicznem bardziej kulturalne formy. Jak dotąd, omyliliśmy się. Kiedy na ludność ruską gradem posypały się ze strony wojskowej oskarżenia, w znacznej części — jak chętnie przyznajemy — nieusprawiedliwione, bo polegające na nieznajomości kraju i języka, Rusini chwycili się bardzo dowcipnej metody. Korzystając z tego, że nazwę stronnictwa przemienili sami na nazwę narodu, z emfazą wołali: „Pokażcie nam chociażby jednego Ukraińca, który zdradził" — bo kto zdradził, nie był już Ukraińcem, tylko zaliczony został do znów nowego narodu moskalofilów. Ale mniejsza ostatecznie o to: przyznajemy jeszcze raz chętnie, że liczbę owych zdrajców przesadzono; nie dziwimy się też Rusinom, że chcą się ich wyprzeć.

Ale dziś mamy przed sobą inny już dokument. Pp. Romańczuk i Kost Lewicki, więc najpoważniejsi posłowie ruscy, wnieśli wraz z towarzyszami w Izbie poselskiej interpelacje w przedmiocie licznych wyroków śmierci i innych prześladowań. Ale kogo ci panowie oskarżają? Nie władze wojskowe, bo „Tyrolczykom Wschodu" to nie uchodzi — jeno polskie władze cywilne(!), które jakoby bałamuciły armję i parły sądy polowe do wyroków śmierci i innych ciężkich prześladowań. Ten zarzut powtarza się w interpelacji co parę wierszy. Czy ci panowie, czy w szczególności sędziwy poseł Romańczuk nie odczuwają całej ohydy tej nieprawdy? I czy oblał go rumieniec wstydu, kiedy w równocześnie wniesionej na tem posiedzeniu interpelacji polskiej (hr. Lasockiego) wyczytał obronę niewinnie prześladowanych Rusinów. Nasi politycy są zawsze jeszcze z rodu Kirkorów, jak dowodzi polski mowca w Izbie panów, broniący Rusinów przeciw masowej potwarzy; ale z jakiego rodu są autorowie ruskiej interpelacji, wolę raczej nie dochodzić.

Dodam tylko jeszcze jedną uwagę. Wspomniana interpelacja nosi, jako dodatek do protokołu, nr. 33; w bardzo bliskiem jej sąsiedztwie, bo pod numerem 40, znajduję drugą interpelację pana Kostia Lewickiego i tow., która zgoła coś przeciwnego głosi. Idzie o nieprawne aresztowanie adwokata ruskiego w Żółkwi. Interpelanci opowiadają na wstępie, że po aresztowaniu tego pana, starosta żółkiewski natychmiast interwenjował u komendanta, a odprawiony z niczem, telefonicznie prosił o interwencję namiestnictwa. Namiestnik Korytowski udał się w tej chwili do komendanta korpusu lwowskiego i uzyskał uwolnienie adwokata już po trzech godzinach. A więc?...

(„Czas" z 4 lipca 1917).

Załącznik 174.

„NIEPOROZUMIENIA".

Wiedeń, 27 czerwca 1917.

Prawie równocześnie z mową jen. Georgi'ego (odpowiedź na zarzuty posła Stribnego) pojawił się z łona Koła polskiego wniosek hr. Lasockiego i towarzyszy, który opiewa: „Wzywa się c. k. rząd, by postarał się o to, aby osobom, podczas wojny niewinnie zasądzonym, internowanym i konfinowanym, jako też rodzinom niewinnie śmiercią ukaranych, jak najśpieszniej powetowano przynajmniej szkodę materjalną; dalej aby rehabilitowano niewinnych, a tych, którzy wobec nich dopuścili się nadużyć, pociągnięto do surowej odpowiedzialności". Motywy wniosku pojawiły się wprawdzie jako dodatek (Nr. 304) do stenograficznego protokołu, jednak nauczony doświadczeniem, nie chcę narażać czytelników „Czasu" na czytanie białych plam. Stwierdzam tylko, że wnioskodawca z imienia i nazwiska wyliczył długi szereg osób — szczególnie z powiatów Nisko i Tarnobrzeg — które po strasznych wręcz cierpieniach dostały się na wolność z urzędowem poświadczeniem zupełnej ich niewinności. Nie wszyscy — bo o wielu nadeszło tylko zawiadomienie, że zmarli na tyfus. Prawie we wszystkich wypadkach te — mówiąc stylem „cenzuralnym" — „nieporozumienia" powstały przez to, że węgierskie oddziały armji nie mogły się porozumieć z polską ludnością. Bar. Forster i jego sekundanci winę za każde niepowodzenie składali na fakt, że chłop polski i ruski nie umie po niemiecku [1]), maluczko a usłyszymy, że powinniśmy wszyscy umieć także po węgiersku. Byle już tylko nie pod grozą kary śmierci lub deportacji do Thalerhofu.

(„Czas" z 30 czerwca 1917).

---

[1]) Motywowanie znanego zarządzenia ministra kolei Forstera, wprowadzającego język niemiecki w urzędowaniu na kolejach w Galicji, którego znajomością mieli się wykazać najniżsi nawet funkcjonarjusze — nie wyłączając robotników kolejowych.

Załącznik 175.

Odszkodowanie dla niewinnie uwięzionych, internowanych i konfinowanych, jakoteż rodzin osób niewinnie straconych.

(Koresp. „Nowej Reformy").

Wiedeń, 31 stycznia.

Posłowie hr. Lasocki i Gross przedłożyli parlamentowi wygotowany przez siebie projekt ustawy o odszkodowaniu dla osób niewinnie więzionych, internowanych, względnie dla osób po nich pozostałych, jakoteż dla rodzin osób, niewinnie straconych.

W motywach projektu powiadają wnioskodawcy między innemi: Ofiarą przesadnej obawy przed szpiegostwem i zdradą padło w toku obecnej wojny niestety wielu niewinnych ludzi. Tysiące niewinnych stracono, tysiące osadzono, często wśród niegodnych człowieczeństwa stosunków, w więzieniach, zakładach internacyjnych i t. p., w których wielka ich część zginęła. Zupełne odszkodowanie tej kategorji ofiar wojny ze strony państwa jest nakazem sprawiedliwości. Jak długo to jednak nie nastąpiło, przemawiają względy zarówno ludzkości, jakoteż rozsądku politycznego za odpowiedniem odszkodowaniem wspomnianych osób, względnie osób po nich pozostałych. Kwestja przyznania tego rodzaju odszkodowania omawianą była już niejednokrotnie w Wysokiej Izbie, dotychczas jednak nie została niestety załatwioną. Wiele osób niewinnie życia pozbawionych, wiele osób, które w internacji straciły zdrowie i zdolność zarobkową, znajduje się w największej nędzy. Pomoc państwowa dla ofiar błędów lub nadużyć organów państwowych jest niezbędnie potrzebna. W ostatnim czasie wyrazili zastępcy c. k. rządu zamiar przyznania odszkodowania pod pewnymi warunkami małżonkom, dzieciom i rodzicom takich, przez organy siły zbrojnej lub żandarmerji zabitych osób. Takie jednak rozwiązanie kwestji nie może być uważane za zadawalające, gdyż w tym wypadku przeważna część osób na szkodę narażonych nie otrzymałaby żadnego odszkodowania n. p. ci, którzy wskutek nieuzasadnionej internacji ponieśli szkodę na zdrowiu lub majątku, tudzież rodziny osób w internacji zmarłych itp. Inne ustawowe uregulowanie tej kwestji okazuje się tedy koniecznem".

Przedłożony parlamentowi projekt ustawy, składa się z 7 paragrafów, z których 1-szy brzmi:

„Jeśli osoba cywilna, mająca obywatelstwo austrjackie, została w obecnej wojnie przez osobę przynależną do siły zbrojnej, żandarmerji lub władzy bezpieczeństwa, względnie na zlecenie osoby takiej zabita, lub jeśli przez organy te uwięziona w więzieniu (internacji) zmarła, prawomocnie zaś na karę śmierci zasądzoną nie została, przysługuje małżonkom, dzieciom i rodzicom zabitego, względnie zmarłego, o ile utrzymanie ich zawisłem było od pracy, względnie od dochodów jej a przez jej śmierć jest zagrożone, prawo żądania od państwa odpowiedniego odszkodowania.

Takie samo prawo przysługuje osobie, która przez wspomniane organy władzy państwowej trzymana była przez więcej niż 4 tygodnie w więzieniu, internacji lub konfinacji bez prawomocnego zasą-

dzenia na karę wolnościową, a wskutek tego ograniczenia osobistej wolności poniosła szkodę na zdrowiu lub swym majątku, względnie pozostałemu małżonkowi, dzieciom i rodzicom niesłusznie uwięzionych, internowanych lub konfinowanych.

Roszczenie jest niedopuszczalne, jeżeli zabity lub w więzieniu zmarły winnym stał się czynu karygodnego, zagrożonego śmiercią, a uwięziony, internowany lub konfinowany czynu karygodnego zagrożonego więzieniem".

Reszta paragrafów (2—7) zawiera przepisy proceduralne.

(„Nowa Reforma" z 1 lutego 1918).

Załącznik 176.

Das Verbot der Wahrheitsgetreuen Berichterstattung.

Die Zensur gegen das Parlament.

Folgende Reden, gehalten in der heutigen Sitzung des Abgeordnetenhauses, wurden von der Zensur mit Verbot belegt:

Die Reden der Abgeordneten Baxa, Benkovic, Lasocki, Liebermann, Rudolf Müller, Singaliewicz.

Sie alle dürften nur nach dem im höchsten Masse gefälschten „Bericht" der Reichsratskorrespondenz mitgeteilt werden.

Graf Lasocki (Pole) erzählt von Fällen, wo vom Verrat gar keine Rede war, wo im Gegenteil die Bevölkerung den Truppen hilfreich entgegenkam und dennoch des Verrats beschuldigt wurde. Hier sagt nun der Bericht der Reichsratskorrespondenz: „Er bringt eine Anzahl derartigen Fälle zur Sprache". Die Reichratsfälschungskorrespondenz unterschlägt natürlich die Angaben über diese Fälle!

(„Arbeiter-Zeitung" z 13 marca 1918).

Załącznik 177.

Justitzminister Dr. Ritter von Schauer:

In der furchtbaren Not und Gefahr, in der sich der Staat besonders vor der glücklichen Wendung im Kriege befand, haben Angehörige der bewaffneten Macht und staatliche Organe bei der Bekämpfung oder Abwehr von Angriffen gegen den Staat mitunter die Formen des rechtlichen Verfahrens ganz ausser acht gelassen, und es kam wohl auch vor, dass rechtswidrig Leben und Freiheit verletzt worden ist und damit das Rechtsbewusstsein schwer gekränkt wurde.

Dem durch solches Fehlgehen der Schutztätigkeit des Staates beleidigten Rechtsgefühl soll Genugtuung geboten und der verursachte Schaden gutgemacht werden.

Die Regierung war daher ohneweiters bereit, der Gewährung einer angemessenen Entschädigung nach Feststellung des Tatbestandes zuzustimmen. Das Ergebnis der eingehenden und sorgfältigen Verhandlungen zwischen der Regierung und dem Justitzausschuss ist der vorliegende Gesetzentwurf.

(Protokół stenogr. Izby poselskiej z 12 marca 1918, str. 3596).

Załącznik 178.

L. 129/W.
Likwidacja gospodarki państwowej.
Odszkodowania z powodu nielegalnego internowania.

Wiedeń, dnia 1 marca 1919.

ZASTĘPSTWO KOMISJI RZĄDZĄCEJ
w Wiedniu III.
Rennweg 1.

W ostatnich miesiącach wpływa na moje ręce znaczna ilość podań z Galicji, skierowanych do b. c. k. Ministerstwa spraw wewnętrznych względnie obrony krajowej, o przyznanie po myśli § 2 ustawy **z dnia 18 sierpnia 1918 Dzpp. Nr. 317** odszkodowania z powodu nielegalnego internowania przez byłe austrjackie władze polityczne i wojskowe. Podania te ze względu na wyznaczony w ustawie 6-miesięczny termin prekluzyjny przesyłam Komisji Rządzącej (Wydział administracyjny) w Krakowie do dalszego zarządzenia, przyczem zauważam, że jakkolwiek według moich prywatnych informacji siedzibą tego Wydziału jest Lwów, pisma adresuję do Krakowa, ponieważ tutejsza poczta listów rekomandowanych do Lwowa nie przyjmuje, względnie je zwraca.

Ponieważ ilość internowanych była bardzo znaczna a wysokość poszczególnych pretensji dosięga nawet setek tysięcy koron, przeto przypuszczać należy, że pretensja Rządu Polskiego do masy likwidacyjnej dawnej Austrji z tego tytułu będzie bardzo wysoka i jak przypuszczam, dosięgnie jeżeli nie setek, to w każdym razie dziesiątek miljonów koron. Wysokość tej pretensji nie da się na razie oznaczyć, będzie to mogło nastąpić dopiero po upływie sześciomiesięcznego terminu prekluzyjnego do wnoszenia podań ustawą wyznaczonego.

W interesie Rządu Polskiego leżałoby jak najrychlejsze, o ile to dotychczas nie nastąpiło kalendarzowe ustalenie tego terminu prekluzyjnego stosownie do przepisu pierwszego ustępu cytowanej ustawy. Celem zabezpieczenia tej pretensji przy likwidacji majątku państwowego dawnej Austrji donoszę o tem Zastępstwu, przyczem dla związku pozwalam sobie zwrócić uwagę na sprawę podobnych odszkodowań z powodu zabicia i ciężkiego uszkodzenia osób cywilnych przez osoby wojskowe i żandarmerję po myśli § 1 tej samej ustawy, jakoteż odszkodowań z powodu przytrzymania w śledztwie po myśli ustawy z dnia 18 sierpnia 1918 Dzpp. Nr. 318.

Odpis tego sprawozdania przedkładam równocześnie Expozyturze Biura prac kongresowych w Wiedniu w uzupełnieniu elaboratu o aktywach i passywach b. ces. król. Ministerstwa spraw zewnętrznych z dnia 10 lutego 1919 L. 159/W.

Delegat likwidujący sprawy b. c. k. Ministerstwa spraw wewnętrznych.

Podpis nieczytelny.

Odpis powyższy udzielono pismem z dnia 20 marca 1919 r. L. 573/L p. Delegatowi Rządu, któremu Komisja Rządząca już była oddała urzędowanie w Krakowie.

TREŚĆ.

SPIS OSÓB:

ERRATA

Str.	wiersz	zamiast	powinno być
15	26	258	528
44	36	Czeskiej Trzebowie (Böhmisch Trübau) w Czechach	Morawskiej Trzebowie (Mährisch Trübau) na Morawach
86	odsyłacz [2])		wykreślić słowa : pochodził z Brodów